HELENA KELLER

Historia mojego życia



„Helena Adams Keller (ur. 27 czerwca 1880) amerykańska pisarka, pedagog i działaczka społeczna. W 19 miesiącu życia utraciła wzrok, słuch i częściowo możność mówienia; jednak przy pomocy Anny Sullivan (1886 - 1936) ukończyła wyższe studia, uzyskując w 1904 r. doktorat filozofii, zdobyła znajomość kilku języków..." oto, co podaje o Helenie Keller Wielka Encyklopedia Powszechna.

Wspomnienia Heleny Keller (I wydanie w Stanach Zjednoczonych ukazało się w 1902 r., a przekład polski w 1905) to wstrząsająca lektura, jedyny w swoim rodzaju dokument heroizmu i poświęcenia, miłości nauczycielki i wytrwałości uczennicy, optymistyczne i wzruszające świadectwo zwycięstwa człowieka nad przeciwnościami losu.



KELLER

HISTORIA MOJEGO ŻYCIA

HV1624
.K281
S+76
1967

HELENA KELLER

HISTORIA MOJEGO ŻYCIA

Przełożyła
JANINA SUJKOWSKA

C z y t e l n i k 1967

Tytuł oryginału angielskiego
THE STORY OF MY LIFE

Obwolutę i okładkę projektował
ZDZISŁAW TOPOLEWSKI

© Copyright, 1954, by Doubleday and Co., Inc.
© Copyright, 1961, by Eleanor Roosevelt

Aleksandrowi Grahamowi Bellowi, który nauczał głuchych mówić i słuchać ludzkiej mowy od Atlantyku do Gór Skalistych, dedykuję historię mojego życia.

O d e s z ł a m   o d   s t u d n i   p e ł n a

z a p a ł u   d o   n a u k i .   K a ż d a

r z e c z   m i a ł a   n a z w ę ,   a   k a ż d a

n a z w a   d a w a ł a   ż y c i e   n o w e j

m y ś l i .   P o   p o w r o c i e   d o   d o m u

c z e g o k o l w i e k   s i ę   d o t k n ę ł a m ,

d y g o t a ł o   ż y c i e m .

(⠨ znak dużej litery)

Tak wygląda pismo Braille'a. Tekst powyższy znajduje się na str. 30

SŁOWO WSTĘPNE

Książka, wydana w roku 1902, ma się ukazać na nowo w druku. „Historię mojego życia", napisaną przez Helenę Keller, do której włączono listy z lat 1887—1901 oraz uzupełniono sprawozdaniem o jej edukacji, na które złożyły się sprawozdania i listy jej nauczycielki, Anny Mansfield Sullivan, wydał John A. Macy. Oczywiście Helena Keller nie była w możności opisać całego procesu swej nauki, bo naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak wiele zdołano osiągnąć.

Przezwyciężając niezwykłe trudności, doszła do niebywałych wyników, co bez wątpienia było zasługą nadzwyczajnego talentu pedagogicznego Anny Sullivan. We dwie potrafiły wykorzystać wszelkie okoliczności, jakie mogły dopomóc uzdolnionej kobiecie do rozwinięcia jej indywidualności.

Mnie trudno dziś zrozumieć mowę panny Keller, ale wielu osobom nie sprawia to trudności. Nasuwa się refleksja, że niekoniecznie trzeba rozumieć słowa, gdyż dusza jej wypowiada się w wyrazie twarzy i przepięknych oczach.

Przez całe życie, skoro tylko uzyskała możność czynienia tego, wspomagała bliźnich. Ostatnia jej podróż dookoła świata, żeby ratować ofiary wojny, była wyczynem, jak na kobietę w jej wieku, niebywałym.

Spotkało ją to szczęście, że miała wspaniałą towarzyszkę, gdy jednak ta umarła — jakże ciężko było jej żyć po tej stracie.

A jednak wyczuwa się, że cokolwiek by ją spotkało, to Helena Keller stawi czoło każdej przeciwności.

Ta historia będzie czytana przez wielu ludzi z wielkim zainteresowaniem, ale właściwie nie skończy się ona nigdy.

Dzięki swemu życiu Helena Keller udzieliła nam wszystkim

niezapomnianej nauki, nam, którzy nie mieliśmy do przezwyciężenia takich trudności, jak ona. Co dzień składam jej hołd w myślach, gdyż pojmuję, jak wiele uczyniła dla ratowania głuchociemnych dzieci, a także dorosłych, którzy, chociaż nie mieli takich trudności jak ona, nieraz by się załamali, gdyby nie jej przykład dodający odwagi i zapału do walki. Możemy ufać, że coraz więcej ludzi będzie czytało jej historię i że stanie się ona natchnieniem dla wielu czytelników.

ELEONORA ROOSEVELT

PRZEDMOWA WYDAWCY

Książka niniejsza składa się z trzech części: Pierwsze dwie — historia Heleny Keller i urywki z jej listów — tworzą taki obraz jej życia, jaki zdołała ona odtworzyć. Ponieważ sama nie mogła wyjaśnić wszystkiego, co złożyło się na jej edukację, a informacje te są niezbędne dla zrozumienia autobiografii, było wskazane uzupełnić ją sprawozdaniami i listami nauczycielki, Anny Mansfield Sullivan. Dodatkowe wiadomości o osobowości i osiągnięciach Heleny Keller mogą wydawać się zbyteczne. Pomogą jednakże wyjaśnić niektóre właściwości jej charakteru oraz rezultaty, które uzyskała wespół ze swoją nauczycielką.

Za trzecią część książki odpowiada redaktor; autentyczne zapiski i wskazówki Anny Sullivan pozwoliły mu na osiągnięcie tak wysokiego poziomu.

Redaktor pragnie wyrazić w imieniu swoim i pań Keller i Sullivan wdzięczność dla „The Ladies Home Journal" oraz jego redaktorom pp. Edwardowi Bokowi i Williamowi V. Alexandrowi za ich zawsze niezawodną uprzejmość. Pragnie również podziękować licznym przyjaciołom Heleny Keller za użyczenie jej listów i za cenne informacje; a zwłaszcza pani Laurence Hutton, która pozwoliła mu wejrzeć w swoją bogatą kolekcję zapisków i anegdot; panu Johnowi Hitzowi, kierownikowi Biura Volta, instytucji mającej na celu propagowanie oświaty wśród głuchociemnych, oraz pani Zofii C. Hopkins, do której Anna Sullivan pisywała owe listy z wyjaśnieniami. Wyjątki z nich dają lepsze wyobrażenie o metodach, jakie stosowała wobec swojej wychowanki, niż jakiekolwiek wcześniejsze publikacje.

Panowie Houghton, Mifflin i Spółka zgodzili się łaskawie na przedruk listu Heleny Keller do doktora Holmesa — ukazał się on w „Przy herbacie" — i jednego listu Whittiera do Heleny Keller.

Pan S. T. Pickard, literacki agent Whittiera, nadesłał uprzejmie oryginał innego jeszcze listu Heleny Keller do Whittiera.

JOHN ALBERT MACY

Cambridge, Massachusetts, 1 lutego 1903 r.

WSTĘP

Helena Keller ukończyła *cum laude* college Radcliffe w 1904 roku, a niniejsza książka została napisana i wydana w drugim roku jej studiów. Pomocy i zachęty w tej pracy udzielili Helenie jej nauczyciel angielskiego, Charles Townsend Copeland, oraz krytyk literacki, John Albert Macy. Książka zawiera jej wspomnienia z pierwszych lat życia, wybór listów, a także dzieje jej rozwoju i kształcenia, oparte głównie na zapiskach Anny Sullivan, ukochanej nauczycielki, przewodniczki i towarzyszki, dzięki której Helena opuściła wielki świat milczenia i samotności.

Przez ostatnie pięćdziesiąt lat Helena Keller prowadziła czynne, pożyteczne życie. Zrozumiałe jest, że pracowała wśród upośledzonych, którzy tak jak ona pozbawieni byli wzroku i słuchu. W tym celu wygłaszała odczyty, pisywała artykuły i książki: „Środkiem strumienia", „Późniejsze życie" (1929), „Dziennik Heleny Keller" (1938) i inne. Jednocześnie brała czynny udział w pracach wielu organizacji, takich jak Amerykańska Fundacja dla Niewidomych, mających na celu opiekę i kształcenie tak upośledzonych. W związku z tym musiała wiele podróżować. Była w Europie, na Bliskim i Dalekim Wschodzie, w Ameryce Środkowej i Południowej, w Kanadzie, odwiedziła wszystkie stany Ameryki Północnej. Misja jej musiała być owocna, bo czerpiąc z własnego doświadczenia, sama dawała nadto niezmiernie zachęcający przykład.

Gdy w roku 1887 przybyła do niej Anna Sullivan, Helena była dzieckiem niespełna siedmioletnim, mimo wielkiej miłości rodziców bardzo niezaradnym. Od tego właśnie poziomu zaczynając — w krótkim czasie osiągnęła wysoki stopień rozwoju swej bogatej indywidualności i z wiarą w siebie stanęła przed otwartymi drzwiami badań, nauki oraz kontaktów z ludźmi. Gdy się o tym czyta, nasuwa się porównanie z filmem przedstawiającym w zwolnionym tempie rozwój rośliny.

Geniusz nauczycielki był nie mniej godny uwagi niż geniusz wychowanki. Anna Sullivan przyjechała do dziewczynki z Bostonu, z Instytutu Perkinsa. Instytut ten stał się głośny dzięki pionierskim eksperymentom Samuela Gridleya Howe'a z Laurą Bridgman.

Anna, pochodząca z biednej imigranckiej rodziny irlandzkiej, jako dziesięcioletnia dziewczynka znalazła schronienie w osławionym przytułku w Tewksbury, w Massachusetts. Nacierpiała się bardzo w dzieciństwie, tak była zaniedbywana i okrutnie traktowana. Fakt, że to przeżyła, świadczy o jej sile fizycznej i o nieugiętej woli. Charakter miała żelazny. Choroba oczu przyprawiła ją o połowiczną ślepotę, z której nigdy się całkowicie nie wyleczyła. W swojej pracy pedagogicznej wykorzystała zarówno osobiste doświadczenie, jak i metody stosowane w owym czasie w Instytucie Perkinsa. Jednakże przystosowała je do osobowości wychowanki.

Pierwsza lekcja była nauką posłuszeństwa. Należało od razu opanować szkodliwe impulsy u krnąbrnej, rozpuszczonej dziewczynki. Nazywano ją w rodzinie „upartym osiołkiem". Dopiero wtedy można było przystąpić do nauki ręcznego alfabetu, wyczuwanego dłonią, i kojarzenia nazw z przedmiotami, które rozpoznawała za pomocą dotyku, gestykulacji i pantominy. Jednocześnie uczyła się wyrażać litery palcami, a wkrótce potem pisać. Mówić nauczyła się dopiero po trzech latach i to bardzo słabo. Pewnego pamiętnego dnia, już w miesiąc po przybyciu panny Sullivan, zaświtało Helenie, że „każda rzecz ma swoją nazwę". Od tej chwili opanowała ją namiętność do nazw. Ale nauczycielka uczyła ją więcej słów, niż uczennica znała rzeczy, tak że na Helenkę przyszło olśnienie nie mniej doniosłe niż rewelacja z nazwami. Pojęła, że każdej nazwie odpowiada rzecz, chociaż nie każda z tych rzeczy mogła być jej znana. Jej zachłanny umysł zadawał dwa pytania: jak się to nazywa? Co oznacza to słowo?

Ktoś powiedział, że zadanie, jakie sobie postawiły nauczycielka i uczennica, wymagało od obydwóch „siły tragarza, powolnej cierpliwości górnika, determinacji prohibicjonisty i subtelności poety".

Helena nie urodziła się jednak głuchociemna. Straciła wzrok i słuch w dziewiętnastym miesiącu życia, ale niemożliwością jest orzec, co pozostało w jej pamięci z niemowlęcych przeżyć. Jednakże nie ulega wątpliwości, że po przebytej chorobie bodźce wzrokowe już nie działały, że stała się niewrażliwa na światło i barwy.

Kwestia dźwięku nie przedstawia się tak jednoznacznie. Nie mogła otrzymywać bodźców słuchowych uszami, a więc nie mogła rozróżniać tonów. Natomiast fale dźwiękowe działały i działają na jej ciało i wzbudzają wrażenia wibracyjne i rytmiczne.

Pewnego razu w przystępie przygnębienia, co jej się rzadko zdarzało, poskarżyła się, że poza domem nie może swobodnie się poruszać. Musi siedzieć i czekać, aż ją ktoś poprowadzi. U osób normalnych adaptacja fizyczna i społeczna zależy głównie od „receptorów odległościowych": wzroku i słuchu. Ona musi się obchodzić bez takich wzrokowych i słuchowych „sygnałów ruchu". Jej jedyne anteny poza zasięgiem rąk, to powonienie i wibracja, te środki są niezbyt dokładne, a zasięg ich stosunkowo niewielki. Nie trzeba zaznaczać, że jest to poważne upośledzenie. Lecz żeby nie wpadać w przesadę, warto się zastanowić, jak nikłą rolę grają wrażenia w normalnym życiu. W praktyce mamy do czynienia nie z czuciowymi sygnałami, ale z r z e c z a m i, które one sygnalizują. Rzeczy mogą być te same, niezależnie od tego, jakie dane nam je sygnalizują: wzrokowe i słuchowe, czy, jak w wypadku Heleny Keller, ruch, dotyk, wibracje i powonienie. Jak wyraził się William James w liście do Heleny: „Wspaniały świat jest tłem w każdym z nas, jest światem naszej wiedzy..." Podobnie i wrażenia stanowią tylko ułamkową część świadomości estetycznej. Jeżeli nie psychologowie, to poeci czegoś nas w tym względzie nauczyli.

Ktoś powiedział o bohaterze poematu Wordswortha „Peter Bell", że „pierwiosnek nad wodą był dla niego tylko żółtym pierwiosnkiem i niczym więcej" i że „łagodny błękit nieba nie rozpływa się w jego sercu". Helena Keller nie ma w sobie nic z Bella. Jej bogata uczuciowość i życzliwy stosunek do otoczenia sprawiają, że i z pierwiosnkiem, i z błękitem niebios jest ona bardzo zżyta, że ją wzruszają.

Utarło się myśleć o niej pod kątem jej braków. Ale wyeliminujmy z jej przeżyć to, co widzi oko i słyszy ucho, cóż zostanie? Pozostaną natura, historia i społeczeństwo. Wszelkiego rodzaju zjawiska, które znamy z nazw, opisów właściwych im czynności i wzruszeń, jakie wywołują. Przedmioty fizyczne utożsamiamy za pomocą odpowiednich wrażeń — wodę dzięki chłodnej płynności, kwiat dzięki woni. Wachlarz jej dotykowych, krtaniowych, wibracyjnych, ruchowych i węchowych odczuwań jest nieskończenie bogaty. Potrafi czytać palcami nastroje ludzi na twarzach, tak jak widzący czytają je oczami. I jedno, i drugie wydaje się cudem. Ważne jest to, że tracąc wzrok i słuch nie utraciła zarazem inteligencji. Umie myśleć, porównywać, pamiętać, przewidywać, kojarzyć, wyobrażać sobie, spekulować i czuć. Świat jej obejmuje te same wymiary, co światy innych ludzi, i daje jej wstęp do tego samego świata przeżyć i do pełnego uczestnictwa w otaczającym życiu. Obdarzona przez naturę szczególną aktyw-

nością, zapałem i swawolnym, żywiołowym temperamentem oraz ogromną chęcią wypowiadania się i porozumiewania, wyszła życiu naprzeciw, aby je poznać i zgłębić.

Prawda, że Helena Keller jest upośledzona, ale któż z nas nie jest tak czy inaczej upośledzony? Ale to, co ją wyróżnia, to nie upośledzenie, lecz fakt, jak dalece zdołała je przezwyciężyć, a nawet odnieść zeń korzyści. Ta kobieta nie budzi bynajmniej litości, lecz sympatię i zrozumienie. Kto ją zna czy osobiście, czy też z lektury jej wspomnień, ten musi ją podziwiać i uwielbiać. Mogła zachodzić obawa, że ogólne zainteresowanie odbije się ujemnie na charakterze Helenki. Na szczęście Anna Sullivan nie pozwoliła jej wyrosnąć na rozpieszczone dziecko, a w późniejszym okresie sama potrafiła się bronić dzięki wielkiej inteligencji i poczuciu rzeczywistości. Nie miała łatwego życia i nigdy nie uchylała się przed trudnościami. Przeżyła wiele ciężkich chwil. A jest wyjątkowo wrażliwa na cierpienia ludzkie w ogóle — zwłaszcza w tych trudnych czasach. Wynik najlepiej streścić jej własnymi słowami: „Z biegiem lat mój bezmyślny optymizm przeobrażał się w tę głębszą wiarę, która bierze pod rozwagę brzydkie strony życia, jednakże wierzy, że obrócą się na lepsze, i pracuje dla tej lepszej przyszłości nawet w obliczu klęski".

Rzadko miałem możność spotykać Helenę Keller, ale doskonale pamiętam każde takie spotkanie. Na ostatnim roku w Radcliffe, a moim drugim jako wykładowcy w Harvardzie, studiowała u mnie historię filozofii w zarysie. Najgłębiej wrył mi się w pamięć wyraz jej twarzy — uśmiech lub wymowne spojrzenie, kiedy Anna Sullivan ułatwiała jej zrozumienie jakiegoś mojego powiedzenia i żarciku. Reakcja była opóźniona, ale tym bardziej uderzająca, że samoistna w odróżnieniu od reakcji reszty słuchaczy. Ostatnio widziałem się z nią w listopadzie w Cambridge w domu jej przyjaciół — Matyldy i Roberta Pfeifferów. Gawędziliśmy wesoło, przyjacielsko prawie dwie godziny — od serca, jak się to mówi. I znów, jak dawniej, uderzyła mnie jej żywa, niezwykła wrażliwość. Gdy się z nią przestaje, wie się, że słowa przenikają do „wewnętrznego ucha" i w głąb jej umysłu, co rzadko da się powiedzieć o rozmowach między zwykłymi ludźmi.

RALF BARTON PERRY

CZĘŚĆ PIERWSZA

Historia mojego życia

ROZDZIAŁ I

Nie bez pewnej obawy zabieram się do pisania historii mego życia. Waham się uchylić zasłony otulającej moje dzieciństwo na podobieństwo złocistej mgły. Jest w tym wahaniu coś z przesądu. Trudne to zadanie napisać autobiografię. Gdy próbuję odtworzyć jakoś moje najwcześniejsze wrażenia, stwierdzam, że w perspektywie minionych lat, wiążących przeszłość z teraźniejszością, fakty i fantazja zlewają się ze sobą. Kobieta odmalowuje przeżycia dziecinne tak, jak sobie wyobraża. Z pierwszych lat życia pozostało mi niewiele silnych wrażeń. „Reszta tonie w mrokach więzienia".

Zresztą radości i smutki z okresu mego dzieciństwa w większości wypadków przybladły i przygasły, a wiele wydarzeń wielkiej wagi z pierwszych lat nauki uległo zapomnieniu na skutek późniejszych podniecających i doniosłych doświadczeń. Żeby więc uniknąć nudnej rozwlekłości, postaram się ograniczyć do epizodów, które wydają mi się szczególnie ważne i interesujące. Potraktuję je szkicowo.

Urodziłam się 27 czerwca 1880 roku w Tuscumbii, małej mieścinie w północnej Alabamie.

Rodzina mego ojca wywodzi się od Caspara Kellera, Szwajcara, który osiedlił się w Marylandzie.

Przed chorobą, która pozbawiła mnie wzroku i słuchu, mieszkałam w domku składającym się z dwu izb, dużej — kwadratowej — i małej, gdzie sypiała służąca. Na Południu jest zwyczaj budowania w pobliżu głównego budynku domku w charakterze zapasowego pomieszczenia. Taki domek wystawił mój ojciec po Wojnie Domowej i gdy się ożenił, wprowadził się doń z matką. Winorośl, pnące róże i kapryfolium pokrywały go całkowicie,

tak że od strony ogrodu wyglądał jak altana. Ganeczek nikł w oplotach żółtych róż i południowego kolcowoju. Było to ulubione schronienie kolibrów i pszczół.

Dom Kellerów, gdzie mieszkała cała rodzina, dzieliła od naszego różanego zacisza niewielka odległość. Nazywał się „Zielony Bluszcz", gdyż piękny angielski bluszcz obrastał ściany, otaczające go drzewa i płoty. Staroświecki ogród był rajem mego dzieciństwa.

Jeszcze przed przybyciem mojej nauczycielki wędrowałam na wyczucie wzdłuż sztywnego bukszpanowego żywopłotu i, kierowana powonieniem, znajdowałam pierwsze fiołki i konwalie. Po wybuchach złości tam znajdowałam ukojenie kryjąc rozpaloną twarz w chłodnych liściach i trawie. Cóż to była za radość zabłąkać się wśród kwiatów i wędrować to tu, to tam, aby w końcu natknąć się niespodziewanie na piękny bluszcz, który poznawałam po liściach i kwiatach. Orientowałam się, że to zrujnowana altana w dalszej części ogrodu. Tutaj również pleniły się leśny powój zwisający z jaśminów i jakieś niezwykłe pachnące kwiaty, zwane motylimi liliami, ponieważ ich delikatne płatki przypominają motyle skrzydła. Ale najcudniejsze ze wszystkiego były róże. Nigdy w oranżeriach na Północy nie zdarzyło mi się spotkać róż tak przemawiających do serca, jak pnące róże mego rodzinnego gniazda na Południu. Zwieszały się długimi festonami z ganku, napełniając powietrze wonią nie skażoną ziemskimi zapachami.

O wczesnym ranku, skąpane w rosie, bywały takie mięciutkie, takie czyste w dotknięciu, że nasuwało mi się porównanie do złotogłowiu z rajskiego ogrodu.

Początki mego życia były nieskomplikowane i takie jak innych dzieci. Przybyłam, zobaczyłam, zwyciężyłam, jak to zawsze bywa, gdy rodzi się pierwsze dziecko. Jak zwykle toczyły się długie narady nad imieniem dla mnie. Wszyscy kładli nacisk na to, że imię pierwszego dziecka w rodzinie powinno być starannie obmyślone. Ojciec zaproponował Mildred Campbell, dla uczczenia przodka, którego niezwykle poważał, i nie chciał słuchać żadnych dalszych wywodów. Matka położyła koniec dyskusji. Wyraziła życzenie, żeby nazwać mnie tak, jak się nazywała jej matka jako panna, to jest Helena Everett. Ale pod

wrażeniem wyprawy ze mną do kościoła ojciec zapomniał po drodze o propozycji matki, co było rzeczą naturalną, gdyż odmówił udziału w naradzie. Gdy pastor zapytał, jak ma mnie ochrzcić, przypomniał sobie, że postanowiono nazwać mnie tak, jak się nazywała babka ze strony matki, i podał jej imię i nazwisko po mężu, to znaczy Helena Adams.

Opowiadano mi, że jako niemowlę dawałam liczne dowody żywego samodzielnego usposobienia. Cokolwiek kto robił, upierałam się go naśladować. Mając sześć miesięcy potrafiłam już wyszczebiotać: „Halo!", a raz zwróciłam na siebie ogólną uwagę, gdy bardzo wyraźnie powiedziałam „herbata" *(tea)*. Nawet po chorobie pamiętałam jeszcze jedno słowo, przyswojone w tych wczesnych miesiącach. Było to „woda" *(water)*. Gdy już utraciłam mowę, próbowałam chwytać ten dźwięk i zaniechałam tego „wah-wah" dopiero wówczas, gdy nauczyłam się je palcować.

Mówią mi, że zaczęłam chodzić w dniu, gdy skończyłam rok. Matka wyjęła mnie właśnie z kąpieli i trzymała na kolanach, gdy nagle zaintrygowana cieniami liści migającymi tanecznie w blasku słońca na gładkiej podłodze, zsunęłam się jej z kolan i ruszyłam ku nim prawie biegiem. Tracąc rozpęd upadłam i rozpłakałam się.

Szczęśliwe dni nie trwały długo. Przeminęła krótka wiosna, melodyjna pieśnią gili i ptaków przedrzeźniaczy, jedno lato bogate w owoce i róże, jedna złociście purpurowa jesień, pozostawiając swe dary u stóp żywiołowego, swawolnego dziecka. W posępnym miesiącu lutym przyszła choroba, która zamknęła mi oczy i uszy i pogrążyła w mroku nieświadomości niby nowo narodzone dziecię. Było to ostre przekrwienie żołądka i mózgu. Doktor nie rokował mi życia. Ale stało się inaczej. Pewnego dnia o świcie gorączka ustąpiła tak nagle i zagadkowo, jak przyszła. Wielka radość zapanowała w rodzinie, bo nikt, nie wyłączając lekarza, nie przypuszczał, że straciłam na zawsze wzrok i słuch.

Wydaje mi się, że pozostało mi w pamięci niejasne wspomnienie tej choroby. Pamiętam zwłaszcza, z jaką czułością matka starała się koić moje cierpienia i rozdrażnienie. Przypominam sobie również, jak ocknęłam się z gorączkowego półsnu i obró-

ciłam ku ścianie rozpalone suche oczy, z dala od ulubionego światła, które z dnia na dzień mętniało i gasło. Doznawałam udręki i oszołomienia. Z wyjątkiem tych ulotnych wspomnień, jeżeli to są w ogóle wspomnienia, wszystko wydaje mi się ogromnie nierealne niby senna mara. Powoli, stopniowo przyzwyczaiłam się do otaczającej ciszy i ciemności i zapomniałam, że kiedyś było inaczej, dopóki nie zjawiła się ona — moja nauczycielka — i nie uwolniła mnie z tych więzów. Ale w ciągu pierwszych dziewiętnastu miesięcy życia pochwyciłam przebłyski rozległych zielonych pól, świetlistego nieba, drzew i kwiatów, i ciemność, która potem nastąpiła, nie zdołała tego wszystkiego całkowicie zatrzeć. Gdyśmy raz widzieli, „dzień należy do nas i to wszystko, co przyniósł".

ROZDZIAŁ II

Nie pamiętam, co się działo przez pierwsze miesiące po moim wyzdrowieniu. Wiem tylko, że siadywałam na kolanach matki lub czepiałam się jej sukni, gdy się krzątała po domu. Moje ręce obmacywały wszystkie przedmioty i wyczuwały każdy ruch. Tym sposobem nauczyłam się wielu rzeczy. Niebawem zapragnęłam porozumiewać się z innymi osobami. Zaczęłam od prostych gestów. Potrząśnięcie głową oznaczało — „nie", skinienie — „tak", pociągnięcie ręką — „chodź", odepchnięcie — „idź!". Gdy chciałam chleba, pokazywałam, że kraję kromki i smaruję. Kiedy miałam ochotę na lody, udawałam, że kręcę maszynkę i dygotałam niby z zimna. Matka potrafiła dawać mi do zrozumienia wiele rzeczy. Zawsze wiedziałam, kiedy chciała, żebym jej coś przyniosła, i biegłam na górę lub gdzie indziej, zgodnie z jej wskazówkami. Faktycznie wszystkie dobre, radosne momenty, jakie przeżyłam w ciągu tej długiej nocy, zawdzięczam jej miłości i mądrości.

Z tego, co działo się naokoło mnie, rozumiałam bardzo dużo. Jako pięcioletnie dziecko nauczyłam się składać i chować czyste rzeczy przyniesione z pralni i odróżniałam własne od cudzych. Według tego, co kładły na siebie matka i ciotka, orientowałam się, że zamierzają wyjść, i zawsze prosiłam, żeby mnie

zabrały. Gdy zjawiali się goście, zwykle posyłano po mnie. Gdy odchodzili, machałam im ręką na pożegnanie. Musiało mi pozostać mętne wspomnienie tego gestu.

Raz odwiedzili matkę jacyś panowie. Poczułam zatrzaśnięcie drzwi frontowych i inne odgłosy świadczące o ich przybyciu. Tknięta nagłą myślą, pobiegłam na górę i nie zatrzymywana przez nikogo zaczęłam stroić się po swojemu do gości. Stojąc za przykładem innych przed lustrem namaściłam sobie głowę olejkiem i upudrowałam grubo twarz. Następnie upięłam na głowie woalkę w ten sposób, że zakryła mi twarz i opadała na ramiona. Założyłam ogromną tiurniurę, która dyndała z tyłu, dotykając prawie listwy sukienki. Tak wystrojona zeszłam na dół bawić gości.

Nie pamiętam, kiedy sobie uświadomiłam po raz pierwszy, że nie jestem taka jak inni. Ale stało się to jeszcze przed przybyciem mojej nauczycielki. Zauważyłam, że ani matka, ani moi przyjaciele nie posługiwali się gestami tak jak ja, gdy sobie czego życzyli, lecz mówili ustami. Czasami stojąc między dwiema rozmawiającymi osobami, dotykałam ich warg. Nie mogłam nic zrozumieć i to mnie dręczyło. Poruszałam ustami i gestykulowałam zapamiętale — bez skutku. Czasami doprowadzało mnie to do takiej pasji, że wierzgałam i krzyczałam do utraty sił.

Musiałam zdawać sobie sprawę ze swoich wybryków, bo wiedziałam, że gdy kopnęłam Ellę, moją piastunkę, to ją to bolało, a kiedy ochłonęłam, doświadczałam czegoś w rodzaju żalu. Ale, o ile pamiętam, nie zdarzyło się ani razu, aby to uczucie powstrzymało mnie od takiego samego wyczynu, gdy mi się nie udała jakaś zachcianka.

W tym czasie moimi stałymi towarzyszkami były: mała Murzynka, Marta Washington, córka naszej kucharki, i Bella, stara wyżlica, w swoim czasie sławna z wyczynów myśliwskich. Marta znała moje gesty i rzadko się zdarzało, żeby nie zrozumiała rozkazu. Przyjemnie mi było tyranizować ją. Na ogół podporządkowywała się mojej władczej woli w obawie, że ją uderzę. Byłam silna, ruchliwa, obojętna na konsekwencje. Wiedziałam, czego chciałam, i zawsze stawiałam na swoim, nawet gdy musiałam o to walczyć. Spędzałyśmy moc czasu w kuchni, zagniatając bułeczki, pomagając przy lodach, mieląc kawę, kłócąc się nad

miską z ciastem i karmiąc stada kur i indyków na kuchennych schodkach. Niektóre tak były oswojone, że jadły mi z ręki i pozwalały się głaskać. Pewnego razu ogromny indor wyrwał mi z ręki pomidor i uciekł. Może za przykładem imć indora zbiegłyśmy do drewutni z plackiem świeżo polukrowanym przez kucharkę i spałaszowałyśmy go do ostatniej okruszyny. Odchorowałam ten figiel. Ciekawa jestem, czy taka sama kara spotkała indora.

Perliczki lubią znosić jajka w zaroślach. Wielka to była dla mnie uciecha szukać jaj w wysokiej trawie. Nie mogłam powiedzieć Marcie, że chcę wyprawić się po jajka, ale składałam ręce i przyciskałam je do ziemi. Oznaczało to kulisty przedmiot w trawie. Zawsze mnie zrozumiała. Gdy nam się udało znaleźć gniazdo, nie pozwalałam jej nieść jaj do domu, dając dobitnie gestami do zrozumienia, że mogłaby upaść i potłuc jajka.

Spichrz ze zbożem, stajnie, gdzie stały konie, podwórze, gdzie rano dojono krowy, stanowiły dla mnie i dla Marty niezawodne źródło rozrywek. Dojarki pozwalały mi trzymać ręce na krowach podczas dojenia i nieraz też dostawałam boleśnie ogonem.

Przygotowania gwiazdkowe radowały mnie niesłychanie. Oczywiście nie rozumiałam, o co chodzi, ale rozkoszowałam się pysznymi zapachami, napełniającymi dom, i przysmakami, którymi nas obdarzano, bylebyśmy tylko siedziały cicho. Zawadzałyśmy okropnie, ale to nie umniejszało ani trochę naszej uciechy. Pozwalano nam tłuc korzenie, przebierać rodzynki i oblizywać warząchwie. Wywieszałam pończochę za przykładem innych. Jednak nie pamiętam, żeby mnie to szczególnie bawiło. Nie byłam też na tyle ciekawa, żeby wstawać przed świtem i szukać upominków.

Marta Washington była tak samo psotna jak ja. Raz, w upalne lipcowe popołudnie dwie dziewczynki siedziały na stopniach werandy, jedna czarna jak heban, z kędzierzawymi włosami powiązanymi sznurowadłami w „kucyki", sterczące na całej głowie niby korkociągi, druga biała z długimi złocistymi lokami. Jedna miała sześć lat, druga dwa lub trzy lata starsza. Młodsza była niewidoma — to byłam ja — druga to była Marta Washington. Wycinałyśmy lalki z papieru. Niebawem znużyła nas ta

zabawa, więc pocięłyśmy nasze sznurowadła i poobcinały znajdujące się w naszym zasięgu liście kapryfolium. Wreszcie zainteresowałam się korkociągami Marty. Początkowo oponowała, ale potem skapitulowała. Przeświadczona, że z kolei ja powinnam, zgodnie z poczuciem sprawiedliwości, dać jej na łup swoje loki, chwyciła nożyczki i ucięła jeden. Byłaby mnie pozbawiła wszystkich włosów, gdyby w samą porę nie nadeszła matka.

Bella, nasza wyżlica, druga moja towarzyszka, była stara i leniwa. Wolała sypiać przed ogniem, niż harcować ze mną. Próbowałam usilnie nauczyć ją mojej mowy znaków, cóż, kiedy okazywała się tępa i nieuważna. Czasami zrywała się, dygotała z podniecenia i zastygała nieruchomo, jak psy wystawiające ptaka. Wtedy nie rozumiałam zachowania się Belli, wiedziałam tylko, że nie stosuje się do mej woli. To mnie irytowało i lekcja kończyła się zawsze zbiciem suki. Bella podnosiła się, przeciągała leniwie, niuchała pogardliwie, przechodziła na drugą stronę kominka, gdzie znów się kładła, a ja, znękana i zawiedziona, biegłam szukać Marty.

Z tych wczesnych lat zostało mi na zawsze w pamięci wiele epizodów, mimo upływu czasu jasnych i wyraźnych. One to nadają sens tym intensywniejszy tamtemu głuchemu, bezcelowemu, pozbawionemu światła życiu.

Raz wylałam przypadkiem wodę na fartuszek. Rozpostarłam go do wysuszenia przed ogniem na kominku w bawialni. Fartuszek sechł zbyt wolno jak na moje wymagania, więc przysunąwszy się bliżej, rzuciłam go na rozżarzony popiół. Ogień ożył. Znalazłam się w kręgu płomieni, gdyż moja sukienka zajęła się w jednej chwili. Narobiłam straszliwego wrzasku. Viny, moja stara piastunka, przybiegła na ratunek. Zarzuciła na mnie koc, o mało mnie nie udusiła, ale ugasiła pożar. Miałam poparzone dłonie i osmalone włosy, ale poza tym wyszłam z przygody obronną ręką.

Jakoś też wtedy zrozumiałam, do czego służy klucz. Więc kiedyś z rana zamknęłam matkę w spiżarni, gdzie przesiedziała trzy godziny, gdyż służba znajdowała się w przybudówce. Matka waliła w drzwi, a ja, siedząc na stopniach ganku, zaśmiewałam się z uciechy, bo czułam te uderzenia. Był to mój naj-

gorszy wybryk i rodzice doszli do wniosku, że najwyższy czas wziąć mnie w kuratelę. Gdy przyjechała moja nauczycielka, Anna Sullivan, zaraz przy pierwszej sposobności zamknęłam ją na klucz w jej pokoju. Matka dała mi do zrozumienia, że mam iść na górę i coś jej wręczyć. Ale spełniwszy polecenie, zatrzasnęłam drzwi, przekręciłam klucz w zamku i schowałam pod szafą w hallu. Nie chciałam powiedzieć, gdzie go schowałam. Ku wielkiej mojej satysfakcji ojciec musiał iść po drabinę i wyciągać pannę Sullivan przez okno. Klucz oddałam po iluś tam miesiącach. Kiedy miałam około pięciu lat, przeprowadziliśmy się z małego, pokrytego winoroślą domku do dużego nowego domu.

Rodzina składała się z ojca, matki, dwóch starszych braci przyrodnich, później — małej siostrzyczki, Mildred. Moje najwcześniejsze wspomnienie o ojcu — to jak brnę do niego przez wielkie zaspy papierów. Jest sam i trzyma przed sobą arkusz papieru. Byłam zdumiona, bo nie rozumiałam, co robił. Naśladowałam go, nałożywszy wpierw okulary w nadziei, że pomogą mi wyjaśnić tajemnicę. Ale zagadka rozwiązała mi się dopiero po kilku latach. Dowiedziałam się, że te papiery to gazety i że mój ojciec był redaktorem jednej z nich.

Ojciec kochał nas serdecznie, był pobłażliwy i przywiązany do domu. Rzadko nas opuszczał poza sezonem łowieckim, bo — jak mi opowiadano — był zamiłowanym myśliwym i świetnym strzelcem. Zaraz po rodzinie w jego sercu zajmowały miejsce psy i strzelba. Odznaczał się wielką, wręcz przesadną gościnnością i rzadko wracał do domu bez gościa. Szczególnie pysznił się swoim wielkim ogrodem, w którym, jak mówiono, hodował najpiękniejsze w okręgu arbuzy i truskawki. Przynosił mi pierwsze dojrzałe winogrona i najwyborniejsze owoce. Pamiętam jego pieszczotliwe dotknięcia, gdy prowadził mnie od drzewa do drzewa, od winorośli do winorośli, i niezwykłą radość z moich zachwytów.

Miał ogromny dar opowiadania. Gdy opanowałam mowę, wpisywał mi nieudolnie w rączkę swoje najlepsze anegdoty i cieszył się nadzwyczajnie, gdy je powtarzałam przy jakiejś okazji.

Bawiłam na Północy, ciesząc się ostatnimi pięknymi dniami lata 1896 roku, gdy doszła mnie wieść o śmierci ojca. Chorował

krótko, cierpiał bardzo, ale niedługo. Było to moje pierwsze wielkie, bolesne przeżycie, pierwsze zetknięcie się ze śmiercią.

Jak mam pisać o matce? Jest mi tak bliska, że wprost aż niedelikatnie mówić o niej.

Dość długo uważałam siostrzyczkę za intruza. Wiedziałam, że przestałam być jedyną pieszczoszką matki, i ta myśl przejmowała mnie zazdrością. Maleńka przesiadywała bezustannie na kolanach mamy, gdzie przedtem ja królowałam, pochłaniała cały jej czas i uwagę. Pewnego dnia zaszło coś, co w moim pojęciu do poczucia krzywdy dołączyło zniewagę.

W tym okresie miałam lalkę, pieszczoną i poniewieraną, której później nadałam imię Nancy. Była ona — niestety! — bezbronną ofiarą moich ataków gniewu i czułości, co jej bynajmniej nie wychodziło na dobre. Miewałam lalki mówiące i płaczące, które zamykały i otwierały oczka, ale żadnej z nich tak nie kochałam, jak biedną Nancy. Nancy miała kołyskę, w której często potrafiłam kołysać ją godzinę lub dłużej. Okropnie zazdrosna strzegłam zarówno lalki, jak kołyski. Aż tu pewnego razu znalazłam moją siostrzyczkę śpiącą spokojniutko w kołysce Nancy. Tego rodzaju postępowanie dziecka, z którym nie łączyły mnie jeszcze więzy uczuciowe, rozgniewało mnie. Podbiegłam do kołyski i przewróciłam ją. Z pewnością niemowlę byłoby się zabiło, gdyby matka nie zdążyła jej złapać. Tak już jest w życiu, że gdy człowiek jest tak samotny jak ja, niewiele się dowiaduje o serdecznych uczuciach, kiełkujących na glebie pieszczotliwych słów i postępków. Ale potem pokochałyśmy się z Mildred i chętnie wędrowałyśmy ręka w rękę, dokąd nas niosły kaprysy, chociaż ona nie mogła rozumieć mojej palcowej mowy, a ja jej dziecinnego szczebiotu.

ROZDZIAŁ III

Tymczasem rosło we mnie pragnienie wypowiadania się. Nieliczne gesty, którymi się posługiwałam, traciły stale na przydatności, toteż za każdym razem, gdy mnie nie rozumiano, wpadałam nieuchronnie w pasję. To było coś takiego, jak

gdyby niewidzialne ręce przytrzymywały mnie, a ja szarpałam się jak szalona, żeby się im wyrwać. Walczyłam, jakkolwiek daremnie, lecz duch oporu był we mnie nieugięty. Takie wybuchy kończyły się z reguły płaczem i wyczerpaniem fizycznym. Gdy przypadkiem niedaleko była matka, chroniłam się w jej ramiona. Rozpacz moja bywała tak wielka, iż zapominałam, co ją wywołało. Po jakimś czasie potrzeba jakiegoś środka porozumienia z innymi stała się tak nagląca, że te wybuchy zdarzały się już codziennie, czasami narastając z godziny na godzinę.

Rodzice martwili się niezmiernie. Mieszkaliśmy bardzo daleko od jakiejkolwiek szkoły dla niewidomych czy głuchych i trudno było przypuszczać, żeby ktoś zgodził się przyjechać na takie odludzie jak Tuscumbia i uczyć głuchociemne dziecko. Co więcej, moi krewni i przyjaciele mieli wątpliwości, czy w ogóle nadaję się do uczenia. Jedyny promień nadziei błysnął matce w „Notatkach amerykańskich" Dickensa. Czytała jego opowieść o Laurze Bridgman i pamiętała, że była ona głuchociemna, a mimo to uzyskała wykształcenie. Ale pamiętała także, iż dr Howe, który odkrył metodę nauczania głuchociemnych, dawno już nie żył. I tu kryła się trudność nie do przezwyciężenia. Przypuszczalnie metody doktora Howe'a poszły do grobu razem z nim, a jeśli nawet przetrwały, jakim sposobem mogła odnieść z nich korzyść dziewczynka w odległej mieścinie w Alabamie?

Miałam już pewno sześć lat, gdy ojciec usłyszał o wybitnym okuliście w Baltimore, który leczył przypadki pozornie beznadziejne. Rodzice postanowili zawieźć mnie tam natychmiast, żeby przekonać się definitywnie o stanie moich oczu.

Pamiętam dobrze tę podróż. Była bardzo przyjemna. W pociągu zawarłam wiele przyjacielskich znajomości. Jakaś pani ofiarowała mi pudełko muszelek. Ojciec porobił w nich dziurki, żebym mogła je nawlec na sznurek. Przez dłuższy czas byłam zadowolona i szczęśliwa. Również i konduktor był dla mnie bardzo miły. Uczepiona u jego poły, towarzyszyłam mu przy sprawdzaniu i przecinaniu biletów. Kleszcze, którymi pozwolił mi się bawić, były czarowną maszynką. Skulona w kącie ławki zabawiałam się całymi godzinami, wycinając w kawałkach kartonu zabawne otworki.

Ciotka zrobiła mi ogromną lalę z ręczników. Była to niesłychanie komiczna, nieforemna stwora — ta zaimprowizowana lala — bez nosa, ust, uszu, oczu, bez niczego. Nawet dziecinna wyobraźnia nie mogła przeistoczyć tego w twarz. Dziwne to, ale brak oczu zastanowił mnie więcej niż inne braki razem wzięte. Wskazywałam to wszystkim z konsekwentną natarczywością, ale jakoś nikt nie potrafił znaleźć rady. Ale w końcu mnie samej zaświtała genialna myśl i problem został rozwiązany. Zsunęłam się z siedzenia i zaczęłam szukać pod ławką, aż natrafiłam na mantylkę ciotki, przybraną dużymi paciorkami. Wyszarpnęłam dwa i pokazałam ciotce, że ma je przyszyć lalce. Ciotka podniosła moją rączkę do swych oczu. Kiwnęłam energicznie głową. Paciorki zostały wszyte, gdzie należało, a ja nie posiadałam się z radości. Ale mi ta zabawka natychmiast zobojętniała. Przez całą drogę nie miałam ani razu ataku złości, bo tak dużo rzeczy narzucało się moim palcom i uwadze.

W Baltimore dr Chisholm przyjął nas uprzejmie. Nie potrafił nic pomóc, orzekł tylko, że można spróbować mnie uczyć. Poradził ojcu, aby udał się do doktora Aleksandra Grahama Bella w Waszyngtonie po informacje w sprawie szkół i nauczycieli dla głuchych lub niewidomych dzieci. Zgodnie z tą radą pośpieszyliśmy natychmiast do Waszyngtonu pomówić z doktorem Bellem. Ojciec był przygnębiony i pełen złych przeczuć. Ja, całkowicie nieświadoma jego udręki, cieszyłam się podniecającymi wrażeniami ruchu i zmiany miejsca. Chociaż byłam dzieckiem, wyczuwałam w doktorze tkliwość i sympatię, właściwości zjednujące mu tyle serc, tak jak jego wspaniałe osiągnięcia zjednują mu ogólny podziw. Trzymał mnie na kolanach i pozwolił bawić się swoim zegarkiem. Rozumiał moje znaki, za co go pokochałam. Jednak nie marzyłam, że to spotkanie okaże się wrotami, przez które wynurzę się z ciemności na światło, a moja samotność ustąpi miejsca przyjaźni, współżyciu z ludźmi, wiedzy i miłości.

Doktor Bell poradził ojcu, żeby napisał do pana Anagnosa, dyrektora Instytutu Perkinsa w Bostonie, wsławionego głośnymi eksperymentami dra Howe'a z niewidomymi — z zapytaniem o kompetentną nauczycielkę, która mogłaby się podjąć mojej edukacji. Ojciec napisał niezwłocznie i w ciągu paru ty-

godni otrzymał miły list od pana Anagnosa z pocieszającą wiadomością, że znalazł dla mnie nauczycielkę. Działo się to w lecie 1886 roku, jednak Anna Sullivan przybyła do nas dopiero w marcu następnego roku.

Tak więc pozostawiwszy za sobą ciemności egipskie, stanęłam w obliczu Synaju. Moc Boska spłynęła na mnie i pozwoliła mi przejrzeć i zobaczyć wiele cudów. A ze Świętej Góry doleciał mnie głos mówiący: „Wiedza to jest miłość, światło i życie".

ROZDZIAŁ IV

Nie pamiętam w moim życiu bardziej uroczystego dnia niż ten, kiedy przybyła do nas moja nauczycielka, Anna Mansfield Sullivan. Ogarnia mnie zdumienie, gdy pomyślę, jaka niezmierzona przepaść dzieliła te dwa istnienia, które ten dzień połączył — trzeci marca 1887 roku. Do siedmiu lat brakowało mi trzech miesięcy.

Było popołudnie. Stałam na ganku, niema, wyczekująca. Z gestów matki i pośpiesznej krzątaniny w domu domyślałam się niejasno, że zanosi się na coś niezwykłego. Wyszłam więc przed drzwi i czekałam na stopniach. Popołudniowe słońce przenikało przez gałązki kapryfolium oplatające ganek i padało na moją wzniesioną ku górze twarz. Moje palce prawie bezwiednie pieściły znajome liście i rozwijające się właśnie wonne wiosenne kwiaty. Nie wiedziałam, co gotuje mi przyszłość. Przez długie tygodnie dręczyła mnie gorycz i gniew i po okresie gwałtownych zmagań nastąpiło głębokie wyczerpanie.

Czy byliście kiedy na morzu w gęstej mgle, kiedy to wydaje się, że dotykalna biała ciemność okrąża człowieka ze wszech stron, podczas gdy wielki okręt, trwożny, rozdygotany, przebija się po omacku ku wybrzeżu, a człowiek czeka z bijącym sercem na coś niewiadomego?

Zanim się zaczęła moja nauka, byłam jak ten okręt, ale bez kompasu, bez sondy, bez możności sprawdzenia, jak daleko do przystani.

„Światła! Dajcie mi światło!" — wołało mi bezgłośnie w duszy i w tej samej godzinie zajaśniało mi światło miłości.

Poczułam zbliżające się kroki i wyciągnęłam rękę sądząc, że to matka. Ktoś ujął moją dłoń, podniósł mnie, objął i przytulił. To była ona, ta, co miała mi objawić bogactwo świata, a co ważniejsze, pokochać mnie.

Nazajutrz rano moja nauczycielka zaprowadziła mnie do swego pokoju i dała mi lalkę. Był to prezent od niewidomych dzieci z Instytutu Perkinsa. Lalkę ubrała Laura Bridgman. Ale o tym wszystkim dowiedziałam się dopiero później. Zaczęłam się bawić lalką. Po chwili nauczycielka napisała mi wolno na dłoni słowo „lalka" *(doll)*. Zaciekawiona tą zabawą palcami, starałam się ją naśladować. Gdy mi się w końcu udało wykonać litery poprawnie, zarumieniłam się z dziecinnej radości i dumy. Zbiegłam na dół do matki i pokazałam jej, jak się pisze palcami słowo lalka. Nie wiedziałam, że literuję słowo, nie wiedziałam nawet o istnieniu słów. Po prostu naśladowałam jak małpka grę palców nauczycielki. W ciągu następnych dni nauczyłam się pisać do ręki bezmyślnie bardzo wiele wyrazów, takich jak: szpilka (*pin*), kapelusz (*hat*), kubek (*cup*), a także kilka czasowników, jak siedzieć (*sit*), stać (*stand)*, chodzić (*walk*). Ale dopiero po kilku tygodniach odgadłam, że każda rzecz ma nazwę.

Raz, gdy bawiłam się nową lalką, Anna Sullivan położyła mi również na kolanach moją wielką szmacianą lalę, wpisując wolno w rękę „lalka" i starała się dać mi do zrozumienia, że słowo „lalka" odnosi się do obydwóch moich lalek. Wcześniej tego samego dnia miałyśmy utarczkę z powodu: „kubka" i „wody". Nauczycielka usiłowała wbić mi do głowy, że „kubek" to kubek, a „woda" to woda, lecz ja uporczywie mieszałam jedno z drugim. Zdesperowana, zaniechała chwilowo tych prób, ale powróciła do nich przy pierwszej sposobności. Zniecierpliwiona tą uporczywością, porwałam nową lalkę i roztrzaskałam o podłogę. U stóp swoich wymacałam skorupki rozbitej lalki i to mnie niezmiernie ucieszyło. Po tym gwałtownym wybuchu nie czułam ani zgryzoty, ani żalu. Nie kochałam tej lalki. W cichym ciemnym świecie, w jakim żyłam, nie było miejsca na głęboką tkliwość. Czułam, jak nauczycielka zmiotła skorupy pod kominek, i byłam rada, że znikła przyczyna mego złego humoru. Panna Sullivan przyniosła mi kapelusz, więc wiedziałam, że wyjdę na słońce. Ta myśl, jeżeli nie sformułowane wrażenie moż-

na nazywać myślą, wprawiła mnie w dobry nastrój. Skakałam z radości. Poszłyśmy ścieżką do budki studziennej, wabione zapachem porastającego ją kapryfolium. Ktoś pompował wodę i nauczycielka podstawiła moją dłoń pod chłodny strumień wody. Podczas gdy przelewał mi się przez jedną rękę, wpisała mi do drugiej słowo: „woda", najpierw powoli, następnie szybko. Stałam bez ruchu, pochłonięta całkowicie grą jej palców. Nagle rozbłysła we mnie mglista świadomość, jak gdyby czegoś zapomnianego — jakby drgania powracającej myśli i w ten sposób objawiła mi się tajemnica języka. Zrozumiałam, że woda to ten cudowny chłód przelewający mi się przez dłoń. To żywe słowo obudziło we mnie duszę, napełniło ją światłem, nadzieją, radością, wyzwoliło z więzów. Prawda, że jeszcze pozostały zapory, ale z czasem i one mogły być zniesione.

Odeszłam od studni, pełna zapału do nauki. Każda rzecz miała nazwę, a każda nazwa dawała życie nowej myśli. Po powrocie do domu czegokolwiek się dotknęłam, dygotało życiem. Pochodziło to stąd, że zaczęłam wczuwać się w wiele rzeczy. Wchodząc do domu przypomniałam sobie o stłuczonej lalce. Wyczułam drogę do kominka i pozbierałam skorupki. Na próżno próbowałam złożyć je z powrotem. Łzy napłynęły mi do oczu. Zrozumiałam, co zrobiłam, i pierwszy raz zasmuciłam się i pożałowałam swego postępku.

Tego dnia nauczyłam się wielu nowych słów. Wszystkich sobie nie przypominam, ale pamiętam, że między nimi znalazły się następujące: matka (*mother*), ojciec (*father*), siostra (*sister*), nauczycielka (*teacher*) — słowa, od których świat zakwitł mi jak różdżka Aaronowa. Gdy wieczorem położyłam się do mego siatkowego łóżeczka, byłam tak szczęśliwa, że trudno byłoby znaleźć szczęśliwsze dziecko. Przeżywałam w duszy radosne wydarzenia tego pamiętnego dnia i pierwszy raz w życiu zatęskniłam do jutra.

ROZDZIAŁ V

Przypominam sobie wiele wydarzeń z tego lata 1887, po nagłym przebudzeniu mej duszy. Nie robiłam nic specjalnego, badałam tylko rękami świat i uczyłam się nazwy każdej rzeczy,

której się dotknęłam. Im więcej mi ich wpadało pod rękę, im więcej mi przybywało nazw, im lepiej się orientowałam w ich zastosowaniu, tym radośniejsza, tym ufniejsza stawała się świadomość pokrewieństwa z resztą świata.

Gdy zakwitły stokrotki i jaskry, nauczycielka brała mnie za rękę i prowadziła przez pola, gdzie ludzie przygotowywali ziemię pod siewy, nad brzeg rzeki Tennessee. Tu, siedząc na trawie, pobierałam pierwsze lekcje o darach natury. Dowiadywałam się, jak dzięki słońcu i deszczom wyrastają z ziemi drzewa miłe dla oka, a także dające pożywienie, jak ptaki budują gniazda i przenoszą się z kraju do kraju; jak im jest dobrze; w jaki sposób wiewiórka, sarna, lew i wszelkie inne stworzenia znajdują sobie pokarm i schronienie. W miarę, jak się dowiadywałam coraz to nowych rzeczy, coraz więcej radowałam się światem, na którym przyszło mi żyć. Na długo przedtem, zanim nauczyłam się dodawać liczby w arytmetyce lub określać kształt ziemi, Anna Sullivan nauczyła mnie odczuwać piękno wonnych lasów, ździebełek trawy, kształtów i dołeczków rączki mojej siostrzyczki. Kojarzyła moje najwcześniejsze myśli z naturą, uczyła pojmować i odczuwać, że ptaki, kwiaty i ja to jedno szczęśliwe rodzeństwo!

Mniej więcej w tym czasie przeżyłam przygodę, która mnie pouczyła, że natura nie zawsze bywa łaskawa. Pewnego dnia wracałyśmy z długiej wędrówki. Poranek był uroczy, ale gdyśmy skręciły ku domowi, zrobiło się gorąco i parno. Parę razy zatrzymywałyśmy się dla odpoczynku pod przydrożnymi drzewami, ostatni raz pod dziką wiśnią niedaleko domu. W cieniu było rozkosznie, a na drzewo łatwo było się wdrapać. Toteż z pomocą nauczycielki zdołałam usadowić się wśród gałęzi. Tak było chłodno w koronie drzewa, że panna Sullivan zaproponowała, że zjemy tu sobie drugie śniadanie. Przyrzekłam, że będę siedzieć spokojnie, więc poszła po nie do domu.

Nagle w powietrzu zaszła zmiana. Ciepło słoneczne pierzchło. Wiedziałam, że niebo pociemniało, gdyż wszelki żar, dla mnie równoznaczny ze światłem, ustąpił. Od ziemi powiało dziwnym zapachem. Znałam ten zapach. Wiedziałam, że jest on zawsze zwiastunem burzy, i niewymowny strach ścisnął mi serce. Byłam absolutnie sama, odcięta od przyjaciół, bez pewnego grun-

tu pod nogami. Owionęło mnie coś nieznanego, przeogromnego. Siedziałam bez ruchu w pełnym napięcia oczekiwaniu. Zimny strach przenikał mnie do szpiku kości. Pragnęłam powrotu nauczycielki, ale nade wszystko chciałam zejść z drzewa.

Przez chwilę panowała złowroga cisza, po czym rozległ się głośny szum liści. Drzewem wstrząsnęło drżenie. Potężny poryw wichru zdmuchnąłby mnie na ziemię, gdybym się nie trzymała z całej siły gałęzi. Wiśnia chwiała się i prężyła. Gałązki łamały się i leciały naokoło mnie na podobieństwo gradu. Za wszelką cenę chciałam zeskoczyć! Lecz trwoga przykuwała mnie do drzewa. Kuliłam się wśród gałęzi, które chwiały się na wszystkie strony. Od czasu do czasu czułam, jakby waliło się coś ciężkiego, i wyczuwałam, jak wiatr wstrząsa pniem. To rozstrajało mnie do najwyższego stopnia i właśnie gdy pomyślałam, że drzewo zwali się razem ze mną, nauczycielka chwyciła mnie za rękę i pomogła zejść. Przytuliłam się do niej drżąc z radości, że znów mam grunt pod nogami. Nauczyłam się nowej prawdy, że natura „jest w ciągłej wojnie ze swoimi dziećmi i pod pieszczotą ukrywa zdradzieckie szpony".

Dużo czasu upłynęło po tej przygodzie, zanim odważyłam się znów wejść na drzewo. Sama ta myśl napełniała mnie trwogą. Dopiero słodki zapach mimozy w pełnym rozkwicie sprawił, że, opanowując strach, ponowiłam próbę. Był piękny wiosenny poranek. Siedziałam sama w altanie, pogrążona w lekturze, gdy owiała mnie niezwykle subtelna woń. Zerwałam się i instynktownie wyciągnęłam ręce. Mogło się zdawać, że to sama wiosna zjawiła się w altanie.

— Co to jest? — zapytałam i po chwili zorientowałam się, że tak pachnie mimoza.

Wyczułam moją drogę do końca ogrodu, bo wiedziałam, że drzewo mimozy rosło na zakręcie ścieżki niedaleko parkanu.

Otóż i ono, rozdygotane w cieple słońca. Obciążone kwieciem gałęzie prawie dotykają wysokiej trawy. Czy istniało kiedy na świecie coś tak doskonale pięknego? Delikatne płatki wzdragały się przed najlżejszym dotknięciem. To było rajskie drzewo, które przesadzono na ziemię. Przedostałam się wśród ulewy kwiecia do okazałego pnia i przez chwilę stałam niezdecydowana. Wreszcie postawiłam stopę w szerokim rozwidleniu gałęzi

i podciągnęłam się w górę. Trudno mi było utrzymać się, gałęzie były bardzo grube, a kora raniła mi ręce. Ale doświadczałam rozkosznego uczucia, że porywam się na cudowny, niezwykły czyn, więc piękłam się coraz wyżej i wyżej, aż dotarłam do małej ławki, którą ktoś umocował na drzewie tak dawno, że weń wrosła. Siedziałam tam bardzo długo. Czułam się jak wróżka na różowym obłoku. Później spędzałam na moim rajskim drzewie szczęśliwe długie godziny z głową pełną wspaniałych marzeń.

ROZDZIAŁ VI

Zdobyłam więc klucz do poznania mowy i tylko pragnęłam nauczyć się, jak go używać. Dzieci, które słyszą, przyswajają sobie mowę bez szczególnego wysiłku. Chwytają w lot, po prostu z rozkoszą, słowa z ust otoczenia, podczas gdy głuche dziecko musi łowić je powoli, z mozołem. Ale jakiekolwiek są trudy, wynik jest cudowny. Stopniowo od nazw przedmiotów posuwamy się krok za krokiem, aż przebędziemy niezmierną odległość dzielącą nieudolnie wyjąkaną zgłoskę od wersetu Szekspira.

Początkowo, gdy nauczycielka nauczyła mnie czegoś nowego, zadawałam bardzo niewiele pytań. Moje pojęcia były nieokreślone, a zapas słów niedostateczny. Lecz w miarę jak poznawałam coraz więcej rzeczy, w miarę jak mi przybywało słów, ciekawość wzrastała, więc powracałam raz po raz do tego samego przedmiotu, spragniona dalszych informacji. Czasami nowe słowo ożywiało obraz, który wcześniejsze przeżycie wyryło w mózgu.

Pamiętam poranek, kiedy zapytałam pierwszy raz o znaczenie słowa „kochać". Jeszcze wtedy nie znałam wielu słów. Znalazłam właśnie w ogrodzie kilka wczesnych fiołków i przyniosłam mojej nauczycielce. Chciała mnie pocałować, ale wtedy jeszcze nie lubiłam, żeby mnie ktoś całował prócz matki. Anna Sullivan objęła mnie łagodnie wpół i napisała mi na ręce:

— Kocham Helenkę.

— Co to znaczy kochać? — zapytałam.

Przyciągnęła mnie do siebie i odpowiedziała:

— To jest tutaj. — I wskazała na moje serce. Uprzytomniłam sobie pierwszy raz, że serce bije. Byłam ogromnie zaskoczona, bo wtedy jeszcze nie rozumiałam niczego, czego nie dotknęłam.

Powąchałam fiołki, które trzymała, i zapytałam na pół znakami, na pół słowami:

— Czy kochać to słodycz kwiatów?

— Nie — odpowiedziała.

Znów się zamyśliłam. Promienie słońca padały na nasze twarze.

— Czy to nie jest kochać? — zapytałam, pokazując w kierunku ciepła. — Czy to nie jest miłość?

Wydawało mi się, że nie mogło być nic piękniejszego niż słońce, pod którego ciepłymi promieniami wszystko rośnie. Ale nauczycielka znów potrząsnęła głową. Byłam ogromnie zakłopotana i zawiedziona. Dziwiłam się, że nie potrafi pokazać mi miłości.

W parę dni później nawlekałam paciorki różnej wielkości symetrycznie — dwa duże, trzy małe i tak dalej. Popełniałam ciągle omyłki, które nauczycielka wytykała mi raz po raz z łagodną cierpliwością. W końcu dostrzegłam bardzo wyraźną omyłkę w kolejności i przez chwilę skupiłam uwagę na lekcji, starając się pojąć, jak powinnam była uszeregować paciorki. Nauczycielka stuknęła mnie w czoło i napisała mi na ręce:

— Myśl!

W jednym przebłysku pojęłam, że słowo to oznacza proces przebiegający w mojej głowie. To było moje pierwsze świadome spostrzeżenie z dziedziny abstrakcyjnych pojęć.

Długo siedziałam bez ruchu. Nie myślałam o paciorkach rozsypanych na kolanach, lecz starałam się znaleźć znaczenie „miłości" w świetle tej nowej idei. Przez cały dzień słońce kryło się za chmurą — raz po raz przechodziła krótka ulewa — gdy nagle objawiło się w całej swojej południowej wspaniałości.

Znów zapytałam nauczycielkę:

— Czy to nie miłość?

— Miłość to jest coś jak chmury, które zasnuwały niebo,

zanim słońce wyjrzało — objaśniła. I w słowach łatwiejszych niż te, które przytaczam, bo wtedy jeszcze bym ich nie zrozumiała, uzupełniła: — Przecież nie możesz dotknąć chmur, ale czujesz deszcz i wiesz, jak cieszą się kwiaty i jak spragniona jest ziemia po upalnym dniu. Miłości też nie można dotknąć, ale czujesz, jaką słodycz wlewa we wszystko. Bez miłości nie byłabyś szczęśliwa i nie miałabyś nawet chęci się bawić.

Nagle pojęłam tę piękną prawdę. Poczułam niewidzialne nici między moją myślą i myślami innych ludzi.

Od samego początku nauki panna Sullivan trzymała się zasady, aby przemawiać do mnie tak, jakby przemawiała do słyszącego dziecka. Jedyna różnica polegała na tym, że zamiast mówić, wpisywała zdania w moją rękę. Jeżeli nie znałam słów i zwrotów, koniecznych dla wyrażenia moich myśli, to mi je podsuwała. Podsuwała słowa już wtedy, gdy nie mogłam jeszcze podtrzymywać rozmowy.

Ten proces ciągnął się kilka lat, gdyż głuche dziecko nie opanuje w miesiąc, a nawet w dwa czy trzy lata, niezliczonych zwrotów i wyrażeń używanych w najprostszych codziennych okolicznościach. Małe słyszące dziecko nabywa je przez bezustanne powtarzanie i naśladownictwo. Rozmowy, jakie słyszy w domu, poddają tematy, pod wpływem których powstają jego myśli. Ta naturalna wymiana pojęć jest niedostępna dla głuchego dziecka. Zdając sobie z tego sprawę, moja nauczycielka postanowiła dostarczać mi podniet, których byłam pozbawiona. Czyniła to, powtarzając, o ile to było możliwe, słowo w słowo to, co słyszała, i pokazując mi, jak brać udział w rozmowie. Lecz upłynęło dużo czasu, zanim zdobyłam się na inicjatywę i potrafiłam powiedzieć coś sensownego i w porę.

Głusi lub niewidomi z wielką trudnością przyswajają sobie formy towarzyskiej rozmowy. O ileż większe sprawia to trudności ludziom głuchociemnym. Nie mogą przecież rozróżnić tonu głosu ani bez czyjejś pomocy orientować się w gamie tonów nadających znaczenie słowom. Nie mogą też obserwować wyrazu twarzy rozmówcy, a przecież spojrzenie przesądza często o znaczeniu słów.

ROZDZIAŁ VII

Następnym ważnym krokiem w mojej edukacji była nauka czytania. Skoro tylko nauczyłam się trochę pisać na ręce, nauczycielka dała mi paski kartonu z wypukłym drukiem. W mig pojęłam, że każde drukowane słowo oznacza przedmiot, czynność lub jakąś cechę. Miałam ramkę, w której mogłam ustawiać słowa budując krótkie zdania. Ale zanim wstawiłam zdanie w ramkę, wyrażałam je za pomocą przedmiotów. Wyszukiwałam paski kartonu ze słowami takimi jak: lalka *(doll)*, jest *(is)*, na (*on*), łóżko (*bed*) i kładłam każde słowo na odpowiednim przedmiocie. Następnie układałam lalkę na łóżku ze słowami: „jest", „na" obok niej. W ten sposób układałam zdanie ze słów, a jednocześnie budowałam zdania za pomocą samych przedmiotów.

Raz panna Sullivan kazała mi przypiąć słowo dziewczynka (*girl*) do fartuszka i stanąć w szafie. Na półce uszeregowałam słowa: „jest", „w", „szafie". Nic mnie tak nie cieszyło jak ta zabawa. Bawiłyśmy się w ten sposób całymi godzinami. Często wszystkie rzeczy w pokoju były pozestawiane w zdania.

Od drukowanej kartki był tylko krok do drukowanej książki. Brałam swoją „Czytankę dla początkujących" i szukałam znajomych słów. Gdy znajdowałam, cieszyłam się jak przy zabawie w chowanego. To był początek nauki czytania. O lekturze całych powiastek będzie mowa później.

Regularnych lekcji nie miałam przez długi czas. Nawet gdy uczyłam się już naprawdę, wydawało mi się to raczej zabawą niż pracą. Anna Sullivan objaśniała mi wszystko za pomocą pięknych powiastek lub wierszyków. Jeżeli mnie coś zachwyciło lub zainteresowało, omawiała to ze mną w taki sposób, jakby sama była małą dziewczynką.

To, o czym moc dzieci myśli ze strachem — uciążliwym przedzieraniu się przez gramatykę, trudnych rachunkach i jeszcze trudniejszych definicjach, ja zaliczam dziś do moich najmilszych wspomnień.

Nie mogę wytłumaczyć wyjątkowego zrozumienia panny Sullivan dla moich przyjemnostek i pragnień. Może pochodziło to stąd, że tak długo obcowała z niewidomymi. Posiadała przy

tym cudowny dar opowiadania. Przechodziła szybko do porządku nad nieciekawymi szczegółami i nigdy nie nękała mnie pytaniami, czy pamiętam onegdajszą lekcję. W sposób tak przystępny podawała suche naukowe dane, że nie sposób było nie pamiętać.

Czytałyśmy i uczyłyśmy się na dworze, przekładając nasłonecznione lasy nad dom. Wszystkie moje najwcześniejsze lekcje mają w sobie tchnienie lasu — subtelną żywiczną woń szyszek sosnowych, pomieszaną z zapachem dzikich winogron. Siedząc w cieniu tulipanowca, uczyłam się rozumieć, że każda rzecz, to nauka i pożytek. „Piękno rzeczy uczyło mnie ich użyteczności". Istotnie wszystko, co potrafiło brzęczeć, bzykać, śpiewać albo kwitnąć, miało udział w mojej nauce — hałaśliwe żaby, koniki polne i świerszcze (gdy je trzymałam w ręku, po chwili zapominały o swoim kłopotliwym położeniu i zaczynały swoje piskliwe trele), małe puchowe kurczątka, dzikie kwiaty, kwiecie dereniu, fiołki i pączkujące drzewa owocowe. Czułam pękające łupiny bawełny i gniotłam w palcach ich miękkie włókna i kosmate nasiona. Czułam cichy poświst wiatru wśród kłosów, jedwabisty szelest długich liści i pełne oburzenia parskanie mego kuca, kiedy chwytałyśmy go na pastwisku i zakładały wędzidło. Ach, mój Boże! Jak dobrze pamiętam cierpki koniczynowy zapach jego oddechu!

Niekiedy wstawałam o świcie i wymykałam się do ogrodu, gdy na trawie i kwiatach leżała rzęsista rosa. Mało kto wie, co to za radość czuć w dłoni delikatną miękkość róż lub piękne ruchy lilii chwiejących się w porannym wietrzyku. Zdarzało mi się schwytać owada w koronie zerwanego kwiatu. Czułam wtedy słaby szmer skrzydełek trących jedno o drugie w przystępie nagłej trwogi, skoro drobniutkie stworzenie spostrzegło, że coś z zewnątrz pozbawiło je swobody ruchów.

Drugą moją ulubioną kryjówką był sad, gdzie owoce dojrzewały z początkiem lipca. Ogromne, pokryte puszkiem brzoskwinie same wchodziły mi w ręce, a od swawolnych powiewów wiatru jabłka spadały mi pod nogi. Z jakąż rozkoszą zbierałam owoce do fartuszka i przytulałam twarz do gładkich policzków jabłek, ciepłych jeszcze od słońca. I zaraz w podskokach z powrotem do domu!

Chodziłyśmy na przystań Kellera, stary zrujnowany drewniany pomost na rzece Tennessee, gdzie podczas Wojny Domowej lądowali żołnierze. Była to nasza ulubiona przechadzka. Bawiąc się w naukę geografii, spędzałyśmy tam długie szczęśliwe godziny. Budowałam groble z kamyków, robiłam wyspy i jeziora, drążyłam łożyska rzek, wszystko dla rozrywki i ani mi przez myśl nie przeszło, że odrabiam lekcję. Z rosnącym zdumieniem przysłuchiwałam się, jak moja nauczycielka opisywała wielki okrągły świat z gorejącymi górami, pogrzebanymi miastami, lodowcowymi rzekami i wielu innym dziwami. Panna Sullivan sporządzała mapy plastyczne w glinie, tak że mogłam wyczuwać palcami grzbiety górskie i doliny, i kręte koryta rzek. I to również mi się podobało. Ale podział ziemi na strefy i bieguny wprawiał mój umysł w zamęt i działał rozstrajająco. Pokazowe sznury i patyczki z drzewa pomarańczowego oznaczające bieguny wydawały mi się tak realne, że do dzisiejszego dnia sama wzmianka o strefie umiarkowanej nasuwa mojej wyobraźni szpagat okręcony kiedyś na improwizowanym globusie. Gdyby ktoś próbował mnie przekonać, że białe niedźwiedzie faktycznie wspinają się na biegun północny, może byłabym skłonna w to uwierzyć.

Chyba jedynym przedmiotem, którego nie lubiłam, była arytmetyka. Od samego początku nie pociągały mnie liczby. Panna Sullivan próbowała uczyć mnie liczyć metodą nawlekania grupami paciorków na sznurki. Na słomkach — tak jak w przedszkolu — nauczyłam się dodawać i odejmować. Nigdy nie starczyło mi cierpliwości, żeby ułożyć więcej niż pięć lub sześć grup jednorazowo. Gdy tego dokazałam, uważałam, że na ten dzień jestem w porządku z sumieniem, i biegłam szukać moich towarzyszek zabaw.

Raz pewien pan, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, przysłał mi kolekcję wykopalisk, maleńkich muszelek pięknie znakowanych, kawałków piaskowca z odciskami pazurów ptasich i śliczną płaskorzeźbą paproci. To były klucze, które otworzyły przede mną świat antedyluwialnych skarbów. Palce mi drżały, gdy się przysłuchiwałam opowiadaniom mojej nauczycielki o straszliwych bestiach o przedziwnych niewymawialnych nazwach, które kiedyś przedzierały się przez pierwotne

bory, żywiąc się gałęziami olbrzymich drzew, i wymarły w niewiadomej erze w okropnych moczarach. Długo, długo te dziwne stwory nawiedzały mnie w snach. Ten ponury okres tworzył posępne tło dla mojej radosnej teraźniejszości, pełnej róż i słońca, rozbrzmiewającej łagodnym tętentem mojego kucyka.

I znów otrzymałam w darze piękną muszlę. Wielkie było moje zdziwienie i uciecha, gdy się dowiedziałam, że to maleńki mięczak zbudował takie mieszkanko w kształcie błyszczącej spirali. Że w ciche noce, gdy nawet najlżejszy powiew nie marszczy gładkiej powierzchni wód, łodzik żegluje po błękitnych dalekościach Oceanu Indyjskiego w swoim „perłowym okręciku". Gdy już się nauczyłam wielu interesujących rzeczy o życiu i zwyczajach dzieci morza — jak to wśród szalejących fal małe polipy budują piękne wyspy koralowe na Oceanie Spokojnym i jak foraminifery stworzyły kredowe wzgórza w wielu krajach — moja nauczycielka przeczytała mi „Wielokomorowego łodzika" i wyjaśniła, że proces budowy muszel mięczaków symbolizuje rozwój umysłu. Tak jak cudotwórczy płaszcz łodzika przeobraża materiał, który czerpie z wody, i czyni go częścią samego siebie, tak samo cząstki wiedzy, które zbieramy, ulegają podobnemu przeobrażeniu i stają się perłami myśli.

I znów rozwój rośliny dostarczył tematu do nauki. Kupiłyśmy lilię i zasadziłyśmy ją w słonecznym oknie. Niebawem zielone spiczaste pączki zaczęły się rozwijać. Wysmukłe palcowate listki zewnętrzne otwierały się z wolna — jak sądziłam, nie śpieszno im było ujawnić ukryte w środku piękno. Skoro jednak proces rozkwitu raz się zaczął, posuwał się szybko, ale systematycznie. Zawsze jeden pąk większy i piękniejszy niż pozostałe odrzucał zewnętrzną łuskę z majestatycznym gestem, jak gdyby piękność w miękkich, jedwabistych szatach wiedziała, że jest królową lilią z bożej łaski, podczas gdy jej pokorniejsze siostrzenice zrzucały nieśmiało zielone kapturki. Wreszcie cała roślina przeobrażała się w jeden piękny wonny bukiet.

Na oknie zastawionym kwiatami znajdowało się w szklanym kloszu jedenaście kijanek. Pamiętam, z jakim przejęciem dokonywałam odkryć na tych stworzeniach. Co to była

za zabawa zanurzać rękę w naczyniu. Wyczuwałam kijanki i pozwalałam im przemykać się i prześlizgiwać między palcami. Tak się zdarzyło, że energiczniejsza sztuka wyprysnęła z naczynia i spadła na podłogę. Znalazłam ją, ale wydawała się prawie martwa. Jedynym znakiem życia były słabe ruchy ogona. Lecz zaledwie znalazła się w swoim żywiole, natychmiast dała nurka na dno i zaczęła szybko pływać w kółko, ruchliwa i rozradowana. Dokonała skoku, zobaczyła wielki świat i była rada z powrotu do swego ślicznego szklanego domku w cieniu ogromnej fuksji. Dopiero gdy osiągnęła żabią godność, przeniosła się do zielonego stawu na końcu ogrodu. Tam, wyśpiewując przedziwne pieśni miłosne, napełniała muzyką letnie noce.

W ten sposób pobierałam naukę wprost z życia. Początkowo miałam znikome możliwości. Dopiero moja nauczycielka rozwinęła je i wzbogaciła. Odkąd przybyła, cała moja istota tchnęła miłością i szczęściem. Od pierwszej chwili panna Sullivan nie pominęła ani jednej sposobności, żeby mi ukazywać piękno utajone w każdym zjawisku, i bezustannie starała się myślą, czynem i przykładem umilać moje życie i czynić je pożytecznym.

Geniusz mojej nauczycielki, jej takt oraz miłość do mnie sprawiły, że pierwsze lata mojej nauki były tak piękne. Potrafiła znaleźć właściwy moment nauczania i dlatego ta wiedza oczarowała mnie i przeniknęła do mojej duszy. Pojmowała, że umysł dziecka jest jak płytki potok, który szemrze i spływa wesoło kamienistym łożyskiem edukacji, w którego wodach odbija się tu kwiat, tam krzew, ówdzie pierzasta chmura. Usiłowała kierować moim rozwijającym się umysłem. Wiedziała, że tak jak potok powinien się zasilać dopływami górskich strumyków i ukrytych źródeł, dopóki nie stanie się głęboką rzeką, zdolną odzwierciedlać na spokojnej powierzchni obraz falistych wzgórz, drzew prześwietlonych słońcem i błękitnego nieba na równi z małym kwiatkiem.

Każdy nauczyciel może przyjąć dziecko do klasy, ale nie każdy potrafi zachęcić je do nauki. Dziecko nie będzie pracowało chętnie, jeżeli będzie skrępowane czy to przy pracy, czy w zabawie. Dziecko musi poznać entuzjazm zwycięstwa i gorycz zawodu, zanim podejmie się z własnej woli zadań, do których nie

ma upodobania, i postanowi przebijać się odważnie przez nudne podręczniki.

Moja nauczycielka jest mi tak bliska, że prawie nie wyobrażam sobie siebie bez niej.

Nie umiałabym powiedzieć, jak dalece moje uwielbienie dla piękna jest mi wrodzone, a jak dalece jest spowodowane jej wpływem. Czuję się złączona z nią nierozdzielnie i muszę podążać jej śladami. Co jest we mnie najlepszego — należy do niej. Wszystkie moje uzdolnienia, aspiracje i radości obudziły się do życia pod dotknięciem jej kochanej ręki.

ROZDZIAŁ VIII

Pierwsze Boże Narodzenie po przybyciu Anny Sullivan do Tuscumbii było wielkim wydarzeniem. Cała rodzina przygotowała dla mnie niespodzianki, ale co mi sprawiło największą przyjemność, to to, że ona i ja przygotowałyśmy niespodzianki dla innych. Ta tajemnica szczególnie mnie cieszyła i bawiła. Przyjaciele robili, co mogli, żeby pobudzić moją ciekawość napomknieniami i niedomówieniami, które umyślnie nagle urywali. Obie podtrzymywałyśmy zabawę w zgadywanie, która nauczyła mnie więcej o sztuce posługiwania się językiem niż jakiekolwiek systematyczne lekcje. Co wieczór, siedząc naokoło płonącego kominka, zabawialiśmy się zgadywaniem prezentów. W miarę jak święta się zbliżały, gra stawała się coraz bardziej podniecająca.

W wigilię Bożego Narodzenia dzieci szkolne w Tuscumbii zaprosiły mnie na swoją choinkę. W środku klasy stało piękne drzewko iskrzące się łagodnie w blasku świateł, obładowane dziwnymi wspaniałymi owocami. Była to chwila najwyższego szczęścia. Radość moja nie miała granic, gdy powiedziano mi, że każde dziecko otrzyma podarek. Dobrzy ludzie, którzy przygotowali choinkę, pozwolili mnie wręczyć prezenty dzieciom. Pochłonięta tą przyjemnością, nie zainteresowałam się swoimi. Ale gdy sobie o nich przypomniałam, zaczęłam nadmiernie niecierpliwić się oczekiwaniem na prawdziwą gwiazdkę. Wiedziałam, że podarki, które już otrzymałam, to nie były te, o których

nasłuchałam się tyle, a nauczycielka powiedziała mi, że upominki, które otrzymam, będą jeszcze ładniejsze. Na razie cieszyłam się otrzymanymi, a na tamte zgodziłam się zaczekać do rana.

Wywiesiwszy pończochę długo leżałam i udawałam tylko, że śpię. Czekałam na Świętego Mikołaja. Byłam okropnie ciekawa, co on zrobi. Wreszcie usnęłam z nową lalką i białym misiem w objęciach. Rano obudziłam całą rodzinę życzeniem „Wesołych Świąt". Znalazłam niespodzianki nie tylko w pończosze, ale także na stole, na wszystkich krzesłach, przy drzwiach, a nawet na oknie. Po prostu ruszyć się nie mogłam, żeby się nie potknąć o gwiazdkowy upominek zawinięty w bibułkę. A gdy nauczycielka podarowała mi kanarka, szczęście moje nie miało granic.

Maleńki Tim był tak oswojony, że wskakiwał mi na palec i jadł z ręki osmażane wiśnie. Panna Sullivan objaśniła mnie, jak mam się opiekować nowym ulubieńcem. Co dzień rano, po śniadaniu, przygotowywałam mu kąpiel, sprzątałam czyściutko klatkę, napełniałam miseczki świeżym ziarnem i wodą ze studni i zawieszałam na jego huśtawce świeżą gałązkę ptasiego ziela.

Któregoś dnia rano zostawiłam otwartą klatkę w oknie, a sama poszłam po wodę na kąpiel. Gdy wracałam i otworzyłam drzwi, poczułam, że przemknął koło mnie wielki kot. W pierwszej chwili nie zorientowałam się, co zaszło. Dopiero gdy wsunęłam rękę do klatki i wdzięczne skrzydełka Tima nie musnęły mi ręki, a ostre pazurki nie wpiły się w palec, zrozumiałam, że nigdy już nie zobaczę mojego słodkiego śpiewaka.

ROZDZIAŁ IX

Następnym ważnym wydarzeniem w moim życiu była wyprawa do Bostonu w maju 1888 roku. Pamiętam, jakby to było wczoraj, przygotowania, wyjazd z nauczycielką i matką, podróż, a w końcu przybycie do Bostonu. Jakże odmienna była ta podróż od tamtej sprzed dwóch lat, którą odbyłam do Baltimore. Nie byłam już tą okropną wiercipiętą, nie żądałam, żeby wszyscy w wagonie interesowali się mną i zabawiali mnie. Siedziałam

spokojnie przy mojej nauczycielce i pochłaniałam z żywą ciekawością wszystko, co mi opowiadała o widokach z okna pociągu: pięknej rzece Tennessee, rozległych plantacjach bawełny, wzgórzach, lasach i tłumach roześmianych Murzynów na stacjach, którzy machali rękami pasażerom i roznosili po wagonach wyśmienite cukierki i prażoną kukurydzę. Na wprost mnie siedziała moja ogromna szmaciana lala Nancy w nowej kretonowej sukience i letnim kapelusiku z rondem i patrzyła na mnie paciorkowymi oczkami. Chwilami gdy panna Sullivan przerywała swoje opisy, przypominałam sobie o istnieniu Nancy i brałam ją w objęcia, chociaż przeważnie uspokajałam sumienie, wmawiając sobie, że Nancy śpi.

Ponieważ nie będę już miała sposobności wspominać Nancy, opowiem w tym miejscu, jaka smutna przygoda spotkała ją wkrótce po przyjeździe do Bostonu. Była ubabrana paszteci kami z błota, którymi ją karmiłam usilnie, bo sama nigdy nie miała apetytu na te przysmaki. W Instytucie Perkinsa praczka zabrała ją potajemnie do kąpieli. Ale tego było dla biednej Nancy za wiele. Wróciła w moje ręce jako bezkształtny pęk bawełny. Gdyby nie paciorkowate oczka, patrzące na mnie z wyrzutem, byłabym jej nie poznała.

Gdy pociąg wtoczył się w końcu na dworzec w Bostonie, wydało mi się, że piękna czarodziejska bajka stała się rzeczywistością. „Przed dawnymi laty" przeobraziło się w „teraz", „daleką krainę" miałyśmy pod stopami.

Zaraz po przybyciu do Instytutu Perkinsa zaprzyjaźniłam się ogromnie z niewidomymi dziećmi. Odkrycie, że znają ręczny alfabet, uradowało mnie niesłychanie. Co za rozkosz rozmawiać z innymi dziećmi moim własnym językiem! Do tej pory byłam niby cudzoziemka porozumiewająca się za pośrednictwem tłumacza. W szkole, gdzie uczyła się Laura Bridgman, byłam jak u siebie w domu. Nie od razu uświadomiłam sobie, że moi nowi przyjaciele byli niewidomi. Wiedziałam, że ja sama nie mogę widzieć. Mimo to wydawało się rzeczą nie do wiary, że wszystkie te ruchliwe dzieci, które przybiegały i bawiły się ze mną, były również niewidome. Pamiętam, jak mnie to zdziwiło i zabolało, skoro spostrzegłam, że kładą ręce na moich rękach, gdy mówię do nich, i że czytają książki palcami. Chociaż

już mi o tym mówiono i chociaż rozumiałam swoje własne upośledzenie, to przecież miałam niejasne wrażenie, że ponieważ słyszą, to muszą mieć jakiś dar widzenia, i nie byłam przygotowana na to, że wiele z nich jest pozbawionych tego cennego daru natury. Ale takie były szczęśliwe, takie zadowolone, że ból ustąpił przed radością, jaką mi sprawiało ich towarzystwo.

Jeden dzień, spędzony z niewidomymi dziećmi, sprawił, że w tym nowym otoczeniu poczułam się całkowicie jak u siebie w domu. Dni upływały szybko, przynosząc ze sobą coraz to nowe przemiłe przeżycia, którym oddawałam się z zapałem. Nie chciało mi się wierzyć, że poza Bostonem jest coś jeszcze na świecie. Mnie wydawał się on początkiem i końcem stworzenia.

Podczas tej bytności zwiedziłyśmy Bunker Hill i tutaj odbyła się moja pierwsza lekcja historii. Opowieść o tych dzielnych ludziach, którzy walczyli właśnie na tym miejscu, uczyniła na mnie wielkie wrażenie. Wspinałam się na pomnik licząc stopnie i zastanawiając się, gdy wchodziłam coraz to wyżej i wyżej, czy żołnierze też wdzierali się na te ogromne schody i czy strzelali do nieprzyjaciela na dole.

Nazajutrz popłynęłyśmy do Plymouth. Była to moja pierwsza wyprawa na ocean i pierwsza przejażdżka statkiem parowym. Ach, jaka pełna życia i ruchu! Ale dudnienie maszyn wydało mi się tak podobne do grzmotu, że zaczęłam płakać, zlękłam się, że jeżeli zacznie padać, to nie będzie mowy o pikniku. Mam wrażenie, że z całego Plymouth najwięcej mnie zainteresowała wielka skała, na której wylądowali Pielgrzymi. Mogłam jej dotknąć, i może ta okoliczność sprawiła, że przybycie Pielgrzymów, ich trud i osiągnięcia wydały mi się bardziej realne. Często brałam w rękę mały model plymouthskiej skały, którą ofiarował mi miły pan w Pilgrim's Hall, badałam jej zarysy i pęknięcie w środku oraz wypukłe cyfry 1620 i przypominałam sobie wszystko, czego się dowiedziałam o zadziwiającej historii Pielgrzymów.

Moja dziecinna wyobraźnia płonęła zachwytem dla ich przedsięwzięcia. Idealizowałam ich jako najdzielniejszych, najszlachetniejszych ludzi, którzy szukali gniazda w obcym kraju.

Myślałam, że jak sami pożądali wolności, tak jej życzyli i innym. Po latach doświadczyłam bolesnego, pomieszanego ze zdumieniem zawodu, gdy się dowiedziałam, jak sami prześladowali innych. Wstyd nas pali od tych wspomnień, chociaż jednocześnie zachwycamy się nimi, bo ich odwadze i energii zawdzięczamy naszą Ojczyznę.

Wśród wielu przyjaciół, jakich zdobyłam w Bostonie, muszę wymienić pana Williama Endicotta i jego córkę. Byli dla mnie bardzo dobrzy i z pobytu u nich mam przemiłe wspomnienia. Złożyłyśmy im wizytę w ich pięknym domu w Beverly Farms. Co to była za rozkosz przechadzać się po różanym ogrodzie! A psy, ogromny Leo i mały kędzierzawy Fritz z długimi uszami, zaraz do mnie przybiegły. Nimrod, najbardziej rączy z koni, wpychał mi nos w ręce, domagając się pieszczot i cukru. Pamiętam także, że pierwszy raz bawiłam się w piasku na plaży. Piasek był twardy, gładki, zupełnie inny od sypkiego ostrego piasku w Brewster, pomieszanego z popiołem i muszelkami. Pan Endicott opowiadał mi o wielkich statkach przypływających z Bostonu w drodze do Europy. Często spotykałam go później. Zawsze był dla mnie bardzo dobry. Jego właśnie miałam na myśli, gdy nazwałam Boston „Miastem Zacnych Serc".

ROZDZIAŁ X

Na krótko przedtem, zanim Instytut Perkinsa zamknięto na lato, zapadła decyzja, że razem z moją nauczycielką spędzę wakacje w Brewster na Przylądku Cod, u naszej drogiej przyjaciółki, pani Hopkins. Byłam uszczęśliwiona, bo nasłuchawszy się wspaniałych opowieści o morzu, wyobrażałam sobie, jakie czekają mnie przyjemności.

Z tych nadmorskich wakacji najżywiej zostało mi w pamięci wspomnienie oceanu. Mieszkałam w głębi lądu i nie znałam słonego morskiego powiewu. Ale czytałam w ogromnej księdze pt. „Nasz świat" opis oceanu. Pełna ciekawości, zapragnęłam poczuć dotyk fali i uchwycić ryk jego wód. Toteż gdy się dowiedziałam, że to pragnienie wreszcie się spełni, cieszyłam się bardzo.

Ledwo włożono mi kostium kąpielowy, pobiegłam na ciepły piasek i odważnie, bez namysłu rzuciłam się w chłodne fale. Poczułam rozkołysany, zapadający się żywioł. Ten lekki, skoczny taniec napełnił mnie radością. Nagle podniecenie przeobraziło się w trwogę. Uderzyłam stopą o skałę i zalała mnie woda. Wyciągnęłam ręce, żeby się czegoś przytrzymać, nie było nic prócz wody i wodorostów, które fale ciskały mi w twarz. Ale szalone wysiłki nie zdały się na nic. Fale igrały ze mną, przerzucały mnie to tu, to tam. To było straszne! Stały grunt uciekł mi spod nóg. Żywioł zamknął się nade mną, pozbawiając niejako życia, powietrza, ciepła i miłości. Ale w końcu morze, jakby mu się uprzykrzyła nowa zabawka, wyrzuciło mnie na brzeg i za chwilę znalazłam się w objęciach mojej nauczycielki! Co to była za ulga — ten przeciągły serdeczny uścisk! Jak tylko ochłonęłam ze strachu i odzyskałam głos, zaraz zapytałam:

— Kto nasypał soli do wody?

Skoro minęło pierwsze wrażenie zetknięcia się z wodą, cieszyłam się ogromnie, gdy mogłam wysiadywać w kostiumie kąpielowym na wielkiej skale i czuć, jak fale szturmują do niej raz po raz, obryzgując mnie fontannami piany. Czułam chrzęst kamyków na plaży pod naporem wody. Cały brzeg zdawał się jęczeć jak w straszliwej torturze. Powietrze dygotało. Grzywiaste bałwany cofały się dla nabrania potężniejszego rozpędu, a ja przywierałam do skały, wyprężona, oczarowana, w oczekiwaniu natarcia rozszalałego, ryczącego żywiołu.

Nigdy nie miałam dosyć morza i plaży. Ostrość świeżego, morskiego powietrza działała jak chłodna kojąca myśl. Muszle, kamyki i wodorosty z uczepionymi na nich drobniutkimi żyjątkami miały dla mnie nigdy nie słabnący urok. Jednego dnia panna Sullivan zwróciła mi uwagę na dziwny stwór, który złowiła, gdy wygrzewał się na słońcu w płytkiej wodzie. Był to ogromny królewski krab — pierwszy, z jakim się spotkałam. Obejrzałam go, dziwiąc się niezmiernie, że nosi swój dom na grzbiecie. Nagle przyszło mi do głowy, że mogłabym go hodować. Chwyciłam go więc za ogon obiema rękami i zawlokłam do domu. Byłam ogromnie zadowolona, że udało mi się dokonać takiego wyczynu, gdyż krab był bardzo ciężki. Ciągnęłam go pół mili z najwyższym wysiłkiem. Nie dawałam nauczycielce

spokoju, dopóki nie ulokowała mojego kraba w korycie koło studni. Byłam przekonana, że tam będzie bezpieczny. Ale rano, gdy poszłam go odwiedzić, już go nie było. Nikt nie wiedział, dokąd się wyniósł i jakim sposobem umknął. Byłam bardzo rozczarowana, ale z czasem uświadomiłam sobie, że zabieranie kraba nie świadczyło ani o dobroci, ani o mądrości. Potem byłam szczęśliwa, myśląc, że wrócił do morza.

ROZDZIAŁ XI

Na jesieni wróciłam do rodzinnego domu na Południu z sercem przepełnionym wspaniałymi przeżyciami. Gdy wspominam pobyt na Północy, zdumiewa mnie bogactwo i różnorodność wspomnień związanych z tą wyprawą. Wydaje mi się, że to był początek wszystkiego. Skarby nowego pięknego świata gromadziły się u moich stóp. Stale spotykały mnie przyjemności i ciągle dowiadywałam się czegoś nowego. Wczuwałam się we wszystko. Ani chwili nie usiedziałam na miejscu. Moje życie było tak pełne ruchu, jak egzystencja maleńkich owadów, zamknięta w granicach jednego krótkiego dnia. Poznałam wiele osób, które rozmawiały ze mną pisząc mi w rękę. I to nawiązanie kontaktu myślowego było dla mnie ogromną radością.

Jesienne miesiące spędziłam z rodziną w naszym letnim domku na górze o jakieś czternaście mil od Tuscumbii. Zwano go „Paprociowy Kamieniołom", gdyż w pobliżu znajdował się wapienny kamieniołom już dawno opuszczony. Przepływały przez niego trzy wartkie strumyczki, które wytryskiwały wśród skał. Gdy głazy zastępowały im drogę, przeskakiwały przez nie lub przelatywały kaskadami. Niektóre miejsca zarastały całkowicie paprocie. Resztę góry pokrywał gęsty las. Były tutaj ogromne dęby i wspaniałe iglaste drzewa o pniach niby omszałe kolumny. Z konarów tych olbrzymów zwieszały się girlandy bluszczu i jemioły. Woń amerykańskich śliw daktylowych przenikała wszystkie zakątki lasu — ułudna rozkoszna woń, od której radowało się serce. Miejscami wino muszkatelowe i inne odmiany winorośli rozpościerały się od drzewa do drzewa, tworząc altany zawsze pełne motyli i brzęczących owadów.

Rozkosznie było zabłąkać się przed wieczorem w zielonych kotlinach leśnej gęstwiny i wdychać chłodne wonie.

Nasz dom przypominał pięknie położony obóz na szczycie góry wśród dębów i sosen. Małe pokoje ciągnęły się z obydwóch stron długiego otwartego hallu. Naokoło domu rozpościerała się rozległa *piazza,* po której hulały górskie wiatry. Większą część dnia spędzaliśmy na dworze, pracując, jedząc lub na zabawie. Koło tylnych drzwi rósł wielki orzech amerykański obudowany naokoło schodkami. Od frontu drzewa były tak blisko, że mogłam je dotykać i czuć, jak wiatr kołysze konarami lub jak liście wirują lecąc w dół na jesiennym, porywistym wichrze.

Do „Paprociowego Kamieniołomu" przyjeżdżało mnóstwo gości. Wieczorem mężczyźni grali przy ognisku w karty i spędzali czas na pogawędkach. Opowiadali dziwy o ptactwie, rybach i zwierzętach, ile to upolowali dzikich kaczek i indyków, jakiego dużego złowili pstrąga, jak chwytali najprzebieglejsze lisy czy przechytrzali najsprytniejsze oposy i jak prześcigali najśmiglejsze jelenie. Byłam przekonana, że z pewnością ani lew, ani tygrys, ani niedźwiedź, ani żadne inne dzikie zwierzę nie oparłoby się tym szczwanym myśliwym.

— Jutro na polowanie! — brzmiał okrzyk na dobranoc, gdy grono wesołych przyjaciół rozchodziło się. Mężczyźni sypiali w hallu za naszymi drzwiami. Czułam głębokie oddechy psów i myśliwych spoczywających na zaimprowizowanych łóżkach.

O świcie budził mnie zapach kawy, szczęk strzelb i ciężkie kroki myśliwych. Czułam również stukot kopyt koni, na których przyjechali z miasta. Uwiązane pod drzewami, stały tam całą noc, rżąc głośno ze zniecierpliwienia. W końcu wszyscy dosiadali koni i, jak się to śpiewa w starych piosenkach, rumaki ruszały z kopyta z brzękiem uździennic i trzaskaniem biczów. Przodem gnały ogary, a za nimi jak wicher znakomici myśliwi „z tętentem i trzaskiem, i dzikim wrzaskiem!"

W południe zabieraliśmy się do przygotowywania *barbecue.* W głębokim leju, w ziemi, rozpalano ogień, z wierzchu układano na krzyż kije i zawieszano na nich mięso, i obracano jak na rożnach. Naokoło siedzieli w kucki Murzyni i długimi gałę-

ziami odganiali muchy. Smakowity zapach pieczeni przyprawiał mnie o głód na długo przed nakryciem do stołów.

W momencie najbardziej gorączkowych przygotowań i krzątaniny nadjeżdżała ekipa łowiecka w rozsypce, po dwóch, po trzech, zgrzani, zmordowani, konie pokryte pianą, ogary zdyszane, osowiałe — i ani jednego trofeum! Każdy myśliwy zaręczał, że widział co najmniej jednego jelenia i to naprawdę z bliska, ale chociaż psy nie ustawały w szalonej pogoni za zwierzyną, chociaż myśliwi strzelali celnie, na szczęk cyngla zwierzyna znikała bez śladu. To tak, jak z tym chłopcem, co to powiedział, że niewiele brakowało, a byłby ustrzelił królika, bo widział jego trop. Ale ekipa prędko zapominała o swoich niepowodzeniach i zasiadaliśmy do pieczeni, tyle że nie z dziczyzny, lecz cielęcej lub wieprzowej.

Któregoś lata miałam w „Paprociowym Kamieniołomie" swojego kucyka. Nazwałam go „Czarną Pięknością", bo właśnie przeczytałam książkę pod tym tytułem. Mój podobny był pod każdym względem do swego książkowego imiennika, od lśniącej czarnej maści do białej gwiazdki na czole. Spędziłam na jego grzbiecie wiele najszczęśliwszych godzin mego życia. Czasami, gdy nie groziło żadne niebezpieczeństwo, nauczycielka puszczała wodze i kucyk szedł sobie stępa lub przystawał, jak mu się podobało, i skubał trawę lub ogryzał liście z drzew rosnących koło wąskiej ścieżki.

Gdy nie miałam ochoty na przejażdżkę konną, wyruszałyśmy we dwie po śniadaniu na wędrówkę leśną. Gubiłyśmy się umyślnie wśród ścieżek wydeptanych przez bydło i konie. Zdarzało się często, że trafiałyśmy na nieprzebyte zarośla i musiałyśmy iść okrężną drogą. Wracałyśmy zawsze do domu z naręczami wawrzynu, dziewanny, paproci i wspaniałych błotnych kwiatów, jakie rosną tylko na Południu.

Czasami wyprawiałam się z Mildred i małymi kuzynkami na śliwki daktylowe. Nie jadłam ich, ale ogromnie lubiłam ich zapach i z przyjemnością szukałam ich w trawie i wśród liści. Chodziłyśmy również na orzechy. Pomagałam otwierać kolczaste kasztany i tłuc hikorowe orzechy, zrywałyśmy także orzechy włoskie — ogromne, słodkie włoskie orzechy!

U stóp góry przebiegała kolej. Dzieci przyglądały się przela-

tującym ze świstem pociągom. Czasami okropny gwizd wywabiał nas na stopnie werandy i Mildred opowiadała mi z przejęciem, że to krowa weszła na tor albo koń. O milę od domu znajdował się głęboki parów. Brzegi łączył most. Trudno było bardzo po nim przechodzić, gdyż podkłady były rzadkie i tak cienkie, iż miało się wrażenie, że stąpa się po prętach. Nigdy przez ten most nie przechodziłam. Aż tu jednego dnia zabłądziłyśmy w lesie. Mildred, panna Sullivan i ja. Wędrowałyśmy wiele godzin nie mogąc znaleźć ścieżki.

Nagle Mildred pokazała rączką i zawołała:

— Tam jest most!

Wolałybyśmy inną drogę, ale już było późno i ściemniało się, a przez parów szło się na przełaj. Musiałam wyczuwać szyny palcami stóp, ale nie bałam się i szło mi się wcale dobrze, gdy nagle z oddali doleciało słabe: puf! puf!

— Widzę pociąg! — krzyknęła Mildred.

Jeszcze minuta, a byłby przejechał nas, gdybyśmy się nie spuściły na poprzeczne wiązania, tak że przeleciał nad naszymi głowami. Gorący powiew lokomotywy dmuchnął mi w twarz, a dym i popiół o mało mnie nie udusiły. Gdy pociąg przejeżdżał z hukiem, most dygotał i kołysał się. Myślałam, że zlecimy w przepaść. Z okropnym trudem wydostałyśmy się na tor. Gdyśmy dotarły do domu, była już noc. Nie zastałyśmy nikogo, ponieważ cała rodzina wyruszyła na poszukiwania.

ROZDZIAŁ XII

Po wizycie w Bostonie spędzałam teraz zimę prawie zawsze na Północy. Raz pojechałam do wioski w Nowej Anglii. Jeziora były zamarznięte, pola białe jak okiem sięgnąć. Była to dla mnie pierwsza sposobność zaznajomienia się ze śnieżną krainą.

Pamiętam, jak się zdziwiłam, gdy odkryłam, że tajemnicza ręka ogołociła z liści drzewa i krzewy, gdzieniegdzie pozostawiając tylko zwiędły listek. Ptaki odleciały, a ich puste gniazda wśród gałęzi napełniał śnieg. Zima panowała na wzgórzach i polach. Pod jej lodowatym dotknięciem ziemia zdrętwiała, nawet duszki mieszkające w drzewach uciekły w korzenie i tam,

skulone w ciemnościach, spoczywały w głębokim śnie. Wydawało się, że wszelkie życie gdzieś spłynęło, bo nawet kiedy słońce świeciło, dzień był

> Zziębnięty, zmartwiały,
> Jakby w nim życia odruchy ustały.
> Po raz ostatni dźwignął się zgrzybiały,
> Objął widnokrąg mdłym spojrzeniem cały.

Zeschnięta trawa i krzewy przeobraziły się w las sopli.

Któregoś dnia zanosiło się na śnieżycę. Wybiegłyśmy z domu, żeby czuć, jak lecą pierwsze drobniutkie płatki. Przez wiele godzin sypały się śnieżki cicho, miękko na ziemię; wszystko wygładzały. Zapadła śnieżna noc i rano świat ukazał się zmieniony do niepoznania. Wszystkie drogi znikły. Pozostała tylko śnieżna pustynia, usiana drzewami.

Wieczorem zerwał się wiatr od północo-zachodu i płatki śnieżne wirowały jak szalone. Siedzieliśmy naokoło wielkiego ogniska, opowiadali sobie wesołe historyjki i żartowali, zapominając, że znajdujemy się wśród pustkowia, odcięci od świata. Ale w nocy zawieja wzmogła się tak bardzo, że zdjęła nas trwoga. Krokwie uginały się i trzeszczały, a gałęzie drzew naokoło domu skrzypiały i uderzały o okna, szamotane potężnymi porywami wichury.

Po trzech dniach śnieżyca ustała. Słońce przebiło się przez chmury i zalało blaskiem szeroką, falistą, białą przestrzeń. Wysokie pagórki, fantastycznie ukształtowane piramidy i nieprzebyte zaspy składały się na ten odmieniony krajobraz.

W zaspach przekopywano łopatami ścieżki. Włożyłam płaszcz i kapturek i wyszłam. Mróz parzył mi policzki jak ogień. Idąc ścieżkami lub brnąc przez mniejsze zaspy, udało nam się dotrzeć do sosnowego lasu tuż za rozległym pastwiskiem. Drzewa stały nieruchome, białe jak postacie na marmurowym fryzie. Nie czuło się zapachu igieł sosnowych. W promieniach słońca gałązki błyszczały jak diamenty, które pod dotknięciem naszych rąk osypywały się niby grad. Blask był tak olśniewający, że przenikał nawet przez ciemności osłaniające moje oczy.

Naszą ulubioną rozrywką było saneczkowanie. Brzegi jeziora

podnosiły się miejscami stromo. Po tych zboczach zjeżdżałyśmy w dół. Sadowiłyśmy się w sankach, chłopak popychał, i leciało się, że ha! przez zaspy, wyboje, z rozpędu na jezioro i po lśniącej tafli aż na przeciwległy brzeg! Co za radość! Co za upajające szaleństwo! Na mgnienie zrywałyśmy łańcuch przykuwający człowieka do ziemi i gnając ręka w rękę z wiatrem, przeobrażałyśmy się w nieziemskie istoty.

ROZDZIAŁ XIII

Na wiosnę 1890 roku nauczyłam się mówić. Od dawna odczuwałam nieprzepartą chęć, aby wymawiać słyszalne dźwięki. Bełkotałam z jedną ręką na gardle, a drugą na wargach, żeby wyczuwać ich poruszenia. Radowało mnie wszystko, co wydawało dźwięki. Lubiłam czuć mruczenie kota i szczekanie psa. Lubiłam również trzymać dłoń na gardle śpiewaka lub na fortepianie w trakcie gry. Zanim utraciłam wzrok i słuch, uczyłam się szybko mówić, ale po chorobie stwierdzono, że przestałam mówić, bo nie mogłam słyszeć. Siadywałam po całych dniach na kolanach matki z rękami na jej twarzy, gdyż bawiły mnie ruchy jej warg. I sama poruszałam ustami, jakkolwiek zapomniałam, co znaczy mówić. Przyjaciele opowiadali, że śmiałam się i płakałam w naturalny sposób i że przez jakiś czas wydawałam wiele dźwięków i zgłosek nie w formie porozumiewania się z otoczeniem, lecz dlatego, iż odczuwałam nieodpartą potrzebę ćwiczenia narządów głosowych. Ale było jedno słowo, którego znaczenie pozostało mi w pamięci — woda. Ale i ono stawało się coraz trudniej uchwytne. Trwało to do przyjazdu Anny Sullivan. Zaniechałam wymawiania go dopiero, gdy nauczyłam się mówić je na palcach.

Od dawna już orientowałam się, że moje otoczenie ma inną niż ja metodę porozumiewania się. I to jeszcze zanim się dowiedziałam, że głuche dziecko można nauczyć mówić. Zdawałam sobie sprawę, że mój sposób komunikowania się z ludźmi nie był zadowalający. Osoba, całkowicie uzależniona od ręcznego alfabetu, odczuwa to zawsze jako upośledzenie. Dręczyłam się tym i myślałam, jak temu zaradzić. Usiłowałam ćwiczyć upor-

czywie wargi i głos. Przyjaciele starali się zniechęcać mnie do tych prób z obawy, żebym nie doznała zawodu. Ale ja trwałam przy swoim. Niebawem zaszedł wypadek, który sprawił, że ta wielka zapora została zwalona: dowiedziałam się o dziewczynce nazwiskiem Ragnhild Kaata.

W roku 1890 pani Lamson, jedna z dawnych nauczycielek Laury Bridgman, po powrocie z podróży do Skandynawii przyjechała do mnie w odwiedziny i opowiedziała mi o Ragnhild Kaata, głuchociemnej dziewczynce z Norwegii, którą istotnie nauczono mówić. Zaledwie pani Lamson skończyła opowiadanie, gdy pod wrażeniem sukcesu tej dziewczynki, porwana wielkim zapałem, postanowiłam, że i ja nauczę się mówić. Nie uspokoiłam się, dopóki moja nauczycielka nie zawiozła mnie do Sary Fuller, dyrektorki Szkoły Horacego Manna, z prośbą o radę i pomoc. Ta urocza, przemiła pani ofiarowała się sama mnie uczyć. Zaczęłyśmy lekcje 26 marca 1890 roku.

Metoda jej była następująca: przesuwała lekko moją dłoń po swojej twarzy, żebym mogła wyczuć położenie jej języka i warg przy wymowie dźwięku. Naśladowałam ją z takim zapałem, że w ciągu godziny nauczyłam się sześciu elementów mowy: M, P, A, S, T, I. Panna Fuller udzieliła mi ogółem jedenastu lekcji. Nigdy nie zapomnę zdziwienia i radości, gdy wypowiedziałam pierwsze zdanie: „Jest ciepło". Prawda, że zgłoski rwały się i zacinały, ale to już była ludzka mowa. Moja dusza, świadoma nowej mocy, wyrwała się z więzów i przedzierała się przez te ułomne symbole mowy ku wszechwiedzy.

Żadne głuche dziecko, które stara się gorliwie wymawiać nigdy nie słyszane słowa, które pragnie wydostać się z więzienia ciszy, gdzie ani tony miłości, ani śpiewy ptasie, ani dźwięki muzyki nie przerywają milczenia, żadne takie dziecko nie zapomni przejmującego zdumienia i odkrywczej radości, jakich doświadczyło wymawiając pierwsze słowo. Tylko takie dziecko zrozumie, z jakim przejęciem przemawiałam do swoich zabawek, do kamieni, drzew, ptaków i zwierząt, jak się cieszyłam, gdy na moje wołanie przybiegała do mnie Mildred lub psy słuchały moich rozkazów. Nieoceniona to dla mnie łaska, że mogę posługiwać się słowami, których nie potrzeba tłumaczyć.

Nie należy jednak sądzić, że nauczyłam się naprawdę mówić

w tak krótkim czasie. Poznałam tylko elementy mowy. Panie Fuller i Sullivan mogły mnie zrozumieć, ale poza tym rzadko kto rozumiał jedno słowo na sto. Nie jest też prawdą, że po nauczeniu się tych elementów reszty dokonałam sama. Gdyby nie geniusz mojej nauczycielki, jej niezmordowana wytrwałość i poświęcenie, nigdy bym nie zrobiła takich postępów w mówieniu. Po pierwsze, ćwiczyłam dniami i nocami, zanim mowa moja stała się zrozumiała chociażby dla najbliższych. Po drugie, stale potrzebowałam pomocy panny Sullivan przy wymawianiu i łączeniu dźwięków na tysiąc sposobów. Dotychczas jeszcze zwraca mi ona uwagę na złą wymowę niektórych słów.

Wszyscy nauczyciele głuchociemnych wiedzą, co to znaczy, i tylko oni potrafią zrozumieć, z jakimi ogromnymi trudnościami musiałam walczyć. Czytając z warg nauczycielki, byłam całkowicie uzależniona od swoich palców. Musiałam posługiwać się zmysłem dotyku, żeby wyczuwać wibrację gardła, poruszenia ust i wyraz twarzy. A często zdarzało się, że mnie ten zmysł zawodził. W takich wypadkach byłam zmuszona powtarzać słowa lub zdania niekiedy całymi godzinami, dopóki nie wyczułam we własnym głosie właściwego dźwięku. Moja praca to była praktyka, praktyka i tylko praktyka. Często ogarniało mnie zniechęcenie i znużenie, ale myśl, że niebawem pojadę do domu i pokażę moim kochanym, czego dokonałam, zagrzewała mnie do dalszych wysiłków. Jak bardzo czekałam na tę chwilę, kiedy z radością pochwalą wyniki mojej nauki!

— Siostrzyczka będzie mnie teraz rozumiała! — zawołałam. — Ta myśl umożliwiała mi pokonanie wszystkich przeszkód. I powtarzałam w zachwyceniu: — Teraz już nie jestem niemową!

Czyż mogłam się nie cieszyć, że będę mogła mówić do matki i czytać odpowiedzi z jej warg? Dziwiło mnie odkrycie, o ile to łatwiej mówić, niż pisać na palcach. Zaniechałam alfabetu ręcznego jako środka porozumiewania się, chociaż panna Sullivan i nieliczni spośród moich przyjaciół używają go dotychczas w rozmowie ze mną, gdyż jest wygodniejszy i szybszy niż czytanie z warg.

Może w tym miejscu powinnam wyjaśnić sposób posługiwania się ręcznym alfabetem, zdaje się, zdumiewającym dla tych, którzy się na nim nie znają. Ktoś, kto mi czyta lub mówi do mnie,

pisze mi litery w rękę, posługując się jednoręcznym alfabetem ogólnie używanym przez głuchych. Ja kładę dłoń na ręce mówiącego tak lekko, żeby nie krępować jego ruchów. Pozycję ręki równie łatwo wyczuć, jak widzieć. Nie wyczuwam każdej litery oddzielnie, tak samo jak wy nie widzicie każdej litery oddzielnie w trakcie czytania. Ciągła praktyka nadaje palcom wielką giętkość. Niektórzy moi przyjaciele piszą mi do ręki bardzo szybko, prawie tak szybko, jak rutynowana maszynistka pisze na maszynie. Ręczne oznaczanie liter przebiega równie odruchowo, jak przy pisaniu.

Gdy opanowałam mowę, musiałam jechać co prędzej do domu. Nie mogłam już dłużej zwlekać. Wybiła w końcu najszczęśliwsza ze szczęśliwych godzin. W drodze przemawiałam bezustannie do mojej nauczycielki, nie dla samej satysfakcji mówienia, ale dla wprawy. Nie chciałam zmarnować nawet ani chwili. Ani się spostrzegłam, jak pociąg zatrzymał się na stacji w Tuscumbii. Na peronie czekała cała rodzina. Na samo wspomnienie tej chwili łzy napływają mi do oczu. Matka przycisnęła mnie mocno do siebie, oniemiała, drżąca z radości. Ach, pochłaniała każdą sylabę z moich ust. Mała Mildred chwyciła mnie za rękę i pocałowała. Tańczyła z radości. Ojciec milczał głęboko wzruszony.

ROZDZIAŁ XIV

Jedna tylko chmura zaćmiła moje dzieciństwo. Zdarzyło się to w zimie 1892 roku. Byłam przygnębiona, dręczyły mnie wątpliwości, strach i niepokój. Książki straciły dla mnie urok i dziś jeszcze wspomnienie tamtych strasznych dni napełnia mnie przerażeniem. Zaczęło się od powiastki „Król Mróz", którą napisałam i przesłałam na ręce pana Anagnosa z Instytutu Perkinsa. Aby rzecz przedstawić jasno, muszę przytoczyć fakty mające związek z tym epizodem, który zmuszona jestem opowiedzieć ze względu na siebie samą i na moją nauczycielkę. Wymaga tego poczucie sprawiedliwości.

Napisałam tę powiastkę w domu na jesieni, gdy już nauczyłam się mówić. Zabawiliśmy w „Paprociowym Kamieniołomie" dłużej niż zwykle. Panna Sullivan opisywała mi uroki jesien-

nych liści. Wygląda na to, że jej opisy wskrzesiły we mnie wspomnienie powiastki, którą mi czytano, a którą zapamiętałam. Wydawało mi się wtedy, że, mówiąc językiem dzieci, „wymyśliłam sobie bajkę". Spisałam ją w obawie, żebym jej nie zapomniała. Pisałam z uczuciem twórczej radości. Myśli, słowa i obrazy spływały mi swobodnie w końce palców. Zdanie po zdaniu notowałam na tabliczce Braille'a. Teraz, jeżeli słowa i obrazy nasuwają mi się bez żadnego wysiłku, oznacza to, że nie są one wytworem mego umysłu, lecz jakąś naleciałością; odrzucam je więc nie bez żalu. W owym okresie wchłaniałam skwapliwie wszystko, co czytałam, nie myśląc o autorstwie, i dziś nawet nie mogę być zupełnie pewna co było wytworem moich myśli, a co czerpałam z książek. Przypuszczam, iż dzieje się to dlatego, że tak wiele wrażeń czerpię za pośrednictwem cudzych oczu i uszu.

Historyjkę przeczytałam nauczycielce. Teraz jeszcze przypominam sobie, z jaką przyjemnością przytaczałam co piękniejsze ustępy, i irytację, gdy mi przerywała, aby poprawić wymowę niektórych słów. Przy obiedzie odczytano moje dzieło zebranej rodzinie. Dziwili się, że tak dobrze piszę. Ktoś zapytał, czy przeczytałam to w książce. Pytanie to niezmiernie mnie zdziwiło, bo absolutnie nie pamiętałam, żeby mi to kiedy czytano.

— O, nie! Sama to wymyśliłam. Napisałam ją dla pana Anagnosa.

Przepisałam powiastkę i posłałam mu na urodziny. Poradzono mi, żeby zmienić tytuł „Jesienne liście" na „Król Mróz", co też uczyniłam. Sama zaniosłam ją na pocztę. Byłam pełna entuzjazmu. Nie przeczuwałam, jak okrutną cenę przyjdzie mi zapłacić za ten urodzinowy podarek.

Pan Anagnos, zachwycony „Królem Mrozem", ogłosił go w którymś sprawozdaniu Instytutu Perkinsa. Byłam ogromnie szczęśliwa, cóż, kiedy niebawem spotkało mnie straszne rozczarowanie. Wkrótce po moim wyjeździe do Bostonu wyszło na jaw, że opowiadanie podobne do „Króla Mroza", pod tytułem „Mroźne wróżki" napisane przez Margaret T. Canby ukazało się jeszcze przed moim urodzeniem w książce pod tytułem „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele". Te dwa opowiadania były nieomal identyczne i nie ulegało wątpliwości, że czytano mi

utwór panny Canby i że popełniłam — plagiat. Trudno mi to było wytłumaczyć, ale gdy w końcu zrozumiałam, ogarnęło mnie bolesne zdumienie. Żadne dziecko nie przeżyło nigdy takiego wstydu. Skompromitowałam się. Naraziłam na posądzenie tych, których najwięcej kochałam. Ale jak się to mogło stać? Męczyłam się straszliwie, żeby sobie przypomnieć, co czytałam o mrozie, zanim napisałam swoją powiastkę. Nic sobie nie mogłam przypomnieć poza „Dziadkiem Mrozem" i wierszem dla dzieci „Igraszki mrozu", a wiedziałam przecież, że nie czerpałam z tego źródła.

Początkowo pan Anagnos, chociaż głęboko poruszony, skłonny był wierzyć moim usprawiedliwieniom. Był niezwykle serdeczny i dobry, i na krótko ciężar spadł mi z serca. Żeby mu zrobić przyjemność, starałam się być wesoła i wystroić się jak najpiękniej na rocznicę urodzin Waszyngtona, która przypadła wkrótce po tym przykrym wydarzeniu.

Miałam rolę Cerery w maskaradzie wystawionej przez niewidome dziewczynki. Tak dobrze pamiętam wdzięcznie osłaniające mnie draperie, wieniec z barwnych jesiennych liści na głowie, owoce i zboże u stóp i w rękach i pod pozorami wesołości maskaradowej dławiące przeczucie nadciągającego nieszczęścia.

Wieczorem, w przeddzień uroczystości jedna z nauczycielek zapytała mnie o coś w związku z „Królem Mrozem". Powiedziałam jej, że panna Sullivan opowiadała mi o Dziadku Mrozie i jego przecudnych dziełach. Z tego, co mówiłam, wywnioskowała opacznie, że pamiętałam powiastkę panny Canby o „Mroźnych wróżkach", i powiedziała to panu Anagnosowi, jakkolwiek zapewniłam ją z naciskiem, że się myli.

Pan Anagnos, który kochał mnie serdecznie, pod wrażeniem, że go oszukałam, nie chciał słuchać moich zapewnień o przywiązaniu i niewinności. Był przekonany, a co najmniej podejrzewał, że obie z nauczycielką przywłaszczyłyśmy sobie rozmyślnie cudze pomysły i narzuciły mu je, aby zyskać jego podziw. Postawiono mnie przed komisją śledczą, złożoną z personelu nauczycielskiego i urzędników Instytutu, a pannie Sullivan kazano wyjść z sali. Wtedy wzięto mnie w krzyżowy ogień pytań, jak mi się wydało, z zamiarem zmuszenia mnie do przyznania się,

że pamiętam, jak mi kiedyś czytano „Mroźne wróżki". W każdym pytaniu wyczuwałam powątpiewanie i podejrzliwość. Czułam również, że kochany przyjaciel spogląda na mnie z wyrzutem, chociaż nie potrafiłabym tego wszystkiego wyrazić słowami. Serce waliło mi w piersiach i trudno mi było mówić. Odpowiadałam monosylabami. Nawet świadomość, że zaszła tu tylko jakaś okropna pomyłka, nie przynosiła mi ulgi w cierpieniu. Kiedy wreszcie pozwolono mi wyjść, byłam tak oszołomiona, że nie czułam pieszczot mojej nauczycielki, nie docierały do mnie serdeczne słowa przyjaciół, którzy mówili mi, że jestem dzielna dziewczynka i że są ze mnie dumni.

Tej nocy leżąc w łóżku, płakałam tak rozpaczliwie, jak się to chyba rzadko zdarza dzieciom. Oby jak najrzadziej! Było mi strasznie zimno. Wyobrażałam sobie, że nie dożyję do rana. Ta myśl sprawiła mi ulgę. Przypuszczam, że gdyby mnie takie przejście spotkało w późniejszym okresie dzieciństwa, zniechęciłabym się do życia raz na zawsze. Ale z czasem zapomniałam o cierpieniu i goryczy, których zaznałam w tych smutnych dniach.

Panna Sullivan nie słyszała wcale o „Mroźnych wróżkach" ani o książce, w której była ta powiastka. Z pomocą doktora Aleksandra Bella przeprowadziła dochodzenie i w końcu okazało się, że pani Zofia C. Hopkins miała książkę Margaret Canby „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele" w Brewster w roku 1888, kiedy to spędziłyśmy u niej lato.

Pani Hopkins nie mogła odnaleźć tej książki, ale powiedziała mi, że w tym czasie, gdy panna Sullivan wyjechała na wypoczynek, ona próbowała zabawiać mnie czytaniem. Jakkolwiek nie mogła sobie przypomnieć, żeby mi czytała „Mroźne wróżki", tak jak ja nie mogłam sobie tego przypomnieć, to była pewna, że zbiorek „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele" znajdował się wśród jej książek. Fakt jego zniknięcia wytłumaczyła tym, że na krótko przedtem sprzedała dom i pozbyła się wielu dziecięcych książek, jak stare podręczniki szkolne i zbiory bajek, i że „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele" podzielił prawdopodobnie los innych książek.

Wtedy jeszcze niewiele interesowałam się powiastkami. Ale samo składanie nieznanych słów wystarczało dla zabawienia

dziewczynki, która z trudem bawiła się sama. I chociaż nie przypominam sobie ani jednego wydarzenia w czasie czytania książeczki, to przecież nie mogę oprzeć się wrażeniu, że usilnie starałam się zapamiętać słowa z zamiarem poproszenia nauczycielki, żeby mi je po powrocie wytłumaczyła. Niewątpliwie, słowa i zdania wryły mi się w pamięć raz na zawsze, chociaż bardzo długo nikt się w tym nie orientował, a już najmniej ja sama.

Po powrocie nauczycielki nic jej nie wspominałam o „Mroźnych wróżkach", prawdopodobnie dlatego, że od razu zaczęła mi czytać „Małego lorda Fauntleroya", co mnie tak pochłaniało, że nie myślałam już o niczym innym. Ale faktem jest, że czytano mi kiedyś powiastkę Margaret Canby i że dużo później, gdy mi już wywietrzała z pamięci, nasunęła się w sposób tak naturalny, że niczego nie podejrzewając, uznałam ją za twór własnego umysłu.

W moim strapieniu otrzymałam wiele dowodów miłości i sympatii. Z wyjątkiem jednego wszyscy przyjaciele, których najwięcej kochałam, pozostali mi wierni do dzisiejszego dnia.

Sama panna Canby napisała do mnie uprzejmie: „Kiedyś napiszesz coś z własnej głowy, coś takiego, co okaże się pociechą i pomocą dla wielu ludzi".

Ta łaskawa przepowiednia nie spełniła się. Nigdy już nie igrałam ze słowami dla samej przyjemności tej zabawy. Gorzej, bo od tej pory nęka mnie obawa, że to, co piszę, nie jest moje. Przez dłuższy czas, gdy pisałam list, nawet do matki, powtarzałam zdania po wiele razy, żeby się upewnić, czy ich nie zaczerpnęłam z jakiejś książki. Gdyby nie ustawiczne namowy panny Sullivan, pewno bym w ogóle zaniechała pisania.

Przeczytałam później „Mroźne wróżki", jak również swoje listy, w których posłużyłam się innymi pomysłami panny Canby. W jednym z nich, z 29 września 1891 roku, do pana Anagnosa, znajduję wyrażenia żywcem wzięte z książki. W czasie kiedy pisałam „Króla Mroza" i ten list, jak wiele innych, zawiera zdania sformułowane pod wpływem tego opowiadania. Piszę, że moja nauczycielka powiedziała do mnie o złotych liściach jesiennych: „Tak, one są tak piękne, że wynagradzają nam odejście lata" — myśl wzięta wprost z powiastki panny Canby.

Ten nawyk przyswajania sobie wszystkiego, co mi się podobało, i podawania potem tego za własne myśli można zauważyć często w mojej wczesnej korespondencji i pierwszych próbach literackich. W wypracowaniu o starych miastach Grecji i Italii pożyczałam sobie płomienne opisy ze źródeł, o których zapomniałam. Wiedziałam, że pan Anagnos kochał się w starożytności i entuzjazmował wszystkim, co w pięknych, pełnych uczucia słowach powiedziano o Grecji i Italii. Toteż ze wszystkich czytanych książek wybierałam wszelkie poetyckie czy historyczne wzmianki mogące mu sprawić przyjemność. Mówiąc o moim wypracowaniu o miastach pan Anagnos wyraził się, że „te myśli są poetyckie w swej istocie". Nie rozumiem tylko, jak on mógł w ogóle przypuszczać, żeby jedenastoletnia dziewczynka, głuchociemna, mogła sama wpaść na takie określenia. Nie sądzę jednak, że moje wypracowanie nie ma żadnej wartości, pewne spostrzeżenia były niewątpliwie moje własne. Dowodzi ono, że potrafiłam zachwycać się pięknem poezji.

Te pierwsze wypracowania ćwiczyły mój umysł. Uczyłam się przeobrażać myśli w słowa przez asymilację i naśladownictwo, jak czynią wszystkie młode, niedoświadczone osoby. To, co mi się podobało w książkach, zachowywałam świadomie lub podświadomie w pamięci, i robiłam z tego użytek. Młody autor, jak mówi Stevenson, stara się naśladować instynktownie to, co mu się wydaje najbardziej godne podziwu, a przedmioty swojego zachwytu zmienia ze zdumiewającą częstotliwością. Dopiero po latach praktyki autorzy, nawet ci wielcy, uczą się dowodzić legionem słów nadciągających ze skarbca myśli.

Obawiam się, że u mnie jeszcze się ten proces nie dokonał. Nie ulega wątpliwości, iż nie zawsze mogę odróżnić własne myśli od zaczerpniętych z lektury, gdyż to, co czytam, przeobraża się w samą istotę mojego umysłu. Toteż prawie wszystko, co piszę, da się porównać do robótek z łatek, na których zaczynałam naukę szycia. Robótki te kombinowało się z wszelkich ścinków — ładnych kawałeczków jedwabiu i aksamitu, ale zawsze przeważały materiały szorstkie, niemiłe w dotknięciu. Podobnie moje wypracowania składają się z nie ukształtowanych pojęć inkrustowanych świetnymi chwytami i dojrzałymi poglądami autorów, których czytałam. Wydaje mi się, że trudność w pisa-

niu polega na wyrażaniu za pomocą języka właściwego wykształconemu umysłowi — naszych mętnych pojęć, na poły uczuć, na poły myśli, gdy jesteśmy zaledwie kłębkiem instynktownych dążeń. Próbować pisać cokolwiek — to jak praca nad chińską łamigłówką. Wyobrażamy sobie jakąś ideę, którą pragniemy wyrazić słowami, ale słowa nie nadają się do miejsc, a jeśli nadają, to nie zestrajają się z deseniem. Lecz próbujemy niezmordowanie, bo skoro innym się powiodło, my też nie mamy chęci przyznać się do porażki.

„Nie ma recepty na oryginalność — powiedział Stevenson. — Trzeba się z tym urodzić". Więc chociaż ja mogę nie być oryginalna, mam nadzieję, że z czasem wyrosnę ze swoich wyszukanych, sztucznych wypracowań. Wtedy, być może, wezmą górę moje własne myśli i doświadczenia.

Tymczasem żyję ufnością i nadzieją i uporczywie staram się zwalczać gorzkie wspomnienie „Króla Mroza".

Może więc to smutne przeżycie na coś się przyda, może mi pomoże w moich wysiłkach. Ale nie mogę odżałować, że straciłam jednego z moich najdroższych przyjaciół, pana Anagnosa.

Gdy „Historia mojego życia" ukazała się w „Ladies Home Journal", pan Anagnos stwierdził w liście do pana Macy, że w sprawie „Króla Mroza" uznał mnie początkowo za niewinną. Zaznaczył, że komisja śledcza, przed którą stawałam, składała się z ośmiu osób: czterech niewidomych, czterech widzących. Cztery z nich, jak mówi, sądziły, że pamiętałam, iż czytano mi powiastkę panny Canby, pozostałe były odmiennego zdania. Pan Anagnos twierdzi, że głosował z tymi, którzy byli mi przychylni.

Ale jakkolwiek było, faktem jest, że gdy weszłam do pokoju, w którym pan Anagnos tak często brał mnie na kolana i, zapominając o swoich rozlicznych kłopotach, wesoło się ze mną bawił, zastałam tam osoby niechętnie dla mnie usposobione i poczułam wrogą atmosferę. Późniejsze wypadki utwierdziły mnie w tym wrażeniu. Podobno przez dwa lata uważał mnie i moją nauczycielkę za niewinne. Z czasem najwidoczniej cofnął tę przychylną opinię, nie mam pojęcia, dlaczego. Nie dowiedziałam się również szczegółów śledztwa, nawet nazwisk tych człon-

ków „sądu", którzy się do mnie nie odezwali. Byłam zbyt wzburzona, żeby cokolwiek zauważyć, zbyt wystraszona, żeby zadawać pytania. Nie bardzo nawet wiedziałam, co mówiłam ani co do mnie mówili.

Zdałam tu sprawę z historii „Króla Mroza", gdyż odegrała ona w moim życiu i wykształceniu doniosłą rolę, a chcąc uniknąć nieporozumień, przytoczyłam wszystkie znane mi fakty, bez zamiaru bronienia siebie czy też składania winy na kogokolwiek.

ROZDZIAŁ XV

Lato i zimę po incydencie z „Królem Mrozem" spędziłam z rodziną w Alabamie. Ten powrót do domu wspominam z zadowoleniem. Wszystko rozwijało się i kwitło. Byłam szczęśliwa. „Król Mróz" poszedł w zapomnienie.

Po paru miesiącach, kiedy szkarłatne i złociste liście jesienne zasłały ziemię, a pachnąca winorośl muszkatelowa, obrastająca altanę w końcu ogrodu, stawała się w słońcu złotobrązowa, zaczęłam pisać krótką historię mego życia — w rok po napisaniu „Króla Mroza".

Byłam nadal sumienna w tym, co pisałam. Ale świadomość, że mogłam podawać jako swoje niezupełnie moje myśli, dręczyła mnie niesłychanie. O tych obawach wiedziała tylko moja nauczycielka. Dziwne przewrażliwienie nie pozwoliło mi nawiązywać do „Króla Mroza". Często, kiedy w trakcie rozmowy wpadałam na jakiś pomysł, mówiłam do niej cicho: „Nie jestem pewna, czy to moja myśl. — To znowu pisząc jakiś ustęp przestrzegałam siebie: — A jeżeli się okaże, że to wszystko ktoś już napisał dawno, dawno temu!". Strach paraliżował mi rękę, tak że tego dnia nie mogłam pisać więcej. Dotąd jeszcze odczuwam czasem tę samą obawę i niepokój. Panna Sullivan pocieszała mnie i pomagała, jak tylko mogła. Jednakże straszne przeżycie pozostawiło w moim umyśle trwały ślad, którego znaczenie teraz dopiero zaczynam pojmować. Właśnie w nadziei przywrócenia mi wiary w samą siebie, namówiła mnie, żebym napisała zwięzły życiorys dla „Youth's Companion". Miałam wtedy dwanaście lat. Gdy wspominam, z jakim trudem pisałam tę krótką

opowieść, wydaje mi się, że musiałam przeczuwać, jak dalece wyjdzie mi to na dobre, bo inaczej z pewnością bym nie podołała.

Pisałam nieśmiało, trwożliwie, ale z uporem — przynaglana przez moją nauczycielkę, która wiedziała, że jeśli nie opuszczę rąk, to odnajdę znowu siebie, odzyskam wiarę we własne siły i zdolności. Do epizodu z „Królem Mrozem" żyłam życiem małego dziecka. Od tego czasu myśli skierowały się ku sprawom niewidzialnym. Teraz je dostrzegłam. Stopniowo wynurzyłam się z półcienia tego przeżycia z umysłem rozjaśnionym i z prawdziwą znajomością życia.

Głównymi wydarzeniami roku 1893 była wycieczka do Waszyngtonu podczas inauguracji prezydenta Clevelanda, wyprawa do Niagary i zwiedzenie Wystawy Światowej. W tych okolicznościach moja nauka stale była przerywana, często na długie tygodnie, tak że nie mogę podać dokładnie przebiegu moich studiów.

Pojechałyśmy do Niagary w marcu 1893 roku. Trudno mi opisać, jak byłam wzruszona, gdy stojąc na cyplu nad Amerykańskim Wodospadem, czułam wibrację powietrza i drżenie ziemi.

Często ludzie się dziwią, że cuda i uroki Niagary zrobiły na mnie wrażenie. Zawsze pytają:

— Jakie znaczenie ma dla ciebie takie piękno czy też muzyka? Nie możesz widzieć fal bijących o wybrzeże ani słyszeć ryku wód. Co one dla ciebie znaczą?

W najbardziej oczywistym sensie znaczą wszystko. Nie mogę zgłębić ani określić ich znaczenia, tak jak nie mogę zgłębić ani określić miłości, religii czy dobroci.

Podczas lata 1893 roku zwiedziłam w towarzystwie panny Sullivan i doktora Aleksandra Grahama Bella Wystawę Światową. Przypominam sobie z radością owe dni, kiedy to niezliczone dziecinne fantazje stawały się piękną rzeczywistością. Co dzień odbywałam w wyobraźni podróż naokoło świata. Zapoznawałam się z rozlicznymi dziwami z najdalszych krańców ziemi — cudami wynalazczości, skarbami pracowitości i zręczności. Najrozmaitsze przejawy działalności ludzkiej przesuwały się pod moimi palcami.

Lubiłam chodzić do Wesołego Miasteczka. To było coś jak „Baśnie z 1001 nocy", tak przepełnione nowością i osobliwościami. Tutaj zwiedzałam Indie z moich książek na ciekawym bazarze pełnym Sziw i bogów-słoni; tam przenosiłam się do kraju piramid, wyobrażonego w modelu Kairu z meczetami i długimi karawanami wielbłądów; żeglowaliśmy co wieczór po lagunach Wenecji, kiedy miasto i fontanny gorzały od iluminacji. Byłam na pokładzie statku Wikingów. W Bostonie zwiedzałam okręt wojenny. Chciałam się przekonać, jak to było u Wikingów, kiedy żeglarz był panem świata, jak żeglował i z nieustraszonym sercem stawiał czoło zarówno burzy, jak ciszy i rzucał się w pogoń za tymi, którzy posługiwali się tym samym zawołaniem, co on: „My, ludzie morza!" Walczył mózgiem i siłą, polegający na sobie, samowystarczalny, nie to, co dzisiejszy człowiek, wypierany przez nieinteligentne maszyny. Bowiem tak już jest: „Tylko człowiek jest ciekawy dla człowieka".

Niedaleko od tego statku znajdował się model „Santa Marii", który również obejrzałam. Kapitan pokazał mi kajutę Kolumba i pulpit z klepsydrą. Ten drobny instrument zrobił na mnie największe wrażenie, bo pomyślałam sobie, jakie przygnębienie musiało ogarniać bohaterskiego żeglarza, gdy patrzył na przesypujący się, ziarnko po ziarnku, piasek, podczas gdy zdesperowana załoga dybała na jego życie.

Dyrektor Wystawy, pan Higinbotham, pozwolił mi łaskawie dotykać eksponatów. Z zapałem tak nienasyconym jak chciwość Pizarra, gdy łupił skarby Peru, wyczuwałam palcami wspaniałości eksponatów. Wszystko mnie zachwycało, zwłaszcza francuskie brązy, tak realne, iż wydawały mi się anielskimi wizjami, które artysta pochwycił i zaklął w ziemskie kształty.

W dziale poświęconym przylądkowi Dobrej Nadziei dowiedziałam się wiele o wydobywaniu diamentów. Jeśli mi pozwalano, dotykałam maszyn w ruchu, żeby nabrać jaśniejszego wyobrażenia o sposobach ważenia, cięcia i szlifowania kamieni. Szukałam diamentu w wodzie i znalazłam. Był to jedyny prawdziwy diament, jak mi powiedziano, znaleziony w Stanach Zjednoczonych.

Doktor Bell wszędzie nam towarzyszył i po swojemu uroczo wymownie opisywał mi najciekawsze rzeczy. W ekspozycji po-

święconej elektryczności zbadaliśmy telefony, fonogramy i inne wynalazki. Dzięki jego objaśnieniom zrozumiałam, jak można posyłać wiadomość po drutach, a także, jak za przykładem Prometeusza ściągać ogień z nieba. Zwiedziłyśmy również dział antropologiczny, gdzie ogromnie mnie zainteresowały zabytki starożytnego Meksyku. Z ciekawością oglądałam szorstkie narzędzia kamienne, które jakże często są jedyną pozostałością jakiejś epoki. „Proste pomniki niecywilizowanych dzieci natury — myślałam wodząc po nich palcami — wydają się niezniszczalne, podczas gdy pomniki królów i mędrców rozsypują się w proch". Zaciekawiły mnie również mumie egipskie, których z odrazy nie dotykałam. Z tych wszystkich zabytków więcej się dowiedziałam o ewolucji człowieka niż z lektury i opowiadań.

Te przeżycia wzbogaciły moje słownictwo o mnóstwo nowych terminów. W ciągu trzech tygodni spędzonych na Wystawie przebyłam jednym długim skokiem odległość od dziecinnych zamiłowań baśniowo-zabawkowych do poczucia rzeczywistości i powagi świata pracy.

ROZDZIAŁ XVI

Do października 1893 roku studiowałam dorywczo najrozmaitsze przedmioty na własną rękę. Przewertowałam historię Grecji, Rzymu i Stanów Zjednoczonych. Miałam podręcznik gramatyki francuskiej pisany wypukłym drukiem, a ponieważ już umiałam coś niecoś po francusku, zabawiałam się układaniem w myślach krótkich ćwiczeń, używając nowych słów, ale nie przestrzegając reguł składniowych i gramatycznych. Próbowałam nawet opanować sama wymowę francuską, gdyż wszystkie litery i dźwięki miałam objaśnione w podręczniku. Oczywiście było to porywanie się z motyką na słońce, ale miałam się czym zająć w deszczowe dni. W każdym razie na tyle opanowałam język francuski, że mogłam czytać z przyjemnością „Bajki" La Fontaine'a, „Lekarza mimo woli" i ustępy z „Atali".

Poświęcałam również dużo czasu na doskonalenie się w mowie. Czytałam na głos pannie Sullivan i deklamowałam ustępy

z moich ulubionych poetów, których nauczyłam się na pamięć. Ona poprawiała moją wymowę, wyrażenia i błędy gramatyczne. Ale dopiero w październiku 1893 roku, kiedy przyszłam do siebie po zmęczeniu i wrażeniach z Wystawy Światowej, zaczęłam brać regularne lekcje specjalnych przedmiotów.

Bawiłam wtedy z moją nauczycielką w Pensylwanii, w Hutton, u rodziny Williama Wade'a. Ich sąsiad, pan Irons, był dobrym łacinnikiem. Postanowiono, że będzie mnie uczył. Pamiętam go jako człowieka wyjątkowo miłego i bardzo doświadczonego. Uczył mnie zasadniczo gramatyki łacińskiej, ale często pomagał mi w arytmetyce, przedmiocie równie dla mnie trudnym, co nieciekawym. Pan Irons przeczytał również ze mną „In Memoriam" Tennysona. Przewertowałam już przedtem wiele książek, ale nigdy z krytycznego punktu widzenia. Pierwszy raz nauczyłam się znać autora, poznawać go po stylu, tak jak poznaję przyjaciela po uścisku ręki.

Początkowo nie bardzo mi się chciało brać do gramatyki łacińskiej. Wydawało się absurdem tracić czas na analizowanie każdego słowa — rzeczownik, dopełniacz, liczba pojedyncza, rodzaj żeński — skoro jego znaczenie było zupełnie jasne. „Równie dobrze — myślałam — mogłabym opisywać mojego ulubieńca, żeby go znać — podtyp: kręgowce; gromada — czworonogi; klasa — ssaki; rodzina — koty; gatunek — kot domowy; jednostka — Mruczek". Ale gdy wgłębiłam się w przedmiot, zainteresowanie wzrosło. Piękno języka wprawiało mnie w zachwyt. Często zabawiałam się w ten sposób, że czytając łacińskie ustępy, wybierałam znajome słowa i starałam się pojąć sens zdań. Tej rozrywki nigdy nie miałam dosyć. Sądzę, że nie ma nic piękniejszego, jak ulotne, znikające szybko obrazy i uczucia, poddawane przez język, z którym się właśnie zaznajamiamy — myśli, które przelatują przez świadomość — o kształtach i barwach zależnych od kapryśnej wyobraźni. Podczas lekcji panna Sullivan siadywała obok mnie, wpisując mi w rękę wszystko, co mówił pan Irons, i wyszukując dla mnie w słowniku nowe słówka. Właśnie zaczęłam czytać „Pamiętniki o wojnie galickiej" Cezara, gdy trzeba było jechać do domu, do Alabamy.

ROZDZIAŁ XVII

W lecie 1894 roku uczestniczyłam w zjeździe w Chautauqua Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauczania Mowy Głuchych. Tam zapadła decyzja wysłania mnie do Szkoły dla Głuchych Wrighta-Humasona w Nowym Jorku. Pojechałam w październiku 1894 roku z panną Sullivan. Szkołę wybrano ze względu na wysoki poziom nauczania kultury głosowej i treningu w czytaniu z warg. Oprócz tych dwóch przedmiotów przez dwa lata pobytu w tej szkole studiowałam arytmetykę, geografię fizyczną oraz języki francuski i niemiecki.

Panna Reamy, moja nauczycielka niemieckiego, umiała posługiwać się alfabetem ręcznym i gdy już przyswoiłam sobie pewną ilość słów, przy każdej sposobności rozmawiałyśmy po niemiecku. Po kilku miesiącach rozumiałam prawie wszystko, co mówiła. Nie upłynął rok, a przeczytałam z ogromnym zachwytem „Wilhelma Tella". Faktycznie robiłam większe postępy w języku niemieckim niż w jakimkolwiek innym przedmiocie. Z francuskim szło mi o wiele trudniej. Madame Olivier, Francuzka, która uczyła mnie tego języka, nie znała ręcznego alfabetu, wobec czego była zmuszona wykładać ustnie. Miałam trudności z czytaniem z jej warg i dlatego moje postępy były o wiele powolniejsze niż w niemieckim. Udało mi się wszakże przeczytać ponownie „Lekarza mimo woli". Było to ogromnie zabawne, ale wolałam „Wilhelma Tella".

W czytaniu z warg i w mowie nie osiągnęłam takich wyników, na jakie liczyliśmy ja i moi nauczyciele. Moją ambicją było mówić tak jak inni ludzie, a moi nauczyciele uważali, że jest to możliwe. Ale chociaż pracowaliśmy ciężko i sumiennie, niezupełnie nam się powiodło. Przypuszczam, że mierzyliśmy zbyt wysoko i to było przyczyną nieuniknionego zawodu. Arytmetykę traktowałam w dalszym ciągu jako system wilczych dołów. Krążyłam w pobliżu niebezpiecznej granicy „zgadywanek", stroniąc od rozumowania. Gdy nie zgadywałam, to wyciągałam zbyt pośpieszne wnioski. Ta wada w połączeniu z tępotą piętrzyła moje trudności bardziej, niż to było słuszne lub konieczne.

Lecz jakkolwiek te zawody bardzo mnie czasami przygnę-

biały, studiowałam inne przedmioty z niesłabnącym zapałem, a zwłaszcza geografię fizyczną. O, bo to była radość uczyć się tajemnic natury: jak — wyrażając się malowniczym stylem biblijnym — Bóg każe wiać wiatrom z czterech stron świata, jak opary podnoszą się z krańców ziemi, jak rzeki torują sobie drogę wśród skał, jak rozsypują się góry i w jaki sposób człowiek może ujarzmić niektóre siły potężniejsze od niego samego. Dwa lata spędzone w Nowym Jorku zaliczam do szczęśliwych i wspominam z prawdziwą przyjemnością.

Wspominam zwłaszcza nasze wspólne spacery w Parku Centralnym, jedynej części miasta, którą uznawałam. Ten ogromny park cieszył mnie bezgranicznie. Za każdą w nim bytnością słuchałam z radością, gdy mi go opisywano. Bo był bardzo piękny, co dzień objawiał się w blasku odmiennej urody przez ten okres, który spędziłam w Nowym Jorku.

Wiosną odbywaliśmy wycieczki do różnych ciekawych miejsc. Żeglowaliśmy po Hudsonie i wędrowali jego zielonymi brzegami, które z taką miłością opiewał Bryant. Podobała mi się surowa, dzika wspaniałość palisad. Między innymi zwiedziłam West Point, Tarrytown i rodzinne strony Washingtona Irvinga.

Nauczyciele w Szkole Wrighta-Humasona stale zabiegali o to, aby zapewnić uczniom wszelkie zdobycze, jakie są udziałem szczęśliwych widzących i słyszących. Usiłowali rozwijać u małych dzieci nieliczne skłonności i ożywiać te nikłe wspomnienia z wczesnego dzieciństwa.

Przed opuszczeniem Nowego Jorku spadła na mnie — z wyjątkiem śmierci ojca — największa boleść mojego życia i radosne dni zaszły smugą cienia. W lutym 1896 roku zmarł w Bostonie pan John P. Spaulding. Tylko ci, którzy go znali i bardzo kochali, mogą pojąć, czym była dla mnie jego przyjaźń. On, który uszczęśliwiał wszystkich w tak cudowny i dyskretny sposób, okazywał pannie Sullivan i mnie niezmierną dobroć i serdeczność. Dopóki czułyśmy jego kochającą obecność i wiedziały, że interesuje się troskliwie naszą pracą połączoną z tylu trudnościami, nie mogłyśmy poddawać się zniechęceniu. Jego odejście pozostawiło w naszym życiu próżnię, która nie dała się już zapełnić.

ROZDZIAŁ XVIII

W październiku 1896 roku wstąpiłam w Cambridge do Szkoły dla Młodych Panien, żeby się przygotować do Radcliffe.

Jako mała dziewczynka, podczas bytności w Wellesley, zadziwiłam przyjaciół oznajmiając im, że:

— Wstąpię kiedyś do college'u, ale pojadę do Harvardu.

Na pytanie, dlaczego nie do Wallesley, odpowiadałam, że tam są tylko dziewczęta. Zamiar wstąpienia do college'u zapadł mi tak głęboko w serce, że przeobraził się w gorące pragnienie, w przymus współzawodnictwa o dyplom z widzącymi i słyszącymi dziewczętami wbrew silnej opozycji wielu szczerych, rozumnych przyjaciół. Po wyjeździe z Nowego Jorku ta myśl stała się nieodwołalną decyzją. Postanowiono wysłać mnie do Cambridge. Już stąd niedaleka była droga do Harvardu i do realizacji mojego dziecinnego zamiaru.

W Cambridge panna Sullivan miała słuchać wykładów razem ze mną i przekazywać mi je ręcznym alfabetem.

Oczywiście moi wykładowcy umieli uczyć tylko normalne osoby i jedynym dla mnie sposobem porozumiewania się z nimi było czytanie z warg. W pierwszym roku studia obejmowały historię Anglii, literaturę angielską, niemiecki, łacinę, arytmetykę, wypracowania łacińskie i dorywcze ćwiczenia. Do tego czasu wcale nie uczyłam się z myślą przygotowania się do college'u. Ale w języku angielskim byłam dobrze wyćwiczona dzięki pannie Sullivan, toteż moi nauczyciele zorientowali się prędko, że w tym przedmiocie nie były mi potrzebne studia, z wyjątkiem krytycznej oceny lektury przepisanej przez college. Nadto miałam dobre początki w języku francuskim i półroczną naukę łaciny. Ale najlepiej stałam z niemieckim.

Wszakże pomimo tych przewag poważne niedociągnięcia stały na przeszkodzie do postępów. Moja nauczycielka nie mogła mi pisać na ręce wszystkiego, czego wymagały podręczniki, a bardzo było trudno sporządzić na czas dla mnie podręczniki wypukłym drukiem, jakkolwiek moi przyjaciele w Londynie i Filadelfii starali się to przyśpieszyć. Początkowo musiałam przepisywać łacinę Braille'em, żeby móc recytować razem z koleżankami.

Wkrótce wykładowcy na tyle oswoili się z moją wadliwą wymową, że odpowiadali na moje pytania i poprawiali błędy. Ja nie mogłam robić notatek w szkole ani pisać ćwiczeń. Pisałam wszystkie ćwiczenia i tłumaczenia w domu na maszynie.

Dzień w dzień panna Sullivan chodziła ze mną na wykłady i z bezgraniczną cierpliwością pisała mi na ręce wszystko, co mówili wykładowcy. W czasie nauki musiała wyszukiwać dla mnie nowe słowa, odczytywać notatki i książki, których nie posiadałam w wypukłym druku. Trudno sobie wyobrazić, jaka to była żmudna praca. Z całego grona nauczycielskiego tylko Frau Gröte, nauczycielka niemieckiego, i pan Gilman, dyrektor, nauczyli się alfabetu palcowego ze względu na mnie. Nikt nie wiedział lepiej niż sama kochana Frau Gröte, jak powolne i niedostateczne było jej pisanie mi do ręki. Jednakowoż, wiedziona dobrym sercem, pracowicie pisała mi w rękę instrukcje, na specjalnych lekcjach, dwa razy tygodniowo, żeby trochę wyręczyć pannę Sullivan. Ale chociaż wszyscy byli dobrzy i chętni do pomocy, jedna tylko ręka była zdolna przemienić ciężki trud w przyjemność.

Tego roku skończyłam arytmetykę, powtórzyłam gramatykę łacińską i przeczytałam trzy rozdziały „Pamiętników o wojnie galickiej" Cezara. Po niemiecku przeczytałam częściowo palcami, a częściowo z pomocą panny Sullivan: „Pieśń o dzwonie" i „Nurka" — Schillera, „Podróż po Harzu" Heinego, „Aus dem Stadt Friedrichs des Grossen" Freytaga, „Fluch der Schönheit" Riehla, „Minna von Barnhelm" Lessinga i „Z mojego życia" Goethego. Czytałam te książki z prawdziwą rozkoszą, zwłaszcza cudne liryki Schillera, dzieje wspaniałych osiągnięć Fryderyka Wielkiego oraz życie Goethego. Z żalem skończyłam „Podróż po Harzu", tak pełną zręcznych dowcipów i czarownych opisów wzgórz porosłych winoroślą; szemrzących, rozmigotanych w słońcu potoków; dzikich okolic uświęconych tradycją i legendą dawno minionych romantycznych wieków. Do takich opisów zdolni są tylko ci, dla których przyroda jest „Uczuciem, miłością i pożądaniem".

Pan Gilman uczył mnie przez część roku literatury angielskiej. Przeczytaliśmy razem: „Jak wam się podoba", „Mowę o pojednaniu z Ameryką" Burkego i „Życie Samuela Johnsona"

Macaulaya. Szerokie historyczne i literackie poglądy pana Gilmana oraz jego wyczerpujące wyjaśnienia ułatwiały mi naukę i dodawały jej uroku. O ileż by mi było ciężej, gdybym tylko czytała automatycznie notatki i musiała z konieczności poprzestawać na krótkich objaśnieniach w trakcie wykładów!

Mowa Burkego była dla mnie bardziej pouczająca, niż jakakolwiek książka na tematy polityczne, które czytałam. Mój umysł burzył się do wtóru tym niespokojnym czasom, a osobistości, odgrywające przemożną rolę w walce dwóch narodów, stawały mi przed oczyma wyobraźni jak żywe. W miarę jak mistrzowskie słowa Burkego płynęły na falach elokwencji, zdumiewałam się coraz bardziej, jak to mogło być, że król Jerzy i jego ministrowie okazali się głusi na jego prorocze ostrzeżenie, wróżące nam zwycięstwo, a im upokorzenie.

„Życie Samuela Johnsona" też mnie zaciekawiło, ale inaczej. Serce moje rwało się do samotnika na Grub Street. Chociaż ciężko spracowany, okrutnie schorowany i moralnie udręczony, nigdy nie szczędził dobrych słów i pomocnej ręki biednym i wzgardzonym. Cieszyłam się jego powodzeniami, a zamykałam oczy na przywary, dziwiąc się nie temu, że je posiadał, ale że nie złamały lub nie zubożyły jego duszy. Jednak pomimo świetnego stylu Macaulaya i czarownego daru oblekania powszedniości w świeże, malownicze barwy, jego apodyktyczność czasami mnie nużyła, a nierzadkie poświęcanie prawdy dla efektu kazało mi stawiać pod znakiem zapytania jego wypowiedzi, w przeciwieństwie do uwielbienia, z jakim przysłuchiwałam się Demostenesowi Wielkiej Brytanii.

W szkole w Cambridge po raz pierwszy w życiu cieszyłam się towarzystwem widzących i słyszących dziewcząt w moim wieku. Mieszkałam z kilkoma w jednym z miłych domów połączonych ze szkołą. Mieszkał w nim niegdyś pan Howells. Czułyśmy się jak w domu. Brałam udział w wielu ich zabawach. Grałyśmy w „ślepą babkę" i szalały na śniegu. Chodziłam z nimi na dalekie przechadzki. Omawiałyśmy nasze studia i czytywały na głos interesujące nas rzeczy. Niektóre koleżanki nauczyły się rozmawiać ze mną i panna Sullivan nie potrzebowała powtarzać tego, co mówiły.

Na Boże Narodzenie przyjechała do mnie matka z siostrzycz-

ką. Pan Gilman ofiarował się łaskawie przyjąć Mildred do szkoły. Została więc w Cambridge i przez szczęśliwe półrocze prawieśmy się nie rozstawały. Wspominam przepełnionym błogą radością sercem godziny wspólnej nauki. Pomagałyśmy sobie nawzajem w nauce, a potem razem się bawiłyśmy.

Egzaminy wstępne do Radcliffe składałam od 29 czerwca do 3 lipca 1897 roku. Wybrałam następujące przedmioty: język niemiecki — kurs elementarny i wyższy, francuski, łacinę, angielski, historię Grecji i Rzymu — razem dziewięć godzin. Zdałam ze wszystkich, a z niemieckiego i angielskiego — z wyróżnieniem.

Należałoby tu objaśnić metodę, która była w użyciu, gdy składałam egzamin. Od kandydata żądano, żeby zdał egzamin w ciągu szesnastu godzin. Musiał zdawać jednorazowo przez pięć godzin, aby mu je zaliczono. Tematy egzaminacyjne wydawano w Harvardzie o dziesiątej. Specjalny posłaniec dostarczał je do Radcliffe. Kandydatów oznaczano nie nazwiskami, lecz numerami. Ja miałam nr 233, ale ponieważ musiałam posługiwać się maszyną, moja tożsamość nie dała się ukryć.

Postanowiono egzaminować mnie w oddzielnym pokoju, gdyż stukanie maszyny mogło przeszkadzać innym dziewczętom. Pan Gilman czytał mi wszystkie tematy ręcznym alfabetem. Koło drzwi stał na straży woźny, żeby nam nie przerywano.

Pierwszego dnia miałam język niemiecki. Siedząc koło mnie pan Gilman najpierw czytał cały tekst, a następnie zdanie po zdaniu, podczas gdy ja powtarzałam słowa dla upewnienia się, że go doskonale rozumiem. Tematy były trudne, toteż z wielkim zdenerwowaniem pisałam odpowiedzi. Pan Gilman powtarzał mi, sylabizując to, co napisałam, a ja wprowadzałam zmiany, które uważałam za konieczne, i on je wstawiał. Pragnę zaznaczyć, że od tego czasu nigdy nie miałam tego ułatwienia na żadnych moich egzaminach. W Radcliffe nikt nie odczytuje mi tekstów po napisaniu, więc nie mam sposobności poprawiania błędów, chyba że skończę przed oznaczonym czasem. W takim wypadku poprawiam tylko takie błędy, które zdołam sobie przypomnieć w ciągu dozwolonych kilku minut, i notuję te poprawki na końcu tekstu. Jeżeli egzamin wstępny zdałam z lepszym wynikiem niż końcowe, przyczyna jest dwojaka. Na egza-

minach końcowych nikt mi nie odczytał mojej pracy, poza tym przy wstępnym wybrałam od razu przedmioty, z którymi częściowo byłam obznajmiona przed wstąpieniem do szkoły w Cambridge, bo na początku roku zdałam z angielskiego, historii, francuskiego i niemieckiego, do których pan Gilman dał mi zeszłoroczne tematy z Harvardu.

Pan Gilman przesłał moją pisemną pracę egzaminatorom z zaznaczeniem, że napisała ją kandydatka nr 233.

Wszystkie pozostałe egzaminy wstępne odbyły się w taki sam sposób. Żaden nie był tak trudny jak pierwszy. Pamiętam, że tego dnia, kiedy dostarczono nam temat łaciński, wszedł profesor Schilling i poinformował mnie, że z niemieckiego zdałam zadowalająco. To mi ogromnie dodało otuchy i już do końca byłam spokojna.

ROZDZIAŁ XIX

Pełna nadziei i dobrej myśli zaczynałam drugi rok. Ale zaraz w pierwszych tygodniach natknęłam się na nieprzewidziane trudności. Pan Gilman postanowił, że w tym roku będę studiowała głównie matematykę. Miałam fizykę, algebrę, geometrię, astronomię, grekę i łacinę. Na nieszczęście wielu potrzebnych mi podręczników nie wydano wypukłym drukiem na czas, żebym mogła uczestniczyć w wykładach od początku, no i brakowało mi ważnych pomocy do niektórych studiów. Uczennic było bardzo dużo i nauczyciele nie mogli udzielać mi specjalnych instrukcji. Panna Sullivan musiała czytać mi wszystkie książki i pośredniczyć między mną i wykładowcami. Pierwszy raz od lat jedenastu zaistniała obawa, że jej kochana ręka nie podoła zadaniu.

Musiałam pisać w klasie na lekcjach algebry i geometrii i rozwiązywać zadania z fizyki, a to było dla mnie niewykonalne bez maszyny Braille'a. Nie było mi dane śledzić na tablicy figur geometrycznych i jedynym dla mnie sposobem uświadomienia ich sobie było odtwarzanie ich na poduszce przy pomocy prostych i krzywych drutów z zagiętymi ostrymi końcami. Musiałam nosić w myślach, jak się wyraził w swoim sprawozda-

niu pan Keith, litery oznaczające części składowe figur, hipotezę, konkluzję, konstrukcję i przebieg dowodu. Słowem, każdy przedmiot miał swoje ujemne strony. Czasami traciłam wszelką odwagę i zdradzałam się ze swymi uczuciami w taki sposób, że aż wstyd mi o tym wspominać, bowiem skrupiało się to później na pannie Sullivan, jedynej osobie ze wszystkich moich tamtejszych przyjaciół, która była zmuszona zażegnywać nieporozumienia.

Ale powoli, po trochu trudności zaczęły ustępować. Książki z wypukłym drukiem i rozmaite pomoce nadeszły i zabrałam się do pracy ze wzmożonym zapałem. Algebra i geometria były jedynymi przedmiotami, z którymi nadal niełatwo mi się było uporać. Jak już wspominałam, nie miałam zdolności do matematyki. Nie wyjaśniano mi różnych szczegółów tak dokładnie, jak sobie tego życzyłam. Szczególnie trudne były diagramy geometryczne, gdyż nie mogłam widzieć wzajemnego stosunku elementów, nawet na poduszce. Dopiero gdy pan Keith został moim nauczycielem matematyki, rozjaśniło mi się w głowie.

Już zaczęłam przezwyciężać te trudności, gdy zaszedł wypadek, który wszystko zmienił.

Na krótko przed nadejściem książek pan Gilman zaczął robić wymówki pannie Sullivan, że ja się przepracowuję i, pomimo że gorąco protestowałam, zmniejszył mi liczbę ćwiczeń. Z razu postanowiliśmy, że w razie konieczności poświęcę pięć lat na przygotowanie się do college'u, ale pod koniec pierwszego roku mój sukces egzaminacyjny przekonał moją nauczycielkę, pannę Harbaugh (najbliższą współpracownicę pana Gilmana) i jeszcze jedną osobę, że mogłabym bez zbyt wielkiego trudu popracować już tylko dwa lata. Pan Gilman początkowo zgodził się na to, lecz gdy w mojej nauce napotkałam jednak trudności, stanowczo orzekł, że jestem przemęczona i że powinnam studiować w jego szkole jeszcze trzy lata. To mi się nie podobało, gdyż pragnęłam wstąpić do college'u razem z moją klasą.

Siedemnastego listopada czułam się niezbyt dobrze i nie przyszłam do szkoły. Jakkolwiek panna Sullivan wiedziała, że to nie było nic ważnego, na wiadomość o mojej niedyspozycji pan Gilman stwierdził, że podupadam na zdrowiu, i wprowadził w mojej nauce takie zmiany, że uniemożliwił mi przystąpienie do

egzaminów końcowych jednocześnie z klasą. Wreszcie rozbieżność opinii pomiędzy panem Gilmanem i panną Sullivan doprowadziła do tego, że matka odebrała mnie i Mildred ze szkoły w Cambridge.

Po jakimś czasie stanęło na tym, że będę się dalej uczyła pod kierunkiem wychowawcy, pana Mertona S. Keitha z Cambridge. Resztę zimy spędziłam z moją nauczycielką u przyjaciół, państwa Chamberlin, w Wrentham, dwadzieścia pięć mil od Bostonu.

Od lutego do lipca 1898 roku pan Keith przyjeżdżał do Wrentham dwa razy na tydzień i dawał mi lekcje algebry, geometrii greki i łaciny. Panna Sullivan tłumaczyła mi jego wykłady. W październiku tego roku powróciłyśmy do Bostonu. Przez osiem miesięcy pan Keith dawał mi lekcje pięć razy tygodniowo, mniej więcej po godzinie. Wyjaśniał za każdym razem to, czego nie zrozumiałam z poprzedniej lekcji, wyznaczał nową pracę i zabierał ćwiczenia greckie, które napisałam w ciągu tygodnia. Poprawiał je starannie w domu i zwracał.

W ten sposób bez przerwy przygotowywałam się do college'u. Łatwiej mi było i przyjemniej uczyć się samej niż w klasie razem z innymi. Unikało się w ten sposób pośpiechu i zamieszania. Mój wychowawca miał zawsze czas wytłumaczyć mi to, czego nie rozumiałam, toteż robiłam szybsze postępy i uczyłam się lepiej niż w szkole. Nadal miałam większe trudności z opanowywaniem matematyki niż innych przedmiotów. Jaka szkoda, że algebra i geometria nie są chociaż w połowie tak łatwe jak języki i literatura. Ale pan Keith umiał nawet matematykę uczynić interesującą. Udawało mu się tak upraszczać zawiłe problemy, że przenikały do mojej mózgownicy. Ćwiczył i rozbudzał mój umysł, uczył rozumować jasno i spokojnie i dochodzić do wniosków logicznie, zamiast skakać na oślep i gubić się nie wiadomo gdzie. Zawsze był łagodny i wyrozumiały, nawet gdy okazywałam się tępa, a możecie mi wierzyć, że moja głupota wyprowadziłaby nieraz z cierpliwości samego Hioba.

29 i 30 czerwca złożyłam ostatnie egzaminy do Radcliffe. Pierwszego dnia zdawałam z niższego kursu języka greckiego i wyższego kursu łaciny, a drugiego z geometrii, algebry i wyższego kursu greki.

Władze uniwersyteckie nie zezwoliły, aby panna Sullivan przeczytała mi tematy egzaminacyjne, wobec czego pan Eugene C. Vining, instruktor z Instytutu Perkinsa, podjął się przepisywania ich dla mnie amerykańskim Braille'em. Pan Vining nie znał mnie i nie mógł się ze mną porozumiewać inaczej niż za pomocą Braille'a. Asystent również mnie nie znał i w ogóle nie próbował porozumiewać się ze mną.

Braille był dość dobry, gdy chodziło o języki, ale gdy przyszło do geometrii i algebry, trudności wzrosły. Byłam w okropnym kłopocie, ogarnęło mnie zniechęcenie. Traciłam dużo cennego czasu, zwłaszcza na algebrę. Byłam obznajmiona ze wszystkimi systemami Braille'a będącymi w użyciu w naszym kraju: angielskim, amerykańskim i punktem nowojorskim, lecz rozmaite znaki i symbole geometryczne i algebraiczne bardzo się od siebie różnią w tych trzech systemach, a ja przy algebrze posługiwałam się tylko Braille'em angielskim.

Na dwa dni przed egzaminem pan Vining przysłał mi braille'owską kopię jednego z dawnych tematów harvardzkich z algebry. Ku memu przerażeniu stwierdziłam, że to był system amerykański. Usiadłam i napisałam do niego z prośbą o wyjaśnienie znaków. Otrzymałam inny temat i tabelę znaków odwrotną pocztą i zabrałam się do nauki tego systemu. W przeddzień egzaminu z algebry głowiłam się nad bardzo skomplikowanymi przykładami i nie mogłam rozwikłać kombinacji nawiasów i pierwiastków. Oboje z panem Keithem byliśmy znękani i pełni złych przeczuć co do wyniku egzaminu. Lecz przed egzaminem poszliśmy do college'u i pan Vining wyjaśnił nam obszerniej symbole amerykańskie.

W geometrii moja główna trudność polegała na tym, że byłam przyzwyczajona do odczytywania twierdzeń w Druku Liniowym lub wypisywano mi je na ręce. Chociaż miałam je przed sobą, jakoś mi nie szło z Braille'em. Nie mogłam wyraźnie uchwycić sensu. Z algebrą było jeszcze gorzej. Znaki, których się świeżo nauczyłam i sądziłam, że je znam, wprawiały mnie w zakłopotanie. Prócz tego nie mogłam widzieć tego, co pisałam na maszynie. Odrabiałam lekcje matematyki Braille'em albo w pamięci. Pan Keith zanadto polegał na mojej zdolności pamięciowego rozwiązywania zadań i nie wyszkolił mnie w pisaniu tema-

tów egzaminacyjnych. Toteż moja praca była uciążliwa i powolna. Musiałam czytać teksty po kilka razy, zanim zrozumiałam, co należy robić. Nie jestem tego pewna, czy odczytałam wszystkie znaki prawidłowo. Ciężko mi było zebrać myśli.

Jednak nie mam żalu do nikogo. Dyrekcja college'u w Radcliffe nie pojmowała, jak utrudniała mi egzaminy, i nie rozumiała, jakie szczególne trudności musiałam zwalczać. I chociaż stawiano mi przeszkody, mam tę satysfakcję, że dałam sobie z nimi radę.

ROZDZIAŁ XX

Walka o przyjęcie do college'u dobiegła końca i mogłam teraz wstąpić do Radcliffe w dowolnym terminie. Zapadło jednakże postanowienie, żebym jeszcze przez rok pouczyła się z panem Keithem. W rezultacie moje marzenie o wyższych studiach spełniło się dopiero jesienią 1900 roku.

Pamiętam mój pierwszy dzień w Radcliffe, niezmiernie dla mnie ciekawy. Śniłam o nim całe lata. Jakaś przemożna siła, potężniejsza niż perswazje przyjaciół, potężniejsza nawet niż mowa własnego serca, kazała mi zmierzyć się z tymi, co widzą i słyszą. Wiedziałam, że natrafię na przeszkody, ale pragnęłam je pokonać. Przejęłam się słowami mądrego Rzymianina, który powiedział: „Kogo wygnają z Rzymu, ten tyle tylko, że mieszka poza Rzymem". Odcięta od wielkich traktów wiedzy, byłam zmuszona przebijać się nie uczęszczanymi drogami. A wiedziałam, że w college'u było wiele takich ubocznych ścieżek. Chodziłam ręka w rękę z innymi dziewczętami, które myślały, kochały i zmagały się z losem tak samo jak ja.

Zaczęłam studia z zapałem. Przede mną otwierały się nowe światy, pełne piękna i światła. Czułam, że przestąpię próg wiedzy i gdy znajdę się w tym przybytku światła, będę tak samo wolna jak inni. Że jego mieszkańcy, krajobraz, zwyczaje, radości, tragedie okażą się dla mnie dotykalnymi wykładnikami realnego świata. Zdawało mi się, że w salach wykładowych unosi się tchnienie wielkich ludzi i mędrców, a profesorowie

wydawali mi się wcieleniem mądrości. Jeżeli od tamtych czasów zmieniłam pogląd, to się z tym nie zdradzę.

Wkrótce przekonałam się, że college miał niewiele wspólnego z romantyczną szkołą mojej wyobraźni. Wiele marzeń, które mnie uszczęśliwiały w okresie młodocianego niedoświadczenia, traciło stopniowo na uroku i nabierało szarej pospolitości. Zaczynałam stwierdzać, że studia mają swoje ujemne strony.

Jedną z tych ujemnych stron, którą odczuwałam i odczuwam najdotkliwiej, jest brak czasu. Dawniej zawsze miałam czas na rozmyślania i refleksje. W college'u nie ma czasu na przestawanie z własnymi myślami. Tam się wstępuje, jak się zdaje, po to, żeby się uczyć, nie myśleć. Kto wkracza w portale uczoności, ten pozostawia za sobą wraz z szumiącymi sosnami swoje najdroższe radości — samotność, książki, wyobraźnię. Zapewne powinnam znajdować pewną pociechę w refleksjach, że gromadzę sobie skarby na przyszłość, ale jestem na tyle nieopatrzna, że przekładam radość dnia codziennego nad gromadzenie bogactw na dzień deszczowy.

W pierwszym roku studiowałam języki francuski i niemiecki, historię oraz kompozycję i literaturę angielską. Na kursie francuskiego przeczytałam niektóre utwory Corneille'a, Molière'a, Racine'a, Alfreda de Musset i Sainte-Beuve'a, a na niemieckim Goethego i Schillera. Przebiegłam szybko cały okres dziejów od upadku Cesarstwa Rzymskiego do XVIII wieku. Z literatury angielskiej studiowałam krytycznie poematy Miltona i „Areopagitikę".

Często spotykam się z pytaniem, w jaki sposób daję sobie radę ze szczególnymi warunkami pracy w college'u. Na wykładzie jestem oczywiście kompletnie sama. Profesor jest dla mnie tak daleki, jakby przemawiał przez telefon. Wykłady mam wpisywane na rękę możliwie szybko. Tracę dużo z indywidualności wykładowcy w pośpiesznym podążaniu za jego myślami. Słowa przelatują mi przez rękę jak ogary w pogoni za zającem, który im często umyka. Ale chyba nie jestem pod tym względem bardziej upośledzona niż studentka, która robi notatki. Jeżeli umysł jest pochłonięty mechaniczną czynnością słuchania i zapisywania słów na papierze — z bezbłędną szybkością — to chyba niełatwo przychodzi skupiać uwagę na temacie wykładu lub spo-

sobie, w jaki jest ujmowany. Nie mogę notować w trakcie wykładu, gdyż ręce mam zajęte słuchaniem. Zazwyczaj po powrocie do domu zapisuję sobie to, co zapamiętałam. Piszę ćwiczenia, codzienne prace, omówienia i godzinne testy, półroczne i końcowe egzaminy na mojej maszynie, tak że profesorowie łatwo mogą sprawdzić, jak niewiele umiem. Gdy zaczęłam studiować prozodię łacińską, wykombinowałam i wyjaśniłam mojemu profesorowi system symboli oznaczających różne metra i iloczasy.

Posługuję się maszyną Hammonda. Wypróbowałam wiele maszyn i uważam, że Hammond najlepiej odpowiada moim szczególnym wymaganiom. Przy tej maszynie można stosować ruchome klawiatury, więc można ich mieć kilka, każdy z innym kompletem czcionek — greckich, francuskich lub znaków matematycznych, zależnie od potrzeby. Wątpię, czy bez tej maszyny mogłabym studiować.

Z wymaganych na różnych kursach książek bardzo niewiele istnieje w wydaniu dla niewidomych. Muszą więc pisać mi treść na ręce. Toteż przygotowanie lekcji zabiera mi więcej czasu niż koleżankom. Praca ręczna pochłania więcej czasu, a przy tym mam kłopoty, których one nie doświadczają. Są dni, kiedy konieczność poświęcenia uwagi szczegółom wprawia mnie w stan rozdrażnienia, a myśl, że muszę marnować godziny na przeczytanie paru rozdziałów, podczas gdy gdzieś tam inne dziewczęta śmieją się, śpiewają i tańczą, nastraja mnie buntowniczo. Lecz wprędce odzyskuję pogodę ducha i wesołością rozpraszam niezadowolenie. Bo ostatecznie każdy, kto pragnie posiąść wiedzę, musi sam piąć się w górę po stromym zboczu trudności, a ponieważ na szczyt nie prowadzi trakt królewski, muszę wchodzić zakosami. Często się obsuwam, upadam, przystaję, potykam się o ukryte przeszkody, tracę panowanie nad sobą, opamiętuję się i biorę się w karby, wlokę się dalej, nakładam drogi, zdobywam się na zapał i odwagę, pnę się wyżej i dostrzegam rozszerzający się widnokrąg. Każda walka jest zwycięstwem. Jeszcze jeden zryw i docieram do świetlistego obłoku, do błękitnej głębiny nieba, do wyżyn moich pragnień.

Co prawda nie zawsze walczę w pojedynkę. Panowie William Wade i E. E. Allen, dyrektor Pensylwańskiego Instytutu Niewidomych, zdobywają dla mnie dużo potrzebnych książek pisa-

nych wypukłym drukiem. Ich troskliwość była mi większą pomocą, niż to sobie wyobrażają.

Ostatnio, na drugim roku w Radcliffe, uczyłam się pisać wypracowania angielskie, studiowałam Biblię, formy rządów Ameryki i Europy, ody Horacego i komedię łacińską. Kurs pisania wypracowań był najprzyjemniejszy, ogromnie wesoły, wykłady zawsze interesujące, żywe, dowcipne. Profesor Charles Townsend Copeland ma szczególny dar przedstawiania literatury w całej jej oryginalnej świeżości i potędze. Takiego czarodzieja jak on nie spotkałam dotychczas. Przez jedną krótką godzinę wolno człowiekowi pić ze źródła wiecznego piękna starych mistrzów, bez zbytecznych interpretacji czy ekspozycji. Wolno upajać się ich szlachetnymi myślami. Człowiek raduje się całą duszą słuchając słodkich gromów Starego Testamentu, zapominając o egzystencji Jehowy i Elohima. I idzie do domu z uczuciem, że doświadczył „na mgnienie tej doskonałości, gdzie duch i ciało trwają w nieśmiertelnej harmonii, a prawda i piękno odradzają się na starym pniu czasu".

Ten rok jest najszczęśliwszy, gdyż studiuję przedmioty szczególnie dla mnie interesujące: ekonomię, literaturę elżbietańską — Szekspira u profesora George L. Kittredge'a i historię filozofii u profesora Josiah Royce'a. Dzięki filozofii nabiera się sympatii i zrozumienia dla tradycji odległych wieków i innych sposobów myślenia, które wydawały się uprzednio obce i niedorzeczne.

Ale college to nie uniwersalne Ateny, jak to sobie wyobrażałam. Tu nie spotyka się wielkich i mądrych. Nawet nie czuje się ich żywej obecności. Są tu, to prawda, ale wydają się zmumifikowani. Musimy ich wydobywać ze spękanych ścian uczoności i badać, i analizować, zanim nabierzemy pewności, że to Milton lub Izajasz, a nie po prostu zręczna imitacja. Wydaje mi się, że wielu uczonych zapomina, iż radość, którą czerpiemy z arcydzieł literatury, zależy więcej od głębi naszego wyczucia niż zrozumienia. Niestety, bardzo mało z tych pracowitych wyjaśnień pozostaje w pamięci. Umysł gubi je tak, jak gałąź gubi przejrzały owoc. Można znać kwiat, korzenie, łodygę, wszystko wiedzieć o procesach rozwojowych, a mimo to nie odczuć piękna kwiatu, skąpanego w świeżej rosie. Ciągle pytam ze znie-

cierpliwieniem: — „Na co mi te wyjaśnienia i hipotezy?" Trzepoczą mi się w myślach jak ślepe ptaki bijące powietrze bezsilnymi skrzydłami.

Nie mam nic przeciwko gruntownej znajomości sławnych dzieł, jakie czytamy. Nie podobają mi się tylko nieskończone komentarze i zdumiewające dociekania krytyczne, z których wynika tylko, że tyle opinii, ile głów. Lecz kiedy taki wielki uczony, jak profesor Kittredge, interpretuje słowa mistrza, to tak, jakby niewidomi odzyskiwali wzrok. On nam objawia Szekspira, poetę.

Przychodzą wszakże na mnie chwile, gdy pragnęłabym wymieść połowę tych mądrości, których mam się uczyć, ponieważ przemęczony umysł nie może cieszyć się skarbem osiągniętym za tak wielką cenę. Uważam, że niemożliwością jest wczytywać się jednego dnia w kilka książek w różnych językach na całkowicie odmienne tematy i nie tracić z oczu celu tych studiów. Kiedy się czyta pośpiesznie, nerwowo, przygotowując do egzaminów pisemnych i ustnych, mózg przepełnia się mnóstwem bezużytecznych wiadomości. Moja głowa jest teraz tak pełna różnorodnej mądrości, że, o rozpaczy! obawiam się, że nigdy z tym nie dojdę do ładu. Ilekroć wstępuję w progi mojego niedawnego królestwa ducha, czuję się jak ów przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Setki okruchów wiedzy jak grad walą mi się na głowę, a gdy próbuję się przed nimi ratować, tematowe diabełki i college'owe rusałki rzucają się za mną w pogoń, aż mi przychodzi ochota — o, proszę mi darować to grzeszne życzenie! — gruchotać bożyszcza, które przybyłam czcić.

Ale najgorsze przekleństwo mojego życia to egzaminy. Chociaż wiele razy stawiałam im czoło i zawsze zwyciężałam, to jednak stale powstają i grożą mi bladymi twarzami, że niby Bob Acres czuję, jak odwaga ucieka ze mnie końcami palców.

Dni poprzedzające te katusze spędzam na wbijaniu sobie do głowy mistycznych wzorów i niestrawnych dat. Jakaż to niesmaczna dieta! Zaczynam pragnąć, żeby głębokości morskie pochłonęły książki, naukę i mnie samą!

Wreszcie nadchodzi straszna godzina. Mogę błogosławić los, jeżeli czuję się przygotowana i mogę we właściwej chwili wezwać wzory, miary, definicje, żeby mnie ratowały w najwyż-

szej potrzebie. Zdarza się nazbyt często, że głos mojej trąbki przebrzmi bez echa. To okropne, że właśnie w momencie największego wysilenia pamięć nagle zawodzi. Fakty, które gromadziło się za cenę nieskończonych trudów, zawsze sprawiają zawód w krytycznej chwili.

— Proszę opowiedzieć krótko o Husie i jego działalności.

Hus? Kto to był i co zdziałał? Nazwisko wydaje się dziwnie znajome. Więc szuka się w tłumoku faktów historycznych, tak jakby się szukało ścinka jedwabiu w torbie z gałgankami. Wie się z pewnością, że informacja jest w głowie na samym wierzchu. Widziało się ją niedawno, gdy się sprawdzało początki Reformacji. Ale gdzie się podziała teraz? Wyławia się wszelkiego rodzaju strzępki wiedzy — coś o rewolucjach, schizmach, systemach rządów, ale co się zrobiło z Husem? Zdumiewam się, że wiem tyle rzeczy, których nie ma w tematach egzaminacyjnych. W przystępie rozpaczy chwytam tłumok i wywalam wszystko na podłogę, i oto gdzieś z boku stoi on, pogodnie zadumany nad swoimi prywatnymi sprawami, nieświadomy katastrofy, którą na mnie sprowadził.

I właśnie w tej chwili asystent oznajmia, że czas upłynął. Więc z uczuciem okropnego niesmaku odsuwam w kąt furę śmiecia i idę do domu z głową pełną rewolucyjnych planów — zniesienia boskiego prawa profesorów do zadawania pytań bez zgody pytanych.

Nasuwa mi się uwaga, że na ostatnich paru stronach tego rozdziału użyłam przenośni, które narażą mnie na śmiech. Otóż i one, różnorodne metafory, drwiące, nadęte, ukazujące słonia w składzie porcelany pod gradobiciem, strachy o bladych obliczach. Niech tam sobie drwią. Te słowa oddają tak dokładnie atmosferę kotłowaniny i zamętu myślowego, w jakim żyję, że ich nie usunę. Powiem tylko z całym przekonaniem, że moje poglądy uległy w college'u przeobrażeniu.

Zanim przybyłam do Radcliffe, wyobrażałam sobie życie w tych murach niezmiernie romantycznie, ale te romantyczne blaski szybko rozwiały się. Jednakże w okresie przejściowym od złudzeń do rzeczywistości nauczyłam się wielu rzeczy, których bym inaczej nie poznała. Jedno z objawień — to nauka cierpliwości mówiąca nam, że studia powinniśmy traktować

jako coś w rodzaju spaceru przez pola i lasy, iść bez pośpiechu, chłonąc całym sercem wrażenia. Taka wiedza, niby cicha fala przypływu, zalewa niewidzialnie duszę pogłębiającym się bogactwem myśli. „Wiedza jest potęgą". A raczej, wiedza jest szczęściem, gdyż posiadanie wiedzy — rozległej, głębokiej wiedzy — polega na rozróżnianiu prawdziwych celów od fałszywych i rzeczy wzniosłych od przyziemnych. Kto zna myśli i czyny na drodze postępu człowieka, ten czuje potężne pulsowanie serca ludzkości na przestrzeni wieków. Kto nie czuje w nich dążenia ku niebu, ten musi być, zaiste! głuchy na harmonię życia.

ROZDZIAŁ XXI

Do tej pory podawałam szkicowo wydarzenia, które złożyły się na moje życie, ale nie podkreśliłam jednak, ile zawdzięczam książkom nie tylko przyjemności i wiedzy, będących udziałem wszystkich czytających, ale także wiadomości, które inni osiągają dzięki własnym oczom i uszom. Książki odegrały w moim wykształceniu tak wielką w porównaniu do innych rolę, że cofnę się do czasów, kiedy zaczęłam czytać.

Pierwszą powiastkę przewertowałam w maju 1887 roku, kiedy miałam siedem lat. I od tego dnia do dzisiaj pożeram każdą zadrukowaną stronicę, która znajdzie się w zasięgu moich nienasyconych palców. Jak wspominałam, przez pierwsze lata nie uczyłam się regularnie ani nie czytałam według programu.

Początkowo miałam niewiele książek pisanych wypukłym drukiem — „Czytanki" dla początkujących, zbiór powiastek dla dzieci i książkę o ziemi pt. „Nasz świat". I chyba nic więcej. Ale czytałam je po wiele razy, tak że wypukły druk zacierał się, spłaszczał i stawał się prawie nieczytelny. Czasami panna Sullivan czytywała mi, wpisując na ręce krótkie powiastki i wiersze, które mogłam zrozumieć. Ale wolałam sama czytać, niż żeby mi czytano, gdyż lubiłam powracać do tych stron, które mi się podobały.

Na dobre zaczęłam czytać podczas pierwszej bytności w Bostonie. Pozwalano mi przesiadywać co dzień w bibliotece Insty-

tutu, wędrować od szafy do szafy i wyjmować książki, na które natrafiałam palcami. Czytałam uporczywie, czy na stronicy rozumiałam jedno słowo na dziesięć, czy rozumiałam co drugie. Czarowały mnie same słowa, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czytałam. Jednak w tej fazie mój umysł musiał być bardzo chłonny, gdyż zapamiętałam wiele słów i całe zdania, o których znaczeniu nie miałam najmniejszego pojęcia. Później, kiedy zaczęłam mówić i pisać, te wyrazy i zdania nasuwały się całkiem naturalnie, aż moi przyjaciele zdumiewali się, że mam taki bogaty zasób słów. Musiałam w ten sposób czytać ustępy w wielu książkach i bardzo dużo poezji — nic nie rozumiejąc; myślę, że w tych dziecinnych czasach nie przeczytałam ani jednej książki od deski do deski, aż natrafiłam na „Małego lorda Fauntleroya". To była pierwsza wartościowa książka, którą przeczytałam ze zrozumieniem.

Pewnego dnia moja nauczycielka znalazła mnie w kącie biblioteki nad „Szkarłatną literą". Miałam wtedy koło ośmiu lat. Pamiętam, zapytała mnie, czy mi się podoba mała Pearl, i wyjaśniła niektóre zagadkowe słowa. Dodała, że ma piękne opowiadanie o małym chłopcu i że z pewnością będzie mi się więcej podobało niż „Szkarłatna litera". „Małego lorda Fauntleroya" obiecała mi przeczytać w lecie. Lecz dopiero w sierpniu przystąpiłyśmy do lektury. Pierwsze tygodnie pobytu nad morzem były dla mnie tak bogate w odkrycia i wrażenia, że po prostu zapomniałam o istnieniu książek. A potem moja nauczycielka pojechała w odwiedziny do przyjaciół w Bostonie i na krótki czas zostałam sama.

Kiedy wróciła, zabrałyśmy się do „Małego lorda". Pamiętam dokładnie czas i miejsce, gdzie przeczytałyśmy pierwsze rozdziały tej czarownej dziecinnej powieści. Było gorące sierpniowe popołudnie. Siedziałyśmy razem w hamaku rozciągniętym między dwiema uroczystymi sosnami, niedaleko domu. Zmyłyśmy pośpiesznie naczynia po lunchu, żeby mieć możliwie długie popołudnie i dużo przeczytać. Gdyśmy biegły wśród wysokiej trawy do hamaka, naokoło nas skakały koniki polne i przyczepiały do sukienek. Pamiętam, że moja nauczycielka chciała koniecznie powybierać je, zanim usiądziemy, lecz mnie wydało się to niepotrzebną stratą czasu. Hamak był zasypany

igliwiem. Podczas nieobecności nauczycielki nikt go nie używał. Upalne słońce prażyło drzewa, od których biła żywiczna woń. Od morza zalatywało balsamiczne powietrze. Przed rozpoczęciem lektury panna Sullivan wytłumaczyła mi rzeczy, których bym nie zrozumiała. Orientowała się w moich brakach. W trakcie czytania objaśniała nie znane mi słowa. Na początku było ich dużo i musiała ciągle przerywać. Ale skoro tylko pojęłam, o co chodzi, fabuła zbyt mnie pochłaniała, żebym mogła zwracać uwagę na poszczególne słowa, i obawiam się, że niecierpliwiły mnie objaśnienia, które moja nauczycielka uważała za konieczne. Kiedy zmęczone palce zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa, pierwszy raz w życiu odczułam dotkliwie swoje upośledzenie. Wzięłam książkę i próbowałam wyczuć litery. Nigdy nie zapomnę, jak gwałtowne było moje pragnienie przezwyciężenia przeszkody.

Później, na moją gorącą prośbę, pan Anagnos postarał się o wydanie tej powieści wypukłym drukiem. Czytałam ją tyle razy, że bez mała nauczyłam się jej na pamięć. Przez całe dzieciństwo „Mały lord" był mi łaskawym, miłym towarzyszem.

Podaję te szczegóły, chociaż może one i nudne, ale dla mnie stanowią ogromnie żywy kontrast ze zmiennymi, niejasnymi wspomnieniami wcześniejszej lektury. Od „Małego lorda" datuje się moje prawdziwe zainteresowanie książkami. Przez następne dwa lata przeczytałam wiele książek w domu i w Bostonie. Nie przypominam sobie ani wszystkich tytułów, ani w jakiej kolejności je czytałam. Pamiętam tylko, że znajdowały się wśród nich następujące: „Heroje, czyli klechdy greckie o bohaterach" Kingsleya, „Bajki" La Fontaine'a, „Opowieści z Biblii", „Mity greckie" Hawthorne'a, „Opowieści z Szekspira" Lamba, „Historia Anglii dla dzieci" Dickensa, „Baśnie z 1001 nocy", „Robinson w Szwajcarii", „Wędrówka pielgrzyma", „Robinson Cruzoe", „Małe kobietki" i „Heidi", piękna powieść, którą później czytałam po niemiecku. Czytywałam w przerwach między nauką i zabawą z pogłębiającą się stale radością. Nie studiowałam ich, nie analizowałam. Nie wiedziałam, czy były dobrze napisane, czy źle. Nie zwracałam uwagi ani na styl, ani na autorów. Składały mi u stóp swoje skarby, a ja je przyjmowałam tak, jak się przyjmuje blaski słońca i miłość przyjaciół. Kocha-

łam, „Małe kobietki", gdyż książka ta dawała mi poczucie bliskiego powinowactwa z dziewczętami i chłopcami, którzy mogli widzieć i słyszeć. Ograniczona pod wieloma względami, musiałam szukać w książkach nowin ze świata, który mnie otaczał.

„Wędrówka pielgrzyma" nie przypadła mi do gustu (zdaje mi się, że nawet nie doczytałam jej do końca), tak samo jak i „Bajki". Czytałam „Bajki" La Fontaine'a najprzód w przekładzie angielskim — z umiarkowanym zachwytem. Później przeczytałam je po francusku i stwierdziłam, że pomimo żywego obrazowego stylu i mistrzostwa języka nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale powiastki, w których zwierzęta mówią i zachowują się jak ludzie, nigdy do mnie nie przemawiały. Pocieszne karykatury zwierząt pochłaniają moją uwagę, a morał przepada.

Poza tym La Fontaine chyba prawie nigdy nie odwołuje się do wyższego poczucia moralnego, najwyżej do rozumu i miłości własnej. Myślą przewodnią tych wszystkich bajek jest, że moralność ludzka wynika całkowicie z miłości własnej, że gdy miłość własna pozostaje pod kierownictwem i kontrolą rozumu, to szczęście jest zapewnione. Jednakże, jeśli ja mogę sądzić, to miłość własna leży u korzenia wszelkiego zła. Oczywiście mogę się mylić, gdyż La Fontaine miał więcej sposobności obserwować ludzi, niż ja mogę mieć kiedykolwiek. Nie ganię specjalnie bajek cynicznych i satyrycznych, lecz raczej te, w których małpy i lisy wygłaszają doniosłe prawdy.

Ale kocham „Księgę dżungli" i „Dzikie zwierzęta, które znałem". Interesuję się szczerze samymi zwierzętami, bo to są prawdziwe zwierzęta, a nie ludzkie karykatury. Czytelnik przeżywa ich uczucia miłości i nienawiści, śmieje się z ich komedianctwa i płacze nad ich tragediami. A jeżeli z tych opowiadań wynikają morały, to tak subtelne, że nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Mój umysł przyjmował radośnie, w sposób naturalny, naukę o starożytności. Grecja, starożytna Grecja, miała dla mnie tajemniczy urok. W mojej wyobraźni pogańscy bogowie i boginie wciąż jeszcze stąpali po ziemi i rozmawiali z ludźmi. W sercu potajemnie wznosiłam ołtarze tym, których najwięcej kocha-

łam. Znałam i kochałam nimfy, bohaterów i półbogów — nie wszystkich, gdyż okrucieństwo i chciwość Medei i Jazona zbyt były potworne, żeby można im je wybaczyć. Zdumiewałam się, dlaczego bogowie pozwolili im czynić źle, a później ich za to karali. Tajemnica nie została rozwiązana. Często dziwię się, czemu

Bóg może milczeć,
Podczas gdy Grzech z szyderczym grymasem
Wkrada się w progi Jego doczesnego Domu.

Właśnie dzięki „Iliadzie" Grecja stała się moim rajem. Poznałam dzieje Troi, zanim je przeczytałam w oryginale, toteż nietrudno mi było wyłuskiwać z greckich słów zawarte w nich skarby, skoro już przekroczyłam pogranicze gramatyki. Wielka poezja, czy to w języku greckim, czy w angielskim, nie wymaga żadnej interpretacji prócz czującego serca. Oby zastępy tych, którzy odstręczają ludzi od wielkich dzieł poetyckich swoimi analizami, dowolnymi tezami i mozolnymi komentarzami, mogły nauczyć się tej prostej prawdy. Dla zrozumienia i oceny pięknego wiersza nie trzeba koniecznie umieć określić każde słowo jako część mowy i wyjaśnić jego rolę gramatyczną w zdaniu. Wiem, że moi profesorowie znaleźli większe bogactwa w „Iliadzie", niż ja to potrafię. Ale nie jestem chciwa. Niech tam inni będą mądrzejsi ode mnie. Cieszy mnie to. Ale z całą swoją rozległą i szczegółową wiedzą nie mogą zmierzyć radości, jakimi darzy ich ten wspaniały epos. Ja też nie mogę. Przy czytaniu najpiękniejszych ustępów „Iliady" moja dusza wynosi mnie ponad codzienne życie. Zapominam o ograniczeniach fizycznych — mój świat leży tam w górze, bezmiary niebios należą do mnie.

„Eneidą" mniej się zachwycam. Czytuję ją, o ile się da, bez objaśnień czy słownika. Lubię tłumaczyć epizody, które mi się szczególnie podobają. Styl Wergiliusza bywa miejscami cudownie malowniczy, ale jego bogowie i ludzie poruszają się w scenach, gdzie wchodzi w grę namiętność, walka, litość i miłość, jak wdzięczne figurynki w elżbietańskiej maskaradzie, podczas gdy w „Iliadzie" dają trzy susy i śpiewają dalej. Wergiliusz jest pogodny i śliczny jak marmurowy Apollo w blasku księżyca.

Homer to piękny, pełen życia młodzieniec w pełnym blasku słońca.

Jakże łatwo latać na skrzydłach z papieru! Od „Herojów, czyli klechd greckich o bohaterach" do „Iliady" nie dzieliła mnie, niestety! jednodniowa podróż. Nie była też ona całkiem przyjemna. Ktoś mógłby objechać świat naokoło wiele razy przez ten czas, kiedy ja mozoliłam się wśród labiryntu zawiłości gramatycznych i słownikowych lub wpadałam w okropne sidła, zwane egzaminami, zastawione przez szkoły i college dla mącenia w głowach tym, którzy poszukują wiedzy. Przypuszczam, że tego rodzaju „Wędrówka pielgrzyma" znajduje swoje celowe usprawiedliwienie, ale mnie wydawała się nie mieć końca wbrew miłym niespodziankom zaskakującym mnie od czasu do czasu na zakrętach drogi.

Zaczęłam czytać Biblię dużo wcześniej, zanim mogłam ją zrozumieć. Dziś dziwię się, że mógł być taki okres, gdy mój duch był głuchy na jej przecudną harmonię. Utkwił mi w pamięci niedzielny deszczowy poranek, gdy nie mając nic innego do roboty, poprosiłam kuzynkę, żeby mi przeczytała jakąś opowieść z Biblii. Chociaż nie przypuszczała, że mogłam cokolwiek zrozumieć, zaczęła mi pisać na ręce historię Józefa i jego braci. Jakoś mnie to nie zainteresowało. Niezwykły styl i powtarzanie sprawiły, że cała ta historia w kraju Kanaan wydała mi się nierzeczywista i taka daleka. Wywędrowałam do Krainy Snu, zanim jeszcze bracia przybyli do namiotu Jakuba z różnobarwnym płaszczem i tym przewrotnym kłamstwem. Nie mogę zrozumieć, dlaczego opowieści greckie tak mnie zachwycały, a biblijne wydawały się nieciekawe. Może to było przyczyną, że w Bostonie poznałam kilku Greków i udzielił mi się ich entuzjazm dla literatury ich kraju. Hebrajczyka nie spotkałam ani jednego, ani też Egipcjanina i dlatego doszłam do przekonania, że to byli barbarzyńcy, a wszystkie opowieści o nich musiały być prawdopodobnie zmyślone, która to hipoteza wyjaśniała mi ciągłe powtarzania i dziwaczne nazwy. Zastanawiające, iż nigdy nie przyszło mi do głowy patronimików greckich ochrzcić mianem dziwacznych.

Ale jakimi słowami mam wychwalać wspaniałości, jakie z biegiem czasu odkryłam w Biblii? Przez całe lata czytywałam ją

z uczuciem wzbierającej radości i natchnienia i teraz jest to moja najukochańsza księga. Ale Biblia zawiera dużo materiału, przeciwko któremu buntuje się instynktownie moja natura i to tak bardzo, iż żałuję, że musiałam ją przeczytać od deski do deski. Nie sądzę, żeby to, czego się nauczyłam o jej historii i źródłach, wynagradzało mi niemiłe szczegóły, jakie narzuciły się mej uwadze. Pragnęłabym razem z panem Howellsem, żeby tak można oczyścić starodawną literaturę z wszelkiego barbarzyństwa i brzydoty, jakkolwiek, tak jak wszyscy, oponowałabym przeciwko osłabianiu lub fałszowaniu tych wielkich dzieł.

Jest coś wstrząsającego, pełnego grozy w prostocie i strasznej bezpośredniości księgi Estery. Czy można sobie wyobrazić coś dramatyczniejszego niż scena, w której Estera staje przed swoim srogim panem. Wie, że jej życie jest w jego rękach. Nie ma nikogo, kto by ją osłonił przed jego gniewem. A przecież, opanowując niewieścią trwogę, podchodzi do niego natchniona najszlachetniejszym patriotyzmem, z jedną tylko myślą: „Jeżeli zginę, to zginę, ale jeżeli ujdę z życiem, to mój lud żyć będzie".

A historia Rut, jak bardzo wschodnia. Jak odmienne to życie prostych wieśniaków od egzystencji mieszkańców stolicy perskiej! Rut jest tak lojalna, tak dobra, że wprost trudno jej nie kochać, gdy stoi ze żniwiarzami wśród falujących kłosów. Jej piękna, wolna od samolubstwa dusza jaśnieje na ciemnym okrutnym tle barbarzyńskiej epoki jak promienna gwiazda. Miłość taką, jak jej, zdolną wznieść się ponad sprzeczne wierzenia i głęboko zakorzenione rasowe przesądy, trudno znaleźć na świecie.

Biblia napełnia mnie głębokim pocieszającym przeświadczeniem, że „rzeczy widzialne są doczesne, a rzeczy niewidzialne — wieczne".

Szekspira pokochałam od razu, skoro tylko nauczyłam się kochać książki. Nie umiem powiedzieć dokładnie, kiedy zabrałam się do „Opowieści z Szekspira" Lamba, ale pamiętam, że czytałam je od początku z dziecinnym zrozumieniem i dziecinnym podziwem. Zdaje się, że największe wrażenie zrobił na mnie „Makbet". Jednorazowa lektura wystarczyła, żeby wszystkie szczegóły tragedii wryły mi się na zawsze w pamięć. Przez długi czas upiory i wiedźmy prześladowały mnie nawet w krainie

snów. Widziałam, po prostu widziałam sztylet i białą rękę lady Makbet — straszliwa plama była dla mnie tak samo realna, jak dla zrozpaczonej królowej.

Przeczytałam „Króla Lira" wkrótce po „Makbecie" i nigdy nie zapomnę, jaką zgrozą przejęła mnie scena wyłupywania oczu Gloucesterowi. Gniew mnie porwał, palce zdrętwiały. Przez dłuższą chwilę siedziałam bez ruchu. Krew pulsowała mi w skroniach, a w sercu wzbierała nienawiść, do jakiej może być zdolne dziecko.

Z Szajlokiem i Szatanem musiałam się zaznajomić mniej więcej w tym samym czasie, gdyż dwie te postacie od dawna zespoliły się w moim umyśle. Pamiętam, że było mi ich żal. Czułam niewyraźnie, że nie mogliby być dobrzy, nawet gdyby tego pragnęli, gdyż nikt, jak się zdaje, nie kwapił się pomóc im lub okazać tolerancję. Nawet dziś nie mogę się na to zdobyć, żeby ich całkowicie potępić. Nachodzą mnie chwile, gdy czuję, że Szajlokowie i Judasze, a nawet Diabeł to są tylko złamane szprychy w wielkim kole Dobra i że w swoim czasie wszystko się naprawi.

Dziwne, że pierwsza lektura Szekspira pozostawiła mi tyle przykrych wspomnień. Wesołe, pogodne, fantastyczne sztuki — te, które obecnie najwięcej lubię — początkowo nie przypadły mi do gustu, może dlatego, że pełno w nich słońca i wesołości właściwej dziecinnemu wiekowi. Ale „nie ma nic bardziej kapryśnego niż pamięć dziecka: jedno zatrzyma, a drugie zgubi".

Później wczytywałam się w sztuki Szekspira i wiele ustępów umiem na pamięć, jednak nie zdołam powiedzieć, którą najwięcej lubię. Tak jak zmieniają się moje nastroje, zmieniają się moje zachwyty dla tych arcydzieł. Piosenki i sonety są dla mnie tak świeże i zadziwiające jak dramaty. Ale przy całej miłości dla Szekspira nuży mnie często doszukiwanie się w jego wierszach znaczeń, jakich się w nich dopatrzyli krytycy i komentatorzy. Próbowałam zapamiętać ich interpretacje, ale dręczyło mnie to i zniechęcało. Więc zawarłam ze sobą ugodę, że dam temu pokój. Tę ugodę raz tylko złamałam, studiując Szekspira pod kierunkiem profesora Kittredge'a. Wiem, że w Szekspirze i na świecie jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem, i cieszy mnie, gdy zasłona po zasłonie unosi się stopniowo, ukazując mi nowe dziedziny myśli i piękna.

Po poezji najbardziej lubię historię. Przeczytałam wszystkie dzieła historyczne, które mogłam dostać, od katalogu suchych faktów i jeszcze suchszych dat do malowniczej „Historii narodu angielskiego" Greena; od „Dziejów Europy" Freemana do „Wieków średnich" Emertona. Pierwszą książką, która pozwoliła mi zrozumieć sens historii, była „Historia świata" Swintona, którą otrzymałam na trzynaste urodziny. Chociaż podobno nie jest już ona aktualna, zachowałam ją jednak jako jeden z moich skarbów. Dowiedziałam się z niej, jak różne rasy ludzkie wędrowały z kraju do kraju i budowały miasta; jak nieliczni wielcy władcy, ziemscy Tytani, zagarniali wszystko, jak władczym słowem otwierali bramy szczęśliwości dla milionów i zamykali je przed milionami; jak rozmaite narody przodowały w sztuce i wiedzy i przygotowywały grunt pod potężniejszy rozwój przyszłych epok; jak cywilizacje szły poniekąd na ofiarę całopalną zwyrodniałym wiekom i znów się odradzały jak Feniks między szlachetniejszymi synami Północy i jak dzięki wolności, tolerancji i oświacie wielcy i mądrzy utorowali drogę ocalenia dla całego świata.

Lektura w college'u zapoznała mnie w pewnej mierze z literaturą francuską i niemiecką. Dla Niemca siła znaczy więcej niż piękno, a prawda więcej niż konwencja i to zarówno w życiu, jak w literaturze. We wszystkim, co czyni, ujawnia się gwałtowny rozmach, jakby walił młotem. Kiedy przemawia, to nie dlatego, żeby zrobić wrażenie na słuchaczach, ale dlatego, że serce by mu pękło, gdyby nie znalazł wyładowania dla myśli gorejących w duszy.

Poza tym podoba mi się w literaturze niemieckiej subtelna powściągliwość. Ale główna jej chwała to stwierdzenie zbawczej potęgi bezinteresownej kobiecej miłości. Ta myśl przenika całą literaturę niemiecką. Wyraził ją Goethe w mistycznym zakończeniu „Fausta":

Wszystko, co mija, jest
Li przyrównaniem;
To, czego brak nam jest,
Tu nam się stanie;
Co niewysłowione jest,
Byt ziści ten;
Wieczna kobiecość nas
Pociąga hen.

Ze wszystkich autorów francuskich, jakich czytałam, najwięcej lubię Molière'a i Racine'a. U Balzaka są piękne rzeczy, a niektóre ustępy Mérimé'ego uderzają w czytelnika jak przejmujący podmuch morskiego wiatru. Alfred de Musset jest niemożliwy! Wiktora Hugo podziwiam, mam uznanie dla jego geniuszu, świetności, romantyzmu, chociaż szczególnie za nim nie przepadam. Ale Hugo, Goethe i Schiller, i wszyscy poeci wszystkich wielkich narodów są wyrazicielami wieczystych wartości, i mój duch podąża za nimi ze czcią tam, gdzie Piękno, Prawda i Dobro to jedno.

Obawiam się, że za bardzo się rozpisałam o moich książkowych przyjaciołach, a przecież wspomniałam tylko tych, których najwięcej kocham. Z tego faktu można by łatwo wyprowadzić wniosek, że mam bardzo ograniczony i niedemokratyczny krąg przyjaciół, a takie wrażenie byłoby mylne.

Lubię wielu autorów z wielu powodów — Carlyle'a za jego szorstkość i wzgardę dla obłudy; Wordswortha, bo naucza o jedności człowieka z naturą; dziwactwa i niespodzianki u Hooda sprawiają mi nadzwyczajną przyjemność; tak samo jak u Herricka orginalność i uchwytna woń róż i lilii w jego wierszach; Whittiera lubię za jego entuzjazm i prawość. Znałam go, i miłe wspomnienie naszej przyjaźni zdwaja przyjemność, jaką znajduję w czytaniu jego poezji. Kocham Marka Twaina — któż go nie kocha? Bogowie też go kochali i obdarzyli wszelką mądrością, chroniąc przed pesymizmem, rozpięli nad jego duszą tęczę miłości i wiary. Scotta lubię za jego świeżość, rozmach i głęboką prawość. Kocham wszystkich pisarzy, których umysły, jak np. Lovella, mienią się w słońcu optymizmu niby fontanny radości i życzliwości. Czasami buchnie z nich śpiew, a czasami tryśnie kojąca fala współczucia i litości.

Słowem, literatura jest moją Utopią. W tej krainie mam prawo obywatelstwa. Obcowanie z moimi książkowymi przyjaciółmi sprawia mi największą przyjemność. Przemawiają do mnie bez skrępowania czy niezręczności. To, czego się nauczyłam, i to, czego mnie nauczono, wydaje mi się w porównaniu z ich „bezgranicznym umiłowaniem i miłosierdziem" śmiesznie nieważne.

ROZDZIAŁ XXII

Mam nadzieję, że czytelnicy nie wywnioskowali na podstawie poprzedniego rozdziału o książkach, że czytanie jest jedyną moją przyjemnością. Bynajmniej. Moje przyjemności i rozrywki są liczne i urozmaicone.

Nieraz już w ciągu tej opowieści wspominałam o moim zamiłowaniu do przyrody i sportów na świeżym powietrzu. Jako zupełnie mała dziewczynka nauczyłam się wiosłować i pływać i w lecie, we Wrentham prawie nie opuszczałam łodzi. Nie ma dla mnie większej przyjemności, jak zabierać miłych przyjaciół na wycieczki wioślarskie. Oczywiście nie potrafię kierować sprawnie łodzią. Zazwyczaj ktoś siada przy sterze, podczas gdy ja wiosłuję. Czasami jednak wiosłuję bez steru. To prawdziwa zabawa sterować kierując się zapachem wodnych traw, lilii i krzewów zarastających brzegi. Używam wioseł z rzemykami przytrzymującymi je w dulkach i po oporze wody orientuję się, czy wiosła są dobrze zrównoważone. W taki sam sposób poznaję, czy płynę pod prąd. Lubię walczyć z wiatrem i falą. Jak przyjemnie panować nad łódką mknącą lekko po migotliwych falach, którą prąd znosi.

Przepadam również za canoe. Przypuszczam, że uśmiechniecie się, gdy powiem, że najwięcej lubię canoe w księżycowe noce. To prawda, że nie mogę widzieć, jak księżyc wynurza się zza sosen i mknie cicho po nieboskłonie, tworząc lśniącą ścieżkę, żebyśmy mogli ciągnąć w ślad za nim; ale wiem, że tam jest, i gdy opieram się o poduszki i spuszczam rękę w wodę, to wyobrażam sobie, iż czuję lśnienie jego szat, gdy przechodzi. Niekiedy zuchwała rybka prześliznie mi się między palcami. Często lilia wodna przytula się nieśmiało do mojej ręki. Nieraz, gdy wynurzamy się z jakiejś zatoki czy przesmyku, uświadamiam sobie nagle bezmiar otaczającego nas powietrza. Wydaje mi się, że tonę w świetlistym cieple. Czy spływa ono na mnie z drzew, rozgrzanych przez słońce, czy ciągnie od wody, nie mogę się nigdy zorientować. To samo dziwne wrażenie odnosiłam nawet w mieście.

Ulubioną moją rozrywką jest żeglowanie. W lecie 1901 roku byłam w Nowej Szkocji i miałam po raz pierwszy w życiu spo-

sobność zaznajomić się z oceanem. Po kilkudniowym pobycie w stronach Ewangeliny, którym piękny poemat Longfellowa nadał tyle uroku, pojechałam z panną Sullivan do Halifaxu, gdzie zabawiłyśmy większą część lata. Port był dla nas rajem szczęśliwości. Odbywałyśmy wspaniałe żeglarskie wycieczki do Przystani Bedforda, do Wyspy McNabba, do Reduty York i do Zatoki Północno-Zachodniej. A wieczorami spędzałyśmy cudowne godziny w cieniu ogromnych cichych okrętów wojennych. Wszystko było takie piękne, takie ciekawe! To wspomnienie jest dla mnie nieprzemijającą radością.

Pewnego dnia miałyśmy niezwykłą przygodę. Na Zatoce Północno-Zachodniej odbywały się regaty, w których brały udział łodzie z różnych okrętów wojennych. Popłynęłyśmy żaglówką razem z wieloma innymi, żeby móc lepiej obserwować. Setki małych żaglówek mijały nas z bliska w tę i tamtą stronę. Morze było spokojne. Po wyścigach, gdyśmy wracały, ktoś z obecnych spostrzegł nadciągającą od morza czarną chmurę. Chmura ta rosła, gęstniała, wreszcie pokryła całe niebo. Zerwał się wicher i fale tłukły gniewnie o niewidzialne zapory. Nasza łódeczka walczyła z wichurą. Z rozpostartymi żaglami i napiętymi linami zdawała się dosiadać wiatru. To wirowała na wzburzonej wodzie, to wyskakiwała w górę na gigantycznej fali, ale groźny żywioł strącał ją w otchłań. Naciągając liny i przekładając żagiel walczyliśmy z wiatrem, który rzucał nami z szaloną furią to w prawo, to w lewo. Serca waliły nam jak młotem, ręce drżały z podniecenia, nie ze strachu, bo miałyśmy serca Wikingów i wiedziałyśmy, że nasz sternik opanuje sytuację. W końcu zziębnięte, głodne i znużone dobiłyśmy do naszej przystani.

Ostatnie lato spędziłam w jednym z najbardziej uroczych zakątków Nowej Anglii. We Wrentham przeżyłam prawie wszystkie radości i smutki. Przez wiele lat „Czerwona Farma" nad Stawem Króla Filipa, siedziba pana J. E. Chamberlina i jego rodziny, była mi domem. Wspominam z najgłębszą wdzięcznością dobroć tych drogich przyjaciół i spędzone u nich szczęśliwe dni. Towarzystwo ich przemiłych dzieci wiele dla mnie znaczyło. Uczestniczyłam we wszystkich ich zabawach, wędrówkach leśnych i igraszkach w wodzie. Miło mi wspominać szczebiot mal-

ców. Z jaką uciechą słuchali moich opowiadań o elfie, gnomie, chytrym niedźwiedziu. Pan Chamberlin tłumaczył mi tajemnice drzew i dzikich kwiatów. Doszłam do tego, że maleńkim uchem miłości słyszałam przepływ soków w dębie. Widziałam też błyski słońca przesuwające się z listków na listki.

Zdaje mi się, że w każdym z nas drzemie zdolność odczuwania wrażeń i wzruszeń, których ludzkość doświadczała od wieków. Każdy człowiek ma podświadomie w pamięci zieloną ziemię i szemrzące wody, więc ani ślepota, ani głuchota nie mogą pozbawić go tego poniekąd siódmego zmysłu — duchowego zmysłu, który jednocześnie widzi, słyszy, czuje.

We Wrentham mam wielu przyjaciół wśród drzew. Jedno z nich, wspaniały dąb, jest szczególną dumą mego serca. Wszystkim moim innym przyjaciołom pokazuję to królewskie drzewo. Rośnie ono na urwisku, ponad Stawem Króla Filipa. Ci, którzy znają się na drzewach, utrzymują, że musi ono liczyć od ośmiuset do tysiąca lat. Według podania, pod tym drzewem król Filip, bohaterski wódz Indian, pożegnał ostatnim spojrzeniem ziemię i niebo.

Miałam jeszcze drugie przyjazne drzewo, łagodne i bardziej przystępne niż ten wielki dąb — lipę, która rosła na podwórzu, przed drzwiami „Czerwonej Farmy". Raz po południu, w czasie okropnej burzy, poczułam straszliwe uderzenie w ścianę i zanim mi powiedzieli, wiedziałam, że to moja lipa runęła. Wyszliśmy popatrzeć na bohaterkę, która przetrzymała tyle burz. Serce mi się ścisnęło na widok powalonej olbrzymki, potężnej w dążeniu w górę i potężnej w upadku.

Ale nie wolno mi przecież zapominać, że miałam przede wszystkim opiewać ostatnie lato. Natychmiast po egzaminach pośpieszyłyśmy obie z panną Sullivan do tego zielonego zakątka, gdzie mamy nieduży domek nad jednym z trzech jezior, które są chlubą Wrentham. Tutaj długie słoneczne dni należały całkowicie do mnie. Praca, college i hałaśliwe miasto zeszły na dalszy plan. Dochodziły nas tu echa wydarzeń światowych — wojen, przymierzy, konfliktów społecznych. Słyszałyśmy o okrutnych, niepotrzebnych walkach na dalekim Pacyfiku. Wiedziałyśmy, że poza granicami naszego Edenu ludzie tworzyli his-

torię w pocie czoła, kiedy lepiej opłaciłby im się wypoczynek. Lecz niewiele nas to wszystko obchodziło. Tamto były rzeczy przemijające, a tutaj jeziorom, lasom, rozległym, rozgwieżdżonym stokrotkami polom i wonnym łąkom sądzone było trwać wiecznie.

Ludzie, którzy uważają, że wszelkie wrażenia dochodzą nas przez oczy i uszy, okazywali zdziwienie, że ja wyczuwam w ogóle różnicę między spacerem po ulicy i po wiejskiej drodze. Uważali, że o różnicy mógł stanowić chyba brak bruku. Zapominają, że całe moje ciało reaguje na otoczenie. Turkot i hałas miejski razi mi nerwy w twarzy, poza tym czuję bezustanny tupot niewidzialnych tłumów. Ten tupot i niesKładny zgiełk działają mi na cały ustrój nerwowy. Zgrzytanie ciężkich wozów po bruku i monotonny warkot samochodów są tym większą torturą dla nerwów, że uwagi mojej nie absorbuje panorama ulic, którą dostrzegają inni. Na wsi widzi się jedynie cuda Natury i nie zasmuca człowieka okrutna walka o byt, która toczy się nieustannie w przeludnionym mieście. Zaszłam kilka razy w wąskie, brudne uliczki, gdzie mieszka biedota, i oburzenie mnie ogarnia, i krew gorącą falą uderza do głowy na myśl, że dobrzy ludzie żyją sobie w pogodzie ducha, w pięknych domach, nabierając sił i zdrowia, podczas gdy inni, skazani na wegetację w ohydnych, bezsłonecznych norach, brzydną, więdną, znoszą poniżenia. Uwijające się tłumnie na brudnych uliczkach dzieci, na pół nagie i niedożywione, uchylają się przed wyciągniętą do nich ręką jak przed uderzeniem. Drogie stworzonka kulą się w moim sercu i prześladują mnie jak uczucie nieustępliwego bólu. Są także mężczyźni i kobiety jak gdyby sękaci i karykaturalnie połamani. Czułam ich twarde, szorstkie dłonie i pojęłam, że życie ich musi być bezustanną szarpaniną, jakby serią utarczek, daremnych usiłowań dokazania czegoś. Życie ich wydaje się olbrzymią rozbieżnością między wysiłkiem a możliwościami. Mówi się, że słońce i powietrze to dary Boże dla wszystkich. Ale czyż tak jest naprawdę? W mrocznych uliczkach owego miasta słońce nie świeci, a powietrze jest cuchnące. O, człowieku, jak możesz zapominać o swoim bracie i krzywdzić go mówiąc jednocześnie: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", skoro on jest bez chle-

ba? Och, żeby tak ludzie zechcieli porzucić miasta z ich splendorem, tumultem i złotem i wrócić do lasów, pól i prostego uczciwego życia! Wtedy dzieci wyrastałyby wysoko jak szlachetne drzewa, a myśli ich byłyby dobre i czyste jak przydrożne kwiaty. Gdy po roku pracy w mieście powracam na wieś, nie mogę się oprzeć takim refleksjom.

Co za radość czuć znów pod stopami miękką elastyczną ziemię, podążać trawiastymi dróżkami, które prowadzą nad strumyki skryte wśród paproci, i maczać palce w rwących potokach, albo wspinać się po skalnej ścianie na zielone pola, opadające w dół w wesołym rozpędzie.

Następna moja przyjemność po spacerach to jazda na tandemie. Co to za rozkosz czuć wiatr uderzający w twarz i sprężysty bieg mojego stalowego rumaka. Szybki pęd napełnia mnie cudownym poczuciem siły i rześkości, a ruch sprawia, że puls tańczy, a serce śpiewa.

Mój pies często towarzyszy mi w spacerach pieszych, a także w łodzi. Miałam mnóstwo przyjaciół z psiego rodu. Bywały to ogromne brytany, łagodnookie spaniele, orientujące się w lasach wyżły i poczciwe swojskie bullterriery. Obecnie panuje nad moim sercem jeden z tych ostatnich. Ma długi rodowód, zakrzywiony ogon i niesłychanie zabawną mordkę. Przyjaciele-psy zdają się rozumieć moje upośledzenie i gdy jestem sama, nigdy nie odstępują mnie na krok. Przepadam za ich psimi czułościami i wymownym merdaniem ogonów.

Gdy deszcz nie pozwala mi wyjść z domu, zabawiam się tak, jak inne dziewczęta. Lubię robić na drutach i szydełkiem. Czytuję na chybił-trafił, na wyrywki. Albo gram w szachy i w warcaby z kimś z przyjaciół. Mam do tych gier specjalną szachownicę. W kwadratach są wgłębienia i figury mocno się w nich trzymają. Czarne figury są płaskie, a białe nieco wypukłe. W każdym jest w środku otwór, w który można wetknąć mosiężną gałkę dla odróżnienia króla od pospólstwa.

Figury szachowe są dwojakiej wielkości, białe większe od czarnych, tak że nietrudno mi śledzić ruchy przeciwnika przesuwając lekko dłońmi po szachownicy. Ruch towarzyszący przenoszeniu figur z dołka ostrzega, kiedy na mnie kolej.

Jeżeli przypadkiem jestem zupełnie sama i w leniwym na-

stroju, wtedy stawiam ulubionego pasjansa. Używam do gry kart znaczonych w prawym rogu u góry symbolami Braille'a, wskazującymi starszeństwo karty.

Gdy w pobliżu są dzieci, nie ma dla mnie większej przyjemności jak figle z nimi. Nawet najmniejsze dziecko jest wspaniałym towarzystwem. Miło mi stwierdzić, że dzieci okazują mi na ogół sympatię. One prowadzą mnie wokoło i pokazują rzeczy, które mnie interesują. Oczywiście te maleńkie nie umieją pisać na paluszkach, ale ja radzę sobie czytając ich usteczka. Jeżeli mi się to nie udaje, malcy uciekają się do pantominy. Zdarza się, że się pomylę i zrobię nie to, co potrzeba. Wybuch dziecinnego śmiechu jest odpowiedzią na moją pomyłkę i pantomina rozpoczyna się od nowa. Często opowiadam im bajki albo uczę jakiejś gry, tak ulatują uskrzydlone godziny, a my jesteśmy grzeczni i szczęśliwi.

Muzea i sklepy z dziełami sztuki są dla mnie również źródłem przyjemności i natchnienia. Wielu ludziom wyda się to niewątpliwie dziwne, że ręka nie wspomagana wzrokiem może wyczuć w marmurze ruch, uczucie i piękno. A jednak ja naprawdę doświadczam prawdziwej rozkoszy estetycznej dotykając wielkich dzieł sztuki. Gdy wodzę koniuszkami palców po liniach i krzywiznach, odkrywam myśli i uczucia, które artysta wcielił w marmur. Potrafię wyczuć w twarzach bogów i bohaterów odwagę, nienawiść i miłość tak jak potrafię wykryć te uczucia na twarzach żywych ludzi. W postaci Diany wyczuwam swobodę i wdzięk lasu oraz ducha, który poskramia górskiego lwa i ujarzmia najdziksze namiętności. Moja dusza rozkoszuje się wdzięcznymi liniami odpoczywającej Wenery. W brązach Barré'ego objawiają mi się tajemnice dżungli.

W moim gabineciku wisi dogodnie nisko medalion Homera, tak że mogę łatwo sięgać do tej pięknej smutnej twarzy i wodzić po niej ręką z czcią i miłością. Jakże dobrze znam każdą bruzdę na tym majestatycznym czole! Świadczą one o zaznanych w życiu gorzkich zmaganiach i udrękach. A te niewidzące oczy, chociaż w zimnym gipsie, wypatrują jeszcze światła i błękitnych niebios ukochanej Hellady, ale wypatrują daremnie. A te piękne usta, jakież stanowcze, szczere i czułe! To jest twarz poety, a także człowieka, który zaznał niemało zgryzot. Ach, jak ja

dobrze rozumiem jego upośledzenie — wieczną noc, wśród której przebywał.

Czarna pomroka wśród blasku południa!
Ciemność wieczysta, wieczyste zaćmienie
Bez nadziei na świtanie.

W wyobraźni słyszę, jak Homer śpiewa, niepewnymi, chwiejnymi krokami wędrując po omacku od obozowiska do obozowiska — śpiewa o życiu, miłości, wojnie, o wspaniałych czynach. Był to cudny, wspaniały śpiew. Zapewnił on ślepemu poecie nieśmiertelny wieniec, podziw wszystkich wieków.

Zastanawiam się czasem, czy ręka nie jest wrażliwsza na piękno rzeźby niż oko. Powiedziałabym, że rytmiczność linii i krzywizn można subtelniej wyczuć, niż dostrzec. Ale jakkolwiek jest, wiem na pewno, że mogę wyczuć tętno serc starożytnych Greków w ich marmurowych bogach i boginiach.

Jeszcze jedna przyjemność, rzadziej doświadczana niż inne, to chodzenie do teatru. Cieszę się, gdy mi ktoś opisuje przebieg akcji na scenie. Wolę to, niż czytać sztukę, bo w teatrze wydaje mi się, że żyję wśród rozgrywających się sensacyjnych wydarzeń. Miałam szczęście poznać kilku aktorów i aktorek obdarzonych taką władzą oczarowywania ludzi, że zapominając o czasie i miejscu, żyją znów w romantycznej przeszłości. Pozwolono mi dotknąć twarzy i kostiumu panny Ellen Terry, gdy występowała w roli królowej. Była w niej boskość, zamykająca w sobie najwznioślejszą boleść. Obok niej stał sir Henry Irving przybrany w emblematy królewskie. W postawie jego i w każdym geście ujawniał się wielki intelekt, a w każdej linii jego wrażliwej twarzy — przemożna, zwycięska królewskość.

Znam również pana Jeffersona. Dumna jestem, bo zaliczam go do swych przyjaciół. Zawsze staram się z nim zobaczyć, gdy przypadkiem znajdę się w miejscowości, gdzie on występuje. Pierwszy raz widziałam go na scenie w czasie studiów w Nowym Jorku. Grał Rip Van Winkle'a. Wiele razy czytałam to opowiadanie, ale dopiero w sztuce wyczułam czar spokojnej, szczególnej uprzejmości Ripa. Piękna patetyczna gra pana Jeffersona ogromnie mnie zachwyciła. Mam w palcach obraz starego Ripa.

Nigdy go one nie stracą. Po przedstawieniu panna Sullivan zaprowadziła mnie do niego za kulisy. Zbadałam palcami jego przedziwny ubiór, rozwiane włosy i brodę. Jefferson pozwolił mi dotknąć swojej twarzy, tak że mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądał, gdy się przebudził z tego swojego dziwnego dwudziestoletniego snu. Pokazał mi również, jak biedny Rip dźwigał się chwiejnie na nogi.

Widziałam go także w „Rywalach". Raz, gdy go odwiedziłam w Bostonie, odegrał dla mnie najbardziej charakterystyczne partie sztuki. Pokój recepcyjny, gdzieśmy siedzieli, posłużył mu za scenę. Usiadł z synem przy wielkim stole, a Bob Acres napisał wyzwanie. Śledziłam rękami wszystkie jego ruchy i podchwytywałam komizm jego pomyłek i gestów, co nie dałoby się opowiedzieć. A potem stanęli do pojedynku. Wyczuwałam szybkie sztychy i odbicia mieczy oraz chwiejną postawę biednego Boba, gdy opuszczała go odwaga. Potem wielki aktor szarpnął płaszcz, wykrzywił twarz i w jednej chwili znalazłam się w wiosce Szumiącej Wody, i poczułam przy kolanie kudłaty łeb Wilka. Pan Jefferson recytował najlepsze dialogi z „Rip Van Winkle'a" w których łzy graniczą ze śmiechem. Prosił, żebym mu wskazała, o ile to było możliwe, gesty i czynności, które powinny towarzyszyć wypowiadanym przez niego słowom. Ponieważ nie mam wyczucia akcji dramatycznej, mogłam tylko zgadywać na chybił-trafił. Ale on z mistrzowską sztuką dostosował akcję do słów. Westchnienie Ripa, gdy skarży się: „Więc tak prędko zapominają o człowieku, gdy odejdzie?", przerażenie, z jakim szuka psa i strzelby po swoim długim śnie, i komiczne niezdecydowanie, gdy idzie o podpisanie kontraktu z Derrickiem — wszystko to wydaje się wzięte wprost z życia, to jest z idealnego życia, gdzie wszystko dzieje się tak, jak, naszym zdaniem, powinno się dziać.

Pamiętam pierwszą moją bytność w teatrze. Było to dwanaście lat temu. W tym czasie grała Elsie Leslie w Bostonie i panna Sullivan wzięła mnie ze sobą na „Księcia i żebraka", żebym ją zobaczyła. Nigdy nie zapomnę zmiennej fali radości i smutku w tej pięknej sztuce ani cudownego dziecka, które w niej występowało. Po przedstawieniu pozwolono mi iść do niej za kulisy. Miała na sobie szaty królewskie. Gdy tak stała w chmurze zło-

tych włosów opadających na ramiona, uśmiechnięta promiennie, nie okazując wcale ani onieśmielenia, ani zmęczenia, chociaż grała przed olbrzymim audytorium, była tak śliczna, tak urocza, że trudno byłoby znaleźć śliczniejszą lub milszą dziewczynkę. Dopiero uczyłam się mówić i powtarzałam jej imię bez końca, dopóki nie potrafiłam go wypowiedzieć poprawnie. Wyobraźcie sobie moją radość, gdy zrozumiała to, co mówiłam, i bez wahania wyciągnęła do mnie rękę.

Czyż nieprawda, że moje życie ze wszystkimi swoimi brakami graniczy ze Światem Piękna? Wszystko ma swoje cudowne strony, nawet ciemność i milczenie, więc cokolwiek przypada mi w udziale, uczę się godzić z losem.

Prawda, iż zdarza się, gdy siedzę samotna, oczekująca u zatrzaśniętych bram życia, poczucie odosobnienia ogarnia mnie jak zimna mgła. Za tą zaporą jest światło, muzyka, urocze towarzystwo, ale dla mnie wstęp jest tam wzbroniony. Milczący, bezlitosny los zagradza mi drogę. Chętnie zakwestionowałabym jego despotyczny dekret, gdyż moje serce nie wyzbyło się jeszcze nieokiełznanych, namiętnych uniesień. Jednakże język nie chce wypowiedzieć cisnących się na usta gorzkich, daremnych słów. Spadają w głąb serca jak niewylane łzy. W mojej duszy panuje wielka cisza. Innym razem znów przybliża się uśmiechnięta nadzieja i szepcze: „Radość jest w samozapomnieniu". Więc staram się uczynić moim słońcem światło cudzych oczu, moją symfonią muzykę grającą w cudzych uszach, a moim szczęściem uśmiech na cudzych ustach.

ROZDZIAŁ XXIII

Gdybym mogła wymienić w tych wspomnieniach nazwiska wszystkich tych, którzy przyczynili się do mojego szczęścia! Niektóre z nich zapisały się na kartach naszej literatury i stały się drogie licznym sercom, podczas gdy inne okazałyby się dla większości moich czytelników zupełnie nie znane. Ale ich wpływ, chociaż nie ma nic wspólnego ze sławą, osiągnie nieśmiertelność w życiu tych, którym osłodził i uszlachetnił egzystencję.

W naszym bytowaniu zdarzają się świąteczne dni, kiedy spotykamy ludzi, którzy działają na nas jak piękna poezja; którzy uściskiem ręki potrafią wyrazić bezgraniczną sympatię; których ujmujące bogate natury udzielają się naszym niecierpliwym duchom w postaci cudownego uspokojenia. Kłopoty, irytacje, udręki, które nas nękały, rozwiewają się, niczym majaki senne, i jak przebudzeni oglądamy nowymi oczami i słuchamy nowymi uszami piękno i harmonię prawdziwego świata. Błahostki, wypełniające nasze powszednie życie, rozkwitają nagle w świetne możliwości. Krótko mówiąc, gdy tacy przyjaciele są blisko nas, czujemy, że wszystko jest dobrze. Możeśmy ich nie widzieli nigdy przedtem i może nigdy ich już nie spotkamy na naszej ścieżce, ale wpływ ich spokojnych, łagodnych natur jest niby balsam wylany na nasze wzburzone myśli. Czujemy jego ożywczą ochłodę; tak jak starą toń oceanu ożywia świeży górski strumień.

Często słyszę pytanie, czy ludzie mnie nie nudzą. Nie bardzo rozumiem, o co właściwie chodzi. Pewno, że wizyty nudziarzy i ciekawskich, zwłaszcza reporterów, są zawsze niepożądane. Nie lubię też ludzi, którzy starają się zniżać do mojego poziomu. To tak jak ci, którzy idąc ze mną usiłują dostosowywać kroki. Hipokryzja jest w obydwóch wypadkach jednakowo irytująca.

Najbardziej wymowne są dla mnie ręce spotykanych osób. Dotknięcie niektórych to po prostu impertynencja. Spotykałam ludzi tak chłodnych, że ściskając ich lodowate palce, miałam uczucie, że witam się z północno-wschodnim sztormem. Ale są tacy, których ręce mają w sobie blaski słońca, ich uścisk rozgrzewa mi serce, może to być np. pieszczotliwe dotknięcie dziecinnej rączki. Lecz dla mnie jest w nim tyle potencjalnego blasku słońca, jak dla innych w czułym spojrzeniu. Serdeczny uścisk ręki lub przyjacielski list — to dla mnie prawdziwa radość.

Mam wielu dalekich przyjaciół, których nigdy nie widziałam. Jest ich faktycznie tak wielu, że często nie jestem w możności odpowiadać na ich listy. Ale pragnę tu wyjaśnić, że zawsze jestem wdzięczna za życzliwe słowa, chociaż nie reaguję na nie tak, jak powinnam.

Do najmilszych przywilejów mego życia zaliczam spotkania z genialnymi ludźmi. Poznałam ich wielu. Tylko ci, którzy znali biskupa Brooksa, mogą ocenić radość, jaką przyjaźń z nim wnosiła w życie tych szczęśliwych uprzywilejowanych. Jako dziecko lubiłam siadywać mu na kolanie i ściskać jego wielką rękę moją malutką łapką, podczas gdy panna Sullivan wpisywała mi w drugą jego piękne rozważania o Bogu. Słuchałam go z dziecinnym podziwem. Udzieliła mi się jego radość życia. Gdy się z nim rozstawałam, unosiłam z sobą nową piękną myśl, która w miarę jak dojrzewałam, pogłębiała się i pięknała. Kiedy dziwiłam się, dlaczego tak wiele religii jest na świecie, odpowiedział:

— Jest jedna uniwersalna religia, Helenko — religia miłości. Kochaj twego Niebieskiego Ojca całym sercem i duszą, kochaj każde dziecię Boże, jak tylko możesz, i pamiętaj, że możliwości dobra są większe niż możliwości zła, a zdobędziesz klucz do nieba.

Jego życie było wspaniałą ilustracją tej wielkiej prawdy. W tej szlachetnej duszy miłość i rozległa wiedza stapiały się z wiarą. Biskup Brooks nie uczył mnie żadnych poszczególnych wierzeń czy dogmatów. Po prostu wpajał we mnie dwie wielkie idee — ojcostwa Boga i braterstwa ludzi. Odczułam dzięki niemu, że te prawdy leżą u podstaw wszystkich form czci i wierzeń. Bóg jest miłością, jest naszym Ojcem, a my Jego dziećmi, a więc najczarniejsze chmury rozpłyną się i jakkolwiek dobro będzie poniewierane, zło nie zatriumfuje.

Jestem zbyt szczęśliwa na tym świecie, żeby wiele rozmyślać o przyszłym życiu, tyle tylko, że pamiętam o drogich mi istotach oczekujących mnie w zaświatach. Lata minęły, a wydają mi się zawsze bliscy, iż nie zdziwiłabym się, gdyby w jakiejś chwili uścisnęli mi rękę i przemówili serdecznymi słowami, jak to czynili kiedyś.

Po śmierci biskupa Brooksa przeczytałam Biblię od deski do deski. Przestudiowałam również kilka dzieł filozoficznych traktujących o religii, między innymi „O niebie i jego cudach, również o piekle" Swedenborga i „Wzlot człowieka" — Drummonda i nie znalazłam żadnego wyznania czy systemu filozoficznego bardziej przemawiającego do duszy niż religia miłości

biskupa Brooksa. Znałam pana Henryka Drummonda i uścisk jego silnej ciepłej ręki wspominam jak błogosławieństwo. Był bardzo żywy i dowcipny, nie można było nudzić się w jego towarzystwie.

Pamiętam doskonale pierwsze spotkanie z doktorem Oliverem Wendell Holmesem. Pewnego niedzielnego popołudnia zaprosił mnie i Annę Sullivan. Była wczesna wiosna i właśnie nauczyłam się mówić. Wprowadzono nas wprost do biblioteki. Siedział w ogromnym fotelu przy kominku, w którym trzaskał ogień. Powiedział, że rozmyślał o dawnych czasach.

— „I wsłuchiwał się pan w szum rzeki Calcasieu" — podsunęłam.

— Tak — odpowiedział — ta rzeka nasuwa mi wiele drogich wspomnień.

W pokoju unosił się zapach farby drukarskiej i skóry, z czego wywnioskowałam, że musi w nim być dużo książek. Wyciągnęłam instynktownie rękę. Moje palce natrafiły na piękny tom poezji Tennysona. Gdy mi panna Sullivan powiedziała, co to za autor, zaczęłam deklamować:

Szumcie, o, fale! Tłuczcie się o brzegi
Zimne, skaliste i nieustępliwe!

Ale nagle urwałam. Poczułam łzy na ręce. Doprowadziłam mojego ukochanego poetę do płaczu. Byłam zrozpaczona. Posadził mnie w swoim fotelu i przynosił mi różne ciekawe rzeczy do obejrzenia. Na jego prośbę zadeklamowałam „Wielokomorowego łodzika", ulubiony mój wiersz. Po tej pierwszej wizycie często widywałam doktora Holmesa i pokochałam go i jako człowieka, i jako poetę.

Wkrótce po pierwszym spotkaniu z doktorem Holmesem, w piękny dzień letni, odwiedziłam w towarzystwie nauczycielki Whittiera w cichym domu nad Merimakiem. Jego niezwykła grzeczność i serdeczna przemowa chwyciły mnie za serce. Miał zbiór swoich wierszy wydanych wypukłym drukiem. Przeczytałam „Ze szkolnych dni". Był zachwycony moją dobrą wymową i powiedział, że doskonale mnie rozumie. Zadałam mu wiele pytań tyczących się tego wiersza i czytałam odpowiedzi, kładąc mu palce na wargach. Powiedział, że chłopczyk w wier-

szu to on, a dziewczynce było na imię Sally, i wiele innych szczegółów, których nie pamiętam. Deklamowałam również „Laus Deo". Przy końcowych zwrotkach wsunął mi w rękę posążek niewolnicy w skulonej postawie. Opadały z niej więzy tak, jak opadły ze Św. Piotra, gdy anioł wyprowadzał go z więzienia. Potem poszliśmy do gabinetu, gdzie ofiarował swój autograf mojej nauczycielce i wyraził podziw dla jej pracy, mówiąc do mnie:

— Ona wyswobodziła cię z niewoli duchowej!

(Oto treść autografu: „Z wielkim uwielbieniem dla Twego szlachetnego dzieła oswobodzenia z niewoli umysłu Twojej drogiej wychowanki. Twój szczery przyjaciel, John G. Whittier".)

Potem odprowadził nas do furtki i pocałował mnie czule w czoło. Obiecałam odwiedzić go za rok. Nie zdążyłam. Zmarł przed upływem roku.

Do moich najstarszych przyjaciół należy doktor Edward Everett Hale. Poznałam go mając osiem lat. Miłość moja do niego potęgowała się z biegiem czasu. Jego mądra, serdeczna przyjaźń wspierała moją nauczycielkę i mnie w ciężkich chwilach, a silna ręka dopomogła przeprawić się przez niejedno wyboiste miejsce. To, co uczynił dla nas, uczynił również dla tysięcy ludzi mających takie lub inne trudności. Napełniał stare naczynia dogmatów nowym winem miłości i pokazywał ludziom, co to jest wierzyć, żyć i być wolnym. To, czego nauczał, wyrażał pięknie własnym życiem. A nauczał miłości ojczyzny, dobroci dla najskromniejszych maluczkich i szczerego dążenia wzwyż. Był prorokiem i natchnieniem dla ludzi. Był przyjacielem ludzkości. Niech go Bóg błogosławi!

Pisałam już o moim pierwszym spotkaniu z doktorem Aleksandrem Grahamem Bellem. Spędziłam z nim wiele szczęśliwych dni w Waszyngtonie i w jego pięknej posiadłości w sercu Cape Breton Island, w pobliżu Baddecku, wioski wsławionej dzięki książce Charlesa Dudleya Warnera. Tutaj, w gabinecie doktora Bella albo wśród pól na wybrzeżu jeziora Bras d'Or spędziłam wiele przyjemnych chwil w jego towarzystwie. Opowiadał mi o swoich doświadczeniach, a ja pomagałam mu puszczać latawce, dzięki którym spodziewał się wykryć prawa mające znaleźć zastosowanie przy budowie przyszłych statków po-

wietrznych. Doktor Bell jest biegły w wielu naukach i potrafi zainteresować każdym przedmiotem, nawet gdy chodzi o najbardziej zawiłe teorie. Człowiekowi zaczyna się wydawać, że gdyby tylko miał trochę więcej czasu, to także mógłby zostać wynalazcą. Jest pełen humoru i ma bardzo poetyczną duszę. A to jego przemożne umiłowanie dzieci! Jest najszczęśliwszy z głuchym maleństwem w objęciach. Jego osiągnięcia w pracy dla głuchych ostaną się i będą uszczęśliwiać przyszłe pokolenia upośledzonych dzieci. Kochamy go za to, czego sam dokonał, i za to, co innym przekazał.

W okresie dwuletniego pobytu w Nowym Jorku miałam wiele okazji do rozmów z wybitnymi osobistościami, które znałam ze słyszenia, ale których nie spodziewałam się poznać. Większość ich spotkałam w domu mego dobrego przyjaciela, pana Laurence'a Huttona. Wielkie to było dla mnie wyróżnienie bywać u niego i u kochanej pani Hutton — w ich ślicznym mieszkaniu. Powiedziano słusznie o panu Huttonie, że posiada on dar budzenia w ludziach najlepszych uczuć i najlepszych myśli. Nie potrzeba czytać „Dzieci, które znałem", żeby go zrozumieć — tego najszlachetniejszego, najmilszego chłopca, jakiego znałam, dobrego przyjaciela w doli czy niedoli, który śledzi tropy miłości w życiu psów równie dobrze, jak w życiu bliźnich.

Pani Hutton jest moją szczerą, wypróbowaną przyjaciółką. Jej zawdzięczam moje najmilsze, najcenniejsze wspomnienia. Ona najczęściej radziła mi i pomagała w moich trudach w college'u. Gdy mam zniechęcające trudności w pracy, listy jej rozweselają mnie i dodają otuchy. Bo to jest jedna z tych osób, od których uczymy się, iż wypełnienie uciążliwego obowiązku sprawia, że następny już jest prostszy i łatwiejszy.

Pan Hutton przedstawił mnie wielu swoim przyjaciołom ze sfer literackich. Najsławniejsi z nich to pan William Dean Howells i Mark Twain. Poznałam również Ryszarda Watsona Gildera i Edmunda Clarence'a Stedmana, a także pana Charlesa Dudleya Warnera, niezwykle uroczego gawędziarza o tak wielkim sercu, iż można o nim powiedzieć, że kochał wszystkie żyjące istoty, a swego sąsiada jak siebie samego. Pewnego razu pan Warner przyprowadził do mnie kochanego poetę lasów — Johna Burroughsa. Wszyscy byli uprzejmi, mili, sympatyczni.

Ich czarujące maniery zachwycały mnie na równi z ich świetnymi poezjami i esejami. Nie mogłam dotrzymać kroku wszystkim tym literatom, gdy przerzucali się z tematu na temat, zagłębiali w dysputy lub błyskotliwie przeplatali konwersację epigramami i zręcznymi dowcipami. Byłam niby mały Ascanius podążający nierównymi krokami za Eneaszem, gdy ten stąpał, jak przystoi herosowi, ku swojemu przeznaczeniu. Ale często zwracali się do mnie z łaskawymi słowami. Pan Gilder opowiadał mi o swoich księżycowych podróżach przez rozległą pustynię w drodze do Piramid, a w liście, który do mnie napisał, zrobił pod podpisem głęboki znak na arkuszu, żebym mogła wyczuć. To mi przypomina, że doktor Hale nadawał listom do mnie swoiste piętno, wykłuwając swój podpis Braille'em. Odczytałam z warg Marka Twaina parę jego doskonałych opowiadań. Ten człowiek robił wszystko w charakterystyczny sposób. Uścisk jego ręki mówił o jego ogromnej żywotności. Nawet gdy wypowiada swoją cyniczną mądrość tym nieopisanie komicznym głosem, wie się, że jego serce to tkliwa Iliada ludzkiego współczucia.

W Nowym Jorku poznałam mnóstwo innych interesujących osób: panią Mary Mapes Dodge, ukochaną redaktorkę „St. Nicholas" (Św. Mikołaj) i panią Riggs (Kate Douglas Wiggin) przemiłą autorkę „Patsy". Otrzymałam od nich upominki. Książki, pełne ich myśli, listy, w których odbijają się ich dusze, i fotografie, których opisów nigdy nie mam dosyć. Brak miejsca nie pozwala mi wymienić wszystkich przyjaciół. Co prawda to w odniesieniu do nich pewne rzeczy kryją się za skrzydłami cherubinów, bo zbyt one święte, żeby je podawać w zimnym druku. Nawet o pani Hutton wspomniałam z wahaniem.

Wspomnę jeszcze o dwóch przyjaznych mi osobach. Jedna to pani William Thaw z Pittsburga, którą odwiedzałam często w jej siedzibie w Lyndhurst. Ona zawsze myśli tylko o uszczęśliwianiu innych. Obie od chwili poznania nigdy nie zawiodłyśmy się na jej szlachetności i dobrych radach.

Wobec drugiego przyjaciela mam również wielki dług wdzięczności. Jest on dobrze znany z niezwykłej energii, z jaką kieruje ogromnym przedsiębiorstwem. Nadzwyczajne uzdolnienia zjednały mu powszechny szacunek. Uczynny dla wszystkich,

milczący, dyskretny, krząta się pełniąc dobre uczynki. Znów dotykam kręgu czcigodnych nazwisk, których nie wolno mi wymienić, ale chętnie wygłosiłabym pochwałę jego wspaniałomyślności i serdecznej sympatii, co umożliwiło mi studia.

Więc tak się stało, że przyjaciele złożyli się na historię mego życia. Na tysiąc sposobów przeobrazili moje ograniczenia w piękne przywileje i sprawili, że w cieniu upośledzenia stąpam pogodna i szczęśliwa.

CZĘŚĆ DRUGA

Listy (1887—1901)

WSTĘP

Listy Heleny Keller mają znaczenie jako przyczynki do historii jej życia oraz ukazują jej rozwój umysłowy i zdolność wypowiadania się. Pod tym względem okazała się osobą wybitną.

Jednakże listy te są godne uwagi nie tylko dlatego, że wyszły spod pióra głuchociemnej dziewczyny. Jako takie budzą podziw i ciekawość; poza tym są doskonale napisane. Najlepsze ustępy to te, gdzie mówi o sobie i przedstawia świat pod kątem własnych przeżyć. Jej poglądy na następstwo porównania dnia z nocą są bez znaczenia, natomiast niezmiernie doniosłe są wypowiedzi na takie tematy, jak: czym dla niej jest mowa, jak wyczuwała posągi, psy, kurczęta na pokazie drobiu i jak, stojąc w bocznej nawie kościoła św. Bartłomieja, czuła dźwięki organów. Takich ustępów chciałoby się czytać więcej. Jest ich stosunkowo niewiele, ale ponieważ autorka przez całe życie starała się być „taka jak inni ludzie", więc bardzo często opisuje rzeczy nie tak, jak jej się przedstawiają, lecz jak odczuwają to ludzie, którzy widzą i słyszą.

Listy jej są także dlatego cenne, iż jest ich tak dużo. Mają one charakter ćwiczeń, na których wyrobiła się w sztuce pisania. Często zmieniała miejsce pobytu, podróżując po kraju. Rozstawała się więc z tymi czy tamtymi przyjaciółmi i krewnymi. Wśród przyjaciół było wielu wybitnych ludzi, do których — sądzę, że nierzadko ze szkodą dla spontaniczności wypowiedzi — czuła się w obowiązku pisać jak najlepiej. Do tych przyjaciół, z którymi łączy ją szczególnie serdeczny stosunek, pisuje szczerze, o wszystkim, co jej przychodzi na myśl. Jej naiwne powtarzanie zasłyszanej dziecinnej powiastki, jak na przykład o „Małym Jakeyu", którą wygłosiła przed doktorem Holmesem i biskupem Brooksem, jest czarujące, a poważna parafraza bieżącej lekcji geografii czy botaniki, papuzie powtarzanie tego, co usłyszała, oraz świadome popisywanie się nowymi słowami są miłe i pouczające, gdyż wykazują nie tylko to, czego się nauczyła, ale i w jaki

sposób — zamieszczając te wiadomości w listach — przyswajała sobie nową wiedzę i nowe słówka.

A zatem wybór korespondencji Heleny Keller ma na względzie dwa cele — ilustrację jej rozwoju i zachowanie najbardziej interesujących i najlepszych fragmentów z kilkuset listów. Wiele tych listów sprzed 1892 roku ogłosił w swych sprawozdaniach Instytut Perkinsa. Do tej daty listy są podane w całości, gdyż uzasadnione jest zainteresowanie postępami takiego dziecka w sztuce pisania nawet w takich szczegółach jak interpunkcja. Dobrze więc jest, aby zachowały się zupełnie niezmienione. Z późniejszych listów ułożyłam pewnego rodzaju antologię, przytaczając ustępy najlepsze pod względem stylu i najważniejsze z punktu widzenia biograficznego. Tam, gdzie mogłam zajrzeć do oryginałów, podałam je tak, jak Helena Keller pisała, zachowując ściśle pisownię i interpunkcję. Praca polegała na wyborze i skrótach.

Listy są ułożone w porządku chronologicznym. Kilka z nich od biskupa Brooksa, doktora Holmesa i Whittiera zamieściłam zaraz po listach, na które są odpowiedzią. Z wyjątkiem paru ważnych listów z roku 1901 wybór korespondencji kończy się rokiem 1900. W tym roku Helena Keller wstąpiła do college'u. Teraz, kiedy jest dorosłą kobietą, jej „dorosłe" listy powinny podlegać takiej samej ocenie jak listy innych ludzi. Najlepiej byłoby nie ogłaszać już jej korespondencji, chyba że wyróżni się czymś więcej niż tym, że jest jedyną na świecie głuchociemną osobą z wyższym wykształceniem.

Panna Sullivan zaczęła uczyć Helenę Keller 3 marca 1887 roku. W trzy i pół miesiąca po wpisaniu jej w rączkę pierwszego słowa, dziewczynka nakreśliła ołówkiem ten list:

DO KUZYNKI ANNY, PANI GEORGE T. TURNER

Tuscumbia, Alabama, 17 czerwca 1887 r.

helena pisać list anna george da helenie jabłko simpson upoluje ptaka jack da helenie cukierek doktor da mildred lekarstwo mama uszyje mildred nową sukienkę.

(bez podpisu)

W dwadzieścia pięć dni później, bawiąc na krótkiej wizycie z dala od domu, napisała do matki. Dwa słowa są prawie nieczytelne, a kanciaste drukowane litery pochylają się na wszystkie strony.

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Huntsville, Alabama, 12 lipca 1887 r.

Helena napisze do mamy list tatuś dał helenie lekarstwo mildred będzie siedzieć na huśtawce mildred pocałowała helenę nauczycielka dała helenie brzoskwinię george jest chora w łóżku george ma skaleczoną rękę anna dała helenie lemoniady pies wstał.

Konduktor przeciął bilet tatuś dał helenie pić wody w wagonie.

carlotta dała helenie kwiaty anna kupi helenie ładny nowy kapelusz helena uściska i ucałuje mamę helena wróci do domu babcia kocha helenę.

do zobaczenia

(bez podpisu)

We wrześniu Helena okazuje coraz większe postępy — budowa zdania staje się pełniejsza, a powiązania myślowe rozleglejsze.

DO NIEWIDOMYCH DZIEWCZYNEK W INSTYTUCIE PERKINSA
W POŁUDNIOWYM BOSTONIE

Tuscumbia, wrzesień 1887 r.

Helena napisze list do niewidomych dziewczynek Helena i nauczycielka pojadą odwiedzić niewidome dziewczynki Helena i nauczycielka pojadą do bostonu parowym pociągiem Helena i niewidome dziewczynki będą się bawić niewidome dziewczynki umieją mówić na palcach Helena zobaczy Pana anagnosa Pan anagnos będzie kochał i całował Helenę Helena pójdzie do szkoły z niewidomymi dziewczynkami Helena umie czytać i liczyć i sylabizować i pisać tak jak niewidome dziewczynki mildred nie pojedzie do bostonu Mildred płacze prince i jumbo pojadą do bostonu tatuś strzela do kaczek z dubeltówki i kaczki wpadają do wody a jumbo i mamie pływają w wodzie i przynoszą tatusiowi kaczki w pysku Helena bawi się z psami Helena jeździ konno z nauczycielką Helena daje konisiowi z ręki nauczycielka pogania batem konisia żeby prędko szedł Helena jest niewidoma helena włoży list dla niewidomych dziewczynek do koperty.

do zobaczenia

Helenka Keller

W parę tygodni później styl jej jest już znacznie poprawniejszy i swobodniejszy. Przyswaja sobie coraz więcej zwrotów idiomatycznych, jakkolwiek nadal opuszcza przecinki i używa niewłaściwego czasu przeszłego, jak to zwykle czynią dzieci.

DO NIEWIDOMYCH DZIEWCZYNEK W INSTYTUCIE PERKINSA

Tuscumbia, 24 października 1887 r.

drogie niewidome dziewczynki

Napiszę do was list dziękuję wam za ładny pulpit napisałam na nim do mamy w memphis mama i mildred wróciły do domu w środę mama przywiozła mi nową ładną sukienkę i kapelusz tatuś pojechał do huntsville przywiózł mi jabłek i karmelków ja i nauczycielka przyjedziemy do bostonu i zobaczymy was nancy to moja lalka ona płacze ja kołyszę nancy do

snu mildred jest chora doktor da jej lekarstwo żeby była zdrowa. Ja i nauczycielka poszłyśmy do kościoła w niedzielę pan lane czytał z książki i mówił Pani grała na organach. Ja dałam człowiekowi pieniądze w koszyk. Ja będę grzeczną dziewczynką i nauczycielka zrobi mi śliczne loki. Będę ściskać i całować niewidome dziewczynki pan anagnos przyjedzie mnie odwiedzić.

do zobaczenia

Helenka Keller

DO PANA MICHAŁA ANAGNOSA, DYREKTORA INSTYTUTU PERKINSA

Tuscumbia, listopad 1887 r.

drogi panie anagnos napiszę do pana list. Ja i nauczycielka miałyśmy obrazki nauczycielka pośle to panu fotograf robi obrazki. cieśla buduje nowe domy. ogrodnik kopie i gracuje i sadzi warzywa. moja lalka nancy śpi. ona jest chora. mildred jest zdrowa wuj frank pojechał polować na sarny. jak wróci do domu będziemy mieli dziczyznę na śniadanie. jeździłam taczkami a nauczycielka popychała simpson dał mi prażonej kukurydzy i orzechów włoskich. kuzynka róża pojechała do matki. w niedzielę ludzie idą do kościoła. przeczytałam w mojej książce o lisie i skrzynce. lis może siedzieć w skrzynce. lubię czytać w mojej książce. pan mnie kocha. ja kocham pana.

do zobaczenia

Helenka Keller

DO DOKTORA ALEKSANDRA GRAHAMA BELLA

Tuscumbia, listopad 1887 r.

Drogi Panie Bell!

Cieszę się, że piszę do pana list. Ojciec pośle panu obrazek. Ja i ojciec i ciocia pojechaliśmy do pana do Waszyngtonu. Bawiłam się pana zegarkiem. Kocham pana. Byłam u doktora w Waszyngtonie. Obejrzał moje oczy. Umiem czytać powiastki w mojej książce. Umiem pisać i sylabizować i liczyć. grzeczna dziewczynka. Moja siostra umie chodzić i biegać. Bawimy się z Jumbo. Prince nie jest dobry pies. Nie potrafi nosić ptaków. Szczur zabił malutkie gołąbki. Bardzo mi przykro. Szczur nie

wie że to źle. Ja i mama i nauczycielka pojedziemy w czerwcu do Bostonu. Zobaczę niewidome dziewczynki. Nancy pojedzie ze mną. To grzeczna lalka. Ojciec kupi mi śliczny nowy zegarek. Kuzynka Anna dała mi ładną lalkę. Ma na imię Allie.

Do zobaczenia

Helenka Keller

Z początkiem następnego roku wyrażenia zyskują na poprawności. Przybywa przymiotników, w tym przymiotników oznaczających barwy. Jakkolwiek Helena nie może mieć zmysłowego wyobrażenia o kolorach, to przecież umie się nimi posługiwać instynktownie, tak jak my to czynimy w odniesieniu do większości słów. Prawda polega tu nie na wrażeniu, lecz na fakcie. Poniższy list pisała do koleżanki w Instytucie Perkinsa.

DO PANNY SARY TOMLINSON

Tuscumbia, Ala., 2 stycznia 1888 r.

Kochana Saro!

Szczęśliwa jestem, że piszę do ciebie dziś rano. Mam nadzieję, że pan Anagnos prędko mnie odwiedzi. W czerwcu pojadę do Bostonu i kupię ojcu rękawiczki, Jamesowi ładny kołnierzyk, a Simpsonowi mankiety. Widziałam pannę Betty i jej uczniów. Mieli ładną choinkę, a na choince było dużo ładnych podarków dla małych dzieci. Ja miałam kubek i ptaszka i karmelki. Miałam dużo ślicznych rzeczy na gwiazdkę. Ciocia dała mi walizkę dla nancy i ubranka. Poszłam na zabawę z nauczycielką i matką. Tańczyliśmy i bawiliśmy się i jedliśmy orzechy i karmelki i ciastka i pomarańcze i ja skakałam z małymi chłopcami i dziewczynkami. Pani Hopkins przysłała mi śliczny podarek, kocham ją i niewidome dziewczynki.

Mężczyźni i chłopcy robią dywany w fabrykach tkackich. Wełna rośnie na owcach. Mężczyźni strzygą wełnę z owiec wielkimi nożycami i posyłają do tkalni. Mężczyźni i kobiety robią wełniane sukno w fabrykach tkackich.

Bawełna rośnie na polach na wysokich łodygach. Mężczyźni i chłopcy i dziewczęta i kobiety zbierają bawełnę. My robimy z bawełny nici i bawełniane sukienki. Bawełna ma na sobie ładne białe i czerwone kwiaty. Nauczycielka rozdarła sukienkę.

Mildred płacze. Ja będę niańczyć Nancy. Matka kupi mi śliczne nowe fartuszki i sukienkę do Bostonu. Pojechałam z ojcem i ciocią do Knoxville. Bessie jest słaba i mała. Kurczęta pani Thompson zadziobały kurczęta Leili. Ewa śpi w moim łóżku. Kocham grzeczne dziewczynki.

Do zobaczenia

Helenka Keller

W następnych dwóch listach wspomina o swoim pobycie w styczniu u krewnych w Memphis w Tennessee. Zaprowadzono ją na giełdę bawełnianą. Zbadawszy palcami mapy i tablice zapytała: „Czy mężczyźni chodzą do szkoły?" Napisała na tablicy nazwiska wszystkich obecnych panów. W Memphis zwiedziła wielki statek parowy na Missisipi.

DO DOKTORA EVERETTA HALE'A

Tuscumbia, Alabama, 15 lutego [1888 r.]

Drogi Panie!

Jestem szczęśliwa, że piszę do pana list dziś rano. Nauczycielka mówiła mi o dobrym panu z radością przeczytam ładną powiastkę czytam powiastki w mojej książce o tygrysach i lwach i owcach.

W czerwcu przyjadę do Bostonu w odwiedziny do niewidomych dziewczynek i pana odwiedzę. Pojechałam do Memphis do babci i Cioci Nannie. Nauczycielka kupiła mi śliczną sukienkę i czapeczkę i fartuszki. Mała Natalia to słabiutkie malutkie dzidzi. Ojciec pokazał nam statek parowy. Na wielkiej rzece. Statek taki jak dom. Mildred jest dobre dzidzi. Strasznie lubię bawić się z siostrzyczką. Nancy nie była grzeczna jak pojechałam do Memphis. Płakała na cały głos. Więcej dziś nie napiszę. Jestem zmęczona.

Do zobaczenia

Helenka Keller

DO PANA MICHAŁA ANAGNOSA

Tuscumbia, Ala., 24 lutego 1888 r.

Mój Drogi Panie!

Cieszę się, że piszę do pana list Braille'em. Dziś rano Lucjan Thompson przysłał mi piękny bukiet fiołków i krokusów

i żonkili. W niedzielę Adelina Moses przywiozła mi śliczną lalkę. Z Nowego Jorku. Lalka nazywa się Adelina Keller. Potrafi zamykać oczy i zginać ręce i siadać i stawać prosto. Ma na sobie ładną czerwoną sukienkę. To jest siostra Nancy a ja jestem ich matką. Allie jest ich kuzynką. Nancy była niegrzeczna jak pojechałam do Memphis. Płakała na cały głos. Wybiłam ją kijem.

Mildred karmi kurczątka okruszkami. Strasznie lubię bawić się z siostrzyczką.

Nauczycielka i ja pojechałyśmy do Memphis odwiedzić ciocię Nannie i babcię. Luiza jest dzieckiem cioci Nannie. Nauczycielka kupiła mi śliczną sukienkę i rękawiczki i pończoszki i kołnierzyki a babcia uszyła mi ciepłe flanelowe majteczki a ciocia Nannie uszyła mi fartuszki. Pani zrobiła mi ładną czapeczkę. Odwiedziłam Roberta i pana Gravesa i panią Graves i małą Natalię i pana Farrisa i pana Mayo i Mary i wszystkich. Kocham Roberta i nauczycielkę. Ona nie chce, żebym dziś więcej pisała. Czuję się zmęczona.

W kieszeni pana Gravesa znalazłam pudełko karmelków. Ojciec pokazał nam statek parowy taki jak dom. Statek był na bardzo wielkiej rzece. Yates orał dziś podwórze, żeby sadzić trawę. Muł ciągnął pług. Mama założy ogród warzywny. Ojciec zasadzi melony i groch i fasolę.

Kuzyn Bell przyjedzie do nas w sobotę. Mama zrobi na obiad lody będziemy mieli na obiad lody i ciasto. Lucjan Thompson jest chory. Bardzo mi go żal.

Nauczycielka i ja poszłyśmy na spacer na podwórze. Uczyłam się jak rosną kwiaty i drzewa. Słońce wschodzi na wschodzie a zachodzi na zachodzie. Sheffield jest na północy a Tuscumbia na południu. W czerwcu pojedziemy do Bostonu. Będę się bawić z niewidomymi dziewczynkami.

Do zobaczenia

Helenka Keller

Adres następnego listu — „wuj Morrie" — to pan Morrison Heady z Normandii w Kentucky, który jako chłopiec stracił wzrok i słuch. Jest on autorem zupełnie udanych wierszy.

DO PANA MORRISONA HEADY

Tuscumbia, Ala., 1 marca 1888 r.

Mój Drogi Wujku Morrie!

Jestem szczęśliwa pisząc do ciebie list, kocham cię, a jak cię zobaczę, to cię uściskam i ucałuję.

Pan Anagnos przyjeżdża do mnie w poniedziałek. Strasznie lubię biegać i skakać i podskakiwać z Robertem w ciepłym jasnym słońcu. Znam dziewczynkę w Lexington Ky., nazywa się Katarzyna Hobson.

W czerwcu jadę do Bostonu z mamą i nauczycielką. Będę się bawiła z niewidomymi dziewczynkami, a pan Hale przyśle mi ładną powiastkę. W mojej książce czytam powiastki o lwach i tygrysach i niedźwiedziach.

Mildred nie pojedzie do Bostonu, ona płacze. Strasznie lubię bawić się z siostrzyczką. To słabe małe dzidzi. Ewie jest lepiej.

Yates zabił mrówki, mrówki ukąsiły Yatesa. Yates kopie w ogrodzie. Pan Anagnos widział pomarańcze, wyglądają jak złote jabłka.

Robert odwiedzi mnie w niedzielę kiedy słońce świeci i będę się z nim bawiła. Mój kuzyn Frank mieszka w Louisville. Znowu pojadę do Memphis zobaczyć pana Farrisa i panią Graves i pana Mayo i pana Gravesa. Natalia jest grzeczna dziewczynka i nie płacze i będzie duża i pani Graves szyje dla niej krótkie sukienki. Natalia ma powozik. Pan Mayo był w Duck Hill i przywiózł do domu świeżych kwiatów.

Dużo serdeczności i całusów

Helenka A. Keller

W opisie pikniku znajdujemy ciekawy dowód wybitnych zdolności pedagogicznych Anny Sullivan. Umiała łączyć zabawę z nauką. Tego dnia dziewczynka przyswoiła sobie wiele nowych słów.

DO PANA MICHAŁA ANAGNOSA

Tuscumbia, Ala., 3 maja 1888 r.

Drogi Panie Anagnos!

Cieszę się, że piszę do pana dziś rano, bo bardzo pana kocham. Byłam bardzo uszczęśliwiona, jak otrzymałam ładną książkę i pyszne karmelki i dwa listy od pana. Niedługo do

pana przyjadę i będę pana bardzo wypytywać o kraje i pan będzie kochał grzeczne dziecko.

Mamusia szyje mi ładne nowe sukienki do Bostonu i będę ślicznie wyglądała, jak się zobaczę z dziewczynkami i chłopcami i z panem. W piątek nauczycielka i ja poszłyśmy na piknik dla małych dzieci. Graliśmy w różne gry i jedliśmy obiad pod drzewami i znajdowaliśmy paprocie i dzikie kwiaty. Chodziłam po lasach i nauczyłam się nazw wielu drzew. Są tam topole i cedry i sosny i dęby i jesiony i orzechy i klony. Od nich jest miły cień i ptaszki lubią fruwać tam i z powrotem i śpiewać wdzięcznie w koronach. Króliki skaczą i wiewiórki biegają i brzydkie węże pełzają w lasach. Geranium i róże, jaśminy i kamelie to ogrodowe kwiaty. Pomagam mamie i nauczycielce podlewać je co wieczór przed kolacją.

Kuzyn Artur zrobił mi huśtawkę na jesionie. Ciocia Ewelina pojechała do Memphis. Wuj Frank jest tutaj. Zbiera truskawki na obiad. Nancy jest znowu chora, bo rosną jej ząbki. Adelina jest zdrowa i będzie mogła jechać ze mną w poniedziałek do Cincinnati. Ciocia Ewelina przyśle mi lalkę chłopczyka, Harry będzie bratem Nancy i Adeliny. Malutka siostrzyczka jest grzeczna dziewczynka. Jestem teraz zmęczona i chcę zejść na dół. Razem z listem przesyłam moc uścisków i całusów.

Twoje ukochane dziecko

Helenka Keller

Pod koniec maja pani Keller, Helena i panna Sullivan wyjechały do Bostonu. Po drodze zatrzymały się parę dni w Waszyngtonie, gdzie widziały się z doktorem Aleksandrem Grahamem Bellem i złożyły wizytę prezydentowi Clevelandowi. 26 maja przybyły do Bostonu i udały się do Instytutu Perkinsa; tutaj Helena poznała się z niewidomymi dziewczynkami, z którymi od roku korespondowała.

W początkach lipca pojechała do Brewster, gdzie spędziła resztę lata. Tutaj poznała morze, o czym później dużo pisała.

DO PANNY MARY C. MOORE

Pd. Boston, Mass., wrzesień 1888 r.

Moja Kochana Pani!

Czy się bardzo cieszysz tym milutkim listem od twojej ukochanej przyjaciółeczki? Kocham Cię bardzo serdecznie dlatego,

że jesteś moją przyjaciółką. Moja najdroższa siostrzyczka jest teraz zupełnie zdrowa. Lubi siadywać w moim foteliku na biegunach i usypiać swojego kotka. Czy chciałabyś zobaczyć kochaną malutką Mildred? To bardzo ładne dzidzi. Ma ogromne niebieskie oczka, policzki mięciutkie okrągłe różowe a włoski bardzo jasne złote. Jest bardzo grzeczna i milutka, jeżeli nie płacze na cały głos. Na drugie lato będzie Mildred wychodziła ze mną do ogrodu i będzie zrywać wielkie słodkie truskawki, to będzie bardzo szczęśliwa. Spodziewam się, że nie będzie zjadała za dużo tych pysznych owoców, bo będzie od nich bardzo chora.

Proszę Cię przyjedź kiedy do mnie do Alabamy i odwiedź mnie! Mój wujek James ma kupić dla mnie bardzo łagodnego kuca i ładny wózek, to będę Cię zabierała na przejażdżki — Harry też się z nami zabierze — będę bardzo szczęśliwa. Chyba Harry nie będzie się bał mojego kucyka. Myślę, że tatuś kupi mi z czasem ślicznego małego braciszka. Będę z moim nowym braciszkiem bardzo łagodna i cierpliwa. Jak pojadę zwiedzać obce kraje, braciszek i Mildred zostaną u babci, bo będą za mali i zlękliby się tłumów ludzi i pewno by głośno płakali na wielkim wzburzonym oceanie.

Jak kapitan Baker wyzdrowieje, to zawiezie mnie swoim wielkim okrętem do Afryki. Tam zobaczę lwy i tygrysy i małpy. Wezmę sobie lewka i białą małpę i łagodnego niedźwiedzia i przywiozę do domu. W Brewster bawiłam się bardzo dobrze. Chodziłam się kąpać prawie co dzień i Carrie i Frank i mała Hela i ja mieliśmy używanie. Chlapaliśmy się i skakali i brodzili w głębokiej wodzie. Teraz już nie boję się leżeć na wodzie. Czy Harry umie kłaść się na wodzie i pływać? Przyjechałyśmy do Bostonu w czwartek i pan Anagnos cieszył się okropnie, że mnie widzi, ściskał mnie i całował. Dziewczynki wracają do szkoły w środę.

Czy nie byłabyś łaskawa prosić, żeby Harry napisał do mnie prędko bardzo długi list? Jak przyjedziesz mnie odwiedzić w Tuscumbii, to pewno mój ojciec będzie miał dużo słodkich jabłek i soczystych brzoskwiń i pysznych gruszek i wybornych winogron i ogromnych arbuzów.

Chyba myślisz o mnie i kochasz mnie, bo jestem grzeczne dziecko.

Dużo serdeczności i dwa całusy
od twojej przyjaciółeczki
Helenki A. Keller

W następnym opisie wizyty przyjaciół spostrzeżenia Helenki są na poziomie przeciętnej ośmioletniej dziewczynki, może z wyjątkiem naiwnego zadowolenia ze śmiałości młodych dżentelmenów.

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Pd. Boston, Mass., wrzesień 1888 r.

Moja Kochana Mamo!

Pewnie rada będziesz dowiedzieć się wszystkiego o mojej wizycie w West Newton. Nauczycielka i ja bawiłyśmy się doskonale wśród wielu miłych przyjaciół. Z Bostonu do West Newton nie jest daleko i jechałyśmy bardzo prędko parowymi wagonami.

Pani Freeman i Currie z Ethel, Frank i Hela przyjechali po nas na stację ogromnym powozem. Byłam uszczęśliwiona, że widzę moich drogich małych przyjaciół, toteż ściskałam ich i całowałam. Potem jechaliśmy długo, żeby obejrzeć wszystko co piękne w West Newton. Dużo bardzo ładnych domów i duże zielone miękkie trawniki naokoło i drzewa i śliczne kwiaty i fontanny. Koń nazywa się Prince jest bardzo łagodny i lubi kłusować bardzo szybko.

Po przyjeździe zobaczyliśmy osiem królików i dwa tłuste szczenięta i milutkiego białego kucyka i dwa malutkie kociątka i ładnego z kręconymi kudełkami pieska, który nazywa się Don. Kucyk nazywa się Mollie. Przyjemnie mi się na nim jechało i nie bałam się. Chyba wujek kupi mi niedługo kucyka i mały wózek.

Clifton nie pocałował mnie, bo on nie lubi całować małych dziewczynek. On jest nieśmiały. Bardzo się cieszę, że Frank i Clarence i Robbie i Eddie i Charles i George nie byli bardzo nieśmiali. Było dużo dziewczynek. Bawiłam się z nimi. Co to była za uciecha! Jeździłam na trycyklu Carrie i zrywałam kwiaty i owoce i skakałam i brykałam i tańczyłam i jeździłam. Dużo

pań i panów przyjeżdżało nas zobaczyć. Lucy i Dora i Charles urodzili się w Chinach. Ja urodziłam się w Ameryce, a pan Anagnos urodził się w Grecji. Pan Drew mówi, że w Chinach małe dziewczynki nie umieją mówić palcami, ale pewno je nauczę, jak pojadę do Chin. Chińska niania przyszła mnie zobaczyć. Nazywa się Asu. Pokazywała mi maleńkie *atze* noszone w Chinach przez bardzo bogate panie, bo one nigdy nie mają dużych stóp. *Amah* znaczy niańka. Wróciliśmy do domu końmi, bo to była niedziela, a parowe wagony nieczęsto chodzą w niedzielę. Konduktorzy i maszyniści są bardzo zmęczeni i chcą odpocząć w domu. Widziałam w wagonie małego Willie Swana. Dał mi soczystą gruszkę. Ma sześć lat. Co ja robiłam, jak miałam sześć lat? Mamo, poproś ojca, żeby przyjechał na pociąg po mnie i nauczycielkę. Bardzo się martwię, że Ewa i Bessie są chore. Mam nadzieję, że w moje urodziny będzie miła zabawa. Żeby tak Carrie i Ethel i Frank i Hela przyjechali do mnie do Alabamy. Czy Mildred będzie ze mną spała jak wrócę do domu.

Moc serdeczności i tysiąc całusów
od twojej kochanej córeczki
Helenki A. Keller

W lipcu pojechała do Plymouth. Poniższy list, napisany w trzy miesiące później, dowodzi, jak dobrze zapamiętała pierwszą lekcję historii.

DO PANA MORRISONA HEADY

Południowy Boston, Mass., 1 października 1888 r.

Mój Drogi Wuju Morrie!

Myślę, że bardzo się ucieszysz, gdy otrzymasz list od twojej kochanej małej przyjaciółki Heleny. Jestem bardzo szczęśliwa pisząc do Ciebie, bo myślę o Tobie i kocham Cię. Czytam ładne powiastki w książce, którą mi przysłałeś, o Karolu i jego łodzi, i o Arturze, i jego śnie, i Róży, i owcach.

Byłam na wielkiej łodzi, takiej jak statek. Mama i nauczycielka, i pani Hopkins, i pan Anagnos, i pan Rodocanachi, i dużo jeszcze przyjaciół pojechało do Plymouth oglądać różne stare pamiątki.

Opowiem ci coś niecoś, jak to było z tym Plymouth.

Wiele lat temu mieszkało w Anglii dużo dobrych ludzi, ale król i jego przyjaciele nie byli życzliwi, łagodni i cierpliwi dla dobrych ludzi, bo król nie lubił, jak go ludzie nie słuchali. Ludzie nie lubili chodzić do kościoła razem z królem, ale lubili budować sobie bardzo miłe kościółki.

Król bardzo się rozgniewał na ludzi, a oni się martwili i powiedzieli, że odjadą daleko do obcego kraju i tam będą mieszkali i porzucą bardzo drogie strony rodzinne i przyjaciół, i niedobrego króla. Więc zapakowali wszystkie swoje rzeczy do wielkich skrzyń i powiedzieli: „Żegnajcie". Żal mi ich, bo bardzo płakali. Gdy przybyli do Holandii, nie znali tam nikogo. I nie mogli wiedzieć o czym ludzie rozmawiali, bo nie umieli po holendersku. Ale niedługo nauczyli się trochę holenderskich słów, ale kochali swój własny język i nie chcieli, żeby mali chłopcy i dziewczynki zapomnieli go i nauczyli się mówić źle po holendersku. Więc powiedzieli: „Musimy jechać daleko daleko — do nowego kraju i zbudować szkoły i domy, i kościoły, stworzyć nowe miasta". Więc załadowali do skrzyń wszystkie swoje rzeczy i powiedzieli nowym przyjaciołom: „Żegnajcie" i odżeglowali na dużym statku szukać nowej ojczyzny. Ci biedni ludzie nie byli szczęśliwi, ich serca przepełniały smutne myśli, bo niedużo wiedzieli o Ameryce. Pewno małe dzieci musiały się bać wielkiego oceanu, bo ocean jest bardzo silny i kołysze statkiem, więc małe dzieci przewracały się i kaleczyły sobie główki. Przez wiele tygodni oni byli na głębokim oceanie, gdzie nie mogli widzieć drzew ani kwiatów, ani trawy, ale tylko wodę i piękne niebo, bo wtedy statki nie mogły prędko żeglować, gdyż ludzie nie wiedzieli o maszynach i parze. Jednego dnia urodził się miły malutki chłopaczek. Nazywał się Peregrine White. Bardzo mi żal, że biedny mały Peregrine już nie żyje. Ludzie wychodzili co dzień na pokład wypatrując lądu. Jednego dnia na statku zrobił się wielki krzyk, bo ludzie zobaczyli ląd i ogromnie się cieszyli, bo dotarli bezpiecznie do nowego kraju. Małe dziewczynki i chłopcy skakali i klaskali w rączki. Wszyscy byli zadowoleni, gdy wstąpili na ogromną skałę. Widziałam tę skałę w Plymouth i mały statek taki jak „Mayflower" i kołyskę, w której spał Peregrine i dużo starych rzeczy, które

przywieziono na „Mayflower". Czy chciałbyś przyjechać kiedy do Plymouth i zobaczyć dużo starych rzeczy.

Teraz jestem bardzo zmęczona i muszę odpocząć.

Dużo serdeczności i dużo całusów
od twojej małej przyjaciółki
Helenki A. Keller

Obcych słów w dwóch poniższych listach, z których pierwszy Helena napisała po bytności w przedszkolu dla niewidomych, dowiedziała się na kilka miesięcy przedtem i zachowała je w pamięci. Przyswajała sobie słowa i wprawiała się w ich używaniu, czasami ze zrozumieniem, czasami powtarzała jak papuga. Jeżeli nawet nie zdawała sobie w pełni sprawy ze znaczenia słów lub pojęć, lubiła posługiwać się nimi w piśmie tak, jakby je rozumiała. W ten sposób nauczyła się używać poprawnie słów oznaczających dźwięk i widzenie, a więc pojęć leżących poza zasięgiem jej doświadczenia. „Edith" — to Edith Thomas.

DO PANA MICHAŁA ANAGNOSA

Roxbury, Mass., 17 października 1888 r.

Mon Cher Monsieur!

Siedzę przy oknie i świeci na mnie piękne słońce. Wczoraj ja i nauczycielka przybyłyśmy do przedszkola. Jest tutaj dwadzieścia siedmioro dzieci i wszystkie są niewidome. Przykro mi, bo nie mogą dużo widzieć. Czy kiedyś będą miały zdrowe oczy? Biedna Edith jest niewidoma i głucha, i niema. Czy bardzo panu żal mnie i Edith? Niedługo pojadę do domu i zobaczę mamę i ojca, i moją kochaną, grzeczną, milutką siostrzyczkę. Mam nadzieję, że mnie pan odwiedzi w Alabamie, to przewiozę pana moim wózkiem i pewnie miło panu będzie zobaczyć mnie na moim kochanym kucyku. Włożę moją śliczną czapeczkę i nową amazonkę. Jeżeli będzie ładne słońce, zawiozę pana w odwiedziny do Leili i Ewy, i Bessie. Jak będę miała trzynaście lat, to będę podróżować po wielu obcych i pięknych krajach. Będę się wspinać w Norwegii na bardzo wysokie góry i zobaczę dużo lodu i śniegu. Chyba nie spadnę i nie rozbiję sobie głowy. Odwiedzę w Anglii małego lorda Fauntleroya, a on chętnie mnie oprowadzi po swoim wspaniałym i bardzo starożytnym zamku. Będziemy biegali z sarnami, będziemy dawali jeść królikom,

będziemy chwytali wiewiórki. Nie będę się bała wielkiego psa Fauntleroya — Dougala. Spodziewam się, że Fauntleroy zawiezie mnie do bardzo łaskawej królowej. Jadąc do Francji nauczę się francuskiego. Mały chłopiec Francuz zapyta: *Parlez-vous francais?* a ja odpowiem: *Qui, Monsieur, vous avez un joli chapeau. Donnez moi un baiser.* Mam nadzieję, że pojedzie pan ze mną do Aten, żeby zobaczyć dziewczę z Aten. To była bardzo śliczna pani. Odezwę się do niej po grecku. Powiem tak: *se agapo* i *pos echete,* a ona pewno powie: *kalos,* a wtedy ja powiem: *chaire.* Proszę, niech pan do mnie prędko przyjedzie, dobrze? I zaprowadzi mnie do teatru. Jak pan przyjedzie, powiem: *Kale emera,* a jak pan będzie odjeżdżał: *Kale nykta.* Tak się zmęczyłam, że nie mogę więcej pisać. *Je vous aime. Au revoir.*

Od pańskiej kochającej przyjaciółeczki

Helenki A. Keller

DO PANNY EWELINY H. KELLER

Pd. Boston, Mass., 29 października 1888 r.

Moja Najdroższa Ciociu!

Niedługo wracam do domu. Myślę, że i wy wszyscy będziecie bardzo radzi ujrzeć moją nauczycielkę i mnie. Jestem bardzo szczęśliwa, bo nauczyłam się dużo różnych rzeczy. Uczę się francuskiego i niemieckiego, i łaciny, i greki. *Se agapo* znaczy po grecku, ja kocham cię. *J'ai une bonne petite soeur* znaczy po francusku, ja mam dobrą małą siostrzyczkę. *Nous avons un bon père et une bonne mère,* znaczy: my mamy dobrego ojca i dobrą matkę. *Puer* znaczy chłopiec po łacinie, a *Mutter* znaczy matka po niemiecku. Jak przyjadę do domu, będę uczyć Mildred wielu języków.

Helena A. Keller

DO PANI ZOFII C. HOPKINS

Tuscumbia, Ala., 11 grudnia 1888 r.

Moja Droga Pani!

Właśnie nakarmiłam mojego kochanego gołąbka. Mój brat Simpson ofiarował mi go w ostatnią niedzielę. Nazwałam go Annie od imienia mojej nauczycielki. Mój piesek zjadł kolację

i poszedł spać. Moje króliki też śpią i ja też zaraz pójdę spać. Nauczycielka pisze listy do swoich przyjaciół. Mama i ojciec i ich przyjaciele poszli obejrzeć wielki piec. W piecu robi się żelazo. Żelazna ruda znajduje się w ziemi; ale nie może być zużytkowana, dopóki jej nie dostarczą do pieca i nie stopią, i nie usuną brudu i zostanie tylko czyste żelazo. Wtedy jest gotowe i można z niego wyrabiać maszyny, piece, kotły i wiele innych rzeczy.

W ziemi znajduje się również węgiel. Wiele lat temu, zanim ludzie zaczęli żyć na ziemi, wielkie drzewa i wysokie trawy, i olbrzymie paprocie, i wszystkie piękne kwiaty pokrywały ziemię. Kiedy liście opadły i drzewa upadły, pokryła je woda i bagno. Potem urosło więcej drzew i też się przewróciły i nakryła je woda i bagnisko. Przez tysiące lat drzewa leżały sprasowane pod wielkim ciężarem i stały się okropnie twarde jak skała i już były gotowe na opał dla ludzi. Czy może pani dostrzec liście i paprocie, i korę na węglu? Ludzie spuszczają się w głąb ziemi i wykopują węgiel, a parowe pociągi dostarczają go do wielkich miast i sprzedają ludziom, żeby im było ciepło i dobrze, kiedy na dworze jest zimno.

Czy pani teraz bardzo samotna i smutna? Spodziewam się, że pani wkrótce przyjedzie do mnie i zostanie na dłużej.

Dużo serdeczności od małej przyjaciółki

Helenki A. Keller

DO PANNY DELLI BENNETT

Tuscumbia, Ala., 29 styczeń 1889 r.

Moja Droga Pani!

Jak mi miło pisać do Pani dziś rano. Właśnie zjedliśmy śniadanie. Mildred biega sobie na dole. Ja czytałam w mojej książce o astronomach. Astronom pochodzi od łacińskiego słowa *astra*, co oznacza gwiazdy; astronomowie to tacy ludzie, co badają gwiazdy i mówią nam o nich. Gdy my śpimy spokojnie w łóżkach, oni obserwują piękne niebo przez teleskopy. Teleskop to jest coś jak bardzo silne oko. Gwiazdy znajdują się tak daleko, że ludzie bez pomocy świetnych instrumentów nie mogą o nich wiele powiedzieć. Czy Pani lubi wyglądać oknem i patrzeć na małe gwiazdki? Nauczycielka mówi, że

z naszego okna może widzieć Wenus — to taka duża piękna gwiazda. Mówi się, że gwiazdy to bracia i siostry ziemi.

Oprócz tych instrumentów, którymi posługują się astronomowie, jest jeszcze wiele innych narzędzi. Nóż jest narzędziem do krajania. Pewnie i dzwonek jest narzędziem. Powiem Pani, co wiem o dzwonkach.

Są dzwonki muzyczne i niemuzyczne. Jedne są maleńkie, a inne bardzo wielkie. W Wellesley widziałam bardzo wielki dzwon. Przywieźli go z Japonii. Dzwonki służą do wielu celów. Mówią nam, kiedy śniadanie gotowe, kiedy iść do szkoły, kiedy czas do kościoła i kiedy jest pożar. Mówią ludziom, kiedy iść do pracy, a kiedy do domu i na spoczynek. Dzwonek parowozu oznajmia pasażerom, że zbliżają się do dworca i ostrzega ludzi, żeby nie wchodzili na tory. Czasami zdarzają się okropne wypadki i wielu ludzi pali się, topi i odnosi rany. Któregoś dnia utrąciłam głowę lalce, ale to nie był okropny wypadek, bo lalki nie żyją i nie czują jak ludzie. Moje małe gołąbki są zdrowe i mój ptaszeczek też. Chciałabym mieć trochę gliny. Nauczycielka mówi, że czas na naukę. Do zobaczenia.

Dużo serdeczności i całusów

Helena A. Keller

DO DOKTORA EDWARDA EVERETTA HALE'A

Tuscumbia, Alabama, 21 lutego 1889 r.

Mój Drogi Panie!

Bardzo się boję, że pan myśli w głębi duszy, że mała Hela zapomniała zupełnie o panu i kochanych kuzynkach. Ale pewno pan się ucieszy otrzymawszy ten list, bo pan się przekona, że ja często myślę o panu i kocham pana serdecznie, pan jest moim drogim kuzynem. Już od wielu tygodni jestem w domu. Opuszczałam Boston z wielkim smutkiem i ogromnie mi brakowało wszystkich moich przyjaciół, ale naturalnie cieszyłam się z powrotu do mojego ślicznego domu. Moja ukochana mała siostrzyczka rośnie bardzo szybko. Czasami próbuje pisać bardzo krótkie słówka na swoich małych [paluszkach], ale jeszcze za mała, żeby zapamiętać trudne słowa. Jak będzie starsza, nauczę ją wielu rzeczy, jeżeli będzie cierpliwa i posłuszna. Moja nauczycielka mówi, że jeżeli dzieci nauczą się cierpli-

wości i łagodności, gdy są małe, to jak wyrosną na młode damy i dżentelmenów, nie zapomną o uprzejmości, serdeczności i odwadze. Mam nadzieję, że zawsze będę odważna. Dziewczynka z powiastki nie była odważna. Wydawało jej się, że widzi małe elfy w wysokich spiczastych [kapelusikach] zerkające spomiędzy krzewów i tańczące po długich alejkach i biedna dziewczynka była przerażona. Czy pan miał miłą gwiazdkę? Ja dostałam dużo ślicznych upominków. Jednego dnia odbyła się u nas wspaniała zabawa. Zjawili się wszyscy moi kochani przyjaciele i przyjaciółki. Bawiliśmy się w różne gry, jedli lody, ciastka i owoce. A potem była wielka uciecha. Słońce świeci dziś jasno. Mam nadzieję, że może wybierzemy się na przejażdżkę, jeżeli drogi obeschły. Tylko patrzeć ślicznej wiosny. Bardzo się cieszę, bo przepadam za słonecznikiem i pachnącymi kwiatami. Myślę, że kwiaty rosną po to, żeby ludzie byli szczęśliwi i dobrzy. Mam teraz cztery lalki. Mój chłopaczek ma na imię Cedryk, tak jak lord Fauntleroy. On ma duże piwne oczy, długie złote włosy i okrągłe policzki. Ida to moje dzidzi. Jedna pani przywiozła mi ją z Paryża. Potrafi pić mleko jak prawdziwe dzidzi. Lucy to elegancka młoda dama, ubrana w wytworną koronkową suknię i atłasowe pantofelki. Biedna stara Nancy starzeje się i jest bardzo słaba. To już prawie kaleka. Mam dwa oswojone gołębie i malutkiego kanarka. Jumbo jest bardzo silny i wierny. Nie dopuszcza, żeby w nocy coś nam zrobiło szkodę. Co dzień idę do szkoły, uczę się czytać, pisać, arytmetyki, geografii i obcego języka. Moja mama i nauczycielka przesyłają panu i pani Hale miłe pozdrowienia, a Mildred przesyła panu całusa.

Wiele serdeczności i całusów od
kochającej kuzynki
Helenki A. Keller

W ciągu zimy panna Sullivan i jej wychowanka pracowały w domu Heleny w Tuscumbii z dobrym wynikiem, bo do wiosny dziewczynka opanowała poprawną angielszczyznę. Od końca maja 1889 roku nie spotyka się już w jej listach prawie żadnych niedokładności z wyjątkiem oczywistych pomyłek. Używa słów prawidłowo i buduje zdania swobodnie i płynnie.

Tuscumbia, Ala., 18 maja 1889 r.

Mój Drogi Panie!

Nie może pan sobie wyobrazić, jak uradował mnie list od pana otrzymany wieczorem. Przykro mi ogromnie, że pan jedzie tak daleko. Będzie nam pana okropnie brakowało. Bardzo bym chciała zwiedzać z panem różne piękne miasta. Bawiąc w Huntsville widziałam się z doktorem Brysonem. Mówił mi, że był w Rzymie i w Atenach, i w Paryżu, i w Londynie. W Szwajcarii wspinał się na wysokie góry, a w Italii i Francji zwiedzał piękne kościoły i widział ogromnie dużo starożytnych zamków. Mam nadzieję, że pan będzie pisać do mnie ze wszystkich zwiedzanych miast. A jak pan pojedzie do Holandii, to proszę pozdrowić ode mnie śliczną księżniczkę Wilhelminę. To jest bardzo sympatyczna dziewczynka, a jak dorośnie, to zostanie królową Holandii. Jeżeli pan pojedzie do Rumunii, to niech pan będzie łaskaw zapytać dobrą królową Elżbietę o jej chorego brata i powiedzieć jej, że bardzo się martwię z powodu śmierci jej ukochanej córeczki. Chciałabym przesłać całusa dla Vittoria, małego Księcia Neapolu, ale nauczycielka obawia się, że pan nie zapamięta tak wielu poleceń. Jak skończę trzynaście lat, sama ich wszystkich odwiedzę.

Dziękuję panu serdecznie za piękną powieść o lordzie Fauntleroyu i nauczycielka też.

Tak się cieszę, że Ewa przyjedzie do mnie na lato. Będziemy miały razem używanie. Niech pan pozdrowi serdecznie Howarda ode mnie i powie mu, żeby odpisał na mój list. W czwartek mieliśmy piknik. Tak było przyjemnie w cienistym lesie i piknik bardzo się nam udał.

Mildred bawi się na podwórzu, a mama zbiera pyszne truskawki. Ojciec i wuj Frank są na mieście. Simpson już wkrótce przyjedzie do domu. Kiedy byłam z Mildred w Huntsville, to nas tam sfotografowali. Przyślę panu zdjęcie.

Róże były piękne. Mama ma ogromnie dużo cudnych róż. La France i Lamarque najwięcej pachną, ale Marechal Niel, Solfaterre, Jacqueminot, Niphetos, Etoile de Lyon, Papa Gauthier, Gabrielle Drevet i Perle des Jardins wszystkie są śliczne.

Niech pan będzie łaskaw przekazać serdeczne słówka chłopcom i dziewczynkom. Myślę o nich codziennie i wszystkich ogromnie kocham. Mam nadzieję, że po powrocie z Europy będzie pan zdrowy i bardzo szczęśliwy z powrotu do domu. Niech pan nie zapomni pozdrowić ode mnie serdecznie panny Calliope Kehayia i pana Francis Demetrios Kalopothakesa.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka Adams Keller

Jak wiele wczesnych listów Heleny Keller, tak i poniższy — pisany do jej nauczycielki języka francuskiego — jest przeróbką powiastki. Dowodzi on, jak dalece dar pisania jest w stadiach początkowych zdolnością naśladowczą.

DO PANNY FANNIE S. MARRETT

Tuscumbia, Ala., 17 maja 1889 r.

Moja Droga Pani!

Myślę o kochanej małej dziewczynce, która okropnie płakała. Płakała, bo brat jej bardzo dokuczał. Opowiem pani, co on zrobił i pewnie będzie pani bardzo żal małego dziecka. Dziewczynka dostała prześliczną lalkę. O, to była cudna delikatna lalka, ale brat dziewczynki, wysoki chłopak, porwał lalkę, posadził na wysokim drzewie w ogrodzie i uciekł. Dziewczynka nie mogła sięgnąć tak wysoko i nie mogła pomóc zejść lalce, więc płakała. Lalka też płakała i wyciągała rączki spomiędzy zielonych gałęzi i była bardzo zgnębiona. A tu do złowrogiej nocy było niedaleko — czyż lalka miała siedzieć na drzewie całą noc i do tego sama? Mała dziewczynka nie mogła żnieść tej myśli. „Zostanę z tobą" — powiedziała do lalki, chociaż wcale nie była odważna. Już dostrzegała zupełnie wyraźnie małe elfy w wysokich spiczastych kapelusikach, tańczące w mrocznych alejkach i zerkające spomiędzy krzewów. Wydawało jej się, że podchodzą coraz to bliżej. Wyciągnęła ręce do góry ku drzewu, gdzie siedziała lalka, a one śmiały się i pokazywały ją palcami. Jakaż ona była przerażona, ale przecież jeżeli ktoś nie zrobił nic złego, to te dziwne małe elfy nie mogą go skrzywdzić.

„Czy ja zrobiłam co złego? O, tak! — wykrzyknęła mała dziewczynka. — Śmiałam się z biednej kaczki z nóżką owią-

zaną czerwonym gałgankiem. Kaczka kulała i dlatego się śmiałam, ale to źle śmiać się z biednych stworzeń".

Czy to nie żałosna historyjka? Chyba ojciec ukarał tego psotnego chłopczyka? Czy pani będzie się bardzo cieszyła z zobaczenia z moją nauczycielką w przyszły czwartek? Ona jedzie do domu na wypoczynek, ale wróci do mnie na jesieni.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka Adams Keller

DO PANNY MARY E. RILEY

Tuscumbia, Ala., 27 maja 1889 r.

Moja Kochana Pani!

Żałuję, że Pani nie ma dzisiaj tutaj na Południu — tak ciepło i słonecznie. Siostrzyczka i ja zaprowadziłybyśmy Panią do ogrodu i zbierały dla Pani pyszne maliny i truskawki. Jak by się to Pani podobało? Truskawki już prawie się skończyły. Wieczorem, kiedy jest chłodno i przyjemnie, spacerowałybyśmy po podwórzu i łapały koniki polne i motyle. Rozmawiałybyśmy o ptakach i kwiatach, i trawie, i Jumbie, i Perle. Gdyby Pani chciała, biegałybyśmy i skakały, i podskakiwały, i tańczyły, i byłoby nam strasznie dobrze. Myślę, że przysłuchiwałaby się Pani z radością śpiewom drozdów. Jeden siedzi na drzewie, na gałązce, tuż pod naszym oknem i napełnia powietrze radosną pieśnią. Ale obawiam się, że Pani nie będzie mogła przyjechać do Tuscumbii, więc napiszę do Pani i prześlę Pani słodkiego całusa i serdeczności. Jak się miewa Dick? Daisy jest szczęśliwa, ale byłaby szczęśliwsza, gdyby miała towarzysza. Moje małe dzieci są zdrowe oprócz Nancy, która jest chorowita. Moja babcia i ciocia Korynna są tutaj. Babcia ma mi uszyć dwie nowe sukienki. Niech Pani przekaże ode mnie serdeczności wszystkim dziewczynkom i powie im, że Helena kocha je bardzo, bardzo, bardzo. Ewa przesyła serdeczności dla wszystkich.

Moc całusów od kochającej małej przyjaciółki

Heleny Adams Keller

Tego lata nauczycielka i uczennica rozstały się pierwszy raz. Panna Sullivan wyjechała na przeszło trzy miesiące. Później w ciągu piętnastu lat — raz tylko rozstały się na dłużej niż kilka dni.

DO PANNY ANNY MANSFIELD SULLIVAN

Tuscumbia, Ala., 7 sierpnia 1889 r.

Najdroższa Nauczycielko!

Bardzo się cieszę, że mogę napisać do Pani dziś wieczorem, bo cały dzień dużo myślałam o Pani. Siedzę na *piazza*, a moja biała gołąbeczka przysiadła niby na grzędzie na poręczy mego krzesła i przygląda się, jak piszę. Jej mały brunatny towarzysz odfrunął z innymi ptakami, ale Annie nie jest smutna, bo lubi przebywać ze mną. Fauntleroy śpi na górze, a Nancy kładzie spać Lucy. Może przedrzeźniacz śpiewa im do snu. Teraz kwitną wszystkie piękne kwiaty. Słodka woń jaśminów, heliotropu i róż przepełnia powietrze. Robi się tu coraz goręcej, więc 20 sierpnia ojciec zawiezie nas do Quarry. Myślę, że będzie nam dobrze w miłych chłodnych lasach. Napiszę i opowiem Pani o wszystkich naszych przyjemnych zajęciach. Tak się cieszę, że Lester i Henry takie dobre dzieci. Niech Pani ucałuje ich serdecznie w moim imieniu.

Jak było na imię chłopczykowi, który zakochał się w pięknej gwiazdce? Ewa opowiadała mi o ślicznej małej dziewczynce imieniem Heidi. Czy nie byłaby Pani łaskawa przysłać mi tej powiastki? Będę uradowana, gdy otrzymam maszynę do pisania.

Mały Artur rośnie bardzo szybko. Nosi teraz krótkie sukienki. Kuzynka Leila uważa, że niedługo zacznie chodzić. Wtedy wezmę go za mięciutką tłuściutką rączkę i wyprowadzę na jasne słoneczko. Będzie zrywał największe róże i gonił najweselsze motyle. Będę się nim troskliwie opiekowała, żeby się nie przewrócił i nie skaleczył. Ojciec i kilku jeszcze panów byli wczoraj na polowaniu. Ojciec zabił trzydzieści osiem ptaków. Kilka podano na kolację, były przepyszne. W ostatni poniedziałek Simpson zastrzelił ładnego żurawia. To jest duży silny ptak. Skrzydła ma takie długie, jak moje ramię, a dziób taki długi, jak moja stopa. Zjada małe rybki i inne drobne stworzenia. Ojciec mówi, że może latać prawie cały dzień bez przerwy.

Mildred to najdroższa, najmilsza dziewuszka na świecie. Ale i okropnie psotna. Czasami, jak mama nie wie, leci do winnicy i napełnia fartuszek wyśmienitymi winogronami. Na pewno zarzuciłaby Pani na szyję miękkie ramionka i uściskała Panią.

W niedzielę poszłam do kościoła. Ogromnie lubię chodzić do kościoła, bo spotykam tam moich przyjaciół.

Jeden pan dał mi piękną kartę z widoczkiem młyna nad ślicznym potokiem. Łódź unosi się na wodzie, a dookoła łodzi rosną wonne lilie. Niedaleko młyna stoi stary dom wśród gęstwiny drzew. Na dachu siedzi osiem gołębi, a na schodku duży pies.

Perła jest bardzo dumna ze swoich szczeniąt. Ma ich ośmioro i myśli, że nigdy nie było takich ślicznych szczeniątek, jak jej.

Co dzień czytam moje książki. Kocham je bardzo, bardzo, bardzo. Chcę, żeby Pani prędko do mnie wróciła. Tak mi Pani brakuje, tak bardzo, bardzo. Kiedy mojej drogiej nauczycielki nie ma, nie mogę uczyć się wielu rzeczy. Posyłam Pani pięć tysięcy całusów i więcej serdeczności, niż mogę wypowiedzieć. Dla pani H. przesyłam moc serdeczności i całusa.

Kochająca uczennica

Helenka A. Keller

Na jesieni Helena i panna Sullivan powróciły do Instytutu Perkinsa.

DO PANNY MILDRED KELLER

Południowy Boston, 24 października 1889 r.

Moja Najdroższa Siostrzyczko!

Dzień dobry. Razem z tym listem posyłam ci podarek urodzinowy. Spodziewam się, że będzie ci się bardzo podobał, bo jestem szczęśliwa, że ci go posyłam. Sukienka jest niebieska jak twoje oczka, a karmelki takie słodziutkie jak ty, malutka, kochaniutka. Pewnie mama uszyje Ci sukienkę. W tej sukience będziesz śliczna jak różyczka. Książka z obrazkami opowie ci wszystko o wielu dziwnych i dzikich zwierzętach. Ale nie trzeba, żebyś się ich bała, bo to są tylko obrazki, więc nie zrobią ci nic złego.

Chodzę co dzień do szkoły i uczę się wielu nowych rzeczy. O ósmej mam arytmetykę. Lubię to. O dziewiątej idę z małymi dziewczynkami na gimnastykę i mamy świetną zabawę. Szkoda, że Cię tu nie ma, bo bawiłybyśmy się w trzy wiewiórki i dwa gołąbki i zrobiłybyśmy ładne gniazdko dla kochanego małego gila. Przedrzeźniacz nie żyje na zimnej pół-

nocy. O dziesiątej uczę się o ziemi, na której wszyscy żyjemy. O jedenastej rozmawiam z nauczycielką, a o dwunastej uczę się zoologii. Nie wiem jeszcze, co będę robiła po południu.

A teraz moja Najdroższa Mildred, do widzenia. Uściskaj i ucałuj ode mnie ojca i mamę bardzo, bardzo serdecznie. Nauczycielka też przesyła serdeczności.

Twoja kochająca siostra

Helena A. Keller

DO PANA WILLIAMA WADE'A

Południowy Boston, Mass., 20 listopada 1889 r.

Mój Drogi Panie!

Właśnie otrzymałam list od mamy z wiadomością, że piękne brytaniątko, wysłane dla mnie przez Pana, przybyło bezpiecznie do Tuscumbii. Bardzo dziękuję za śliczny podarek. Bardzo mi żal, że nie byłam w domu, żeby je powitać, ale moja mama i malutka siostrzyczka będą się nim troskliwie opiekować w czasie nieobecności jego pani. Chyba nie czuje się samotne i nieszczęśliwe. Pewno szczenięta potrafią tak samo bardzo tęsknić za domem jak małe dziewczynki. Chciałabym nazwać je Lwicą po pańskim psie. Czy mogę? Mam nadzieję, że będzie bardzo wierna i dzielna.

Uczę się w Bostonie z moją drogą nauczycielką. Uczę się bardzo wielu nowych przedziwnych rzeczy. Uczę się o ziemi i zwierzętach i nadzwyczajnie lubię arytmetykę. Poznaję również wiele nowych słów. Słówka „nadzwyczajnie" nauczyłam się wczoraj. Jak zobaczę Lwicę, opowiem jej wiele takich rzeczy, że będzie się bardzo dziwiła. Pewno będzie się śmiała, gdy jej powiem, że jest kręgowiec, ssak, czworonóg. Przykro mi będzie bardzo powiadomić ją, że należy do rzędu mięsożernych.

Uczę się również francuskiego. Rozmawiając z Lwicą po francusku, powiem do niej *mon beau chien*. Niech Pan będzie łaskaw oznajmić Lwu, że będę się dobrze opiekowała Lwicą. Jeżeli Pan zechce napisać do mnie list, będę uszczęśliwiona.

Kochająca mała przyjaciółka

Helena A. Keller

P. S. Uczę się w Instytucie dla Niewidomych.

H. A. K.

Poniższy list ma dopisaną uwagę ręką Whittiera: „Helena A. Keller — głuchociemna — wiek dziewięć lat". „Piwnymi" omyłką. Powinno być „piwnymi oczami".

DO JOHNA GREENLEAFA WHITTIERA

Instytut dla Niewidomych, Pd. Boston, Mass., 27 listopada 1889 r.

Drogi Poeto!

Pewno zdziwi Pana list od nieznajomej dziewczynki, ale pomyślałam sobie, że miło będzie Panu usłyszeć, że Pana piękne wiersze ogromnie mnie uszczęśliwiają. Wczoraj przeczytałam „Szkolne dnie" i „Mój kolega" i ogromnie mi się podobały. Było mi bardzo przykro, że biedna dziewczynka z piwnymi i „potarganymi złotymi kędziorami" umarła. Tak bardzo miło żyć na naszym pięknym świecie. Nie mogę widzieć wielu ślicznych rzeczy na własne oczy, ale mogę je zrozumieć, toteż cały dzień jestem wesoła.

Gdy przechadzam się po ogrodzie, nie mogę widzieć pięknych kwiatów, ale wiem, że są wokół mnie, bo czyż ich słodka woń nie przepełnia powietrza? Wiem również, że maleńkie dzwoneczki szepczą towarzyszom coś przyjemnego, bo inaczej nie wydawałyby się takie szczęśliwe. Kocham pana serdecznie, bardzo serdecznie, bo mnie Pan nauczył tylu ślicznych rzeczy o kwiatach i ptakach, i ludziach. A teraz muszę powiedzieć do widzenia. Mam nadzieję, że Dzień Dziękczynienia będzie dla Pana miły.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka A. Keller

Odpowiedź Whittiera, o czym jest wzmianka w następnym liście, zaginęła.

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Południowy Boston, Mass., 3 grudzień 1889 r.

Moja Droga Mamo!

Twoja córeczka jest bardzo szczęśliwa pisząc do Ciebie w ten piękny poranek. Tutaj jest dziś zimno i deszcz pada. Wczoraj

znów odwiedziła mnie hrabina Meath. Ofiarowała mi piękny bukiecik fiołków. Jej córeczkom na imię Violet i May. Hrabia powiedział, że jak znowu przyjedzie do Ameryki, z wielką chęcią zawita do Tuscumbii. Lady Meath powiedziała, że chciałaby zobaczyć kwiaty Mamy i usłyszeć śpiew przedrzeźniaczy. Proszą, żebym, jak pojadę do Anglii, odwiedziła ich i zabawiła parę tygodni. Zawiozą mnie do królowej, żebym mogła ją zobaczyć.

Otrzymałam śliczny list od poety Whittiera. On mnie kocha. Pan Wade zaprasza do siebie nauczycielkę i mnie na przyszłą wiosnę. Czy możemy jechać? Powiedział, że Mama musi karmić Lwicę z ręki, to będzie łagodniejsza, jeżeli nie będzie jadła z innymi psami.

W czwartek odwiedził nas pan Wilson. Kwiaty z domu sprawiły mi ogromną radość. Przyniesiono je podczas śniadania i moje przyjaciółki radowały się razem ze mną. W Dzień Dziękczynienia mieliśmy przepyszny obiad — był indyk i plum-pudding. W zeszłym tygodniu byłam w pięknym sklepie z dziełami sztuki. Widziałam mnóstwo posągów i pan dał mi statuetkę anioła. W niedzielę byłam na nabożeństwie na pokładzie wielkiego okrętu wojennego. Po nabożeństwie marynarze oprowadzili nas po okręcie. Było ich tam czterystu sześćdziesięciu. Byli dla mnie bardzo grzeczni. Jeden nosił mnie na rękach, żebym nie zamoczyła nóg. Mieli granatowe mundury i dziwaczne czapeczki. W czwartek był okropny pożar. Spaliło się dużo sklepów i są czterej zabici. Ogromnie mi ich żal. Niech Mama będzie łaskawa powiedzieć ojcu, żeby do mnie napisał. Jak się miewa kochana siostrzyczka? Niech ją Mama ucałuje ode mnie dużo razy. Teraz muszę kończyć. Moc serdeczności od ukochanego dziecka Mamy

Heleny Keller

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Pd. Boston, Mass., 24 grudnia 1889 r.

Moja Droga Mamo!

Wczoraj posłałam Mamie paczkę gwiazdkową. Ogromnie mi przykro, że nie mogłam posłać wcześniej, żeby doszła jutro, ale nie zdążyłam wykończyć pudełeczka do zegarka. Wszyst-

kie podarki zrobiłam sama z wyjątkiem chustki do nosa dla ojca. Żałuję, że nie zrobiłam jakiegoś upominku i dla ojca, ale nie starczyło czasu. Mam nadzieję, że pudełeczko będzie się Mamie podobało, bo byłam uszczęśliwiona, że robię coś dla Mamy. Musi Mama w nim trzymać ten swój śliczny nowy *montre*. W Tuscumbii jest za ciepło, żeby siostrzyczka mogła nosić te ładne mitenki. Może je schować, bo siostra je dla niej zrobiła. Wyobrażam sobie, jaką będzie miała uciechę z tą zabawką-człowieczkiem. Niech Mama powie jej, żeby nim potrząsnęła, to będzie grał na trąbce. Dziękuję mojemu drogiemu dobremu ojcu za przysłane pieniądze na podarki dla moich przyjaciół i przyjaciółek. To takie szczęście uszczęśliwiać innych. Chciałabym być w domu na Boże Narodzenie. Bylibyśmy tacy szczęśliwi razem. Myślę co dzień o moim pięknym domu. Niech Mama będzie łaskawa nie zapomnieć i przyśle mi jaki ładne podarki do zawieszenia na mojej choince. Będę miała choinkę w salonie i nauczycielka powiesi na niej wszystkie moje podarki. To będzie zabawne drzewko. Wszystkie dziewczynki pojechały do domu na Boże Narodzenie. Nauczycielka i ja to jedyne dzieci, które tu pozostały pod opieką pani Hopkins. Nauczycielka była chora i leżała w łóżku przez wiele dni. Gardło ją strasznie bolało i doktor myślał, że trzeba ją będzie posłać do szpitala, ale już jest lepiej. Ja wcale nie chorowałam. Dziewczynki też są zdrowe. W piątek jadę na cały dzień do moich małych przyjaciół Freemanów: Carrie, Ethel, Franka i Heli. Jestem pewna, że będziemy mieli świetną zabawę.

Odwiedził mnie pan Endicott z panną Endicott i jechałam powozem. Mają mi dać śliczny prezent, ale nie mogę zgadnąć, co będzie. Sammy ma nowego braciszka. On jest jeszcze mięciutki i delikatny. Pan Anagnos jest teraz w Atenach. Cieszy się bardzo, że jestem tutaj. Teraz muszę powiedzieć do widzenia. Spodziewam się, że ładnie napisałam list, ale na tym papierze bardzo trudno pisać, a nie ma tutaj nauczycielki, boby mi dała lepszy. Dużo całusów dla siostrzyczki i serdeczności dla wszystkich.

Kochająca
Helenka

DO DOKTORA EDWARDA EVERETTA HALE'A

Południowy Boston, 8 stycznia 1890 r.

Mój Drogi Panie!

Piękne muszle przybyły wczoraj wieczorem. Bardzo Panu za nie dziękuję. Zachowam je na zawsze i będzie mnie uszczęśliwiać myśl, że Pan znalazł je na tej dalekiej wyspie, z której odpływał Kolumb, żeby odkryć naszą kochaną ojczyznę. Jak skończę jedenaście lat, to będzie czterysta lat od dnia, kiedy wyruszył z trzema małymi statkami i przepłynął wielki nieznany ocean. Jakiż on był dzielny! Śliczne muszle ogromnie się podobały dziewczynkom. Opowiedziałam im o nich wszystko, co wiedziałam. Czy bardzo się Pan ucieszy, że pan uszczęśliwił tyle serc? Bo ja bardzo. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła kiedy pojechać i nauczyć Pana Braille'a, jeżeli Pan ma czas na naukę, ale obawiam się, że Pan jest zbyt zajęty. Kilka dni temu otrzymałam pudełeczko angielskich fiołków od lady Meath. Kwiatki zwiędły, ale serdeczna myśl, która im towarzyszyła, była tak świeża jak tylko co zerwane fiołki.

Załączam serdeczne pozdrowienia dla kuzynków i Pani Hale, a dla Pana słodkiego całusa

Mała przyjaciółka

Helenka A. Keller

List poniższy, pierwszy list Heleny do doktora Holmesa, napisany wkrótce po wizycie u niego, zamieścił on w „Przy herbacie".

DO DOKTORA WENDELLA HOLMESA

Południowy Boston, Mass., 1 marca 1890 r.

Drogi, Łaskawy Poeto!

Od tej promiennej niedzieli, kiedy powiedziałam Panu do widzenia, myślałam o Panu wiele razy. Piszę do Pana list, bo kocham Pana. Przykro mi, że pan nie ma małych dzieci, żeby się czasami z nimi pobawić, ale pewno Pan jest bardzo szczęśliwy ze swoimi książkami i tylu, tylu przyjaciółmi. W urodziny Waszyngtona przyszło tutaj strasznie dużo ludzi odwiedzić niewidome dzieci. Czytałam im Pana wiersze i pokazałam im trochę pięknych muszli, przywiezionych z wysepki w pobliżu Palos.

Czytam właśnie bardzo smutne opowiadanie pt. „Mały Jakey". To był niesłychanie milutki chłopaczek, ale biedny i niewidomy. Ja myślałam sobie — kiedy byłam mała i nie umiałam jeszcze czytać — że wszyscy są zawsze szczęśliwi, i początkowo bardzo się martwiłam, gdy się dowiedziałam o bólu i wielkim smutku, ale teraz wiem, że gdyby na świecie była tylko radość, to nigdy nie nauczylibyśmy się odwagi i cierpliwości.

Uczę się teraz z zoologii o owadach, a dużo się nauczyłam o motylach. One nie robią dla nas miodu, jak pszczoły, ale bywają motyle tak piękne, jak kwiaty, na których siadają. Dużo jest pięknych motyli. Małe dzieci strasznie się nimi zachwycają. Motyle wiodą wesołe życie, fruwając z kwiatka na kwiatek, a spijając krople miodowej rosy nie myślą o jutrze. One są takie jak chłopcy i dziewczynki, gdy zapominają o książkach i nauce i uciekają do lasu i na pola rwać kwiaty albo brodzić po stawach i rwać lilie.

Jeżeli moja siostrzyczka przyjedzie do Bostonu w czerwcu, czy Pan pozwoli, żebym ją do Pana przywiozła? To śliczne dziecko i jestem pewna, że Pan ją pokocha.

A teraz muszę powiedzieć mojemu łaskawemu poecie do widzenia, bo zanim się położę, muszę napisać list do domu.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka A. Keller

DO PANNY SARY FULLER *

Południowy Boston, Mass., 3 kwietnia 1890 r.

Moja Droga Pani!

W ten piękny poranek radość wzbiera w mym sercu, bo nauczyłam się wiele nowych słów i potrafię składać trochę zdań. Wczoraj wieczorem wyszłam na podwórze i przemówiłam do księżyca. Powiedziałam: „O, księżycu, chodź do mnie!"

Czy Pani sądzi, że śliczny księżyc był rad, że mogłam się do niego odezwać? A moja mama jaka będzie rada. Nie mogę się doczekać czerwca, tak bym już chciała przemówić do niej i do mojej najdroższej siostrzyczki. Mildred nie mogła mnie

---

Panna Fuller udzieliła Helenie Keller pierwszej lekcji artykulacji.

zrozumieć, gdy pisałam palcami, ale teraz będzie mi siadała na kolanach i ja jej będę opowiadała różności, żeby ją zabawić i tak nam będzie dobrze razem! Czy Pani jest bardzo, bardzo szczęśliwa, mogąc uszczęśliwiać tyle ludzi? Pani jest bardzo miła i cierpliwa i kocham Panią z całego serca. Moja nauczycielka mówiła mi we wtorek, że Pani chce wiedzieć, jak to się stało, że zapragnęłam mówić ustami. Wszystko Pani powiem, bo pamiętam doskonale moje myśli. Kiedy byłam bardzo mała, siadywałam stale na kolanach u mamy, gdyż byłam bardzo nieśmiała i nie lubiłam, żeby mnie zostawiali samą. I przez cały czas trzymałam rączkę na jej twarzy, bo kiedy rozmawiała, czułam poruszenia jej twarzy i warg i to mnie bawiło. Nie wiedziałam wtedy, co mama robiła, bo w ogóle nic nie wiedziałam. Później, gdy byłam starsza, nauczyłam się bawić z moją nianką i małymi dziećmi murzyńskimi i zauważyłam, że wciąż poruszają ustami tak jak mama, więc i ja poruszałam ustami, ale czasem gniewało mnie to i mocno przyciskałam palce do ust towarzyszy zabaw. Wtedy nie wiedziałam, że postępowałam bardzo niegrzecznie. Po jakimś czasie przyjechała do mnie moja droga nauczycielka i nauczyła mnie porozumiewać się palcami, więc byłam zadowolona i szczęśliwa. Ale po przyjeździe do szkoły w Bostonie spotkałam głuche osoby rozmawiające ustami tak, jak wszyscy ludzie, a jednego dnia przyszła do mnie pani, co jeździła do Norwegii, i opowiedziała mi o głuchoniemej dziewczynce — Ranghild Kaata — którą poznała w tym dalekim kraju. Ta dziewczynka nauczyła się mówić i rozumieć, co do niej mówiono. Ta dobra, szczęśliwa nowina uradowała mnie niesłychanie, bo nabrałam pewności, że ja się też tego nauczę. Próbowałam wydawać dźwięki, tak jak moje małe koleżanki i koledzy, ale nauczycielka ostrzegła mnie, że struny głosowe to rzecz bardzo delikatna i że wydawanie nieprawidłowych dźwięków mogłoby je uszkodzić, i obiecała zawieźć mnie do dobrej mądrej pani, która nauczy mnie mówić poprawnie. Ta pani to była Pani. Teraz jestem szczęśliwa jak mały ptaszek, bo mogę mówić. Może się jeszcze nauczę śpiewać. Wszyscy moi przyjaciele dziwiliby się i radowali.

Kochająca uczenniczka

Helenka A. Keller

Kiedy Instytut Perkinsa zamknięto na lato, Helena i Anna Sullivan pojechały do Tuscumbii. To był pierwszy powrót do domu od czasu, kiedy nauczyła się „mówić ustami".

DO WIELEBNEGO PHILLIPSA BROOKSA

Tuscumbia, Alabama, 14 lipca 1890 r.

Mój Drogi Panie!

Bardzo się cieszę pisząc do Pana w ten piękny dzień, bo Pan jest moim łaskawym przyjacielem i kocham Pana, i piszę dlatego, że chcę wiedzieć dużo rzeczy. Byłam w domu trzy tygodnie i och, jaka byłam szczęśliwa z moją drogą mamą i ojcem, i najdroższą siostrzyczką. Było mi bardzo, bardzo smutno rozstawać się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi w Bostonie, ale tak mi się spieszyło do mojej malutkiej siostrzyczki, że nie mogłam się doczekać odjazdu. Ale ze względu na nauczycielkę starałam się ze wszystkich sił panować nad zniecierpliwieniem. Mildred jest już dużo wyższa i silniejsza, niż była, gdy wyjeżdżałam do Bostonu. To najmilsza, najdroższa dziecina na świecie. Rodzice byli uszczęśliwieni słysząc, jak mówię, a ja szalałam z radości, że sprawiłam im taką niespodziankę. To ogromnie miło uszczęśliwiać drugich. Dlaczego drogi ojciec uważa za wskazane zsyłać na nas od czasu do czasu jakieś wielkie udręczenie? Ja jestem zawsze szczęśliwa. Mały lord Fauntleroy też był szczęśliwy, ale życie kochanego Jakeya przepełniał smutek. Bóg nie zapalił światła w jego oczach. Jakey był niewidomy, a jego ojciec ani łagodny, ani kochający. Czy Pan sądzi, że biedny Jakey więcej kochał swojego Ojca w niebie dlatego, że ten drugi ojciec był dla niego niedobry? Jak Bóg powiedział ludziom, że jego dom jest w niebie? Kiedy ludzie postępują bardzo źle i dręczą zwierzęta i obchodzą się nieładnie z dziećmi, Bóg jest zasmucony, ale co on im robi, żeby się nauczyli litości i miłości? Przypuszczam, że powie im, jak serdecznie ich kocha i że chce, aby byli dobrzy i szczęśliwi, a oni nie będą zasmucać swego Ojca, który tak bardzo ich miłuje, i będą chcieli przypodobać Mu się we wszystkim, co czynią, więc będą się nawzajem kochali i będą wszystkim dobrze czynić i nie krzywdzić zwierząt.

Niech Pan będzie łaskawy powiedzieć mi, co Pan wie o Bo-

gu? Będzie to dla mnie szczęściem wiedzieć dużo o moim kochającym Ojcu, który jest dobry i mądry. Spodziewam się, że mając wolną chwilę napisze Pan do swojej małej przyjaciółki. Bardzo bym chciała dziś Pana zobaczyć. Czy teraz w Bostonie słońce bardzo dopieka? Jeżeli dziś po południu nie będzie zbyt gorąco, przewiozę Mildred na moim osiołku. Pan Wade przysłał mi Neddy i trudno sobie wyobrazić ładniejszego kłapoucha. Gdy wyruszamy na przejażdżkę, towarzyszy nam dla bezpieczeństwa moja wielka suka Lwica. Simpson, który jest moim bratem, przyniósł mi wczoraj piękne lilie ze stawu — to jest bardzo dobry brat.

Nauczycielka przesyła Panu serdeczne pozdrowienia, ojciec i mama również przesyłają wyrazy poważania.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka A. Keller

Odpowiedź doktora Brooksa.

Londyn, 3 sierpnia 1890 r.

Moja Droga Heleno!

List Twój sprawił mi naprawdę wielką radość. Gonił mnie przez ocean i doścignął w tym wspaniałym wielkim mieście, o którym chciałbym Ci wszystko opowiedzieć, gdybym mógł się zdobyć na dużo wolnego czasu i na dostatecznie długi list. Kiedyś, gdy zawitasz do Bostonu i odwiedzisz mnie w mym gabinecie, jeżeli zechcesz, chętnie z Tobą o wszystkim porozmawiam.

Ale teraz pragnę Ci powiedzieć, jak się cieszę, że jesteś szczęśliwa i że Ci tak dobrze w domu. Wydaje mi się po prostu, że widzę Cię z ojcem i matką, i siostrzyczką na tle pięknej okolicy, i sam cieszę się bardzo, wiedząc, jaką jest to dla ciebie radością.

Cieszę się również, że wiem, jakie są Twoje myśli, bo odgaduję je z Twoich pytań. Nie pojmuję, jak moglibyśmy nie myśleć o Bogu, skoro On okazuje nam tyle dobroci. Powiem Ci to, co mnie się wydaje — w jaki sposób dowiadujemy się o Naszym Niebieskim Ojcu. Otóż dzięki potędze miłości mieszkającej w naszych sercach. Miłość jest ośrodkiem wszechrze-

czy. To, co nie posiada zdolności kochania, musi wieść beznadziejne życie. Lubimy sobie wyobrażać, że światło słońca, wiatry i drzewa są zdolne do jakiejś swoistej miłości, bo gdybyśmy wiedzieli, że potrafią kochać, to ten fakt pouczyłby nas o ich szczęściu. Toteż Bóg, istota największa i najszczęśliwsza, może kochać najgłębiej. Wszelka miłość w naszych sercach pochodzi od Niego tak jak barwy kwiatów pochodzą od słońca. A im więcej kochamy, tym bliżsi jesteśmy Boga i Jego Miłości.

Powiedziałem Ci, że cieszę się z powodu Twojego szczęścia. Tak jest istotnie. Szczęśliwi są Twoi bliscy — Ojciec, Matka, Nauczycielka i wszyscy Twoi przyjaciele. Ale czy nie sądzisz, że i Bóg jest szczęśliwy Twoim szczęściem? Jestem tego pewny. I jest On szczęśliwszy niż ktokolwiek z nas, bo jest większy niż ktokolwiek z nas, a i dlatego, że nie tylko widzi Twoje szczęście, tak jak my, ale On je również stworzył. Udziela Ci go, tak jak słońce udziela róży barw i światła. Zawsze najwięcej się radujemy nie samym widokiem szczęścia naszych przyjaciół, lecz naszym przyczynianiem się do tego szczęścia. Czyż tak nie jest?

Wszakże Bóg nie tylko pragnie, żebyśmy byli szczęśliwi. On pragnie, żebyśmy byli dobrzy. Tego pragnie nade wszystko. Wie, że możemy być naprawdę szczęśliwi tylko wtedy, kiedy jesteśmy dobrzy. Tak wiele trosk na świecie jest bardzo przykrym lekiem w smaku, ale skutecznym w działaniu, bo czyni nas lepszymi. Widzimy, jak dobrzy ludzie mogą doświadczać wielkich udręczeń, gdy pomyślimy o Jezusie, który najwięcej wycierpiał, a jednak był najlepszą Istotą, a przeto, jestem tego pewny, najszczęśliwszą Istotą, jaką widziano na świecie.

Ogromna to dla mnie radość opowiadać Ci o Bogu. Ale On sam będzie Ci mówił o sobie głosem miłości, którą wleje Ci w serce, jeżeli Go poprosisz. Jezus, który jest Jego Synem, ale jest Mu bliższy niż my wszyscy, także Jego dzieci, przyszedł na świat w tym celu, żeby nas pouczyć o miłości Swego Ojca. Czytając Jego słowa, przekonasz się, jak bardzo miłość Boga przepełnia Jego serce. „My wiemy, że On nas kocha" — mówi Jezus. Więc i On sam kochał ludzi i chociaż okazali się dla Niego okrutni i w końcu Go zabili, umarł dla nich, bo ich

tak bardzo miłował. O, Heleno, On ich zawsze kocha i nas kocha i mówi nam, że wolno nam Go kochać.

A więc miłość jest wszystkim. A jeżeli kto Cię zapyta albo jeżeli sama zadasz sobie to pytanie, czym jest Bóg, odpowiedz: „Bóg jest Miłością". To jest ta piękna odpowiedź, której udziela Biblia.

Oto, o czym masz myśleć i rozumieć coraz lepiej, w miarę jak będziesz coraz starsza. Myśl o tym teraz i niech każde błogosławieństwo nabiera większego blasku jako dar z rąk kochanego Ojca.

Przypuszczam, że zjedziesz do Bostonu wkrótce po moim powrocie. Ja będę w domu w połowie września. Poproszę Cię, żebyś mi opowiedziała wszystko o wszystkim, nie zapominając o osiołku.

Załączam miłe pozdrowienia dla Ojca i Matki, i dla Twojej Nauczycielki. Chciałbym zobaczyć Twoją siostrzyczkę.

Do zobaczenia, droga Heleno. Napisz znów do mnie niedługo na adres bostoński.

Twój kochający przyjaciel

Phillips Brooks

Odpowiedź doktora Holmesa na list, który zaginął.

Beverly Farms, Mass., 1 sierpnia 1890 r.

Moja Droga Przyjaciółeczko Heleno!

Otrzymałem Twój kochany list przed kilku dniami, ale mam tyle pisaniny, że potrafię zwlekać i zwlekać, nim odpowiem.

Ogromnie miło mi słyszeć, że tak serdecznie mnie wspominasz. Twój list jest przemiły. Cieszę się, że jesteś zdrowa i szczęśliwa. Rad jestem, że zdobyłaś nową umiejętność, że mówisz głosem i palcami. Co to za ciekawa rzecz mowa! Język takie usłużne narzędzie (przybierające wszelkie kształty stosownie do potrzeby) — zęby, wargi, podniebienie — wszystko to w pomocnej gotowości — i tym sposobem głos przeobraża się w pełne dźwięki, które nazywamy spółgłoskami, i pozostawia miejsce dla szczególnego rodzaju oddechów, które nazywamy samogłoskami! Nie wątpię, że to wszystko przestudiowałaś, skoro opanowałaś mowę głosem.

Jestem zdumiony mistrzowstwem, z jakim się wypowiadasz, czego dowodem jest Twój list. Gotów jestem uwierzyć, że ludzkość równie dobrze dawałaby sobie radę na ślepo i głucho, jak przy pomocy wzroku i słuchu. Może pod wieloma względami ludzie byliby lepsi, bo nie mogliby prowadzić wojen, tak jak się to teraz dzieje. Wyobraź sobie tylko armię niewidomych żołnierzy z karabinami i artylerią! Pomyśl o biednych doboszach! Na cóż zdaliby się i oni, i ich pałeczki! Los oszczędza Ci wielu bolesnych widoków i dźwięków, co jest dla Ciebie prawdziwym szczęściem. Pomyśl też, że póki życia nie zabraknie Ci dowodów ludzkiej przychylności. Każdy będzie się interesował kochaną Helenką; każdy będzie pragnął coś dla Niej zrobić. A jeżeli stanie się starą siwowłosą kobietą, to i wtedy nie zabraknie Jej z pewnością troskliwej opieki.

Rodzice i przyjaciele muszą się ogromnie cieszyć z Twoich postępów. Nie tylko im należy się wielkie uznanie, ale i Twoim nauczycielom, którzy zburzyli mury odgradzające Cię od świata, tak że teraz życie wydaje Ci się jaśniejsze i radośniejsze, niż to jest udziałem wielu widzących i słyszących dzieci.

Do zobaczenia, droga Helenko! Najlepsze życzenia od twego przyjaciela

Olivera Wendella Holmesa

Następny list Helena napisała do panów Bradstreet w Gardiner, którzy nadali statkowi jej imię.

DO PANÓW BRADSTREET

Tuscumbia, Ala., 14 lipca 1890 r.

Moi Drodzy, Łaskawi Przyjaciele!

Dziękuję Wam bardzo, ale to bardzo, że nazwaliście wasz piękny nowy statek moim imieniem. Jestem bardzo szczęśliwa, że mam życzliwych serdecznych przyjaciół w dalekim stanie Maine. Ucząc się o lasach w Maine, nie wyobrażałam sobie, że piękny potężny statek będzie pływał po całym świecie, rozwożąc z tych bogatych lasów drzewo po dalekich krajach, na budowę ładnych domów, szkół i kościołów. Spodziewam się, że wielki ocean pokocha nową „Helenę" i pozwoli jej pływać spokojnie po swoich błękitnych falach. Niech Panowie będą

łaskawi powiedzieć dzielnym marynarzom z załogi „Heleny Keller", że Helenka od siebie z domu będzie słała za nimi serdeczne myśli. Mam nadzieję, że kiedyś zobaczę Panów i moją piękną imienniczkę.

Przesyłam moc serdeczności

Wasza mała przyjaciółka

Helena A. Keller

Helena i panna Sullivan powróciły do Instytutu Perkinsa w początkach listopada.

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Południowy Boston, 10 listopada 1890 r.

Moja Najdroższa Mamo!

Od naszego smutnego rozstania w środę wieczorem wyrywam się całym sercem do Ciebie i mojego pięknego domu. Jakżebym pragnęła ujrzeć Cię w ten śliczny poranek i opowiedzieć Ci wszystko, co zaszło od mojego wyjazdu! I jakżebym pragnęła wycałować po sto razy moją drogą siostrzyczkę! A mój drogi ojciec bardzo chciałby się dowiedzieć o naszej podróży! Ale nie mogę Was widzieć, ani rozmawiać z Wami, więc tylko do Was napiszę o wszystkim.

Do Bostonu przybyłyśmy dopiero w sobotę rano. Niestety, nasz pociąg opóźnił się, więc dotarłyśmy do Nowego Jorku też z opóźnieniem. Do Jersey City dobiłyśmy w piątek wieczorem o szóstej i musiałyśmy przeprawić się promem przez rzekę Harlem. Znalazłyśmy prom i wóz transportowy bez większych trudności. Gdy już byłyśmy na dworcu, powiedziano nam, że pociąg do Bostonu odchodzi dopiero o jedenastej, ale że możemy pojechać wagonem sypialnym o dziewiątej, cośmy też uczyniły. Położyłyśmy się i spałyśmy do rana. Obudziłyśmy się w Bostonie. Wielka to była dla mnie uciecha, chociaż miałam ogromny zawód, bo nie zdążyłyśmy na urodziny pana Anagnosa. Ale sprawiłyśmy niespodziankę kochanym przyjaciołom, bo nie oczekiwali nas w sobotę. Ale kiedy zadźwięczał dzwonek, panna Marrett odgadła, kto stoi za drzwiami, a pani Hopkins zerwała się od stołu, od śniadania, i przybiegła witać nas od progu. Bardzo się zdziwiła, że to my. Po śniadaniu poszłyśmy

na górę do pana Anagnosa. Jakże się cieszyłam, że znów widzę mojego najdroższego, najlepszego przyjaciela. Podarował mi piękny zegarek. Przypięłam go do sukienki. Gdy mnie pytają, mówię wszystkim, która godzina. Widziałam pana Anagnosa dopiero dwa razy. Muszę go wypytać o kraje, po których podróżował. Przypuszczam, że jest teraz bardzo zajęty.

Wzgórza Wirginii były prześliczne. Mróz przystroił je w złoto i karmazyn. Widok był czarujący. Pensylwania to bardzo piękny stan. Trawa była zielona jak na wiosnę, a złociste kłosy zboża zgarniętego w kopy na rozległych polach wyglądały bardzo ładnie. W Harrisburgu widziałyśmy osła takiego jak Neddy. Jakże bym chciała zobaczyć moją Neddy i moją kochaną Lwicę! Czy one bardzo tęsknią za swoją panią? Powiedz Mildred, żeby była dla nich dobra ze względu na mnie.

Nasz pokój jest miły i wygodny.

Moja maszyna do pisania bardzo ucierpiała w podróży. Pękła obudowa i wypadły prawie wszystkie czcionki. Nauczycielka zobaczy, czy to się da naprawić.

W bibliotece jest dużo nowych książek. Jakież ja będę miała używanie! Już przeczytałam „Małą Księżniczkę". To bardzo ładna powieść i kiedyś ją Mamie opowiem. A teraz, kochana Mamo, twoja dziewuszka musi powiedzieć do widzenia.

Przesyłam serdeczności ojcu, Mildred, Tobie i wszystkim drogim przyjaciołom

Kochająca córeczka

Helena A. Keller

DO JOHNA GREENLEAFA WHITTIERA

Południowy Boston, 17 grudnia 1890 r.

Drogi Łaskawy Poeto!

Dziś Pana urodziny. Kiedy przebudziłam się rano, to była to moja pierwsza myśl. Ucieszyłam się, że mogę do Pana napisać i powiedzieć Panu, jak bardzo mali przyjaciele kochają swojego miłego poetę i jak cieszą się na jego urodziny. Dziś wieczorem będę podejmować swoich przyjaciół. Będzie muzyka i czytanie Pana wierszy. Mam nadzieję, że skrzydlaci gońcy miłości zjawią się tutaj i poniosą słodką melodię do Pana gabinetu nad Merrimakiem. Początkowo bardzo się zasmuciłam,

gdy stwierdziłam, że słońce ukryło za posępnymi chmurami swoją świetlistą twarz, ale potem odgadłam, dlaczego to uczyniło, i zrobiło mi się lekko na sercu. Słońce wie, że pan lubi patrzeć na świat przysypany pięknym białym śniegiem, więc pozwoliło białym kryształkom formować się na niebie. Gdy będą gotowe, posypią się miękko i pokryją czule wszystkie przedmioty. Wtedy ukaże się słońce w całej swojej promienności i napełni światłem świat. Gdybym dziś była u Pana, ofiarowałabym Panu osiemdziesiąt trzy całusy, po jednym za każdy rok życia. Osiemdziesiąt trzy lata to dla mnie okropnie długi szmat czasu. Czy Panu wydaje się długi? Ciekawa jestem, ile będzie tych lat w wieczności. Nie, nie mogę sobie wyobrazić takiego bezmiaru czasu. Otrzymałam list Pana z lata i bardzo Panu za niego dziękuję. Jestem teraz w Bostonie, w Instytucie Perkinsa, ale nie zaczęłam jeszcze nauki, bo mój najdroższy przyjaciel pan Anagnos chce, żebym wypoczywała i dużo się bawiła.

Nauczycielka jest zdrowa i przesyła Panu serdeczne pozdrowienia. Zbliżają się szczęśliwe dni — Boże Narodzenie! Nie mogę się doczekać tej radości, tej zabawy! Mam nadzieję, że Pan będzie miał szczęśliwą Gwiazdkę i że Nowy Rok przyniesie Panu i wszystkim moc pogody i radości.

Mała Przyjaciółka

Helena A. Keller

Odpowiedź Whittiera:

Moja Droga Młoda Przyjaciółko!

Bardzo mnie ucieszył Twój miły list urodzinowy. Otrzymałem ich dwie czy trzy setki, ale Twój był jednym z najmilszych. Muszę Ci powiedzieć, jak ten dzień przeszedł w Oak Knoll. Naturalnie słońce nie świeciło, ale w pokojach mieliśmy w otwartych kominkach gorejące polana, w powietrzu unosiła się słodka woń róż i innych kwiatów nadesłanych mi przez dalekich przyjaciół. Dostałem też dużo najrozmaitszych owoców z Kalifornii i z innych stron. Krewni i kochani starzy przyjaciele dotrzymywali mi towarzystwa przez cały dzień. Nie dziwię się, że dla Ciebie osiemdziesiąt trzy lata to taki kawał czasu, bo mnie się wydaje, że to tak niedawno, jak byłem chłopaczkiem w Twoim wieku i bawiłem się na starej far-

mie w Haverhill. Dziękuję Ci za Twoje dobre życzenia i przesyłam swoje nawzajem. Cieszę się, że jesteś w Instytucie. To świetny zakład. Moje uszanowanie dla Panny Sullivan, a dla Ciebie moc serdeczności.

Twój stary przyjaciel

John G. Whittier

Tom Stringer, o którym jest mowa w kilku następnych listach, stracił wzrok i słuch mając cztery lata. Matka umarła, a ojciec był zbyt biedny, żeby się nim opiekować. Jakiś czas trzymano go w szpitalu w Allegheny. Stąd miano go odesłać do przytułku, gdyż w owym czasie w Pensylwanii nic innego nie można było dla niego zrobić. Helena dowiedziała się o nim za pośrednictwem pana J. G. Browna z Pittsburga. Doniósł jej, że nie udało mu się znaleźć wychowawczyni dla Toma. Chciała, żeby go sprowadzić do Bostonu, a gdy usłyszała, że na nauczycielkę trzeba by pieniędzy, odpowiedziała: „Zbierzemy pieniądze".

Zaczęła prosić przyjaciół o datki, a sama oszczędzała swoje kieszonkowe. Doktor Aleksander Graham Bell poradził przyjaciołom Toma, żeby go posłali do Bostonu, i kuratorowie Instytutu Perkinsa zgodzili się przyjąć go do przedszkola dla niewidomych.

Tymczasem Helenie nadarzyła się okazja złożenia poważnej kwoty na naukę Toma. W zimie zabito jej psa, Lwicę, i przyjaciele zorganizowali dla niej składkę na kupno innego. Helena wyraziła życzenie, aby ofiary na ten cel, napływające z całej Ameryki i Anglii, przeznaczyć na fundusz dla Toma. Ta zmiana celu sprawiła, że fundusz szybko się powiększał i los Toma był zapewniony. Szóstego kwietnia przyjęto go do przedszkola.

Helena Keller pisała później: „Nigdy nie zapomnę drobnych sum nadsyłanych ze wszystkich stron przez biedne dzieci — z krzywdą dla nich samych — «dla małego Toma», ani żywego współczucia, z jakim ludzie — których nigdy nie widziałam — odpowiedzieli na nieme wołanie o pomoc dla uwięzionej w kalectwie duszyczki".

DO PANA GEORGE'A R. KREHLA

Instytut Perkinsa

Południowy Boston, Mass., 20 marca 1891 r.

Mój Drogi Przyjacielu!

Właśnie dowiedziałam się od pana Wade'a o Pańskiej uprzejmej propozycji kupienia dla mnie łagodnego psa i chcę Panu

podziękować za łaskawą myśl. Jestem bardzo szczęśliwa, że mam takich kochanych przyjaciół w innych krajach. Stąd wnoszę, że wszyscy ludzie są dobrzy i mają kochające serca. Czytałam, że Anglicy i Amerykanie są kuzynami. Ale jestem pewna, że dużo słuszniej byłoby nazwać nas braćmi i siostrami. Przyjaciele opowiadają mi o pańskim mieście, tak wielkim i wspaniałym i dużo się naczytałam dzieł napisanych przez światłych Anglików. Zaczęłam czytać „Enocha Ardena", a kilka wierszy wielkiego poety umiem na pamięć. Jakżebym pragnęła przepłynąć ocean, bo chcę zobaczyć moich angielskich przyjaciół. i ich dobrą, mądrą królowę. Raz odwiedził mnie hrabia Meath i opowiadał, że naród bardzo kocha swoją królową za łaskawość i mądrość. Któregoś dnia zdziwi się Pan, gdy do Pana biura wejdzie nieznajoma dziewczynka. Ale gdy Pan się dowie, że to jest ta dziewczynka, która kocha psy i inne zwierzęta, to Pan się roześmieje i spodziewam się, że Pan ją pocałuje, tak jak to czyni pan Wade. On ma dla mnie nowego psa i przypuszcza, że będzie taki sam dzielny i wierny, jak moja piękna Lwica. A teraz muszę Panu powiedzieć, co zamierzają zrobić miłośnicy psów w Ameryce. Mają przysłać mi pieniądze dla biednego, głuchociemnego dziecka. Na imię mu Tommy i ma pięć latek. Jego krewni są zbyt biedni, żeby mieć za co posyłać małego do szkoły. Więc zamiast ofiarować mi psa, panowie postarają się poratować Toma, żeby mu było tak jasno i radośnie jak mnie. Czy to nie piękny plan? Nauka wniesie światło i muzykę w duszę Toma i wtedy na pewno będzie szczęśliwy.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka A. Keller

DO DOKTORA OLIVERA WENDELLA HOLMESA

Południowy Boston, Mass., kwiecień 1891 r.

Drogi Doktorze!

Twoje piękne słowa o wiośnie grają w moim sercu w te jasne kwietniowe dni jak muzyka. Kocham każde słowo „Wiosny" i tego drugiego wiersza „Wiosna przyszła". Pewnie miło będzie Panu usłyszeć, że te wiersze nauczyły mnie cieszyć się wiosną i kochać się w jej uroku, chociaż nie mogę widzieć uroczych delikatnych kwiateczków oznajmiających o jej nadejściu

ani słyszeć radosnego świergotu ptaków powracających do gniazd. Ale gdy czytam „Wiosna przyszła", hej! Ślepota mnie opuszcza, to tak jakbym widziała i słyszała Pana na własne oczy i uszy. Kiedy mój poeta jest w pobliżu, słodka Matka Natura ujawnia mi wszystkie swoje tajemnice. Wybrałam ten papier listowy, bo chcę, żeby pęczek fiołków w rogu powiedział Panu o mojej wdzięczności i uczuciach. Żeby Pan też zobaczył małego Toma, głuchociemnego chłopczyka, który właśnie przybył do naszego ładnego ogródka. Teraz jest biedny i bezradny, i samotny, ale nim nadejdzie nowy kwiecień, w jego życiu dzięki nauce rozbłyśnie światło i radość. Jeżeli Pan przyjedzie, to pewnie będzie Pan prosił dobrych ludzi w Bostonie, żeby pomogli rozjaśnić Tomowi całe życie.

Kochająca przyjaciółka

Helenka A. Keller

DO SIR JOHNA EVERETTA MILLAIS

Instytut Perkinsa

Południowy Boston, Mass., 30 kwietnia 1891 r.

Mój Drogi Panie!

Pańska amerykańska siostrzyczka napisze do Pana list, bo chce, żeby się Pan dowiedział, jak się ucieszyła, że Pan zainteresował się naszym biednym małym Tomem i przysłał pieniądze na jego naukę. Jak to pięknie pomyśleć, że ludzie w dalekiej Anglii litują się nad małym bezradnym dzieckiem w Ameryce. Czytając w moich książkach o waszym wielkim mieście, wyobrażałam sobie, że gdybym tam przyjechała, ludzie byliby dla mnie obcy, ale teraz czuję inaczej. Zdaje mi się, że ludzie o kochających litościwych sercach nie są dla siebie obcy. Zaczynam się już niecierpliwić, kiedy ujrzę moich drogich angielskich przyjaciół i ich piękną ojczystą wyspę. Mój ulubiony poeta napisał parę zwrotek o Anglii, które szczególnie przypadły mi do serca. Myślę, że i Panu się podobają, więc spróbuję je przytoczyć.

Tyś naszą matką, mała wyspo!
Niech Bóg cię błogosławi.
On ciebie w uścisk oceanu,
W zwierciadło wód oprawił.

A dąb brytyjski mocą krzepkich
Wrośniętych w głąb korzeni
Sił swych użycza ci, o, matko!
Podporę dając w ziemi.

W ozdobie białych skał nadmorskich
Górzysta i zielona,
Ojczyzno dziadów i pradziadów,
O, bądź nam pozdrowiona!

Pewnie Pan się ucieszy, gdy powiem, że Tom ma miłą nauczycielkę i że jest ładny i ruchliwy. Woli bawić się, niż pisać do ręki, ale to dlatego, że jeszcze nie wie, co to za cudowna rzecz — mowa.

Nie może sobie wyobrazić, jaki, ach! jaki będzie szczęśliwy, gdy potrafi dzielić się z nami myślami, a my będziemy mogli mu powiedzieć, że kochamy go od dawna.

Jutro kwiecień skryje swoje łzy i rumieńce pod ślicznym majowym kwieciem. Ciekawa jestem, czy majowe dni są tak samo piękne w Anglii jak tutaj?

A teraz muszę powiedzieć do widzenia. Niech Pan będzie łaskaw myśleć o mnie zawsze, jako o swojej kochającej siostrzyczce.

Helena Keller

DO WIELEBNEGO PHILLIPSA BROOKSA

Pd. Boston, 1 maja, 1891 r.

Mój Drogi Panie!

Helena posyła Panu serdeczne pozdrowienia w ten promienny majowy dzień. Moja nauczycielka powiedziała mi właśnie, że mianowali Pana biskupem i że wszyscy Pana przyjaciele radują się, bo ten, którego kochają, został wielce uhonorowany. Nie bardzo rozumiem, na czym polega praca biskupa, ale jestem pewna, że musi być dobra i pożyteczna. Dlatego cieszę się, że mój drogi przyjaciel jest tak dzielny i tak mądry, i tak kochający, że podoła jej. Pięknie jest pomyśleć, że Pan może opowiadać tylu ludziom o czułej miłości Niebieskiego Ojca do wszystkich Jego dzieci, nawet jeżeli nie są łagodne i szlachetne, jak by sobie tego życzył. Mam nadzieję, że radosna nowina,

którą im Pan oznajmi, sprawi, że serca ich zaczną bić szybko z miłości. Mam także nadzieję, że całe życie biskupa Brooksa będzie tak obfitowało w szczęście, jak miesiąc maj obfituje w kwiecie i śpiewające ptaszęta.

Kochająca mała przyjaciółka

Helena Keller

Zanim znaleziono nauczycielkę dla Toma, opiekowały się nim Helena i Anna Sullivan, i w tym czasie urządzono dla niego przyjęcie w przedszkolu. Na prośbę Heleny biskup Brooks wygłosił przemówienie. Helena napisała listy do gazet. Otrzymała wiele szczodrych deklaracji. Wszystkim ofiarodawcom odpisała sama i potwierdziła odbiór datków w prasie. Poniższy list napisała do wydawcy „Boston Herald", załączając pełną listę ofiarodawców. Zebrana kwota wyniosła z górą tysiąc sześćset dolarów.

DO PANA JOHNA H. HOLMESA
WYDAWCY „BOSTON HERALD"

Południowy Boston, 13 maja 1891 r.

Mój Drogi Panie!

Czy nie zechciałby Pan łaskawie zamieścić w „Heraldzie" załączonej listy? Sądzę, że czytelnicy Pańskiego pisma będą radzi, gdy się dowiedzą, że tak dużo zrobiono dla kochanego małego Toma, i że wszyscy zapragną wziąć udział w przyjemności ratowania go. On jest naprawdę bardzo szczęśliwy w przedszkolu i co dzień czegoś się uczy. Zrobił odkrycie, że drzwi mają zamki i że z łatwością można wpychać w dziurkę od klucza patyczki i kawałki papieru, ale jak raz je wepchnie, nie kwapi się wyjmować. On o wiele bardziej woli wspinać się po kolumienkach łóżek i odkręcać wentylatory, niż pisać do ręki, ale to dlatego, że nie rozumie, że słowa pomogłyby mu w nowych ciekawych odkryciach. Mam nadzieję, że dobrzy ludzie będą nadal troszczyć się o Toma, dopóki nie zbierze się potrzebny fundusz i dopóki nauka nie wniesie światła i muzyki w jego malutkie życie.

Mała przyjaciółka

Helena Keller

DO DOKTORA OLIVERA WENDELLA HOLMESA

Południowy Boston, 27 maja 1891 r.

Drogi, Łaskawy Poeto!

Obawiam się, że nazwie Pan Helenę bardzo nieznośną dziewczynką, jeżeli będzie pisywała zbyt często. Ale jak ona może oprzeć się chęci przesyłania Panu gorących podziękowań, skoro taką sprawiasz jej Pan radość? Trudno sobie wyobrazić, jak byłam uszczęśliwiona, gdy pan Anagnos oznajmił mi, że Pan przesłał pieniądze dla Toma. Wtedy zrozumiałam, że Pan nie zapomniał o kochanym dziecku, gdyż dar świadczył o serdecznym współczuciu. Jednak przykro mi niezmiernie donieść Panu, że Tom nie nauczył się jeszcze ani jednego słówka. Taki sam, jak wtedy, gdy go Pan widział. Nie może usiedzieć na miejscu. Ale miło pomyśleć, że jest szczęśliwy, figlarny, wesoły w swoim nowym wspaniałym domu i że niebawem ta dziwna cudowna rzecz, którą nauczycielka nazywa umysłem, zacznie rozpościerać piękne skrzydła i ulatywać w poszukiwaniu krainy wiedzy. Słowa to skrzydła umysłu, nieprawdaż?

Od czasu, gdyśmy się widzieli, byłam w Andover. Byłam ogromnie zainteresowana tym, co mi opowiadano o Akademii Phillipsa, bo wiedziałam, że Pan tam studiował, a czułam, że to miejsce musi być drogie Pańskiemu sercu. Starałam się wyobrazić sobie mojego łaskawego poetę jako ucznia i zastanawiałam się, czy to w Andover nauczył się śpiewów ptasich i tajemnic małych płochliwych leśnych stworzeń. Jestem pewna, że serce Pana było zawsze pełne muzyki i w pięknym Bożym świecie musiało napotykać na równie piękny odzew miłości. Po powrocie do domu nauczycielka przeczytała mi „Ucznia", bo tego nie ma w naszym druku.

Czy słyszał Pan, że niewidome dzieci mają odbyć wstępne ćwiczenia w Tremont Temple we wtorek po południu? Załączam bilet w nadziei, że Pan przybędzie. Będziemy wszyscy dumni i szczęśliwi, mogąc powitać naszego przyjaciela poetę. Ja będę deklamowała o pięknych miastach słonecznej Italii. Mam nadzieję, że nasz życzliwy przyjaciel doktor Ellis także przybędzie i weźmie Toma w objęcia.

Dużo serdeczności i całus od małej przyjaciółki

Heleny Keller

DO WIELEBNEGO PHILLIPSA BROOKSA

Południowy Boston, 8 czerwca 1891 r.

Mój Drogi Panie!

Posyłam Panu moje zdjęcie, jak przyrzekłam. Pewno popatrzywszy na mnie, przeniesie się Pan myślami na Południe, do swojej szczęśliwej małej przyjaciółki. Żałowałam, że nie mogę widzieć obrazków rękami, tak jak widzę posążki, ale teraz nie myślę o tym często, bo mój Drogi Ojciec napełnił mój umysł pięknymi obrazami rzeczy, których nie mogę widzieć. Gdyby światło nie napełniało Twoich oczu, drogi Panie Brooks, lepiej byś rozumiał, jak szczęśliwa jest Twoja Helenka, gdy nauczycielka tłumaczy jej, że najlepsze, najpiękniejsze rzeczy na świecie nie dadzą się ani widzieć, ani nawet dotknąć, a tylko wyczuć sercem. Co dzień odkrywam coś, co mnie raduje. Wczoraj zastanowiłam się po raz pierwszy, jaka to piękna rzecz ruch, i wydało mi się, że wszystko stara się być bliżej Boga. Czy i Panu tak się zdaje? Dziś niedziela. Teraz jest rano. Podczas gdy ja piszę ten list do Pana w bibliotece, Pan opowiada setkom ludzi o wielkości i wspaniałości Niebieskiego Ojca. Pan musi być bardzo szczęśliwy, nieprawdaż? A jako biskup będzie Pan przemawiał do ogromnych tłumów, napełniając radością coraz to więcej serc. Nauczycielka przesyła miłe pozdrowienia, a ja razem z fotografią kochające serce.

Mała przyjaciółka

Helenka Keller

Gdy w czerwcu zamknięto Instytut Perkinsa, Helena wraz z nauczycielką udały się do Tuscumbii, gdzie zabawiły do grudnia. W listach następuje kilkumiesięczna przerwa spowodowana przygnębieniem, jakie opanowało Helenę i pannę Sullivan po epizodzie z „Królem Mrozem". Wtedy ta kłopotliwa sprawa wydawała się niezwykle poważna i bardzo obie unieszczęśliwiła. Analiza tego wydarzenia jest podana gdzie indziej, a i Helena Keller sama już to omawiała.

DO PANA ALBERTA H. MUNSELLA

Brewster, 10 marca 1892 r.

Mój Drogi Panie!

Z pewnością nie potrzebuję Panu mówić, że Jego list sprawił mi radość. Rozkoszowałam się każdym słówkiem i żałowałam,

że nie dłuższy. Śmiałam się ze złego humoru starego Neptuna. Rzeczywiście od naszego przybycia do Brewster zachowywał się bardzo dziwnie. Najwidoczniej coś się Jego Królewskiej Mości nie podobało, ale nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być. Oblicze miał tak burzliwe, że obawiałam się przekazać mu Pańskie miłe pozdrowienie. Któż wie! Może Stary Bóg Morza, gdy spał na wybrzeżu, usłyszał cichą muzykę wszystkiego, co tam rosło, drganie życia w łonie ziemi i jego burzliwe serce zapałało gniewem, bo poznał, że panowanie jego i Zimy ma się ku końcowi. Więc nieszczęśliwi monarchowie walczyli ach, jak rozpaczliwie, w przewidywaniu, że łaskawa Wiosna zawróci i umknie na widok spustoszenia, jakiego dokonali wspólnymi siłami. Ale cóż! Śliczne dziewczę, tyle tylko, że uśmiecha się jeszcze wdzięczniej i dmucha na lodowate szańce swoich nieprzyjaciół, którzy giną w jednej chwili, a uradowana Ziemia gotuje jej królewskie powitanie. Ale muszę zaniechać tych daremnych fantazyjek do następnego spotkania. Niech Pan będzie łaskaw przekazać serdeczności ode mnie swojej drogiej matce. Nauczycielka poleciła mi zakomunikować, że fotografia bardzo jej się podobała i że po naszym powrocie zakrzątnie się koło naszych. A teraz, Drogi Przyjacielu, proszę, przyjmij tych parę słów, bo towarzyszy im miłość.

Oddana całym sercem

Helena Keller

Facsimile poniższego listu zamieścił „St. Nicholas" w czerwcu 1892 roku. Brak daty, lecz musiał być pisany parę miesięcy wcześniej.

DO „ST. NICHOLAS"

Drogi „Św. Mikołaju"!

Wielka to dla mnie przyjemność posłać ci mój autograf, bo chcę, żeby chłopcy i dziewczynki, którzy czytują Ciebie, wiedzieli, jak piszą niewidome dzieci. Pewno niejedno z nich dziwi się, jak możemy utrzymać proste linijki, więc postaram się wyjaśnić, jak się to robi. Mamy wyżłobioną tabliczkę, którą, gdy chcemy pisać, wkładamy między karty. Równoległe wyżłobienia odpowiadają linijkom i kiedy wciśniemy w nie papier nie zatemperowanym końcem ołówka, łatwo jest pisać słowa w pros-

tej linii. Małe litery mieszczą się we wgłębieniach, a długie wystają od góry i od dołu. Prowadzimy ołówek prawą ręką, a wskazującym palcem lewej dotykamy ostrożnie, żeby zbadać, czy litery są poprawne i właściwe odstępy. Początkowo ciężko przychodzi kreślenie wyraźnych liter, ale próbujemy i próbujemy, aż stopniowo idzie coraz łatwiej i po długiej praktyce udaje nam się pisać do naszych przyjaciół czytelne listy. A wtedy czujemy się bardzo, bardzo szczęśliwi. Może kiedyś zechcą zwiedzić szkołę dla niewidomych. A jeżeli zechcą, to z pewnością będą chcieli zobaczyć, jak piszą uczniowie.

Całym sercem wasza mała przyjaciółka

Helenka Keller

W maju 1892 roku Helena wydała herbatkę na pomoc dla przedszkola dla niewidomych. Był to jej własny pomysł. Herbatka odbyła się w domu pani Mahlon D. Spaulding, siostry pana Johna P. Spauldinga, jednego z najbliższych, najhojniejszych przyjaciół Heleny. Impreza przyniosła ponad dwa tysiące dolarów.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Południowy Boston, 9 maja 1892 r.

Moja Droga Carrie!

Pani uprzejmy list sprawił mi wielką przyjemność. Nie potrzebuję zaznaczać, jak strasznie się ucieszyłam, że Pani zainteresowała się herbatką. Naturalnie nie damy za wygraną. Niedługo pojadę bardzo daleko do mojego kochanego domu na słonecznym Południu. Będę szczęśliwa myśląc, że ostatnią przyjemnością, jaką sprawili mi drodzy przyjaciele z Bostonu, była pomoc w akcji uszczęśliwienia i uszlachetnienia wielu małych niewidzących dzieci. Wiem, że życzliwi ludzie nie potrafią się oprzeć serdecznemu współczuciu dla małych dzieci, które nie mogą widzieć pięknego światła ani żadnej z tych cudnych rzeczy, które ich radują. A wydaje mi się, że wszelkie szczere współczucie musi się uzewnętrznić w serdecznych uczynkach. Więc gdy przyjaciele małych, bezradnych, niewidomych dzieci zrozumieją, że pracujemy dla ich szczęścia, to przyjdą i herbatka nam się uda, a ja z pewnością będę najszczęśliwszą dziewczynką na całym świecie. Proszę o łaskawe zawiadomienie biskupa Brooksa o naszych planach, żeby i on postarał się do

nas przybyć. Cieszę się, że panna Eleonora też się zainteresowała. Przesyłam dla niej serdeczności. Jutro się z Panią zobaczę, to naradzimy się nad dalszymi planami. Niech Pani serdecznie pozdrowi swoją Kochaną Ciocię ode mnie i nauczycielki i powie jej, że wizyta u niej była czarująca.

Kochająca

Helena Keller

DO PANA JOHNA P. SPAULDINGA

Południowy Boston, 11 maja 1892 r.

Mój Drogi Panie!

Obawiam się, że czytając ten list, nazwie Pan swoją małą przyjaciółkę natrętną dziewczynką, ale z pewnością nie zgani mnie Pan, gdy powiem, co mi leży na sercu. Pamięta Pan, co nauczycielka i ja mówiłyśmy Panu w niedzielę, że ja chciałabym wydać herbatkę na pomoc dla przedszkola. Myślałyśmy, że wszystko załatwione; ale w poniedziałek okazało się, że pani Elliott nie zechce pozwolić nam zaprosić więcej niż pięćdziesiąt osób, gdyż dom pani Howe jest niewielki. Jestem pewna, że dużo ludzi chętnie przyszłoby na herbatkę i pomogło mi w moim zamierzeniu. Jednak niektórzy moi przyjaciele mówią, że będę musiała wyrzec się tego planu, chyba że znajdziemy sobie inny dom. Nauczycielka napomknęła wczoraj, że może pani Spaulding zgodziłaby się użyczyć nam swego pięknego domu, więc [ja] pomyślałam, że zwrócę się z tym do Pana. Czy Pan sądzi, że pani Spaulding pomogłaby mi, gdybym do niej napisała? Będę ogromnie zawiedziona, jeżeli mój plan nie uda się, bo już od tak dawna chciałam poratować biedne maleństwa oczekujące na przyjęcie do przedszkola. Niech Pan będzie łaskaw powiadomić mnie, co Pan o tym sądzi, i zechce mi przebaczyć moje natręctwo.

Kochająca mała przyjaciółka

Helena Keller

DO PANA EDWARDA H. CLEMENTA

Południowy Boston, 18 maja 1892 r.

Mój Drogi Panie!

Piszę do Pana w ten piękny poranek, gdyż serce moje przepełnia szczęście i pragnę, żeby Pan i wszyscy moi kochani przy-

jaciele w redakcji „Transcript" cieszyli się razem ze mną. Przygotowania do mojej herbatki są na ukończeniu i nie mogę się wprost doczekać tego radosnego wydarzenia. Wiem, że mi się to uda. Zacni ludzie nie sprawią mi zawodu. Wiedzą przecież, że zabiegam o pomoc dla bezradnych dzieci, które żyją w ciemnościach niewiedzy. Zejdą się na moją herbatkę i kupią światło — piękne światło wiedzy i miłości dla mnóstwa dzieci niewidomych, nie mających przyjaciół. Pamiętam doskonale, jak to było, gdy przybyła do mnie moja droga nauczycielka. Byłam wtedy jak te małe niewidome dzieci czekające na przyjęcie do przedszkola. W mojej duszy nie było światła. Ten cudny świat z całym swoim słonecznym blaskiem i pięknem był ukryty przede mną i nie marzyło mi się nawet, jaki jest śliczny. Ale przybyła do mnie nauczycielka i nauczyła moje palce posługiwania się pięknym kluczem, który otworzył drzwi mego ciemnego więzienia.

Gorąco pragnę dzielić się moim szczęściem z innymi, więc proszę zacnych mieszkańców Bostonu, żeby mi pomogli uszczęśliwić małe niewidome dzieci i rozjaśnić ciemności, w jakich żyją.

Kochająca mała przyjaciółka

Helenka Keller

Z końcem czerwca panna Sullivan i Helena pojechały do domu, do Tuscumbii.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Tuscumbia, Alabama, 9 lipca 1892 r.

Moja Droga Carrie!

To, że dziś piszę do Ciebie, musisz uznać za duży dowód mojej miłości. Przez cały tydzień było w Tuscumbii „zimno, ciemno i pochmurno". Muszę wyznać, że ciągłe deszcze i okropna pogoda nasuwają mi posępne myśli i po prostu uniemożliwiają pisanie listów czy jakiekolwiek miłe zajęcia. Jednakże muszę Cię powiadomić, że żyjemy — że dotarłyśmy do domu szczęśliwie, że co dzień o Tobie mówimy i cieszymy się ogromnie Twoimi listami. Miałam śliczną wizytę w Hulton. Świat był świeży, po prostu wiosenny i przez cały dzień przebywałyśmy na powietrzu. Nawet śniadania jadałyśmy na *piazza.* Siady-

wałyśmy od czasu do czasu w hamaku i nauczycielka czytała mi. Jeździłam konno prawie co wieczór, a raz przejechałam pięć mil galopem. Cóż to była za rozkosz! Czy lubisz jeździć konno? Mam teraz bardzo ładny wózeczek i jeżeli kiedyś przestanie padać, będę jeździła nim z nauczycielką co wieczór. Mam znów pięknego brytana — tak wielkiego jeszcze nie widziałam. Będzie nas pilnował. Wabi się Eumer. Dziwaczna nazwa, nieprawdaż? Chyba saksońska. Za tydzień wybieramy się w góry. Mój braciszek Phillips nie jest zdrowy. Uważamy, że czyste powietrze górskie dobrze mu zrobi. Mildred jest słodką siostrzyczką. Jestem pewna, że pokochałabyś ją. Dziękuję Ci serdecznie za fotografię. Lubię gromadzić fotografie moich przyjaciół, chociaż nie mogę ich widzieć. Ubawił mnie ogromnie pomysł, żebyś Ty miała pisać zwykłym pismem. Ja nie piszę, jak przypuszczasz, na tabliczce Braille'a, ale na wyżłobionej tabliczce. Załączam próbkę. Nie mogłabyś czytać Braille'a, bo to się pisze kropkami, a nie zwyczajnymi literami. Przekaż ode mnie serdeczności pannie Derby i powiedz Jej, iż mam nadzieję, że pozdrowi ode mnie najczulej maleńką Rut. Jaką książeczkę przysłałaś mi na urodziny? Otrzymałam kilka i nie wiem, która jest od Ciebie. Jeden upominek sprawił mi szczególną przyjemność. Jest to śliczna narzutka szydełkowa, którą zrobił dla mnie starszy pan. Ma on siedemdziesiąt pięć lat. Napisał, że z każdym ściegiem związane jest miłe życzenie zdrowia i szczęścia dla mnie. Powiedz swoim małym kuzynkom, że lepiej będzie, jak nie będą brali udziału w wyborach, bo tyle jest partii i kandydatów, że to wątpliwe, aby tacy młodociani politycy mogli mądrze utrafić w sedno. Pisząc do Rosy przekaż jej serdeczności ode mnie i wierz mi, że jestem Twoją kochającą przyjaciółką.

Helena Keller

P. S. Jak ci się podoba ten list pisany na maszynie?

H. K.

DO PANI GROVER CLEVELAND

Moja Droga Pani!

Piszę do Pani w ten piękny poranek, bo doprawdy kocham całym sercem Panią, i kochaną małą Rut, a także dlatego, że

chcę Pani podziękować za serdeczne słowa, które przekazała mi panna Derby. Cieszę się, bardzo się cieszę, że mnie kocha taka łaskawa piękna pani. Ja już kocham Panią od dawna, ale nie myślałam, że Pani w ogóle o mnie słyszała, dopóki nie otrzymałam tego miłego listu. Niech Pani ucałuje ode mnie swoją kochaną dziewczyneczkę i powie jej, że mam malutkiego braciszka, który ma już prawie półtora roku. Na imię ma Phillips Brooks. Sama mu je nadałam na pamiątkę mojego drogiego przyjaciela Phillipsa Brooksa. Posyłam Pani wraz z listem ładną książkę, która, jak sądzi moja nauczycielka, zainteresuje Panią, a także moją fotografię. Proszę, niech Pani to przyjmie wraz z serdecznymi życzeniami

od przyjaciółki

Heleny Keller

Tuscumbia, Alabama
4 listopada [1892 r.]

Dotąd wszystkie listy przytaczane były w całości. Teraz niektóre ustępy opuszczono, co zostało zaznaczone.

DO PANA JOHNA HITZA

Tuscumbia, Alabama, 19 grudnia 1892 r.

Mój Drogi Panie!

Po prostu nie wiem, jak mam zacząć do Pana pisać, bo to już tak dawno otrzymałam od Pana ten uprzejmy list, a tak dużo chciałabym napisać, gdybym mogła. Musiał się Pan dziwić, dlaczego Panu nie odpisałam, i może Pan pomyślał o nauczycielce i o mnie, że jesteśmy bardzo niegrzeczne. Jeżeli tak, to będzie Panu bardzo przykro, gdy Panu coś powiem. Nauczycielkę tak bolały oczy, że w ogóle nie mogła pisać, a ja próbowałam wywiązać się z przyrzeczenia danego w lecie. Przed wyjazdem z Bostonu proszono mnie, żebym napisała krótki życiorys dla „Youth's Companion". Zamierzałam napisać go podczas wakacji, ale nie byłam zdrowa i nie czułam się na siłach pisać nawet do przyjaciół. Ale kiedy nastały jasne jesienne dni i poczułam się znów silna, zaczęłam myśleć o tym życiorysie. Zanim ułożyłyśmy sobie wszystko, tak jak chciałyśmy, upłynęło

trochę czasu. Widzi Pan, to wcale nie jest przyjemnie pisać wszystko o sobie. W końcu jednak zmajstrowałam coś, co nauczycielka uznała za udane. Więc zabrałam się do pisania całości, co nie było łatwym zadaniem, bo chociaż co dzień nad tym pracowałam, to ukończyłam dopiero tydzień temu — w sobotę. Jak tylko życiorys był gotowy, posłałam go do „Youth's Companion". Ale nie wiem, czy przyjmą. Potem źle się czułam; musiałam mieć spokój i wypocząć. Ale dziś czuję się lepiej i mam nadzieję, że jutro będę zdrowa.

To, co Pan czytał o mnie w gazecie, wcale nie jest zgodne z prawdą. Otrzymałyśmy wysłanego przez Pana „Silent Worker" i ja napisałam natychmiast do redaktora wyjaśniając omyłkę. Zdarza się, że nie jestem zdrowa, ale nie jestem ciężko chora i moje warunki nie są „fatalne".

List Pana sprawił mi wielką radość. Zawsze jestem uradowana, gdy ktoś dzieli się ze mną swoimi myślami. Zachowuję je na zawsze w pamięci. Dlatego, że moje książki są przepełnione bogactwami, o których mówi Ruskin, to je tak serdecznie kocham. Dopóki nie zaczęłam pisać życiorysu dla „Companion", nie zdawałam sobie sprawy, jak cennymi towarzyszami były dla mnie książki i jakie miałam szczęśliwe życie. Więc teraz jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, bo oceniam szczęście, jakie się stało moim udziałem. Mam nadzieję, że będzie Pan pisywał do mnie często. Obie jesteśmy zawsze uradowane, gdy Pan daje znać o sobie. Chcę napisać do pana Bella i posłać mu swoją fotografię. Przypuszczam, że był zbyt zajęty, żeby napisać do swojej małej przyjaciółki. Często myślę, jak nam było miło razem w Bostonie na wiosnę.

A teraz powiem Panu sekret. Zdaje się, że w marcu pojedziemy do Waszyngtonu. Nauczycielka, mój ojciec, siostrzyczka i ja!!! Wtedy znowu zobaczę Pana i kochanego pana Bella, i Elsie, i Daisy! Czy nie byłoby cudnie, gdyby pani Pratt mogła się tam spotkać z nami? Myślę, że napiszę do niej i powiem jej także o sekrecie...

Kochająca mała przyjaciółka

Helena Keller

P. S. Nauczycielka mówi, że Pan chce wiedzieć, jakiego bym sobie życzyła ulubieńca. Kocham wszelkie stworzenia —

chyba wszyscy je kochają, ale, rozumie się, nie mogę mieć menażerii. Mam pięknego kuca i dużego psa. Chciałabym małego pieska, którego można trzymać na kolanach, albo dużego mruczka (w Tuscumbii nie ma pięknych kotów), albo papugę. Chciałabym czuć, jak papuga mówi, to by była zabawa! Ale jakiekolwiek stworzonko dostanę od Pana, będę zadowolona i będę je kochała.

H. K.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Tuscumbia, Alabama, 18 lutego 1893 r.

... Często byłaś w moich myślach przez te smutne dni, kiedy moje serce bolało po stracie ukochanego przyjaciela*. Wiele razy żałowałam, że nie byłam w Bostonie z tymi, którzy go znali i kochali tak, jak ja... miałam w nim wielkiego przyjaciela, tak czułego i zawsze kochającego! Staram się nie opłakiwać go zbyt żałośnie. Staram się myśleć, że jest jeszcze blisko, bardzo blisko, ale chwilami myśl, że go nie ma, że go już nie zobaczę po powrocie do Bostonu — że odszedł — zalewa mi duszę falą rozpaczy. To znów czuję jego obecność i jego kochającą rękę, która wiedzie mnie jak dawniej. Czy pamiętasz tę szczęśliwą godzinę, jaką spędziłyśmy z nim w czerwcu? Trzymał mnie za rękę, jak zawsze, i opowiadał nam o swoim przyjacielu Tennysonie i o naszym własnym kochanym poecie, doktorze Holmesie, i ja próbowałam uczyć go ręcznego alfabetu, a on zaśmiewał się wesoło ze swoich omyłek, a później powiedziałam mu o mojej herbatce i obiecał przyjść. Słyszę go teraz, jak mówi tym swoim wesołym stanowczym głosem uspokajając mnie, kiedy niepokoiłam się, czy uda się moja herbatka: „Naturalnie, Heleno. Uda się. Włóż całe serce w dobre dzieło, moje dziecko, a nie może się nie udać".

Cieszę się, że ludzie zamierzają wznieść pomnik dla uczczenia jego pamięci...

W marcu Helena z panną Sullivan pojechały na Północ i przez kilka miesięcy podróżowały i odwiedzały przyjaciół.

Biskup Phillips Brooks umarł 23 stycznia 1893 r.

Czytając następny list o Niagarze, trzeba wziąć pod uwagę, że Helena Keller zna pojęcia odległości i kształtu i że wielkość Niagary leży w zasięgu jej doświadczenia, gdyż przeszła przez most i zjechała na dół windą. Szczególnie ważne są takie szczegóły, jak to, że czuła pęd wody przykładając rękę do okna. Doktor Bell dał jej puchowy jasiek, który przyciskała do siebie dla wzmocnienia wibracji.

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Południowy Boston, 13 kwietnia 1893 r.

... Nauczycielka, pani Pratt i ja postanowiłyśmy niespodziewanie wyruszyć w podróż z kochanym doktorem Bellem. Pan Westervelt, którego ojciec poznał w Waszyngtonie, ma w Rochester szkołę dla głuchociemnych. Tam udaliśmy się najpierw...

Pan Westervelt urządził dla nas popołudniowe przyjęcie. Było dużo gości. Niektórzy zadawali szczególne pytania. Jakaś pani dziwiła się, że kocham kwiaty, kiedy nie mogę widzieć ich pięknych barw, a gdy ją zapewniłam, że jednak je kocham, odpowiedziała: „Niewątpliwie wyczuwasz barwy palcami".

Ale oczywiście kochamy kwiaty nie tylko dla ich żywych barw.

... Jeden z panów zapytał mnie, co w moim pojęciu znaczy piękno. Powiem otwarcie, że mnie to pytanie zdetonowało. Po minucie odpowiedziałam, że piękno jest formą dobroci — a on poszedł sobie.

Po przyjęciu wróciłyśmy do hotelu i nauczycielka spała, zupełnie nieświadoma, jaka ją czeka niespodzianka. Obmyśliliśmy to we dwoje, pan Bell i ja, i zanim jej o tym powiedzieliśmy, pan Bell załatwił wszystko, co było trzeba. A oto niespodzianka — miała mi przypaść w udziale przyjemność pokazania mojej drogiej nauczycielce wodospadu Niagara!...

Hotel stoi tak blisko rzeki, że przykładając rękę do okna, czułam pęd wody. Rano słońce wzeszło promienne i upalne. Zerwałyśmy się szybko, gdyż serca nasze przepełniało miłe oczekiwanie... Mama nigdy sobie nie zdoła wyobrazić, co czułam w obliczu Niagary, chyba że Mama doświadczy tych samych tajemnych wrażeń. Nie chciało mi się wprost wierzyć, że to woda pędzi i wali w dół z taką wściekłą furią u moich stóp. Czułam ten pęd i wydawało mi się, że to żywe stworzenie gna

ku jakiemu strasznemu przeznaczeniu. Żałuję, że nie mogę opisać wodospadu takiego, jak jest, jego piękna, groźnej wspaniałości i straszliwego, nieodpartego pędu wód walących się w przepaść. W obliczu tak niezmierzonej potęgi człowiek czuje się bezradny, zduszony. Takiego samego uczucia doznałam już przedtem, gdy znalazłam się po raz pierwszy nad brzegiem ogromnego oceanu i poczułam, jak fale rozbijają się o brzeg. Przypuszczam, że i Mama doświadcza takich samych uczuć, gdy w ciszy nocnej spogląda w górę ku gwiazdom, nieprawdaż?... Zjechaliśmy na dół windą na głębokość stu dwudziestu stóp, żeby zobaczyć gwałtowne wiry i odmęty w głębokiej gardzieli poniżej wodospadu. W odległości dwóch mil od wodospadu znajduje się cudny wiszący most. Przerzucono go przez wąwóz na wysokości dwustu pięćdziesięciu ośmiu stóp nad poziomem wody. Podtrzymują go na obu brzegach wieże skalne, oddalone od siebie o osiemset stóp. Gdyśmy przechodzili na stronę kanadyjską, zawołałam: „God save the Queen!" Nauczycielka powiedziała, że dopuściłam się małej zdrady. Ale nie sądzę. Naśladowałam na ziemi kanadyjskiej obyczaj kanadyjski, a zresztą żywię cześć dla dobrej królowej Anglii.

Miło Ci będzie usłyszeć, droga Mamo, że uprzejma pani, niejaka panna Hooker, stara się poprawić moją mowę. Och, mam nadzieję i modlę się o to, żebym się nauczyła dobrze mówić...

Pan Munsell spędził z nami ostatni niedzielny wieczór. Jak on pięknie opowiadał o Wenecji! Szkoda, że Mama nie słyszała! Opowiadał tak obrazowo, że wydawało się nam, iż siedzimy w cieniu Św. Marka, że marzymy albo płyniemy o księżycu po kanale... Mam nadzieję, że jak pojadę do Wenecji, a z pewnością pojadę, to pan Munsell będzie mi towarzyszył. To jest mój zamek na lodzie. Widzisz, Mamo, żaden z moich przyjaciół nie potrafi opisywać widoków tak żywo i tak pięknie, jak on to czyni...

Zwiedzanie Wystawy Światowej Helena opisała w liście do p. Johna P. Spauldinga ogłoszonym w „St. Nicholas"; opisała to nieomal tak, jak w liście do panny Derby. We wstępie pióra Anny Sullivan dla „St. Nicholas" nauczycielka pisze, że ludzie często do niej mówią: „Helena więcej widzi palcami niż my oczami". Dyrektor Wystawy wręczył Helenie następujące pismo:

DO KIEROWNIKÓW DZIAŁÓW
ORAZ ADMINISTRATORÓW BUDYNKÓW I WYSTAW

Szanowni Panowie!

Oddawczyni niniejszego, panna Helena Keller, której towarzyszy panna Anna Sullivan, życzy sobie zwiedzić dokładnie wszystkie działy wystawy. Jest głucha i niewidoma, ale może rozmawiać. Przedstawiono mi ją jako osobę obdarzoną cudownymi zdolnościami orientacyjnymi, wysoce inteligentną i nad wiek wyrobioną kulturalnie. Proszę udzielić jej wszelkich ułatwień przy badaniu eksponatów w kilku działach oraz okazać wszelkie możliwe względy.

Z góry dziękując za zastosowanie się do mej prośby pozostaję

Z poważaniem

(podpis) H. N. Higinbotham
dyrektor

DO PANNY KAROLINY DERBY

Hulton, Pen., 17 sierpnia 1893 r.

...Każdy na wystawie świadczył mi wielkie uprzejmości... Prawie wszyscy wystawcy pozwalali bardzo chętnie dotykać jak najdelikatniejszych przedmiotów i wszystko mi wyjaśniali z całą gotowością. Jakiś Francuz, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, pokazał mi wielkie francuskie brązy. Chyba te brązy zachwyciły mnie najwięcej z całej wystawy: tak były pod dotknięciem pełne życia i uroku. Doktor Bell towarzyszył nam do ekspozycji elektrycznej. Pokazał nam kilka historycznych telefonów. Widziałam ten, przez który cesarz Don Pedro na Obchodzie Stulecia słuchał tych oto słów: „Być albo nie być". Doktor Gillett z Illinois zaprowadził nas do pawilonu sztuki i działu kobiecego. W pawilonie sztuki zwiedziłam wystawę prac Tiffany'ego i trzymałam w ręku piękny brylant Tiffany'ego oceniony na sto tysięcy dolarów, i dotykałam wielu innych rzadkich kosztowności. Siedziałam w fotelu króla Ludwika, a kiedy doktor Gillett powiedział, że mam licznych lojalnych poddanych, wydawało mi się, że jestem królową. W pawilonie kobiecym spotkaliśmy księżnę Marię Schaowskoj z Rosji i piękną damę z Syrii. Obydwie bardzo mi się podobały. Dział japoński zwie-

działam z prof. Morsem, znanym prelegentem. Nie zdawałam sobie sprawy, co to za nadzwyczajni ludzie ci Japończycy, dopóki nie zobaczyłam ich niesłychanie ciekawej wystawy. Sądząc po wielkiej ilości zabawek wyrabianych w tym kraju, Japonia musi być prawdziwym rajem dla dzieci. Zainteresowały mnie japońskie instrumenty muzyczne o dziwacznym wyglądzie i piękne dzieła sztuki. Książki japońskie są bardzo dziwne. Ich alfabet zawiera czterdzieści siedem liter. Profesor Morse wie bardzo dużo o Japonii i jest ogromnie uprzejmy i mądry. Prosił, żebym, jak znów pojadę do Bostonu, zwiedziła jego muzeum w Salem. Ale myślę, że pływanie gondolą po spokojnej lagunie i prześliczne sceny, jakie opisali przyjaciele, sprawiły mi więcej przyjemności niż cokolwiek innego na wystawie. Pewnego razu, gdyśmy byli na wodzie, słońce zaszło za krawędź i zalało Białe Miasto łagodnym różowym światłem, upodabniając je bardziej niż kiedykolwiek do krainy marzeń...

Oczywiście zwiedziliśmy Wesołe Miasteczko. Było to oszałamiające czarowne miejsce. Chodziłam po ulicach Kairu i jeździłam na wielbłądzie. To była dopiero uciecha! Jeździłyśmy również na diabelskim młynie i pływałyśmy na wielorybie...

Na wiosnę 1893 roku otwarto w Tuscumbii klub mający na celu ufundowanie biblioteki publicznej. Prezeską klubu została pani Keller. Helena Keller pisze:

Napisałam o tym przedsięwzięciu do przyjaciół i uzyskałam ich poparcie. Wkrótce przysłano na moje ręce kilkaset książek, w tym wiele wartościowych, oraz gotówkę. Nie szczędzono mi również słów zachęty. Ta wspaniałomyślna pomoc zachęciła panie i od tego czasu zbierały i kupowały książki, tak że teraz mają w mieście bardzo pokaźną bibliotekę publiczną.

DO PANI CHARLES E. INCHES

Hulton, Pen., 21 października 1893 r.

... Wrzesień spędziłyśmy w domu... byliśmy wszyscy razem bardzo szczęśliwi... Nasza spokojna górska siedziba wydała się szczególnie urocza i cicha po podniecającej, męczącej wyprawie na Wystawę Światową. Urok górskiego odludzia radował nas więcej niż kiedykolwiek.

A teraz znów bawimy w Hulton w Pensylwanii. Tej zimy będę tu uczyła się z wychowawcą przy pomocy mojej drogiej nauczycielki. Studiuję arytmetykę, łacinę i literaturę. Bardzo cieszą mnie te lekcje. To tak miło poznawać nowe rzeczy. Przekonuję się co dzień, jak mało wiem, ale nie odczuwam zniechęcenia, gdyż Bóg ofiarował mi wieczność na naukę. Z literatury studiuję poezję Longfellowa. Dużo wierszy tego poety umiem na pamięć. Kochałam się w jego twórczości na długo przedtem, zanim nauczyłam się odróżniać metaforę od synekdochy. Dawniej nie przepadałam za arytmetyką, ale teraz zmieniłam zdanie. Widzę, jaka to jest dobra i pożyteczna nauka, chociaż muszę się przyznać, że czasami jestem roztargniona, bo jakkolwiek arytmetyka jest miła i pożyteczna, to nie tak interesująca jak piękny poemat lub śliczna opowieść. Ale, mój Boże! Jak czas ucieka! Zostało mi tylko kilka chwil, żeby odpowiedzieć na pytania pani o Bibliotekę Publiczną im. Heleny Keller.

1) Przypuszczam, że Tuscumbia liczy około trzech tysięcy mieszkańców i może połowa z nich to kolorowi. 2) Obecnie nie ma w mieście żadnej biblioteki. Dlatego pomyślałam, żeby coś zrobić. Moja matka i kilka zaprzyjaźnionych ze mną pań ofiarowały mi się z pomocą. Założyły klub mający na celu ufundowanie bezpłatnej biblioteki publicznej w Tuscumbii. Mają teraz około stu książek i około pięćdziesięciu pięciu dolarów w gotówce, a jeden uczynny pan podarował nam plac, gdzie ma stanąć budynek. Na razie klub wynajął mały pokój w śródmieściu i książki, które posiadamy, są do dyspozycji wszystkich. 3) Kilku tylko moich łaskawych przyjaciół w Bostonie wie coś niecoś o bibliotece. Nie chciałam ich molestować wtedy, gdy starałam się o pieniądze dla biednego małego Toma, bo naturalnie ważniejsza była sprawa jego nauki niż książki dla mojego miasteczka. 4) Nie wiem, co to są za książki, które mamy, ale przypuszczam, że rozmaite...

P. S. Moja nauczycielka uważa, że lepiej posłużyć się urzędowym stylem i powiedzieć, że lista ofiarodawców na fundusz będzie stale ogłaszana w gazecie mego ojca „North Alabamian".

H. K.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Hulton, Pen., 28 grudnia 1893 r.

... Bądź łaskawa podziękować kochanej cioci za piękną tarczę, którą mi przysłała. To bardzo interesująca pamiątka po Kolumbie i po wystawowym Białym Mieście. Ale nie mam pojęcia, jakich to odkryć dokonałam, to znaczy nowych odkryć. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy odkrywcami, bo przecież rodzimy się całkowicie nieświadomi niczego, ale chyba ona nie to miała na myśli. Powiedz cioci, że musi wyjaśnić, dlaczego to ja jestem odkrywcą...

DO DOKTORA EDWARDA EVERETTA HALE'A

Hulton, Pensylwania, 14 stycznia [1894 r.]

Mój Drogi Kuzynie!

Dawno już nosiłam się z myślą napisania do Ciebie w odpowiedzi na Twój uprzejmy list, który sprawił mi tyle radości, i żeby Ci podziękować za piękną książeczkę, którąś mi przysłał, ale od początku Nowego Roku byłam ogromnie zajęta. Publikacja mojego życiorysu w „Youth's Companion" sprawiła, że zaczęły napływać masowo listy — w zeszłym tygodniu otrzymałam ich sześćdziesiąt jeden! — muszę na niektóre odpowiadać, a oprócz tego odrabiać lekcje. Mam dużo lekcji, między innymi arytmetyki i łaciny, a wiesz przecież, że Cezar jak był Cezarem, tak nim pozostał, zawsze taki sam despota i tyran i jeżeli mała dziewczynka chce zrozumieć tak wielkiego człowieka i wszystkie wojny, i podboje, o których on opowiada swoją piękną łaciną, to musi dużo się uczyć i dużo myśleć, a nauka i myślenie wymagają czasu.

Książeczka zawsze będzie dla mnie cenna, nie tylko ze względu na swoją istotną wartość, ale dlatego, że pochodzi od Ciebie. Cóż za radość myśleć o Tobie jako ofiarodawcy jednej z tych książek, w które wplotłeś własne myśli i uczucia. Dziękuję Ci serdecznie, że w tak piękny sposób dałeś mi dowód, że o mnie pamiętasz...

W lutym Helena z nauczycielką wróciły do Tuscumbii. Resztę wiosny spędziły na studiach i lekturze. W lecie uczestniczyły w Chau-

tauqua na zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauki Mowy dla Głuchych. Na tym zjeździe panna Sullivan odczytała referat o kształceniu Heleny Keller.

Na jesieni Helena i nauczycielka zapisały się do Szkoły Wrighta--Humasona w Nowym Jorku, gdzie uczono przede wszystkim czytania z warg i kultury głosu. „Śpiewne lekcje" miały na celu wzmocnienie jej głosu. W Instytucie Perkinsa brała przez krótki czas lekcje gry na fortepianie. Eksperyment był interesujący, ale oczywiście nieudany.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Szkoła Wrighta-Humasona
Nowy Jork, 23 października 1894 r

... Szkoła jest bardzo miła i — Boże mój! — dość modna... Uczę się arytmetyki, literatury angielskiej i historii Stanów Zjednoczonych, tak jak zeszłej zimy. Prowadzę również dziennik. Nie umiem wypowiedzieć, jaką radość sprawiają mi lekcje śpiewu z doktorem Humasonem. Spodziewam się, że po jakimś czasie będę brała lekcje gry na fortepianie...

W ubiegłą niedzielę nasi troskliwi nauczyciele urządzili nam cudowną wycieczkę na wyspę Bedloe, żeby nam pokazać ogromną Statuę Wolności Bartholdiego przyświecającą światu... Stare działa, skierowane ku morzu, mają bardzo groźny wygląd, chociaż wątpię, czy w ich zardzewiałych sercach tli się jeszcze jakaś niechęć. Wolność, przedstawiona w postaci gigantycznej kobiety w greckich draperiach, trzymającej pochodnię w prawej ręce... Spiralne schody prowadzą od podstawy cokołu do pochodni. Weszliśmy aż do głowy, w której może się zmieścić czterdzieści osób, i ujrzeli widok, na który Wolność spogląda w dzień i w nocy. Och, to było coś wspaniałego! Nie dziwiliśmy się, że wielki artysta francuski uznał to miejsce za godny piedestał dla swego wzniosłego ideału. Wspaniała zatoka leżała cicha i piękna w październikowym słońcu, a okręty przypływały i odpływały jak mary senne. Te, które wychodziły na morze, znikały z wolna niby chmury zmieniające złociste barwy na szare. Te, które przybywały do portu, płynęły prędzej niby ptaki spieszące do macierzystego gniazda...

Szkoła Wrighta - Humasona
Nowy Jork, 15 marca 1895 r.

... Sądzę, że nabrałam trochę większej wprawy w czytaniu z warg, jakkolwiek nadal trudno mi, i to bardzo trudno, zrozumieć cokolwiek, gdy ktoś szybko mówi. Ale jestem pewna, że w końcu nauczę się tej sztuki, jeżeli będę wytrwała. Doktor Humason stara się nadal poprawiać moją wymowę. Och, Carrie, jakżebym chciała mówić tak jak inni ludzie! Pracowałabym chętnie dniem i nocą, żebym tylko mogła osiągnąć ten cel. Pomyśl, co by to była za radość dla wszystkich moich przyjaciół, gdyby mnie usłyszeli mówiącą naturalnym głosem!!! Dziwię się, dlaczego nauka mowy przychodzi głuchemu dziecku z takim trudem i jest tak kłopotliwa, kiedy innym ludziom idzie to łatwo, ale wiem, że w końcu nauczę się mówić doskonale, jeżeli tylko będę cierpliwa...

Mimo że byłam ogromnie zajęta, znajdowałam czas na lekturę. Czytałam bardzo dużo... Wertowałam ostatnio „Wilhelma Tella" Schillera i „Zgubioną Westalkę"... Teraz czytam „Natana Mędrca" Lessinga i „Króla Artura" Dinah Mulock.

... Wiesz, nasi troskliwi nauczyciele pokazują nam wszelkie rzeczy godne widzenia i mogące nas zainteresować. W ten miły sposób uczymy się bardzo wiele. W urodziny Waszyngtona byliśmy wszyscy na pokazie psów i jakkolwiek w Madison Square Garden były wielkie tłumy i pomimo oszołomienia, w jakie wprawiała osoby słyszące różnorodna psia orkiestra, popołudnie udało nam się nadzwyczajnie. Wśród psów, którymi najwięcej się interesowano, były buldogi. Gdy się je pieściło, pozwalały sobie na niesłychane poufałości. Pchały się niemal w ramiona i bezceremonialnie całowały po twarzach, najwidoczniej nieświadome tego, że zachowują się niewłaściwie. Ojej! Cóż to były za brzydactwa! Ale z tym wszystkim takie dobroduszne i przyjacielskie, że nie sposób ich nie lubić.

Doktor Humason, nauczycielka i ja zostawiliśmy resztę towarzystwa na psim pokazie, a sami udaliśmy się na przyjęcie w „Klubie Metropolitarnym"... Czasami nazywają tę instytucję „Klubem Milionerów". Budynek wspaniały z białego marmuru; pokoje obszerne, wytwornie umeblowane; ale muszę wyznać,

że taki splendor działa na mnie przygnębiająco. Nie zazdrościłam milionerom ani na jotę tego szczęścia, które rzekomo przynoszą im te wspaniałości...

DO PANI KATE ADAMS KELLER

Nowy Jork, 31 marca 1895 r.

... Nauczycielka i ja spędziłyśmy popołudnie u pani Hutton i bawiłyśmy się wyśmienicie!... Poznałyśmy u niej panów Clemensa i Howellsa! Znałam ich dawno ze słyszenia, ale nie przypuszczałam, że ich zobaczę i będę z nimi rozmawiała. Wierzyć mi się wprost nie chce, że mnie spotkała tak wielka przyjemność. Ale chociaż bardzo się zdumiewam, że ja, czternastoletnia dziewczynka, zawieram znajomości z tyloma wybitnymi osobistościami, to przecież zdaję sobie sprawę, że jestem prawdziwie wdzięczna i dziękuję losowi za tyle przyjemności, jakie mnie spotykają. Dwaj wybitni autorzy okazywali mi wiele uprzejmości. Nie umiałabym powiedzieć, który mi więcej przypadł do serca. Pan Clemens opowiadał nam wiele zajmujących historii. Uśmiałyśmy się do łez. Żałuję tylko, że mama nie mogła go widzieć i słyszeć! Powiedział nam, że za kilka dni jedzie do Europy po żonę i córkę Jeanne, gdyż Jeanne, która studiuje w Paryżu, nauczyła się tak dużo przez trzy i pół roku, że jeżeliby nie zabrał jej do domu, to wkrótce wiedziałaby więcej od niego. Uważam, że Mark Twain to bardzo odpowiedni pseudonim dla pana Clemensa, bo ma takie zabawne osobliwe brzmienie i harmonizuje z jego humoreskami, a jego znajomość życia marynarskiego nasuwa myśl o głębokim pięknie rzeczy, które napisał. Uważam, że jest bardzo przystojny... Zdaniem nauczycielki wygląda trochę jak Paradeuski (jeżeli tak się pisze to nazwisko). Pan Howells opowiadał mi coś niecoś o Wenecji, jednym ze swoich ulubionych miast. I wspominał ogromnie czule swoją ukochaną dziewuszkę — Winnifred, która jest teraz u Boga. Ma jeszcze drugą córkę imieniem Mildred, która zna Carrie. Mogłam była zobaczyć panią Wiggin, uroczą autorkę „Ptasiej kolędy gwiazdkowej", ale bardzo się zaziębiła, więc nie przyszła. Byłam bardzo zawiedziona, że jej nie widziałam, ale mam nadzieję, że mnie ta przyjemność nie minie. Pan Hutton ofiarował mi na pamiątkę tej przemiłej wizyty śliczny kieliszek w kształcie ostu,

który był kiedyś własnością jego ukochanej matki. Poznałyśmy również pana Rogersa... który użyczył nam łaskawie swego powozu na drogę powrotną do domu...

Kiedy zamknięto na lato Szkołę Wrighta-Humasona, panna Sullivan i Helena pojechały na Południe.

DO PANI LAURENCE HUTTON

Tuscumbia, Alabama, 29 lipca 1895 r.

... Spędzam wakacje spokojniutko i miło w moim pięknym słonecznym domu rodzinnym, z kochającymi rodzicami, najdroższą siostrzyczką i małym braciszkiem Phillipsem. Moja droga nauczycielka też jest ze mną, więc naturalnie jestem szczęśliwa. Trochę czytam, trochę spaceruję, trochę piszę i bardzo dużo bawię się z dziećmi, i tak dni upływają rozkosznie!...

Moi przyjaciele tak są zadowoleni z postępów, jakie uczyniłam w mowie i czytaniu z warg w ciągu ubiegłego roku, że postanowiono dla mojego dobra, żebym jeszcze rok uczyła się w Nowym Jorku. Cieszę się bardzo na perspektywę spędzenia jeszcze roku w naszym wielkim mieście. Zdawało mi się kiedyś, że w Nowym Jorku nigdy nie będę się czuła „u siebie", ale od kiedy poznałam tam tyle osób i przeżyłam taką wesołą udaną zimę, zaczynam tęsknić do przyszłego roku w oczekiwaniu jeszcze świetniejszych, lepszych czasów w metropolii.

Niech Pani przekaże łaskawie najserdeczniejsze pozdrowienia ode mnie panu Huttonowi i pani Riggs, a także panu Warnerowi, chociaż nie miałam przyjemności poznać go osobiście. Gdy myślę o Wenecji, wydaje mi się, że słyszę, jak pióro pana Huttona porusza się po stronicach nowej książki. To przyjemny odgłos, bo taki obiecujący. Z jakąż radością będę je czytała!

Proszę, niech mi Pani daruje, droga Pani, że posyłam Pani przez ocean list pisany na maszynie. Próbowałam kilka razy po powrocie do domu pisać ołówkiem w ramce, ale z powodu upału ciężko mi to przychodziło. Wilgotna ręka brudzi i zaciera papier tak okropnie, że jestem zmuszona posługiwać się wyłącznie maszyną... I to nie jest nawet mój Remington, ale kapryśny mały gracik, który z byle powodu psuje się i nie da się zmusić do postawienia kropki...

DO PANI WILLIAM THAW

Nowy Jork, 16 października 1895 r.

I znów jesteśmy w wielkiej metropolii! Wyjechałyśmy z Hulton w piątek wieczorem, a przybyłyśmy tutaj w sobotę rano. Nasi przyjaciele byli bardzo zaskoczeni, bo nie spodziewali się nas ujrzeć przed końcem października. W sobotę po południu odpoczywałam, bo byłam ogromnie zmęczona, w niedzielę odwiedzałam koleżanki, a teraz, kiedy już zupełnie wypoczęłam, piszę do Pani, bo wiem, że Pani zależy na wiadomości, że dotarłyśmy szczęśliwie na miejsce. Musiałyśmy się przesiąść w Filadelfii, ale niewieleśmy sobie z tego robiły. Po śniadaniu nauczycielka zapytała jednego kolejarza na dworcu, czy pociąg do Nowego Jorku już gotów. Powiedział, że nie, że będzie gotowy za jakiś kwadrans. Więc usiadłyśmy i czekamy, a on po chwili jest z powrotem i pyta nauczycielkę, czy chciałybyśmy od razu wsiadać. Ona mówi, że naturalnie, więc zaprowadził nas kawał drogi torem i wsadził do naszego pociągu. W ten sposób uniknęłyśmy tłoku i posiedziały sobie spokojnie w wagonie, aż pociąg ruszył. Czy to nie wielka przyjemność? Zawsze tak bywa. Zawsze ktoś wyświadcza nam drobne uprzejmości i grzecznie usuwa przeszkody z naszej drogi...

Pobyt w Hulton upłynął nam spokojnie, ale bardzo miło. Pan Wade jest taki kochany i dobry jak zawsze! Postarał się ostatnio o wydrukowanie dla mnie w Anglii kilku książek Braille'em...

DO PANNY KAROLINY DERBY

Nowy Jork, 29 grudnia 1895 r.

... W ostatnich czasach nauczycielka i ja miałyśmy dużo radości. Widziałyśmy się z serdecznymi przyjaciółmi, panią Dodge, państwem Hutton, panią Riggs z mężem i poznały wiele wybitnych osobistości, między innymi pannę Ellen Terry, sir Henry Irvinga i pana Stocktona! Czy nie miałyśmy szczęścia? Panna Terry była urocza. Pocałowała nauczycielkę mówiąc: „Nie wiem, czy się cieszę, że panią widzę, czy nie, bo tak mi wstyd za siebie, kiedy pomyślę, jak wiele pani zrobiła dla tej małej". Poznałyśmy również pana Terry z żoną i brata panny Terry. Uroda panny Terry naprawdę anielska, a jaki ma piękny

czysty głos! Widziałyśmy ponownie pannę Terry z sir Henrym tydzień temu, w ubiegły piątek w „Królu Karolu Pierwszym". Po przedstawieniu pozwolili mi uprzejmie wyczuć rękami, jak wyglądali. Jakiż szlachetny i królewski był król, zwłaszcza w niedoli! A biedna królowa, jaka była ładna i jaka wierna! Sztuka wydawała się tak prawdziwa, że zapomniałyśmy po prostu, gdzie się znajdujemy, i wydawało się nam, że jesteśmy świadkami prawdziwych scen, tak dawno już odegranych. Ostatni akt zrobił na nas przejmujące wrażenie. Płakaliśmy wszyscy, zdumiewając się, jak kat miał serce wyrywać króla z objęć kochającej żony.

Właśnie skończyłam czytać „Ivanhoe". Rzecz bardzo przejmująca, ale nie powiem, żeby mi się szczególnie podobała. Ze wszystkich postaci jedna tylko Rebeka ze swoją czystą szlachetną naturą i niewzruszoną odwagą wywołała mój szczery zachwyt. Teraz czytam „Opowieści z dziejów Szkocji", bardzo zajmujące...

Następne dwa listy były napisane zaraz po śmierci Johna P. Spauldinga.

DO PANI GEORGE H. BRADFORD

Nowy Jork, 4 lutego 1896 r.

Jak mamy obie, nauczycielka i ja, wyrazić swoją wdzięczność za serdeczną troskliwość, która kazała Pani przesłać nam te drobne pamiątki z kochanego pokoju, gdzie poznałyśmy najlepszego, najuczynniejszego z przyjaciół?

Nigdy Pani nie pojmie, jak nas Pani pocieszyła. Postawiłyśmy drogą fotografię na konsoli w naszym pokoju, gdzie możemy codziennie na nią patrzeć. Często podchodzę i dotykam jej i doświadczam przemożnego uczucia, że nasz kochany przyjaciel jest bardzo blisko... Ciężko było przystąpić z powrotem do naszej szkolnej pracy, tak jakby nic nie zaszło, ale z pewnością to dobrze dla nas, że mamy obowiązki, których nie można zaniedbać, a które pozwalają chociażby na chwilę oderwać myśli od naszego smutku...

DO PANNY KAROLINY DERBY

Nowy Jork, 2 marca 1896 r.

... Jakże nam brakuje drogiego króla Johna. Jak było ciężko stracić go, tego najlepszego, najtroskliwszego z przyjaciół. Nie wiem, co my bez niego poczniemy...

Byłyśmy na pokazie drobiu... Ktoś z personelu pozwolił nam uprzejmie dotykać ptaków. Takie oswojone, gdy je oglądałam, stały zupełnie nieruchomo. Widziałam ogromne indyki, gęsi, kaczki i wiele innych ptaków.

Jakieś dwa tygodnie temu odwiedziłyśmy pana Huttona. Cóż to była za miła wizyta! Te wizyty zawsze są miłe. Poznałyśmy pana Warnera — pisarza, pana Mabie — redaktora „Outlook" i inne sympatyczne osoby. Z pewnością chętnie by Pani poznała pana Huttona i jego żonę, tacy oboje mili i interesujący. Nie potrafię wyrazić, ileśmy od nich doznały przyjemności!

Panowie Warner i Burroughs, ten ostatni wielki miłośnik natury, odwiedzili nas w parę dni później. Ucięłyśmy sobie z nimi przemiłą pogawędkę. Obaj byli zachwycający! Pan Burroughs opowiadał mi o swoim domu nad Hudsonem — jaki to musi być szczęśliwy zakątek! Mam nadzieję, że tam kiedy zajrzymy. Nauczycielka czytała mi wesołe opowiadania z jego chłopięcych lat. Ogromnie mi się podobały. Czy Pani czytała piękny wiersz „Czekanie"? Ja znam ten wiersz. Wprost mnie uszczęśliwia. Pan Warner pokazał mi szpilkę do krawata, wykonaną w Egipcie na tysiąc pięćset lat przed Chrystusem, i powiedział, że skarabeusz był dla Egipcjan symbolem nieśmiertelności, gdyż kulił się, chował, zasypiał i wynurzał w nowej postaci, w ten sposób się odnawiając.

DO PANNY KAROLINY DERBY

Nowy Jork, 25 kwietnia 1896 r.

... Studiuję tak samo jak wtedy, gdyśmy się widziały, z tą zmianą, że biorę lekcje francuskiego u nauczycielki Francuzki, która przychodzi trzy razy na tydzień. Ponieważ nie zna alfabetu ręcznego, czytam prawie wyłącznie z jej warg i porozumiewamy się bez trudu. Przeczytałam z przyjemnością doskonałą francuską komedię Molière'a pt. „Lekarz mimo woli". Wszyscy utrzymują, że mówię teraz po francusku wcale dobrze.

Po niemiecku również. Bądź co bądź Francuzi i Niemcy rozumieją, co chcę powiedzieć, a to jest bardzo zachęcające. W ćwiczeniach głosowych mam do zwalczenia ciągle te same trudności i realizacja mojego pragnienia, żeby dobrze mówić, wydaje się, och, bardzo daleka! Czasami wydaje mi się, że zbliżam się trochę do upragnionego celu, ale za minutę zakręt drogi zasłania go przed moim wzrokiem i znów obijam się w ciemnościach. Ale całą siłą woli staram się bronić przed zniechęceniem. Z pewnością wszyscy osiągniemy w końcu ideały, do których dążymy...

DO PANA JOHNA HITZA

Brewster, Mass., 15 lipca 1896 r.

Jeżeli chodzi o książkę, to z pewnością będę zachwycona, gdy dzięki wiecznej magii kochanych paluszków nauczycielki znajdę się w towarzystwie dwóch sióstr, które udały się do Źródła Nieśmiertelności.

Piszę do Pana siedząc przy oknie. Tak miło czuć na policzku delikatne, rześkie powiewy i myśleć, że ciężki trud ostatniego roku należy do przeszłości! Nauczycielce też, jak sądzę, zmiana wyszła na dobre, bo już zaczyna wyglądać po dawnemu. Tylko Pana brakuje nam do szczęścia, drogi przyjacielu! I nauczycielka, i pani Hopkins mówią, że musi Pan przyjechać możliwie prędko! Postaramy się, żeby Panu było wygodnie.

Obie z nauczycielką spędziłyśmy dziewięć dni w Filadelfii. Czy Pan był kiedy w Instytucie dra Croutera? Pan Howes prawdopodobnie opisał Panu szczegółowo nasz pobyt. Miałyśmy czas całkowicie wypełniony. Bywałyśmy na zebraniach i rozmawiały z setkami osób, że wymienię tylko drogiego dra Bella, pana Banerji z Kalkuty i monsieur Magnat z Paryża, z którym rozmawiałam wyłącznie po francusku. Prócz nich było jeszcze dużo wybitnych osób. Spodziewałyśmy się spotkać tam Pana i doznałyśmy wielkiego zawodu, że Pan się nie zjawił. Tak często o Panu myślimy! Serca nasze przepełnia najczulsza sympatia dla Pana i Pan wie o tym lepiej, niż może to wypowiedzieć ten biedny list. Jakże jesteśmy szczęśliwe mając Pana przy sobie. Ósmego lipca wygłosiłam „przemówienie". Powiedziałam członkom stowarzyszenia, jakim niewysłowionym błogosławień-

stwem jest dla mnie mowa, prosząc ich usilnie o umożliwianie małym głuchym dzieciom zdobycia tej umiejętności. Wszyscy twierdzili, że mówiłam bardzo dobrze i zrozumiale. Po moim krótkim „przemówieniu" odbyło się przyjęcie dla przeszło sześciuset osób. Powiem otwarcie, że nie lubię takich wielkich przyjęć. Ludzie pchają się okropnie i musimy tak dużo mówić. A jednak na takich właśnie przyjęciach jak w Filadelfii poznaje się często osoby, które stają się później ukochanymi przyjaciółmi. Opuściłyśmy miasto w czwartek wieczorem, a przybyły do Brewster w piątek po południu. Nie zdążyłyśmy na piątkowy pociąg poranny do Przylądka Cod, więc udałyśmy się do Provincetown statkiem „Longfellow". Byłam z tego rada, bo na wodzie było ślicznie i chłodno, a przystań bostońska dostarcza zawsze interesujących przeżyć.

Po wyjeździe z Nowego Jorku spędziliśmy około trzech tygodni w Bostonie. Nie potrzebuję Panu mówić, jak nam było dobrze i miło. Odwiedziłyśmy naszych dobrych przyjaciół, państwa Chamberlin w Wrentham na wsi w ich ślicznej siedzibie. Dom stoi w pobliżu uroczego jeziora, toteż używałyśmy na łódce i canoe. Nawet kąpałyśmy się kilka razy. Państwo Chamberlin obchodzili dzień 17 czerwca piknikiem, który urządzili dla swoich przyjaciół. Było około czterdziestu osób, wyłącznie ze sfer literacko-wydawniczych. Nasz przyjaciel, pan Alden, redaktor „Harpera", też tam był. Naturalnie w jego towarzystwie spędziłyśmy czas ogromnie miło...

DO CHARLESA DUDLEYA WARNERA

Brewster, Mass., 3 września 1896 r.

... Przez całe lato nosiłam się z myślą napisania do Pana. Chciałam Panu powiedzieć o wielu rzeczach, a przy tym myślałam, że Pan będzie ciekawy dowiedzieć się, jak spędziłyśmy wakacje nad morzem i jakie mamy plany na przyszły rok. Ale szczęśliwe leniwe dni uchodziły tak szybko i zawsze nasuwało się tyle miłych sposobności do rozrywek, że nie znajdowałam czasu na przyoblęczenie myśli w słowa i przesłanie ich Panu. Ciekawa jestem, co się dzieje ze zmarnowanymi sposobnościami? Może nasz anioł stróż zbiera je, w miarę jak je gubimy, i zwróci je kiedyś w pięknej chwili, gdy zmądrzejemy

i nauczymy się należycie z nich korzystać. Ale jakkolwiek by tam było, nie mogę teraz napisać tego listu, który mi leżał w myślach tyle czasu. Moje serce przepełnia taki smutek, że nie potrafię rozwodzić się nad szczęściem, jakie przeżywałam w lecie. Mój ojciec nie żyje. Umarł w ubiegłą środę w naszym domu w Tuscumbii i mnie tam nie było. Mój własny, mój drogi kochający ojciec! Och, drogi przyjacielu, jak ja to zniosę!...

Pierwszego października Helena Keller została przyjęta do Szkoły dla Młodych Panien w Cambridge, której dyrektorem był pan Artur Gilman. „Egzaminy", o których wspomina w następnym liście, polegały na robieniu testów, a ponieważ znała już te harvardzkie tematy, jest więc niewątpliwe, że w niektórych przedmiotach była już zupełnie dobrze przygotowana do Radcliffe.

DO PANI LAURENCE HUTTON

37 Concord Avenue, Cambridge, Mass.,
8 października 1896 r.

... Dziś wstałam wcześniej, żeby móc nakreślić do Pani kilka słów. Wiem, że Pani jest ciekawa, jak mi się podoba moja szkoła. Bardzo bym chciała, żeby pani mogła przyjechać i zobaczyć na własne oczy, jaka to piękna szkoła! Jest tu około stu dziewcząt i wszystkie są wesołe i szczęśliwe. Co to za radość przestawać z nimi.

Mam dla Pani nowinę, która Panią ucieszy. Otóż zdałam egzamin z powodzeniem. Byłam egzaminowana z angielskiego, niemieckiego, francuskiego oraz historii Grecji i Rzymu. Były to tematy jak do egzaminów wstępnych do college'u w Harvardzie, więc miło mi pomyśleć, że mogłabym je zdać. Ten rok będzie bardzo pracowity dla nauczycielki i dla mnie. Studiuję arytmetykę, literaturę angielską, historię Anglii, język niemiecki, łacinę i przechodzę wyższy kurs geografii. Wymagają ogromnie dużo lektury, a ponieważ mało jest książek z wypukłym drukiem, biedna nauczycielka musi mi pisać do ręki wszystkie książki, a to jest ciężka praca.

Niech Pani powie panu Howellsowi, gdy się Pani z nim zobaczy, że mieszkamy w jego domu...

DO PANI WILLIAM THAW

37 Concord Avenue, Cambridge, Mass.,
2 grudnia 1896 r.

... Przygotowywanie lekcji zabiera mi moc czasu, bo każde słowo muszą mi wpisywać w rękę. Żaden podręcznik z tych, którymi muszę się posługiwać, nie ma wypukłego druku, więc oczywiście muszę pracować ciężej, niż gdybym mogła sama odczytywać lekcje, ale na nauczycielkę spada jeszcze większy trud, bo biedne jej oczy muszą się bardzo wysilać, toteż martwię się o nią niezmiernie. Czasami wydaje mi się, że wzięłyśmy na siebie niewykonalne zadanie. To znów przychodzą chwile, że moja praca cieszy mnie nad wyraz.

Co to za radość być razem z innymi dziewczętami i robić to, co one! Uczę się łaciny, niemieckiego, arytmetyki i historii Anglii. Wszystkie te przedmoty bardzo lubię z wyjątkiem matematyki. Obawiam się, że nie mam matematycznego umysłu, bo liczby jakoś zawsze ulatują mi z pamięci...

DO PANI LAURENCE HUTTON

Cambridge, Mass., 3 maja 1897 .r

... Wie Pani, staram się usilnie przebrnąć przez lekturę do egzaminów czerwcowych i ten obowiązek oraz moje regularne zajęcia szkolne sprawiają, że jestem okropnie zapracowana. Ale Johnson i „Dziennik roku zarazy", i inne dzieła muszą jeszcze zaczekać kilka minut, żebym mogła Pani podziękować, moja droga.

... Jakże nam było miło w Klubie Aktorów. Zawsze uważałam Kluby za nudne, zadymione nory, gdzie mężczyźni rozprawiają o polityce i opowiadają bez końca o sobie i o swoich nadzwyczajnych wyczynach. Teraz dopiero widzę, że bardzo się myliłam...

DO PANA JOHNA HITZA

Wrentham, Mass., 9 lipca 1897 r.

... Nauczycielka i ja mamy spędzić lato we Wrentham — u naszych przyjaciół Chamberlinów. Chyba Pan pamięta pana Chamberlina — „Listenera" z „Boston Transcript". To są kochani, uczynni ludzie...

Ale przypuszczam, że Pan jest ciekaw moich egzaminów.

Wiem, że ucieszy Pana wiadomość, że zdałam wszystkie. Przedmioty, które zaproponowałam, były następujące: niemiecki — kurs podstawowy i wyższy, francuski, łacina, angielski oraz historia Grecji i Rzymu. To wydaje się po prostu zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Przez cały czas przygotowań do wielkiej przeprawy nie mogłam opanować strachu i drżenia, że się obetnę, a teraz cóż za niewymowna ulga pomyśleć, że zdałam z wyróżnieniem. Ale najważniejsza jest dla mnie radość i szczęście drogiej nauczycielki z mojego zwycięstwa. Właściwie mam uczucie, że to raczej ona odniosła ten sukces, a nie ja, bo ona jest stale moim natchnieniem...

Pod koniec września Anna Sullivan i Helena Keller powróciły do szkoły w Cambridge, gdzie pozostały do początku grudnia. Wtedy to interwencja pana Gilmana sprawiła, że pani Keller zabrała ze szkoły Helenę i jej siostrę Mildred. Panna Sullivan udała się z wychowanką do Wrentham, gdzie pracowały pod kierunkiem pana Mertona S. Keitha, wielkiego entuzjasty i świetnego nauczyciela.

DO PANI LAURENCE HUTTON

Wrentham, 20 lutego 1898 r.

... Wkrótce po Pani odjeździe zabrałam się ponownie do studiów i niebawem pracowałyśmy tak wesoło, jakby okropne przejście sprzed miesiąca było tylko snem. Nie umiem Pani wypowiedzieć, jak mi dobrze na wsi. Tak tu świeżo i spokojnie, i swobodnie! Myślę, że mogłabym pracować po całych dniach bez zmęczenia, żeby mi tylko pozwolili. Tyle jest przyjemnych rzeczy do zrobienia — co nie znaczy, że zawsze bardzo łatwych — nad algebrą i geometrią często ciężko się trudzę. Ale wszystko kocham, zwłaszcza grekę. Niech Pani tylko pomyśli, niedługo już skończę z gramatyką! Wtedy przyjdzie kolej na „Iliadę". Co to będzie za niewymowna radość czytać o Achillesie i Ulissesie, i Andromasze, i Atenie, i o reszcie moich starych przyjaciół w ich własnym wspaniałym języku! Według mnie greka to najśliczniejszy język, jaki znam. Jeżeli to prawda, że skrzypce to najdoskonalszy instrument muzyczny, to greka jest skrzypcami ludzkiej myśli.

W tym miesiącu używamy na saneczkach. Co rano przed lekcjami wyprawiamy się na strome wzgórze, po północnej

stronie jeziora, niedaleko domu i jakąś godzinę saneczkujemy. Ktoś ustawia sanki na samej krawędzi wzgórza, a my siadamy. Gdy jesteśmy gotowe, zjeżdżamy po zboczu w zawrotnym pędzie. Przeskakując nierówności, walimy się w zaspę śnieżną i gnamy przez jezioro z szaloną szybkością!...

DO PANI LAURENCE HUTTON

[Wrentham], 12 kwietnia 1898 r.

... Cieszę się, że pan Keith taki zadowolony z moich postępów. Prawda, że algebra i geometria stają się coraz łatwiejsze, zwłaszcza algebra. Właśnie otrzymałam książki pisane wypukłym drukiem, co mi ogromnie ułatwi pracę...

Stwierdzam, że robię szybkie postępy i że lepiej mi idzie pod kierunkiem pana Keitha niż w szkole w Cambridge. Uważam, iż dobrze się stało, że zrezygnowałam z tamtej nauki. Bądź co bądź od opuszczenia szkoły nie próżnowałam. Dokonałam więcej i czułam się szczęśliwsza, niż to było tam możliwe...

DO PANI LAURENCE HUTTON

[Wrentham], 29 maja 1898 r.

... Praca idzie mi doskonale. Każdy dzień wypełniony po brzegi ciężkim trudem, bo bardzo mi zależy na tym, żeby dokonać możliwie dużo, zanim odłożę książki na letnie wakacje. Ucieszy Panią wiadomość, że wczoraj bez pomocy odrobiłam trzy zadania z geometrii. Pan Keith i nauczycielka nie posiadali się z zachwytu, a ja — muszę się przyznać — pękałam z dumy. Teraz czuję, że chyba dam sobie radę z matematyką, jakkolwiek nie mogę pojąć, czemu to takie ważne wiedzieć, że linie, wyprowadzone z kątów podstawy trójkąta równoramiennego do środka boków przeciwległych, są równe. Wiedza nie czyni życia ani milszym, ani szczęśliwszym, nieprawdaż? Z drugiej strony, gdy się człowiek nauczy nowego słowa, staje się ono kluczem do niewypowiedzianych skarbów...

DO CHARLESA DUDLEYA WARNERA

Wrentham, Mass., 7 czerwca 1898 r.

Obawiam się, że zostanę posądzona o obojętność co do tandemu, gdyż list Pana z zapytaniem, jakie chciałabym mieć koło, prawie przez tydzień pozostawiłam bez odpowiedzi. Ale do-

prawdy od powrotu z Nowego Jorku tak byłam pochłonięta nauką, że nawet nie miałam czasu zastanowić się, co by to była za przyjemność mieć rower. Widzi Pan, ogromnie zależy mi na tym, żeby nauczyć się możliwie dużo, zanim się zaczną długie wakacje letnie. Chociaż cieszę się, że już wkrótce odłożę książki, bo i słońce, i kwiaty, i śliczne jezioro przed naszym domem robią, co mogą, żeby mnie zniechęcić do greki i matematyki, zwłaszcza do matematyki. Jestem pewna, że stokrotkom i jaskrom też niewiele zależy na geometrii, wbrew temu, że tak pięknie ilustrują jej zasady.

Ale przecież nie mogę zapomnieć o tandemie! Prawdę mówiąc nie znam się zupełnie na rowerach. Jeździłam tylko na podwójnym, a to zupełnie co innego niż zwykły tandem. Może podwójny trójkołowy jest bezpieczniejszy niż tandem, ale jest bardzo ciężki i mało zwrotny, a przy tym to zawalidroga. Prócz tego mówią mi, że trójkołowe są droższe niż inne rodzaje rowerów. Moja nauczycielka i inni przyjaciele są zdania, że na wsi mogłabym zupełnie bezpiecznie jeździć na kolumbijskim tandemie. Pochwalają również projekt Pana co do nieruchomej kierownicy. Jeżdżę w spódniczce-spodniach tak jak moja nauczycielka. Ale jej byłoby łatwiej jeździć na rowerze męskim niż mnie, więc gdyby można mieć damskie siodełko z tyłu, byłoby lepiej...

DO PANNY KAROLINY DERBY

Wrentham, 11 września 1898 r.

... Cały czas jestem na dworze, wiosłuję, pływam, jeżdżę konno i robię mnóstwo innych przyjemnych rzeczy. Dziś przejechałam na moim tandemie przeszło dwanaście mil. Droga była nierówna, spadłam kilka razy i teraz okropnie kuleję! Ale pogoda była tak piękna i widoki prześliczne i tak było miło gnać na łeb, na szyję w tych miejscach, gdzie było gładko, że nic sobie nie robiłam z wypadków.

Naprawdę nauczyłam się pływać i nurkować po swojemu! Umiem pływać trochę pod wodą i robić różne sztuczki, które lubię. I nie boję się utonąć! Czy to nie pysznie? Prawie bez wysiłku, chociażby z największym obciążeniem, mogę, wiosłując, okrążyć jezioro. Więc możesz sobie wyobrazić, jaka jestem silna i opalona...

12, Newbury Street, Boston
23 października 1898 r.

Od ostatniego poniedziałku, to znaczy od dnia naszego przyjazdu tutaj, dziś dopiero mam sposobność napisać do Pani. Odkąd zdecydowałyśmy się na Boston, żyjemy w bezustannym wirze. Wydawało się, że nie dojdziemy z tym do ładu. Biedna nauczycielka miała pełne ręce roboty dozorując ludzi. Szkoda, że to taki kłopot z przeprowadzkami, zwłaszcza że tak często musimy zmieniać miejsce pobytu!...

Pan Keith przyjeżdża tu co dzień o wpół do czwartej prócz soboty. Mówi, że na razie woli przyjeżdżać do nas. Czytam „Iliadę" i „Eneidę", i Cycera, a prócz tego mam moc roboty z geometrią i algebrą. „Iliada" jest piękna dzięki swej pełnej wdzięku prostocie i zawartej w niej prawdzie o tym zdumiewającym narodzie, podczas gdy „Eneidę" cechuje większa godność i powściągliwość. „Eneida" to piękna panna, która zawsze mieszkała w pałacu w otoczeniu świetnego dworu. A „Iliada" to wspaniały młodzian, przed którym cały świat stoi otworem.

Przez cały tydzień pogoda była okropna, ale dziś jest pięknie i podłoga w naszym pokoju jest cała zalana słońcem. Tylko patrzeć, jak będziemy chodzić na spacery do Ogrodów Publicznych. Gdyby tak lasy Wrentham były za zakrętem! Niestety, daleka do nich droga. Będę musiała zadowalać się wędrówkami po ogrodach. Jakoś w porównaniu z rozległymi polami i pastwiskami, i wyniosłymi sosnowymi lasami na wsi wydają się małe i nieciekawe. Nawet drzewa robią wrażenie ucywilizowanych i nienaturalnych. Wątpię, czy raczą się odzywać do swoich wiejskich kuzynów! Wie Pani, nie mogę oprzeć się współczuciu dla tych modnych drzew! One są takie same, jak ci ludzie, których widuję co dzień, a którzy wolą zatłoczone hałaśliwe miasto niż spokój i swobodę wsi. Nawet nie podejrzewają, jak nieciekawe jest ich życie. Spoglądają z góry, z politowaniem na wiejski ludek, co to nie miał nigdy sposobności „zetknąć się z wielkim światem". Och, dobry Boże! Gdyby tylko zdali sobie sprawę ze swoich ograniczeń, wialiby na łeb, na szyję w lasy i na pola. Ale co ja też plotę! Pani gotowa pomyśleć, że tęsknię za moim ukochanym Wrentham, co jest niewątpliwie prawdą.

Strasznie mi brak Czerwonej Farmy i jej drogich mieszkańców, ale nie jestem nieszczęśliwa. Mam nauczycielkę, książki i mam pewność, że w tym wielkim mieście, gdzie ludzie tak dzielnie zmagają się o szczęście z okrutnymi przeciwnościami, i ja osiągnę coś miłego, coś dobrego. Jakkolwiek jest, cieszę się, że biorę udział w życiu, czy ono promienne, czy smutne...

DO PANI WILLIAM THAW

Boston, 6 grudnia 1898 r.

Moja nauczycielka i ja uśmiałyśmy się z figlów dziewcząt. Jak komicznie musiały wyglądać w ubraniach ujeżdżaczy na ognistych rumakach! „Slim" opisałby te rumaki, niby coś w rodzaju kozłów do rżnięcia drzewa, które kiedyś widziałam. Musiały mieć używanie! Czasami żałuję, że nie mogę szaleć razem z nimi. Och, prędko bym zamknęła na klucz wszystkich tych wielkich wojowników i osiwiałych mędrców, i nieprawdopodobnych bohaterów — teraz jedyne prawie moje towarzystwo — i tańczyła, i śpiewała, i figlowała jak inne dziewczęta! Ale nie mogę tracić czasu na daremne tęsknoty, i ostatecznie moi starożytni przyjaciele są bardzo mądrzy i interesujący, zazwyczaj przepadam za ich towarzystwem. Rzadko się zdarza, żebym się czuła niezadowolona i pozwalała sobie na pragnienia, które się w tym życiu spełnić nie mogą. Ale, jak Pani wie, zwykle jest tak, że serce moje przepełnia szczęście. Świadomość, że drogi mój Ojciec Niebieski jest zawsze blisko, darząc mnie szczodrze wszystkim, co prawdziwie wzbogaca życie, osładza i upiększa, sprawia, że upośledzenia wydają się nieważne w porónaniu z niezliczonymi łaskami, które są moim udziałem.

DO PANI WILLIAM THAW

12, Newbury Street, Boston
19 grudnia 1898 r.

... Teraz dopiero pojmuję, jaka byłam samolubna i chciwa z tym żądaniem, żeby moja czara szczęścia przelewała się przez brzegi, podczas gdy czary mnóstwa innych ludzi są zupełnie puste. Nad tym się nie zastanowiłam. Teraz wstyd mi serdecznie mojej bezmyślności. Jedno z dziecinnych złudzeń, którego najtrudniej mi było pozbyć się, polegało na przekonaniu,

że wystarczy ujawnić nasze życzenia, żeby się urzeczywistniły. Ale dochodzę powoli do przekonania, że na świecie nie ma aż tyle szczęścia, żeby każdemu dostało się według pragnień. Przykro mi pomyśleć, że mogłam zapomnieć chociażby na chwilę, że już mi przypadło w udziale więcej, niż mi się należało i że jak biedny mały Oliver Twist mogłam domagać się jeszcze „więcej"...

DO PANI LAURENCE HUTTON

12, Newbury Street, Boston
22 grudnia [1898 r.]

... Przypuszczam, że pan Keith donosi Pani o bieżących wydarzeniach. Jeżeli tak, to wie Pani, że skończyłam już kurs geometrii i prawie cały algebry, wymagane do egzaminów harvardzkich, i po Bożym Narodzeniu zacznę bardzo staranne powtarzanie obydwóch tych przedmiotów. Miło Pani będzie usłyszeć, że teraz przepadam za matematyką. Przecież potrafię zupełnie łatwo przerabiać w myśli długie, skomplikowane równania drugiego stopnia i wielka to dla mnie przyjemność! Pan Keith to cudowny nauczyciel i jestem mu ogromnie wdzięczna, że otworzył mi oczy na piękno matematyki. Po mojej najdroższej nauczycielce on uczynił więcej niż ktokolwiek inny dla wzbogacenia i pogłębienia mego umysłu...

DO PANI LAURENCE HUTTON

12, Newbury Street, Boston
17 stycznia 1899 r.

... Czy Pani zna „Szkołę Kitchenera" Kiplinga? To porywający poemat i tak mnie rozmarzył. Naturalnie czytała Pani o college'u imienia Gordona, które Anglicy mają założyć w Chartumie.

Podczas gdy rozmyślałam, jakie dobrodziejstwa przyniesie ludowi egipskiemu, a ewentualnie samej Anglii, ten college, w sercu moim obudziło się silne pragnienie, aby moja kochana ojczyzna w podobny sposób przeobraziła okropną hekatombę swoich dzielnych synów na „Maine" w analogiczne dobrodziejstwo dla mieszkańców Kuby. Czyż college w Hawanie nie byłby najszlachetniejszym, najtrwalszym pomnikiem, jaki można

by wznieść dzielnej załodze „Maine", a zarazem źródłem nieskończonego dobra dla wszystkich zainteresowanych? Niech Pani sobie wyobrazi, że wpływa Pani do portu w Hawanie i że ktoś pokazuje Pani molo, przy którym była zakotwiczona „Maine" w tę straszną noc, kiedy została zniszczona w sposób tak tajemniczy. Więc ktoś objaśnia Panią, że piękny wielki gmach górujący nad tym miejscem to college Maine, wzniesiony przez naród amerykański dla oświecenia zarówno Kubańczyków, jak Hiszpanów! Taki pomnik byłby wspaniałym triumfem najlepszych i najwyższych instynktów chrześcijańskiego narodu! Nie byłoby w nim cienia nienawiści czy zemsty, czy odwiecznego przeświadczenia, że siła jest prawem. Z drugiej strony równałoby się to zobowiązaniu wobec świata, że zamierzamy stać przy tym, cośmy zamierzali, wypowiadając wojnę, zwrócić Kubę Kubańczykom, jak tylko dzięki naszej pomocy staną się zdolni do wzięcia na siebie odpowiedzialnych obowiązków autonomicznego narodu...

DO PANA JOHNA HITZA

12, Newbury Street, Boston
3 lutego 1899 r.

... W ubiegły poniedziałek miałam ogromnie ciekawe przeżycie. Uprzejma przyjaciółka oprowadziła mnie z rana po Bostońskim Muzeum Sztuki. Wpierw uzyskała zezwolenie od dyrektora muzeum, generała Loringa, że będzie mi wolno dotykać posągów, zwłaszcza tych, które wyobrażają moich przyjaciół z „Iliady" i „Eneidy". Czy to nie cudowne? Gdy już tam byłam, nadszedł sam generał Loring i pokazał mi niektóre z najpiękniejszych posągów, między innymi Wenus Medycejską, Minerwę z Partenonu, Dianę-łowczynię, z ręką na kołczanie i łanią u boku, oraz nieszczęśliwego Laokoona z dwoma małymi synami, szamoczących się w straszliwych splotach dwóch olbrzymich wężów i z rozdzierającym krzykiem wyciągających do nieba ramiona. Widziałam również Apolla Belwederskiego. Właśnie zabił pytona i stojąc koło wielkiej skalnej kolumny wyciąga rękę nad straszliwym wężem wdzięcznym triumfalnym ruchem. Och, jakiż on był piękny! Wenus oczarowała mnie. Wyglądała tak, jak gdyby tylko co wynurzyła się z morskiej piany. Była ślicz-

na jak niebiańska muzyka. Widziałam również biedną Niobe, do której tuli się najmłodsze dziecko, a ona błaga okrutną boginię, żeby nie zabijała jej ostatniego skarbu. Wszystko to było tak realne i tragiczne, że o mało się nie rozpłakałam. Generał Loring pokazał mi uprzejmie kopię cudnych drzwi z brązu z baptysterium we Florencji. Przesuwałam dłońmi po wdzięcznych kolumnach wspartych na grzbietach srogich lwów. Widzi Pan więc, że miałam przedsmak przyjemności, jakie mnie czekają, gdy spełnią się moje nadzieje i pojadę do Florencji. Przyjaciółka obiecała, że pokaże mi kiedyś kopie marmurów przywiezionych z Partenonu przez lorda Elgina. Ja jednak wolałabym zobaczyć oryginały w miejscu, które im wyznaczył geniusz, nie tylko jako hymn pochwalny na cześć bogów, ale również jako pomnik chwały Grecji. Nie wolno zabierać takich świętych pamiątek z sanktuarium przeszłości, gdzie jest ich miejsce...

DO PANA WILLIAMA WADE'A

Boston, 19 lutego 1899 r.

Na Boga! Myślałam, że napisałam do Pana nazajutrz po otrzymaniu „Eklog" i wyraziłam radość z tego powodu. Może Pan w ogóle nie otrzymał tego listu? W każdym razie dziękuję Panu, Drogi Przyjacielu, że Pan zadał sobie dla mnie tyle trudu. Miło Panu będzie usłyszeć, że książki z Anglii nadchodzą. Mam już siódmą i ósmą księgę „Eneidy" i jedną księgę „Iliady", co mi ogromnie dogadza, bo moje podręczniki w Braille'u już się kończą.

Cieszę się niezmiernie, że tak dużo się robi dla głuchociemnych. Im więcej się o nich dowiaduję, tym więcej napotykam uczynności. Przecież tak jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe kształcenie głuchociemnych, ale skoro tylko okazało się to wykonalne, natychmiast setki współczujących serc zapałały chęcią pomagania im i teraz widzimy, jak wiele tych biednych nieszczęśliwych istot uczy się widzieć piękno życia. Miłość zawsze znajdzie drogę do uwięzionej duszy i wprowadzi ją w świat wolności i inteligencji.

Co do dwuręcznego alfabetu, to uważam, że jest on daleko łatwiejszy dla tych, którzy widzą, niż alfabet ręczny, bo większość liter wygląda jak duże litery w książkach, ale sądzę, że

jeżeli chodzi o nauczenie głuchociemnych pisania do ręki, to alfabet jednoręczny jest o wiele wygodniejszy i mniej rzuca się w oczy...

DO PANI LAURENCE HUTTON

12, Newbury Street, Boston
5 marca 1899 r.

... Jestem teraz pewna, że na czerwiec będę gotowa do egzaminów. Obecnie na moim niebie widnieje tylko jedna chmura, ale taka, która rzuca ponury cień na moje życie i chwilami przejmuje mnie prawdziwą trwogą. Mojej nauczycielce nie polepsza się z oczami. Nawet myślę, że jest gorzej, chociaż ona, tak dzielna i cierpliwa, nie daje za wygraną. Ale ja jestem zrozpaczona, bo przecież czuję, że ona poświęca dla mnie wzrok. Czuję, że powinnam wyrzec się marzeń o college'u, bo wszystka wiedza na świecie nie dałaby mi szczęścia za taką cenę. Błagam Panią, niech Pani stara się ją przekonać, żeby wypoczęła i zabrała się do leczenia oczu. Mnie nie chce słuchać.

Będę miała nowe zdjęcia. Jeżeli okażą się dobre, chciałabym posłać jedno panu Rogersowi, o ile Pani sądzi, że to zrobiłoby mu przyjemność. Tak bardzo bym chciała okazać mu w jakiś sposób, jak głęboko jestem mu wdzięczna za wszystko, co dla mnie czyni, a nie mogę wymyślić nic lepszego.

Wszyscy tutaj mówią o obrazach Sargenta. Powiadają, że jego wystawa portretów to coś nadzwyczajnego. Jakże żałuję, że nie mam oczu, żeby je zobaczyć! Jakżebym się rozkoszowała pięknem i barwami! Ale i tak cieszę się, że nie jestem całkowicie pozbawiona przyjemności oglądania obrazów, gdyż mam przynajmniej tę satysfakcję, że mogę je widzieć oczami moich przyjaciół, a to jest prawdziwa przyjemność. Jestem wdzięczna losowi, że mogę się radować cudami, które przyjaciele przekazują mi do ręki.

Wszyscy się cieszymy i dziękujemy niebu, że pan Kipling nie umarł! Mam jego „Księgę dżungli" — pisaną wypukłym drukiem — co to za wspaniała krzepiąca lektura! Zupełnie mi się wydaje, jakbym znała jej utalentowanego autora. To z pewnością natura bogata, męska, wrażliwa...

DO DOKTORA DAWIDA H. GREERA

12, Newbury Street, Boston
8 maja 1899 r.

... Każdy dzień przynosi mi nawał zajęć, z których jednak mogę się wywiązać, a każda noc wypoczynek i słodką myśl, że znów przybliżyłam się troszkę do celu. W grece robię piękne postępy. Skończyłam dziewiątą księgę „Iliady" i zaczynam właśnie „Odyseję". Czytam również „Eneidę" i „Eklogi". Niektórzy z przyjaciół mówią mi, że jestem bardzo niemądra, żeby poświęcać tyle czasu na grekę i łacinę. Ale jestem pewna, że nie myśleliby tak, gdyby wiedzieli, jaki cudowny świat przeżyć i myśli otwierają przede mną Homer i Wergiliusz. Spodziewam się, że najwięcej będę się cieszyła z „Odysei". „Iliada" opowiada prawie wyłącznie o wojnie i chwilami już za wiele jest tego szczęku włóczni i wrzawy bitewnej. „Odyseja" natomiast opiewa szlachetniejszy rodzaj odwagi — odwagi ducha boleśnie doświadczonego, lecz nieugiętego do końca.

Czytając te wspaniałe poematy, często zastanawiam się, dlaczego podczas gdy Homerowe pieśni wojenne wlewały męstwo w serca Greków, jego pieśni opiewające męską cnotę nie wywarły silniejszego wpływu na duchowe życie narodu. Może przyczyna jest ta, że myśli naprawdę wielkie są jak ziarna ciśnięte w ludzki umysł i albo leżą tam nie zauważone, albo też stają się pastwą podmuchów i kaprysów; dopiero gdy cierpienie i doświadczenie nauczą ludzi mądrości, odkrywają je oni i hodują. A wtedy świat postępuje jeden krok w przód w swej wędrówce ziemskiej.

Obecnie pracuję bardzo ciężko. Zamierzam składać egzaminy w czerwcu, a tyle jeszcze mam do zrobienia, zanim będę gotowa do trudnej przeprawy...

Pewnie Pana ucieszy wiadomość, że matka, siostrzyczka i brat przyjadą na Północ, żeby spędzić lato razem ze mną. Zamieszkamy w małym domku nad jeziorem — dużo ich tu jest — w Wrentham, podczas gdy moja droga nauczycielka będzie wypoczywała, a wypoczynek bardzo jej potrzebny. Niech pan tylko pomyśli, w ciągu dwunastu lat nie miała wcale wakacji, a przez cały ten czas była słońcem mego życia. Teraz oczy bardzo jej dokuczają i wszyscy uważamy, że na jakiś czas po-

winna być zwolniona od wszelkich trosk i odpowiedzialności. Ale nie rozstaniemy się, będziemy się widywały co dzień. A gdy przyjdzie lipiec, niech Pan sobie wyobrazi, że wożę moich kochanych po ślicznym jeziorze tą łódką od Pana. Będę najszczęśliwsza w świecie!...

DO PANI LAURENCE HUTTON

[Boston], 28 maja 1899 r.

... Mieliśmy ciężki dzień. Dziś po południu pan Keith bawił tu trzy godziny, wlewając strumienie łaciny i greki w moją biedną oszołomioną mózgownicę. Wierzę doprawdy, że lepiej on zna gramatyki łacińską i grecką, niż to się kiedy marzyło Cyceronowi czy Homerowi! Cycero jest wspaniały, ale jego mowy bardzo trudno tłumaczyć. Czasami wstyd mi za siebie, gdy wkładam w usta temu wymownemu człowiekowi coś, co brzmi jak absurd lub płycizna, ale jak ma uczennica interpretować takiego geniusza? Przecież, żeby mówić jak Cycero, musiałabym być nim sama!...

Linnie Haguewood to głuchociemna dziewczynka, jedna z wielu, którym pomagał William Wade. Wychowuje ją panna Dora Donald. Gdy objęła opiekę nad wychowanką, pan Hitz, kierownik Biura Volta, zaopatrzył ją w kopie wszystkich dokumentów dotyczących pracy Anny Sullivan nad Heleną Keller.

DO PANA WILLIAMA WADE'A

Wrentham, Mass., 5 czerwca 1899 r.

... List Linnie Haguewood, który mi Pan przesłał przed kilku tygodniami, ogromnie mnie zainteresował. Zdaje się on wskazywać na spontaniczność i wielką słodycz charakteru. Ubawił mnie nadzwyczajnie jej sąd o historii. Przykro mi, że nie ma do niej zamiłowania, chociaż i ja czuję czasami, jak mroczne, tajemnicze, a nawet straszne są w gruncie rzeczy dzieje starych narodów, religii i dawnych form rządzenia.

Jednakże, muszę się przyznać, że nie lubię mowy znaków, i nie sądzę, żeby mogła się wiele przydać głuchociemnym. Według mnie to bardzo trudna sztuka nadążać za szybkimi gestami, wykonywanymi przez głuchociemnych, a prócz tego znaki

wydają się dla nich wielką przeszkodą w osiągnięciu swobodnego i łatwego władania językiem. Przecież mnie samej trudno ich czasem zrozumieć, kiedy literują na palcach. Ogólnie biorąc, jeżeli nie można ich nauczyć mowy głosem, to alfabet ręczny wydaje się najlepszym, najwygodniejszym środkiem porozumienia. W każdym razie jestem pewna, że głuchociemni z trudnością opanowują mowę znaków.

Niedawno poznałam głuchego Norwega, który zna doskonale Ranghild Kaata i jej nauczycielkę. Miałam z nim bardzo interesującą rozmowę o Ranghild. Powiedział, że jest ogromnie pracowita i szczęśliwa. Przędzie, wykonuje mnóstwo robótek, czyta i prowadzi miłe, pożyteczne życie. Niech Pan sobie wyobrazi, nie umie posługiwać się alfabetem ręcznym! Czyta dobrze z warg, a jeżeli nie może zrozumieć jakiegoś zwrotu, przyjaciele piszą jej na ręce zwykłym pismem dla widzących. W ten sposób rozmawia z obcymi ludźmi. Ja nie mogę nic zrozumieć, jeżeli piszą mi na ręce zwykłym pismem. Więc, jak Pan widzi, Ranghild wyprzedziła mnie pod pewnymi względami. Mam nadzieję, że ją kiedyś poznam...

DO PANI LAURENCE HUTTON

Wrentham, 29 lipca 1899 r.

... Zdałam ze wszystkich wybranych przedmiotów, a z wyższego kursu łaciny z wyróżnieniem. Ale muszę się przyznać, że drugi dzień egzaminów był dla mnie ciężki. Nie pozwolili, żeby nauczycielka czytała mi tematy, więc je dla mnie przepisano Braille'em. Ten sposób okazał się bardzo dogodny w językach, ale niewystarczający w matematyce. Toteż nie poszło mi tak dobrze, jak powinno, gdyby byli pozwolili nauczycielce przeczytać mi zadania z algebry i geometrii.

Niech Pani jednak nie sądzi, że mam do kogokolwiek pretensję. Naturalnie nie zdawali sobie sprawy, jak mi utrudnili egzaminy i jakiego mi narobili kłopotu. No, bo jakim sposobem, skoro sami widzą i słyszą, potrafiliby zrozumieć mój punkt widzenia...

Jak dotąd mam przemiłe lato. Nie przypominam sobie szczęśliwszych dni. Moja matka, siostra i braciszek bawią tutaj już od pięciu tygodni i nasze szczęście nie ma granic. Nie tylko

to nas raduje, że jesteśmy razem, ale cieszy nas także domek — tak w nim rozkosznie. Chciałabym, żeby Pani mogła zobaczyć widok na piękne jezioro z naszej *piazzy*. Wysepki wyglądają w złotym blasku jak szmaragdowe górki, czółna śmigają tu i tam jak jesienne liście na wietrzyku — oddycha się przedziwnie rozkosznym wiosennym powietrzem leśnym, które wydaje się poszeptem nieznanego klimatu. Wciąż się zastanawiam, czy to te same zapachy powitały dawno temu skandynawskich żeglarzy, gdy, jak mówi tradycja, przybili do naszych brzegów — to wonne echo stuleci, cichego wzrostu i butwienia drzew i kwiatów...

DO PANI SAMUEL RICHARD FULLER

Wrentham, 20 października 1899 r.

... Sądzę, że już czas powiedzieć Pani coś niecoś o naszych planach na zimę. Pani wie, że od dawna moją ambicją było wstąpić do Radcliffe i zdobyć dyplom, jak to czyni wiele dziewcząt. Ale pani dziekan Irvin z Radcliffe przekonała mnie, żebym na razie wzięła się do jakichś specjalistycznych studiów. Powiedziała, że już pokazałam światu, iż jestem zdolna do studiów uniwersyteckich, skoro mimo wielu przeszkód zdałam z powodzeniem wszystkie egzaminy. Wykazała, jak wielką niedorzecznością z mojej strony byłoby przedzierać się przez czteroletni kurs studiów w Radcliffe po to tylko, żeby upodobnić się do innych dziewcząt, kiedy byłoby lepiej, żebym rozwijała swoje zdolności literackie. Powiedziała, że dyplom, jej zdaniem, niewiele znaczy, i uważa, że powinno się raczej tworzyć oryginalne wartości, niż zużywać energię na jego uzyskanie. Te argumenty wydały mi się tak mądre i praktyczne, że nie potrafiłam im się oprzeć. Ciężko mi przyszło, bardzo ciężko, wyrzec się zamiaru wstąpienia do college'u. Marzyłam o tym od wczesnych lat dziecinnych. Ale na nic się nie zda obstawać przy niedorzeczności dlatego tylko, że człowiek nosił się z nią kawał czasu, nieprawdaż?

Jednak podczas omawiania planów zimowych nauczycielce błysnęła myśl, którą kiedyś dawno podsunął doktor Hale, że mogłabym przechodzić kursy podobne do wykładów w Radcliffe, pod kierunkiem tych samych profesorów. Pani Irvin nie miała

nic przeciwko temu i łaskawie ofiarowała się pomówić z profesorami, czy byliby skłonni udzielać mi lekcji. Jeżeli będą tak dobrzy, żeby mnie uczyć, i jeżeli starczy nam pieniędzy na realizację naszych planów, to będę studiowała w tym roku angielski, literaturę angielską okresu elżbietańskiego, łacinę i niemiecki...

DO PANA JOHNA HITZA

138, Brattle St., Cambridge,
11 listopada 1899 r.

... Co się tyczy kwestii pisma Braille'a, to nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo się zmartwiłam, gdy się dowiedziałam, że to, co pisałam o egzaminach podano w wątpliwość. U źródła wszystkich tych sprzeczności zdaje się tkwić niewiedza. Czemuż to Panu wydaje się, że ja uczyłam Pana amerykańskiego Braille'a, skoro nie zna Pan ani jednej litery tego systemu? Trudno byłoby się nie śmiać, gdy Pan powiedział, że Pan pisze do mnie amerykańskim Braille'em, bo przecież pisał Pan pięknie angielskim Braille'em!

Opis moich egzaminów Braille'em jest następujący:

Jak zdałam egzaminy wstępne do college'u w Radcliffe.

29 i 30 czerwca 1899 roku złożyłam egzaminy wstępne do college'u w Radcliffe. Pierwszego dnia z podstawowego kursu języka greckiego i wyższego kursu łaciny, drugiego z geometrii, algebry i wyższego kursu greki.

Władze college'u nie chciały zezwolić pannie Sullivan na czytanie mi tekstów egzaminacyjnych, wobec czego pan Eugene C. Vining, jeden z instruktorów Instytutu Perkinsa, otrzymał polecenie przepisania dla mnie tekstów Braille'em. Pana Vininga wcale nie znałam. Mogliśmy się porozumiewać tylko za pomocą Braille'a. Asystenta też nie znałam. On także nie próbował się ze mną komunikować w jakikolwiek sposób. A ponieważ żaden z nich nie był przyzwyczajony do mojej mowy, z trudnością mnie rozumieli. Przy językach pismo Braille'a było mi bardzo pomocne. Dopiero przy geometrii i algebrze zaczęły się trudności. By-

łam zupełnie zbita z tropu i całkowicie zniechęcona. Traciłam moc cennego czasu zwłaszcza przy algebrze. Wprawdzie znam doskonale wszystkie rodzaje Braille'a: angielski, amerykański i punkt nowojorski, ale metoda pisania różnych znaków, stosowanych w geometrii i algebrze w tych trzech rodzajach, jest bardzo odmienna, a jeszcze na dwa dni przed egzaminami znałam tylko angielską. Posługiwałam się nią przez cały czas nauki, a nigdy żadną inną.

W geometrii moja główna trudność polegała na tym, że przyzwyczaiłam się odczytywać twierdzenia w Druku Liniowym albo mi je nauczycielka pisała do ręki. Tak się jakoś składało, że chociaż miałam twierdzenia przed sobą, Braille dezorientował mnie i nie mogłam wyobrazić sobie tego, co czytałam. Przy algebrze sytuacja jeszcze się pogorszyła. Słaba znajomość symboli ogromnie utrudniała mi pracę. Znaki, których się nauczyłam w przeddzień, jak mi się zdawało, doskonale, myliły mi się. Toteż praca posuwała się bardzo wolno i musiałam odczytywać przykłady po kilka razy, zanim zdałam sobie jasno sprawę, co powinnam zrobić. Nie jestem teraz pewna, czy odczytałam wszystkie znaki poprawnie, zwłaszcza że byłam ogromnie znękana i z trudem zbierałam myśli...

W grę wchodziła jeszcze jedna okoliczność. Pragnę ją podać bez owijania w bawełnę, w związku z pismem pana Gilmana do mnie. Nigdy nie pobierałam w szkole Gilmana nauk bezpośrednio. Panna Sullivan zawsze siedziała przy mnie i mówiła mi, co wykładali nauczyciele. Nauczyłam pannę Hall, moją nauczycielkę fizyki, pisać amerykańskim Braille'em, ale ona nie uczyła mnie nigdy z pomocą tegoż Braille'a, chyba że nazwiemy nauczaniem kilka pisanych dla wprawy zagadnień, na których odczytywanie traciłam moc cennego czasu. Kochana Frau Gröte nauczyła się ręcznego alfabetu i dawała mi lekcje, ale były to prywatne lekcje, opłacane przez moich przyjaciół. Na wykładach języka niemieckiego panna Sullivan wyjaśniała mi, jak mogła, to, co mówiła nauczycielka.

Gdyby tak Pan posłał kopię mego listu do kierownika szkoły w Cambridge, może by wyjaśniło mu się kilka spraw, w których absolutnie się nie orientuje...

DO PANNY MILDRED KELLER

138, Brattle St., Cambridge,
26 listopada 1899 r.

... Nareszcie ulokowałyśmy się na zimę i praca idzie nam jak z płatka. Pan Keith przychodzi co dzień o czwartej, „przewozi mnie" po przyjacielsku przez wyboiste miejsca, których żaden student nie może uniknąć. Uczę się historii Anglii, literatury angielskiej, francuskiego i łaciny, a niebawem przystąpię do pisania niemieckich i angielskich wypracowań — O! rozpaczy! Wiesz, jak nie znoszę gramatyki, tak samo jak Ty, ale oczywiście muszę przez nią przebrnąć, jeżeli mam pisać, tak jak musiałyśmy opić się setki razy w jeziorze, zanim nauczyłyśmy się pływać! Na lekcji francuskiego nauczycielka czyta mi „Kolombę". To urocza powieść, pełna dowcipnych wyrażeń i przejmujących przygód (proszę nie ganić mnie za używanie wzniosłych słów, bo sama to robisz!). Jeżeli ją przeczytasz, będziesz zachwycona! A więc uczysz się historii Anglii! To niesłychanie interesujące! Ja studiuję gruntownie epokę elżbietańską — Reformację i Akty Supremacji i Konformacji, i odkrycia morskie, i wszystkie wielkie wydarzenia, wynalezione chyba przez złe duchy dla udręki niewinnych dziewcząteк, takich jak ty!...

Mamy teraz szykowny zimowy ekwipunek — płaszcze, kapotki, suknie i bieliznę flanelową. Krawcowa, Francuzka wykonała dla nas cztery śliczne toalety. Ja mam dwie, jedną czarną jedwabną spódnicę, pokrytą czarną koronką, ze stanikiem z białej popeliny z atłasowym karczkiem, przybranym turkusowym aksamitem i kremową koronką. Druga jest wełniana w bardzo ładnym zielonym kolorze. Stanik, zdaje się, przybrany różowym i zielonym brokatem i białą koronką, przód podwójny, stębnowane fałdki i do tego rząd malutkich białych guziczków. Nauczycielka też ma jedwabną suknię z czarną spódnicą, ze stanikiem prawie całym żółtym, przybranym delikatnym lawendowym szyfonem, czarnymi aksamitnymi kokardkami i koronką. Druga jej toaleta jest fioletowa, przybrana fioletowym aksamitem, a stanik z kołnierzem z kremowej koronki. Możesz więc sobie wyobrazić, że wyglądamy całkiem jak pawie, tylko że nie mamy ogonów...

Wczoraj upłynął tydzień, jak odbył się wielki mecz piłki nożnej między Harvardem i Yale. Podniecenie było ogromne. W naszym pokoju słyszałyśmy wrzaski chłopców i wiwaty widzów tak wyraźnie, jakbyśmy znajdowały się na boisku. Pułkownik Roosevelt też był po stronie Harvardu, ale cóż! O ile wiadomo, miał na sobie biały sweter bez karmazynu! Przyglądało się grze około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, a gdy wyszłyśmy z domu, hałas był tak straszliwy, iż pod wrażeniem, że to wojna, a nie piłka nożna o mało nie straciłyśmy głowy. Ale pomimo szalonych wysiłków żadna strona nie wygrała, więc wszyscyśmy się śmieli i mówili:

„Teraz kocioł nie może przyganiać garnkowi!... "

DO PANI LAURENCE HUTTON

559, Madison Avenue, Nowy Jork,
2 stycznia 1900 r.

... Bawimy tutaj już od tygodnia i do soboty zostaniemy u panny Rhoades. Przemiła wizyta, urocze chwile, wszyscy tacy dla nas dobrzy. Spotkałyśmy wielu starych przyjaciół i przybyło nam kilku nowych. W ubiegły piątek byłyśmy na obiedzie u państwa Rogers. Ach, jacy byli dla nas uprzejmi! Wspomnienie ich wytwornej grzeczności i prawdziwej uczynności napełnia mi serce ciepłymi uczuciami wdzięczności i radości. Widziałam również doktora Greera. Jakiż on serdeczny! Kocham go więcej niż kiedykolwiek. W niedzielę byłyśmy u Św. Bartłomieja. Od śmierci kochanego biskupa Brooksa nie czułam się tak dobrze w kościele. Doktor Greer czytał tak wolno, że moja nauczycielka mogła mi powtórzyć każde słowo. Wierni musieli się dziwić jego niezwykłej rozwadze. Po nabożeństwie poprosił pana Warrena, organistę, żeby zagrał coś dla mnie. Stałam na środku kościoła, gdzie wibracje muzyki organowej są najsilniejsze, i czułam, jak uderzały we mnie potężne fale dźwięków, podobnie jak morskie fale tłuką w mały statek na morzu...

DO PANA JOHNA HITZA

138, Brattle St., Cambridge,
3 lutego 1900 r.

... Moje studia stają się coraz to bardziej interesujące. Z łaciny czytam teraz ody Horacego. Chociaż trudno mi je tłumaczyć,

uważam, że to naśliczniejsza poezja łacińska, jaką czytałam czy będę czytała. Z francuskiego skończyłyśmy „Kolombę" i czytam teraz „Horacego" Corneille'a i „Bajki" La Fontaine'a, obie rzeczy Braille'em.

Nie posunęłam się jeszcze ani w jednym, ani w drugim, ale wiem, że będę się zachwycała bajkami, tak uroczo napisane i dają tak dobre nauki w sposób prosty, a tak ciekawy. Chyba nie mówiłam Panu, że moja droga nauczycielka czyta mi „Królowę wróżek". Niestety! Zachwycam się tym poematem, ale mam mu i dużo do zarzucenia. Alegorie nie mają dla mnie właściwie uroku. Naprawdę często mnie nudzą. Powiem otwarcie, że według mnie ten spencerowski świat rycerzy, pogan, wróżek, smoków i wszelkiego rodzaju dziwnych stworów jest poniekąd groteskowy i zabawny; jednakże sam poemat jest śliczny i taki melodyjny, jak szemrzący potok.

Jestem teraz dumną posiadaczką około piętnastu nowych książek, które zamówiłyśmy w Louisville, między innymi „Historii Henry Esmonda", „Esejów" Bacona i wypisów z literatury angielskiej. Może w przyszłym tygodniu dostanę więcej; „Burzę", „Sen nocy letniej" i wybrane ustępy z „Historii Anglii" Greena. Szczęście mi sprzyja, nieprawdaż?

Obawiam się, że ten list jest zanadto książkowy, ale obecnie całe moje życieześrodkowuje się w książkach i prawie nie widuję innego i niczym innym się nie interesuję. Po prostu sypiam na książkach. Pan wie, życie studenckie jest z konieczności zacieśnione i prawie nie zostaje w nim miejsca na nic innego prócz książek...

DO PRZEWODNICZĄCEGO RADY AKADEMICKIEJ
COLLEGE'U W RADCLIFFE

138, Brattle Street., Cambridge, Mass.,
5 maja 1900 r.

Szanowny Panie!

Zwracam się do Pana z prośbą o informację, czy jest możliwe, abym uczęszczała regularnie na wykłady w college'u w Radcliffe? Od tego będą zależały moje plany studiów na rok przyszły.

Od czasu gdy w lipcu ubiegłego roku otrzymałam świadectwo

przyjęcia do Radcliffe, studiowałam pod kierunkiem prywatnego wychowawcy Horacego, Aischylosa, język francuski, niemiecki, retorykę, historię Anglii, historię literatury angielskiej oraz pisałam wypracowania angielskie. W college'u pragnęłabym studiować nadal, jeżeli nie wszystkie te przedmioty, to przynajmniej większość. Warunki, w jakich pracuję, wymagają obecności panny Sullivan, mojej nauczycielki i towarzyszki od lat trzynastu, jako tłumaczki wykładów i lektorki tematów egzaminacyjnych. W college'u może w związku z niektórymi przedmiotami inna osoba musiałaby z konieczności towarzyszyć mi w sali wykładowej i na recytacjach.

Wszelkie prace pisemne wykonywałabym na maszynie do pisania i gdyby profesor nie mógł zrozumieć mojej mowy, mogłabym pisać odpowiedzi na jego pytania i wręczać mu je po ćwiczeniach.

Czy jest możliwe, aby college uwzględnił te okoliczności bez precedensu i pozwolił mi na kontynuację studiów w Radcliffe? Rozumiem, że przeszkody na drodze do realizacji moich studiów są bardzo wielkie — innym mogą się wydać nieprzezwyciężone, ale prawdziwy żołnierz nie uznaje się za pokonanego przed bitwą.

Helena Keller

DO PANI LAURENCE HUTTON

138, Brattle Street, Cambridge,
9 czerwca 1900 r.

... Jeszcze nie dostałam odpowiedzi od Rady Akademickiej, ale mam szczerą nadzieję, że odpowiedzą przychylnie. Moi przyjaciele bardzo się dziwią, że tak długo się tam wahają, zwłaszcza że nie prosiłam o żadne dla mnie ułatwienia, a tylko o uwzględnienie moich możliwości. Cornell ofiarował się przedsięwziąć odpowiednie starania w odniesieniu do mojej pracy, gdybym zdecydowała się wstąpić do tamtego college'u. Uniwersytet w Chicago też wystąpił z podobną ofertą. Ale obawiam się, że gdybym wybrała jakiś inny college, toby sobie pomyślano, że nie zdałam zadowalająco egzaminów w Radcliffe...

Na jesieni Helena Keller wstąpiła do college'u w Radcliffe.

14, Coolidge Ave., Cambridge,
26 listopada 1900 r.

... Już się z Panem skomunikowała w związku z jej i moim planem założenia instytutu dla głuchociemnych dzieci. Początkowo tak ogromnie się entuzjazmowałam tym, że nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby tu można było wystąpić z jakimiś poważnymi zarzutami, chyba że ze strony ludzi wrogo usposobionych do nauczycielki. Ale teraz, po bardzo poważnym namyśle i naradzie z moimi przyjaciółmi doszłam do wniosku, że plan jest niewykonalny. Chcąc, aby głuchociemne dzieci korzystały z tego, co ja, zupełnie zapomniałam, że mogło istnieć wiele przeszkód do zrealizowania tego, co proponował kiedyś pan X.

Moi przyjaciele orzekli, że gdybyśmy trzymały u siebie paru wychowanków czy wychowanic, miałabym tę korzyść, że mogłabym pomagać innym unikając jednocześnie kłopotów związanych z prowadzeniem dużej szkoły. Byli ogromnie uprzejmi, jednakże ja miałam wrażenie, że argumentowali bardziej z praktycznego niż humanitarnego punktu widzenia. Jestem pewna, że oni niezupełnie rozumieją, jak gorąco pragnę, żeby wszyscy upośledzeni, tak jak ja, otrzymali należne im dziedzictwo myśli, wiedzy i miłości. Swoją drogą nie mogłam lekceważyć ich mocnych argumentów i pojęłam, że muszę się wyrzec planu pana X., ponieważ jest niewykonalny. Powiedzieli także, iż powinnam na czas pobytu w Radcliffe wyznaczyć komitet do kontroli nad moimi sprawami. Rozważyłam tę propozycję starannie, po czym powiedziałam panu Rhoadesowi, że byłabym dumna, gdybym miała rozumnych przyjaciół, do których mogłabym się zawsze zwrócić o radę we wszystkich ważnych kwestiach. Do tego komitetu wybrałam sześć osób: moją matkę, nauczycielkę (bo ona jest dla mnie także jak matka), panią Hutton, pana Rhoadesa, doktora Greera i pana Rogersa, gdyż oni to podtrzymywali mnie na duchu przez wszystkie te lata i umożliwili wstąpienie do college'u. Pani Hutton już napisała do matki prosząc o telegraficzną odpowiedź, czy zgadza się, żebym miała innych doradców prócz niej i nauczycielki. Dziś rano przyszła wiadomość, że matka zgadza się na

taki plan. Teraz pozostaje mi tylko napisać do doktora Greera i pana Rogersa...

Mieliśmy długą rozmowę z doktorem Bellem. Wystąpił on z projektem, który niewymownie nas wszystkich zachwycił. Oświadczył, że próba założenia szkoły dla głuchociemnych dzieci byłaby błędem, bo wtedy traciłyby one najcenniejsze okazje wchodzenia w pełniejsze, bogatsze, swobodniejsze życie widzących i słyszących dzieci. Ja sama miałam co do tego wątpliwości, ale nie widziałam, jak temu zaradzić. Jednakże pan Bell zaproponował, że X. i wszyscy jego przyjaciele, zainteresowani planem, powinni zorganizować stowarzyszenie propagujące kształcenie głuchociemnych. Oczywiście nauczycielka i ja należałybyśmy do zespołu. W ramach jego planu nauczycielka miała przygotowywać po domach wychowawców i wychowawczynie do głuchociemnych dzieci, tak jak mnie uczyła. Postarano by się o fundusze na mieszkania i pensje dla nauczycieli. Doktor Bell dodał, że mogę teraz spokojnie przedzierać się przez Radcliffe, współzawodnicząc z widzącymi i słyszącymi dziewczętami, gdyż wielkie pragnienie mego serca będzie się tymczasem urzeczywistniać. Biliśmy brawa i wznosili okrzyki. Pan X. odszedł rozpromieniony, a nauczycielce i mnie zrobiło się tak lekko na sercu, jak to się rzadko zdarza. Oczywiście na razie nic się jeszcze nie da uczynić, ale przykry niepokój o moją naukę w college'u i o przyszłość głuchociemnych dzieci przestał nas dręczyć. Niech Pan powie, co pan sądzi o planie dra Bella? Mnie wydaje się ogromnie praktyczny i mądry. Ale zanim zacznę mówić i działać w tej sprawie, muszę się w niej gruntownie rozpatrzyć...

DO PANA JOHNA D. WRIGHTA

Cambridge, 9 grudnia 1900 r.

Czy Pan uważa mnie za tak podłą i — nie mogę znaleźć słowa dość mocnego na wyrażenie opinii Pana o mnie, chyba że koniokrad okaże się odpowiednie. Niech Pan powie szczerze, czy Pan naprawdę tak źle o mnie myśli? Ale chyba nie, bo ja w myślach napisałam do Pana wiele listów, i jestem uradowana, że otrzymałam od Pana taki dobry list. O, tak! Zamierzałam od-

pisać natychmiast. Ale kiedy człowiek zajęty, dni umykają niepostrzeżenie, a ja tej jesieni byłam bardzo zajęta. Musi mi Pan wierzyć. Dziewczęta w Radcliffe zawsze są zapracowane. Jeżeli Pan wątpi, proszę przyjechać i zobaczyć na własne oczy.

Tak, studiuję regularnie w college'u celem uzyskania dyplomu. Kiedy już będę miała dyplom, nie odważy się Pan chyba nazwać mnie podłą. Studiuję angielski (ten z drugiego roku), chociaż nie widzę wcale, żeby się czym różnił od zwyczajnej angielszczyzny, niemiecki, francuski i historię. Moja praca cieszy mnie bardziej, niż się tego spodziewałam. Innymi słowy rada jestem, że się tu dostałam. Czasami jest mi ciężko, bardzo ciężko, ale się nie daję. Nie, nie studiuję matematyki ani greki, ani łaciny. Przedmioty studiów w Radcliffe są do wyboru, tylko niektóre są obowiązkowe. Uwinęłam się z angielskim i wyższym kursem francuskiego, zanim wstąpiłam do college'u. Wybieram sobie kursy, jakie mi się najwięcej podobają.

Nie zamierzam poniechać na dobre greki i łaciny. Później powrócę do tych przedmiotów. Ale z matematyką pożegnałam się na zawsze. Zapewniam Pana, że nie żałowałam tych diabelskich okropności! Spodziewam się uzyskać dyplom za cztery lata, ale nie upieram się przy tym. Nie ma się czego śpieszyć, a chcę wynieść z moich studiów jak najwięcej korzyści. Wielu z moich przyjaciół cieszyłoby się, gdybym poprzestawała na dwóch, a nawet na jednym kursie rocznie, ale nie uśmiecha mi się perspektywa spędzenia reszty życia w college'u...

DO PANA WILLIAMA WADE'A

14, Coolidge Avenue, Cambridge,
9 grudnia 1900 r.

... Skoro Pan się tak interesuje głuchociemnymi, opowiem Panu na początek o kilku wypadkach, z jakimi się ostatnio zetknęłam. W październiku dowiedziałam się o niezwykle zdolnej dziewczynce w Teksasie. Nazywa się Ruby Rice i ma, zdaje się, trzynaście lat. Nikt jej nigdy nie uczył, ale mówią, że umie szyć i lubi pomagać innym w tego rodzaju robotach. Ma nadzwyczajny zmysł powonienia. Gdy wejdzie do sklepu, kieruje

się prosto do gablotek. Potrafi też odróżnić swoje osobiste rzeczy. Rodzicom zależy ogromnie na znalezieniu dla niej nauczycielki. Napisali w tej sprawie do pana Hitza.

Wiem również o dziecku w Instytucie dla Głuchociemnych w Missisipi. Sześcioletnia dziewczynka — nazywa się Maud Scott. Otrzymałam ogromnie interesujący list od panny Watkins, która się nią opiekuje. Pisze, że Maud urodziła się głucha, a zaniewidziała jako trzymiesięczne niemowlę, a kiedy ją kilka tygodni temu oddano do Instytutu, była zupełnie bezradna. Nawet nie umiała chodzić, a ręce na niewiele się jej przydawały. Gdy próbowano nauczyć ją nawlekać paciorki, rączki opadały jej bezwładnie. Najwidoczniej zmysł dotyku nie rozwinął się u niej, a może chodzić tylko wtedy, gdy trzyma kogoś za rękę; niemniej robi wrażenie nadzwyczaj bystrego dziecka. Panna Watkins uważa, że jest bardzo ładna. Napisałam do niej, że jak Maud zacznie się uczyć czytać, to poślę jej dużo powiastek. Kochana słodka dziewczynka — serce mnie boli, gdy pomyślę, jak całkowicie odcięta jest od wszystkiego, co w życiu dobre i upragnione. Ale panna Watkins to właśnie taka nauczycielka, jaka jej jest potrzebna.

Byłam niedawno w Nowym Jorku i widziałam się z panną Rhoades. Mówiła mi, że widziała Katie McGirr. Ta biedna młoda dziewczyna mówi i zachowuje się jak małe dziecko. Katie bawiła się pierścionkami panny Rhoades i zabrała je mówiąc ze śmiechem: „Już ich nie dostaniesz!". Rozumiała pannę Rhoades tylko wtedy, gdy ta mówiła o najprostszych rzeczach. Panna Rhoades chciała jej posłać trochę książek, ale nie mogła znaleźć nic dostatecznie łatwego! Mówi, że Katie jest ogromnie miła, ale rozpaczliwie zaniedbana. Bardzo mnie to wszystko zdziwiło, bo sądząc z Pana listów, wyobrażałam sobie, że Katie jest rozwinięta nad wiek...

Kilka dni temu spotkałam na stacji w Wrentham Toma Stringera. Wyrósł na dużego, silnego chłopca i już wkrótce będzie potrzebował męskiej opieki. Za wielki, żeby kobieta mogła dać sobie z nim radę. Mówiono mi, że uczęszcza do szkoły średniej i że robi zadziwiające postępy, ale jak dotąd w rozmowie się to nie ujawnia. Odpowiada tylko: „tak" i „nie"...

DO PANA CHARLESA T. COPELANDA

20 grudnia, 1900 r.

Mój Drogi Panie!

Ośmielam się zwrócić do Pana, gdyż obawiam się, że jeżeli się nie wytłumaczę, dlaczego przestałam pisać wypracowania, to Pan pomyśli, że albo się zniechęciłam, albo może, żeby uniknąć krytyki, tchórzliwie uciekłam z pańskiej klasy. Proszę, niech Pan sobie nie wyobraża żadnej z tych możliwości. Ani nie zniechęciłam się, ani nie jestem w strachu. Wiem, że mogłabym dalej pisać wypracowania, tak jak pisałam, i przypuszczam, że przebrnęłabym przez kurs z wcale niezłym wynikiem. Ale ten rodzaj literackiej łataniny stracił dla mnie wszelki powab. Nigdy nie byłam zadowolona ze swej pracy. Ale nie zdawałam sobie sprawy z trudności, dopóki mi ich Pan nie wytknął. Kiedy w październiku wstąpiłam do pańskiej klasy, starałam się ze wszystkich sił być taką jak wszyscy i zapomnieć, o ile to możliwe, o moim upośledzeniu i szczególnych warunkach. Teraz jednak widzę, co to było za szaleństwo próbować sięgać po gwiazdy.

Przyjmowałam zawsze przeżycia i spostrzeżenia innych ludzi jako rozumiejące się same przez się. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że opłaciłoby się robić własne obserwacje, opisywać doświadczenia i osobiste przeżycia. Więc odtąd postanawiam być sobą, żyć własnym życiem i spisywać swoje myśli, gdy mi się będą nasuwały. Gdy napiszę coś, co się będzie wydawało świeże, spontaniczne, godne Pana krytyki, to przyjdę z tym do Pana, jeżeli Pan pozwoli, a gdy Pan pochwali, będę szczęśliwa. Ale jeżeli werdykt wypadnie niepomyślnie, będę próbowała wciąż i wciąż, dopóki mi się nie uda zadowolić Pana...

DO PANI LAURENCE HUTTON

14, Coolidge Avenue, Cambridge,
27 grudnia 1900 r.

... Więc Pani czytała w gazetach o lunchu naszej klasy? Zdumiewa mnie, jakim sposobem gazety dowiadują się tego wszystkiego! Z pewnością nie było tam żadnego reportera. Ubawiłam się świetnie. A toasty, a mowy — to była satysfakcja!

Ja wygłosiłam tylko parę słów, bo dopiero kilka minut przedtem dowiedziałam się, że mam przemawiać. Chyba pisałam Pani, że wybrano mnie na wiceprzewodniczącą klasy nowicjuszek w Radcliffe?

Czy nie powiedziałam Pani w ostatnim liście, że mam nową suknię, prawdziwą wieczorową toaletę z dekoltem, krótkimi rękawkami i trenem? Jest bladoniebieska, przybrana jedwabiem tego samego koloru. Miałam ją na sobie tylko raz, ale czułam, że Salomon w całej swojej chwale nie mógłby się równać ze mną! W każdym razie z pewnością nigdy nie miał takiej toalety jak moja!...

Pewien Pan z Filadelfii napisał właśnie do mojej nauczycielki o głuchociemnym dziecku w Paryżu, którego rodzice są Polakami. Matka, jak mówi, jest lekarką i olśniewającą kobietą. Chłopaczek, zanim stracił słuch wskutek choroby, mówił już dwoma czy trzema językami, a teraz ma zaledwie pięć lat. Biedny chłopczyna. Żebym tak mogła coś dla niego zrobić! Ale taki jeszcze mały, że, zdaniem mojej nauczycielki, nie powinno się go rozłączać z matką. Miałam list od pani Thaw. Pisała o możliwości uczynienia czegoś dla tych dzieci. Doktor Bell mówi, że obecny spis wykaże, że w samych Stanach Zjednoczonych * jest ich ponad tysiąc. Jednak pani Thaw sądzi, że gdyby wszyscy moi przyjaciele połączyli wysiłki, „to byłoby wcale łatwo ustanowić na początku tego stulecia nowy kierunek działania dla miłosierdzia" i można by uratować te nieszczęśliwe dzieci...

DO PANA WILLIAMA WADE'A

Cambridge, 2 lutego 1901 r.

... Ale, à propos, czy nie ma Pan jakichś próbek angielskiego Braille'a, specjalnie dla tych, którzy stracili wzrok w późniejszym wieku albo też mają palce stwardniałe od długiej pracy, tak że zmysł dotyku jest u nich mniej wrażliwy niż u innych niewidomych? Przeczytałam sprawozdanie o takim systemie w jednym z moich angielskich czasopism i bardzo bym chciała dowiedzieć się coś więcej. Jeżeli jest tak skuteczny, jak mówią, nie widzę powodu, dlaczego angielski Braille nie miał-

---

* Ilość głuchociemnych w tym wieku, żeby można ich jeszcze kształcić, nie jest tak znaczna, ale edukacja zaniedbana.

by być przyjęty przez niewidomych wszystkich krajów. Przecież to jest druk najłatwiej dający się przystosować do wielu języków. Jak pan wie, nawet greka może nim być pisana. Dzięki międzyrządkowemu systemowi stanie się on bardzo dostępny, co pociągnie za sobą ogromną oszczędność miejsca oraz papieru. Uważam, że to krańcowy absurd — kilka różnych druków dla niewidomych...

Poniższy list był odpowiedzią na próbną ofertę redaktora „The Great Round World" — wydawania tego czasopisma pismem Braille'a, jeżeli znajdzie się dostateczna ilość prenumeratorów. Jest rzeczą oczywistą, że niewidomi powinni mieć dobre czasopismo, nie specjalnie dla nich, ale jeden z najlepszych naszych miesięczników w wydaniu wypukłym drukiem. Samych niewidomych nie byłoby na to stać, ale nie trzeba by wielkiej sumy, żeby to wykonać.

DO „THE GREAT ROUND WORLD"
NOWY JORK

Cambridge, 16 lutego 1901 r.

Szanowni Panowie!

Dziś dopiero znalazłam czas, żeby odpowiedzieć na Wasz interesujący list. Mały ptaszek już mi zaśpiewał w ucho dobrą nowinę, ale podwójna to dla mnie przyjemność usłyszeć ją bezpośrednio od Panów.

Wspaniale by to było drukować „The Great Round World" w „języku dającym się wyczuć". Wątpię, czy ktoś, cudownie uprzywilejowany zmysłem wzroku, potrafi wyobrazić sobie, co by to było za dobrodziejstwo dla niewidzących — tego rodzaju wydawnictwo, jakie Panowie macie w projekcie. Móc czytać samemu o tym, co się dzieje na świecie — w tym świecie, którego radościami, smutkami, niepowodzeniami i sukcesami przejmujemy się do głębi — byłoby szczęściem nie dającym się wyrazić słowami. Nie wątpię, że starania „The Great Round World", aby poświecić tym, którzy przebywają w ciemnościach, spotkają się z zachętą i poparciem, na jakie zasługują.

Wątpię jednak, czy liczba abonentów na wydanie pismem Braille'a „The Great Round World" byłaby duża. Mówiono mi, że niewidomi są na ogół niezamożni. Ale dlaczegożby przyjaciele niewidomych nie mieli w razie konieczności wspomóc „The

Great Round World"? Z pewnością nie brakuje serc i rąk zawsze gotowych pośpieszyć z pomocą szlachetnym zamierzeniom, żeby mogły przeobrazić się w szlachetne czyny.

Życząc Panom powodzenia w przedsięwzięciu bardzo drogim mojemu sercu, pozostaję...

DO PANNY NINY RHOADES

Cambridge, 25 września 1901 r.

... Mniej więcej do połowy sierpnia bawiłyśmy w Halifaksie. Dzień w dzień przystań, okręty wojenne i park dostarczały nam niezwykłych wrażeń. Gdy „Indiana" przybyła do Halifaksu, zaproszono nas na pokład. Wysłała po nas własną motorówkę. Dotknęłam ogromnej armaty, przeczytałam palcami nazwy kilku hiszpańskich statków, pochwyconych w Santiago, i widziałam miejsca, w których była przedziurawiona granatami. „Indiana" była największym i najpiękniejszym statkiem w porcie. Byłyśmy z niej bardzo dumne.

Po wyjeździe z Halifaksu odwiedziłyśmy dra Bella w Cape Breton Island. Mieszka w czarownym romantycznym domu na górze Beinn Bhreagh, nad jeziorem Bras d'Or.

Doktor Bell opowiedział mi dużo ciekawych rzeczy o swojej pracy. Właśnie skonstruował łódź, napędzaną latawcem. Jednego dnia robił próby, żeby się przekonać, czy mógłby sterować pod wiatr. Byłam przy nim i pomagałam mu puszczać latawce. Zauważyłam, że przy jednym z nich zamiast sznurów były druty, a ponieważ miałam pewne doświadczenie z robotą paciorkową, wyraziłam obawę, że pękną. Doktor Bell na to: „Nie!" — z wielkim przekonaniem. Latawiec poszedł w górę. Zaczął ciągnąć, szarpać, patrzcie! druty pękły i wielki czerwony smok poooszeeedł, a biedny doktor stał i patrzył za nim żałośnie. Później pytał mnie, czy sznurki w porządku, i jeżeli zaprzeczyłam, natychmiast je zmieniał. Mieliśmy z tym pyszną zabawę...

DO DOKTORA EDWARDA EVERETTA HALE'A *

Cambridge, 10 listopada 1901 r.

Moja nauczycielka i ja będziemy zapewne uczestniczyć jutro

---

* List odczytany przez dra Hale'a na obchodzie stulecia dra Samuela Gridley Howe'a w Tremont Temple, Boston, 11 listopada 1901 roku.

w zjeździe dla uczczenia setnej rocznicy urodzin dra Howe'a, ale bardzo wątpię, czy będziemy miały sposobność pomówić z Panem, więc piszę teraz, żeby Panu powiedzieć, jak się cieszę, że Pan ma przemawiać, bo wiem, że Pan lepiej niż ktokolwiek z moich znajomych wyrazi serdeczne uczucia tych, co zawdzięczają wszystko temu, który otwierał oczy niewidomym i obdarzał mową nieme usta.

Siedząc tutaj w swoim gabinecie, w otoczeniu książek i przestając w sposób tak miły i bliski z wielkimi i mądrymi ludźmi, próbuję wyobrazić sobie, jakie by było moje życie, gdyby doktorowi Howe'owi nie udało się spełnić wielkiego zadania, powierzonego mu od Boga. Gdyby był nie wziął na siebie odpowiedzialności za kształcenie Laury Bridgman i nie wyprowadził jej z otchłani Acherontu, czy ja byłabym dzisiaj na drugim roku studiów w college'u w Radcliffe — któż to może wiedzieć?

Ale wobec wielkiego dzieła doktora Howe'a, nie ma wprost sensu spekulować, co by mogło być.

Myślę, że tylko ci, co uniknęli egzystencji równającej się śmierci za życia, od której uratowano Laurę Bridgman, mogą pojąć, jak osamotniona, jak pogrążona w ciemnościach, jak skrępowana własną bezsilnością jest dusza bez myśli, wiary czy nadziei. Słowa zbyt są słabe, aby opisać rozpaczliwą pustkę tego więzienia albo radość duszy wyrwanej z niewoli. Kiedy porównujemy potrzeby i bezsilność niewidomych, zanim doktor Howe zaczął swą pracę — z ich obecną przydatnością i niezależnością, pojmujemy, że wielkie rzeczy dokonały się wśród nas. Cóż z tego, że warunki fizyczne wznoszą naokoło nas wysokie mury? Dzięki naszemu przyjacielowi i ratownikowi nasz świat leży wysoko i naszym królestwem jest bezmiar niebios.

Miło pomyśleć, że szlachetne czyny doktora Howe'a otrzymują należny hołd miłości i wdzięczności w mieście, które było widownią jego wielkich trudów i wspaniałych zwycięstw dla dobra ludzkości.

Przesyłam miłe pozdrowienia, do których dołącza się nauczycielka.

Z serdeczną przyjaźnią

Helena Keller

DO WIELMOŻNEGO GEORGE FRISBIE HOARA

Cambridge, Mass., 25 listopada 1901 r.

Mój Drogi Senatorze!

Cieszę się, że się Panu podobał mój list o doktorze Howe. Pisałam z głębi serca i dlatego wywołał miły oddźwięk w innych sercach. Poproszę dra Hale'a o pożyczenie go i zrobię odpis dla Pana.

Widzi Pan, ja piszę na maszynie — to moja prawa ręka, że się tak wyrażę. Nie wyobrażam sobie, jak bym mogła bez niej studiować w college'u. Piszę na niej wszystkie moje referaty i tematy egzaminacyjne, nawet grekę. Faktycznie ma tylko jedną wadę, która prawdopodobnie w oczach profesorów uchodzi za zaletę, tę mianowicie, że można dostrzec omyłki od jednego rzutu oka, bo nie dadzą się zamaskować nieczytelnym pismem.

Wiem, że to Pana ubawi, gdy powiem, że interesuję się ogromnie polityką. Lubię, gdy mi czytają gazety, i staram się rozumieć bieżące wydarzenia. Obawiam się jednak, że moja wiedza jest bardzo chwiejna, bo z każdą nową książką zmieniam poglądy. Kiedyś sądziłam, że gdy przestudiuję ustrój państwowy i ekonomię, to znikną moje trudności i kłopoty. Niestety — stwierdzam, że na tych żyznych łanach wiedzy bujniej pleni się kąkol niż pszenica...

CZĘŚĆ TRZECIA

Uzupełniająca relacja o życiu i nauce Heleny Keller

PRACA NAD KSIĄŻKĄ

Teraz właśnie nadeszła pora wydania książki Heleny Keller pod tytułem „Historia mojego życia". Co jest godnego uwagi w jej karierze, już się zrealizowało, a czegokolwiek jeszcze dokona w przyszłości, będzie stosunkowo drobnym przyczynkiem do sukcesu, który ją teraz wyróżnia. Sukces ten nie ulega wątpliwości, gdyż jej studia w Radcliffe przez ostatnie dwa lata dowiodły, że potrafi tak się kształcić, jakby studiowała w normalnych warunkach. Jeżeli nawet ona sama miała jakieś wątpliwości, to już się ich wyzbyła.

Kilka fragmentów jej autobiografii, gdy ukazywała się w odcinkach, omawiano w poważnym artykule redakcyjnym bostońskiego pisma. Wyrażono w nim żal z powodu pozornego rozczarowania Heleny Keller do życia w college'u. Przytoczono ustępy, w których stwierdza, że college to nie „uniwersalne Ateny", o jakich jej się marzyło. Przytaczano również wypowiedzi innych wybitnych osobistości, które też rozczarowały się pod tym względem. Ale nie trzeba zapominać, że Helena Keller napisała w swojej autobiografii wiele rzeczy bynajmniej nie na serio, i rozczarowanie, które autor artykułu potraktował poważnie, ma w dużej mierze posmak humorystyczny. Helena Keller nie przywiązuje do swoich poglądów wielkiej wagi i gdy się wypowiada w doniosłych sprawach, przyjmuje z góry, że czytelnik potraktuje jej słowa jako opinię studentki z pierwszych lat college'u, a nie z punktu widzenia osoby dojrzałej. Na przykład zdziwiło ją, że znaleźli się ludzie, których zirytowało to, co powiedziała o Biblii, a ubawił fakt, że nie zorientowali się, iż była zmuszona przeczytać całą Biblię w ramach studiów nad literaturą angielską, a nie z obowiązku religijnego, narzuconego

przez nauczycielkę czy rodziców. A to przecież było oczywiste.

Powinnam się usprawiedliwić wobec czytelników i wobec Heleny za tego rodzaju opinię o jej wypowiedziach, ale konieczne jest jeszcze jedno wyjaśnienie. Opowiadając o początkach swej edukacji Helena Keller nie podaje ściśle naukowych zapisków ze swego życia, a nawet z ważnych wydarzeń. Nie może wiedzieć szczegółowo, jak ją uczono, a wspomnienia dzieciństwa są w pewnych wypadkach wyidealizowane wskutek późniejszych opowiadań nauczycielki i innych osób. Ona przecież z większym trudem przypomina sobie fakty sprzed piętnastu lat niż my nasze dzieciństwo. Dlatego może się okazać, że zapiski nauczycielki będą się różniły w niektórych szczegółach od relacji uczennicy.

Sposób, w jaki Helena Keller opisała swoje dzieje, pozwala poznać, lepiej niż cokolwiek innego, trudności, które musiała przezwyciężać. Gdy my piszemy, możemy przeglądać to, cośmy napisali, uzupełnić tekst, sprawdzać, jak rozdziały wyglądają w korekcie, i tak konstruować całe dzieło, jak architekt, który opracowuje swe projekty. Helena, gdy już napisała swą pracę na maszynie, nie może do niej zaglądać, chyba że ktoś przeczyta jej maszynopis ręcznym alfabetem.

Tej trudności zapobiega częściowo maszyna Braille'a, gdyż taki skrypt autorka może czytać. Ale ponieważ ostatecznie praca jej musi być przepisana na maszynie, a maszyna Braille'a jest nieporęczna, Helena Keller przyzwyczaiła się od razu pisać na zwykłej maszynie. Tak dalece obchodzi się bez maszyny braillowskiej, że gdy z górą przed rokiem zaczęła pisać historię swego życia i napisała alfabetem Braille'a sto stron materiału i notatek, przez omyłkę zniszczyła notatki, zanim ukończyła skrypt. W ten sposób znaczną część swej historii komponowała przy maszynie i obmyślając całość i zestawiając oderwane epizody, które jej Anna Sullivan odczytywała, musiała polegać na swojej pamięci.

W lipcu, kiedy bardzo przepracowana skończyła ostatni rozdział, zabrała się do przepisywania i przerobienia całej opowieści. Jej dobry przyjaciel, pan William Wade, kazał sporządzić dla niej pełną kopię Braille'em. Pierwszy raz miała cały maszy-

nopis jednocześnie. Dostrzegła niedociągnięcia w układzie rozdziałów i powtarzające się zwroty. Dostrzegła również, że jej historia rozpada się właściwie na krótkie fragmenty, i wprowadziła nowy podział.

Po części dlatego, że taki miała warsztat pisarski, a po części ze względu na rodzaj swej pracy, stworzyła raczej serię świetnych esejów niż jednolitą opowieść. Istotnie kilka rozdziałów historii jej życia to po prostu krótkie wypracowania napisane w trakcie studiów nad językiem angielskim.

Przygotowując do druku swój życiorys, Helena Keller robiła poprawki na oddzielnych kartkach na maszynie Braille'a. Długie poprawki przepisywała na maszynie zaznaczając, gdzie mają być wstawione. Następnie odczytała z kopii Braille'a całą historię, robiąc poprawki na bieżąco. Notowano je na skrypcie przeznaczonym do druku. W trakcie tego przeglądania omawiała treść i stylistykę. Siedziała suwając palcami po skrypcie, zatrzymując się raz po raz dla sprawdzenia notatek, gdzie były wskazane jej poprawki. Przez cały czas czytała na głos celem sprawdzenia skryptu.

Przysłuchiwała się krytycznym uwagom, tak jak każdy autor słucha przyjaciół czy redaktora. Anna Sullivan, która posiada świetny zmysł krytyczny, dawała rady niejednokrotnie zarówno w trakcie pisania, jak podczas konkretnego czytania. Jedno z pism wysunęło sugestię, że Helenę Keller namówili do napisania książki gorliwi przyjaciele i że wpłynęli na nią, żeby umieściła w niej pewne wypowiedzi. W rzeczywistości, jeżeli brała pod uwagę jakiekolwiek rady, miały one najczęściej ten skutek, że raczej coś usuwała, niż dodawała. Książka jest dziełem Heleny Keller i niezbitym dowodem, że autorka umie być niezależna.

OSOBOWOŚĆ

Mark Twain powiedział, że dwie najbardziej interesujące osobistości dziewiętnastego wieku to: Napoleon i Helena Keller. Podziw świata dla niej jest aż nadto usprawiedliwiony. Podstawowe fakty dotyczące jej życia są już znane i ja mogę jedynie przytoczyć trochę danych o jej pracy i dorzucić coś niecoś do tego, co wiemy o jej osobowości.

Helena Keller jest wysoka, dobrze zbudowana i zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem. Wydaje się bardziej nerwowa, niż jest naprawdę, gdyż z przyzwyczajenia gestykuluje znacznie więcej niż większość ludzi mówiących po angielsku. Przyczyną tej gestykulacji jest to, że ręce, stanowiące dla niej tak długo narzędzie porozumiewawcze, przejęły na siebie rolę, jaką odgrywają u widzących oczy, więc wyrażają niekiedy to, co my wypowiadamy spojrzeniem. Wszyscy głusi gestykulują siłą rzeczy. W istocie przez jakiś czas panowało przekonanie, że najlepszym dla nich sposobem porozumiewania się jest system gestów, mowa znaków, wynaleziony przez abbé de l'Epée.

Kiedy Helena mówi, twarz jej ożywia się i wyraża wszelkie odcienie myśli. Rysy nabierają wyrazu. Z drugiej strony nie wie ona, co wyraża twarz drugiej osoby. Jednakże w rozmowie z osobą serdecznie zaprzyjaźnioną ręka jej sięga szybko do tamtej twarzy, żeby zobaczyć, według jej wyrażenia, „skręt ust". W ten sposób potrafi wyczuć sens niedopowiedzeń, które my uzupełniamy nieświadomie tonem głosu lub spojrzeniem.

Jej pamięć w odniesieniu do ludzi jest wybitna. Pamięta uchwyt palców, które już trzymała w dłoni, wszelkie charakterystyczne skurcze mięśni, które odróżniają uścisk jednej ręki od drugiej.

Może najbardziej charakterystycznym rysem Heleny Keller

(a także Anny Sullivan) jest zmysł humoru. Zręczne posługiwanie się słowami i zwyczaj żonglowania nimi sprawiają, że ma zawsze w pogotowiu *mots* i epigramy.

Ktoś zapytał ją, czy lubi studiować.

— Tak — odpowiedziała — ale i gry lubię, i czasami wydaje mi się, że jestem pozytywką z całym zasobem muzyki zamkniętym w moim wnętrzu.

Gdy poznała doktora Furnessa, szekspirologa, uczony ten ostrzegł ją, żeby nie pozwalała profesorom college'u wmawiać sobie zbyt wielu domniemanych faktów z życia Szekspira. Tyle tylko wiemy na pewno — powiedział — że Szekspir był ochrzczony, że się ożenił i że umarł.

— No, to — odparła — wydaje się, że dokonał wszystkiego, co istotne.

Jeden z jej przyjaciół, który uczył się ręcznego alfabetu, ustawicznie mylił „g", podobne do drogowskazu, z literą „h", którą się oznacza dwoma wyprostowanymi palcami. Aż wreszcie Helena zawołała: „Strzelaj z obu luf!"

Pan Joseph Jefferson wyjaśniał raz Helenie, co znaczą wypukłości na jej głowie.

— Ta — powiedział — oznacza zapaśnictwo.

— Ja nigdy nie walczę — odrzekła — chyba z trudnościami.

Zmysł humoru jest u niej tą głębszą odmianą humoru, równoznaczną z odwagą.

Przed trzynastu laty postanowiła nauczyć się mówić i nie dawała nauczycielce spokoju, dopóki nie uzyskała pozwolenia na branie lekcji, jakkolwiek doświadczeni mądrzy ludzie, a nawet Anna Sullivan, osądzili to jako eksperyment nie wróżący powodzenia, a który prawie na pewno mógł ją unieszczęśliwić. Ta sama wytrwałość kazała jej odbyć wyższe studia. Po zdaniu egzaminu wstępnego i przyjęciu do uczelni, za radą dziekana Radcliffe i innych znajomych zrezygnowała ze studiów. Ale opuściła tylko rok. Nie dała za wygraną. Zrealizowała zamiar i wstąpiła do college'u.

Życie jej to usilne naśladowanie tego, co czynią inni, i czynienia tego tak samo dobrze. Odniosła pełny sukces, gdyż starając się upodobnić do innych ludzi, stała się jak najbardziej sobą.

Niechęć do przegranej rozwinęła w niej odwagę. Gdzie inni mogą iść, może i ona. Jej respekt dla odwagi fizycznej jest jak stevensonowska chłopięca pogarda dla płaczącego kolegi, zabarwiona młodzieńczą brawurą. Wędruje po lasach, przedziera się przez zarośla, kalecząc się przy tym i zbierając guzy. Mimo to nie chciała się nigdy przyznać, że ją coś bolało, ani też nie pozwalała zatrzymać się na drugi raz w domu.

Toteż gdy ludzie wystawiają ją na próby, okazuje się dzielna i zdecydowana zwyciężyć w najbardziej skomplikowanej sytuacji.

Jeżeli nie zna odpowiedzi na pytanie, zgaduje z psotną pewdoma osoba nie rozróżnia barw), dotknie go i powie: Czarny. — Jeżeli będzie przypadkiem granatowy i oznajmisz jej to tonem triumfu, prawdopodobnie odpowie:

— Dziękuję. Rada jestem, że pan wie. Dlaczego wobec tego pan pytał?

Kapryśne i ryzykanckie usposobienie sprawia, że nigdy nie zawodzi jej fantazja, toteż nie nadaje się ona do eksperymentów psychologicznych. Co więcej, panna Sullivan nie widzi powodu, żeby jej wychowanka miała być poddawana badaniom naukowym, i sama rzadko porywa się na takie doświadczenia. Gdy psycholog zapytał ją, czy wychowanka pisze na palcach przez sen, odparła, że nie uważa, aby warto było z tego powodu nie spać, bo to przecież drobiazgi prawie bez znaczenia.

Panna Keller lubi towarzystwo. Jeżeli ktoś, kogo ona dotyka, roześmieje się z żarciku, śmieje się i ona, tak jakby słyszała. Jeżeli inni są pod wrażeniem muzyki, to samo wrażenie i przez nią podchwycone, rozjaśnia jej twarz. Tak doskonale wyczuwa ruchy nauczycielki, że reaguje na jej nastroje, więc wydaje się, że wie, co się dzieje, nawet jeżeli przez jakiś czas nością siebie. Zapytaj ją o kolor twego płaszcza (żadna niewinie przekazuje się jej treści rozmowy. Tak samo jej reakcja na muzykę opiera się po części na współwyczuciu, jakkolwiek muzyka ma dla niej urok sama przez się.

Prawdopodobnie muzyka ogranicza się dla niej do uderzeń i drgań. Nie może śpiewać i nie może grać na fortepianie, chociaż, jak tego dowiódł przeprowadzony z nią eksperyment, mogłaby wyuczyć się mechanicznego wystukiwania melodii na kla-

wiszach. Jednak muzyka cieszy ją naprawdę. Wyczuwa doskonale dźwięki, gdy uderzają w nią fale powietrza. Na zrozumienie rytmu muzyki mają niewątpliwie wpływ wibracje w przedmiotach, których dotyka, np. podłogi lub, co bardziej zrozumiałe, pudła fortepianu, na którym spoczywa jej ręka. Ale zdaje się, że wyczuwa drgania samego powietrza. Gdy zagrano jej na organach w kościele Św. Bartłomieja, cały kościół dygotał od potężnych tonów, ale to nie wyjaśnia całkowicie tego, co czuła i radośnie przeżywała. Wibracja powietrza, w miarę jak wzbierały dźwięki organów, sprawiała, że sama zaczynała kołysać się do taktu. Czasami kładzie rękę na gardle śpiewaka dla wyczucia drgań i skurczów mięśni i stąd czerpie prawdziwą przyjemność. Nikt jednak nie wie, na czym właściwie polegają jej wrażenia. Śmiech człowieka porywa, gdy się czyta w jednym z czasopism z 1895 roku: „Ocenia należycie i inteligentnie różnych kompozytorów, gdyż czuje ich muzykę. Jej ulubionym twórcą jest Schumann". Jeżeli widzi różnicę między Schumannem i Beethovenem, to dlatego, że o nich czytała, a jeżeli czytała, to pamięta i może objaśnić każdego, kto ją pyta.

Usiłowania panny Keller, żeby znaleźć wspólny język ze znajomymi intelektualistami, sprawiają, że jest zawsze poinformowana o bieżących sprawach. Gdy zaczęła się uczyć systematycznie i pogrążyła w książkach, Anna Sullivan mogła z łatwością pozostawić ją samą, gdyby dziewczynka miała skłonność do zamykania się w sobie. Ale każdy, kto ją poznał, dzielił się z nią swymi myślami i ona je przejmowała. Jeżeli w trakcie rozmowy siedzący najbliżej przyjaciel przestawał na chwilę pisać jej do ręki, padało nieuniknione pytanie: „O czym rozmawiacie?" W ten sposób Helena dowiaduje się o stosunkach między ludźmi, dzięki czemu jest zawsze o wszystkim poinformowana dziwnie dokładnie i wyczerpująco. Umie doskonale gawędzić o zwykłych codziennych sprawach.

Dużo wiadomości zdobywa wprost, bezpośrednio. Często zatrzymuje się nagle podczas spaceru, skuszona wonią krzewu. Wyciąga rękę, dotyka liści i otaczający świat staje się jej własnością podobnie jak naszą. Może się nim cieszyć, bo trzyma w palcach liście, wącha kwiaty, a po spacerze wszystko pamięta.

Gdy zwiedza nowe miejsca, wyjątkowo interesujące, jak na przykład wodospad Niagary, ktokolwiek jej towarzyszy, zazwyczaj oczywiście jej nauczycielka, ma moc roboty, bo musi jej opowiadać o wszystkim, co widzi. Anna Sullivan, która zna umysłowość wychowanki, wybiera z mijanego krajobrazu zasadnicze elementy nadające imaginacyjnemu obrazowi zewnętrznego świata, jaki powstaje w wyobraźni Heleny, pewną wyrazistość, podczas gdy nam wydaje się on zamazany i przeładowany szczegółami. Jeżeli wyjaśnienia są ubogie w szczegóły, Helena Keller zadaje pytania, dopóki nie uzupełni sobie widoku.

Nie widzi, ale wzrok, dany nam przez naturę, zastępuje jej jakiś dar wrodzony. Kiedy wraca z przechadzki i komuś o niej opowiada, opisy jej są żywe i dokładne. Doświadczenie porównawcze, zaczerpnięte z książkowych opisów i opowiadań nauczycielki, nauczyło ją unikać błędów terminologicznych w odniesieniu do dźwięku i barwy. Prawda, że obraz świata w jej ujęciu jest ogromnie barwny i przesadnie poetycki. Świat, tak jak ona go widzi, przedstawia się niewątpliwie odrobinę lepiej, niż jest w rzeczywistości. Ale jej wiedza o nim nie jest tak niepełna, jak by się mogło zdawać. Zdarza się, że zaskoczy nas nieświadomością jakiegoś faktu, którego jej przypadkiem nie powiedziano. Na przykład do pierwszego zanurzenia w morzu nie wiedziała, że jest ono słone. Wiele luźnych wydarzeń i faktów naszego codziennego życia uchodzi jej spostrzegawczości, ale zna świat na tyle dokładnie, że jej wyobrażenie o nim zasadniczo nie jest fałszywe.

Większość tego, co zna, dociera do niej poprzez zmysł dotyku. A jednak ten zmysł nie jest tak subtelnie rozwinięty jak u innych niewidomych. Laura Bridgman potrafiła rozróżniać najcieńsze nici i robiła piękne koronki. Helena Keller w swoim czasie robiła na drutach i szydełkiem, ale miała do roboty coś lepszego. Przy swoich różnorodnych zdolnościach i osiągnięciach nie mogła ćwiczyć zmysłu dotyku, tak że nie rozwinęła go poza normalną ostrość. Jeden z przyjaciół przeprowadzał z nią próby z monetami. Wolniej, niż przewidywał, rozróżniała je według wagi i wielkości. Ale na usprawiedliwienie trzeba zaznaczyć, że Helena rzadko ma do czynienia z pieniędzmi. Nawia-

sem mówiąc, ta brudna i jakże nieciekawa strona życia — jedna z wielu — została jej oszczędzona.

Rozpoznaje wygląd posążków wysokości sześciu cali. Płaskorzeźba mniej niż półcalowej głębokości nic jej nie mówi. Duże posągi, których linie może wyczuć ręką, ocenia podług ich estetycznej wartości. Sama zaznacza, że może je poznać lepiej niż my, gdyż potrafi zorientować się w ich istotnych wymiarach i ocenić bardziej bezpośrednio masywność wyrzeźbionej postaci. Stojąc na drabinie w Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie, dotykała posągi obiema rękami. Badając płaskorzeźbę z tańczącymi dziewczętami, zapytała:

— A gdzież są śpiewacy?

Gdy ich znalazła, stwierdziła:

— Jeden milczy.

Wargi śpiewaka były zamknięte.

Ale najlepiej można ocenić subtelność jej zmysłów i sprawność jej rąk w życiu codziennym. Wyczucie kierunku zdaje się posiadać w bardzo słabym stopniu. Chodzi, wiedziona instynktem, dosyć niepewnie po dobrze sobie znanych pokojach. Większość niewidomych orientuje się przy pomocy słuchu, tak że trudno tutaj o jakiekolwiek porównanie. Można ją tylko porównać z osobami głuchociemnymi. Nie posiada nadzwyczajnej zręczności. Nie uprawia ani sztuki, ani rzemiosła, do którego są potrzebne ręce. Gdy miała dwanaście lat, jej przyjaciel, pan Albert H. Munsell, artysta, zasadził ją, dla eksperymentu, do woskowej tabliczki i rylca. Mówi, że szło jej wcale dobrze. Udawało jej się wykonywać podług modeli konwencjonalne rysunki konturów liści i rozet. Jedyne jej zajęcie wymagające sprawnych rąk — to pisanie na maszynie. Jakkolwiek posługuje się nią od czasu, gdy skończyła jedenaście lat, to raczej jest staranna niż biegła. Pisze dość szybko i pewnie. Skrypty jej, gdy je wręcza do przeczytania pannie Sullivan, rzadko zawierają błędy literowe. Jej maszyna nie posiada trzymacza. Utrzymuje klawisze w żądanej pozycji, naciskając małym palcem odstępnik.

Jej umiejętność czytania ręcznego alfabetu za pomocą zmysłu dotyku wprawia ludzi w zdumienie. Nawet ci, którzy ją bliżej znają, rozpisywali się w czasopismach o „tajemniczej tele-

graficznej komunikacji" Anny Sullivan z wychowanką. Alfabet ręczny jest używany przez wykształcone głuche osoby.

We wszystkich większych słownikach można znaleźć litery ręcznego alfabetu. Głucha, lecz widząca osoba spogląda na palce drugiej osoby, ale może ich również dotykać. Helena Keller kładzie lekko palce na ręce osoby, która do niej mówi, i chwyta słowa tak szybko, jak są literowane. Wyjaśnia też, że nie zdaje sobie sprawy z poszczególnych liter ani oddzielnych słów. Anna Sullivan i inne osoby, które mają stale do czynienia z głuchymi, potrafią literować bardzo szybko — na tyle szybko, żeby przekazać powolny wykład, ale nie dość szybko, aby nadążać za szybkim mówcą.

Każdy może się nauczyć ręcznych liter w ciągu paru minut, posługiwać się nimi powoli w ciągu dnia, a po trzydziestu dniach ciągłej praktyki rozmawiać z Heleną Keller czy inną głuchą osobą, nie zdając sobie sprawy z poruszeń palców. Gdyby więcej ludzi znało tę sztukę, a przyjaciele i krewni głuchych dzieci natychmiast ją sobie przyswajali, wszyscy głusi byliby szczęśliwsi i lepiej wykształceni.

Helena czyta wypukły druk i różne rodzaje Braille'a. Zwykła wypukła książka ma łacińskie litery zarówno duże, jak i małe. Litery mają kształty prostokątne, kanciaste. Małe litery mierzą trzy szesnaste cala i wystają na grubość paznokcia wielkiego palca. Książki są duże, mniej więcej wielkości encyklopedii. „Zarys historii narodu angielskiego" Greena obejmuje sześć dużych tomów. Książki nie są ciężkie, gdyż karty z wypukłym drukiem nie przylegają ściśle do siebie. Przyjaciele Heleny najbardziej sobie uświadamiają, że jest ona niewidoma, wtedy gdy zastają ją niespodziewanie w ciemnościach i słyszą szmer jej palców na stronicy.

Najdogodniejszy druk dla niewidomych to Braille. Istnieje kilka rodzajów Braille'a — faktycznie za dużo. Angielski, amerykański, punkt nowojorski. Helena Keller zna wszystkie. Większość wykształconych niewidomych zna również po kilka odmian, ale byłoby mniej trudności, gdyby, jak radzi Helena, przyjęto powszechnie angielskiego Braille'a. Facsimile na stronie 6 pokazuje, jak wyglądają wypukłe punkty. Każdy znak (litera lub specjalny braille'owski skrót) jest kombinacją polegającą

na zmianie miejsc i ilości punktów w sześciu możliwych pozycjach. Panna Keller posiada braille'owską maszynę do pisania, na której robi notatki i pisze listy do niewidomych przyjaciół. Maszyna ma sześć klawiszy i przez naciśnięcie różnych kombinacji za jednym uderzeniem (tak jak uderza się akord na fortepianie) piszący wykonuje jedną literę naraz w arkuszu grubego papieru i może pisać dwa razy wolniej niż zwykła maszynistka. Braille nadaje się zwłaszcza do sporządzania pojedynczych kopii książek.

Książek dla niewidomych jest bardzo niewiele. Druk ich jest ogromnie kosztowny, a popyt tak znikomy, że są dla wydawców nieopłacalne. Ale istnieje kilka instytucji pokrywających ze specjalnych funduszów produkcję książek wypukłym drukiem. Helena jest w o tyle szczęśliwszym położeniu niż większość niewidomych, że ma życzliwych przyjaciół, którzy specjalnie dla niej zamawiają książki. Prócz tego zaprzyjaźnieni z nią panowie, jak np. E. E. Allen z Pensylwańskiego Instytutu Nauczania Niewidomych, starają się o wydawanie potrzebnych jej książek (co czynił on już wielokrotnie).

Zazwyczaj panna Keller nie czyta bardzo szybko, ale czyta z rozwagą. Właściwie nie tylko dlatego, że wyczuwa słowa powolniej, niż my je widzimy, lecz dlatego, że ma zwyczaj czynić wszystko gruntownie i dobrze. Gdy jakiś ustęp zainteresuje ją lub chce go zapamiętać na przyszłość, powtarza go szybko na palcach prawej ręki. Czasami ta gra palców jest nieświadoma. Helena mówi do siebie alfabetem ręcznym. Gdy przechadza się po hallu lub werandzie, ręce jej uderzają po bokach niby ptasie skrzydła.

Mówiono mi, że istnieje pamięć dotykowa, tak samo jak wzrokowa i słuchowa. Anna Sullivan utrzymuje, że i ona, i panna Keller „pamiętają w palcach" to, co powiedziały. U Heleny zdanie, wypowiedziane ręcznym alfabetem, wbija się w pamięć tak samo jak nam słowa, któreśmy słyszeli wiele razy i możemy przywołać pamięcią ich brzmienie.

Jak każda głuchociemna osoba, Helena w niezwykłym stopniu polega na zmyśle powonienia. Będąc małą dziewczynką wąchała wszystko i orientowała się według charakterystycznych zapachów, gdzie jest, koło czyjego domu przechodzi. W miarę

upływu lat mniej już polegała na powonieniu. Jak dalece dziś rozpoznaje przedmioty po zapachu — trudno rozstrzygnąć. Zmysł powonienia nabrał złej reputacji, i głucha osoba niechętnie o nim mówi. Jednakże czuły zmysł powonienia u Heleny Keller może po części tłumaczyć, jakim sposobem poznaje ludzi i rozróżnia przedmioty, co przypisywano zazwyczaj jakiemuś szczególnemu zmysłowi lub niezwykle rozwiniętej zdolności, którą jakoby wszyscy posiadamy — wyczuwania czyjejś niewidzialnej obecności.

Kwestia szczególnego „siódmego zmysłu", jaki przypisuje się Helenie, jest sprawą dość delikatną. Niewątpliwie nie może ona posiadać żadnego zmysłu, który nie byłby również właściwością innych ludzi. Istnienia jakiegoś szczególnego zmysłu ani ona sama, ani ci, co ją znają, nie wyczuwają.

Osoba panny Keller nie może służyć na poparcie okultystycznych teorii, i każdorazowa próba wyjaśnienia jej osobowości na tego rodzaju podstawie jest bezcelowa. Nie jest ona wcale bardziej tajemnicza i skomplikowana niż inni ludzie. To, czym jest, to, czego dokonała, da się wytłumaczyć w prosty sposób, z wyjątkiem takich rzeczy, których nigdy nie można wyjaśnić u żadnego człowieka. Wniosek stąd, że jej osobowość nie dowodzi ani istnienia ducha poza materią, ani pojęć wrodzonych, ani nieśmiertelności, ani niczego innego, na co nie byłaby dowodem inna ludzka istota. Filozofowie próbowali wykryć, jakie były jej wyobrażenia o pojęciach oderwanych, zanim przyswoiła sobie język. Jeżeli je sobie jakoś wyobrażała, to dziś już tego nie można stwierdzić, bo nie może ona pamiętać i oczywiście nie robiono wtedy żadnych zapisków. Zanim usłyszała słowo: Bóg, nie miała pojęcia o Bogu, jak to wynika z jej komentarzy.

Posiada znakomite wyczucie czasu, ale nie da się powiedzieć, czy rozwinęłoby się ono w szczególną zdolność, bo od ukończenia siedmiu lat miała swój zegarek.

Otrzymała w prezencie dwa zegarki — pewno jedyne w swoim rodzaju w całej Ameryce... Na tylnej kopercie mieści się płaski złoty wskaźnik, który można posuwać swobodnie naokoło z lewej strony do prawej, póki za pomocą szpilki wewnątrz koperty nie zatrzyma się na godzinowej wskazówce i nie zajmie odpowiedniej pozycji. Szpic owego złotego wskaźnika zagi-

na się nad skrajem koperty, wzdłuż którego wystaje jedenaście sztyfcików, gałka do nakręcania stanowi dwunasty. W ten sposób zwykły zegarek z białą tarczą dla osoby widzącej, dzięki temu specjalnemu urządzeniu, staje się zegarkiem z jedną wypukłą wskazówką godzinową i wypukłymi cyframi. Chociaż odległość między sztyfcikami wynosi niespełna pół cala, co oznacza pięć minut — nie myli się ona prawie w oznaczaniu czasu. Trzeba dodać, że każdy zegarek z podwójną kopertą, gdy usuniemy szkiełko, może służyć niewidomej osobie, jeżeli ma ona dostatecznie subtelny dotyk, aby wyczuć położenie wskazówek.

Subtelne cechy charakteru Heleny Keller są tak dobrze znane, że nie trzeba wiele o nich mówić. Zdrowy rozsądek, humor i żywa wyobraźnia sprawiają, że ma solidne, jasne poglądy. Z otoczenia jej nikt nie próbuje ani podtrzymywać, ani też burzyć jej złudzeń. Gdy była dziewczynką, dzięki mądrej czujności nauczycielki, nie powtarzano jej wielu niemądrych, nietaktownych odezwań pod jej adresem. Teraz, kiedy już jest dorosła, nikomu przez myśl nie przejdzie traktować ją inaczej niż jak każdą inteligentną młodą kobietę. To, co napisał o niej w „Harper's Magazine" w roku 1896 jej dobry przyjaciel Charles Dudley Warner, było wtedy prawdą i jest nią nadal. „Sądzę, że nie ma człowieka o równie nieskażonym czystym umyśle jak ona. Świat jest dla niej tym, czym własny umysł. Nie nauczyła się nawet... świętego oburzenia, którym chełpi się tylu ludzi".

Kiedyś, gdy policjant zastrzelił jej psa, ukochanego codziennego towarzysza, nie znalazła w swym przebaczającym sercu ani słowa potępienia dla niego. Powiedziała tylko: „Gdyby był wiedział, jakie to było poczciwe psisko, na pewno by go nie zastrzelił". Powiedziano dawnymi czasy: „Przebacz, przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią".

Oczywiście nasuwa się pytanie, czy Helena pozostałaby taką, jaką jest dzisiaj, gdyby jej nie chroniono przed świadomością złego... Umysłu jej nie wypaczyła licha głupia literatura ani nie znieprawiła nikczemność. Toteż umysł jej jest nie tylko aktywny, ale i czysty. Kocha się w rzeczach szlachetnych, w szlachetnych myślach i w szlachetnych charakterach.

Nadal żywi dziecinną odrazę do tragedii. Odznacza się tak żywą wyobraźnią, że daje się całkowicie porywać złudzie opowieści i żyć w jej kręgu. Anna Sullivan pisze w liście w 1891 roku:

„Wczoraj przeczytałam jej «Makbeta» w interpretacji Charlesa i Mary Lamb. Była ogromnie podniecona i mówiła: «To straszne! Cała drżę! — Po krótkim namyśle dodała: — Przypuszczam, że Szekspir napisał tak strasznie, żeby ludzie widzieli, jak to jest okropnie czynić źle»".

Co do rzeczywistego świata, to zna go lepiej z dobrej strony niż ze złej. Niewielu jest chyba takich ludzi. Nauczycielka nie zadręcza jej drobnymi nieszczęściami, ale z poważnych trudności życiowych, przez które przechodziły, niczego przed nią nie ukrywała. Helena także przeżywała cierpienia i zastanawiała się nad problemami życiowymi. Jest logiczna i tolerancyjna i ma wielkie zaufanie do świata, który obchodzi się z nią łaskawie.

Raz, gdy ją ktoś zapytał, co to jest „miłość", odpowiedziała: „Na Boga! Przecież to łatwe. Miłość to jest to, co każdy czuje dla innych".

„Tolerancja — powiedziała raz na wizycie u swej przyjaciółki, pani Laurence Hutton — jest największym darem umysłu, a wymaga takiego samego wysiłku mózgu, co utrzymanie równowagi na rowerze".

Jest szlachetna, głęboko uczuciowa i posiada kryształowy charakter. Jeżeli różni się czymś wyraźnie od innych ludzi, to mniejszą zależnością od konwenansów. Posługuje się odważnie metaforami i pozwala im się wznosić ku niebu, podczas gdy my, biedni nienaturalni ludzie, uważalibyśmy, że w zwykłej rozmowie są one zbyt książkowe. Zawsze mówi dokładnie to, co myśli, nie bojąc się nagiej prawdy. A jednak nikt nie jest taktowniejszy i zręczniejszy niż ona w sztuce ujmowania niemiłej prawdy w ten sposób, żeby jak najbardziej oszczędzić uczucia innych. Względy, jakimi ją otaczano od dzieciństwa, nie wpoiły w nią przeświadczenia o własnej ważności. Zdarza się, że zaczyna wygłaszać bardzo uroczyste kazanie. Wtedy nauczycielka mówi jej, że jest niepoprawną moralistką, i Helena śmieje się z siebie. Często jednak jej poglądy nie dadzą się wyśmiać, gdyż powaga jej porywa słuchaczy. W tym, co mówi, nigdy nie

brzmi fałszywa nutka sentencjonalizmu. Bierze wszystko tak poważnie, że nawet jej cytaty, odzwierciedlające przeczytane książki, są w gruncie rzeczy oryginalne.

Jej logika i współczujące serce równoważą się znakomicie. Interesuje się ruchami politycznymi i narodowymi. Sympatyzowała głęboko z Burami i napisała interesujący wywód w obronie ich niepodległości. Gdy jej oznajmiono, że skapitulowali, sposępniała i przez kilka minut milczała. Potem wypytała się dokładnie o warunki kapitulacji i zaczęła je omawiać.

Zarówno pana Gilmana, jak pana Keitha, nauczycieli, którzy przygotowywali ją do college'u, uderzało jej twórcze rozumowanie. W czystej matematyce była świetna, jakkolwiek nigdy za nią nie przepadała. Poza utworami fantastycznymi i imaginacyjnymi, najlepiej udawały jej się ćwiczenia na tematy egzaminacyjne i techniczne oraz listy, w których czuła się zmuszona wyjaśniać nieporozumienia, a które są wzorem ścisłego myślenia.

Jest optymistką i idealistką.

„Mam nadzieję — pisze w jednym z listów — że L. nie jest zbyt rzeczowa, bo jeżeli jest, to obawiam się, iż ominie ją wiele przyjemności".

W dzienniku, który prowadziła w Szkole Wrighta-Humasona w Nowym Jorku, napisała 18 października 1894 roku: „Stwierdzam, że muszę się nauczyć czterech rzeczy w okresie szkolnym i w ogóle w życiu: myśleć jasno bez pośpiechu i chaosu, wszystkich szczerze kochać, działać zawsze z najwyższych pobudek i ufać kochanemu Bogu bez zastrzeżeń".

NAUKA

Już sześćdziesiąt pięć lat temu doktor Samuel Gridley Howe stwierdził, że dzięki palcom Laury Bridgman znalazł dostęp do jej inteligencji. Nazwiska Laury Bridgman i Heleny Keller zostaną na zawsze związane, a zanim przystąpimy do omówienia pracy Anny Sullivan, trzeba wpierw — i to koniecznie — zrozumieć, co dr Howe uczynił dla swej wychowanki. Gdyż Howe jest tym wielkim pionierem, od którego bezpośrednio zależała praca Anny Sullivan i innych nauczycieli głuchociemnych.

Doktor Samuel Gridley Howe urodził się w Bostonie 10 listopada 1801 roku, a zmarł tamże 9 stycznia 1876 roku. Był znanym filantropem. Interesował się szczególnie kształceniem upośledzonych: niedorozwiniętych umysłowo, niewidomych i głuchych. Wyprzedzając daleko swe czasy, popierał wiele ustaw publicznych mających na celu pomoc biednym i chorym. Wyśmiewano go wtedy. Jako kierownik Instytutu Perkinsa w Bostonie usłyszał o Laurze Bridgman i kazał ją sprowadzić do Instytutu 4 października 1837 roku.

Laura Bridgman urodziła się w Hanowerze w New Hampshire 21 grudnia 1829 roku, a więc gdy dr Howe zaczął swój eksperyment, miała już prawie osiem lat. Mając dwa lata i dwa miesiące wskutek przebytej szkarlatyny straciła wzrok i słuch. Straciła również zmysły powonienia i smaku. Doktor Howe był naukowcem. Był przepojony duchem nowoangielskiego transcedentalizmu z jego głęboką wiarą i wielkim miłosierdziem. Nauka w połączeniu z wiarą sprawiły, że postanowił uczynić próbę utorowania drogi do duszy Laury, gdyż wierzył, że każdy, a więc i ona, urodził się z duszą. Postanowił uczyć ją przy pomocy wypukłych czcionek. Naklejał na różne przedmioty etykietki

z wypukłymi napisami i kazał jej dobierać etykietki do przedmiotów, a przedmioty do etykietek. Kiedy w ten sposób nauczyła się kojarzyć wypukłe słowa z rzeczami, zaczął rozkładać słowa ne elementy literowe i uczyć ją składać litery: k-l-u-c-z, c-z-a-p-k-a. Powodzenie przekonało go, że można przekazać język za pośrednictwem czcionek umysłowi głuchociemnego dziecka, które przed rozpoczęciem nauki jest podobne do niemowlęcia nie umiejącego jeszcze gaworzyć.

Po dwóch miesiącach nauki Laury wyłącznie przy pomocy wypukłych czcionek, dr Howe skierował do głuchociemnej osoby jedną ze swoich nauczycielek na naukę ręcznego alfabetu. Nauczycielka przekazała tę sztukę Laurze i od tego czasu porozumiewano się z dziewczynką tymże alfabetem.

Po roku czy dwóch dr Howe przestał uczyć Laurę i powierzył ją innym nauczycielom, którzy pod jego kierunkiem prowadzili zaczęte przez niego dzieło.

Słów brakuje na pochwałę dzieła doktora Howe'a. Sam będąc naukowcem nie zaniedbywał niczego w swoich badaniach. Nigdy nie zapomniał notować postępów Laury Bridgman, tak jak się to czyni w laboratorium. W rezultacie powstało archiwum opracowane starannie i systematycznie. Z naukowego punktu widzenia należy żałować, iż było niemożliwe prowadzenie całkowitego opisu rozwoju Heleny Keller. Spowodowane to było różnicą między Laurą Bridgman i Heleną Keller. Laura pozostała na zawsze przedmiotem ciekawych studiów, podczas gdy Helena tak szybko stała się odrębną osobowością, że nauczycielka, by nadążyć za potrzebami wychowanki, po prostu traciła głowę i niestety! nie miała sił ani czasu na obserwacje naukowe.

Anna Sullivan wiedziała od początku, że Helena będzie bardziej interesująca niż Laura Bridgman i że więcej da się z nią osiągnąć. W jednym ze swoich listów zaznacza, że należałoby robić zapiski. Ale nie miała rutyny, aby uczynić z wychowanki obiekt doświadczalny czy obserwacyjny; robiła pewne spostrzeżenia konieczne dla celów pedagogicznych. Skoro coś się dokonało i określony cel został osiągnięty, nauczycielka nie zawsze wracała myślą w przeszłość, by opisywać przebytą drogę. Wyjaśnienie faktu było nieważne w porównaniu z samym fak-

tem i koniecznością dalszej pracy. Są jeszcze dwa powody, dla których notatki panny Sullivan są niekompletne. Pisząc musiała wysilać wzrok, a poza tym zniechęciła się wcześnie do ogłaszania danych, gdyż robiono z nich niewłaściwy użytek.

Kiedy po raz pierwszy napisała z Tuscumbii do pana Michała Anagnosa, zięcia doktora Howe'a i jego następcy na stanowisku dyrektora Instytutu Perkinsa, o swojej pracy nad dziewczynką, gazety bostońskie zaczęły natychmiast podawać przesadne relacje o Helenie Keller. Anna Sullivan zaprotestowała. W liście z 10 kwietnia 1887 roku, zaledwie w pięć miesięcy po przyjeździe do Tuscumbii, pisała do przyjaciółki;

„... przysłał mi «Boston Herald» z głupim artykułem o Helenie. Cóż to za absurd twierdzić, że Helena już «biegle mówi!» Równie dobrze można by powiedzieć, że dwuletnie dziecko biegle rozmawia, bo potrafi wyszczebiotać: «Jabłko daj» albo «Dzidzi iść śpacielek». Pewno, gdyby włączyć w ten repertuar jego wrzaski, gruchanie, gaworzenie, szlochanie, chrząkanie i piski z wierzganiem, można by je uznać za rozmowne — nawet wymowne. Śmiać mi się też chce, gdy czytam o specjalnych przygotowaniach, które przeszłam, aby podołać wielkiemu zadaniu, jakie poruczyli mi przyjaciele. Szkoda, że przygotowania nie obejmowały nauki czytania. Oszczędziłoby mi to wielu kłopotów".

4 marca 1888 roku pisała znów w liście:

„Doprawdy serdecznie się cieszę, że nie wiem wszystkiego, co wygadują i wypisują o Helenie i o mnie. Zapewniam Cię, że wiem i tak za dużo. Prawie każda poczta przynosi mi jakieś absurdalne oświadczenie w prasie lub niedorzeczną korespondencję. Prawda nie jest dla gazet dostatecznie sensacyjna. Więc rozpisują się szeroko i wynajdują śmieszne upiększenia. Jedno z pism przedstawia Helenę demonstrującą zadania geometryczne przy pomocy klocków. Tylko patrzeć, jak doniosą, że napisała traktat o pochodzeniu i przyszłości planet".

W grudniu 1887 roku ukazało się pierwsze sprawozdanie dyrektora Instytutu Perkinsa o Helenie Keller. Do tego sprawozdania na prośbę pana Anagnosa Anna Sullivan przygotowała, jakkolwiek niechętnie, referat o swojej pracy. Ów referat oraz wyjątki jej listów zamieszczone w sprawozdaniu są pierwszym

miarodajnym źródłem informacyjnym o Helenie Keller. O tym sprawozdaniu Anna Sullivan pisze w liście z 30 października 1887 roku:

„Czy czytałeś referat, który napisałam? Pan Anagnos był zachwycony. Mówi, że postępy Heleny były od początku marszem triumfalnym, i dodaje wiele pochlebnych uwag pod adresem nauczycielki. Ma, zdaje się, skłonność do przesady. W każdym razie styl jego jest zbyt płomienny, a proste fakty podane w taki sposób, że kręci się człowiekowi w głowie. Niewątpliwie praca dokonana w ciągu tych kilku miesięcy wydaje mu się marszem triumfalnym, chociaż ludzie rzadko dostrzegają niepewne i uciążliwe kroki prowadzące do najbłahszych sukcesów".

Ponieważ pan Anagnos był kierownikiem wielkiej instytucji, jego wypowiedzi wywołały większe wrażenie niż fakty przytoczone w referacie Anny Sullivan, na którym oparł swe twierdzenia. Prasa podchwyciła ton pana Anagnosa i wyolbrzymiła całą historię. Po roku pobytu Anny Sullivan i wychowanki w Tuscumbii snuto na ich temat niesłychane domysły. Wówczas wypowiedzieli się wychowawcy na całym świecie i tylko pogorszyli sprawę. Rozpętała się wielka polemika, której lektura dziś nas bawi. Nauczyciele głuchych dowodzili *a priori*, że Anna Sullivan nie mogła dokazać tego, czego dokazała, i jej wypowiedzi spotkały się z obraźliwym niedowierzaniem, gdyż towarzyszyło im mętne krasomówstwo pana Anagnosa. Tak więc historia Heleny Keller, niewiarogodna nawet w umiarkowanym ujęciu, stała się na nieszczęście żerem przesadnych entuzjastów i oczywiście skutek był taki, że opinia reagowała albo ignorancką łatwowiernością, albo wrogim niedowierzaniem.

W listopadzie 1888 roku Instytut Perkinsa ogłosił nowe sprawozdanie zawierające drugi referat Anny Sullivan, a później już, do listopada 1891 roku, nie opublikowano żadnej oficjalnej relacji. W tym roku pan Anagnos ogłosił ostatnie sprawozdanie, w którym jest mowa o Helenie Keller. Do niego to Anna Sullivan napisała najpełniejszy i najobszerniejszy referat z okresu swej działalności. Tam też ukazał się „Król Mróz", omówiony wyczerpująco w dalszej części tej książki. Wtedy polemika rozszalała się na dobre.

Widząc, że ludzie zdają się wiedzieć dużo więcej o Helenie

Keller niż ona sama, Anna Sullivan zachowała milczenie. Milczała przez dziesięć lat, jeżeli nie liczyć referatu, zamieszczonego w pierwszej Księdze Pamiątkowej Biura Volty o Helenie Keller oraz drugiego referatu, który na prośbę doktora Bella sporządziła w 1894 roku na zjazd Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauczania Mowy Głuchych w Chatauqua. Kiedy dr Bell i inni powiedzieli jej, co jest niewątpliwie słuszne z ogólnego punktu widzenia, że dla sprawy nauki winna pisać to, co wie, odpowiedziała bardzo rzeczowo, że jej czas i siły należą do wychowanki.

Jakkolwiek pannę Sullivan bawią raczej, niż martwią błędne informacje w ogłaszanych artykułach o niej i o Helenie Keller, niektóre nawet pióra jej przyjaciół, to przecież widzi, że książka jej wychowanki powinna zawierać wszelkie fakty, jakich nauczycielka może obecnie dostarczyć. Zgodziła się więc na podanie do druku wyjątków ze swych listów pisanych w pierwszym roku pracy nad wychowanką. Były one adresowane do pani Zofii C. Hopkins, jedynej osoby, do której Anna Sullivan pisywała otwarcie. Pani Hopkins była przez dwadzieścia lat przełożoną w Instytucie Perkinsa i w czasie, gdy Anna Sullivan mieszkała tam jako wychowanka, opiekowała się nią jak matka. W listach tych mamy bez mała cotygodniowe notatki Anny Sullivan. Z czasem pomijała niektóre szczegóły, coraz bardziej wpadając w uogólnienie. Wiele osób sądziło, że chcąc wykryć zasady jej metody należałoby po prostu późniejszą teorię dopasować do jej pracy. Ale pewne jest, że w listach tych analizowała przejrzyście swe poczynania. Była swym własnym krytykiem i wbrew późniejszemu oświadczeniu, nacechowanemu skromnością, że nie stosowała żadnej określonej metody, najoczywiściej uczyła się sama na własnym materiale i wypowiadała wówczas zasady pedagogiczne o nieporównanej doniosłości nie tylko w nauczaniu głuchych, ale dzieci w ogóle. Wyjątki z jej listów i referatów składają się na cenny przyczynek do pedagogiki i aż nadto usprawiedliwiają opinię dra Daniela C. Gilmana, który jako rektor uniwersytetu Johnsa Hopkinsa pisał w roku 1893:

„Właśnie przeczytałem... niezmiernie interesujący referat Pani o rozmaitych krokach przedsięwziętych przez Panią w związ-

ku z edukacją nadzwyczajnej Pani wychowanki. Pozwalam sobie wyrazić mój podziw dla rozumnych metod, stosowanych przez Panią, i dla przywiązania, które natchnęło Panią do tych trudów".

Anna Mansfield Sullivan urodziła się w Springfield, w Massachussets. Jako dziecko straciła prawie całkowicie wzrok, a w wieku lat czternastu umieszczono ją 7 października 1880 roku w Instytucie Perkinsa. Później częściowo wzrok odzyskała.

Pan Anagnos mówi o niej w sprawozdaniu z 1887 roku: „Musiała zaczynać naukę od samego początku, ale od razu było widoczne, że nie brak jej siły woli i zdolności zapewniających powodzenie... W końcu osiągnęła cel, do którego tak dzielnie dążyła. Zachęta i przykład dra Howe'a przeniknęły w głąb jej myśli i serca i pomogły stać się użyteczną. Teraz stoi u jego boku jako godna następczyni w jednej z prac, które najbardziej ukochał. Panna Sullivan jest niezwykle uzdolniona".

W roku 1886 ukończyła Instytut Perkinsa. Gdy kapitan Keller zwrócił się do dyrektora z prośbą o nauczycielkę dla córki, pan Anagnos polecił Annę Sullivan. Na przygotowanie się do pracy nad dziewczynką zostało jej niewiele czasu, bo od sierpnia 1886 roku, kiedy przyszedł list kapitana Kellera, do lutego 1887 roku. Przez ten czas rozczytywała się w sprawozdaniach doktora Howe'a. Pomocne też było dla niej to, że w ciągu sześcioletniego pobytu w szkole przestawała z Laurą Bridgman pod jednym dachem. Dr Howe pracą nad Laurą Bridgman ułatwił wiele Annie Sullivan, ale to ona sama wynalazła sposób nauczania głuchociemnych mówienia.

Nie trzeba zapominać, że Anna Sullivan musiała walczyć z trudnościami, nie mając ani doświadczenia, ani pomocy doświadczonych nauczycieli. Pierwszy rok, kiedy uczyła Helenę Keller, spędziły obie w Tuscumbii, a gdy pojechały na Północ do Instytutu Perkinsa, Helena została tam przyjęta nie jako stała uczennica i nie podlegała więc dyscyplinie zakładowej. Wrażenie, jakoby panna Sullivan wychowywała Helenę „pod kierunkiem pana Anagnosa", jest błędne. Przez te trzy lata, w ciągu których w różnych okresach czasu obie były gośćmi

w Instytucie Perkinsa, tamtejsze nauczycielki i nauczyciele nie pomagali Annie Sullivan, a pan Anagnos nie miał nawet wprawy w posługiwaniu się ręcznym alfabetem. Pan Anagnos pisał w sprawozdaniu Instytutu Perkinsa z 27 listopada 1888 roku: „Na moją usilną prośbę Helena w towarzystwie matki i nauczycielki przybyła na Północ w ostatnim tygodniu maja. Spędziły u nas kilka miesięcy jako nasi goście... Pozwoliliśmy jej korzystać z naszej biblioteki braille'owskiej, kolekcji wypchanych zwierząt, muszel morskich, modeli kwiatów i roślin oraz reszty naszej aparatury do nauczania niewidomych za pomocą zmysłu dotyku. Nie wątpię, że sprawiło jej to wszystko dużo przyjemności i że odniosła niemałą korzyść. Lecz czy Helena bawi w domu, czy odwiedza przyjaciół, nauczycielka ma zawsze bezpośrednią i wyłączną kontrolę nad jej nauką. Nikt nie wgląda w plany Anny Sullivan i nie dzieli z nią pracy. Pozostawiono jej całkowitą swobodę w wyborze środków i metod realizacji wielkiego dzieła. I, jak możemy sądzić po wynikach, uczyniła z tego przywileju użytek niezmiernie krytyczny i rozważny. Wiadome jest szerokim kołom, co mała wychowanka dotychczas osiągnęła. Jej nadzwyczajne postępy budzą powszechny zachwyt. Ale tylko ci, którzy znają szczegóły, wiedzą, że w ogromnej mierze te postępy zawdzięcza ona inteligencji, mądrości, przenikliwości, niezmordowanej wytrwałości i nieugiętej woli nauczycielki, która wyratowała dziewczynkę z otchłani wieczystej nocy i ciszy i z macierzyńską troskliwością i entuzjastycznym oddaniem czuwała nad nią w różnych fazach jej umysłowego i moralnego rozwoju".

Poniżej podajemy w porządku chronologicznym listy panny Sullivan i najważniejsze ustępy z jej referatów. Dokonano pewnych skrótów, aby uniknąć powtórzeń. Dla wygody czytelnika, a za zgodą Anny Sullivan, wyjątki zostały powiązane w całość, przy czym konieczne były pewne uzupełnienia. Poza tym Anna Sullivan dokonała drobnych zmian stylistycznych w referatach, a także w listach. Niektóre z pewnych względów pragnęłaby omówić szerzej i skorygować. Będzie to mogła uczynić innym razem. Obecnie mamy tutaj najpełniejszą relację, jaką dotychczas opublikowano. Pierwszy list z 6 marca 1887 roku napisała w trzy dni po przybyciu do Tuscumbii.

Przybyłam do Tuscumbii o 6.30. Pani Keller i pan James Keller już na mnie czekali. Powiedzieli, że przez dwa dni wyjeżdżali po mnie na każdy pociąg. Jazda ze stacji do domu — około mili — była śliczna i kojąca. Ku mojemu zdziwieniu pani Keller okazała się bardzo młodą kobietą, powiedziałabym, niewiele starszą ode mnie. Kapitan Keller spotkał się z nami na podwórzu. Powitał mnie radośnie, serdecznym uściskiem ręki. Moje pierwsze pytanie brzmiało: „Gdzie jest Helenka?" Starałam się ze wszystkich sił panować nad zdenerwowaniem, bo cała drżałam i z trudem szłam. Gdyśmy podchodzili do domu, zobaczyłam dziecko stojące we drzwiach, i kapitan Keller powiedział:

— Oto ona! Wie od wczoraj, że kogoś oczekujemy, a od chwili gdy matka pojechała po panią na stację, po prostu szaleje.

Zaledwie weszłam na schodki, mała rzuciła się ku mnie z takim impetem, że gdyby kapitan Keller nie szedł tuż za mną, byłaby mnie przewróciła. Dotykała mojej twarzy, odzieży i torby podróżnej, którą wyjęła mi z ręki, próbując otworzyć. Torba nie chciała się otworzyć, więc obejrzała starannie, czy nie ma dziurki od kluczyka. Gdy ją znalazła, zwróciła się do mnie, wykonała taki ruch, jakby przekręcała klucz, i pokazała torbę. W tym momencie wdała się w sprawę matka i dała do zrozumienia Helenie znakami, że nie wolno ruszać torby. Dziewczynka zaczerwieniła się. Gdy matka spróbowała odebrać jej torbę, wpadła w gniew. Odwróciłam jej uwagę, podsuwając swój zegarek. Pozwoliłam jej wziąć go do ręki. Ochłonęła natychmiast i weszłyśmy razem na górę. Tutaj otworzyłam torbę. Przeszukała ją skwapliwie, prawdopodobnie w nadziei znalezienia czegoś do jedzenia. Pewno goście przywozili jej karmelki w torbach, więc spodziewała się znaleźć je i w mojej. Dałam jej do poznania, wskazując na kufer w hallu i kiwając głową, że to mój kufer, a następnie zrobiłam mimiczny ruch oznaczający u niej jedzenie i znów skinęłam głową. Zrozumiała błyskawicznie i zbiegła na dół powiedzieć matce dobitnymi gestami, że w kufrze są dla niej karmelki. Powróciła w kilkanaście minut i pomogła mi zdjąć okrycie. Cóż to było za komiczne przedstawienie, gdy włożywszy mój kapelusz, przechylała główkę raz w prawo, raz w lewo, patrząc w lustro tak, jakby mogła widzieć. Spodziewałam się ujrzeć blade delikatne dziecko —

widocznie zasugerowana tym, co pisał doktor Howe o wyglądzie Laury Bridgman, gdy ją przywieziono do Instytutu. W Helenie nie ma nic z bladości czy delikatności. Jest duża, silna i rumiana, a w ruchach niepohamowana jak młode źrebię. Nie ma wcale tych nerwowych przyzwyczajeń, tak uderzających i przygnębiających u niewidomych dzieci. Jest dobrze zbudowana. Pani Keller mówiła mi, że od czasu choroby, która pozbawiła ją wzroku i słuchu, nie chorowała ani dnia. Ma piękną główkę prawidłowo osadzoną na ramionach. Twarz trudno opisać. Jest inteligentna, ale czegoś jej brakuje, mimiki, duszy czy czegoś jeszcze. Usta są duże, pięknie ukształtowane. Dostrzega się na pierwszy rzut oka, że jest niewidoma. Jedno oko jest większe i wyraźnie wytrzeszczone. Uśmiecha się rzadko. Od przyjazdu zauważyłam u niej uśmiech tylko dwa razy. Nie reaguje, a nawet niecierpliwi się, gdy się ją pieści. Pozwala na to tylko matce. Jest bardzo wybuchowa i krnąbrna i z wyjątkiem brata Jamesa nikt nie próbuje jej opanować. Największym problemem, jaki będę musiała rozwiązać — to znalezienie sposobu na zdyscyplinowanie jej i wzięcie w karby, ale tak, żeby nie przeciągać struny. Na początek nie będę się śpieszyła, lecz będę usiłowała zyskać jej miłość. Nie będę próbowała opanować jej siłą. Od początku będę nalegała na rozsądne posłuszeństwo. Co uderza wszystkich — to niezmordowana ruchliwość Heleny. Nie usiedzi na miejscu. Jest tu i tam, wszędzie jej pełno. Wszędzie wsadza ręce, ale nic nie przykuwa jej uwagi na dłuższą chwilę. Kochane dziecko — niespokojny duch błądzi po omacku. Jej niesprawne, nerwowe ręce niszczą, czego się dotkną, bo nie wiedzą, jak się obchodzić z przedmiotami.

Pomogła mi rozpakować kufer, gdy nadszedł, i była rozradowana, gdy znalazła lalkę, dar od dziewczynek. Uznałam to za dobrą okazję do nauczenia jej pierwszego słowa. Wyliterowałam: „lalka" w jej rękę, pokazałam na lalkę i kiwnęłam głową, co, jak się zdaje, oznacza u niej posiadanie. Ilekroć ktoś jej coś ofiaruje, ona wskazuje dar, potem pokazuje siebie i kiwa głową. Okazała zakłopotanie i zdziwienie, dotknęła mojej ręki, a ja powtórzyłam litery. Naśladowała je bardzo dobrze i pokazała lalkę. Wtedy wzięłam lalkę z zamiarem oddania jej, gdy wykona litery. Ale małej wydało się, że chcę ją odebrać.

Wpadła momentalnie w gniew, próbowała chwycić lalkę. Potrząsnęłam głową i usiłowałam uformować litery jej palcami. Ale ona coraz bardziej była rozgniewana. Pchnęłam ją na krzesło i przytrzymałam, aż mi zabrakło sił. Wtedy przyszło mi do głowy, że dalsza walka nie ma sensu. Musiałam zrobić coś, żeby odwrócić jej uwagę. Puściłam ją, ale lalki nie oddałam. Zeszłam na dół po placek. (Helenka przepada za słodyczami.) Pokazałam placek, wpisując w rączkę „placek" (*cake*). Podsunęłam go. Oczywiście złakomiła się na przysmak, chciała mi odebrać. A ja znów wyliterowałam to słowo i poklepałam ją po rączce. Wykonała szybko litery, więc dałam jej placek. Zjadła z wielkim pośpiechem, jak sądzę, w obawie, żebym jej nie odebrała. Wtedy pokazałam jej lalkę i znów wyliterowałam to słowo, podsuwając jej lalkę tak, jak podawałam placek. Wykonała litery „lalk". Dodałam „a" i wręczyłam jej lalkę. Zbiegła z nią na dół i przez cały dzień nie dała się skłonić do powrotu do mego pokoju.

Wczoraj dałam jej kartonik do wyszywania, z pionowymi dziurkowanymi liniami. Przeszyłam pierwszą i przesunęłam jej paluszki po mojej robocie i rzędach dziurek. Zabrała się radośnie do szycia. W kilka minut przeszyła całą kartę, i to bardzo starannie. Pomyślałam, że czas na nowe słówko, i zaraz wypalcowałam „karta" (*card*). Wykonała „k-a", zatrzymała się, pomyślała chwilkę i robiąc znak jedzenia i pokazując w dół, pchnęła mnie ku drzwiom, co znaczyło, że mam iść na dół po placek. Widzi pani, dwie pierwsze litery przypomniały jej o piątkowej „lekcji", nie żeby pojmowała, że placek jest nazwą, ale, jak przypuszczam, była to po prostu kwestia skojarzenia. Skończyłam słówko w ten sposób, że wyszło „placek", i usłuchałam rozkazu. Jakaż była uradowana! Wtedy wypalcowałam „lalka" i zaczęłam szukać lalki. Ona śledzi ruchy człowieka rękami. Wiedziała, że szukam lalki. Pokazała w dół na znak, że lalka jest na dole. Wykonałam znaki, jakich ona użyła, gdy wyprawiała mnie po placek, i popychałam ją ku drzwiom. Zrobiła krok, zawahała się chwilę, widocznie w niepewności, jak postąpić. Zdecydowała się mnie wyprawić. Potrząsnęłam głową, wyliterowałam energicznie „lalka" i otworzyłam przed nią drzwi. Ale uparła się i nie chciała posłuchać. Ponieważ jeszcze placka nie dojadła, odebrałam go, dając do zrozumienia gestami,

że jeżeli przyniesie lalkę, to oddam placek. Stała bez ruchu dłuższą chwilę z zaczerwienioną twarzą. Ale łakomstwo wzięło górę. Zbiegła na dół i przyniosła mi lalkę. Naturalnie oddałam jej placek, ale nie udało mi się namówić jej na ponowne wejście do mego pokoju.

Dziś rano, gdy zabrałam się do pisania, nie dawała mi spokoju. Co chwila stawała za mną i kładła rączkę na papier, to znów wsadzała do kałamarza. Te kleksy to jej dzieło. W końcu, przypomniawszy sobie o paciorkach z przedszkola, zasadziłam ją do roboty, każąc nawlekać. Wpierw nawlokłam dwa drewniane paciorki i jeden szklany, a potem położyłam jej rączki na sznurku i na dwóch pudełkach z paciorkami. Skinęła głową i zaczęła natychmiast nawlekać same drewniane paciorki. Potrząsając głową, zdjęłam wszystkie i kazałam jej wyczuć dwa drewniane i jeden szklany. Zbadała je uważnie i znów zaczęła. Tym razem nawlokła wpierw szklany paciorek, a za nim dwa drewniane. Zdjęłam je i pokazałam jej, że ma nawlekać dwa drewniane, a jeden szklany. Już się potem nie omyliła i nawlokła sznurek szybko, zbyt szybko. Skończywszy, zawiązała razem końce sznurka i włożyła sobie paciorki na szyję. Przy następnym sznurku nie zrobiłam węzełka dość grubego i paciorki zsuwały się tak szybko, jak je nawlekała. Ale sama sobie z tym poradziła w ten sposób, że nawlokła paciorek i zawiązała. Uznałam to za dowód wielkiego sprytu. Zabawiała się paciorkami do samego obiadu, przynosząc mi raz po raz nawleczone paciorki, żebym pochwaliła.

Mam okropnie zaczerwienione oczy. Wiem, że ten list napisałam bardzo niedbale. Chciałam tak dużo powiedzieć. I nie starczyło mi czasu na zastanawianie się nad stylem. Proszę, niech Pani nie pokazuje nikomu mego listu. Jeżeli Pani chce, może go Pani przeczytać moim przyjaciołom.

Poniedziałek, po południu.

Dziś rano stoczyłam z Helenką walną bitwę. Jakkolwiek staram się usilnie nie stawiać spraw na ostrzu noża, to jednak przychodzi mi to okropnie trudno.

Helena ma przy stole straszne maniery. Pakuje ręce do naszych talerzy i zabiera kąski. Przy obnoszeniu potraw chwyta

za półmiski i bierze, co chce. Z rana nie pozwoliłam jej wsadzać ręki do mego talerza. Nie usłuchała, z czego wywiązało się starcie, bo żadna z nas nie chciała ustąpić. Naturalnie rodzina była bardzo zdenerwowana i wszyscy wyszli z jadalni. Zamknęłam drzwi na klucz i zabrałam się do śniadania, chociaż jedzenie stawało mi w gardle. Helenka leżała na podłodze, wierzgała, wrzeszczała i usiłowała wyciągnąć spode mnie krzesło. Popisywała się tak przez pół godziny, po czym wstała, żeby zobaczyć, co ja robię. Pozwoliłam jej przekonać się, że jem, ale nie dałam wsadzić ręki do talerza. Uszczypnęła mnie raz, drugi. Za każdym razem dawałam jej klapsa. Wtedy obeszła stół, żeby sprawdzić, kto jeszcze jest. Widząc, że nie ma nikogo prócz mnie, stanęła jak gdyby oszołomiona. Po kilku minutach wróciła na swoje miejsce i zaczęła jeść śniadanie palcami. Dałam jej łyżkę, ale cisnęła ją na podłogę. Zepchnęłam ją z krzesła i kazałam podnieść łyżkę. W końcu udało mi się usadowić ją z powrotem. Włożyłam jej łyżkę w rękę i zmusiłam, żeby nabierała jedzenie łyżką i kładła do ust. W ciągu kilku minut skapitulowała i dokończyła spokojnie śniadania. A potem miałyśmy znów szarpaninę o składanie serwetki. Skończywszy jeść, rzuciła ją na podłogę i poskoczyła ku drzwiom. Gdy stwierdziła, że zamknięte na klucz, zaczęła znów wierzgać i wrzeszczeć. Upłynęła jeszcze godzina, zanim udało mi się nakłonić ją do złożenia serwetki. Wówczas wypuściłam ją na ciepłe słońce, a sama poszłam do swojego pokoju na górę i rzuciłam się na łóżko wyczerpana. Wypłakałam się i zrobiło mi się lepiej. Przypuszczam, że będę musiała stoczyć niejedną taką bitwę z małą kobietką, zanim nauczy się tych dwóch zasadniczych rzeczy, jakich jedynie mogę ją nauczyć: posłuszeństwa i miłości.

Do widzenia, kochana Pani! Proszę się nie przejmować, będę robić, co jest w mojej mocy, a resztę zostawię niewiadomej potędze, zdolnej dokonać rzeczy, wobec których my jesteśmy bezsilni. Panią Keller bardzo lubię.

Tuscumbia, Alabama, 11 marca 1887 r.

Od daty mego ostatniego listu do Pani zamieszkałam — sama tylko z Helenką — w małym domku, o jakieś ćwierć mili od

jej domu, bardzo niedaleko od Zielonego Bluszczu — siedziby Kellerów. Prędko doszłam do przekonania, że nic nie zrobię z Helenką, gdy będzie razem z rodziną, gdyż w domu pozwalano jej zawsze na wszelkie wybryki. Tyranizowała wszystkich, matkę, ojca, służbę, małe Murzyniątka, które się z nią bawią, i nigdy nikt nie sprzeciwił się na serio jej woli z wyjątkiem jej brata Jamesa. Tak było do mego przybycia. Jak wszyscy tyrani, upiera się przy swoim boskim prawie do samowoli. Jeżeli jej się kiedy nie udało uzyskać tego, czego chciała, to dlatego, że nie potrafiła wyjaśnić swoim wasalom-domownikom, o co jej chodziło. Każda udaremniona zachcianka powodowała namiętny wybuch. W miarę jak rosła i nabierała sił, burze stawały się coraz gwałtowniejsze. Gdy zaczęłam ją uczyć, nastręczyło się moc trudności. Nie chciała nigdy ustąpić bez gorzkiej walki. Nie mogłam ani jej się przymilić, ani skłonić do kompromisu. Skłonienie jej do najprostszej czynności, jak uczesanie się, umycie rąk czy zapięcie bucików na guziczki, wymagało użycia siły, i oczywiście następowała przykra scena. Naturalnie rodzina miała zawsze ochotę interweniować, zwłaszcza ojciec, który nie może znieść, gdy mała płacze. Wszyscy więc byli gotowi jej ustępować dla świętego spokoju. Prócz tego jej dawniejsze przeżycia i skojarzenia sprzysięgają się przeciwko mnie. Widziałam dobrze, że na nic się nie zda uczyć ją mówienia czy czegokolwiek, dopóki nie nauczy się mnie słuchać. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większej nabieram pewności, że posłuszeństwo jest tą bramą, przez którą do umysłu dziecka przenikają wiedza, a także i miłość. Jak Pani donosiłam, początkowo zamierzałam posuwać się z wolna. Sądziłam, że uda mi się zyskać miłość i zaufanie mojej wychowanki w taki sam sposób, jak bym to uczyniła, gdyby mała słyszała i widziała. Ale rychło się przekonałam, że zwykłe drogi otwierające dziecinne serca były przede mną zamknięte. Przyjmowała wszystko, co dla niej czyniłam, jako rzeczy rozumiejące się same przez się, a pieścić się nie dawała, więc nie było żadnego sposobu do odwoływania się do jej czułości czy sympatii, czy dziecinnej zachłanności na pochwały. Chciała albo nie chciała, i nie było o czym mówić. Tak to jest, że studiujemy, planujemy i przygotowujemy się do jakiegoś zadania,

a gdy trzeba wprowadzić w życie, stwierdzamy, że systemu, w który włożyliśmy tyle trudu i dumy, nie można stosować w każdych okolicznościach. Wtedy nie ma innej rady, jak szukać oparcia w sobie, jak zdać się na jakąś wrodzoną zdolność pojmowania i działania. Nie uświadamialiśmy sobie, że ją posiadamy, dopóki nie ujawniła się w krytycznej godzinie.

Pomówiłam z panią Keller szczerze, od serca. Wytłumaczyłam jej, jak trudno będzie coś zrobić z Helenką w takich warunkach, jak dotychczas. Powiedziałam, że moim zdaniem dziecko powinno być odseparowane od rodziny najmniej na kilka tygodni, że musi się nauczyć polegać na mnie i słuchać mnie, zanim będę mogła zdziałać coś pozytywnego. Po chwili wahania pani Keller powiedziała, że zastanowi się, że zobaczy, co powie kapitan Keller na propozycję wysłania z domu Helenki razem ze mną. Kapitan Keller przychylił się do projektu nader chętnie i zaproponował dla nas mały ogrodowy domek na „starym miejscu". Zaznaczył, że Helenka może poznać domek, bo często tam bywała, ale że nie będzie się orientowała w otoczeniu, a oni mogliby przychodzić co dzień, żeby widzieć, czy wszystko idzie dobrze, z tym zastrzeżeniem, oczywiście, że mała nie wiedziałaby o ich odwiedzinach. Pośpieszyłam się, jak mogłam, z przygotowaniami do przeprowadzki, i oto jesteśmy na miejscu.

Domek jest prawdziwie rajskim zakątkiem. Składa się z dużego kwadratowego pokoju z okazałym kominkiem, obszernej oszklonej werandy i pokoiczku, gdzie sypia Murzynek, nasz posługacz. Od frontu jest *piazza,* tak bujnie obrośnięta winem, że aby wyjrzeć na ogród, trzeba je rozsuwać. Jedzenie przynoszą nam ze dworu. Zazwyczaj posilamy się na *piazza.* Gdy chcemy coś ugotować, wydajemy polecenie Murzynkowi. Tak więc cały czas mogę poświęcić Helenie.

Początkowo była ogromnie podniecona. Tak wrzeszczała i wierzgała, że wpadła w pewnego rodzaju otępienie. Ale gdy przyniesiono kolację, zajadała z apetytem i wydawała się weselsza, chociaż nie pozwalała mi się dotknąć.

Cały pierwszy wieczór zajmowała się lalkami, a gdy trzeba było iść do łóżka, rozebrała się bardzo grzecznie. Ale gdy poczuła, że kładę się razem z nią, wyskoczyła z drugiej strony

i w żaden sposób nie mogłam jej skłonić, żeby się znów położyła. Zlękłam się jednak, że może się zaziębić, i nie mniej energicznie obstawałam przy swoim. Może mi Pani wierzyć, że stoczyłyśmy okropną walkę, która trwała bez mała dwie godziny. Nigdy nie widziałam tak silnego i wytrzymałego dzieciaka. Jednak na szczęście dla nas obydwóch ja jestem trochę silniejsza i tak samo nieustępliwa, gdy chcę postawić na swoim. W końcu udało mi się wpakować ją do łóżka i przykryć. Leżała skulona na samiutkim skraju.

Rano była bardzo potulna, ale najwidoczniej tęskniła za domem. Raz po raz podchodziła do drzwi, jakby na kogoś czekała, to znów dotykała policzka, co oznacza u niej matkę, i potrząsała smutnie głową. Bawiła się lalkami więcej niż zwykle, a ze mną nie chciała mieć do czynienia. Jakiż to zabawny i żałosny widok — Helenka ze swymi lalkami! Nie sądzę, żeby żywiła dla nich szczególną czułość. Nigdy nie widziałam, żeby je pieściła. Ale ubiera je i rozbiera wiele razy w ciągu dnia i naśladując matkę i niańkę obchodzi się z nimi tak samo, jak one z jej maleńką siostrzyczką.

Dziś rano Nancy, jej ulubiona lalka, miała, jak się wydawało trudności z połykaniem mleka, które jej aplikowano wielkimi łykami, bo Helenka odstawiła nagle kubek i zaczęła grzmocić ją po plecach. Przewracała ją, jednocześnie delikatnie podrzucając na kolanie i lekko poklepując. Trwało to kilka minut, wreszcie odechciało jej się tej zabawy. Nielitościwie rzuciła Nancy na podłogę i odepchnęła. Teraz przedmiotem niepodzielnej troskliwości małej mateczki stało się inne dziecko, duża lala o różowych policzkach i główce w lokach.

Helena zna już kilka słów, ale nie ma pojęcia, jak się nimi posługiwać, i nie rozumie, że każda rzecz ma nazwę. Jednak myślę, że szybko się zorientuje. Jak już mówiłam, to nadzwyczajnie bystra i żywa dziewczynka, a w ruchach szybka jak błyskawica.

13 marca 1887 r.

Ucieszy się Pani, gdy powiem, że mój eksperyment daje świetne wyniki. Ani wczoraj, ani dzisiaj nie miałam z Helenką żadnego kłopotu. Nauczyła się trzech nowych słów i gdy podaję jej przedmioty, których nazwy sobie przyswoiła, palcuje

je bez wahania, ale wydaje się zadowolona, gdy jest już po lekcji.

Dziś rano bawiłyśmy się wesoło w ogrodzie. Helena najwidoczniej zorientowała się, gdzie jest, skoro tylko dotknęła bukszpanowego żywopłotu. Robiła dużo znaków, których nie zrozumiałam. Niewątpliwie oznaczały one członków rodziny w Zielonym Bluszczu.

Dowiedziałam się właśnie czegoś, co mnie bardzo zdziwiło. Zdaje się, że pan Anagnos wiedział już o Helenie, zanim otrzymał w lecie list od kapitana Kellera. Pan Wilson, nauczyciel z Florencji, przyjaciel Kellera, rok temu studiował w Harvardzie w lecie i jeździł do Instytutu Perkinsa, żeby się dowiedzieć, czy nie dałoby się czegoś zrobić dla córeczki przyjaciela. Zobaczył kogoś, kogo wziął za dyrektora, i opowiedział mu o Helence. Mówi, że ten pan nie okazał szczególnego zainteresowania, ale obiecał, że pomyśli, co by się dało zrobić. Czy to nie dziwne, że pan Anagnos wcale nie wspomniał o tej rozmowie?

20 marca 1887 r.

Dziś rano moje serce śpiewało z radości. Stał się cud! Światło rozumu rozbłysło w umyśle mojej małej wychowanki i patrzcie! Wszystko się zmieniło!

Dzikie stworzonko sprzed dwóch tygodni przeobraziło się w łagodne dziecko. Gdy to piszę, siedzi przy mnie z pogodną, szczęśliwą buzią i robi szydełkiem długi czerwony łańcuszek ze szkockiej wełny. Nauczyła się ściegu w tym tygodniu i jest bardzo dumna ze swego dzieła. Gdy się jej udało zrobić łańcuszek przez cały pokój, poklepała się po ramieniu i przycisnęła pierwsze dzieło swoich rączek miłośnie do policzka. Pozwala mi się teraz całować, a gdy jest w szczególnie łagodnym nastroju, sadowi mi się na kolanach. Ale pieszczot nie odwzajemnia. Dokonał się postęp, wielki postęp, który się już liczy. Mała dzikuska przyswoiła sobie pierwszą lekcję posłuszeństwa i przekonała się, że jarzmo nie jest takie ciężkie. Teraz pozostaje mi przyjemne zadanie kierować tą inteligencją, która zaczyna się budzić w dziecinnej główce, i urabiać ją. Już ludzie zauważają zmianę w Helenie. Ojciec zagląda do nas rano i wieczorem, idąc i wracając z redakcji. Gdy widzi, jak z zadowole-

niem nawleka paciorki lub wyszywa poziome linie na kartoniku, wykrzykuje: „Jaka spokojna!"

Gdy przyjechałam, ruchy Helenki były tak nieopanowane, iż czuło się w niej coś nienaturalnego, prawie niesamowitego. Spostrzegłam również, że je dużo mniej, co tak martwi jej ojca, że chciałby ją już ściągnąć do domu. Uważa, że dziecko tęskni za rodziną. Nie zgadzam się z nim, ale przypuszczam, że już wkrótce będziemy musiały opuścić nasze zacisze.

W tym tygodniu Helena nauczyła się kilku rzeczowników. Z „kubkiem" i „mlekiem" (*milk*) miała więcej trudności niż z innymi słowami. Gdy palcuje „mleko", pokazuje na kubek, a gdy palcuje „kubek", robi znak nalewania lub picia, co dowodzi, że pomieszała słowa. Jeszcze nie pojmuje, że każda rzecz ma nazwę.

Wczoraj zawołałam Murzynka, gdy miałam lekcję z Helenką, i jemu także kazałam uczyć się liter. Bardzo jej się to podobało i pobudziło jej ambicję do współzawodnictwa z Percym. Była uradowana, gdy się omylił, i kazała mu przerabiać literę po kilka razy. Gdy mu się udawało zadowolić ją, klepała go po wełnistej łepetynie tak energicznie, że pewno robił niektóre omyłki całkiem rozmyślnie.

Któregoś dnia w tym tygodniu kapitan Keller przyszedł do nas z Bellą, wyżlicą, z której jest bardzo dumny. Był ciekawy, czy Helena pozna swą dawną towarzyszkę zabaw. Helena kąpała Nancy i w pierwszej chwili nie zwróciła na psa uwagi. Zwykle wyczuwa najcichsze kroki i wyciąga ręce, żeby się upewnić, czy ktoś jest w pobliżu. Bella nie okazywała chęci zainteresowania sobą dziewczynki. Przypuszczam, że mała musiała jej kiedyś porządnie dokuczyć. Ale pies może był w pokoju pół minuty, gdy Helenka zaczęła wciągać noskiem powietrze. Rzuciwszy lalkę do miednicy, ruszyła w obchód pokoju. Kapitan Keller stał przy oknie, koło niego warowała na podłodze Bella. Helena potknęła się o wyżlicę. Najoczywiściej poznała ją, bo objęła za kark i uściskała. Potem usiadła przy niej na podłodze i zaczęła bawić się jej pazurami. W pierwszej chwili nie zorientowaliśmy się, co to ma znaczyć, ale gdy zobaczyliśmy, że palcuje: „lalka", zrozumieliśmy, że uczy Bellę alfabetu ręcznego.

Wczoraj wróciłam z Helenką do domu. Żałuję, że nie pozwolili zostać nam w ustroniu jeszcze tydzień, ale myślę, że wyzyskałam ofiarowaną mi okazję przez te dwa tygodnie jak najsumienniej i nie przypuszczam, żebym mogła mieć jeszcze z Helenką jakieś poważne trudności. Najgorsza przeszkoda na drodze do postępu została przełamana. Myślę, że moje „tak", lub „nie", wyrażone skinieniem lub potrząśnięciem głowy, stały się dla niej faktami tak oczywistymi jak uczucie zimna lub gorąca albo jak różnica między bólem i przyjemnością. Nie dopuszczę do tego, żeby lekcja, której się nauczyła kosztem tylu cierpień i trudów, miała ulec zapomnieniu. Będę jej broniła przed nadmierną pobłażliwością rodziców. Powiedziałam kapitanowi i pani Keller, że nie powinni w żadnym wypadku wtrącać się do nas. Starałam się wytłumaczyć im, jak mogłam najlepiej, że uwzględniając wszelkie zachcianki Helenki, wyrządzają jej wielką krzywdę. Wykazałam, że technika wpajania w dziecko zasady, że nie wszystko może być tak, jak ono tego pragnie, nie może się obejść bez objawów przykrych zarówno dla dziecka, jak i nauczyciela. Obiecali zostawić mi zupełną swobodę i pomagać wedle możności. Poprawa w małej, której nie mogą nie widzieć, sprawiła, że nabrali do mnie większego zaufania. Oczywiście są to dla nich ciężkie przeżycia. Pojmuję, że serca ich bolą patrzeć, jak upośledzona córeczka odbiera kary i musi postępować wbrew swojej woli. W parę godzin po mojej rozmowie z rodzicami (a zgodzili się na wszystko), Helence strzeliło do głowy, że będzie się obchodzić przy stole bez serwetki. Prawdopodobnie chciała zobaczyć, co z tego wyniknie. Spróbowałam kilka razy założyć jej serwetkę na szyję. Za każdym razem zrywała ją i rzucała na podłogę, a w końcu zaczęła kopać stół. Zabrałam jej talerz i chciałam wyprowadzić małą buntownicę z jadalni. Ojciec sprzeciwił się temu. Oznajmił, że pod żadnym pozorem nie wolno głodzić jego dziecka.

Po wieczerzy Helena nie przyszła do mnie na górę. Zobaczyłam ją dopiero nazajutrz przy śniadaniu. Gdy zeszłam na dół siedziała na swoim miejscu. Zatknęła serwetkę pod brodę, zamiast spiąć swoim zwyczajem z tyłu. Zwróciła moją uwagę na tę zmianę, a ponieważ nie protestowałam, okazała zadowolenie

i poklepała siebie. Po wyjściu z jadalni poklepała mnie po ręce. Zastanawiałam się, czy to próba „odegrania się". Postanowiłam ukarać ją po jakimś czasie. Wróciłam do jadalni po serwetki. Gdy Helena przyszła na górę na lekcję, rozłożyłam jak zwykle przybory na stole z tą różnicą, że brakowało placka, który wydzielam jej zawsze kawałkami w nagrodę za szybkie i poprawne palcowanie. Zauważyła to od razu i zrobiła znak. Pokazałam jej serwetkę, zapięłam ją jej na szyi, potem zerwałam, rzuciłam na podłogę i potrząsnęłam głową. Wykonałam to przedstawienie kilkakrotnie. Myślę, że zrozumiała doskonale, gdyż plasnęła się w rękę parę razy i potrząsnęła głową. Zaczęłyśmy lekcję jak zwykle. Dałam jej przedmiot, a ona wypalcowała nazwę. (Zna ich już dwanaście). Po wypalcowaniu połowy słówek, urwała nagle, jakby uderzona jakąś myślą, i sięgnęła po serwetkę. Przypięła ją sobie z tyłu i zrobiła znak na placek. (Jak Pani widzi, nie przyszło jej do głowy sylabizować nazwy.) Wzięłam to za przyrzeczenie, że jeżeli dam jej kawałek placka, to będzie grzeczna. Dałam jej większy kawałek niż zwykle, a ona zachichotała i wskazała na siebie.

3 kwietnia 1887 r.

Żyjemy po prostu w ogrodzie, gdzie wszystko rośnie, kwitnie, promienieje. Po śniadaniu wychodzimy i dozorujemy ludzi przy pracy. Helena bardzo lubi kopać i bawić się w błocie, tak jak inne dzieci. Dziś rano zasadziła swą lalkę i pokazała mi, że pewno wyrośnie taka wysoka jak ja. Już wie Pani, że to ogromnie bystre dziecko, ale nie ma Pani pojęcia, jakie przebiegłe.

O dziesiątej wracamy do domu i przez kilka minut nawlekamy paciorki. Ona już teraz umie wykonać mnóstwo kombinacji, a często sama wynajduje nowe. Potem pozostawiam jej do wyboru, czy będzie szyła, czy robiła na drutach, czy szydełkiem. Bardzo szybko nauczyła się robić na drutach i robi teraz dla matki myjkę. W zeszłym tygodniu zrobiła fartuszek dla lalki tak dobrze, jak zrobiłaby to każda inna dziewczynka w jej wieku. Ale zawsze jestem rada, kiedy mamy ten codzienny obowiązek za sobą. Dla mnie szycie i robienie szydełkiem to diabelskie wynalazki. Wolałabym tłuc kamienie na szosie, niż obrębiać chusteczkę. O je-

denastej mamy gimnastykę. Ojciec obiecuje urządzić dla niej miejsce na gimnastykę w domku, gdzie jest pompa, ale my obie wolimy szaleć swobodnie, niż poddawać się rygorom przepisowych ćwiczeń. Godzina od dwunastej do pierwszej jest przeznaczona na naukę nowych słówek. Ale niech Pani nie myśli, że tylko o tej porze literujemy: ja palcuję jej w rękę wszystko, co robimy przez cały dzień, chociaż, jak dotąd, mała nie ma pojęcia, co to oznacza. Po obiedzie godzinę odpoczywam, a Helena bawi się lalkami albo biega po podwórzu z murzyńskimi dziećmi, które do czasu mego przybycia były jej stałymi towarzystwem. Później przyłączam się do nich i obchodzimy zabudowania gospodarskie. Zaglądamy do stajen, do koni, mułów, szukamy jaj i karmimy indyki. Często, przy pięknej pogodzie, jeździmy końmi od czwartej do szóstej albo udajemy się z wizytą do jej ciotki w Zielonym Bluszczu lub do kuzynostwa w mieście. Helena jest bardzo towarzyska. Lubi mieć ludzi koło siebie i odwiedzać przyjaciół, pewno po części dlatego, że zawsze częstują ją tym, co lubi. Po kolacji idziemy do mojego pokoju i do ośmej robimy to i owo, po czym rozbieram małą kobietkę i pakuję do łóżka. Obecnie sypia ze mną. Pani Keller chciała poszukać dla niej niańki, ale ja pomyślałam, że wolę sama pełnić przy niej tę rolę, niż pilnować jakiejś leniwej kobiety. A zresztą chcę uzależnić od siebie Helenkę pod każdym względem, a widzę, że dużo łatwiej uczyć ją dorywczo niż w określonych godzinach.

31 marca stwierdziłam, że Helena zna osiemnaście rzeczowników i trzy czasowniki. Załączam listę słówek. O te, oznaczone krzyżykiem, pytała sama: lalka, dzbanek-(*mug*), szpilka, klucz-(*key*), pies-(*dog*), kapelusz, kubek, pudełko-(*box*), woda, mleko, cukierek-(*candy*), oko^x-(*eye*), palec^x-(*finger*), palec u nogi^x-(*toe*), głowa^x-(*head*), placek, dzidzi-(*baby*), matka, siedzieć, stać, chodzić. Pierwszego kwietnia nauczyła się rzeczowników: nóż-(*knife*), widelec-(*fork*), łyżka-(*spoon*), spodek-(*saucer*), herbata, tatuś-(*papa*), łóżko i czasownika: biegać-(*run*).

5 kwietnia 1887 r.

Znów muszę napisać do Pani parę słów zaraz z rana, bo zaszło coś bardzo ważnego. Helenka uczyniła drugi wielki krok

w nauce. Zrozumiała, że każda rzecz ma nazwę i że alfabet ręczny jest kluczem do wszelkiej wiedzy.

Chyba w poprzednim liście pisałam, że kubek i mleko kosztowały Helenę więcej trudu niż wszystkie inne słowa. Pomieszała rzeczowniki z czasownikiem „pić". Nie znała słowa na „pić", ale ilekroć palcowała „kubek" lub „mleko", wykonywała mimicznie czynność picia. Dziś rano przy myciu dała mi do zrozumienia, że chce dowiedzieć się nazwy wody. Gdy chce się dowiedzieć jakiejś nazwy, wskazuje dany przedmiot i klepie mnie po ręce. Wypalcowałam: „woda" i więcej o tym nie myślałam. Ale po śniadaniu wpadło mi do głowy, że z pomocą tego nowego słowa może zdołam rozwiązać trudność „kubek-mleko". Poszłyśmy do pompy i ja pompowałam, a ona trzymała kubek pod pompą. Podczas gdy zimna woda lała się do kubka, wypalcowałam na wolnej rączce Heleny: „woda". To słowo w tak nagłym zestawieniu z wrażeniem zimnej wody spływającej po jej ręce podziałało wstrząsająco. Upuściła kubek i stała jak skamieniała. Nowe światło zajaśniało w jej twarzy. Wypalcowała kilka razy „woda", usiadła na ziemi i zapytała o jej nazwę, wskazała na pompę, na okratowanie i odwróciwszy się nagle, zapytała o moje imię. Wypalcowałam: „nauczycielka". Akurat piastunka przyniosła do nas maleńką siostrzyczkę Heleny. Helenka wypalcowała: „dzidzi" i wskazała na piastunkę. W drodze powrotnej była bardzo podniecona. Uczyła się nazwy każdej rzeczy, której się dotknęła, tak że w kilka godzin dodała do swojego słowniczka trzydzieści nowych słówek. Oto niektóre z nich: drzwi-(*door*), otwierać-(*open*), zamykać-(*shut*), dać-(*give*), iść-(*go*), przyjść-(*come*).

P. S. Nie dokończyłam listu w porę, żeby go oddać na pocztę wczoraj wieczorem, więc jeszcze coś dopiszę. Helena wstała dziś rozpromieniona. Fruwała od przedmiotu do przedmiotu, pytając o nazwy i całując mnie z radości. Wczoraj wieczorem, gdy się położyłam, wtuliła mi się w ramiona z własnej chęci i pierwszy raz pocałowała. Myślałam, że serce mi pęknie z radości.

10 kwietnia 1887 r.

Obserwuję w Helence poprawę z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę. Teraz każda rzecz musi mieć nazwę. Dokąd-

kolwiek idziemy, pyta skwapliwie o nazwy rzeczy, których nie nauczyła się w domu. Zabiega usilnie, żeby przyjaciele uczyli się palcować, i uczy z zapałem liter każdego, kogo spotka. Zarzuca znaki i pantominę, jak tylko przyswoi sobie odpowiednie słowa na ich miejsce. Każde świeżo opanowane słowo cieszy ją nadzwyczajnie. Widzimy, że jej twarzyczka z każdym dniem nabiera większej wyrazistości. Postanowiłam nie mieć z nią na razie regularnych lekcji. Będę się z nią obchodziła zupełnie tak, jak z dwuletnim dzieckiem. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, że to przecież absurd żądać od dziecka, żeby przychodziło w określone miejsce o określonej godzinie i recytowało określone lekcje, kiedy jeszcze nie opanowało podstawowego roboczego słownictwa. Kazałam jej odejść i usiadłam, żeby zebrać myśli. Zadałam sobie pytanie: Jak normalne dziecko uczy się języka? Odpowiedź była prosta: Przez naśladownictwo. Dziecko przychodzi na świat ze zdolnością uczenia się i uczy się samo z siebie, byle mu tylko dostarczyć dostatecznej podniety zewnętrznej. Widzi ludzi wykonujących czynności i stara się robić to samo. Słyszy, że inni mówią, i stara się ich naśladować. Ale na długo przedtem, zanim wypowie pierwsze słowo, rozumie, co do niego mówią. Obserwowałam ostatnio malutką kuzynkę Heleny. Dziecina ma około piętnastu miesięcy, a już rozumie ogromnie dużo. W odpowiedzi na pytania pokazuje ślicznie na nosek, usteczka, oczko, bródkę, policzek, uszko. Jeżeli powiem: „Gdzie dzidzi ma drugie uszko?" pokazuje prawidłowo. Jeżeli wręczę jej kwiat i powiem: „Daj to mamie" — niesie kwiat matce. Jeżeli powiem: „Gdzie jest małe łobuziątko?" — chowa się za krzesło matki lub zakrywa buzię rączkami i zerka na mnie z prawdziwie łobuzerską minką. Słucha wielu rozkazów takich jak: „Chodź, pocałuj, idź do tatusia, zamknij drzwi, daj mi biszkopcik". — Ale nie słyszałam, żeby sama wymówiła któreś z tych słów, jakkolwiek musiała słyszeć je setki razy i nie ulega wątpliwości, że je rozumie. Te spostrzeżenia naprowadziły mnie na metodę, jaką powinnam zastosować ucząc Helenę języka. Będę mówić do jej ręki tak, jak mówimy do uszu dziecka. Wyjdę z założenia, że mała posiada zdolności asymilacyjne i naśladowcze takie same, jak każde normalne dziecko. Mówiąc do niej, będę używała pełnych zdań,

których znaczenie będę uzupełniała gestami i jej opisowymi znakami, gdy zajdzie potrzeba. Ale nie będę usiłowała przykuwać jej uwagi do jednej tylko rzeczy. Uczynię wszystko, co jest w mojej mocy, żeby zaciekawić i pobudzić jej umysł, i będę czekała, co z tego wyniknie.

24 kwietnia 1887 r.

Nowy plan działa znakomicie. Helena rozumie już ponad sto słów i co dzień uczy się nowych, absolutnie nie podejrzewając, że dokonuje niezmiernie trudnej sztuki. Uczy się pod wpływem wewnętrznego musu, tak jak ptak uczy się latać. Ale niech Pani sobie nie wyobraża, że „mówi biegle". Na podobieństwo małej kuzyneczki wypowiada całe zdania pojedynczymi słowami. „Mleko" z towarzyszeniem gestu znaczy: „Daj mi jeszcze mleka". „Matka" z pytającym wyrazem twarzy: „Gdzie jest matka?". „Iść" znaczy: „Ja chcę wyjść". Jednak gdy wpisuję jej w rączkę: „Daj mi chleba" — podaje mi chleb. Albo jeżeli powiem: „Weź kapelusz, to pójdziemy na spacer" — natychmiast posłucha. Dwa słowa: „kapelusz" i „spacer" miałyby ten sam skutek, ale całe zdanie powtarzane w ciągu dnia po wiele razy musi z biegiem czasu wbić się w mózg i stopniowo zacznie się nim sama posługiwać.

Zabawiamy się w grę, świetnie wpływającą na rozwój intelektu, a zarazem przydatną przy nauczaniu języka. Jest to adaptacja gry w chowanie naparstka. Chowam coś, piłkę lub szpulkę, i obie szukamy. Gdyśmy parę dni temu zagrały w to pierwszy raz, Helenka nie wykazywała żadnej pomysłowości. Szukała w miejscach, gdzie w żaden sposób nie dałoby się schować piłki lub szpulki. Na przykład schowanej przeze mnie piłki szukała pod swoją tabliczką do pisania. A znów szpulki szukała w małym pudełeczku, w którym by się nie zmieściła, i prędko przestawała szukać. Teraz udaje mi się tak ją zachęcić do gry, że szuka godzinę lub dłużej, przy czym wykazuje znacznie więcej inteligencji, a często wielką pomysłowość w szukaniu. Dziś rano schowałam sucharek. Szukała w różnych miejscach, jakie jej przychodziły do głowy — bez powodzenia. Była najwidoczniej w rozpaczy. Nagle, uderzona jakąś myślą, przybiegła do mnie i kazała mi otworzyć usta bardzo

szeroko. Zbadała gruntownie, czy nie mam w jamie ustnej. Ponieważ nie znalazła, pokazała na mój żołądek i wypalcowała: „jeść", co miało znaczyć: „Czy zjadłaś?"

W piątek byłyśmy w mieście. Spotkałyśmy znajomego pana. Dał Helenie cukierki. Zjadła wszystkie prócz okruszyny, którą schowała do kieszeni fartuszka. W domu poszukała matki i z własnej inicjatywy zaproponowała, żeby „dać dzidzi cukierek". Pani Keller odpalcowała: „Nie — dzidzi jeść — nie". Helena poszła do kołyski, włożyła paluszki do buzi Mildred i pokazała na swoje ząbki. Pani Keller literowała: „zęby". Helena potrząsnęła głową i wypalcowała: „Dzidzi zęby — nie, dzidzi jeść — nie", co oznaczało naturalnie: „Dzidzi nie może jeść, bo nie ma zębów".

8 maja 1887 r.

Nie, więcej materiałów z przedszkola nie potrzebuję. Zużyłam na początku swój zapasik paciorków, kart i słomek, bo nie wiedziałam, co można było innego robić z Heleną, ale teraz te rzeczy nie są już potrzebne, przynajmniej na razie.

Zaczynam podawać w wątpliwość wszystkie wyszukane systemy wychowawcze. Wydaje mi się, że wychodzą one z założenia, iż każde dziecko jest w swoim rodzaju idiotą i że trzeba uczyć je myśleć. Tymczasem, jeżeli pozostawimy dziecko samo sobie, będzie myślało ono więcej i lepiej, choćby nawet mniej widocznie. Niech sobie swobodnie chodzi i przychodzi, niech dotyka przedmiotów i samo kojarzy wrażenia, zamiast siedzieć w domu przy okrągłym stoliku i słuchać słodkiego głosu nauczycielki, która każe mu budować kamienny mur z drewnianych klocków, robić tęczę z pasków kolorowego papieru albo sadzić drzewka ze słomy w ozdobnych doniczkach. Taka nauka napełnia jego umysł sztucznymi skojarzeniami, których musi się wyzbyć, zanim będzie mogło tworzyć niezależnie wyobrażenia oparte na rzeczywistych przeżyciach.

Helenka uczy się przymiotników i przysłówków tak łatwo, jak się uczyła rzeczowników. Pojęcie zawsze wyprzedza słowo. Miała swoje znaki na mały i duży o wiele wcześniej, zanim do niej przyjechałam. Gdy domagała się drobnego przedmiotu, a dano jej duży, potrząsała główką i ujmowała dwoma palcami

jednej ręki fałdkę skóry na drugiej. Gdy chciała oznaczyć coś dużego, rozpościerała jak najszerzej palce obu rąk i zbliżała dłonie do siebie jakby do objęcia dużej piłki. Któregoś dnia podstawiłam na miejsce tych znaków słowa „mały" i „duży". Natychmiast je sobie przyswoiła i zaniechała znaków. Mogę jej teraz nakazać, żeby mi przyniosła dużą książkę lub mały talerz, iść powoli na górę, biec prędko, chodzić szybko. Dziś rano posłużyła się pierwszy raz spójnikiem i. Powiedziałam jej, żeby zamknęła drzwi, a ona dodała: „I na klucz".

Przed kilku minutami wbiegła pędem na górę ogromnie podniecona. W pierwszej chwili nie mogłam się połapać, o co jej chodzi. Powtarzała palcując: „Pies — dzidzi", pokazywała pięć palców po kolei i ssała je. Pierwszą moją myślą była obawa, że pies skaleczył Mildred, ale rozpromieniona buzia Helenki rozwiała mój niepokój. Nie było rady, musiałam z nią iść, żeby zobaczyć. Zaprowadziła mnie do domku z pompą. W kącie leżała wyżlica z pięciorgiem szczeniątek. Nauczyłam Helenę słowa „szczenię" i przesunęłam po ssących szczeniętach jej rączkę palcując: „szczenięta". Była ogromnie zainteresowana czynnością karmienia i kilka razy literowała: „mama-pies" i „dzidzi". Zauważyła, że szczenięta miały zamknięte ślepki, i powiedziała: „Oczy — zamknąć. Spać — nie". Miało to znaczyć: „Oczy są zamknięte, ale szczenięta nie śpią". Krzyczała z uciechy, gdy maleństwa piszczały i wierciły się chcąc dostać się z powrotem do matki. Powiedziała: „Dzidzi — jeść duży". Pewno miała na myśli: „Dzidzi dużo je". Pokazywała kolejno na pieski i na swoje pięć palców. Nauczyłam ją słowa pięć. Potem podniosła jeden palec i powiedziała: „Dzidzi". Wiem, że pomyślała o Mildred. Odpowiedziałam: „Jedno dzidzi i pięć szczeniąt". Bawiła się nimi jakąś chwilę, aż przyszło jej do głowy, że szczenięta muszą mieć swoje nazwy, tak jak ludzie, więc zapytała o nazwę każdego pieska. Powiedziałam, żeby zapytała ojca, a ona na to: „Nie — mama". Najwidoczniej sądziła, że raczej matki mogą coś wiedzieć o dzidziach. Stwierdziła, że jedno szczenię było dużo mniejsze od pozostałych, i powiedziała: „mały" z dodatkiem swojego znaku. Uzupełniłam: „bardzo mały". Widocznie zrozumiała, że bardzo — to nazwa nowej rzeczy, gdyż przez całą drogę do domu stoso-

wała to słowo bardzo poprawnie. Jeden kamień był mały, drugi bardzo mały. Dotykając siostrzyczki, powiedziała: „Dzidzi — małe. Szczenię — bardzo małe". Niebawem zaczęła zmieniać kroki z dużych na małe. Przesadnie malutkie były bardzo małe. Obchodzi teraz dom, przymierzając nowe słowa do różnych przedmiotów.

Od czasu jak zaniechałam regularnych lekcji, stwierdzam, że Helenka uczy się dużo prędzej. Jestem przekonana, że czas zużyty przez nauczycielkę na wydostanie z dziecka tego, czego je przedtem nauczyła, aby przekonać się, czy nauka zapuściła korzenie, jest zmarnowany. Według mnie daleko lepiej przyjąć z góry, że dziecko robi to, co do niego należy, i że ziarno wsiane naszą ręką we właściwym czasie wyda plon. W każdym razie tak jest sprawiedliwiej wobec dziecka, a nam oszczędza wiele niepotrzebnych kłopotów.

16 maja 1887 r.

Zaczęłyśmy odbywać długie codzienne przechadzki poranne zaraz po śniadaniu. Pogoda piękna, a powietrze przesycone zapachem poziomek. Chodzimy na przystań Kellera na rzece Tennessee. Mamy około dwóch mil drogi. Nigdy nie wiemy, jak tam dotrzemy, albo gdzie jesteśmy w danej chwili, ale to tylko dodaje uroku naszym spacerom, zwłaszcza że wszystko jest nowe, niezwykłe. W samej rzeczy mam uczucie, jakbym do tej pory nic nie widziała. Po drodze Helena nie wie wprost, o co najpierw pytać. Gonimy motyle i czasami udaje nam się któregoś schwytać. Wtedy siadamy pod drzewem lub w cieniu krzewu i rozmawiamy o naszej zdobyczy. Jeżeli motyl przeżyje lekcję, puszczamy go, ale zazwyczaj składa on życie i piękność na ołtarzu nauki, jakkolwiek w pewnym sensie żyje na wieki, bo czyż nie uległ przeobrażeniu w żywe myśli? To rzecz nadzwyczajna, jak pod wpływem słów powstają idee! Każde nowe słowo, jakiego Helena się nauczy, po prostu pociąga za sobą potrzebę wielu wyjaśnień. Umysł jej rozwija się, bo jest niezmordowanie czynny.

Przystań Kellera służyła w czasie wojny do wyładowywania wojska, ale już od dawna jest w ruinie. Mchy ją porosły i zielska. To takie pustkowie, że tylko pobudza do marzeń. Blisko

przystani znajduje się śliczne źródełko, które Helenka nazywa „wiewiórkową miseczką", bo powiedziałam jej, że wiewiórki przychodzą tutaj pić. Dotykała zdechłych wiewiórek, królików i innych dzikich zwierząt i chciałaby bardzo zobaczyć: „Chodzić-wiewiórkę", co zapewne ma znaczyć: „Żywą wiewiórkę". Zazwyczaj w godzinie obiadowej wracamy do domu. Helena opowiada z przejęciem matce o wszystkim, co widziała. Powtarzanie tego, co jej powiedziano, świadczy o zdecydowanym postępie w jej rozwoju intelektualnym i jest bezcenną podnietą przy nauce języka. Proszę wszystkich jej przyjaciół, aby zachęcali ją do opowiadań o tym, co robiła, i aby okazywali jak największą ciekawość i zachwyt dla jej drobnych przygód. Pochwały sprawiają dziecku przyjemność i podtrzymują zainteresowanie, a to jest podstawą prawdziwego obcowania z ludźmi. Naturalnie Helenka popełnia wiele omyłek, przekręca słowa i zdania, stawia wóz przed koniem i gubi się w beznadziejnej plątaninie rzeczowników i czasowników, ale to samo robi słyszące dziecko. Jestem pewna, że te trudności z czasem znikną. Impuls opowiadania jest ważną rzeczą. Dodam słówko to tu, to tam, czasami zdanie, i podsunę coś, co opuściła albo czego zapomniała. I tak bogaci się jej słownictwo, a nowe słowa kiełkują i rodzą nowe idee, a to jest materiał, z którego uformowało się niebo i ziemia.

22 maja 1887 r.

Moja praca staje się z dnia na dzień coraz bardziej interesująca i absorbująca. Helena to nadzwyczajne dziecko. Jakaż ona spontaniczna i chciwa nauki. Zna już około trzystu słówek i ogromnie dużo utartych wyrażeń, a nie ma jeszcze trzech miesięcy, jak nauczyła się pierwszego słowa. To rzadki przywilej losu być świadkiem narodzin, rozwoju i pierwszych słabych wysiłków żywego umysłu. Ten przywilej mnie przypadł w udziale. A co więcej, mnie powierzono tę bystrą inteligencję, żebym ją pobudzała i kierowała nią.

Żebym tylko lepiej się nadawała do tak wielkiego zadania! Co dzień wyraźniej widzę, jak bardzo nie jestem na poziomie. Głowę mam pełną pomysłów, ale nie potrafię nadać im formy roboczej. Widzi Pani, brak mi dyscypliny umysłowej, przerzu-

cam się z teorii do teorii, skaczę, podskakuję, a w ciemnych zakamarkach mojej głowy mnóstwo pomysłów. Jakżebym chciała uporządkować ten zamęt! Och, żeby się tak znalazł ktoś, co by mi pomógł! Potrzebuję nauczyciela czy nauczycielki w tym samym stopniu, co Helenka. Wiem, że wykształcenie i wychowanie tego dziecka będzie koroną mego życia, jeżeli mi wystarczy rozumu i wytrwałości. Co do jednej rzeczy uczyniłam niezłomne postanowienie: Helena musi nauczyć się posługiwać książkami — właściwie to obydwie musimy się tego nauczyć. To mi przypomina, czyby Pani nie była łaskawa poprosić pana Anagnosa o dostarczenie mi podręczników psychologii Pereza i Sully'ego? Myślę, że mi się przydadzą.

Co dzień mamy lekcje czytania. Zazwyczaj bierzemy z sobą jakąś „Czytankę" na wysokie drzewo w pobliżu domu i spędzamy parę godzin na wyszukiwaniu słówek, które Helena już zna. Robimy z tego coś w rodzaju wyścigów, która z nas potrafi prędzej znajdować słówka, Helenka palcami, a ja oczami. Ona uczy się przy tym tylu nowych słów, ile ich zdołam objaśnić przy pomocy tych, które zna. Gdy jej paluszki trafiają na znajome słowa, nieomal krzyczy, tak się cieszy i z radości ściska mnie i całuje, zwłaszcza jeżeli sądzi, że mnie prześcignęła. Zdziwiłaby się Pani, gdyby Pani widziała, ile w ten przyjemny sposób nauczy się słów w ciągu godziny. Następnie układam nowe słowa w krótkie zdania w ramce. Czasami udaje się tak opowiedzieć historyjkę o pszczole, o kocie albo o małym chłopczyku. Teraz mogę jej powiedzieć, żeby poszła na górę lub na dół, na dwór lub do domu, zamknęła drzwi na klucz czy odemknęła z klucza, żeby coś przyniosła, żeby usiadła, wstała, przeszła się, pobiegała, położyła się, czołgała, tarzała lub wspięła się na coś. Rozkoszuje się słowami oznaczającymi czynności, tak że wcale nie mam kłopotu z uczeniem jej czasowników. Zawsze śpieszno jej do lekcji i zapał jej do wchłaniania nowych pojęć raduje mnie niesłychanie. Gdy opanuje zdanie, triumfuje jak generał, który zdobył nieprzyjacielską twierdzę.

Jednym z dawnych nawyków Helenki, najsilniejszym i najtrudniejszym do wykorzenienia, jest skłonność do niszczenia. Jeżeli jej coś zawadza, czy to szklanka, dzbanek czy lampa,

zaraz buch! o podłogę! Ma bardzo dużo lalek i wszystkie są nadtłuczone. Takie ataki nachodzą ją w chwilach złości lub nudy. Któregoś dnia przyjaciółka przywiozła jej z Memphis nową lalkę. Spróbowałam ją ostrzec, żeby tej nie stłukła. Kazałam jej wykonać ruch jakby rozbijania główki lalki o stół i wypalcowałam: „Nie, nie — Helena jest niegrzeczna, nauczycielka jest smutna" — i kazałam jej wyczuć mimikę smutku na mojej twarzy. Następnie kazałam jej popieścić lalkę, pocałować w bolące miejsce, wziąć ją delikatnie w objęcia. I wypalcowałam: „Dobra Helenka, nauczycielka jest szczęśliwa". Wreszcie dotknęłam jej rączką mojej uśmiechniętej twarzy. Odtworzyła te gesty mimicznie kilka razy, a potem stała chwilę bez ruchu z ogromnie zakłopotaną twarzą. Nagle rozjaśniła się, wypalcowała: „Dobra Helenka" — i uśmiechnęła się bardzo szerokim, sztucznym uśmiechem. Wreszcie zaniosła lalkę na górę, położyła na górnej półce w szafie ubraniowej i dotychczas jej nie ruszyła.

Niech Pani pozdrowi ode mnie serdecznie pana Anagnosa i da mu do przeczytania mój list, jeżeli Pani uzna za wskazane. Słyszałam, że w Instytucie w Baltimore wychowują głuchociemne dziecko.

2 czerwca 1887 r.

Upały straszne. Okropnie brak deszczu. Martwimy się wszyscy o Helenkę. Ogromnie nerwowa i pobudliwa. Sypia niespokojnie i straciła apetyt. Nie wiadomo, co z nią robić. Lekarz mówi, że ma zbyt czynny umysł, ale jak powstrzymywać ją od myślenia? Ledwo się rano zbudzi, zaczyna palcować i robi to przez cały dzień. Jeżeli nie chcę z nią rozmawiać, pisze do własnej ręki i najwidoczniej prowadzi sama z sobą niezmiernie ożywione rozmowy.

Dałam jej do zabawy moją tabliczkę Braille'a w nadziei, że mechaniczne nakłuwanie dziurek w papierze okaże się wypoczynkową rozrywką dla jej umysłu. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłam, że mała czarownica napisała listy! Nie wyobrażałam sobie, że ona wie, co to jest list. Chodziła ze mną często na pocztę, gdy nadawałam listy, i pewno jej opowiadałam, o czym pisuję do Pani. Wiedziała również, że pisuję czasami na tabliczce listy do niewidomych dziewczy-

nek. Jednak nie przypuszczałam, że zdaje sobie jasno sprawę z tego, co to jest list. Raz przyniosła mi podziurkowany arkusz. Chciała włożyć go do koperty i zanieść na pocztę. Powiedziała: „Frank — list". Zapytałam, o czym napisała do Franka. Odpowiedziała: „Dużo słów. Szczenię. Mama — pies. Dzidzi — płakać. Gorąco. Helena chodzić na spacer — nie. Słońce palić — źle. Frank — przyjechać. Helena — całować Franka. Poziomki — bardzo dobre".

Helena prawie tak samo przepada za czytaniem jak za rozmową. Orientuje się w sensie całych zdań, chwytając z kontekstu znaczenie słów, których nie zna. Jej skwapliwe pytania świadczą o niezwykłej inteligencji.

Raz, kładąc się spać, znalazłam Helenkę głęboko uśpioną z wielką księgą w objęciach. Najwidoczniej usnęła w trakcie czytania. Gdy zapytałam jej o to z rana, odpowiedziała: „Książka — płakać". Uzupełniła sens tego zdania mimicznie, trzęsąc się i okazując strach innymi jeszcze znakami. Nauczyłam ją słowa „bać się". Odpowiedziała: „Helena — nie bać się. Książka się bać. Książka będzie spać z dziewczynką". Powiedziałam na to, że książka się nie boi i że musi spać w swoim futerale i że „dziewczynce" nie wolno czytać w łóżku. Zrobiła bardzo łobuzerską minkę. Niezawodnie zrozumiała, że domyśliłam się jej podstępu.

Cieszę się, że pan Anagnos ma o mnie jako o nauczycielce takie wysokie wyobrażenie. Ale „geniusz" i „oryginalność" to są słowa, którymi nie powinno się szafować. Jeżeli nawet można by je zastosować do mnie chociażby w przybliżeniu, to nie uważam, żebym z tego powodu zasługiwała na pochwałę.

Chciałabym powiedzieć coś przeznaczonego tylko do Pani wiadomości. Coś mi mówi, że odniosę sukces przekraczający moje marzenia. Gdyby nie pewne okoliczności, które oblekają takie przypuszczenie w szaty wielkiego nieprawdopodobieństwa, a nawet absurdu, tobym pomyślała, że nauka Heleny przewyższy, jako interesujący i zadziwiający fenomen, nawet dzieło doktora Howe'a. Wiem, że posiada ona wybitne zdolności, i wierzę, że będę mogła rozwinąć je i ukształtować. Nie umiem powiedzieć, skąd to wiem. Jeszcze niedawno nie miałam pojęcia, jak się wziąć do pracy. Szukałam wyjścia po omacku,

ale teraz wiem z całą pewnością. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale gdy nastręczają się trudności, nie czuję się zakłopotana ani nie mam wątpliwości. Wiem, jak sobie radzić. Zupełnie, jakbym odgadywała szczególne potrzeby Heleny. To coś zadziwiającego.

Już ludzie zaczynają interesować się Helenką. Robi wrażenie na każdym, kto ją zobaczy. To nie jest zwyczajne dziecko i zainteresowanie nią nie jest zwykłą ciekawością ludzką. Wobec tego bądźmy nadzwyczajnie ostrożne w tym, co o niej mówimy i piszemy. Będę pisywała do Pani otwarcie, bez zastrzeżeń, nic nie ukrywając, ale pod jednym warunkiem. Musi mi Pani przyrzec, że nigdy nikomu nie będzie Pani pokazywała moich listów. Jeżeli tylko dam radę, to nie pozwolę zrobić z mojej pięknej Heleny dziwoląga.

5 czerwca 1887 r.

Upały sprawiają, że Helena jest ospała i spokojna. Istotnie, w tym piekielnym żarze wszyscy bez mała się rozpływamy. Wczoraj Helenka rozebrała się i przez całe popołudnie siedziała nago. Gdy słońce zajrzało w okno, przy którym siedziała z książką, zerwała się niecierpliwie i zamknęła okno. Mimo to słońce nie przestało prażyć przez szyby. Podeszła do mnie ze zmartwioną minką i wysylabizowała z naciskiem: „Słońce jest zły chłopak. Słońce musi iść do łóżka".

Jakież to teraz najdroższe stworzonko, a jakie kochające! A jakie przebiegłe! Gdy raz chciałam, żeby mi przyniosła wody, odpowiedziała: „Nogi bardzo zmęczone. Nogi płaczą bardzo".

Ogromnie była dziś zainteresowana kurczątkami, które zaczęły się rano wykluwać. Dałam jej do ręki jajko, żeby wyczuła stukanie wewnątrz. Jej zdziwienie, gdy wyczuła w skorupce maleńkie stworzenie, nie da się wyrazić. Kwoka była bardzo łagodna i nie miała nic przeciwko naszym badaniom. Oprócz kurcząt rodzina powiększyła się o inne przychówki: dwoje cieląt, źrebaka i kilka zabawnych prosiątek. Ubawiłaby się Pani, widząc mnie z kwiczącym prosiątkiem na rękach, podczas gdy Helena dotykała je i zadawała niezliczone pytania, na które trudno mi było odpowiadać. Gdy przekonała się, że kurczątko wychodzi z jajka, zapytała: „Czy prosiątko-dzidzi

urosło w jajku? A gdzie dużo skorupek?" Obwód głowy Heleny wynosi dwadzieścia cali i pół, a mojej dwadzieścia jeden i pół. Widzi Pani, wyprzedzam ją tylko o cal.

12 czerwca, 1887 r.

Upał nie ustaje. Helena taka sama mniej więcej jak była — blada i chuda, ale niech Pani nie myśli, że jest chora. Jestem pewna, że to upał tak na nią działa, a nie żywa, naturalna praca umysłowa. Oczywiście nie będę przemęczała jej nauką. Mocno dają się nam we znaki ludzie, którzy tam, gdzie Bóg nie roztacza swojej pieczy, biorą na siebie odpowiedzialność za świat. Mówią nam, że Helena jest „przeforsowana", że umysł jej nazbyt jest czynny (ci sami ludzie kilka miesięcy temu odsądzali ją w ogóle od umysłu!) i podsuwają wiele absurdalnych i niemożliwych środków zapobiegawczych. Jak dotychczas nikt nie zaproponował, żeby ją uśpić, co, jak myślę, byłoby jedynym skutecznym sposobem powstrzymywania jej rozwoju. To po prostu niesamowite, jak ludzie są skorzy udzielać rad w rzeczywistych czy wyimaginowanych potrzebach i chociażby nie wiem ile razy przekonali się, że się mylą, będą się upierali przy swoich poglądach, jakby je otrzymali od Wszechmocnego!

Uczę Helenkę pisania zwykłych liter do ręki dla rozrywki. Ma przynajmniej zajęcie i jest spokojna. Przy tych denerwujących upałach dobrze jej to robi. Wpadła w manię liczenia. Policzyła wszystko w domu, a teraz liczy słowa w swojej czytance. Oby jej nie strzeliło do głowy policzyć własnych włosów! Przypuszczam, że gdyby widziała i słyszała, to wyładowywałaby nadmiar energii w sposób być może mniej uciążliwy dla mózgu, chociaż moim zdaniem zwykłe normalne dziecko traktuje swoje zabawy całkiem na serio. Chłopaczek, który ugania się z nowojorskim parowozem naokoło dziecinnego pokoju, robiąc zakręty, o jakich nie śni się mniej pomysłowym inżynierom, wkłada całą duszę w swoją lokomotywkę.

Właśnie przyszła do mnie z zasmuconą minką.

„Dziewczynka nie policzyć bardzo wielkie (dużo) słowa". Zaproponowałam, żeby poszła pobawić się z Nancy.

Moja rada nie przypadła jej jednak do gustu. „Nancy jest bardzo chora" — powiedziała. Zapytałam, co jest Nancy. „Dużo ząbek — objaśniła. — I Nancy chora". Właśnie Mildred ząbkuje.

Któregoś dnia powiedziałam jej, że winorośl obrastająca płot należy do roślin pnących. Ogromnie ją to rozśmieszyło. Zaczęła doszukiwać się analogii między ruchami roślin i swoimi. Rośliny biegają, pną się, skaczą, podrygują, schylają się, padają, wspinają się i kołyszą. „Ja — dodaje filuternie — jestem chodzić — roślina".

Wczoraj wieczorem trzymała mi włóczkę, a ja nawijałam. Potem zaczęła się kręcić w kółko, jednocześnie palcując sobie: „Nawijać szybko, nawijać wolno!" Świetnie się przy tym bawiła.

15 czerwca 1887 r.

Wczoraj wieczorem mieliśmy wspaniałą burzę z piorunami i dziś znacznie się ochłodziło. Mamy uczucie, jakbyśmy byli wszyscy świeżo po natrysku. Helena żywa, jak iskra. Czując uderzenia piorunów pytała, czy to mężczyźni strzelają w niebie i czy drzewa i kwiaty spijają wszystek deszcz.

*19 czerwca 1887 r.**

Moja wychowanka uczy się nadal z niezmiennym zapałem. Gdy nie śpi, stara się usilnie zdobywać wiedzę. To jest u niej wrodzonym pragnieniem. Umysł jej pracuje niezmordowanie, tak dalece, że zaczęliśmy się lękać o jej zdrowie. Ale apetyt, który nie dopisywał jej przez kilka tygodni, powrócił i sen ma teraz spokojniejszy i naturalniejszy. Dwudziestego siódmego bieżącego miesiąca skończy siedem lat.

W czasie spacerów pisze na palcach bez przerwy, jednocześnie skacze, podryguje, chodzi i biega. Wesołość nie opuszcza jej ani na chwilę. Gdy zgubi się oczko, mówi: „Helena źle, nauczycielka będzie płakać".

Gdy chce wody: „Dać Helenie pić wody".

Zna czterysta słów nie licząc imion własnych. W ciągu jed-

* Ten fragment był ogłoszony w sprawozdaniu Instytutu Perkinsa w 1887 r.

nej lekcji nauczyłam ją następujących słów: łóżko, materac, prześcieradło, kołdra, jasiek, kapa, poduszka. Na drugi dzień przekonałam się, że zapamiętała wszystkie z wyjątkiem kapy. Tego samego dnia nauczyła się w różnych odstępach czasu słów: dom, zielsko, kurz, huśtawka, melasa, szybki, wolny, cukier klonowy oraz kontuar, i z tych ostatnich nie zapomniała ani jednego. Da to Pani wyobrażenie, jaką ma świetną pamięć. Umie liczyć do trzydziestu bardzo szybko i potrafi napisać siedem zwykłych liter oraz słowa dające się z nich ułożyć. Zdaje się rozumieć, co to jest list, i chciałaby jak najprędzej „napisać Frank list". Bardzo lubi robić szydłem dziurki w papierze, jak sądziłam dlatego, że można wówczas obejrzeć wyniki jej pracy. Ale raz zaczęliśmy ją obserwować. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu stwierdziłam, że zabawia się w pisanie listu. Wypalcowała „Ewa" (to ulubiona jej kuzynka) jedną rączką, następnie udała, że to pisze, następnie wypalcowała: „chora w łóżku" i znów to napisała. Zabawiała się tak blisko godzinę. Przelewała na papier (czy też to sobie wyobrażała) rzeczy, które ją interesowały. Dokończywszy list, zaniosła go matce mówiąc: „Frank list". Dała go bratu z poleceniem, żeby zaniósł na pocztę. Chodziła ze mną na pocztę, gdy nadawałam listy.

Natychmiast poznaje osobę, którą raz spotkała, i pisze na palcach jej nazwisko. W przeciwieństwie do Laury Bridgman przepada za panami. Zauważyliśmy, że łatwiej jej zaprzyjaźnić się z mężczyzną niż z kobietą.

Zawsze gotowa dzielić się tym, co posiada, ze wszystkimi, często zatrzymuje dla siebie tylko drobną cząstkę. Ogromnie lubi sukienki i wszelkiego rodzaju stroje i jest bardzo nieszczęśliwa, gdy znajdzie w nich dziurę. Nawet gdy jest taka śpiąca, że ledwo stoi na nogach, domaga się, żeby jej nawinąć włosy na papiloty. Któregoś dnia rano odkryła dziurę w buciku. Poszła do ojca i wypalcowała: „Helena nowy bucik Simpson (jej brat) powozik kupiec". Sens tych słów jest oczywisty.

3 lipca 1887 r.

Dziś rano zrobił się na dole wielki rumor. Usłyszałam krzyk Heleny i zbiegłam zobaczyć, co się dzieje. Znów wpadła

w okropną pasję. A spodziewałam się, że się to więcej nie powtórzy. Przez ostatnie dwa miesiące była taka łagodna, taka posłuszna... Myślałam, że miłość pokonała lwa, ale najwidoczniej zwierz zdrzemnął się tylko. Dziewczynka szarpała, drapała i kąsała Viney na podobieństwo dzikiej bestyjki. Jak mówiono, Viney w obawie, żeby mała nie stłukła szklanki, do której nakładła kamyków, chciała ją jej odebrać. Może dała jej klapsa albo w inny sposób rozdrażniła dziecko. Stąd ten niezwykły wybuch wściekłości. Gdy ujęłam ją za rączkę, trzęsła się cała. Rozpłakała się. Zapytałam, co się stało. Odpalcowała „Viney — zła". I zaczęła znów bić Murzynkę i kopać ze wzmożoną gwałtownością. Chwyciłam ją mocno za rączki i trzymałam, dopóki się nie uspokoiła.

Przyszła później do mojego pokoju bardzo smutna i chciała mnie pocałować. „Nie mogę całować niegrzecznej dziewczynki" — odparłam. Na to ona odpalcowała: „Helena jest dobra, Viney jest niedobra". „Ty biłaś Viney i kopałaś, a ją przecież bolało. Byłaś bardzo niegrzeczna i ja nie mogę pocałować niegrzecznej dziewczynki".

Stała przez chwilę bez ruchu. Po jej zaczerwienionej, wzburzonej twarzy widziałam, że toczy ze sobą walkę. Wreszcie powiedziała: „Helena nie kochać nauczycielka, Helena kochać mama. Mama zbije Viney batem".

Odpowiedziałam, że niech lepiej już więcej o tym nie mówi, a trochę się zastanowi. Wiedziała, że byłam bardzo poruszona, i nie chciała odejść. Ale ja uważałam, że dobrze jej zrobi, gdy poduma w samotności. Przy obiedzie była ogromnie zdenerwowana, bo wcale nie jadłam. Wystąpiła z radą, żeby „kucharka zaparzyć herbatę dla nauczycielka". Powiedziałam jej, że moje serce jest smutne i że nie chce mi się jeść. Rozpłakała się i przytuliła do mnie.

Gdyśmy poszły na górę, była tak roztrzęsiona, że spróbowałam zająć jej uwagę ciekawym owadem — pałecznikiem. Nigdy nie widziałam dziwaczniejszego stworzenia. Przypomina maleńki patyczek. Nie chciałam wierzyć, że to żywe stworzenie, dopóki się nie poruszyło. A nawet w ruchu więcej przypomina mechaniczną zabawkę niż żyjący organizm. Ale biedne dziecko nie było zdolne zainteresować się tym dziwolągiem.

Helenka była zgnębiona, chciała tylko mówić o swoim zmartwieniu.

„Czy robak może wiedzieć o niegrzecznej dziewczynce? Czy robak jest bardzo szczęśliwy? — pytała i zarzuciwszy mi ręce na szyję dodała: — Ja jestem jutro dobra. — (Znaczyło to: będę jutro dobra). — Helena jest (czyli: będzie) dobra wszystkie dni".

„Czy powiesz Viney, jak ci przykro, że ją drapałaś i kopałaś?" — zapytałam. Uśmiechnęła się. „Viney nie literować słowa" (co miało oznaczyć: nie umie literować). Więc ja na to: „To ja powiem Viney, że jest ci bardzo przykro. Czy pójdziesz ze mną poszukać Viney?"

Poszła ze mną bardzo chętnie i pozwoliła pocałować się Viney, chociaż nie odwzajemniła pocałunku. Od tego czasu jest niezwykle serdeczna, a na jej twarzyczce maluje się słodycz — piękno duszy, czego przedtem nie zauważyłam.

31 lipca 1887 r.

Helenka pisze doskonale ołówkiem. Może się Pani przekonać z załączonego listu. Pisała go dla zabawy. Uczę ją alfabetu Braille'a. Uszczęśliwiona jest, że sama może pisać słowa, dające się wyczuć palcami. Wkroczyła teraz w stadium pytań. Jak dzień długi „co", „jak", „dlaczego", „kiedy" nie schodzą jej z ust, a zwłaszcza „dlaczego". W miarę jak rozwija się inteligencja, pytania stają się coraz natarczywsze. Pamiętam, jak mnie męczyła wścibska ciekawość dzieci moich przyjaciół. Teraz dopiero wiem, że te pytania to symptomat potęgującego się zainteresowania dziecka przyczyną rzeczy. Słówko „dlaczego" gra rolę drzwi, przez które dziecko wstępuje w świat rozumu i poznania.

„Jak cieśla potrafi zbudować dom?", „Kto włożył kurczęta do jajek?", „Dlaczego Viney jest czarna?", „Muchy kąsają — dlaczego?", „Czy muchy umieją nie kąsać?", „Dlaczego ojciec zabił owcę?" Naturalnie zadaje wiele pytań nie tak inteligentnych jak powyższe. Umysł jej nie jest bardziej logiczny niż umysły zwykłych dzieci. Ogólnie biorąc, można porównać pytania Heleny do pytań trzyletniego bystrego malca. Lecz głód wiedzy jest u niej tak duży, że pytania nie wydają się nigdy

nudne, jakkolwiek przy moim szczupłym zasobie informacji dają mi się dobrze we znaki, gdyż muszę wysilać moją pomysłowość.

W ubiegłą niedzielę otrzymałam list od Laury Bridgman. Proszę ją serdecznie pozdrowić i załączyć całusa od Heleny. Czytałam list przy kolacji. Pani Keller wykrzyknęła: „Ależ, proszę pani, Helena pisze już prawie tak samo poprawnie". I tak jest istotnie.

21 sierpnia 1887 r.

W Huntsville było nam ogromnie miło. Wszyscy zachwycali się Heleną, pieścili ją i zasypywali podarunkami. Zaraz pierwszego wieczora nauczyła się nazwisk wszystkich osób w hotelu. Było ich pewno ze dwadzieścia. Nazajutrz rano stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że wszystkie zapamiętała. Poznawała każdą osobę, którą zobaczyła w przeddzień wieczorem. Uczyła dzieci alfabetu. Kilkoro nauczyło się rozmawiać z nią. Jedna z dziewczynek nauczyła ją tańczyć polkę, a mały chłopczyk pokazał jej swoje króliki i wypalcował ich nazwy. Z wielkiej radości uściskała go i wycałowała, co ogromnie speszyło nieboraka.

Sfotografowaliśmy Helenkę razem z kudłatym czerwonookim pudelkiem. Wkradł się w łaski małej pani sztuczkami i podstępnymi figielkami, do jakich są zdolne tylko inteligentne psy.

Od powrotu Helena opowiada bez końca, co robiła w Huntsville. Stwierdzamy u niej bardzo zdecydowany postęp w umiejętności wypowiadania się. Dziwne to, ale wyprawa na szczyt Monte Sano, pięknej góry w niedalekim sąsiedztwie Huntsville, zrobiła na niej, jak się zdaje, większe wrażenie niż cokolwiek innego, z wyjątkiem oczywiście nadzwyczajnego pudla. Pamięta wszystko, co jej mówiłam o tej górze. Opowiadając o tym matce, używała tych samych słów i zwrotów, co ja opisując jej górę. Na zakończenie zapytała matkę, czy chciałaby zobaczyć „bardzo wysoką górę i piękne czapy z chmur". Tego określenia nie użyłam. Powiedziałam tylko: „Chmury dotykają leciutko góry, przypominają piękne kwiaty". Widzi Pani, musiałam dobierać słowa i obrazy, które poznała dotykiem. Ale wprost trudno przypuścić, żeby same tylko słowa mogły dać osobie, która nigdy nie widziała góry, najsłabsze nawet wyobrażenie

o jej wielkości. Nie pojmuję, jakich ona doświadczała wrażeń i dlaczego cieszyło ją moje opisowe opowiadanie. Tego nikt nie zgłębi. Wiemy z pewnością tylko tyle, że ma dobrą wyobraźnię oraz zdolności kojarzenia.

28 sierpnia 1887 r.

Żeby wreszcie natura przestała rodzić! „Nowe szczenięta", „nowe cielęta" i „nowe niemowlęta" doprowadzają Helenkę do białej gorączki. Pytaniom nie ma końca. Dlaczego? Po co? Na co? Przybycie na świat dziecka w Zielonym Bluszczu stało się podnietą do pytań w kwestii pochodzenia niemowląt i żywych stworzeń w ogóle.

„Skąd Leila wzięła nowe dzidzi? Jak doktor wiedział, gdzie szukać dzidzi? Czy Leila prosiła doktora o bardzo maleńkie nowe dzidzi? Gdzie doktor znalazł Guya i Prince'a? (szczenięta). Dlaczego Elżbieta jest siostrą Eweliny?" itd., itd. Helenka zadawała czasami te pytania w kłopotliwych okolicznościach. Postanowiłam coś z tym fantem zrobić. Jeżeli zadawanie takich pytań było z jej strony naturalnym objawem, to moim obowiązkiem było udzielić jej odpowiedzi. Według mnie zbywanie dzieci kłamstwami i nonsensami jest wielkim błędem, skoro rozwijające się w nich zdolności obserwacyjne i dyskryminacyjne domagają się wyjaśnień. Więc od samego początku przyjęłam za zasadę odpowiadać na wszelkie pytania wedle moich możliwości jak najbardziej rzeczowo, w sposób dla niej zrozumiały, a zarazem zgodny z prawdą. „Dlaczegóż miałabym traktować te sprawy inaczej?" — zapytywałam samą siebie. Doszłam do wniosku, że nie było innej racji prócz mojej opłakanej ignorancji w odniesieniu do wydarzeń leżących u podstaw naszej egzystencji. Niewątpliwie z powodu tej ignorancji narobiłam szumu tam, gdzie bardziej doświadczone anioły boją się stąpać. W tej części świata nie ma takiej osoby, do której mogłabym się zwrócić o radę w tej czy innej trudności pedagogicznej. Jedyne dla mnie wyjście w kłopotach, to przeć naprzód i uczyć się na własnych błędach. Ale w tym wypadku nie popełniłam błędu. Weszłam z Heleną i moją botaniką „Jak rosną rośliny" na drzewo, gdzie często czytujemy i uczymy się, i opowiedziałam jej historię życia rośliny bardzo przystępnie. Przypomniałam jej

o kukurydzy, fasoli i nasionach arbuza, które sadziła na wiosnę, i wyjaśniłam, że wysoka kukurydza w ogrodzie i fasola tyczkowa, i arbuzy wyrosły z tych nasion. Wytłumaczyłam, jak to ziemia ogrzewa nasiona i przepaja wilgocią, póki maleńkie listeczki nie staną się dostatecznie silne, żeby się przebić na światło i powietrze, gdzie mogą oddychać, rosnąć i kwitnąć, i wydawać nowe nasiona, z których wyrosną nowe roślinki-niemowlęta. Przeprowadziłam analogię między życiem roślinnym i zwierzęcym, wykazując, że nasiona to takie same jajka, jak kurze i ptasie. Opowiedziałam, że kwoka ogrzewa jajka i zabezpiecza od wilgoci, dopóki kurczęta nie wydostaną się ze skorupek. Dałam jej do zrozumienia, że wszelkie życie pochodzi od jajka. Ptasia matka składa jajka w gnieździe i ogrzewa je do czasu wyklucia się małych ptaszków. Rybia matka składa jajka w takim miejscu, gdzie wie, iż będzie im bezpiecznie do czasu wylęgu rybek. Powiedziałam jej, że mogłaby nazwać jajko kolebką życia. Następnie wyjaśniłam, że inne zwierzęta, jak psy, krowy, a także i ludzkie istoty, nie składają jajek, lecz hodują swoje małe we własnych ciałach. Nie miałam trudności z wytłumaczeniem jej, że gdyby rośliny i zwierzęta nie wydawały potomstwa, każde w swoim rodzaju, to przestałyby istnieć i wszystko na świecie szybko by wymarło. Ale seksualną stronę zagadnienia potraktowałam możliwie zdawkowo. Spróbowałam jednak dać jej do zrozumienia, że miłość jest wielką kontynuatorką życia. Temat był trudny, a moja wiedza niedostateczna. Ale rada jestem, że nie uchyliłam się przed odpowiedzialnością, bo chociaż moje wyjaśnienia były ogólnikowe i niedokładne, to przecież wywołały głęboki odzew w duszy mojej uczenniczki. Pojęła wielkie prawa fizyczne z taką łatwością, iż utwierdziło mnie to w przekonaniu, że dziecko, przychodząc na świat, przynosi z sobą w stanie uśpionym wszystkie doświadczenia swojej rasy. Te doświadczenia to coś w rodzaju negatywów fotograficznych i dopiero język prześwietla je i wywołuje obrazy pamięciowe.

4 września 1887 r.

Dziś rano Helena otrzymała list od stryja, doktora Kellera. Zaprasza ją do siebie, do Gorących Źródeł. Nazwa Gorące

Źródła zaciekawiła ją. Znów posypały się pytania. Wie o zimnych źródłach. Jest ich kilka w sąsiedztwie Tuscumbii, jedno bardzo duże, od którego pochodzi nazwa miasta. „Tuscumbia" znaczy po indiańsku „Wielkie Źródło". Ale Helena zdziwiła się, że z ziemi może się wydobywać gorąca woda. Dopytywała się, kto rozpalił ogień w ziemi, czy to taki sam ogień, jak w piecach, i czy spala korzenie roślin i drzew.

List ucieszył ją ogromnie. Gdy jej wreszcie zabrakło pytań, poszła z nim do matki, która szyła w hallu. Tam go jej odczytała. Zabawnie było patrzeć, jak trzymając list przed oczami, pisała zdania na palcach, tak jak ja. Potem spróbowała przeczytać go wyżlicy Belli i Mildred. Pani Keller i ja obserwowałyśmy tę komedię przez drzwi dziecinnego pokoju. Bella była senna, a Mildred nieuważna. Helena miała bardzo poważną minkę i parę razy, gdy Mildred chciała jej odebrać list, odepchnęła ze zniecierpliwieniem jej rączkę. W końcu Bella wstała, wstrząsnęła się i zamierzała odejść, lecz Helena chwyciła ją za kark i zmusiła, żeby się położyła. Tymczasem Mildred złapała list i oddaliła się raczkując. Helena przesunęła ręką po podłodze, ale listu nie znalazła. Najwidoczniej podejrzenie jej padło na Mildred, gdyż wydała cichy dźwięk, jakim zawsze woła na „dzidzi". Wreszcie podniosła się i stanęła nieruchomo, jakby nasłuchiwała stopami „tupotania" Mildred. Gdy się zorientowała, skąd dochodzi odgłos, podeszła do małej przestępczyni, która zdążyła już włożyć cenny list do buzi! Tego było Helenie za wiele. Wyrwała małej list i dała jej mocno po łapkach. Pani Keller wzięła dziecko na ręce i gdy nam się udało je uspokoić, zwróciłam się do Heleny: „Co zrobiłaś dzidziusiowi?"

Zmieszała się odpowiedziała z wahaniem: „Niedobra dziewczynka jeść list. Helena dać klaps bardzo niedobra dziewczynka".

Wytłumaczyłam jej, że Mildred jest maleńka i nie wie, że to źle kłaść list do buzi.

„Ja powiedzieć dzidzi nie — nie — dużo razy — odpowiedziała Helena". A ja jej na to: „Mildred nie rozumie twoich paluszków i musimy się z nią obchodzić bardzo łagodnie".

Potrząsnęła główką. „Dzidzi nie myśleć. Helenka da dzidzi ładny list". Pobiegła na górę i wróciła ze starannie złożonym

arkusikiem braille'owskim, na którym napisała kilka słów. Wręczyła go Mildred. „Dzidzi może zjeść wszystkie słówka".

18 września 1887 r.

Rozumiem, iż dziwi to Panią, że zamierzam uzupełnić sprawozdanie. Nie umiem powiedzieć, jak do tego doszło, chyba że znudziło mi się wciąż odmawiać, a kapitan Keller bardzo mnie na to namawiał. Przyznał rację panu Anagnosowi, że to mój obowiązek podzielić się z innymi moim doświadczeniem. Prócz tego — dodawał — cudowne wyzwolenie Heleny może okazać się dobrodziejstwem dla innych upośledzonych dzieci.

Gdy zasiadam do pisania, myśli ulatują mi z głowy, a gdy je usiłuję przenieść na papier, upodabniają się do ustawionych w szereg drewnianych żołnierzy, a jeżeli trafi się wśród nich jeden żywy, ubieram go w kaftan bezpieczeństwa. Swoją drogą łatwo nazwać Helenę nadzwyczajnym dzieckiem, bo ona istotnie jest nadzwyczajna. W ciągu ubiegłego tygodnia notowałam wszystko, co powiedziała, i przekonałam się, że zna już sześćset słów, co bynajmniej nie znaczy, że zawsze posługuje się nimi poprawnie. Czasami jej zdania przypominają chińskie zagadki. Ale to są łamigłówki, jakie układają dzieci, gdy próbują wyrazić swoim językiem niejasne wyobrażenia o rzeczach. Helenka ma wielką łatwość i pomysłowość w wypowiadaniu tego, co myśli, znanymi sobie słowami.

Ostatnio bardzo się interesowała kolorami. Znalazła w swojej czytance słowo „brązowy" i pytała, co ono oznacza. Odpowiedziałam, że to barwa jej włosów, a ona na to: „A czy to bardzo ładny kolor?" Gdyśmy obeszły cały dom, przy czym mówiłam jej, jakiego koloru są przedmioty, których dotykała, zaproponowała inspekcję kurników i stodół. Powiedziałam jej, że musi zaczekać z tym do jutra, bo jestem bardzo zmęczona. Usiadłyśmy w hamaku, ale o wypoczynku nie było mowy. Helena domagała się natarczywie „więcej koloru". Zastanawiałam się, czy ona ma chociaż mgliste wyobrażenia o kolorach — czy pozostało jej jakiekolwiek wspomnienie światła i dźwięku. Wydaje się przecież, że dziecko, które widziało i słyszało przez dziewiętnaście miesięcy, powinno było zachować w pamięci, chociażby w najsłabszej postaci, pierwsze swoje wrażenia. Helenka mówi

ogromnie dużo o rzeczach, których nie poznała dotykiem. Wypytuje się szczegółowo o niebo, dzień i noc, ocean i góry. Lubi słuchać moich opowiadań o treści obrazów.

Ale okazuje się, że odbiegłam od tematu. „Jakiego koloru jest myśleć?" — spytała mnie, gdyśmy się bujały w hamaku. Odpowiedziałam, że kiedy jesteśmy szczęśliwi, nasze myśli są jasne, a kiedy jesteśmy niegrzeczni, myśli nasze nabierają barwy smutku. Wyciągnęła wniosek z błyskawiczną szybkością. „Moje myśleć jest białe, Viney myśleć jest czarne".

Widzi Pani, przyszło jej do głowy, że kolor naszych myśli odpowiada barwie skóry. Musiałam się roześmiać, bo właśnie Viney wyśpiewywała na całe gardło:

> Obym tak siedziała na murach z jaspisu,
> Patrzeć na upadek tych, co wrednie grzyszu!

3 października 1887 r.

Skończyłam uzupełniać referat i wysłałam go. Mam dwa odpisy i jeden przekażę Pani. Ale niech Pani nie pokazuje nikomu. Do chwili ogłoszenia sprawozdania jest on własnością pana Anagnosa.

Przypuszczam, że list Heleny ucieszył dziewczynki. Mówiąc językiem dzieci, napisała go z głowy.

Dużo mówi, co będzie robiła w Bostonie. Raz wystąpiła z pytaniem: „Kto zrobił wszystkie rzeczy i Boston?"

Mówi, że Mildred nie pojedzie do Bostonu, bo „dzidzi płacze po całych dniach".

25 października 1887 r.

Helena napisała wczoraj drugi list do dziewczynek i ojciec jej przesłał go panu Anagnosowi. Niech go Pani poprosi, żeby Pani pokazał. Zaczęła z własnej inicjatywy używać zaimków.

Dziś rano mówię: „Helena pójdzie na górę". Na to ona ze śmiechem: „Nauczycielka nie ma racji. Ty pójdziesz na górę".

To nowy podstęp. Zawsze się tak dzieje. Wczorajsze trudności stają się dzisiaj dziwnie proste, a dzisiejsze przeobrażają się nazajutrz w rozrywkę.

Pięknie jest obserwować szybki rozwój umysłowy Heleny.

Wątpię, czy który nauczyciel miał kiedy tak absorbująco ciekawą pracę. Najwidoczniej nad moją kołyską świeciła szczęśliwa gwiazda i teraz właśnie zaczynam odczuwać jej dobroczynny wpływ.

W zeszłym tygodniu miałam dwa listy od pana Anagnosa. Jest mi niezwykle wdzięczny za mój referat. Teraz domaga się zdjęcia „ukochanej Helenki oraz jej znakomitej nauczycielki dla uświetnienia dorocznego sprawozdania".

Październik 1887 r.

Już Pan prawdopodobnie czytał drugi list Heleny do dziewczynek. Zdaję sobie sprawę, że postępy, jakie uczyniła od czasu napisania pierwszego, muszą się wydawać niewiarygodne. Tylko ci, którzy stale z nią przebywają, mogą widzieć, z jaką szybkością opanowuje język. Na podstawie drugiego listu zorientuje się Pan, że używa poprawnie wielu zaimków. W rozmowie opuszcza je rzadko i równie rzadko niewłaściwie stosuje. Pasja pisania listów i przelewania myśli na papier potęguje się. Opowiada teraz historyjki, w których doniosłą rolę gra wyobraźnia. Zaczyna również pojmować, że nie jest taka, jak inne dzieci. Któregoś dnia zapytała: „Co robią moje oczy?" Odpowiedziałam, że ja mogę widzieć oczami, a ona może widzieć palcami. Po chwili namysłu dorzuciła: „Moje oczy są złe". I natychmiast się poprawiła: „Moje oczy są chore".

Pierwszy referat Anny Sullivan, ogłoszony w oficjalnym sprawozdaniu Instytutu Perkinsa za rok 1887, jest krótkim streszczeniem tego, co obszernie podawała w listach. Poniżej podajemy ostatnią część, zaczynającą się od dnia 5 kwietnia, kiedy Helena nauczyła się słowa: woda.

Anna Sullivan pisze o „lekcjach" tak jakby się one odbywały regularnie. „Lekcja" to słowo zbyt formalne na określenie stałej codziennej pracy.

Któregoś dnia zaprowadziłam ją do cysterny. Gdy woda tryskała z pompy, wypalcowałam: „woda". Natychmiast klepnęła mnie po ręce na znak, że mam powtórzyć, i rozpromieniona sama wyliterowała to słowo. Właśnie w tej chwili do domku z pompą weszła niańka z małą siostrzyczką Heleny. Położyłam

rączkę Helenki na dziecku i wyliterowałam słowo: „dzidzi". Powtórzyła je bez pomocy, z błyskiem zrozumienia na twarzy.

W drodze powrotnej do domu wszystko, czego się dotknęła, musiało otrzymać nazwę i rzadko musiałam coś powtarzać. Ani długość słowa, ani układ liter nie robią jej, jak się zdaje, żadnej różnicy. A nawet łatwiej zapamiętała heliotrop i chryzantemę niż krótsze nazwy. Pod koniec sierpnia znała 625 słów.

Po tej lekcji nastąpiła druga o słowach oznaczających położenie rzeczy. Jej sukienka była w kufrze, a potem na kufrze. Wypalcowałam jej te przyimki w zdaniach. Zorientowała się szybko w różnicy między w i na, chociaż nie od razu potrafiła użyć ich w zdaniach. Gdy to było możliwe, grała w trakcie lekcji rolę aktora. Cieszyła się, że stoi na krześle, że ją wsadzam do szafy. W związku z tą lekcją nauczyła się imion członków rodziny i słowa jest. „Helena jest w szafie". „Mildred jest w siatkowym łóżeczku". „Pudełko jest na stole". „Tatuś jest na łóżku". Oto próbki zdań, jakie układała w drugiej połowie kwietnia.

Następna lekcja była o przymiotnikach. Do pierwszej lekcji użyłam dwóch kul. Jedna była duża, miękka, z włóczki, druga — kulka do strzelania. Natychmiast dostrzegła różnicę w rozmiarach. Biorąc kulkę, uczyniła swój zwykły znak na małe — to jest odciągnęła na rączce fałdkę skóry. Następnie wzięła kulę włóczkową i rozpostarła nad nią ręce na znak, że duża. Te gesty zastąpiłam przymiotnikami duża i mała. Z kolei zwróciłam jej uwagę na twardość jednej kuli i miękkość drugiej. Nauczyła się przymiotników: miękka i twarda. W kilka minut później, macając główkę siostrzyczki, powiedziała do matki: „Głowa Mildred jest mała i twarda". Wreszcie zrobiłam próbę wytłumaczenia jej sensu słów: prędko i wolno. Jednego dnia pomagała mi nawijać włóczkę, wpierw prędko, potem wolno. Wypalcowałam jej: „nawijać prędko" albo „nawijać wolno", przy czym trzymałam ją za ręce i pokazywałam, jak się ma stosować do moich życzeń. Nazajutrz podczas ćwiczeń wypalcowała: : „Helena zwijać szybko" — i ruszyła szybkim krokiem. A potem: „Helena zwijać wolno" — znów dostosowała ruch do słów.

Pomyślałam, że czas nauczyć ją drukowanych liter. Kartkę z wypukłym napisem „pudełko" umieściłam na pudełku. Ten

sam eksperyment powtórzyłam z wieloma przedmiotami. Jednak nie od razu zrozumiała, że etykieta z napisem oznacza przedmiot. Wzięłam więc arkusz z alfabetem i położyłam jej palec na literze A, jednocześnie wykonując „A" moimi palcami. W miarę jak oznaczałam litery ręcznym alfabetem, Helenka przesuwała palec z jednej drukowanej litery na drugą.

W ciągu dnia nauczyła się wszystkich liter, dużych i małych. Teraz otworzyłam elementarz na pierwszej stronie i kazałam jej dotknąć słowa kot, jednocześnie palcując je. Zorientowała się błyskawicznie. Poprosiła, żebym poszukała psa i wielu innych słów. Była bardzo niezadowolona, bo nie mogłam znaleźć w książce jej imienia. Nie miałam wtedy żadnych zdań napisanych wypukłym drukiem, które mogłaby zrozumieć, ale siadywała godzinami suwając paluszkami po wszystkich słowach w książce. Gdy natrafiała na znajome słowa, buzia jej rozjaśniała się. Widzieliśmy, że z dnia na dzień staje się coraz milsza, coraz poważniejsza. W tym czasie posłałam panu Anagnosowi listę słów, które opanowała, a on, zacny człowiek, kazał je dla niej wydrukować. Pocięłyśmy z panią Keller kilka arkuszy drukowanych słów, żeby mogła układać je w zdania. Uradowało ją to więcej niż wszystko, czego się dotąd nauczyła. Tego rodzaju praktyka była wstępem do nauki pisania. Nie było żadnej trudności z wytłumaczeniem jej, jak ma pisać na papierze ołówkiem te same zdania, które układała codziennie z kawałków papieru. Połapała się szybko, że nie potrzebuje się ograniczać do wyrażeń już opanowanych, ale może przekazać każdą myśl, która jej przyjdzie do głowy. Położyłam ramkę do pisania, jaką posługują się niewidomi, między poskładany papier na stole i pozwoliłam jej zbadać pismo czarnodrukowe. Takie litery miała pisać. Prowadząc jej rękę napisałam zdanie: „Kot pije mleko". Gdy skończyła, nie posiadała się z radości. Pobiegła z tym do matki, która zdanie wypalcowała.

Dzień po dniu manewrowała ołówkiem po tych samych liniach rowkowanego papieru, nie okazując najmniejszej niecierpliwości czy znużenia.

Skoro nauczyła się przelewać na papier swoje myśli, nauczyłam ją z kolei systemu Braille'a. Uczyła się ochoczo, gdy spostrzegła, że może czytać sama to, co napisała. Jest to dla niej

źródło stałej przyjemności. Będzie siedziała przy stole cały wieczór, spisując wszystko, co przepływa przez jej intensywnie pracujący mózg. I rzadko się zdarza, żeby mi było trudno odczytać to, co napisała.

.Równie uderzające postępy robi w arytmetyce. Umie dodawać i odejmować w zakresie stu z wielką szybkością, a w tabliczce mnożenia doszła do pięciu. Właśnie pracowała nad cyfrą czterdzieści, więc mówię jej: „Zrób dwa razy". Odpowiedziała natychmiast: „Dwa razy dwadzieścia równa się czterdzieści". Więc ja znowu po przerwie: „Policz, ile będzie piętnaście trójek". Chciałam, żeby zrobiła grupy trójkowe i przypuszczałam, że będzie je musiała zliczyć, żeby zobaczyć, ile wyniesie piętnaście razy trzy. Ale ona wypalcowała odpowiedź momentalnie: „Piętnaście trójek równa się czterdzieści pięć".

Gdy się dowiedziała, że ona jest biała, a ktoś ze służby czarny, wywnioskowała stąd, że cała służba to Murzyni. Zawsze gdy pytałam ją o kolor kogoś ze służby, odpowiadała: „Czarny". Zapytana o kolor skóry człowieka, o którym nic nie wiedziała, zdetonowała się i wreszcie powiedziała: „Niebieski".

Nie mówiono jej nigdy ani o śmierci, ani o grzebaniu ciał, a jednak gdy pierwszy raz w życiu znalazła się na cmentarzu ze mną i z matką, żeby obejrzeć kwiaty, położyła rączkę na oczach i powtarzała palcując: „Płakać, płakać". Oczy jej zaszły łzami. Kwiaty nie sprawiły jej przyjemności i przez cały czas na cmentarzu była bardzo spokojna.

Innym razem, idąc ze mną, odczuła najwidoczniej obecność brata, chociaż był od nas daleko. Powtarzała na palcach jego imię. Skręciła w stronę, skąd nadchodził.

Podczas spaceru lub przejażdżki Helena natychmiast przypomina sobie nazwiska spotkanych osób.

Dalszy ciąg listów.

13 listopada 1887 r.

Zabraliśmy Helenę do cyrku. Cóż to była za uciecha! Personel cyrkowy bardzo się nią zainteresował. Wszyscy robili, co mogli, żeby ta pierwsza bytność w cyrku stała się dla niej pamiętnym dniem. Pozwalali jej oglądać zwierzęta, o ile to tylko nie było niebezpieczne. Karmiła słonie i uzyskawszy pozwo-

lenie wdrapała się na grzbiet największego. Siedziała sobie na „Wschodniej Księżniczce", podczas gdy słonica maszerowała majestatycznie dookoła areny. Bawiła się młodymi lwami, łagodnymi jak kocięta, ale uprzedziłam ją, że gdy podrosną, staną się dzikie i groźne. Zwróciła się do dozorcy: „Zabiorę dzidzi-lwiątka do domu i nauczę łagodności".

Dozorca niedźwiedzi kazał ogromnemu czarnemu Misiowi stanąć na tylnych łapach i wyciągnąć do nas łapę. Helena podała mu grzecznie rączkę. Małpy wprawiły ją w zachwyt. Trzymała rączkę na małpce podczas jej popisów. Zaśmiewała się serdecznie, gdy małpa ukłoniła się publiczności kapeluszem. Przebiegła małpeczka ukradła jej wstążkę z włosów, a druga próbowała urwać kwiaty z kapelusika. Nie wiem, kto się najlepiej bawił, małpy, Helena czy widzowie. Lampart lizał ją po rączkach. Dozorca żyraf podniósł ją, żeby mogła dotknąć ich uszu i przekonać się, jakie są wysokie. Zbadała również rydwan grecki. Woźnica chciał ją przewieźć naokoło areny, ale zlękła się koni. Jeźdźcy, błazny i linoskoczkowie pozwalali jak najchętniej niewidomej dziewczynce oglądać swoje cyrkowe kostiumy i śledzić dotykiem ich ruchy, ilekroć to było możliwe. W dowód wdzięczności wszystkich wycałowała. Od tego dnia Helenka mówi tylko o cyrku. Żeby móc odpowiadać na jej pytania, musiałam przestudiować moc książek o zwierzętach. Czuję się teraz jak omnibus.

12 grudnia 1887 r.

Trudno mi wprost uwierzyć, że Boże Narodzenie tuż, tuż! chociaż Helenka nie mówi o niczym innym. Czy Pani pamięta nasze ostatnie Boże Narodzenia? Nasze szczęście?

Helenka nauczyła się wreszcie określać godziny. Ojciec ma jej ofiarować na gwiazdkę zegarek.

Mała jest tak ciekawa powiastek i bajek, jak każde słyszące dziecko z tych, które znałam. Musiałam na jej prośby tyle razy powtarzać jej bajkę o Czerwonym Kapturku, że pewno mogłabym ją opowiedzieć od końca. Lubi powiastki pobudzające do płaczu. Sądzę, że wszyscy lubimy. To tak miło poddawać się smutkowi, gdy nie ma szczególnego powodu do smutku. Uczę ją rymowanych bajek, a także wierszy. Utrwalają w jej pamięci

piękne myśli. Wydaje mi się też, że działają ożywczo na jej zdolności, gdyż pobudzają wyobraźnię. Naturalnie nie staram się wyjaśniać wszystkiego. Gdybym to uczyniła, nie pozostawałoby miejsca na grę wyobraźni. Nadmiar wyjaśnień kieruje uwagę dziecka na poszczególne słowa i zdania, wskutek czego nie udaje mu się ogarniać myślą całości.

1 stycznia 1888 r.

To wielka rzecz czuć, że się na coś przydajemy na świecie, że jesteśmy komuś potrzebni. Fakt, że Helenka polega na mnie prawie we wszystkim, dodaje mi sił i radości życia.

Tydzień przedświąteczny był i tutaj ogromnie ruchliwy. Helena jest zapraszana na wszystkie zabawy dziecinne. Prowadzam ją na nie. Chcę, żeby poznawała dzieci i przestawała z nimi jak najwięcej. Kilka dziewczynek nauczyło się rozmawiać na palcach i bardzo są z tego dumne. Mały chłopaczyna, może siedmioletni, nauczył się alfabetu i wypalcował Helenie swoje nazwisko. Z wielkiej radości tak go wyściskała i wycałowała, że malec byłby się chętnie zapadł pod ziemię.

W sobotę dzieci szkolne miały choinkę. Zaprowadziłam na tę zabawę Helenę. Była to jej pierwsza choinka, toteż zdumieniu i pytaniom nie było końca. „Kto hoduje drzewa w domu? Dlaczego? Kto powiesił tyle tego na drzewku?"

Nie podobała jej się różnorodność owoców i zaczęła je zdejmować, najwidoczniej pod wrażeniem, że wszystko to są dary dla niej. Jednakże dała sobie bez trudu wyjaśnić, że dla każdego dziecka jest upominek. Pozwolono jej wręczyć je dzieciom ku jej ogromnej radości. Dla niej też było kilka prezencików. Schowała je na fotelu i nie skusiła się na oglądanie, dopóki wszystkie dzieci nie otrzymały swoich. Jedna dziewczynka dostała mniej upominków niż reszta dzieci i Helena uparła się, żeby się z nią podzielić swoimi. Wzruszało żywe zainteresowanie, jakie dzieci okazywały Helenie, i chęć sprawienia jej przyjemności. Śpiewy i przemówienia zaczęły się o dziewiątej, a wróciłyśmy do domu dopiero o pierwszej. Bolała mnie głowa i palce, ale Helena była tak świeża i ożywiona, jak przy wyjściu z domu.

Po obiedzie zaczął prószyć śnieg. Co to były za figle i jaka

ciekawa lekcja o śniegu! W niedzielę rano świat był już biały. Helenka, dzieci kucharki i ja bawiliśmy się w śnieżki. Ale w południe śnieg stopniał. Był to pierwszy śnieg, jaki tu widziałam, więc zatęskniłam trochę za rodzinnymi stronami. Okres świąteczny dał podnietę do wielu nowych lekcji i wzbogacił słownictwo Heleny o dziesiątki nowych słów.

Przez szereg tygodni nie robiłyśmy nic, tylko gawędziły, czytały i opowiadały sobie historyjki o Bożym Narodzeniu. Oczywiście nie staram się wyjaśniać jej wszystkich nowych słów ani ona nie rozumie całkowicie powiastek, które jej opowiadam. Ale stałe powtarzanie utrwala w umyśle słowa i wyrażenia. Znaczenie będzie jej się nasuwało po trochu. Nie widzę sensu w „udawanych" rozmowach dla nauczania języka. To głupia metoda i otępiająca zarówno dla ucznia, jak nauczyciela. Rozmowa powina być naturalną wymianą myśli. Jeżeli w umyśle dziecka nie ma żadnej treści, to chyba nie warto żądać od niego, żeby pisało na tablicy lub literowało na palcach utarte zdania o kocie, ptaku, psie. Od samego początku starałam się rozmawiać z Heleną w naturalny sposób i uczyć ją, żeby mi mówiła tylko o tym, co ją interesuje, i pytała o rzeczy, których chce się dowiedzieć. Kiedy widzę, że pragnie mi coś zakomunikować, ale ma trudności, bo brakuje jej słów, podpowiadam je jej i idzie nam jak z płatka. Zapał i zainteresowanie Heleny pozwalają jej omijać wiele przeszkód, które by nas zgubiły, gdybyśmy się zatrzymywały, żeby wszystko określać i wyjaśniać. Do czego by doszło, proszę sobie wyobrazić, gdyby ktoś zechciał mierzyć naszą inteligencję zdolnością określania najpospolitszych słów, jakimi się posługujemy? Obawiam się, że gdyby mnie poddano takiej próbie, toby mnie skierowano do wstępnej klasy w szkole dla niedorozwiniętych umysłowo.

Radość Heleny z tego pierwszego jej Bożego Narodzenia była bardzo wzruszająca. Naturalnie wywiesiła pończochę, nawet dwie — żeby Św. Mikołaj nie pominął której — i długo leżała bezsennie. Parę razy wstawała i sprawdzała, czy jest już coś. Gdy ją ostrzegłam, że Św. Mikołaj przychodzi tylko do uśpionych dzieci, zamknęła oczy ze słowami: „Pomyśli — dziewczynka śpi".

Rano pierwsza się obudziła i skoczyła do kominka po poń-

czochy. Gdy się przekonała, że Św. Mikołaj napełnił obydwie, tańczyła chwilę, potem przycichła i przyszła do mnie pytając, czy czasem Św. Mikołaj nie omylił się, bo mógł myśleć, że w pokoju są dwie dziewczynki i gdy pozna, że się pomylił, to przyjdzie odebrać podarki. Pierścionek od Pani był w jednej pończoszce. Powiedziałam jej, kto go wręczył Św. Mikołajowi z przeznaczeniem dla niej, więc zawołała: „Kocham panią Hopkins!"

Dostała ubranka i kuferek dla Nancy, więc wypalcowała: „To teraz Nancy pójdzie na zabawę".

Na widok tabliczki braille'owskiej i papieru oświadczyła: „Będę pisać dużo listów i bardzo, bardzo podziękuję Św. Mikołajowi".

Widziałam, że wszyscy, a zwłaszcza państwo Keller byli głęboko wzruszeni radością Heleny. Bo cóż to była za różnica między tym ślicznym Bożym Narodzeniem a zeszłorocznym, kiedy mała ich córeczka nie brała wcale udziału w uroczystościach gwiazdkowych. Gdyśmy zeszły na dół, pani Keller powiedziała do mnie ze łzami w oczach:

„Panno Anno, co dzień dziękuję Bogu, że nam panią zesłał, ale dopiero dzisiaj uprzytomniłam sobie w całej pełni, jakim pani jest dla nas błogosławieństwem".

Kapitan Keller ujął mnie za rękę, ale nie mógł mówić. Jego milczenie było wymowniejsze niż słowa. A w moim sercu wzbierała wdzięczność i wielka radość.

Parę dni temu Helenka napotkała w powiastce słowo „dziadek" i zapytała matkę: „Gdzie jest dziadek?" — Miała na myśli swego dziadka.

„Nie żyje" — odpowiedziała pani Keller.

„Czy tatuś go zastrzelił? To ja zjem dziadka na obiad".

Jak dotąd śmierć w jej pojęciu ma jedynie łączność z jedzeniem. Wie, że ojciec poluje na kuropatwy, płową zwierzynę i inne stworzenia.

Dziś rano zapytała mnie o znaczenie słowa „cieśla", z czego wywiązała się lekcja na bieżący dzień. Po omówieniu różnych prac ciesielskich Helena zapytała: „Czy mnie zrobił cieśla? — Lecz nim zdążyłam odpowiedzieć, wypalcowała szybko: — Nie, nie, fotograf w Sheffield mnie zrobił".

W Sheffield odbył się rozruch jednego z największych pieców hutniczych. Pojechaliśmy tam wieczorem, żeby zobaczyć, jak się to będzie odbywało. Czując żar, zapytała: „Czy słońce spadło?"

9 stycznia 1888 r.

Sprawozdanie nadeszło wczoraj wieczorem. Cenię sobie łaskawe wypowiedzi pana Anagnosa o Helenie i o mnie, ale jego przesadny styl działa mi na nerwy. Proste fakty byłyby znacznie więcej przekonujące. Dlatego na przykład zadaje sobie trud przypisywania mi pobudek, o jakich mi się nie śniło? Wszyscy wiemy, że przybyłam tutaj bynajmniej nie z pobudek filantropijnych. To przecież śmieszne utrzymywać, że przejęłam się tak głęboko szlachetnym duchem doktora Howe'a, iż w przystępie gorącego współczucia postanowiłam wyratować dziewczynkę z Alabamy z otchłani ciemności i zapomnienia! Przyjechałam tutaj po prostu dlatego, że okoliczności życiowe zmuszały mnie do pracy zarobkowej. Chwyciłam się pierwszej nastręczającej się okazji, jakkolwiek nie przypuszczałam, na równi z nim, że mam jakieś szczególne uzdolnienia do tego zajęcia.

26 stycznia 1888 r.

Chyba pani otrzymała list Heleny. Szelmutka wbiła sobie w główkę, że nie będzie pisać ołówkiem. Chciałam, żeby dziś rano napisała do wuja Franka, ale postawiła mi się okoniem. „Ołówek bardzo zmęczony w głowie. Napiszę do wuja Franka list Braille'em." „Ależ wuj Frank nie umie czytać Braille'a" — odparłam. „To go nauczę".

Zaczęłam tłumaczyć, że wuj Frank jest stary i niełatwo by mu przyszło nauczyć się Braille'a.

Odpaliła z miejsca: „Ja myślę, że wuj Frank jest dużo stary (co miało znaczyć: za stary), żeby czytać małe literki".

Wreszcie udało mi się namówić ją, żeby napisała chociaż parę linijek, ale nim skończyła, złamała ołówek sześć razy. Więc mówię do niej: „Jesteś niegrzeczna dziewczynka". „Nie — odparła. — Ołówek jest bardzo słaby".

Przypuszczam, że jej niechęć do pisania ołówkiem łatwo wy-

tłumaczyć tym, że tylu przyjaciół, a nawet obcych wciąż ją nagabuje o próbki pisma. Pani wie, jak tego nie znoszą dzieci w Instytucie. Jest to robota nudna, powolna, a przy tym nie mogą przeczytać tego, co napisały, ani też poprawić błędów.

Helenka interesuje się coraz więcej kolorami. Gdy jej powiedziałam, że Mildred ma niebieskie oczka, zapytała: „Czy to takie maleńkie nieba?"

A znów kiedy jej tłumaczyłam, że goździk, który dostałam, jest czerwony, wydęła usta, mówiąc: „Wargi są takie jak goździk".

Powiedziałam, że to tulipany *, ale naturalnie nie zrozumiała gry słów. Nie chce mi się wierzyć, żeby wrażenia barwne, jakich doznawała przez te półtora roku, kiedy widziała i słyszała, przepadły bez śladu w jej świadomości. Wszystko, cośmy widzieli i słyszeli, ukrywa się gdzieś w świadomości. Może być zbyt niewyraźne i mętne, żeby dać się rozpoznać, niemniej jednak istnieje, tak jak pejzaż, który zaciera się w gęstniejącym zmierzchu.

10 lutego 1888 r.

Wczoraj wieczorem powróciłyśmy do domu. W Memphis bawiłyśmy się świetnie, tylko że mało odpoczywałam. Od początku do końca był to jeden ciąg podniecających wrażeń — przejażdżki, śniadania, przyjęcia i wszystko, co idzie z tym w parze, gdy ma się pod opieką żywiołowe niezmordowane dziecko, takie jak Helena. Palcowała bez ustanku. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby kilka młodych osóbek nie nauczyło się z nią rozmawiać. Odciążały mnie, jak tylko mogły. Ale nawet przy tej pomocy nie mogę wygospodarować dla siebie półgodzinnego wytchnienia. Bo wciąż jest tak: „O, proszę pani, niech pani będzie łaskawa przyjść i wytłumaczyć nam, co Helena chce powiedzieć. — Albo: Proszę pani, czy pani nie byłaby łaskawa wytłumaczyć tego Helenie? Nie może nas zrozumieć".

Pewno połowa białych mieszkańców Memphis przyszła nas odwiedzić. Tak się rozpływano nad Heleną, tak ją pieszczono,

---

* L i p s — po ang. znaczą wargi; t u l i p s — tulipany.

że wystarczyłoby tego, żeby zepsuć anioła. Ale jej chyba nie można popsuć. Jest absolutnie niezarozumiała i za bardzo ufna.

W Memphis są bardzo dobre sklepy, toteż wydałam wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie. Któregoś dnia Helena mówi do mnie: „Muszę kupić Nancy śliczny kapelusz". „Doskonale. Pójdziemy robić sprawunki po południu" — odparłam.

Helena miała srebrnego dolara i dziesięciocentówkę. W sklepie pytam, ile by dała za kapelusik dla Nancy.

„Dam dziesięć centów" — odpowiedziała natychmiast.

„A co zrobisz z dolarem?" — spytałam. „Kupię dobrych karmelków i zawiozę do Tuscumbii".

Zwiedziłyśmy giełdę i statek parowy. Statek niezmiernie ją zainteresował. Domagała się, żeby jej pokazać wszystko, od maszyny do flagi na maszcie. Przeczytałam z przyjemnością to, co napisał w zeszłym tygodniu o Helenie „Nation".

W związku z ogłoszeniem sprawozdania kapitan Keller otrzymał dwa interesujące listy, jeden od doktora Aleksandra Grahama Bella, a drugi od doktora Edwarda Everetta Hale'a. Dr Hale przyznaje się do pokrewieństwa z Heleną i, jak się zdaje, jest bardzo dumny z kuzyneczki. Doktor Bell pisze, że postępy Heleny są fenomenem jedynym w swoim rodzaju w historii nauczania głuchociemnych. A pod adresem nauczycielki wypowiada także wiele miłych komplementów.

5 marca 1888 r.

Nie udało mi się wczoraj dokończyć listu. Przybyła panna Ewelina pomóc mi sporządzić listę słów opanowanych przez Helenę. Doszłyśmy do litery p i już mamy dziewięćset słów. Za moją radą Helena zaczęła 1 marca pisać dziennik. Nie wiem, jak długo wytrwa. Uważam to za pewnego rodzaju niedorzeczność, ale na razie ogromnie ją to bawi. Lubi zwierzać się ze wszystkiego, co wie. Oto, co napisała w niedzielę:

„Wstałam, umyłam twarz i ręce, uczesałam się, zerwałam dla nauczycielki trzy zroszone fiołki i zjadłam śniadanie. Po śniadaniu bawiłam się trochę lalkami. Nancy była w złym humorze. Zły humor znaczy płakać i wierzgać. Czytałam w mojej książce

o wielkich, groźnych zwierzętach. Groźny, to znaczy w okropnie złym humorze, silny i bardzo głodny. Nie kocham srogich zwierząt. Napisałam list do stryja Jamesa. On mieszka w Gorących Źródłach. On jest doktorem. Doktor robi chorą dziewczynkę zdrową. Nie lubię chora. Potem zjadłam obiad. Lubię dużo lodów bardzo — bardzo. Po obiedzie ojciec pojechał pociągiem daleko do Birmingham. Miałam list od Roberta. On mnie kocha. Powiedział kochana Helena. Robert cieszył się z listu od kochanej słodkiej Helenki. Przyjadę do Ciebie, kiedy słońce świeci. Pani Newsum jest żoną Roberta. Robert jest jej mężem. Robert i ja będziemy biegać i skakać, i tańczyć, i huśtać się, i gawędzić o ptakach i kwiatach, i drzewach, i trawie, a Jumbo i Perła pojadą z nami. Nauczycielka powie, że jesteśmy głuptasy. Ona jest zabawna. Co zabawne — z tego się śmiać. Natalia jest dobra dziewczynka i nie płacze. Mildred płacze. Za wiele dni ona będzie miła dziewczynka i będzie ze mną biegać i bawić się. Pani Graves szyje krótkie sukienki dla Natalii. Pan Mayo pojechał do Duckhill i przywiózł dużo świeżych kwiatów. Pan Mayo, pan Farris i pan Graves kochają mnie i nauczycielkę. Niedługo pojadę do nich w odwiedziny do Memphis i oni uściskają mnie i ucałują. Thornton chodzi do szkoły i smoli twarz. Chłopiec musi być bardzo ostrożny. Po kolacji figlowałam w łóżku z nauczycielką. Przywaliła mnie poduszkami, a potem rosłam bardzo wolno jak drzewo z ziemi. A teraz pójdę się położyć".

Helena Keller

16 kwietnia 1888 r.

Wróciłyśmy właśnie z kościoła. Dziś przy śniadaniu kapitan Keller wyraził życzenie, żebym zabrała Helenkę do kościoła. Prezbiterzy mieli być w komplecie. Chciał, żeby pastorzy zobaczyli Helenę. Odbywała się właśnie szkoła niedzielna.

Szkoda, że pani nie widziała, jaką sensację wywołało wejście Heleny. Dzieci, uradowane, że przyszła na lekcję, nic sobie nie robiąc z nauczycieli, wypadły z ławek i otoczyły nas. Helena całowała wszystkie, chłopców i dziewczynki, czy im się to podobało, czy nie. Początkowo myślała, że to były dzieci pastorów. Ale niebawem odróżniła wśród gromadki znajome

dzieci, a ja objaśniłam ją, że pastorzy nie przywieźli z sobą dzieci. Zrobiła zawiedzioną minkę.

„To ja prześlę im dużo całusów" — powiedziała.

Jeden z pastorów prosił mnie, żebym zapytała ją, co robią pastorzy.

„Czytają — odpowiedziała — i mówią głośno do ludzi, żeby byli dobrzy".

Zapisał sobie jej odpowiedź w notesie. Gdy miało się rozpocząć nabożeństwo, była tak podniecona, że chciałam ją wyprowadzić. Ale kapitan Keller zaprotestował: „Nie. Wszystko będzie dobrze".

Nie było więc innego wyjścia i musiałam zostać. Ale nie mogłam jej poskromić. Nie usiedziała spokojnie w miejscu. Ściskała mnie i całowała, a także cichego, spokojnego pastora, który siedział przy niej po drugiej stronie. Dał jej do zabawy zegarek, lecz to jej nie uspokoiło. Chciała pokazać zegarek chłopczykowi, który siedział za nią. Gdy się zaczęła komunia, poczuła wino. Pociągała noskiem tak głośno, że wszyscy w kościele to słyszeli. Gdy podawano wino naszemu sąsiadowi, musiał wstać, bo byłaby mu je odebrała. Nigdy mi się tak nie śpieszyło do wyjścia jak z tego kościoła! Starałam się wyprowadzić Helenkę jak najprędzej na dwór, ale szła z wyciągniętą ręką i kogo przytrzymała za połę, musiał się koniecznie odwrócić i poinformować ją, ile dzieci zostawił w domu, oraz przyjąć odpowiednią ilość całusów. Wszyscy śmieli się z jej błazenady. Ludzie wychodzili nie jak z kościoła, a jak z lokalu rozrywkowego. Kapitan Keller zaprosił kilku pastorów na obiad. Helena nie dawała się poskromić. Opowiadała z niesłychanym ożywieniem, urządzając pantominę uzupełnioną palcowaniem, co będzie robiła w Brewster. Wreszcie wstała od stołu i gestami pokazała zbieranie wodorostów morskich, muszel oraz imitowała pluskanie w wodzie. Podnosiła przy tym sukienkę wyżej, niż wypadało w tych okolicznościach. Na koniec rzuciła się na podłogę i zaczęła pływać tak energicznie, że o mało nie wywróciła z krzesłami najbliżej siedzących osób. Ruchy jej są często wymowniejsze niż najwymowniejsze słowa, wykonane przy tym z niebywałym wdziękiem.

Ciekawa jestem, czy dni wydają się Pani tak nieskończenie

długie, jak mnie. Rozmawiamy tylko o Bostonie. Robimy projekty tylko na Boston. Śnimy tylko o tym mieście. Zdaje się, że pani Keller zdecydowała się ostatecznie jechać z nami, ale nie zabawi tam przez całe lato.

15 maja 1888 r.

Czy Pani sobie wyobraża, że to na razie ostatni mój list do Pani, po którym nastąpi długa, długa przerwa? Następna moja epistoła będzie w żółtej kopercie i będzie zawierała informację o dacie naszego przyjazdu do Bostonu. Jestem zbyt szczęśliwa, żeby pisać listy, ale muszę opisać Pani nasz pobyt w Cincinnati.

Spędziłyśmy uroczy tydzień w towarzystwie „doktorów". Doktor Keller wyjechał po nas do Memphis. W pociągu jechało wielu lekarzy, chyba samych znajomych doktora Kellera. W Cincinnati pełno też było doktorów. Wśród nich kilku wybitnych lekarzy bostońskich. Mieszkałyśmy w domu Burne'a. Wszyscy zachwycali się Helenką. Zdumiewała ich inteligencja i wesołość dziewczynki. Jest w niej coś, co pociąga ludzi. Przypuszczam, że sprawia to jej radosne zainteresowanie otoczeniem.

Gdziekolwiek się pokazała, stawała się ośrodkiem ogólnego zainteresowania. A jakaż była zachwycona orkiestrą hotelową! Jak tylko muzyka zaczynała grać, puszczała się w tany naokoło pokoju, a o kogo się otarła, tego ściskała i całowała. Szczęście jej robiło wrażenie na wszystkich. Chyba nikt się nad nią nie litował. Jeden z panów powiedział do doktora Kellera: „Długo żyję i widziałem wiele szczęśliwych twarzy, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać tak promiennej buzi jak u tego dziecka".

A drugi rzekł: „Do pioruna! Oddałbym wszystko, co posiadam, żeby tylko mieć tę dziewczynkę zawsze blisko siebie".

Ale nie mam czasu notować wszystkich usłyszanych tutaj miłych wypowiedzi. Wystarczyłoby tego na grubą księgę. A opis uprzejmości, jakimi nas zasypano, zapełniłby drugi tom. Doktor Keller rozdawał wyjątki ze sprawozdania, które otrzymałam od pana Anagnosa, i mógł był rozdać tysiąc, gdyby miał tyle. Czy Pani pamięta doktora Garcelona, który kilka lat temu piastował godność gubernatora Maine? Otóż zaprosił nas raz po południu na przejażdżkę. Chciał ofiarować lalkę Helenie.

Zaprotestowała: „Nie chcę za dużo dzieci. Nancy jest chora, Adelina kapryśna, a Ida bardzo zła". Uśmialiśmy się do łez z jej powagi. „Jakieś piękne gadające rękawiczki" — odparła.

Doktor był zdumiony. Nigdy nie słyszał o „gadających rękawiczkach". Wyjaśniłam mu, że Helena widziała rękawiczkę z wydrukowanym na niej alfabetem. Myślała widocznie, że można coś takiego kupić. Dodałam, że może kupić rękawiczki, jeżeli sobie życzy, a ja postaram się o wybicie na nich alfabetu.

Byłyśmy na lunchu u państwa Thayerów (on był Pani dawnym pastorem). Pytał mnie, jakim sposobem nauczyłam Helenę przymiotników i nazw pojęć oderwanych, jak dobro i szczęście. To samo pytanie zadawali mi ze sto razy inni uczeni. To doprawdy dziwne, że ludzie pytają się o tak prostą rzecz. Przecież to tak samo łatwo nauczyć dziecko nazwy pojęcia, jeżeli dziecko ma je w umyśle jasno sformułowane, jak nazwy rzeczy. To byłoby rzeczywiście herkulesowe zadanie uczyć słów, gdyby idee już nie istniały w umyśle dziecka. Gdyby jego przeżycia i spostrzeżenia nie doprowadziły go do pojęć mały, duży, dobry, zły, słodki, kwaśny, nie miałoby do czego przyczepiać fiszek ze słówkami.

Ja, skromna ignorantka, musiałam wyjaśniać takie proste sprawy mędrcom ze Wschodu i Zachodu. Mówiłam: Jeżeli dać dziecku coś słodkiego i ono mlaszcze języczkiem, oblizuje się i robi zadowoloną minkę, to wrażenie, jakiego doznaje, jest wyraźnie określone. Jeżeli za każdym takim wrażeniem usłyszy słowo słodkie lub poczuje je wypalcowane na rączce, to uzna szybko ten znak za symbol owego wrażenia. Tak samo, jeżeli mu się włoży do buzi kawałek cytryny, wydmie wargi i będzie próbowało wypluć. Po kilkakrotnej próbie z cytryną, jeżeli znów je nią poczęstować, zamknie buzię i skrzywi się, co będzie oczywistym dowodem, że zapamiętało nieprzyjemne wrażenie. Powiemy: kwaśne i dziecko przyswoi sobie ten symbol. Gdyby określić te wrażenia jako białe i czarne, też łatwo przyswoiłoby sobie te słowa. Ale wtedy czarne i białe oznaczałoby u niego to, co oznacza słodkie i kwaśne. W ten sam sposób dziecko uczy się na podstawie doświadczeń rozróżniać swoje doznania, a my podsuwamy mu odpowiednie słowa —

dobry, zły, łagodny, szorstki, szczęśliwy, smutny. W jego wychowaniu liczy się nie słowo, lecz zdolność doświadczania wrażeń.

Podajemy poniżej urywek listu Anny Sullivan, gdyż zawiera on interesujące opinie, jakie jej się nasuwały, gdy obserwowała metody innych.

Zwiedziłyśmy szkółkę dla głuchych. Przyjęto nas bardzo uprzejmie, a Helena nacieszyła się dziećmi. Dwie nauczycielki znały alfabet ręczny i rozmawiały z nią bez tłumacza. Były zdziwione jej biegłością językową. Powiedziały, że żadne dziecko w szkole nie może się z nią równać pod względem łatwości wysłowienia, a niektóre miały już za sobą dwa, trzy lata nauki. Początkowo nie chciało mi się w to wierzyć, ale po półgodzinnej obserwacji uczących się dzieci stwierdziłam, że to była prawda. I już się nie dziwiłam. W jednym pokoju stała przed tablicą gromadka brzdąców. Składały z trudem proste zdania. Mała dziewuszka napisała: „Mam nową sukienkę. To jest ładna sukienka. Moja mamusia uszyła moją nową ładną sukienkę. Kocham mamusię". Kędzierzawy chłopaczyna pisał: „Mam dużą piłkę. Lubię kopać moją dużą piłkę". Gdy weszłyśmy do pokoju, uwagę dzieci przykuła Helena. Jedno z nich pociągnęło mnie za rękaw i powiedziało: „Dziewczynce na imię Helena. Ona jest głucha. Ona nie widzi. Bardzo nam przykro".

„Dlaczego pani pisze na tablicy? — zapytałam. — Czy dzieci nie zrozumiałyby, gdyby im pani opowiedziała o Helenie?"

Odpowiedziała, że tu chodzi o poprawną budowę zdań, i w dalszym ciągu prowadziła ćwiczenie na temat Heleny. Zapytałam, czy dziewczynka, która wypisywała zdania o nowej sukience, cieszyła się z tej sukienki.

„Nie — odpowiedziała. — Chyba nie. Ale dzieci uczą się lepiej, gdy piszą o rzeczach dotyczących ich osobiście".

Wszystko to wydało mi się tak mechaniczne i trudne, że pożałowałam biednych malców. Nikomu nie przychodzi do głowy kazać wygłaszać na początek słyszącemu dziecku zdania w rodzaju: „Mam nową ładną sukienkę". Prawda, że te dzieci były starsze od maleństwa szepleniącego: „Tata pocałować

dzidzi-ładne" — i uzupełniającego sens zdania paluszkiem wskazującym na nową sukienkę, ale ich zdolność rozumienia i mówienia nie była wcale większa.

Ta sama trudność uwidoczniała się w całej szkole. W każdej klasie czytałam na tablicach zdania najoczywiściej ilustrujące jakąś regułę gramatyczną albo podające słowa już przedtem nauczone w tym lub innym związku. Taka metoda może być konieczna w pewnych stadiach nauki, ale w ten sposób nie opanuje się języka. Uważam, że nic bardziej nie przytłumia w dziecku impulsu do mówienia niż te ćwiczenia na tablicach. Klasa nie jest odpowiednim miejscem do nauki języka małych dzieci, a do tego jeszcze głuchych. Głuche dziecko tak samo jak dziecko słyszące nie powinno zdawać sobie sprawy, że uczy się słów. Powinno mu się pozwolić paplać na paluszkach, dopóki nie nadejdzie czas, że rozwijająca się inteligencja upomni się o zdania. Język nie powinien kojarzyć się w jego umyśle z nieskończonymi godzinami szkolnymi, z kłopotliwą gramatyką, w ogóle z czymkolwiek, co tłumi radość życia. Jednak nie powinnam wpadać w nałóg krytykowania nazbyt surowo metod innych, bo mogę być tak samo daleko od prostej drogi, jak i oni.

Drugi referat Anny Sullivan doprowadza opowieść do 1 października 1888 roku.

W ciągu ostatniego roku Helenka cieszyła się doskonałym zdrowiem. Specjaliści badali jej oczy i uszy i według ich orzeczenia dziewczynka nie może mieć najlżejszego wyobrażenia ani o świetle, ani o dźwięku. Jest niemożliwością orzec dokładnie, jak dalece zmysły powonienia i smaku pomagają jej orientować się we właściwościach fizycznych, ale zdaniem wybitnego autorytetu te dwa zmysły wywierają wielki wpływ na rozwój umysłowy i moralny. Dugald Stewart powiada: „Niektóre z najbardziej znaczących słów, odnoszących się do ludzkiego umysłu, pochodzą od zmysłu powonienia, zaś poczesne miejsce, jakie wrażenia węchowe zajmują w języku poetyckim wszystkich narodów, dowodzi, jak łatwo i naturalnie sprzymierzają się one z subtelną grą wyobraźni i moralnymi odruchami

serca". Helena z pewnością czerpie wiele przyjemności z akcji tych zmysłów. Gdy wchodzi do oranżerii, twarzyczka jej się rozpromienia... Wymienia znane sobie kwiaty, kierując się tylko powonieniem. Wspomnienia wrażeń węchowych są u niej ogromnie żywe. Cieszy się z góry na zapach róży lub fiołków, a gdy jej ktoś obieca bukiet tych kwiatów, twarzyczka jej rozjaśnia się szczęściem, co dowodzi, że umie odtworzyć ich woń w wyobraźni i że to ją cieszy. Zdarza się często, że zapach kwiatu lub smak owocu przypomina jej jakieś szczęśliwe wydarzenie lub wesołą zabawę urodzinową.

Zmysł dotyku wyraźnie się u niej w ciągu roku rozwinął, stał się bardziej przenikliwy i delikatny. Faktycznie całe jej ciało jest tak subtelnie wrażliwe, iż można by sądzić, że posługuje się nim jako środkiem rozumienia otaczającego ją świata. Potrafi nie tylko rozróżniać z wielką dokładnością najrozmaitsze fale powietrzne i wibracje podłogi, powodowane rozmaitymi dźwiękami i ruchem, oraz poznawać przyjaciół i znajomych przez dotknięcie ich rąk lub ubrań, ale wyczuwa również stan umysłu otaczających osób. Nikt, z kim Helena rozmawia, nie zdoła ukryć przed nią, że w danej chwili jest mu bardzo lekko lub bardzo ciężko na sercu.

W rozmowie nie ujdzie jej najlżejszy nacisk na słowie. Chwyta sens w każdej zmianie pozycji i w grze muskułów ręki. Reaguje szybko na łagodny serdeczny uścisk ręki, pochwalne dotknięcie, odruch zniecierpliwienia, stanowczy gest rozkazu i na wiele innych odmian prawie niewyczerpanego bogactwa języka uczuć; często potrafi nawet odgadnąć cudze myśli.

W sprawozdaniu o Helence z ubiegłego roku (patrz: Sprawozdanie Instytutu Perkinsa za rok 1887) przytoczyłam kilka wypadków, kiedy to, jak się mogło zdawać, posłużyła się jakimś niewytłumaczalnym zmysłem. Ale teraz, po starannym przemyśleniu tych spraw wydaje mi się, że tę władzę można wyjaśnić faktem, iż Helenka świetnie wyczuwa grę mięśni wywoływaną czynnikami uczuciowymi u wszystkich osób, z którymi ma kontakty. Musiała polegać w wielkiej mierze na tej zdolności odczuwania, aby poznać ich stan duchowy. Nauczyła się kojarzyć pewne poruszenia z gniewem, inne z radością, jeszcze inne ze smutkiem. Raz, gdy wyszła na spacer z matką i pa-

nem Anagnosem, jakiś chłopak rzucił petardę, co bardzo przestraszyło panią Keller. Helena wyczuła natychmiast zmianę w ruchach matki i zapytała: „Czego się boimy?"

A kiedyś znów podczas spaceru zobaczyłam policjanta prowadzącego jakiegoś człowieka na posterunek. Zrobiło to na mnie wrażenie, które dziewczynka wyczuła w moich mięśniach, bo zapytała niespokojnie: „Co ty widzisz?"

Uderzającym dowodem tej dziwnej zdolności jest niedawne zdarzenie w Cincinnati, gdy laryngolodzy badali jej uszy. Przeprowadzono kilka eksperymentów, żeby ustalić autorytatywnie, czy mogą do niej w ogóle dochodzić jakieś dźwięki. Jakież było zdziwienie obecnych, gdy pozornie słyszała nie tylko gwizdanie, ale również zwyczajny ton głosu. Odwracała głowę, uśmiechała się i zachowywała tak, jakby słyszała, co do niej mówią. Stałam przy niej i trzymałam ją za rękę. Sądząc, że otrzymuje wrażenia za pośrednictwem mojej osoby, położyłam jej ręce na stole i odeszłam w głąb pokoju. Laryngolodzy znów przystąpili do eksperymentów, ale wyniki były całkiem inne. Przez cały czas Helena trwała w bezruchu. Nie objawiła najlżejszym znakiem, że pojmuje, co się dzieje. Za moją radą jeden z panów wziął ją za rękę i znów powtórzono próby. Tym razem twarz jej się mieniła, ilekroć się do niej odezwano, ale jednak w rysach nie odbijało się tak wyraźne ożywienie, jak wtedy, kiedy ja trzymałam ją za rękę.

W sprawozdaniu o Helenie z ubiegłego roku zaznaczono, że nie wiedziała nic ani o śmierci, ani o grzebaniu ciał. Jednak gdy pierwszy raz w życiu poszła na cmentarz, okazała wzruszenie i oczy jej napełniły się łzami.

Okoliczność równie godna uwagi zaszła podczas ubiegłego lata, ale zanim o tym opowiem, wpierw zaznaczę, co ona teraz wie o śmierci. Zanim ją jeszcze poznałam, brała do rączek martwe kurczęta, ptaszki czy inne małe stworzenia. W jakiś czas po wspomnianej bytności na cmentarzu Helena zainteresowała się koniem, który miał ciężko skaleczoną nogę. Chodziła ze mną do niego dzień w dzień. Ale tak mu się pogorszyło, że zawieszono go na belce. Zwierzę jęczało z bólu. Helena wyczuła jęki i bardzo się nad nim litowała. W końcu nie było innej rady, jak zabić biedaka. Gdy znów się do niego wybie-

rała, powiedziałam jej, że koń nie żyje. Pierwszy raz usłyszała to określenie. Wytłumaczyłam jej, że aby oszczędzić mu cierpień, zastrzelono go i że go pogrzebano — zakopano w ziemi. Wydaje mi się, że fakt zastrzelenia go nie zrobił na niej wielkiego wrażenia, ale sądzę, że przyjęła do wiadomości inny fakt, ten mianowicie, że w koniu wygasło życie, tak jak w martwych ptakach, których dotykała, oraz to, że go zakopano w ziemi. Od tego zdarzenia używałam słowa martwy, gdy zachodziła potrzeba, ale nie rozwodziłam się więcej nad jego znaczeniem.

Podczas bytności w Brewster poszła raz na cmentarz ze mną i z moją przyjaciółką. Badała kamienie nagrobkowe, jeden po drugim, i okazywała zadowolenie, gdy udało jej się odczytać nazwisko. Wąchała kwiaty, ale nie miała ochoty zrywać ich, a gdy uzbierałam dla niej bukiecik, nie pozwoliła przypiąć go sobie do sukienki. Zwróciła uwagę na marmurową płytę z wypukłym napisem: „Florencja". Osunęła się na ziemię, jakby czegoś szukała. Podnosząc ku mnie wzburzoną twarz, zapytała: „Gdzie jest biedna mała Florencja?"

Uchylałam się od wypowiedzi, ale ona nalegała. Zwróciła się z pytaniem do mojej przyjaciółki: „Czy pani głośno płakała nad biedną małą Florencją? — A po chwili: — Ja myślę, że ona jest bardzo martwa. Kto ją zakopał w wielkim dole?"

Podczas gdy nękała nas tymi bolesnymi pytaniami, opuściłyśmy cmentarz. Florencja była córką mojej przyjaciółki i umarła jako młoda panna. Helence nic o niej nie mówiono. Nie wiedziała nawet, że moja przyjaciółka miała kiedyś córkę. Helena dostała w prezencie łóżeczko i powozik dla lalek. Przyjęła te upominki jak wszystkie poprzednie i tak samo się nimi bawiła. Po powrocie z cmentarza do domu pobiegła do komórki, gdzie przechowywała te zabawki, i zaniosła je mojej przyjaciółce. „To zabawki biednej małej Florencji" — oznajmiła.

Tak było istotnie, chociaż nie mogłyśmy pojąć, jak ona to odgadła. W następnym tygodniu napisała list do matki, w którym opowiedziała o tym przeżyciu własnymi słowami:

„Układam moje dzieciątka do snu w łóżeczku Florencji, a wożę je na spacer jej powozikiem. Biedna mała Florencja nie żyje. Była bardzo chora i umarła. Pani H. płakała głośno po

swoim ukochanym dziecku. Florencja dostała się pod ziemię i jest bardzo brudna i zimna. Florencja była prześliczna, taka jak Sadie, i pani H. całowała ją i ściskała. Florencji ogromnie smutno w wielkim dole. Doktor dał jej lekarstwo, żeby wyzdrowiała, ale nie wyzdrowiała. Kiedy była bardzo chora, rzucała się na łóżku i jęczała. Pani H. niedługo do niej pojedzie".

Mimo swego wysokiego poziomu umysłowego jest ona taka sama jak inne dzieci. Przepada za zabawą i figlami, i za towarzystwem rówieśników. Nigdy się nie złości i nie denerwuje. Nigdy też nie widziałam, żeby okazywała zniecierpliwienie, jeżeli dzieci nie mogły jej zrozumieć. Będzie się bawiła godzinami z dziećmi, które nie mają pojęcia o palcowaniu. Wzruszenie ogarnia, gdy się patrzy na nią, jak wypowiada swe uczucia i myśli żywiołowymi gestami i nerwową pantominą. Zdarza się, że mały chłopczyk czy dziewczynka próbuje nauczyć się alfabetu ręcznego. Wzrusza mnie, z jaką cierpliwością, słodyczą i wytrwałością Helenka stara się nadawać niesfornym paluszkom małych przyjaciół właściwe położenie.

Raz, gdy miała na sobie żakiecik, z którego była bardzo dumna, matka powiedziała do niej: „Jest tu biedna dziewczynka. Zimno jej, bo nie ma płaszczyka. Czy oddasz jej swój?" Helena zaczęła natychmiast ściągać żakiecik.

„Muszę go oddać biednej obcej dziewczynce" — oznajmiła.

Ogromnie lubi dzieci młodsze od siebie, a już niemowlę budzi w niej instynkty macierzyńskie. Obchodzi się z maleństwem tak czule, jak najtroskliwsza niania. Wzruszająca jest jej dbałość o małe dzieci i gotowość zaspokajania ich zachcianek.

Ma ogromnie towarzyskie usposobienie i przepada za tymi, którzy potrafią orientować się w szybkiej grze jej paluszków. Ale jeżeli jest sama, zabawia się godzinami robieniem na drutach lub szyciem.

Czyta ogromnie dużo. Pochylona nad książką z wyrazem ogromnego zainteresowania na twarzy, wodzi wskazującym palcem lewej ręki wzdłuż linijek wypowiadając słowa drugą ręką. Często ruchy jej są tak szybkie, że stają się niezrozumiałe nawet dla umiejących czytać pośpieszną zmienną grę jej paluszków.

Każdy odcień uczucia odbija się na jej ruchliwej twarzyczce.

W obejściu jest swobodna i naturalna, a więc czarująca, gdyż świadczy ono o szczerości i prawości. Serce jej, wolne od samolubstwa, pełne serdecznych uczuć, nie wie, co to złość i okrucieństwo. Nie wyobraża sobie, żeby ktoś mógł być nieczuły i nieżyczliwy. Nie wyobraża sobie po prostu, że mogłaby być niezręczna, toteż ruchy jej są swobodne i pełne gracji.

Ogromnie lubi wszelkie żywe stworzenia w domu i nie pozwala źle się z nimi obchodzić. Gdy jedzie powozem, nie pozwala stangretowi podcinać biczem koni. „Biedne konie będą płakać" — powiada.

Któregoś ranka bardzo się zmartwiła, gdy spostrzegła, że pies ma u obroży uwiązany klocek. Wytłumaczyliśmy jej, że chodzi o to, żeby Perła nie uciekła. Helena ogromnie jej współczuła i przez cały dzień wciąż zachodziła do Perły i przenosiła ciężar z miejsca na miejsce.

Zeszłego lata ojciec napisał do niej, że ptaki i pszczoły niszczą mu winogrona. Początkowo bardzo się oburzyła i orzekła, że małe stworzenia postępują „bardzo brzydko". Ale rozjaśniła się, gdy jej wytłumaczyłam, że ptaki i pszczoły były głodne i nie wiedziały, że to samolubnie wyjadać wszystkie winogrona. Wkrótce potem napisała: „Bardzo mi przykro, że trzmiele i szerszenie, i ptaki, i wielkie muchy, i robaki zjadają wszystkie przepyszne winogrona ojca. One lubią zajadać soczyste owoce tak jak ludzie, a są głodne. Nie postępują bardzo brzydko, że zjadają za dużo winogron, bo przecież niewiele rozumieją".

Robi ciągle szybkie postępy w mówieniu, w miarę jak rosną jej wiadomości. Kiedy wiedziała niewiele, również i jej słownik był z konieczności ograniczony. Ale w miarę jak poznaje otaczający świat, opinie jej stają się bardzo wyrobione, zdolność rozumowania potęguje się, nabiera subtelności, a język, który jest wyrazicielem jej intelektu, nabiera biegłości i logiki.

W czasie podróży upaja się myślami i słowami.

Siedząc przy niej w wagonie, opisuję migające za oknem widoki — wzgórza, doliny, rzeki, plantacje bawełny, ogrody, gdzie rosną truskawki, brzoskwinie, gruszki, melony i warzywa; stada krów i koni pasące się na rozległych łąkach, gromadki owiec na zboczach; miasta z kościołami, szkołami, hotelami i składami towarów, pełne zapracowanych ludzi. Gdy tak opo-

wiadam, Helena okazuje jak najżywsze zainteresowanie. Z braku słów gestami i mimiką objawia chęć dowiedzenia się czegoś więcej o otaczającym świecie. Tym sposobem przyswaja sobie bez widocznego wysiłku niezliczone nowe wyrażenia.

Od dnia, gdy pojęła, że wszystkie przedmioty posiadają nazwy i że nazwy można komunikować określonymi poruszeniami palców, mówię do niej tak samo, jakbym mówiła, gdyby mogła słyszeć, z tą jedynie różnicą, że zamiast do uszu zwracam się do jej paluszków. Oczywiście z początku przejawiała się u niej silna tendencja używania w zdaniu tylko najważniejszych słów. Mówiła: „Helena mleko". Przysunęłam mleko, żeby dać jej poznać, że użyła właściwego słowa, ale nie pozwoliłam go wypić, dopóki z moją pomocą nie ułożyła pełnego zdania w rodzaju: „Daj Helenie trochę mleka do picia". Na tych początkowych lekcjach zachęcałam ją, żeby używała różnych form językowych dla wypowiedzenia tej samej myśli. Gdy zajadała cukierki, mówiłam: „Czy Helenka będzie łaskawa poczęstować nauczycielkę cukierkami?" Albo: „Nauczycielka zjadłaby chętnie trochę cukierków Helenki" — z naciskiem na dopełniacz. Zorientowała się bardzo szybko, że jedną myśl można wypowiadać na wiele sposobów. Po dwóch, trzech miesiącach nauki mówiła: „Helena chce się położyć". Albo: — „Helena jest śpiąca i Helena pójdzie się położyć".

Stale słyszę pytanie: „Jak ją pani nauczyła sensu słów oznaczających właściwości intelektualne i moralne?"

Sądzę, że Helena przyswoiła sobie te pojęcia raczej przez asocjację i powtarzanie niż dzięki moim wyjaśnieniom. Ta uwaga odnosi się zwłaszcza do początkowych lekcji, kiedy znajomość języka była u niej tak znikoma, że wszelkie wyjaśnienia były niepodobieństwem.

Stosowałam zawsze metodę używania słów oznaczających uczucia, właściwości moralne lub intelektualne i czynności w związku z okolicznościami domagającymi się tych słów. Wkrótce po objęciu mojej pracy nauczycielskiej Helena stłukła nową lalkę, którą bardzo lubiła. Rozpłakała się. Powiedziałam do niej: „Nauczycielce bardzo przykro".

Kilkakrotne powtórzenie wystarczyło, żeby skojarzyła słowa z uczuciem.

Słowa szczęśliwy nauczyła się w ten sam sposób, a także słusznie, niesłusznie, dobry, zły i innych przymiotników. Słowa kochać nauczyła się tak jak inne dzieci — przez asocjację z pieszczotami.

Raz zadałam jej proste pytanie tyczące się liczb. Byłam pewna, że je rozumie. Odpowiedziała na chybił-trafił. Przerwałam jej. Stała nieruchoma, z wyrazem twarzy świadczącym najoczywiściej, że próbuje zebrać myśli. Dotknęłam jej czoła i wypalcowałam: „myśleć". To słowo w połączeniu z czynnością zrobiło na niej takie samo wrażenie, jakbym położyła jej rączkę na przedmiocie i wypalcowała jego nazwę. Od tego czasu zaczęła się posługiwać słowem myśleć.

Po pewnym czasie przyszła kolej na słowa w rodzaju może, przypuszczać, spodziewać się, zapomnieć, pamiętać. Jeżeli Helena zapytała: „Gdzie jest teraz matka?" — odpowiadałam: „Nie wiem. Może u Leily".

Zawsze jest ogromnie ciekawa nazwisk ludzi, których spotykamy w tramwaju lub gdzie indziej, dokąd jadą i co będą robić. Częste są rozmówki w tym rodzaju:

H e l e n a: „Jak na imię chłopczykowi?"

N a u c z y c i e l k a: „Nie wiem, bo to jakiś nieznajomy, ale może mu na imię Jack".

H e l e n a: „Dokąd on jedzie?"

N a u c z y c i e l k a: „Może pobawić się z innymi chłopcami".

H e l e n a: „W co się będzie bawił?"

N a u c z y c i e l k a: „Przypuszczam, że w piłkę".

H e l e n a: „A chłopcy co teraz robią?"

N a u c z y c i e l k a: „Może spodziewają się Jacka i czekają na niego".

Gdy się oswoi z nowymi słowami, zaczyna używać ich w zdaniach.

26 września [1888 r.]

„Dziś rano siedziałam z nauczycielką przy oknie. Zobaczyłyśmy chłopczyka idącego chodnikiem. Padał ulewny deszcz i on osłaniał się wielkim parasolem.

Nie wiem, ile miał lat, ale myślę, że mógł mieć sześć lat. Może miał na imię Joe. Nie wiem, dokąd szedł, bo to był nie-

znajomy chłopczyk. Ale może matka posłała go do sklepu, żeby kupił coś do obiadu. W jednej ręce niósł torbę. Przypuszczam, że szedł z nią do matki".

Ucząc Helenę języka, nie ograniczałam się do jakiejś poszczególnej teorii lub systemu. Obserwowałam spontaniczną grę jej umysłowości i stosowałam pomysły, które mi się przy tym nasuwały.

Ze względu na nerwowość dziewczynki zachowujemy wszelkie ostrożności, żeby przy jej i tak bardzo aktywnym umyśle oszczędzać jej zbyt podniecających wrażeń. Większa część roku upłynęła nam na podróżach i odwiedzinach w różnych miejscowościach. Lekcje wynikały samorzutnie z urozmaiconych widoków i zdarzeń przeżywanych podczas podróży. Okazuje taki sam zapał do nauki, jak na początku. Nigdy nie potrzeba jej przynaglać. Przeciwnie, często jestem zmuszona przymilać jej się, żeby zaniechała zadania lub wypracowania.

Nie ograniczając się do żadnego specjalnego systemu nauki, staram się wzbogacić ogólny zasób jej wiadomości i rozwijać inteligencję, zaznajamiać ją bliżej z otaczającą rzeczywistością i skłaniać do swobodnego, naturalnego obcowania z ludźmi. Zachęciłam ją do prowadzenia dziennika, z którego pochodzą następujące wyjątki.

22 marca 1888 r.

„Pan Anagnos odwiedził mnie w czwartek. Uściskałam go radośnie i ucałowałam. On ma pod opieką sześćdziesiąt niewidomych dziewczynek i siedemdziesięciu niewidomych chłopczyków. Kocham te dzieci. Niewidome dziewczynki przysłały mi ładny koszyczek do robótek. Znalazłam w nim nożyczki, nici, książeczkę igieł, szydełko, szmergiel i naparstek, i pudełko, i miarę jardową, i guziki, i poduszeczkę do szpilek. Napiszę do niewidomych dziewczynek list z podziękowaniem. Uszyję ładne sukienki dla Nancy, Adeliny i Alicji. W maju pojadę do Cincinnati i kupię jeszcze jedno dziecko. Będę ich miała czworo. Nowemu dzidzi dam na imię Harry. W niedzielę odwiedzili nas panowie Wilson i Mitchell. W poniedziałek pan Anagnos pojechał do Louisville, do małych niewidomych dzieci. Mama

pojechała do Huntsville. Ja spałam z ojcem, a Mildred z nauczycielką. Nauczyłam się słowa spokojny. To znaczy cichy i szczęśliwy. Wuj Morrie przysłał mi ładne powiastki. Czytałam o ptakach. Przepiórka znosi piętnaście albo dwadzieścia jajek. To są białe jajka. Robi sobie gniazdo na ziemi. Kraska buduje gniazdo w dziupli i znosi niebieskie jajka. Jajka raszki są zielone. Nauczyłam się piosenki o wiośnie. Marzec, kwiecień, maj to wiosna.

Już śnieg topnieje,
Ciepły wiatr wieje.
Rzeczka Ruszyła
A raszka miła
Śpiewa, szczęśliwa:
«Wiosna przybywa!»

James zabił bekasy na śniadanie. Małym kurczątkom zrobiło się bardzo zimno i pozdychały. Przykro mi. Jeździłam łodzią z nauczycielką po rzece Tennessee. Widziałam pana Wilsona i Jamesa, jak wiosłowali. Łódź mknęła szybko. Włożyłam rękę w wodę i czułam, jak płynie.

Łapałam ryby na haczyk, linkę i patyk. Wspinałyśmy się na wysokie wzgórze i nauczycielka spadła i skaleczyła się w głowę. Zjadłam na kolację rybkę. Czytałam o krowie i cielątku. Krowa lubi jeść trawę tak jak dziewczynka je chleb i masło, i mleko. Cielątko biega i skacze po polu. Lubi brykać i bawić się, bo jest szczęśliwe, kiedy słońce świeci i przygrzewa. Chłopczyk kochał swoje cielątko. I powiedział: «Pocałuję cię, cielątko». I objął za szyję cielątko, i pocałował. Cielątko polizało dobrego chłopczyka po buzi długim szorstkim ozorem. Cielątko nie potrzebuje otwierać szeroko pyszczka do całowania. Jestem zmęczona i nauczycielka nie chce, żebym więcej pisała".

Na jesieni poszłyśmy do cyrku. Gdyśmy stały przed klatką lwa, zwierzę zaryczało. Helenka poczuła wibrację powietrza tak wyraźnie, że potrafiła odtworzyć ten głos z całą dokładnością.

Próbowałam opisać jej wygląd wielbłąda, ale ponieważ nie pozwolono nam go dotknąć, obawiałam się, że nie powzięła właściwego wyobrażenia o jego budowie. Jednak w kilka dni później, słysząc hałas w pokoju, weszłam i zobaczyłam Helenę

na czworakach z poduszką przytroczoną na plecach w ten sposób, że w środku powstało zagłębienie pomiędzy dwoma garbami. W zagłębieniu tym usadowiła lalkę, z którą odbywała przejażdżkę na około pokoju. Przyglądałam się dobrą chwilę. Starała się robić długie kroki, zgodnie z moim opowiadaniem o chodzie wielbłąda. Na moje pytanie, co robi, odpowiedziała: „Ja jestem bardzo śmieszny wielbłąd".

W ciągu następnych dwóch lat ani pan Anagnos, który wyjechał na rok do Europy, ani Anna Sullivan nie publikowali niczego o Helenie Keller. W roku 1892 ukazało się sprawozdanie Instytutu Perkinsa za rok 1891, zawierające pełne dane o Helenie Keller z dodatkiem wielu jej listów, ćwiczeń i wypracowań. Ponieważ niektóre z tych listów i powiastkę o „Królu Mrozie" zamieszczamy w niniejszej książce, nie ma celu ogłaszać więcej próbek jej pióra z trzeciego, czwartego i piątego roku nauki. Najdonioślejsze były dwa pierwsze lata. Z części opracowanej przez Annę Sullivan przytaczam jej najważniejsze komentarze i te biograficzne dane, których brakuje.

Poniższe wyjątki pan Anagnos wybrał z notatek Anny Sullivan:

Pewnego razu, gdy kucyk i osioł stały obok siebie, Helena chodziła od jednego do drugiego i starannie je badała. W końcu przystanęła z ręką na łbie osła i tak do niego przemówiła: „Tak, drogi Neddy, to prawda, że nie jesteś taki piękny jak «Czarna Piękność». Twoje ciało nie jest tak foremne, nie masz dumnego wejrzenia ani wygiętej szyi. Poza tym długie uszy nadają ci śmieszny wygląd. Oczywiście nie ma w tym twojej winy i kocham cię tak samo, jakbyś był najpiękniejszym stworzeniem na świecie".

Helenę zachwyciła opowieść o „Czarnej Piękności". Aby dać poznać, jak szybko przyswaja i kojarzy pojęcia, podam przykład, który wszyscy, co czytali tę książkę, potrafią ocenić. Czytałam jej następujący ustęp:

„Był to stary, wyniszczony koń, kasztan, ze źle utrzymaną sierścią i wyraźnie prześwitującymi przez skórę kośćmi. Przednie nogi chwiały się. Jadłem siano i podmuch wiatru cisnął mały wiechetek w jego stronę. Biedne stworzenie wyciągnęło długą cienką szyję, pochwyciło siano, obróciło się i rozejrzało,

czy nie ma więcej. W jego posępnych oczach było coś tak beznadziejnego, że mnie to uderzyło. Gdy się zastanawiałem, gdzie ja tego konia widziałem, biedaczyna popatrzył na mnie i rzekł: «Czarna Piękność, to ty?»..."

W tym miejscu Helena ścisnęła mnie za rękę, żebym przestała czytać. Szlochała konwulsyjnie.

„To był biedny Imbir — wymówiła z wysiłkiem. Później, gdy trochę się uspokoiła, dodała: — Biedny Imbir! Pod wpływem tego opowiadania ujrzałam w wyobraźni jego podobiznę. Mogłam zobaczyć, jak Imbir wyglądał. Uroda znikła. Pięknie wygięta szyja zwiotczała, w roziskrzonych oczach zgasł ogień, figlarny wdzięk przepadł bez śladu. Och, jakie to było okropne! Nigdy sobie nie wyobrażałam, żeby coś mogło tak się zmienić! W życiu biednego Imbira było bardzo mało słonecznego blasku, a smutku bardzo dużo! — I po chwili dorzuciła żałobnym tonem: — Wydaje mi się, że życie niektórych ludzi jest takie samo jak Imbira".

Dziś rano Helena czytała pierwszy raz wiersz Bryanta: „O, matko potężnej rasy!"

„Powiesz mi — rzekłam do niej — gdy przeczytasz cały poemat, kto według ciebie jest tą matką".

Gdy doczytała do ustępu: „U twoich bram swoboda i wytchnienie" — wykrzyknęła: „To Ameryka! Wrota to pewno Nowy Jork, a swoboda to wielki Posąg Wolności".

A gdy przeczytała „Pole bitwy" tego samego poety, zapytałam, jaki ustęp uważa za najpiękniejszy.

„Ten mi się najwięcej podoba" — odpowiedziała.

> Prawda sponiewierana z upadku powstanie,
> Bóg dla niej wieczność przeznaczył...

Przenosi się natychmiast w świat wydarzeń powieściowych. Raduje się, gdy sprawiedliwość zwycięża, smuci, gdy cnota przegrywa, a gdy mowa o bohaterskich czynach, twarz jej płonie zachwytem i uwielbieniem.

Tu zaczyna się referat Anny Sullivan, zamieszczony w sprawozdaniu z 1891 roku:

W ciągu ostatnich trzech lat Helenka robiła nadal szybkie po-

stępy językowe. Ma tę przewagę nad zwykłymi dziećmi, że obraz zewnętrznego świata nie odwraca jej uwagi od nauki.

Ale ta przewaga pociąga za sobą inną niedogodność: niebezpieczeństwo nazbyt rygorystycznej dyscypliny umysłowej. Intelekt jej tym się odznacza, że gdy jest świadoma czegoś, czego nie pojmuje, wpada w stan gorączkowego niepokoju. Nie zdarzyło się, żeby chciała zaniedbać lekcję, jeżeli czuła, że czegoś w niej nie zrozumiała. Jeżeli radzę jej odłożyć zadanie arytmetyczne na jutro, odpowiada: „Jeżeli odrobię je od razu, to mój umysł wzmocni się".

Kilka dni temu wieczorem omawialiśmy taryfę. Helena chciała, żebym jej to wyjaśniła.

„Nie — odparłam. — Nie zrozumiałabyś tego jeszcze".

Chwilę siedziała spokojnie, wreszcie zapytała z uniesieniem: „Skąd wiesz, że nie zrozumiałabym? Mam dobrą głowę! Nie zapominaj, droga nauczycielko, że rodzice w Grecji ogromnie dbali o dzieci i pozwalali im słuchać mądrych przemówień. I na pewno rozumiały".

Uznałam za wskazane nie mówić jej nigdy, że czegoś nie zrozumie, bo wtedy prawie zawsze wpada w rozdrażnienie.

Niedawno pokazywałam jej, jak zbudować wieżę z klocków. Ponieważ wzór był dość skomplikowany, struktura wywracała się od najlżejszego wstrząsu. W końcu, pod wpływem zniechęcenia powiedziałam, że chyba nie uda się jej ustawić wieży tak, żeby się trzymała. Że ja to za nią zrobię. Nie zgodziła się. Postanowiła zbudować wieżę sama. Blisko trzy godziny pracowała, cierpliwie zgarniając rozsypujące się klocki i zaczynając od początku, aż w końcu się jej udało. Wieża stanęła, wykończona we wszystkich szczegółach.

Aż do października 1889 roku nie uważałam za właściwe poddawać Heleny rygorowi regularnej, systematycznej nauki. Przez pierwsze dwa lata swego intelektualnego rozwoju była jak dziecko w obcym kraju, gdzie wszystko jest obce i nowe, a dopóki nie opanowała języka, niemożliwe było wprowadzić określony kurs nauczania.

Co więcej, jej nadzwyczajna dociekliwość, ujawniająca się w tych latach, przeszkadzałaby jej robić postępy w języku, gdyby roztrząsania zagadnień ciągle jej się nasuwających trzeba

było odkładać do ukończenia lekcji. Najprawdopodobniej zapominałaby o tych zagadnieniach i marnowała dobre okazje do wyjaśnienia czegoś dla niej naprawdę interesującego. Toteż uważałam zawsze za najbardziej wskazane uczyć moją wychowankę wszystkiego, czym się zainteresowała, bez względu na to, czy miało to związek z zaplanowaną lekcją, czy nie. Jej pytania sprawiały, że odbiegałyśmy często daleko, bardzo daleko od przedmiotu.

Od października 1889 moja nauka z nią nabrała regularności. Program obejmował arytmetykę, geografię, zoologię, botanikę i czytanie.

W arytmetyce robi poważne postępy. Wyjaśnia z łatwością mnożenie, dodawanie, odejmowanie i dzielenie. Już prawie skończyła arytmetykę pamięciową Colburna i teraz ślęczy nad ułamkami niewłaściwymi. W arytmetyce pisemnej też dobrze daje sobie radę. Umysł jej działa tak sprawnie, iż często się zdarza, że gdy dyktuję jej zadanie, ona znajduje rozwiązanie, nim zdąży je napisać. Nie zwraca zbytniej uwagi na słowa użyte przy wyjaśnieniu zadania i rzadko przerywa, żeby zapytać o znaczenie nieznanych słów lub zwrotów, pyta się dopiero po ukończeniu zadania. Raz, gdy nie mogła sobie z czymś poradzić, zaproponowałam przechadzkę, uważając, że może potem będzie jej łatwiej zrozumieć. Potrząsnęła stanowczo główką: „Moi wrogowie gotowi by pomyśleć, że zwiewam. Muszę zostać i pokonać ich od razu". — I pokonała.

Rozwój intelektualny Heleny w ciągu tych dwóch lat objawia się najwyraźniej w jej sprawności językowej i coraz to większej zdolności rozróżniania subtelniejszych odcieni w znaczeniu wyrazów.

Nie ma dnia, żeby się nie nauczyła wielu nowych słów, i nie tylko nazw przedmiotów. Na przykład jednego tylko dnia zapytała o znaczenie następujących słów: fenomen, obejmować, energia, reprodukcja, nadzwyczajny, wieczny i tajemnica. Niektóre z tych słów mają szeroki wachlarz znaczeniowy, zaczynając od prostych pojęć, kończąc na abstrakcyjnych. Próbować wyjaśnić Helenie zawilszy, wieloznaczny sens słowa tajemnica byłoby zadaniem beznadziejnym, ale zrozumiała z łatwością, że to oznacza coś ukrytego lub schowanego. Gdy

zrobi większe postępy, pochwyci bardziej zawiłe znaczenie tego słowa tak łatwo, jak pojmuje teraz to najprostsze. Przy omawianiu jakiegokolwiek przedmiotu muszą początkowo nasuwać się słowa i zwroty, których uczeń nie pojmuje właściwie, dopóki nie zrobi dalszych postępów w nauce. Jednakże uznałam za stosowne podawać mojej uczennicy proste określenia w przekonaniu, że chociaż mogą być poniekąd mgliste i niewystarczające, to będą się nawzajem uzupełniały i że to, co dziś jest ciemne, jutro stanie się oczywiste.

Patrzę na moją uczennicę jak na człowieka, którego własne spontaniczne impulsy powinny wyznaczać mi najpewniejszy kierunek postępowania. Zwracam się zawsze do Heleny w taki sposób, jakbym się zwracała do widzącego i słyszącego dziecka i nalegam, żeby inni postępowali z nią tak samo. Ilekroć słyszę pytanie: czy ona zrozumie to czy tamto słowo, odpowiadam niezmiennie: „To nieważne, czy zrozumie każde poszczególne słowa w zdaniu, czy też nie. Odgadnie znaczenie nowych słów z ich powiązań z innymi słowami, dla niej zrozumiałymi".

Wybierając dla Heleny książki do lektury, nie brałam nigdy pod uwagę jej ułomności. Czytuje zawsze takie książki, jakie czytują i jakimi zachwycają się dzieci w jej wieku. Początkowo oczywiście opisy musiały być interesujące i odnosić się do znanych jej rzeczy, a styl prosty i poprawny. Pamiętam doskonale, jak to było, gdy spróbowała po raz pierwszy przeczytać powiastkę. Nauczyła się drukowanych liter i przez jakiś czas zabawiała się układaniem prostych zdań z karteczek z wypisanymi na nich wypukłymi literami. Ale te zdania nie były właściwie ze sobą powiązane. Pewnego ranka złapałyśmy mysz i przyszło mi do głowy, że żywa mysz i żywy kot pomogą mi zestawić zdania tak, żeby z tego można ułożyć małą powiastkę. Chciałam na tym przykładzie nauczyć ją nowego sposobu posługiwania się językiem. Włożyłam w ramkę następujące zdania i dałam Helenie.

„Kot jest na skrzynce. Mysz jest w skrzynce. Kot może widzieć mysz. Kot chciałby zjeść mysz. Nie pozwól kotu złapać myszy. Kot może dostać mleka, a mysz kawałek placka". Przedimka jeszcze nie znała i naturalnie poprosiła o wyjaśnienie. Na tym poziomie nauki nie mogłabym jej wytłumaczyć zastosowania rodzajnika. Nie próbowałam więc, tylko przesunęłam jej

palce na następne słowo, które poznała, i twarz jej opromienił uśmiech. A gdy jeszcze położyłam jej rękę na kotku siedzącym na skrzyni, wydała cichutki okrzyk zdziwienia i reszta zdania stała się dla niej najzupełniej jasna. Gdy przeczytała słowa następnego zdania, pokazałam jej, że w skrzyni naprawdę jest mysz. Wtedy z żywym zainteresowaniem przesunęła palec na następną linijkę. „Kot może widzieć mysz". Teraz pokazałam kotu mysz i poleciłam Helenie obmacać kota. Wyraz twarzy dziewczynki świadczył o zakłopotaniu. Zwróciłam jej uwagę na następną linijkę i jakkolwiek znała tylko trzy słowa: kot, jeść i mysz — połapała się, o co chodzi. Ściągnęła kota ze skrzyni i postawiła na podłodze, a skrzynkę nakryła ramką. Gdy przeczytała: „Nie pozwól kotu złapać myszy", zrozumiała przeczenie w zdaniu i jak gdyby pojęła, że kotu wara od myszy! Pozwól i złapać były to nowe słowa. W ostatnim zdaniu znała wszystkie słowa i była ucieszona z pozwolenia odegrania ich. Poprosiła mnie na migi o nową powiastkę. Dałam jej książkę zawierającą króciutkie powiastki, napisane możliwie prostym stylem. Przesuwała palcami po linijkach, znajdując znajome słowa i odgadując znaczenie innych w taki sposób, że nawet najbardziej konserwatywny wychowawca dałby się przekonać, że głuche dziecko, byle mu dać po temu sposobność, nauczy się czytać tak łatwo i naturalnie, jak normalne dzieci.

Jestem pewna, że Helena głównie dlatego tak dobrze opanowała język angielski, że miała wciąż do czynienia z książkami. Często czyta bez przerwy dwie, trzy godziny i odkłada książkę z żalem. Raz, gdyśmy wychodziły z biblioteki, wydała mi się tak uderzająco poważna, że zapytałam o przyczynę. „Myślę, o ile jesteśmy mądrzejsze, gdy stąd wychodzimy, niż gdy przychodzimy" — odpowiedziała.

Na pytanie, dlaczego tak bardzo kocha książki, wyjaśniła mi to kiedyś: „Dlatego, że mówią mi tyle ciekawych rzeczy o tym, czego nie mogę widzieć, a nigdy nie są zmęczone czy zakłopotane, tak jak ludzie. Powtarzają mi wciąż i wciąż to, co chcę wiedzieć".

W trakcie czytania Dickensowskiej „Historii Anglii dla dzieci" doszłyśmy do zdania: „Jednakże duch Brytów nie załamał się". Na moje pytanie o sens tego zdania odpowiedziała: „Ja myślę,

że to znaczy, że dzielni Brytowie nie zniechęcili się dlatego, że Rzymianie wygrali tyle bitew, i tym bardziej pragnęli ich wypędzić". Nie byłaby zdolna wytłumaczyć znaczenia poszczególnych słów. Mimo to podchwyciła myśl autora i potrafiła oddać ją własnymi słowami. Następne wiersze są jeszcze bardziej idiomatyczne: „Kiedy Swetoniusz opuścił kraj, napadli na jego wojska i odebrali wyspę Anglesey". A oto jej interpretacja: „To znaczy, że kiedy rzymski generał odjechał, Brytowie znów zaczęli walczyć, a ponieważ żołnierze rzymscy nie mieli generała, który by im mówił, co mają robić, zostali pokonani przez Brytów i stracili wyspę, którą zdobyli".

Helena woli zajęcia intelektualne niż ręczne i nie ma takiego upodobania do szydełkowania, jak wiele niewidomych dzieci. Jednakże przyłączała się do nich skwapliwie. Nauczyła się posługiwać maszyną kaligraficzną i pisze bardzo poprawnie, ale jak dotąd, po kilku tygodniach praktyki, dosyć wolno.

Przeszło dwa lata temu kuzyn nauczył ją alfabetu Morse'a, pisząc palcem na jej dłoni kropki i kreski. Teraz, ilekroć spotyka kogoś, znającego ten alfabet, z wielką radością posługuje się nim w rozmowie. Mnie wygodnie komunikować się tym sposobem z Heleną, gdy jesteśmy od siebie trochę oddalone. Mogę z nią rozmawiać, uderzając stopą w podłogę. Odczuwa wibrację i rozumie, co do niej mówię.

W pewnych kołach żywiono nadzieję, że osoba tak szczególnie obdarzona przez naturę jak Helena, jeżeli tylko będzie pozostawiona całkowicie samej sobie, przyczyni się do wyjaśnienia tych psychologicznych zagadek, których nie zbadał wyczerpująco doktor Howe. Ale nadzieje spaliły na panewce. W wypadku Heleny, tak samo jak Laury Bridgman, zawód był nieunikniony. Niemożliwe jest izolować dziecko od środowiska tak, żeby nie ulegało wpływom osób, z którymi przestaje. W odniesieniu do Heleny taki cel mógłby być osiągnięty tylko za cenę pozbawienia jej kontaktu z ludźmi, czego zasadniczo wymagała jej natura.

Dla tych, którzy obserwowali szybki rozwój jej uzdolnień, musiało być oczywiste, że jej badawcza dociekliwość nie da się powstrzymać przez czas dłuższy od wejrzenia w niezgłębioną zagadkę życia. Zastosowało się wielkie ostrożności, żeby

nie naprowadzić przedwcześnie jej myśli na zagadnienia nękające i rozstrajające wszystkie umysły. Dzieci zadają dociekliwe pytania, na które otrzymują często zbywające odpowiedzi, albo, dokładnie mówiąc, odpowiedzi uspokajające.

„Skąd ja się wzięłam?" i „Dokąd pójdę po śmierci?" — te oto pytania Helena zadawała jako ośmioletnie dziecko. Wyjaśnienia, jakie mogła w tym wieku zrozumieć, nie zadowalały jej, chociaż zmuszały do milczenia do czasu, dopóki rozwijający się intelekt nie zaczął tworzyć pojęć ogólnych na podłożu niezliczonych wrażeń i myśli zaczerpniętych z książek oraz codziennych przeżyć. Umysł jej szukał przyczyny rzeczy.

W miarę jak rozszerzały się jej obserwacje nad zjawiskami, a zasób słów wzbogacał, mogła coraz jaśniej wypowiadać się, a także pojmować myśli i przeżycia innych. Docierała do granic myśli twórczej człowieka i rozumiała, że jakaś potęga nadludzka musiała stworzyć ziemię, słońce i tysiące doskonale jej znanych przedmiotów.

Aż pewnego dnia zapytała o nazwę potęgi, o której istnieniu wytworzyła sobie pojęcie we własnym umyśle.

Dzięki „Herojom, czyli klechdom greckim o bohaterach" Kingsleya zaznajomiła się z pięknymi opowieściami o greckich bogach i boginiach. Musiała natknąć się w książkach na słowa Bóg, niebo, dusza i wiele innych podobnych określeń.

Nigdy nie pytała o znaczenie takich słów i nie robiła żadnych uwag, gdy na nie natrafiała. Aż do lutego 1889 roku nikt nie mówił jej nigdy o Bogu. W tym czasie ukochana krewna, gorliwa, praktykująca katoliczka, próbowała powiedzieć jej o Bogu, ale ponieważ nie użyła słów zrozumiałych dla dziecka, nie zrobiły one większego wrażenia. Gdy potem rozmawiałam z Heleną, oto co od niej usłyszałam:

„Muszę ci powiedzieć coś bardzo śmiesznego. A. mówi, że Bóg zrobił mnie i wszystkich ludzi z piasku. Ale musiała żartować, przecież ja jestem zrobiona z ciała, krwi i kości, nieprawdaż? — Tu zbadała z widocznym zadowoleniem swoją rękę, zaśmiewając się serdecznie. Po chwili mówiła dalej: — A. mówi, że Bóg jest wszędzie i że cały jest miłością, ale ja nie uważam, żeby człowiek mógł być zrobiony z miłości. Miłość to jest tylko coś w naszych sercach. I A. powiedziała jeszcze

coś bardzo komicznego. Mówi, że On (to znaczy Bóg) jest moim drogim ojcem. Śmiałam się do rozpuku, bo wiem, że moim ojcem jest Artur Keller".

Wytłumaczyłam jej, że nie może jeszcze zrozumieć tego, czego się dowiedziała, i przekonałam ją z łatwością, żeby lepiej nie mówiła o takich rzeczach, dopóki nie zmądrzeje.

W swej lekturze spotkała się z wyrażeniem Matka Natura i przez długi czas przypisywała Matce Naturze wszystko to, co, jak się orientowała, nie było w ludzkiej mocy. Nawiązując do rozwoju rośliny mawiała: „Matka Natura zsyła słońce i deszcz, żeby drzewa rosły i trawy, i kwiaty".

Poniższy urywek z moich notatek wyjaśni, jaki był jej ówczesny poziom umysłowy:

Po kolacji Helena wydawała się jakaś poważna i pani H. zapytała ją, o czym myśli. „Myślę, jak bardzo jest zajęta kochana Matka Natura na wiosnę".

„Dlaczego?" — spytałam.

„Bo ma pod opieką tyle dzieci. Ona jest matką wszystkiego: kwiatów, drzew i wiatru".

„A jak Matka Natura opiekuje się kwiatami?" — zapytałam.

„Darzy je słońcem i deszczem, żeby rosły — odparła Helena i po chwili dorzuciła: — Myślę, że blask słoneczny jest ciepłym uśmiechem Natury, a krople deszczu to jej łzy".

A jeszcze później powiedziała: „Nie wiem, czy to Matka Natura mnie zrobiła. Myślę, że moja mama otrzymała mnie z nieba, ale nie wiem, gdzie jest niebo. Wiem, że stokrotki i bratki wyrastają z nasion, wysianych w ziemię. Ale przecież jestem pewna, że dzieci nie wyrastają z ziemi. Nigdy nie widziałam roślinnego dziecka! Tylko nie mogę sobie wyobrazić, kto zrobił Matkę Naturę, a ty? Kocham piękną wiosnę, bo pączkujące drzewa i kwitnące kwiaty, i delikatne zielone listki napełniają radością moje serce. Muszę teraz zajrzeć do mojego ogrodu. Stokrotki i bratki gotowe pomyśleć, że o nich zapomniałam".

Gdy minął maj 1890 roku, przekonałam się, że Helena doszła do takiego stadium rozwoju, kiedy nie można już było ukrywać przed nią wierzeń religijnych, które wyznawało otoczenie. Zamęczała mnie pytaniami, wywołanymi rozbudzoną inteligencją.

W początkach maja wypisała na swej tabliczce następującą listę pytań: „Pragnę pisać o rzeczach, których nie rozumiem. Kto zrobił ziemię i morze, i wszystko? Od czego słońce jest gorące? Gdzie byłam, zanim przyszłam do mamy? Wiem, że rośliny wyrastają z nasion posianych w ziemię, ale jestem pewna, że ludzie tak nie rosną. Nigdy nie widziałam roślinnego dziecka. Małe ptaszki i kurczęta lęgną się z jajek. Widziałam je. Czym było jajko, zanim stało się jajkiem? Dlaczego ziemia nie spada, kiedy jest taka wielka i ciężka? Powiedz mi coś o zajęciach Ojca Natury. Czy mogę czytać książkę pod tytułem Biblia? Proszę cię, powiedz twojej małej uczenniczce dużo rzeczy, jak będziesz miała dużo czasu".

Czy można wątpić, przeczytawszy te pytania, że dziecko, które było zdolne je zadać, było również zdolne pojąć odpowiedzi na nie, przynajmniej na poziomie elementarnym? Oczywiście nie mogłaby pojąć wyczerpujących abstrakcyjnych odpowiedzi, jakich należało udzielić na jej pytania. Ale przecież całe życie człowieka jest tylko ciągłym postępem w rozumieniu znaczenia takich pojęć.

Przez cały okres pracy nad Heleną stałam niezmiennie na stanowisku, że powinna ona rozumieć tylko to, co jest dla niej wskazane. Udzielałam jej jedynie takich odpowiedzi, o których wiedziałam, że będą przez nią zrozumiane. Bez tego stopnia rozwoju umysłowego, kiedy to pojmuje się konieczność istnienia nadludzkiej potęgi twórczej, wyjaśnienie naturalnych fenomenów jest niemożliwe.

Gdy udało jej się sformułować myśli, które kiełkowały z wolna w jej główce, zawładnęły one nagle nią całkowicie. Żądała niecierpliwie wyjaśnień. Gdy przechodziłyśmy koło wielkiego globusu — a było to wkrótce potem, jak wypisała powyższe pytania — przystanęła przed nim i zapytała: „Kto zrobił prawdziwy świat?" „Nikt nie wie — odparłam — jakim sposobem powstały ziemia, słońce i wszystkie światy, które nazywamy gwiazdami. Ale opowiem ci, jak mądrzy ludzie próbowali wyjaśnić ich pochodzenie i wytłumaczyć wielkie tajemnicze siły natury".

Wiedziała, że Grecy mieli wielu bogów, którym przypisywali władzę nad różnymi fenomenami natury, ponieważ uważali

słońce, błyskawicę i sto innych sił naturalnych za niezależne, nadludzkie potęgi. „Ale — mówiłam dalej — po wielkich rozmyślaniach i badaniach, ludzie doszli do przekonania, że wszelkie siły są objawieniem jednej potęgi i tej potędze nadali imię Boga".

Przez kilka chwil milczała, najwidoczniej pogrążona w głębokiej zadumie. Wreszcie zapytała: „A kto stworzył Boga?"

Byłam zmuszona uchylić się od odpowiedzi, gdyż nie mogłam wytłumaczyć jej tajemnicy istoty, która istnieje sama przez się. Wiele jej natarczywych pytań wprawiłoby w zakłopotanie człowieka daleko mądrzejszego ode mnie. Przytoczę kilka: „Z czego Bóg stworzył świat? Skąd wziął glebę, wodę i nasiona, i pierwsze zwierzęta? Gdzie jest Bóg? Czy widziałaś kiedy Boga?" — Powiedziałam jej, że Bóg jest wszędzie i że nie powinno się wyobrażać Go sobie jako osoby, ale jako życie, umysł, duszę wszechrzeczy. Przerwała mi: „Nie wszystko ma życie. Skały nie mają życia i nie umieją myśleć".

Często trzeba jej przypominać, że istnieje mnóstwo rzeczy, których najmądrzejsi na świecie ludzie nie potrafią wyjaśnić.

Nie uczyło się Heleny żadnych wierzeń ani dogmatów, ani nie narzucało siłą religii. W pełni świadoma własnej niekompetencji w odniesieniu do tajemnic związanych z pojęciem Boga, duszy i nieśmiertelności, z poczucia obowiązku względem mojej pupilki starałam się, o ile możności, nie zabierać głosu w kwestiach duchowych. Biskup Phillips Brooks wyjaśnił jej pięknie ojcostwo Boga.

Jak dotąd nie wolno jej było czytać Biblii, gdyż lektura Pisma świętego przy obecnym jej poziomie umysłowym miałaby siłą rzeczy ten skutek, że dziewczynka nabrałaby błędnych wyobrażeń o przymiotach Boga. Już jej możliwie najprzystępniej opowiadałam o pięknym dobroczynnym życiu Jezusa i o jego okrutnej śmierci. Uczyniło to na niej ogromne wrażenie.

Nawiązując później do mojej opowieści zapytała: „Dlaczego Jezus nie uszedł przed swoimi wrogami, żeby Go nie mogli znaleźć?"

Cuda Jezusa uznała za bardzo dziwne. Gdy dowiedziała się, że Jezus szedł po morzu na spotkanie uczniom, oznajmiła stanowczo: „To nie znaczy szedł, to znaczy płynął".

A znów, gdy usłyszała, że Jezus wskrzeszał zmarłych, była niezmiernie poruszona.

„Nie wiedziałam, że życie może wstąpić z powrotem w martwe ciało! — rzekła. Raz powiedziała ze smutkiem: — Jestem niewidoma i głucha. To dlatego nie mogę widzieć Boga".

Nauczyłam ją słowa niewidzialny i wytłumaczyłam, że nie możemy widzieć Boga oczami, gdyż jest On duchem, ale gdy serca nasze napełniają się dobrocią i łagodnością, wtedy Go widzimy, bo wtedy trochę się do Niego upodabniamy.

Innym razem zapytała: „Co to jest dusza?"

„Nikt nie wie, jaka jest dusza — odparłam. — Ale wiemy, że nie jest ciałem. To jest ta część nas, co myśli, kocha i żyje nadzieją. Chrześcijanie wierzą, że dusza żyje po śmierci ciała. Czy możesz sobie wyobrazić swoją duszę — zapytałam — jako coś odrębnego od ciała?"

„O, tak! Godzinę temu myślałam z wielkim przejęciem o panu Anagnosie i wtedy mój umysł... moja dusza — poprawiła się — była w Atenach, ale ciało zostało tutaj w pracowni. — Tu nasunęła się jej błyskawicznie nowa myśl, bo dodała: — Ale pan Anagnos nie odezwał się do mojej duszy".

Wytłumaczyłam jej, że dusza również jest niewidzialna albo, inaczej to określając, nie posiada widocznej postaci.

„Ale jeżeli ja piszę to, co moja dusza myśli — odpowiedziała Helena — to będzie to widzialne i słowa staną się jej ciałem".

Kiedyś zwierzyła mi się: „Chciałabym żyć tysiąc sześćset lat".

Na pytanie, czy nie chciałaby żyć zawsze w pięknej krainie zwanej niebem, odpowiedziała pytaniem: „A gdzie jest niebo?"

Musiałam wyznać, że nie wiem, ale wyraziłam przypuszczenie, że może na którejś gwieździe. A ona po chwili: „Może będziesz łaskawa iść pierwsza i wszystko mi opowiedzieć! Tuscumbia to bardzo piękne miasteczko" — dodała.

Upłynął przeszło rok, nim powróciła do tego tematu i wtedy zasypała mnie gradem naglących pytań. „Gdzie jest niebo i jak wygląda? Dlaczego nie możemy wiedzieć o niebie tak dużo jak o obcych krajach?"

Odpowiedziałam bardzo prosto, że może być dużo miejsc

o tej samej nazwie, ale że zasadniczo to jest stan — spełnienie pragnień serca, zaspokojenie jego potrzeb i że istnienie nieba zależy od uznawania sprawiedliwości, wiary w sprawiedliwość i ukochania sprawiedliwości.

Przed myślą o śmierci wzdryga się z widocznym przerażeniem. Jakoś niedawno pokazano jej jelenia, którego zastrzelił brat. Była ogromnie zgnębiona i zapytała żałośnie: „Dlaczego wszystko musi umierać, nawet rączy jeleń?"

A znów innym razem: „Czy nie uważasz, że bylibyśmy o wiele szczęśliwsi, gdybyśmy nie musieli umierać?"

„Nie — odpowiedziałam — bo gdyby śmierć nie istniała, na naszym świecie zrobiłoby się wkrótce tak tłoczno, że wszystkim żywym stworzeniom byłoby bardzo niewygodnie".

„Ależ — odparła szybko — ja myślę, że Bóg mógłby stworzyć trochę więcej światów, nie tylko ten jeden".

Kiedy przyjaciele opowiadali jej o wielkiej szczęśliwości, oczekującej nas w przyszłym życiu, zapytała od razu: „Skąd wiecie, jeżeliście nie umarli?"

Czasami bierze tak dosłownie utarte określenia i zwroty, że musimy się upewniać, czy zrozumiała naprawdę. Ktoś powiedział jej niedawno, że Węgrzy są urodzonymi muzykantami.

„Czy śpiewają zaraz jak się urodzą?" — zapytała ze zdziwieniem.

Gdy przyjaciel dorzucił do tej informacji, że niektórzy uczniowie, widywani przez niego w Budapeszcie, mieli w głowach po sto melodii i więcej, roześmiała się: „Muszą mieć bardzo hałaśliwe głowy!"

Dostrzega momentalnie śmieszność. Metaforyczne zwroty nie wprawiają jej w zakłopotanie. Często zaśmiewa się z siebie, że zrozumiała jakieś powiedzenie zbyt dosłownie.

Mówiono jej, że dusza jest bezpostaciowa, toteż słowa Dawida: „On prowadzi moją duszę" — zdziwiły ją niezmiernie. „Czy dusza ma nogi? — pytała. — Czy umie chodzić? Czy jest niewidoma?" — Gdyż w jej pojęciu prowadzi się człowieka niewidomego.

Ze wszystkich zagadnień, które ją rozstrajają i denerwują, największą udręką jest dla niej świadomość istnienia zła i wy-

nikających stąd cierpień. Przez długi czas udawało się ukrywać przed nią te rzeczy. I zawsze będzie stosunkowo łatwo chronić ją przed osobistym zetknięciem z występkiem i zepsuciem. Fakt, że grzech istnieje i że stanowi on źródło nieszczęść, pojmowała stopniowo, w miarę jak orientowała się coraz lepiej w życiu i przejściach otaczających ją osób. Trzeba jej było wytłumaczyć, że prawa i kary są koniecznością. Ciężko jej było pogodzić istnienie zła na świecie z pojęciem o Bogu, jakie jej wpojono.

„Czy Bóg opiekuje się nami wszystkimi bezustannie? — dopytywała się. Na twierdzącą odpowiedź odparła: — Dlaczego dopuścił, że mała siostrzyczka upadła dziś rano i skaleczyła się bardzo w główkę?"

To znów wypytywała się o potęgę i dobroć Boga. Właśnie opowiedziano jej o strasznym sztormie na morzu, podczas którego zginęło kilku ludzi.

„Dlaczego Bóg nie uratował tych ludzi, skoro jest wszechmocny?" — zapytała.

Otoczona przez całe życie kochającymi przyjaciółmi i atmosferą łagodności sprawowała się zawsze bez zarzutu. Wiedziona niezawodnym instynktem, zawsze wie, jak postąpić słusznie, i czyni to z radością. Nie rozważa, że jeden zły postępek może być nieszkodliwy, drugi bez znaczenia, a inny znów nie zamierzony. Dla jej czystej duszy wszelkie zło jest jednakowo odrażające.

Poniższe ustępy referatu Anny Sullivan, napisanego w lipcu 1894 roku na zjazd Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauczania Mowy Głuchych w Chautauqua zawierają ostatnie pisemne sprawozdanie o jej metodach pedagogicznych.

Nie powinniście sobie wyobrażać, że skoro tylko Helena pojęła, iż każda rzecz ma nazwę, to natychmiast opanowała skarby języka angielskiego, jak nam wmawiał jeden z jej entuzjastycznych wielbicieli. Początkowo słowa, zwroty i zdania, którymi się posługiwała dla wyrażenia swych myśli, były tylko odbiciem naszych z nią rozmów, które podświadomie zapamiętywała. To spostrzeżenie jest słuszne w odniesieniu do języka

dzieci w ogóle. Mowa ich jest kopią tego, co słyszą w domu. Rozmowy z codziennego życia, ponawiane niezliczoną ilość razy, wpajają w ich główki pewne słowa i zwroty i kiedy same zaczynają mówić, a raczej szczebiotać, pamięć dostarcza im potrzebnych słów. Podobnie język ludzi wykształconych jest odbiciem tego, co czytają.

Język wyrasta z życia, z jego potrzeb i doświadczeń. Na początku umysł mojej małej uczennicy był po prostu pusty. Żyła w świecie, którego nie pojmowała. Język i wiedza łączą się z sobą nierozerwalnie. Są wzajemnie od siebie zależne. Opanowanie języka zależy od uprzedniej znajomości rzeczy. Skoro tylko Helena pojęła, że każda rzecz ma nazwę i że przy pomocy ręcznego alfabetu można te nazwy przekazywać innym osobom, starałam się budzić w niej dalsze zainteresowanie dla przedmiotów, których nazwy uczyła się palcować z tak oczywistą radością. Nigdy nie uczyłam języka w c e l u uczenia go. Niezmiennie posługiwałam się językiem jako sposobem przekazywania myśli, skutkiem czego nauka języka szła w parze z nabywaniem wiedzy. Aby posługiwać się językiem inteligentnie, trzeba mieć o czym mówić. A jeżeli ma się o czym mówić, to dowód, że się coś przeżywało. Największa wprawa w mówieniu nie zapewni naszym dzieciom swobody i biegłości, jeśli nie będą miały w główkach jasnej treści, którą będą pragnęły przekazywać innym, albo o ile nam się nie uda obudzić w nich ciekawości dla myśli innych ludzi.

Początkowo nie narzucałam uczennicy żadnego systemu. Zawsze starałam się dowiedzieć, co ją najwięcej interesuje, i od tego zaczynałam nową lekcję. W ciągu dwóch pierwszych lat intelektualnego życia Heleny nie wymagałam, żeby dużo pisała. Wręcz przeciwnie. Żeby pisać, trzeba mieć o czym pisać, a to wymaga umysłowego przygotowania. Pamięć musi dysponować pojęciami, a umysł posiadać wiedzę, bo dopiero wtedy pisanie staje się przyjemnym i naturalnym wysiłkiem. Według mnie nazbyt często wymaga się od dzieci, aby pisały, zanim mają cośkolwiek do powiedzenia. Uczcie je myśleć i czytać, i mówić, ale tak, żeby nie zadawały sobie przymusu, a będą pisać z wewnętrznej potrzeby.

Helena opanowała język raczej dzięki praktyce i przyzwycza-

jeniu, a nie skutkiem studiów nad regułami i definicjami. Gramatyka z całą uciążliwą klasyfikacją, nomenklaturą, wzorami deklinacji i koniugacji nie odegrała w jej nauce żadnej roli. Uczyła się języka przez kontakt z życiem. Musiała się nim posługiwać w codziennej rozmowie, poznawać za pośrednictwem książek i ćwiczyć się na wszelkie sposoby, aż zaczęła władać nim poprawnie. Nie ulega wątpliwości, że mówiłam więcej palcami i systematyczniej, niżbym to czyniła ustnie, bo przecież gdyby Helena widziała i słyszała, to zarówno w rozrywce, jak i w nauce mniej byłaby uzależniona ode mnie.

Wierzę, że każde dziecko posiada szlachetne skłonności, które można ożywić i rozwinąć, jeżeli wziąć się umiejętnie do rzeczy. Ale nigdy nie uda się nam należycie spełnić tego zadania, gdy będziemy nabijali główki malców podstawowymi wiadomościami. Matematyka nie nauczy ich kochać, a dokładne informacje o wielkości i kształcie świata nie pomogą im wniknąć w jego piękno. Przez pierwsze lata nauki kierujemy nimi w taki sposób, żeby największą przyjemność znajdowały w poznawaniu Natury. Niechaj biegają po polach, uczą się o zwierzętach i obserwują różne naturalne zjawiska. W odpowiednich warunkach dzieci będą się uczyły same. Kierownictwo i sympatia są im daleko potrzebniejsze niż nauczanie.

Prawdopodobnie Helena dlatego tak biegle mówi, że prawie wszystkie wrażenia docierają do niej za pośrednictwem języka. Ale uwzględniając jej wrodzone zdolności językowe i korzyści płynące ze szczególnego otoczenia, to i tak musimy stwierdzić, że ciągłe przestawanie z dobrymi książkami odegrało w jej nauce doniosłą rolę. Może to prawda, jak niektórzy utrzymują, że język może wypowiedzieć dużo więcej ponad to, cośmy przeżywali i czegośmy doświadczali, ale mnie zawsze uderzało, że dzieci znajdują ogromne upodobanie we wzniosłym patetycznym języku, który jesteśmy aż nazbyt skłonni uznawać za niezrozumiały dla nich.

„To wszystko, co możecie z tego zrozumieć" — powiedziała nauczycielka do klasy małych dzieci, zamykając książkę, z której im czytała.

„O, niech pani będzie łaskawa przeczytać nam do końca, nawet jeżeli nie zrozumiemy!" — zabrzmiały błagalne głosiki

malców, urzeczonych rytmem i pięknem, które odczuwali, chociaż nie potrafili wyjaśnić. Nie jest konieczne, żeby dziecko zrozumiało każde słowo w książce, zanim potrafi czytać z przyjemnością i korzyścią dla siebie. Bezwzględnie powinno się poprzestawać na takich wyjaśnieniach, które są naprawdę istotne. Helena wchłaniała naukę języka, początkowo dla siebie niezrozumiałego, ale zdobycz pozostawała w jej umyśle, dopóki nie przyszło zapotrzebowanie, a wtedy słowa wplatały się w jej rozmowę i wypracowania swobodnie i naturalnie. Niektórzy utrzymują, że za wiele czytała, że zamiast obserwować i mówić to, co jej się nasuwa, zapożycza u innych zapatrywania i słownictwo. Ja jednak jestem przekonana, że oryginalne wypracowania nie są możliwe bez przygotowawczego oczytania. Helena ćwiczyła się stale na najlepszych, najczystszych wzorach językowych, toteż w rozmowie i w pisaniu nieświadomie odtwarza to, co czytała. Uważam, że taka lektura powinna być uniezależniona od regularnych ćwiczeń szkolnych. Powinno się dzieci zachęcać do czytania dla samej radości czytania.

Stosunek dziecka do książek powinien polegać na samorzutnej chłonności. Wielkie dzieła wyobraźni powinny wsiąkać w jego życie tak, jak niegdyś stanowiły osnowę życia tych, którzy je pisali. Helena odznacza się żywiołową uczuciowością, świeżością i bogactwem zainteresowań — radość życia jest w niej aktywniejsza i intensywniejsza, jak również zachwyt dla natury, książek i ludzi, aniżeli u innych śmiertelników nie tak uzdolnionych jak ona. Umysł jej tak jest nasycony pięknymi myślami i ideałami wielkich poetów, że nic nie wydaje się jej banalne, gdyż jej wyobraźnia zabarwia życie własnymi bogatymi odcieniami.

Bardzo dużo dyskutowano nad referatami i wyjaśnieniami Anny Sullivan, uprzednio ogłoszonymi. Za dużo rozpisywali się o tym ludzie, którzy nie znali problemów głuchociemnych. Wolę tego nie opisywać. Jednakże edukacja Heleny Keller jest tak dalece w swej istocie kwestią nauczania języka, że raczej obejmuje także problemy głuchych niż tylko ogranicza się wyłącznie do nich. Nauczyciele mogą wyciągać własne wnioski. Dla większości czytelników, którzy nie będą oceniali życia

Heleny Keller z punktu widzenia wychowawców, podam w streszczeniu parę głównych wytycznych w metodach jej nauczycielki.

Anna Sullivan zaczęła w tym miejscu, w którym urwał swoją pracę doktor Howe. On wynalazł instrument, fizyczne środki działania, ale nauczanie języka to zupełnie inna sprawa. Eksperymentując, obserwując inne dzieci, Anna Sullivan wykryła praktyczny sposób uczenia języka metodą naturalną. Tej „naturalnej metody" doktor Howe szukał na oślep, jednakże nie wpadł na myśl, że głuchego dziecka nie powinno się uczyć każdego słowa oddzielnie, za pomocą definicji, lecz przez bezustanne powtarzanie niezrozumiałych dlań słów. Tego wielkiego odkrycia dokonała Anna Sullivan. Przez cały dzień, czy to podczas zabawy, czy pracy nauczycielka palcowała w rączkę uczennicy. W ten sposób Helena przyswajała sobie słowa, tak jak je przyswaja niemowlę w kołysce. Wpadają mu w uszka tysiącami, zanim jeszcze wypowie jedno, i kojarzą się z okolicznościami, w jakich ich użyto. Tak dowiaduje się, że słowa oznaczają rzeczy, czynności oraz uczucia. Otóż to jest pierwsza zasada w metodzie Anny Sullivan. Zasada, która dała praktyczne wyniki, a której, o ile mi wiadomo, nie stosowano w nauce głuchego dziecka, nie mówiąc już o głuchociemnych, dopóki Anna Sullivan nie wypróbowała jej na Helenie. A zasada została jasno sformułowana dopiero w jej listach.

Druga zasada jej metody (kolejność jest oczywiście dowolna) to przestroga, żeby nigdy nie mówić dziecku o rzeczach, które je nużą lub których nie lubi. W pierwszej szkole dla głuchych dzieci, którą zwiedziła, nauczycielka, zajęta przy tablicy, mówiła dzieciom pisanymi słowami to, czego nie chciały wiedzieć. Tymczasem dzieciarnia otoczyła tłumnie gościa z żywą ciekawością, z czego wynikało, że małe główki były spragnione tysiąca wiadomości. Dlaczegoż by — powiada Anna Sullivan — nie prowadzić lekcji operując materiałem dla nich interesującym?

Pokrewną nakazowi mówienia z dzieckiem o tym, co je interesuje, jest zasada nieuciszania dziecka zadającego pytania, lecz odpowiadania na nie możliwie dokładnie. Gdyż — powiada ona — pytanie jest drzwiami do umysłu dziecka. Panna Sulli-

van nigdy nie upraszczała niepotrzebnie pojęć lub wyrażeń celem dostosowania się do domniemanego poziomu dziecięcej inteligencji. Przynaglała wszystkich, żeby mówili do Heleny naturalnie, pełnymi zdaniami, inteligentnie, nie przejmując się tym, czy ona ich rozumie, czy nie. Bo wiedziała to, czego tak wiele osób nie rozumie, że po pierwszych prymitywnych definicjach, takich jak kapelusz, filiżanka, iść, siedzieć, jednostką językową dla dziecka staje się zdanie, które dla osób dorosłych jest również jednostką językową. Nie wchłaniamy zdania słowo po słowie, lecz w całości. Jest to twierdzenie, coś orzekającego o czymś, przekaz myślowy. Prawda, że pojedyncze słowa też podsuwają i wyrażają myśli. Dziecko może powiedzieć po prostu „mama" w znaczeniu: „Gdzie jest mama?", ale uczy się wyrażania myśli odnoszących się do mamy — uczy się języka, słysząc pewne zdania. A chociaż Anna Sullivan nie narzucała gramatycznych całości swej szczebiocącej na paluszkach wychowance, to przecież, gdy sama powtórzyła zdanie Heleny „mama mleko", uzupełniła konstrukcję, dopełniła niedomówienie dziewczynki i powiedziała: „Mama przyniesie Helenie mleko".

I tak wypracowywała metodę naturalną tak prostą, tak wolną od sztucznej systematyczności, że ta jej metoda wydaje się raczej przekreśleniem dotychczasowych sposobów. Należy wątpić, czybyśmy usłyszeli o Helenie Keller, gdyby Anna Sullivan nie znalazła się wśród dzieci. Obserwując je, nauczyła się obchodzić ze swoją wychowanką w miarę możliwości jak z normalnym dzieckiem.

Alfabet ręczny nie był jedynym środkiem przekazywania słów palcom Heleny. Książki uzupełniały (chociaż może były równie ważne) alfabet ręczny jako sposób uczenia języka. Helena ślęczała nad nimi, zanim jeszcze nauczyła się czytać. Początkowo nie szło jej o powiastki, lecz o znajdowanie znajomych słów. Definicje nowych słów, zawarte w osnowie, w ich pozycjach w stosunku do znanych słów, wzbogacały słownictwo Heleny. Książki to magazyn językowy i każde dziecko, jeżeli je jakoś zainteresować drukowanymi stronicami, musi się uczyć. Uczy się nie dlatego, że czyta to, co rozumie, ale dlatego, że czyta i zapamiętuje słowa, których nie rozumie. I cho-

ciaż może rzadko się zdarzy dziecko o tak wielkim przedwczesnym zainteresowaniu książkami, jak Helena, to przecież naturalną ciekawość każdego zdrowego dziecka można skierować ku zadrukowanym kartom, zwłaszcza jeżeli nauczycielka jest zdolna i stosuje grę słów, jak to czyniła Anna Sullivan. Helena posiadała przypuszczalnie specjalne zdolności językowe. Należałoby raczej powiedzieć, że miała specjalne zdolności do myślenia, upodobanie do języka tłumaczy się tym, że język był dla niej równoznaczny z życiem. Nie był to przedmiot specjalny, jak geografia czy arytmetyka, lecz wrota do zewnętrznego świata.

Mając lat czternaście, po bardzo krótkiej nauce języka niemieckiego, przewertowała słowo po słowie „Wilhelma Tella" i udało jej się zorientować w treści sztuki. O gramatyce nie miała pojęcia i nic sobie z niej nie robiła. Dotarła do języka przez język. (Osłuchiwanie się z językiem tak samo prowadzi do celu.) Ten sposób opanowania obcego języka jest dla każdego bardziej życiowy i koniec końców łatwiejszy, niż nasza szkolna metoda zaczynania od gramatyki. Tak samo zabawiała się łaciną, ucząc się nie tylko na lekcjach z pierwszym swoim nauczycielem łaciny, ale wyszukując ciągle od początku słowa w tekście. Tę zabawę uprawiała sama.

Pan John D. Wright, jeden z jej nauczycieli w Szkole Wrighta-Humasona, pisze w liście do mnie:

„Często, gdy miała trochę wolnego czasu, znajdowałem ją w ulubionym jej kącie, w fotelu, na którego poręczach wspierał się ogromny tom, sporządzony dla niewidomych. Przesuwała powoli palcem po wierszach Molière'a w sztuce «Lekarz mimo woli» i cichutko chichotała nad komicznymi sytuacjami i zabawnymi powiedzeniami. W tym czasie znała bardzo niewiele francuskich słów, ale posługując się rozsądkiem, potrafiła odgadywać znaczenie słów i doszukiwać się w nich sensu. Tak dziecko składa pocięty na kawałki obraz. W rezultacie po upływie zaledwie kilku tygodni spędziłem z nią raz wieczorem niezmiernie wesołą godzinę, bo opowiedziała mi całą historię, przy czym podkreślała z upodobaniem humor komedii i błyskotliwy dowcip. Nie była to dla niej lekcja, lecz rozrywka".

Wiele dyskutowano na temat, czy osiągnięcia Heleny są wy-

nikiem naturalnych uzdolnień, czy zastosowanej w stosunku do niej metody nauczania.

Prawda, że nauczycielka, obdarzona geniuszem dziesięciokrotnie większym niż Anna Sullivan, nie osiągnęłaby tak uderzających wyników jak z Heleną, gdyby miała do czynienia z dzieckiem tępym z natury i niedorozwiniętym umysłowo. Ale prawdą jest również, że gdyby Helena Keller była z natury dziesięć razy bardziej uzdolniona, niż w istocie była, to nie osiągnęłaby takich wyżyn, gdyby od samego początku — właśnie od początku — nie była tak świetnie szkolona. Istotne jest, że Anna Sullivan uczyła ją języka metodą, której podstawowe zasady wyłożyła przejrzyście w swoich listach. Panna Sullivan pisała te listy wtedy właśnie, gdy odkrywała swoją metodę i stosowała ją z powodzeniem w praktyce. Może ją praktykować każdy nauczyciel z każdym zdrowym głuchym dzieckiem, a przy jak najszerszym ujęciu wyłożonych wyżej zasad może być stosowana w nauczaniu wszystkich dzieci.

W trakcie rozlicznych dyskusji nad tym zagadnieniem autorzy przerzucają nas poniekąd z jednego końca dylematu w drugi — albo Helena Keller urodziła się genialna, albo nauczycielka znalazła doskonałą metodę. I jedno, i drugie może być prawdą, chociaż w grę wchodzi jeszcze jeden czynnik, który sprawia, że ten dylemat jest niedoskonały. Anna Sullivan jest osobą o niezwykle silnej indywidualności. Może w rękach innej nauczycielki metoda jej nie okazałaby się tak całkowicie skuteczna. Rzutki, oryginalny umysł Anny Sullivan natchnął w wielkim stopniu uczennicę swoją żywotnością. Jeżeli Helena przepada za studiami językowymi, a nie interesuje się specjalnie matematyką, to trudno się dziwić, że nauczycielka podziela również upodobania uczennicy. Jednak nie znaczy to, że Helena zbyt się uzależniła od nauczycielki. Opowiadają o niej, że jako ośmioletnia dziewczynka, gdy ktoś próbował nią komenderować, siadała na chwilę z poważną minką i na pytanie, co jej jest, odpowiadała: „Gotuję się do odparcia ataku. Musi być tak, jak ja chcę". Taka agresywna osóbka nie potrafi uzależnić się, nawet gdy ma do czynienia z wychowawczynią tak energiczną jak Anna Sullivan. Ale panna Sullivan, dzięki „naturalnej skłonności", wyświadczyła wychowance ogromne do-

brodziejstwo. Stała się dla dziewczynki natchnieniem, co zdarza się przy wielkiej przyjaźni i raczej rozwija, a nie ogranicza obie strony. Co więcej, jeżeli Helena Keller jest „aniołem słodyczy i dobroci", jeżeli kocha „wszystko, co dobre i piękne", to ta okoliczność rzutuje na nauczycielkę, która obcowała z nią szesnaście lat.

A więc Anna Sullivan uczyniła tyle dla wychowanki, jak żadna inna nauczycielka dla jakiejkolwiek uczennicy. Aby zaistniała nowa Helena Keller, musi zaistnieć nowa Anna Sullivan. Aby zjawiło się nowe głuchociemne dziecko solidnie wykształcone, potrzeba tylko nowej nauczycielki, stale towarzyszącej wychowance, której pozostawia się swobodę, a która stosuje w miarę potrzeby wszelkie zasady — i nie potrzebuje trudzić się ich wynajdywaniem, bo Anna Sullivan już ją w tym wyręczyła. Może je modyfikować i uzupełniać, jeżeli uzna za konieczne. Uczennica musi być zdrowa, uzdolniona i na tyle młoda, żeby jeszcze mogła się uczyć. Każde głuche lub głuchociemne dziecko, o ile jest zdrowe, można uczyć. Mogą to czynić tylko rodzice lub rutynowani nauczyciele. Szkoła do tego się nie nadaje. Wiem, że ten pogląd będą zwalczać energicznie kierownicy szkół dla głuchych. Oczywiście szkoła dla głuchociemnych jest jedyną możliwością dla dzieci wychowywanych przez państwo. Ale jest to rzecz oczywista, że właśnie to, czego trzeba uczyć głuchociemne dziecko, inne dzieci opanowują przed pójściem do szkoły. Kiedy Anna Sullivan złapała przed stodołą kurczątko i opowiadała o nim Helenie, była to w swoim rodzaju lekcja, tylko na powietrzu i tylko z jednym dzieckiem.

Doktor Howe stanowczo nie ma racji, mówiąc, że „nauczyciel nie może być dzieckiem". A właśnie nauczyciel głuchego dziecka powinien być jak dziecko, dziecko skore do zabaw i figlów i ciekawe wszystkiego, co dziecinne.

Pokusa roztrząsania całej sprawy nauczania głuchych jedynie w związku z Heleną Keller jest niebezpieczna. Nie zadałem sobie szczególnego trudu, żeby jej uniknąć, gdyż moja opinia nie ma znaczenia. Starałem się tylko podsumować problemy i podkreślić niektóre z zasadniczych poglądów, wyłożonych przez Annę Sullivan, która jest autorytetem. Pytanie, czy sukcesy Heleny Keller nie zawróciły w głowach nauczycielom,

każąc im zbyt wiele się spodziewać po innych dzieciach. Wiem o głuchociemnych dzieciach, z którymi nauczyciele i przyjaciele wyprawiają Bóg wie co, a potem ogłaszają o nich płomienne sprawozdania rozbrajająco niezgodne z prawdą, gdyż łatwo się domyślić, że robią, co mogą, aby zasłużyły na przesadne pochwały.

Muszę teraz podsumować różne okoliczności, które uczyniły z Heleny Keller to, czym jest. Po pierwsze, przez dziewiętnaście miesięcy widziała i słyszała, a to musiało iść w parze z pewnym rozwojem umysłowym. Odziedziczyła sprawność fizyczną i umysłową. Zanim się nauczyła języka, wypowiadała się znakami. Pani Keller pisze do mnie, że przed chorobą Helenka miała swoje znaki na wszystko. Matka uważała to przyzwyczajenie za przyczynę powolnych postępów w mowie. Po chorobie, gdy mogły porozumiewać się tylko znakami, wzmogła się u Helenki skłonność do gestykulacji. Jak dalece mogła przejmować przekazy — trudno rozstrzygnąć, ale dużo wiedziała z tego, co się działo wokoło niej. Orientowała się, że inni posługiwali się wargami, „widziała" ojca czytającego gazetę. Gdy ją odłożył, siadała w jego fotelu i trzymała gazetę przed sobą. Wybuchy wściekłości we wczesnym dzieciństwie świadczyły o bolesnej potrzebie wyładowania naturalnych sił charakteru.

Miała więc Anna Sullivan dobry materiał, nad którym mogła pracować z oddaniem i wkładać w swój eksperyment inteligencję, odwagę i zapał. Metody Anny Sullivan były tak dobre, że nawet z pominięciem praktycznego wyniku każdy musiałby uznać słuszność jej poglądów. Poza tym odznaczała się ona silną indywidualnością. A wreszcie wszystkie warunki składały się na to, by nauczycielka i uczennica bawiły się razem, poznawały nawzajem i kształciły się, przebywając stale ze sobą.

Późniejsze studia Heleny Keller są łatwo zrozumiałe i nie wymagają dalszych wyjaśnień niż te, które ona sama podała. Osoby zainteresowane mogą się zwrócić do Biura Volta, Waszyngton, z prośbą o sprawozdania nauczycieli, którzy przygotowali ją do college'u — pana Artura Gilmana, dyrektora Szkoły dla Młodych Panien w Cambridge, i pana Mertona S. Keitha.

MOWA

Dwie osoby pisały autorytatywnie o mowie ustnej Heleny Keller i przebiegu nauki w tym zakresie: Sara Fuller, nauczycielka ze Szkoły Horacego Manna dla Głuchych w Bostonie, która udzielała jej pierwszych lekcji, i Anna Sullivan. Ta ostatnia, dzięki nieugiętej dyscyplinie, prowadziła je dalej z powodzeniem.

Zanim powołam się na sprawozdanie panny Sullivan, postaram się opisać, jakie wrażenie robi obecnie mowa Heleny Keller i jakie są właściwości jej głosu.

Głos ma niski i miły dla ucha. Mowie brakuje zmienności i modulacji. Gdy czyta głośno, dźwięki płyną monotonnie, a gdy mówi, głos jej oscyluje w granicach paru średnich tonów. Głos jej ma właściwość przydechową. Wydaje się, że jak na siłę tonu, zawsze tam za dużo tchu. Niektóre tony są muzyczne, czarujące. Gdy opowiada dziecinną powiastkę albo mówi z patosem, głos jej rozpływa się wdzięcznie od tonu do tonu. To jest coś jak przeciąganie długich słów niezupełnie opanowanych. Zauważa się to u dzieci uroczyście wygłaszających powiastkę.

Główna wada to brak akcentu w zdaniach i urozmaicenia w infleksji zwrotów. Helena Keller wymawia każde słowo jak cudzoziemiec, zmagający się ze składnikami zdania, albo jak czytają czasem dzieci szkolne, gdy muszą sylabizować każde słowo.

Mówi po francusku i po niemiecku. John Hitz, jej przyjaciel, którego ojczystym językiem jest niemiecki, chwali ją za doskonałą wymowę. Inny przyjaciel, jednakowo dobrze mówiący po francusku i po angielsku, twierdzi, że jej francuszczyzna jest

daleko zrozumialsza niż angielski. Mówiąc po angielsku rozdziela akcenty, jak we francuskim, wskutek czego nie kładzie dostatecznego akcentu na sylaby akcentowane. Mówi np. *pro-vo-ca-tion, in-di-vi-du-al,* nie zaznaczając prawie wcale różnicy między wartością sylab, a przy tym zmienia z dnia na dzień wymowę tego samego słowa. Zdaje się, byłoby bardzo trudno wytłumaczyć jej, jak powinna wymawiać *dictionary,* bo ani *dictionayry,* ani *dictionry,* bo i to, i to jest błędną wymową. Żaden system znaków w słowniku nie może pouczyć człowieka, jak wymawiać dane słowo. Jedyny sposób to nauka słuchowa, zwłaszcza gdy wchodzi w grę taki język jak angielski, tak zasobny w niewymawialne, stłumione samogłoski i quasi-samogłoski.

Samogłoski w wymowie Heleny Keller nie są niewzruszone. *Awful* wymawia prawie jak *awfil.* Pochodzi to stąd, że *ful* nie jest akcentowane. *Full* wymawia poprawnie.

Czasami, w trakcie głośnego czytania, gdy natrafi na słowo, którego nigdy nie wymawia, chociaż mogła je pisać wiele razy, popełnia błąd w wymowie. Ta trudność i parę innych są do usunięcia, gdy obie z nauczycielką będą miały więcej czasu. Od roku 1894 tak się zagłębiały w książkach, że zaniedbywały wszystko, co nie odnosiło się do pracy szkolnej, a chodziło przecież o dyplom. Przypuszczam, że Helena Keller nigdy nie będzie mogła mówić głośno bardzo poprawnie, ale może dużo zrobić, żeby mówić wyraźniej.

Gdy studiowała w Szkole Wrighta-Humasona w Nowym Jorku, doktor Humason starał się poprawić jej głos, nie tylko wadliwę wymowę poszczególnych słów, ale sam głos. Dawał jej lekcje intonacji i ćwiczył głos.

Trudno orzec, czy mowa Heleny Keller jest łatwo zrozumiała, czy też nie. Niektórzy pojmują ją z łatwością, inni z trudem. Przyjaciele osłuchują się z jej mową i zapominają, że mówi inaczej niż wszyscy. Dzieci rzadko miewają trudności z rozumieniem jej. Widocznie jej powolna, mierzona mowa przypomina dziecinną, bo później dzieci nabierają nałogu właściwego dorosłym łączenia wszystkich słów w zwrocie w jeden wydech. Zaręczano mi, że Helena Keller mówi lepiej niż większość głuchych osób.

Helena Keller opowiadała, jak nauczyła się mówić. Referat uczennicy.
Anny Sullivan wygłoszony w Chautauqua w lipcu 1894 roku na zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauczania Mowy Głuchych pokrywa się z opowiadaniem samej

SPRAWOZDANIE ANNY SULLIVAN O MOWIE SWEJ UCZENNICY

W trzy lata od chwili, gdy Helena zaczęła porozumiewać się z otoczeniem alfabetem ręcznym, udzielono jej pierwszej lekcji mowy ustnej, tego naturalniejszego, uniwersalniejszego środka kontaktów międzyludzkich. Alfabet ręczny opanowała znakomicie. Był to dla niej jedyny sposób komunikowania się ze światem zewnętrznym. Tą drogą zdobyła zapas słów, dzięki czemu mogła rozmawiać swobodnie, czytać i pisać stosunkowo łatwo i poprawnie. Jednakże działał w niej przemożny impuls wymawiania słyszalnych dźwięków. Moje bezustanne wysiłki, żeby stłumić tę instynktowną skłonność, która, jak się obawiałam, mogła z czasem stać się niemiła dla otoczenia, nie zdały się na nic. Nie starałam się uczyć jej mowy, ponieważ nie mogła obserwować warg mówiących osób, a to wydawało mi się przeszkodą nie do przezwyciężenia. Ale dziewczynka zorientowała się stopniowo, że jej sposób porozumiewania się jest inny niż u wszystkich. Wreszcie zadała pytanie: „Jak niewidome dziewczynki wiedzą, co mówić ustami? Dlaczego nie nauczysz mnie mówić tak, jak one mówią? Czy głuche dzieci uczą się mówić?"

Tłumaczyłam jej, że niektóre głuche dzieci uczą się mówić, ponieważ widzą usta nauczyciela. Jest to dla nich ogromną pomocą w nauce. Helenka przerwała mi mówiąc, że z wszelką pewnością mogłaby doskonale czuć moje usta. Wkrótce po tej rozmowie odwiedziła ją pewna pani. Pani ta opowiedziała jej o głuchociemnej dziewczynce nazwiskiem Ragnhild Kaata, którą nauczono mówić i rozumieć nauczyciela przez dotykanie palcami jego warg. Helena postanowiła od razu nauczyć się mówić i do dzisiejszego dnia nie zachwiała się w swoim posta-

nowieniu. Zaczęła natychmiast wydawać dźwięki, co nazywało się u niej, że mówi. Należało zakrzątnąć się koło tej nauki, skoro dziewczynka tak to sobie wzięła do serca. A ponieważ zdawałam sobie sprawę z własnej w tym względzie niekompetencji, gdyż nigdy nie studiowałam poważnie zagadnienia artykulacji, udałam się razem z moją wychowanką do Sary Fuller o radę i pomoc. Panna Fuller zachwycona zapałem i entuzjazmem Helenki, zaczęła ją uczyć. W ciągu kilku lekcji Helenka nauczyła się prawie wszystkich angielskich dźwięków, w niecały miesiąc opanowała wymowę bardzo wielu słów. Wymawiała je wyraźnie. Od samego początku nie chciała poprzestawać na ćwiczeniu się w najprostszych dźwiękach, rwała się niecierpliwie do słów i zdań. Ani długość słów, ani trudne kombinacje elementów dźwiękowych nie zniechęcały jej. Jednakże przy całym jej zapale i inteligencji nauka wymowy wymagała wprost nadmiernego nakładu pracy. Wynagradzało jej to zadowolenie z osiąganych z dnia na dzień wyników, co pozwalało wierzyć w możliwość całkowitego sukcesu. A sukces ten był większy i bardziej zachęcający, niż się tego spodziewali jej przyjaciele. Uciechę dziewczynki, że może wypowiadać swoje myśli w żywej wyraźnej formie, podzielają wszyscy ci, którzy są świadkami jej radości i szczęścia, gdy obcy ludzie mówią jej, że ją rozumieją.

Pytano mnie wiele razy, czy moim zdaniem Helenka będzie kiedy mówiła w sposób naturalny, to jest tak, jak mówią inni. Nie jestem zdolna rozstrzygnąć tej kwestii, a nawet wypowiedzieć swej opinii. Chyba nie zorientowałam się jeszcze w jej możliwościach. Nauczyciele niewidomych często się dziwią, że Helenka tak dobrze mówi, chociaż od tych kilku pierwszych lekcji z panną Fuller nie uczyła się regularnie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że to skutek naśladownictwa, przyzwyczajenia i praktyki! praktyki! praktyki! Natura postanowiła, jak dziecko ma się uczyć mówić, a my możemy mu tylko pomagać w sposób możliwie prosty i łatwy, to jest zachęcać je, żeby obserwowało i naśladowało wibracje głosowe.

Dodatkowe szczegóły zawiera wcześniejszy, dokładniejszy referat Anny Sullivan, opracowany dla Instytutu Perkinsa w roku 1891:

Wiedziałam, że Laura Bridgman okazywała ten sam intuicyjny pęd do wydawania dźwięków i nawet nauczyła się wymowy kilku prostych słów, którymi posługiwała się z wielką radością, i nie wątpiłam, że Helena też mogłaby dokazać tej sztuki. Sądziłam jednak, że korzyści z tego osiągnięcia nie wynagrodziłyby jej straty czasu i trudu potrzebnych na taki eksperyment.

Co więcej, brak słuchu sprawia, że głos brzmi monotonnie i często bardzo nieprzyjemnie. Taka mowa jest na ogół zrozumiała tylko dla bliskich osób zżytych z osobą tak mówiącą.

Dla niekształconych głuchych dzieci opanowanie mowy jest zawsze powolne i uciążliwe. Zdaje mi się, że częstokroć przywiązuje się nazbyt wielką wagę do nauczenia głuchego dziecka artykulacji. Ten proces może się okazać szkodliwy dla intelektualnego rozwoju ucznia. Wynika z samej natury rzeczy, że artykulacja nie jest zadowalającym środkiem nauczania, podczas gdy używanie alfabetu ręcznego ożywia i wzmacnia czynność umysłową, gdyż dzięki niemu dziecko wchodzi w ścisły kontakt z językiem. Najwyższe, najbardziej abstrakcyjne pojęcia można tą metodą przekazać umysłowi łatwo i dokładnie. W wypadku Helenki ten alfabet okazał się również bezcenną pomocą w opanowaniu artykulacji. Była już doskonale zaznajomiona ze słowami oraz budową zdań i miała do przezwyciężenia jedynie trudności mechaniczne. Zbyt dobrze wiedziała, jaką przyjemnością byłaby dla niej mowa. Świadomość tego, do czego dążyła, z góry ogromnie ją cieszyła i ułatwiała pokonanie trudności. Głuche dziecko, które się jeszcze nie uczyło, a któremu narzucają ćwiczenia artykulacyjne, nie wie, jaki jest cel tej udręki, i lekcje mowy są dla niego przez długi czas nudne i bezsensowne.

Zanim opiszę proces uczenia Helenki, muszę zaznaczyć pokrótce, jak dalece miała w użyciu organ głosu przed rozpoczęciem regularnych lekcji artykulacji. Uczyła się właśnie mówić, gdy w wieku dziewiętnastu miesięcy poraziła ją choroba, pozbawiając wzroku i słuchu. Bezmyślne niemowlęce gaworzenie przeobrażało się z dnia na dzień w świadome celowe znaki tego, co czuła i myślała. Ale choroba przerwała dalsze postępy w mowie, a gdy dziecko powróciło do sił, okazało się, że przestało mówić zrozumiale, bo nie mogło już słyszeć dźwięków. Nadal

ćwiczyło mechanicznie organ głosu tak, jak to czynią normalne dzieci. Płacz jej i śmiech, a także tony głosowe, kiedy wymawiała wiele elementów słownych, były najzupełniej naturalne, ale najwidoczniej nie miały dla niej znaczenia i z jednym wyjątkiem wydawała je nie w celu porozumiewania się z otaczającymi osobami, lecz z samej konieczności ćwiczenia wrodzonej, organicznej zdolności mówienia. Zawsze przywiązywała znaczenie do słowa woda. Był to jeden z pierwszych dźwięków, jakie nauczyły się wypowiadać niemowlęce usteczka, i było to jedyne słowo, jakie jej zostało w użyciu po stracie słuchu. Wymawiała je coraz bełkotliwiej, a kiedy ją poznałam, pozostały z niego tylko szczególne jakieś szmery. Swoją drogą tym tylko dźwiękiem określała wodę i dopiero gdy się nauczyła oznaczać ją palcami, zarzuciła symbol głosowy. Słowo woda i gest oznaczający pa! pa! to zdaje się było wszystko, co zapamiętała z naturalnych i nabytych znaków, które znała przed chorobą.

Gdy zapoznała się z otoczeniem za pośrednictwem zmysłu czucia (używam tego słowa w jak najszerszym znaczeniu, ponieważ zawiera ono wszelkie wrażenie dotykowe), doświadczała coraz bardziej naglącej potrzeby porozumiewania się z ludźmi. Jej rączki dotykały wszystkich przedmiotów i kontrolowały ruchy osób znajdujących się w pobliżu. W lot je naśladowała. To ułatwiło jej wyrażanie szczególnie pilnych potrzeb i wielu myśli.

W okresie, gdy zostałam jej nauczycielką, stworzyła już sobie z górą sześćdziesiąt znaków o charakterze naśladowczym, łatwo zrozumiałych dla otoczenia. Jedyne znaki, które, jak przypuszczam, mogła sama wynaleźć, odnosiły się do określeń mały i duży. Kiedy bardzo jej się czegoś zachciało, gestykulowała ogromnie wymownie. Gdy jej nie rozumiano, wpadała w furię. W tym czasie polegała całkowicie na znakach i nie wypracowała sobie artykułowanego języka, zdolnego wyrazić pojęcia. Wydaje się jednak, że kiedy jeszcze dotkliwie cierpiała w czasie choroby, zauważyła poruszenia warg matki.

Gdy nie była czymś zajęta, obijała się niespokojnie po domu, wydając dziwne, nieprzyjemne na ogół dla ucha dźwięki. Widziałam, jak kołysała lalkę przy akompaniamencie ciągłego, monotonnego odgłosu, przy czym jedną rękę trzymała na gard-

le, a palcami drugiej badała poruszenia warg. Naśladowała w ten sposób matkę nucącą niemowlęciu. Zdarzało się, że wybuchała wesołym śmiechem. Wtedy wyciągała rączkę i dotykała ust blisko stojącej osoby, żeby sprawdzić, czy także się śmieje. Jeżeli nie znalazła uśmiechu, gestykulowała gorączkowo, starając się przekazać swoją myśl. Lecz gdy nie udało jej się pobudzić do śmiechu tej osoby, nieruchomiała na chwilę na krześle z twarzą zasmuconą i zawiedzioną. Lubiła wszystko, co wydawało odgłos. Lubiła wyczuwać mruczenie kota, a jeśli przypadkiem dotknęła psa w momencie, gdy szczekał, okazywała wielkie zadowolenie. Lubiła stawać koło fortepianu, gdy ktoś grał i śpiewa. Jedną rękę trzymała na ustach śpiewaka, a drugą opierała o fortepian i stała tak, dopóki jej śpiewano. Potem wydawała przeciągłe dźwięki i mówiła, że śpiewa. Jedyne słowa, które nauczyła się wymawiać jako tako wyraźnie przed marcem 1890 roku, były: tatuś, mama, dzidzi, siostra. Te słowa ściągnęła bez nauki z warg przyjaciół. Otóż zawierają one (po angielsku) trzy samogłoski i sześć spółgłosek. Te elementy dały podstawę do jej pierwszej prawdziwej lekcji wymowy.

Pod koniec pierwszej lekcji mogła już wymówić wyraźnie następujące dźwięki: a, ä, â, è, î, ô, c miękkie jak s i twarde jak k, g twarde: b, l, n, m, t, p, s, u, k, f i d. Spółgłoski twarde było jej bardzo trudno wymówić — i trudność ta pozostała — jeżeli znajdowały się w tym samym słowie. Często jedną stłumia, a drugą zmienia, a czasami zastępuje obydwie przez analogiczne dźwięki z miękką wymową. Początkowo mieszała l i r, co było bardzo uderzające. Nieraz używała jednej z tych spółgłosek zamiast drugiej. Z r szło jej tak trudno, że był to jeden z ostatnich dźwięków, jaki opanowała. Z ch, sh i miękkim g również miała dużo kłopotu; jak dotychczas, nie wymawia tych spółgłosek wyraźnie. *

Mówiła od niespełna tygodnia, gdy spotkała się ze swoim przyjacielem, panem Rodocanachi. Natychmiast spróbowała wymówić jego nazwisko. I nie chcąc dać za wygraną, zmagała się z tym tak długo, aż wymówiła poprawnie. Zapał jej nie

---

Trudności, które Anna Sullivan stwierdziła w roku 1891, pozostały Helenie Keller w pewnym stopniu do dzisiaj.

słabł ani na chwilę. Pragnęła z całej duszy przewyciężyć piętrzące się zewsząd trudności, ogromnie się starała i w ciągu jedenastu lekcji wyuczyła się wszystkich elementów mowy.

Informacje, zamieszczone w referatach nauczycielki, wyjaśniają dostatecznie technikę stosowaną przez nią przy czytaniu z warg palcami i w jaki sposób nauczono ją mówić, dzięki czemu może się przysłuchiwać rozmowie. W czytaniu warg nie jest ani tak bystra, ani tak dokładna, jak podają niektóre sprawozdania. Jest to nieporęczny i niezadowalający sposób otrzymywania przekazów, a zbyteczny w razie obecności Anny Sullivan lub innej osoby znającej alfabet ręczny — w roli pośrednika. Istotnie, gdy któryś z przyjaciół próbuje bez powodzenia z nią się porozumieć, nauczycielka spieszy zazwyczaj z pomocą uczennicy i literuje jej do ręki zgubione słowa.

Gdy prezydent Roosevelt widział się z Heleną Keller ostatnio, na wiosnę, porozumiewał się z nią stosunkowo łatwo. Specjalnie prosił Annę Sullivan, żeby nie literowała jej do ręki. Helena łowiła każde słowo prezydenta, gdyż mówi on bardzo wyraźnie. Inni skarżą się, że nie udaje im się docierać do „uszu" Heleny Keller.

Nieliczni przyjaciele i przyjaciółki, z którymi jest zżyta, jak pani A. C. Pratt i pan J. E. Chamberlin, mogą spędzić z nią cały dzień i powiedzieć jej wszystko, co chcą, nie uciekając się do alfabetu ręcznego. Umiejętność czytania z warg pomaga Helenie naprawiać błędy własnej wymowy. Ta umiejętność umożliwiła jej naukę mowy, ale jest to raczej sukces niż konieczność.

Nie należy zapominać, że mowa nie przyczyniła się zasadniczo do jej wykształcenia, jakkolwiek bez niej chybaby się nie powiodły jej studia w szkole średniej i w college'u. Ale Helena Keller sama wie najlepiej, jakie znaczenie ma dla niej mowa. Poniżej zamieszczamy jej przemówienie wygłoszone na piątym zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Propagandy Nauczania Mowy Głuchych w Mt. Airy, w Filadelfii w dniu 8 lipca 1896 roku.

Gdybyście państwo wiedzieli, co to dla mnie za radość móc do was dziś przemawiać, to pewno nabralibyście większego wyobrażenia o znaczeniu mowy dla głuchych i zrozumielibyście, dlaczego pragnę, aby każde głuche dziecko na całym świecie miało możność nauczyć się mówić. Wiem, że wiele na ten temat mówiono i pisano i że między nauczycielami głuchych istnieje niemała rozbieżność opinii w kwestii nauki. Ta rozbieżność wydaje mi się bardzo dziwna. Nie mogę pojąć, jak ktoś interesujący się kształceniem nas, głuchych, może nie doceniać zadowolenia, jakie odczuwamy, gdy możemy wypowiadać nasze myśli słowami. Przecież ja stale posługuję się mową i nie umiem wprost wypowiedzieć, jaka to dla mnie przyjemność. Wiem, oczywiście, że osobom obcym nie zawsze łatwo mnie zrozumieć, ale to przyjdzie z czasem. Na razie mam to niewymowne szczęście, że rodzina i przyjaciele cieszą się z mojej umiejętności. Siostrzyczka i braciszek są uszczęśliwieni, gdy w długie wieczory letnie, bawiąc w domu, opowiadam im bajki, a matka i nauczycielka proszą mnie często, żebym im czytała z moich ulubionych książek. Omawiam również z moim drogim ojcem sytuację polityczną. Rozstrzygamy najzawilsze kwestie w sposób tak dla nas zadowalający, jakbym widziała i słyszała. Widzicie więc, państwo, jakim błogosławieństwem jest dla mnie mowa. Umożliwiła mi bliższy i serdeczniejszy kontakt z tymi, których kocham, a również jakże miłe obcowanie z bardzo wielu osobami, od których, gdybym nie umiała mówić, byłabym całkowicie odcięta.

Pamiętam czasy, kiedy nie umiałam jeszcze mówić. Z jakim trudem wypowiadałam swoje myśli alfabetem ręcznym — jak te myśli trzepotały mi się na końcach palców, niby ptaszki usiłujące wyrwać się na wolność. Aż tu pewnego pięknego dnia panna Fuller otworzyła na oścież więzienne wrota i pozwoliła im ulecieć. Ciekawe, czy ona pamięta, jak skwapliwie i radośnie rozpościerały skrzydełka i ulatywały. Naturalnie początkowo niełatwo było latać. Skrzydełka mowy były złamane i słabe. Wszak straciły wszelki wdzięk i piękno, jakie były kiedyś ich udziałem. W gruncie rzeczy nie pozostało nic prócz impulsu przy-

naglającego do lotu. Ale to było coś. Nikt nie zgodzi się pełzać, gdy go podrywa do lotu. Jednak czasami ogarniało mnie zniechęcenie. Wydawało mi się, że nigdy nie potrafię wzbijać się na skrzydłach mowy, zgodnie z ich przeznaczeniem, z woli Boga. Tyle się nastręczało przeszkód, tyle przychodziło załamań. Ale nie ustawałam w wysiłkach, bo wiedziałam, że cierpliwość i wytrwałość doprowadzą mnie w końcu do celu. Pracując budowałam przepiękne powietrzne zamki i marzyłam... W najmilszym marzeniu wyobrażałam sobie, że mówię już tak jak inni ludzie. Myśl, co to będzie za radość dla matki, gdy znów usłyszy mój głos, osładzała wszelkie trudy, a nieudane próby przemieniała w zachętę do następnych, cięższych. Chcę więc powiedzieć tym, którzy próbują nauczyć się mówić, i tym, którzy ich uczą: Nie traćcie nadziei! Nie myślcie o dzisiejszych niepowodzeniach, lecz o sukcesie, który możecie odnieść jutro. Postawiliście sobie trudne zadanie, ale zwyciężycie, jeśli wytrwacie do końca. Pokonywanie przeszkód napełni was radością. Bo to wielka radość piąć się po urwistych ścieżkach, radość, której byście może nigdy nie zaznali, gdybyście jeden raz nie ześliznęli się z powrotem, gdyby droga była zawsze gładka i przyjemna. Zapamiętajcie sobie, że żaden wysiłek dla osiągnięcia pięknego celu nie jest nigdy stracony. Kiedyś, gdzieś znajdziemy to, czego szukamy. Będziemy mówić, ach, będziemy mówić i śpiewać!

STYL LITERACKI

Kto czytał „Autobiografię" Heleny Keller, tego musiała uderzyć jej wyborna wprost angielszczyzna. Każdy nauczyciel wie, że może nauczyć swoich uczniów pisać o tyle poprawnie, że nie będą popełniać błędów w składni lub w doborze słów. Właśnie taką poprawność ustala wczesna nauka Heleny Keller jako punkt docelowy, do którego moża doprowadzić każde zdrowe dziecko. Wyjaśnienie znajdujemy w analizie metody nauczania. Ci, którzy chcieliby widzieć w Helenie Keller wyjątek, nie dający wytłumaczyć drogą analizy początków jej kształcenia, umacniają swoją argumentację powoływaniem się na jej uderzającą biegłość językową już nawet wtedy, gdy była dzieckiem.

To spostrzeżenie ma poniekąd swoją wagę, bo w istocie rzeczy łatwość pisania i piękno myśli, stanowiące o stylu, są darami bogów. Żaden nauczyciel nie rozwinąłby w niej wrażliwości na uroki języka, jak też subtelniejsze odcienie myślowe dające się wyrazić przy pomocy melodyjnych kombinacji słów.

Wrodzony dar stylu można równie dobrze rozwinąć, jak przytłumić. Żaden urodzony geniusz nie wynajdzie pięknego języka. Materiał tworzący dobry styl musi być dostarczony umysłowi z zewnątrz i to dostarczony umiejętnie. Dziecko nie potrafi pisać piękną angielszczyzną, o ile nie karmiło się piękną angielszczyzną. Pod tym względem, jak pod wszystkimi innymi Anna Sullivan okazała się mądrą nauczycielką. Gdyby ona nie posiadała wytrawnego smaku i nie entuzjazmowała się dobrą angielszczyzną, może by się Helena Keller wychowywała na „dziecięcej literaturze", pomniejszającej język pod pretekstem

udostępniania go dzieciom, tak jakby książka dla dzieci nie mogła mieć literackiej wartości, jaką posiada „Wyspa skarbów", „Robinson Crusoe" czy „Księga dżungli".

Gdyby Anna Sullivan pisała pięknie po angielsku, to śliczny styl Heleny Keller byłby rzeczą oczywistą. Jednakże urywki z listów i referatów panny Sullivan, chociaż pisane jasno i precyzyjnie, nie odznaczają się pięknym stylem tak charakterystycznym dla uczennicy. Zasługi Anny Sullivan, jako nauczycielki angielskiego, nie można mierzyć jej własnym talentom literackim. Czytywała wychowance tyle dobrych książek także i dlatego, że niedawno odzyskała wzrok. Gdy została nauczycielką Heleny, zaczęła się właśnie interesować skarbami zawartymi w książkach, od których była odcięta przez lata ślepoty.

W bibliotece kapitana Kellera znalazła świetne książki „Opowieści z Szekspira" Lamba i jeszcze lepszego autora — Montaigne'a. Po roku na tyle podciągnęła swoją wychowankę w rozumieniu zwrotów, że razem czytywały dobre książki i rozkoszowały się nimi.

Prócz doboru dzieł jest jedna jeszcze przyczyna, która sprawiła, że Helena Keller stała się znakomitą stylistką — a która jest całkowitą zasługą jej nauczycielki. We wszystkich pracach uczennicy przejawia się niezmordowana, nieugięta dyscyplina. Anna Sullivan nie pozwala uczennicy wysyłać listów z błędami świadczącymi o złym smaku. Dziewczynka musiała je przerabiać tak dalece, że nie mówiąc już o poprawności, nabierały wdzięku i stylu.

Każdy, kto próbował pisać, wie, co Helena zawdzięcza bezustannej praktyce, której wymagała od niej nauczycielka. Niech nauczyciel ceniący dobry styl każe dziecku opracowywać ćwiczenie po kilka razy, póki nie stanie się ono więcej niż poprawne, to skutek będzie taki, że dziecko osiągnie większą biegłość od niego samego.

Jak dalece Anna Sullivan posuwała ten proces wygładzania i selekcji, mówi nam humorystyczny komentarz doktora Bella, że uczyniła ze swojej uczennicy starą kobietę, niezwykle różniącą się od zwykłych dzieci dojrzałością umysłową. W ten sposób doktor Bell pochwalał sam siebie, gdyż on pierwszy

dostrzegł podstawowe zasady metody Anny Sullivan i wyjaśnił, w jaki sposób Helena Keller czerpała język z książek.

Istnieje jeszcze jedna przyczyna doskonałej angielszczyzny Heleny Keller, a jest nią jej upośledzenie. Złe strony tego kalectwa przezwyciężono, a korzystne pozostały. Helena przewyższa inne głuche osoby, bo uczono ją tak, jakby była normalna. Z drugiej strony szczególna dla niej wartość języka (który zwykli ludzie przyjmują jako rzecz naturalną) sprawiła, że dużo o nim rozmyślała i że go pokochała. Język wyzwolił ją z niebytu, toteż umiała go docenić.

Potwierdzenia, że Helena Keller wcześnie zdobyła biegłość stylu, i końcowy komentarz na temat doskonałości tej metody nauczania łączą się z incydentem, który chociaż w swoim czasie sprawił wiele troski, dziś już nie ma znaczenia. Nawiązuję tu do epizodu z „Królem Mrozem", który wyjaśnię szczegółowo. Helena Keller wyjaśniła go ze swej strony i cała ta historia była omówiona w Księdze Pamiątkowej Biura Volta. Przytaczam w całości materiały dotyczące tej sprawy.

SPRAWOZDANIE ANNY SULLIVAN O „KRÓLU MROZIE".

PAN JOHN HITZ

KIEROWNIK BIURA VOLTA, WASZYNGTON

Szanowny Panie!

Ledwo zdążyłam przygotować referat do drugiego wydania Księgi Pamiątkowej Biura Volta poświęconej Helenie Keller, wyszły na jaw fakty, które mogą się okazać interesujące ze względu na opanowanie języka przez moją uczennicę. Jeżeli nie jest za późno na umieszczenie ich w bieżącym wydaniu Księgi, będę rada z możności omówienia szczegółowo tej sprawy.

Może nie zapomniano, że w moim sprawozdaniu *, gdzie jest wzmianka o wybitnej pamięci Heleny, zaznaczam, że zachowuje ona w pamięci wiele form wyrażeniowych, których w danej chwili prawdopodobnie nie rozumie. Ale gdy zdobywa nowe

W owym sprawozdaniu Anna Sullivan pisze: Tej zimy (1891—1892) wyszłam z nią na podwórze, gdy padał śnieg. Kazałam jej podstawić rączki pod spadające płatki. Ogromnie ją to bawiło. Gdyśmy weszły do domu, zadeklamowała: „Z chmur, jak z fałdzistych zwojów swej szaty, zima wytrząsa śnieg".

wiadomości, zachowuje w pamięci wyrażenia, które z czasem stosuje identycznie lub częściowo zmienione w zależności od tego, jak dalece nadają się do nowych przeżyć. Nie ulega wątpliwości, że to spostrzeżenie odnosi się do każdego inteligentnego dziecka i może nie zasługiwałoby na specjalne podkreślenie w odniesieniu do Heleny, gdyby nie okoliczność, że po dziecku pozbawionym wzroku i słuchu trudno się było spodziewać tak wybitnej inteligencji jak u tej małej dziewczynki. Całkiem więc możliwe, że uznajemy za nadzwyczajne liczne objawy zachodzące w jej rozwoju umysłowym, które na takie określenie nie zasługują.

W nadziei, że będę usprawiedliwiona, jeżeli pozornie przecenię wybitną chłonność umysłową, wyjątkową inteligencję i zdolności krytyczne mojej uczennicy, pragnę zaznaczyć, że jakkolwiek zawsze zdawałam sobie sprawę, że robiła ona wielki użytek z opisów i porównań, jakie przemawiały do jej wyobraźni i subtelnej poetyckiej wrażliwości, to przecież świeże postępy w jej pracach pisemnych przekonały mnie, że dawniej nie byłam w pełni świadoma, jak dalece przejmuje styl ulubionych autorów. W pierwszym okresie, gdy zaczęłam ją uczyć, wiedziałam dokładnie, jakie książki czytała, i prawie o wszystkich powiastkach, jakie jej czytano. Mogłam więc bez trudu wyśledzić źródło każdej adaptacji w jej rozmowie czy

---

Zapytałam, gdzie to czytała. Nie pamiętała, żeby to czytała, i nie uświadamiała sobie, czy się tego uczyła. Ponieważ ja sama nigdy tego nie słyszałam, zwróciłam się do kilku przyjaciół z zapytaniem, czy sobie przypominają to porównanie. Ale nikt nie pamiętał. Nauczyciele orzekli, że takiej metafory nie było w żadnej książce, pisanej wypukłym drukiem w ich bibliotece, ale jedna z pań, panna Marrett, zadała sobie trud przejrzenia zbiorów wierszy zwykłym drukiem. Trud jej opłacił się. W jednym z utworów poetyckich Logn-fellowa pt. „Płatki śnieżne" znalazła taki opis:

Z łona otchłani powietrznej,
Z chmur, jak z fałdzistych zwojów jej szaty strząśnięty
Na leśne obszary brunatne i nagie,
Na żniwne opustoszałe pola,
Cichy, miękki, powolny,
Spada śnieg.

Nasuwa się wniosek, że Helena nauczyła się tego poetyckiego porównania i dziś rano przy okazji zawiei śnieżnej potrafiła je zastosować.

listach. Zawsze stwierdzałam z wielką przyjemnością, jak zręcznie stosowała wyrażenia ulubionego autora w swych wypracowaniach.

Podane niżej wyjątki kilku jej opublikowanych listów świadczą, jak jej się przydawała ta zdolność zapamiętywania pięknego stylu. Pewnego razu w ciepły słoneczny dzień na początku wiosny, gdy bawiłyśmy na Północy, balsamiczne powietrze nasunęło jej widocznie nastrój, który Lognfellow oddał w „Pieśni o Hajawacie". Po prostu śpiewała razem z poetą:

„Ziemia dygotała od naporu budzącego się nowego życia. Moje serce śpiewało z czystej radości. Myślałam o własnym kochanym domu. Wiedziałam, że w tej słonecznej krainie wiosna zjawiła się w całej wspaniałości swoich ptasząt, swoich pąków, swoich kwiatów i swoich traw".

W tym samym mniej więcej czasie, w liście do przyjaciela, w którym wspomina o domu rodzinnym na Południu, odtwarza tak wiernie ustęp z wiersza swojego ulubionego poety, że zacytuję ustępy i z jej listu, i z wiersza.

WYJĄTKI Z LISTU HELENY

Cały list został wydrukowany na str. 245-246 sprawozdania Instytutu Perkinsa za rok 1891.

Kraska o lazurowych piórkach, drozd cały brunatny, raszka ze spazmatycznym gardziołkiem, wilga podobna w przelocie do płomiennego strzępka, wesoły żółtaczek ze szczęśliwą małżonką, drozd naśladujący wszystkie ptaszki, gil ze swoim jedynym trelem i skrzętny mały mysikrólik — cała ta czereda napełnia radosną pieśnią drzewa w ogrodzie.

Z WIERSZA PT. „WIOSNA" OLIVERA WENDELLA HOLMESA

Lazurowa kraska,
Gdy fruwa po drzewach,
Woń kwiatów mirtowych
Wokoło rozwiewa.

Drozd, biedny wędrowiec,
Tu i tam przysiada.
Brunatność jesienna
To jego parada.

A wilga powietrzem
Niby płomień bieży,
Porwany wichurą
Z gorejącej wieży.

A raszka gardziołkiem
Robiąc spazmatycznie,
Na tony *staccato*
Drze się despotycznie.

Głupawy żółtaczek
Stroi zalecanki
Do swej postrzelonej
Małżonki-kochanki.

Pod jego ciężarem
Giętka chwiejna trzcina
Jakby podchmielona
Lekko się ugina.

Samotny kanarek,
Gdy mu pręty zbrzydły,
Rwie się na swobodę
Leniwymi skrzydły.

W ostatni dzień kwietnia posłużyła się innym zwrotem z tego samego wiersza, ale raczej w charakterze adaptacji niż naśladownictwa:

„Jutro kwiecień ukryje swoje łzy za kwiatami ślicznego maja".

W liście do przyjaciółki z Instytutu Perkinsa z datą 17 maja 1889 roku opowiada swoimi słowami bajkę Jana Chrystiana Andersena, którą jej czytałam nie tak dawno temu. List ten został ogłoszony w sprawozdaniu Instytutu Perkinsa (1891 r. str. 204). Oryginalną bajkę czytałam jej z egzemplarza „Baśnie Andersena" wydanego przez firmę „Leavitt and Allen Bros".

Wiadomo, z jakim zachwytem przyjmowała objaśnienia biskupa Brooksa o ojcostwie Boga. W jednym z listów, mówiąc o tym, jak Bóg na wszelkie sposoby okazuje nam swoją miłość,

biskup powiada: „Myślę, że wypisuje nawet na ścianach wielkiego domu, którym jest natura, a w którym mieszkamy, że jest naszym Ojcem". Bawiąc w następnym roku w Andover, Helena powiedziała: „Wydaje mi się, że świat jest pełen dobroci, piękności i miłości. Jak wdzięczni powinniśmy być naszemu Niebieskiemu Ojcu, który obdarzył nas tak obficie! Jego troskliwa miłość jest wszędzie wypisana w dziełach natury".

W tych ostatnich latach, kiedy Helena nawiązała tyle znajomości z ludźmi, którzy umieją swobodnie z nią rozmawiać, zapoznała się również z dziełami literackimi, których ja nie znałam. Znalazła także w książkach drukowanych wypukłymi czcionkami — a w tej lekturze nie mogłam za nią nadążać — wiele materiału pozwalającego jej rozkoszować się imaginacyjnymi poetyckimi obrazami. Stronice czytanej książki przeobrażają się dla niej w malowidła, którym jej potężna wyobraźnia użycza barw i życia. Przenosi się momentalnie w sam środek opisywanych w książce lub opowiadanych jej wydarzeń. Postacie i opisy stają się dla niej realne. Raduje się, gdy sprawiedliwość zwycięża, smuci, gdy cnota nie otrzyma nagrody. Obrazy, jakie słowa malują w jej pamięci, pozostają, jak się zdaje, niezatarte i ilekroć zdarza się jej jakieś analogiczne przeżycie, tryskają słowa, cudownie trafne, niby odbicie w lustrze.

Helena jest z natury tak utalentowana, iż wystarczy najbardziej zdawkowe wyjaśnienie, żeby się orientowała w sytuacji. Pewnego dnia w Alabamie, gdy rwałyśmy polne kwiaty na zboczach w pobliżu źródeł, zorientowała się, najwidoczniej pierwszy raz, że źródła wypływają z gór.

„Góry tłoczą się niedaleko źródeł, żeby się przyglądać swojemu pięknemu odbiciu!" — wykrzyknęła.

Nie wiem, skąd zaczerpnęła to porównanie. Oczywiście musiała otrzymać je z zewnątrz, bo przecież osoba pozbawiona wzroku nie mogłaby chyba wymyślić takiego porównania. Wspominając pobyt w Lexingtonie pisze: „W drodze można było oglądać monarchów leśnych, jak uginając swe dumne postacie nasłuchiwali szeptów dziatwy z poszycia opowiadającej sobie swoje tajemnice. Anemony, dzikie fiołki, przylaszczki i śmieszne, kędzierzawe paprotki zerkały na nas spod brunatnych liści. — Kończy list słowami: — Muszę się położyć, gdyż Morfeusz

dotknął moich powiek złotą laseczką". — I tu nie umiem powiedzieć, skąd ona zaczerpnęła te powiedzenia.

Zdaje się, że zawsze miała szczególne upodobanie do opowiadań działających na wyobraźnię, toteż wyławia z nich i zachowuje w pamięci wszelkie poetyckie chwyty. Ale dopiero tej zimy spostrzegłam, iż pamięć jej wchłania całe zdania tak dalece, że sama nie potrafi później wskazać źródeł tych zapożyczeń.

Uwidocznia się to w powiastce, którą napisała w ubiegłym roku w październiku w domu rodziców. Zatytułowała ją „Jesienne liście". Pracowała nad nią jakieś dwa tygodnie, co dzień po trochu, jak jej przychodziła ochota. Gdy skończyła i gdyśmy ją przeczytali w rodzinnym gronie, dużo było rozważań na temat pięknej obrazowości. Nie mogliśmy zrozumieć, jak Helenka mogła opisywać takie obrazy nie widząc ich. Ponieważ nie czytaliśmy ani nie słyszeli nigdy nic podobnego, zapytaliśmy, gdzie to czytała.

„Nie czytałam tego — odparła — to jest moja powiastka na urodziny pana Anagnosa".

Jakkolwiek dziwiłam się, że Helenka mogła tak pisać, to jednak nie zdumiało mnie to bardziej niż inne niespodziewane sukcesy mojej uczenniczki, zwłaszcza że tej jesieni wymieniłyśmy wiele pięknych myśli na temat cudnie barwionych drzew.

Zanim Helena przepisała ostatecznie na czysto swoją bajkę, poradzono jej, żeby zmieniła tytuł na „Król Mróz", jako lepiej odpowiadający treści, na co chętnie przystała. Jak zwykle napisała ją Braille'em i przepisała tak samo. Wtedy ja podkleiłam skrypt dla większej wygody tych, którzy zechcieliby go przeczytać. Helena napisała krótki list, dołączyła maszynopis i posłała pocztą panu Anagnosowi na urodziny.

Powiastkę wydrukowano w styczniowym numerze „Mentora". Z recenzji w „Goodson Gazette" dowiedziałam się z przerażeniem, że bardzo podobna bajka wyszła w roku 1873, na siedem lat przed urodzeniem Heleny, pod tytułem „Mroźne wróżki", w książce napisanej przez Margaret T. Canby, zatytułowanej „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele". Ustępy zacytowane z obu utworów były tak podobne pod względem treści i stylu, iż nie mogłam wątpić, że powiastkę panny Canby musiano kiedyś czytać Helence.

Ponieważ sama nigdy tej powiastki nie czytałam, a i o książce nawet nie słyszałam, zapytałam ją, czy wie coś o tym. Ale nie wiedziała. Nie mogła sobie wcale przypomnieć ani tytułu powiastki, ani książki. W bibliotece Instytutu Perkinsa starannie przejrzano książki pisane wypukłym drukiem w poszukiwaniu wyjątków z książki panny Canby, ale nic nie znaleziono. Doszłam więc do wniosku, że czytano Helenie tę powiastkę już bardzo dawno, bo zwykle zachowuje w pamięci nadzwyczaj wyraźnie nasuwające się fakty i wrażenia.

W wyniku skrzętnych dochodzeń udało mi się stwierdzić, że nasza przyjaciółka, pani S. C. Hopkins, posiadała w roku 1888 egzemplarz tej książki ofiarowanej przed paroma laty w prezencie jej córeczce. Lato owego roku spędziłam z Heleną w domu pani Hopkins w Brewster, gdzie często łaskawie mnie wyręczała w opiece nad dzieckiem. Zabawiała Helenkę czytając jej powiastki dla dzieci, wśród których znajdował się „Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele". Jakkolwiek nie przypomina sobie powiastki o „Mroźnych wróżkach", to jednak jest pewna, że czytała Helenie z tego tomu, jeżeli nie całe powiastki, to pewne ustępy. Ale ponieważ nie mogła znaleźć swojego egzemplarza, a księgarnie w Bostonie, Nowym Jorku, Filadelfii, Albany i w innych miastach nie mogły dostarczyć tej książki, zaczęto się dowiadywać o autorkę. I to okazało się trudnym zadaniem, gdyż jej wydawcy w Filadelfii od wielu lat zwinęli firmę. W końcu jednak stwierdzono, że panna Canby mieszka w Wilmington, i otrzymano od niej egzemplarze drugiego wydania książki z roku 1889. Później postarała się o pierwsze wydanie i przesłała na moje ręce.

Przyjaciele Heleny otrzymali od Margaret Canby przemiłe listy, z których przytaczam kilka wyjątków.

Z datą 24 lutego 1892 roku — zaznaczywszy wpierw, w jakim porządku wydrukowano powiastki w czasopiśmie, pisze, co następuje:

„Przed wydaniem w formie książkowej wszystkie powiastki były przejrzane i niektóre, chyba te najpierw drukowane — uzupełniane. Niektóre tytuły mogły być zmienione...

Mam nadzieję, że uda się Panu przekonać ją, jak cieszę się, że moja bajka podobała się jej. Spodziewam się, że nowa książka

sprawi jej przyjemność, odnawiając przyjaźń z wróżkami. Niebawem napiszę do niej. To, czego się o niej dowiedziałam, wywarło na mnie takie wrażenie, że napisałam wiersz pod tytułem «Bezgłośna śpiewaczka». Może za jakiś czas poślę go jej matce. Czy może mnie Pan poinformować, w jakim piśmie ukazał się artykuł oskarżający Helenę o plagiat i cytujący ustępy z obu powiastek? Ogromnie bym chciała go przeczytać, więc jeżeli to możliwe, prosiłabym o kilka egzemplarzy".

W liście z 9 marca 1892 roku panna Canby pisze:

„W sprawozdaniu, łaskawie mi nadesłanym, znajduję dowody, że Helenie czytano inne jeszcze powiastki prócz «Mroźnych wróżek». Na stronie 132 listu jest ustęp zaczerpnięty najwyraźniej z mojej powiastki «Różane wróżki» (strony 13—16 «Ptaszka»), na stronach 93—94 sprawozdania opis burzy z piorunami przypomina ogromnie obraz burzy w «Rosistych wróżkach» na stronach 59—60 mojej książki. Jakież to uzdolnione dziecko! Musi mieć umysł cudownie czynny i chłonny! Gdyby zapamiętała i dokładnie spisała powiastkę wkrótce po usłyszeniu, to już by to było rzeczą niesłychaną. Ale żeby raz usłyszeć powiastkę trzy lata temu i to w takich okolicznościach, że ani rodzice, ani nauczycielka nie mogli do niej nawiązywać ani odświeżać jej w pamięci dziewczynki, i potem móc odtworzyć ją tak wyraziście, a nawet dorzucić kilka własnych myśli, świetnie zharmonizowanych z całością, z oczywistą korzyścią dla oryginału, to jest coś, na co mogłoby się zdobyć niewiele starszych dziewcząt widzących i słyszących, nawet obdarzonych wielkimi zdolnościami literackimi. Jeżeli w ogóle byłoby to dla nich możliwe. W tych okolicznościach nie pojmuję, jak ktoś może być tak niedobry, żeby jej przypisywać plagiat. Jest to zadziwiający wyczyn pamięciowy, jedyny w swoim rodzaju. Niewątpliwie będzie tak w przyszłości z niejedną jej pracą, jeżeli jej władze umysłowe z biegiem lat będą się rozwijać w tym samym tempie jak dotychczas. Znałam dużo dzieci, przestawałam z nimi całe życie i nic mnie tak nie raduje, jak móc gawędzić z nimi, zabawiać je i studiować rozważnie ich umysły i charaktery. Ale przypominam sobie jedną tylko dziewczynkę w wieku Heleny, która była tak samo spragniona wiedzy, tak samo za nią przepadała, posiadała takiż zasób wiadomości literackich i ogól-

nych oraz zdolności stylistyczne jak Helena. To naprawdę cudowne dziecko. Dziękuję Panu bardzo za sprawozdanie, za «Gazette» i «Dziennik Heleny». Ten ostatni sprawił, że pojęłam w całej pełni, jak wielkiego zawodu doznało kochane dziecko. Niech Pan przekaże jej łaskawie gorące serdeczności ode mnie i powie, żeby się tym więcej nie przejmowała. Nikt nie odważy się myśleć o niej źle. A kiedyś Helena napisze wspaniałą piękną powieść albo poemat i jej dzieło uszczęśliwi wiele serc. Niech Pan jej powie, że w pucharze każdego człowieka znajdzie się zawsze kilka gorzkich kropel, a jedyna na to rada przyjmować gorycze cierpliwie, a słodycze wdzięcznym sercem. Będę serdecznie rada usłyszeć, jak przyjęła książkę i jak jej się podobają powiastki, których nie znała".

Przeczytałam teraz w marcu 1892 r. Helenie „Mroźne wróżki", „Różane wróżki" i część „Rosistych wróżek", ale nie uzyskałam od niej żadnych wyjaśnień. Powiedziała zaraz, że to są jej własne powiastki, trochę tylko przerobione, i zdumiewała się, jakim sposobem mogli je wydrukować przed jej urodzeniem. Uważa, że to niesłychana rzecz, żeby dwie osoby mogły napisać tak bardzo podobne do siebie powiastki, ale w dalszym ciągu swoją uważa za oryginalną.

Przytaczam poniżej fragment powiastki „Różane wróżki" jak również list Heleny do pana Anagnosa z opisem jej „snu", żeby ci, których ta sprawa interesuje, mogli przestudiować podobieństwa i różnice.

RÓŻANE WRÓŻKI

Ze zbiorku *„Ptaszek i jego zaczarowani przyjaciele"*
pióra Margaret T. Canby.

Był miły poranek. Mały Ptaszek siedział sobie cichutko na trawniku koło domu swojej mamy i z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się różanym krzewom.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Wielki Pan Słońce, który w letniej porze lubi wstawać jak najwcześniej, dopiero co wzeszło. Ptaki zaczynały właśnie mówić sobie świergotliwie „Dzień do-

bry", a kwiaty jeszcze spały. Ale Ptaszek tak był stale zajęty przez cały dzień bieganiną po domu i ogrodzie, że wieczorem był gotowy wracać na noc do własnego gniazda, zanim jeszcze ptaki i kwiaty pomyślały o swoich. Zdarzało się więc, że kiedy Pan Słońce podnosiło głowę nad zielone lasy i uśmiechało się miłośnie do ziemi, Ptaszek często oglądał je pierwszy. Odpłacał się uśmiechem, jednocześnie przecierając oczka pulchnymi piąstkami. Tak uśmiechając się i trąc oczka, opędzał się z resztek snu.

I jak myślicie, jaka była jego następna czynność? Po prostu przetaczał się łotrzyk do łóżka mamy i całował ją po powiekach, policzkach i ustach, aż zaczynało jej się śnić, że pada deszcz pocałunków. W końcu otwierała oczy, żeby zobaczyć, co to znaczy, i co się okazywało? Że to Ptaszek próbuje „obudzić ją całusami", jak mawiał.

Serdecznie kochała swojego chłopaczka i lubiła go uszczęśliwiać, toteż niech tylko powiedział: „Proszę, kochana mamo, ubierz mnie i pozwól mi się bawić w ogrodzie" — godziła się radośnie na prośbę synka. Niebawem Ptaszek zbiegał na dół w cienkim płóciennym szlafroczku porannym, z okrągłą buzią rozpromienioną i zaróżowioną od kąpieli i bawił się na żwirowanej ścieżce do samego śniadania.

Stał chwilę, rozglądając się wokoło i zastanawiając, od czego zacząć. Świeży poranny wiaterek dmuchał mu łagodnie w twarz, jakby na powitanie, a także z zaproszeniem do wesołej zabawy, podczas gdy przejasne oko Pana Słońca patrzyło na niego z ciepłym żarliwym uśmiechem. Ale Ptaszek oddalił się wnet w poszukiwaniu czegoś do zabawy. Gdy znalazł się w pobliżu krzewów różanych rosnących koło domu, zaklaskał nagle w rączki i z okrzykiem radości przystanął, żeby im się przyjrzeć. Wszystkie były obsypane ślicznymi różanymi pąkami. Niektóre były czerwone, inne białe, a jeszcze inne bladoróżowe. Zerkały właśnie spomiędzy zielonych liści, tak jak różowe buziaki dzieciaków wychylają zimową porą noski z ciepłej pościeli, zanim ich właścicielom przyjdzie ochota wstawać. Przed kilkoma dniami tatuś Ptaszka powiedział synkowi, że w tych zielonych kulach na krzewach różanych kryją się piękne kwiaty, ale chłopczykowi trudno było w to uwierzyć, gdyż taki był jeszcze młodziutki, że

nie pamiętał ślicznych róż sprzed roku. Teraz przekonał się, że ojciec mówił prawdę, gdyż tych kilka dni ciepłej pogody przemieniło zielone kulki w pąki różane tak piękne, że Ptaszek stał przed nimi jak wryty, ze splecionymi mocno rączkami i błękitnymi oczkami roztańczonymi z zachwytu.

Po chwili podszedł bliżej. Przyglądając się uważnie pąkom, spostrzegł, że były to zwinięte liście na liściach, tak jak powieki złożone nad śpiącymi oczami, więc Ptaszek pomyślał, że one pewnie śpią.

„Leniwe róże, obudźcie się!" — rzekł i potrząsnął delikatnie gałęziami. Ale rosa spadła na ziemię świetlistymi kropelkami, a kwiaty ani myślały się otworzyć. W końcu Ptaszek przypomniał sobie, jak budził matkę pocałunkami. Pomyślał więc, że spróbuje tego samego sposobu z różami. Stulił czerwone usteczka, aż upodobniły się do różanego pąka, i nachyliwszy ku sobie gałązkę ze ślicznym różowym pąkiem, pocałował go delikatnie parę razy.

Tutaj kończy się podobieństwo języka między powiastką i listem.

LIST HELENY DO PANA ANAGNOSA
(napisany 2—3 lutego 1890 r.)

(List ten był dołączony do drugiego napisanego po francusku z datą le 1 Février 1890).

Mój Drogi Panie!

Będzie się Pan śmiał, gdy Pan otworzy list swojej przyjaciółeczki i zobaczy, jakich dziwacznych błędów narobiła we francuskim, ale pewno Panu będzie miło, że potrafię już napisać francuski list, chociaż krótki. Jestem bardzo szczęśliwa, mogąc zrobić przyjemność Panu i mojej kochanej nauczycielce. Jakżebym chciała zobaczyć Pana siostrzeniczkę Amelię! Jestem pewna, że pokochałybyśmy się. Spodziewam się, że Pan przywiezie trochę wierszy Virginii Evanghelides i przetłumaczy je dla mnie. Właśnie wróciłyśmy z nauczycielką ze spaceru. Dziś piękny dzień. Spotkałyśmy milutką dziewczynkę. Bawiła się na grobli z maleńkim braciszkiem. Dała mi buziaka i odbiegła, bo była nieśmiała. Ciekawa jestem, czyby Pan zechciał posłuchać, jaki śliczny sen miałam dawno temu, kiedy byłam bardzo ma-

ła? Nauczycielka mówi, że to był sen na jawie, i uważa, że będzie się Panu bardzo podobał. Był ranek o pięknej wiosennej porze. Wydało mi się, że siedzę na miękkiej trawie, pod oknem mojej kochanej mamy, i przyglądam się z wielkim zainteresowaniem krzewom różanym naokoło. Było jeszcze całkiem wcześnie. Słońce tylko co wzeszło, ptaki zaczynały właśnie radośnie nucić. Kwiaty jeszcze spały. Miały się obudzić dopiero pod miłosnym uśmiechem słońca. Byłam bardzo szczęśliwym dzieckiem. Miałam różowe policzki i duże niebieskie oczy, i złote kędziory tak piękne, jak tylko Pan może sobie wyobrazić. Świeży wietrzyk poranny dmuchał mi łagodnie w twarz jakby na powitanie i z zaproszeniem do wesołej zabawy, a słońce spoglądało na mnie z ciepłym, czułym uśmiechem. Gdy zobaczyłam, że krzewy różane są obsypane ślicznymi pąkami, klaskałam z radości w pulchne rączki. Niektóre były czerwone, inne białe, a jeszcze inne bladoróżowe, a zerkały spomiędzy listków niby piękne małe wróżki. Nigdy przedtem nie widziałam nic tak ślicznego, bo byłam bardzo młodziutka i nie mogłam pamiętać ślicznych róż sprzed roku. Moje serduszko napełniła słodka radość. Tańczyłam dookoła różanych krzewów. Po chwili podeszłam do pięknego krzewu białej róży, okrytego całkowicie pąkami i iskrzącego się od kropelek rosy. Nachyliłam ku sobie gałązkę ze ślicznym bielusieńkim pąkiem i pocałowałam go delikatnie kilka razy. W tej chwili poczułam, że obejmują mnie łagodnie kochające ramiona, a kochające usta całują mnie po powiekach, policzkach i ustach, aż mi się zaczęło wydawać, że z nieba spada deszcz pocałunków. W końcu otworzyłam oczy, żeby zobaczyć, co to znaczy. Okazało się, że to była moja najdroższa mama. Pochylona nade mną próbowała obudzić mnie całusami. Jak się Panu podoba mój sen na jawie? Jeżeli się podoba, to może kiedyś wyśnię znów jakiś sen dla Pana.

Nauczycielka i wszyscy przyjaciele przesyłają Panu serdeczności. Tak się będę cieszyć, jak Pan wróci, bo mi Pana ogromnie brakuje. Niech Pan będzie łaskaw pozdrowić serdecznie ode mnie swoich dobrych greckich przyjaciół i powiedzieć im, że kiedyś przyjadę do Aten.

Kochająca przyjaciółka i towarzyszka zabaw,

Helenka A. Keller

„Mroźne wróżki" i „Król Mróz" są podane w całości, gdyż różnice są równie istotne, jak podobieństwa.

MROŹNE WRÓŻKI

(Z „Ptaszka i jego zaczarowanych przyjaciół")

napisała Margaret T. Canby

Król Mróz, albo Dziadek Mróz, jak go czasami nazywają, mieszka w zimnej krainie — daleko na Północy, ale co roku odbywa podróż po całym świecie wozem ze złocistych chmur, zaprzężonym w silnego, rączego rumaka, zwanego „Północnym Wiatrem". Dokąd przybędzie, dokazuje wielu zadziwiających rzeczy, buduje przez wszystkie strumienie mosty, na oko przezroczyste jak szkło, ale często wytrzymałe jak żelazo; jednym dotknięciem dłoni usypia kwiaty i rośliny, wszystkie one skłaniają głowy i zapadają w ciepłą ziemię, aż do powrotu wiosny, po czym, żebyśmy nie tęsknili za kwiatami, rozmieszcza w naszych oknach śliczne girlandy i gałązeczki swego białego północnego kwiecia lub też delikatne lasy zaczarowanych sosenek bielusieńkich i bardzo pięknych. Ale najcudowniejsze jego dzieło to malowanie drzew, które wyglądają po tej robocie jak pokryte lśniącymi warstewkami złota i rubinów i tak są piękne, że mamy się czym pocieszać po ucieczce lata.

Opowiem wam, jak Królowi Mrozowi przyszła do głowy pierwszy raz myśl o tego rodzaju pracy, bo to jest dziwna historia. Trzeba wam wiedzieć, że ten Król, jak wszyscy królowie, ma w swoim pałacu wielkie skarby w postaci złota i kosztownych kamieni, ale jako zacny starowina nie trzyma swoich bogactw stale pod kluczem, lecz stara się czynić dobrze i uszczęśliwiać nimi innych. Ma on dwóch sąsiadów mieszkających jeszcze dalej na Północy; jeden z nich to Król Zimy, kwaśny, gburowaty, stary monarcha o twardym okrutnym sercu, znęcający się nad biednymi ludźmi, którzy cierpią i płaczą; natomiast drugi sąsiad, Święty Mikołaj, dobrotliwy, wesoły stary poczciwiec, lubi dobre uczynki i przynosi podarki biednym ludziom i grzecznym dzieciom na Boże Narodzenie.

Otóż jednego dnia Król Mróz zastanawiał się, co by tu dobrego zrobić. I nagle postanowił posłać część tych skarbów swojemu zacnemu sąsiadowi Świętemu Mikołajowi na zakup żywności i ubrań dla biedaków, żeby tak bardzo nie cierpieli, kiedy Król Zimy zbliża się do ich domów. Zwołał więc swoje wesołe małe wróżki i pokazał im moc dzbanów i waz pełnych złota i kosztownych kamieni z roz-

kazem dostarczenia ich ostrożnie do pałacu Świętego Mikołaja na jego ręce z uprzejmym pozdrowieniem od Króla Mroza. „On potrafi zrobić dobry użytek ze skarbów" — dodał Dziadek Mróz, po czym polecił wróżkom, by nie ociągały się, lecz szybko wykonały jego rozkaz.

Wróżki przyrzekły posłuszeństwo. Zaraz też wyruszyły w podróż ciągnąc wielkie szklane dzbany i wazy, tylko raz po raz zrzędziły na przymusową ciężką robotę, bo to były leniwe wróżki i wolały bawić się, niż pracować. Nareszcie dotarły do wielkiego lasu i ponieważ były porządnie zmęczone, postanowiły trochę odpocząć i przed dalszą drogą poszukać orzechów. Ale żeby im kto nie ukradł skarbów, ukryły dzbany wśród gęstych liści leśnych drzew, niektóre wysoko w wierzchołkach, a inne w różnych miejscach na drzewach, tak żeby nikt nie mógł znaleźć.

Potem zaczęły kręcić się po lesie w poszukiwaniu orzechów. Wdrapywały się na drzewa, żeby strząsać orzechy, i trudziły się bardziej dla własnej przyjemności niż poprzednio na rozkaz swego pana. Dziwne to, ale wróżki i dzieci nigdy nie skarżą się na trudy i kłopoty, jakie podejmują w pogoni za zabawą, jakkolwiek nieraz utyskują, gdy kazać im popracować dla dobra innych.

Mroźne wróżki, zajęte i ubawione swoją orzechową eskapadą, wprędce zapomniały o poselstwie i rozkazie swego króla, że mają się śpieszyć. Ale gdy tak figlowały i zabawiały się po lesie do samego południa, zrozumiały, dlaczego kazano im się śpieszyć. Bo chociaż, jak myślały, ukryły skarb starannie, to przecież nie zabezpieczyły go przed potęgą Pana Słońca, to zaś, jako wróg Dziadka Mroza, znajdowało zawsze uciechę w psuciu mu roboty i dokuczaniu przy każdej sposobności.

Jego promienne oczy wypatrzyły wśród drzew dzbany ze skarbami, a ponieważ leniwe wróżki zostawiły je tam do południa, kiedy to Pan Słońce ma największą moc, delikatne szkło zaczęło topnieć i kruszyć się. Nie upłynęło wiele czasu, a każdy dzban czy wazon albo pękł, albo się stłukł. Cenne skarby również topniały i skapywały powoli z drzew i krzewów leśnych strugami złota i karmazynu.

Ale na razie mroźne wróżki nie zwróciły uwagi na to dziwne zjawisko, gdyż znajdowały się na dole, na trawie, w takim oddaleniu od wierzchołków drzew, że nadzwyczajna ulewa skarbów nieprędko je dosięgła. Lecz w końcu jedna z nich zawołała: — Słuchajcie! Zdaje mi się, że pada, słyszę najwyraźniej spadające krople.

Inne śmiały się i powiedziały jej, że gdy słońce świeci, deszcz

rzadko pada. Jednak gdy zaczęły nasłuchiwać, usłyszały wyraźne dzwonienie kropel skapujących gęsto z liści na liście, na głogowe zarośla koło nich. Ku swemu wielkiemu przerażeniu wróżki przekonały się, że owe krople deszczu to były stopniałe rubiny! Tężejąc na liściach, malowały je momentalnie na jasny karmazyn. Wtedy wróżki rozejrzały się uważniej po drzewach i spostrzegły, że cały skarb topnieje, że duża jego część już zdążyła się rozpostrzeć po liściach dębowych i klonowych, które lśniły jaskrawo w szacie pozłociściebrązowoszmaragdowej. Widok był przepiękny, ale leniwe wróżki za bardzo się przeraziły szkody, jakiej narobiły swoim nieposłuszeństwem, żeby podziwiać piękno lasu. Zaraz też spróbowały ukryć się w zaroślach, żeby Król Mróz nie nadszedł i nie ukarał ich.

Strach nie był bezpodstawny, gdyż długa ich nieobecność zaniepokoiła króla. Wyruszył więc w ślad za swoimi spóźniającymi się służebnymi. Ledwo zdążyły się ukryć, nadciągnął z wolna, rozglądając się badawczo na wszystkie strony. Rozumie się, prędko dostrzegł jaskrawe barwy liści, jak również przyczynę tej zmiany, gdy zobaczył potłuczone dzbany i wazy, z których skapywały jeszcze topniejące skarby. A gdy dotarł do drzew leszczynowych i wypatrzył łupiny porozrzucane przez leniwe wróżki i inne ślady ich figlów, zorientował się, że go nie posłuchały, a idąc przez las bawiły się i ociągały.

Król Mróz zmarszczył się groźnie. W pierwszej chwili ogarnął go wielki gniew i wróżki, dygocąc ze strachu, przypadły jeszcze niżej w swoich kryjówkach. Ale właśnie nadbiegło tanecznie z głębi lasu dwoje małych dzieci i chociaż nie zobaczyły ani Króla Mroza, ani wróżek, to przecież piękne kolory liści rzuciły im się w oczy. Zaśmiały się z radości i zaczęły zrywać wielkie pęki liści, żeby zanieść matce.

„Liście są tak ładne jak kwiaty" — mówiły. Nazwały złote liście „jaskrami", a czerwone „różami". Ogromnie uszczęśliwione szły przez las śpiewając.

Radość dzieci zażegnała gniew Króla Mroza, więc i on zaczął się zachwycać malowanymi drzewami, a wreszcie powiedział do siebie:

„Nie zmarnowały się moje skarby, jeżeli uszczęśliwiły małe dzieci. Daruję moim leniwym, bezmyślnym wróżkom, bo przecież nauczyły mnie nowego sposobu czynienia dobrze".

Kiedy wróżki usłyszały to, powychodziły z kryjówek i klęknąwszy przed panem, wyznały swoją winę i prosiły o przebaczenie. Przez chwilę spoglądał na nie groźnie i nawet je łajał, ale wkrótce złagodniał i powiedział, że tym razem przebaczy im, ale żeby poniosły karę, muszą przenieść do lasu więcej skarbów i ukryć w drzewach,

dopóki z pomocą Pana Słońca wszystkie liście nie umalują się na złociste i rubinowe kolory.

Więc wróżki podziękowały mu, że im przebaczył, i obiecały pracować już teraz rzetelnie. Dobrotliwy król zgarnął je wszystkie w objęcia i zaniósł bezpiecznie do swego pałacu. Przypuszczam, że od tego czasu do zadań Dziadka Mroza należy malowanie liści na płomienne kolory, jakie widujemy jesienią. Jeżeli nie używa do tego celu złota i kosztownych kamieni, to doprawdy nie wiem, jak on to robi. A wy, czy wiecie?

KRÓL MRÓZ

napisała Helena A. Keller

Król Mróz mieszka w pięknym pałacu daleko na Północy, w kraju wiecznych śniegów. Pałac tak wspaniały, że nie sposób go opisać, wybudowano przed wiekami za panowania Króla Lodowca. Z niedużej odległości od pałacu można by go wziąć łatwo za górę o szczytach strzelających ku niebu, by przyjąć ostatnie pocałunki zamierającego dnia. Dopiero podchodząc bliżej przekonalibyśmy się o naszej omyłce. Domniemane szczyty okazałyby się w rzeczywistości błyszczącymi spiczastymi wieżami. Naliczylibyśmy ich setki. Nie znalazłoby się nic piękniejszego nad architekturę tego lodowego pałacu. Ściany o ciekawej konstrukcji z masywnych bloków lodowych przechodzą w górze w wieżyce przypominające turnie. Wejścia do pałacu, znajdującego się u wylotu łukowato sklepionej niszy, strzeże dniem i nocą dwanaście białych niedźwiedzi o żołnierskiej postawie.

Cóż, dzieci, musicie zaraz przy pierwszej sposobności złożyć wizytę Królowi Mrozowi i zobaczyć ten przecudny pałac na własne oczy. Stary król przyjmie was łaskawie, bo kocha dzieci i sprawianie im przyjemności jest jego największą radością.

Trzeba wam wiedzieć, że Król Mróz jak wszyscy królowie, ma wielkie skarby w postaci złota i kosztownych kamieni, ale ponieważ to bardzo wspaniałomyślny leciwy monarcha, stara się robić ze swoich bogactw właściwy użytek.

Dokądkolwiek się wyprawi, dokonuje wielu nadzwyczajnych dzieł: buduje nad wszystkimi strumieniami mosty przezroczyste jak szkło, ale często wytrzymałe jak żelazo; potrząsa drzewami w lesie, żeby dojrzałe orzechy spadały do fartuszków roześmianych dzieci, usypia kwiaty jednym dotknięciem ręki. Następnie, żebyśmy nie płakali po promiennych obliczach kwiatów, maluje liście na kolor złocisty, karmazynowy i szmaragdowy, a gdy to zrobi, drzewa są tak piękne,

że możemy nie żałować lata. Opowiem wam, jakim sposobem Król Mróz wpadł na pomysł malowania liści, bo to dziwna historia.

Pewnego dnia Król Mróz, robiąc przegląd swoich ogromnych bogactw i zastanawiając się, jak je zużytkować dla dobra ludzi, przypomniał sobie nagle o swym wesołym starym sąsiedzie, Świętym Mikołaju.

„Poślę moje skarby Świętemu Mikołajowi — powiedział król do siebie. — To jedyny człowiek, który potrafi je zużytkować, bo wie, gdzie mieszkają biedni i nieszczęśliwi i jego zacne stare serce zawsze jest pełne dobroczynnych planów". Zwołał więc wesołe małe wróżki, które należały do jego dworu, i pokazując im dzbany i wazy ze skarbami, kazał dostarczyć je do pałacu Świętego Mikołaja, i to jak najprędzej. Wróżki przyrzekły posłuszeństwo i wyniosły się w oka mgnieniu, ciągnąc za sobą ciężkie dzbany i wazy.

Chwilami utyskiwały trochę na ciężką robotę, bo to były leniwe wróżki i wolały bawić się, niż pracować. Po jakimś czasie dotarły do wielkiego lasu, a ponieważ były zmęczone i głodne, pomyślały sobie, że trochę odpoczną przed dalszą podróżą i poszukają orzechów. Ale w obawie, żeby im kto nie ukradł skarbu, ukryły dzbany wśród gęstych zielonych liści na różnych drzewach i upewniły się, że nikt ich nie znajdzie. No i zaczęły wałęsać się wesoło po lesie, szukając orzechów, wspinając się na drzewa, zaglądając ciekawie do pustych gniazd ptasich i bawiąc się wśród drzew w chowanego. Cóż! Niegrzeczne wróżki były tak zajęte i rozbawione, że zapomniały zupełnie o swoim poselstwie i rozkazie swego pana, żeby się spieszyć. Jednak zorientowały się wnet ku swemu przerażeniu, dlaczego kazano im się śpieszyć, bo chociaż, jak przypuszczały, starannie ukryły skarb, promienne oczy Króla Słońca wypatrzyły dzbany wśród liści. A ponieważ Król Słońce i Król Mróz nigdy nie umieli dojść do porozumienia, Król Słońce był bardzo rad z doskonałej okazji spłatania figla kąśliwemu rywalowi. Gdy delikatne dzbany zaczęły topnieć i pękać, Król Słońce zaśmiał się cicho do siebie. Wreszcie wszystkie dzbany popękały lub stłukły się. Kosztowne, ukryte w nich kamienie również topniały i spływały strużkami po drzewach i krzewach.

Leniwe wróżki nie od razu zauważyły, co się dzieje, bo były nisko na trawie i przedziwna ulewa skarbów nieprędko je dosięgła. W końcu jednak usłyszały wyraźnie gęstą muzyczną kapaninę kropel niby deszczu w lesie. Skapując z liścia na liść, kropelki spadały na krzaczki, koło których uwijały się wróżki. Jakież były zdumione, gdy stwierdziły, że te krople deszczu to stopione rubiny krzepną-

ce na liściach i zamieniające je momentalnie w złoto i karmazyn. Rozglądając się uważniej naokoło, przekonały się, że znaczna część skarbu już stopniała, bo dęby i klony przystroiły się w jaskrawe szaty złociste, karmazynowe, szmaragdowe. Widok był przepiękny, ale nieposłuszne wróżki nazbyt były wystraszone, żeby zwracać uwagę na piękno drzew. Lękały się, że Król Mróz nadejdzie i ukarze je. Ukryły się więc wśród zarośli i czekały cichutko, co się stanie. Obawy figlarek były uzasadnione, gdyż długa ich nieobecność zaniepokoiła króla. Dosiadł więc „Północnego Wichru" i wyruszył na poszukiwanie spóźniających się służebnych. Naturalnie nie ujechał daleko, gdy rzuciły mu się w oczy jaskrawe barwy liści. Zobaczywszy potłuczone dzbany, z których skarby jeszcze ściekały, szybko odgadł przyczynę. W pierwszej chwili Król Mróz wpadł w wielki gniew, a wróżki, trzęsąc się, przywarowały w swoich kryjówkach i doprawdy nie wiem, co by je mogło spotkać, gdyby w tej właśnie chwili nie wpadła do lasu gromada chłopców i dziewczynek. Na widok drzew gorejących świetnymi kolorami dzieci zaczęły klaskać w rączki i krzyczeć z radości i natychmiast rzuciły się rwać duże pęki, żeby zanieść do domu.

„Liście są tak śliczne jak kwiaty!" — wołały rozradowane.

Uciecha dzieci przepłoszyła gniew z serca Króla Mroza, a groźnego marsa z jego czoła. I on zaczął podziwiać malowane drzewa.

„Moje skarby nie zmarnowały się — powiedział do siebie — jeżeli uszczęśliwiły małe dzieci. Moje leniwe wróżki i mój ognisty wróg nauczyli mnie nowego sposobu czynienia dobrze".

Słysząc to wróżki odetchnęły z ulgą, powychodziły z kryjówek, wyznały przewinienie i poprosiły swego pana o przebaczenie.

Od tego czasu Król Mróz oddaje się z ogromną radością malowaniu liści na gorejące kolory, jakie widujemy jesienią, a jeżeli nie używa do tego złota i kosztownych kamieni, to nie wiem, dlaczego te kolory takie są świetne, a wy czy wiecie?

Jeżeli powiastkę o „Mroźnych wróżkach" czytano Helenie w lecie 1888 roku, to jeszcze wtedy nie mogła z niej wiele zrozumieć, bo przecież zaczęła się uczyć dopiero w marcu 1887 roku.

Czy to możliwe, żeby słowa powiastki drzemały w jej pamięci i dopiero mój opis pięknego jesiennego krajobrazu w 1891 wskrzesił w jej umyśle wyrazistą wizję?

Przeprowadziłam staranne dochodzenie wśród przyjaciół He-

leny w Alabamie, w Bostonie i jego okolicach, ale jak dotąd nie udało mi się ustalić żadnej późniejszej daty. Nikt jej nie czytał ponownie tej powiastki.

W związku z tą sprawą jest inny doniosły fakt. „Różane wróżki" wyszły w tym samym tomie, co „Mroźne wróżki", więc prawdopodobnie czytano je Helenie jednocześnie albo prawie jednocześnie.

Otóż Helena w liście z lutego 1890 r. (cytowanym powyżej) nawiązuje do tej powiastki panny Canby jako do snu, „który miałam dawno temu, kiedy byłam bardzo mała". Oczywiście małej dziewczynce w wieku Heleny półtora roku mogło się wydawać: „dawno temu", toteż możemy przypuścić, że owe powiastki musiano jej czytać najwcześniej latem 1888.

WYJAŚNIENIA HELENY KELLER

Poniższy wstęp z dziennika Heleny, pisany jej ręką, wyjaśnia nam, co następuje:

30 stycznia 1892. Rano wzięłam kąpiel. Nauczycielka przyszła na górę uczesać mnie i powiedziała mi taką smutną nowinę, że przez cały dzień byłam nieszczęśliwa. Ktoś napisał do pana Anagnosa, że powiastka, którą mu posłałam w podarunku urodzinowym, a którą sama napisałam, wcale nie jest moja, że napisała ją jakaś pani już dawno temu pod tytułem „Mroźne wróżki". Jestem pewna, że nigdy nie słyszałam tej powiastki. Bardzo nam się smutno zrobiło na myśl, że ludzie posądzają nas o fałsz i nieprawość. Moje serce napełniło się łzami, bo kocham prawdę całym sercem i duszą.

Jestem teraz tak ogromnie zgnębiona. Nie wiem, co mam począć. Nigdy nie myślałam, że ludzie mogą popełniać takie omyłki. Jestem jak najpewniejsza, że to ja napisałam tę powiastkę. Pan Anagnos jest bardzo poruszony. Martwię się, że to z mojego powodu ma tyle przykrości, ale przecież ja nie miałam złych zamiarów.

Obmyślałam moją powiastkę jesienią, gdyż nauczycielka opowiadała mi podczas spaceru w lesie, w „Paprociowym Kamieniołomie", o liściach jesiennych. Myślałam, że wróżki musiały

je pomalować, skoro są takie cudne. Myślałam, że to Król Mróz musiał mieć dzbany i wazy pełne kosztownych skarbów, bo wiedziałam, że inni królowie dawno temu miewali skarby, a nadto nauczycielka mówiła mi, że liście były umalowane na rubinowo, szmaragdowo, na złoto, karmazynowo i brązowo, więc pomyślałam, że te farby to musiały być stopione drogie kamienie. Wiedziałam, że skoro liście takie śliczne, to dzieci muszą być szczęśliwe, i sama byłam bardzo szczęśliwa, myśląc o tych pięknych liściach i rozpłomienionych drzewach, chociaż nie mogłam ich widzieć.

Myślałam, że o tych liściach wszyscy mieli takie same myśli, jak ja, ale teraz nie wiem. Myślałam bardzo dużo o smutnej nowinie, kiedy nauczycielka poszła do doktora. Nie była na obiedzie i brakowało mi jej.

Nie widzę, żebym mogła dodać coś więcej, coś bardziej istotnego. Moje własne serce również „napełnia się łzami", gdy wspominam, jak moja droga uczenniczka cierpiała, gdy się dowiedziała, że „ludzie posądzają nas o fałsz i nieprawość", gdyż wiem, że ona istotnie „kocha prawdę całym sercem i duszą".

Z poważaniem

Anna M. Sullivan

Tyle ukazało się w Księdze Pamiątkowej Biura Volta. Poniższy list pana Anagnosa jest przedrukim z „American Annals ot the Deaf", kwiecień 1892 r., Instytut Perkinsa w Massachussetts.

DO REDAKTORA „ANNALS"

Płd. Boston, 11 marca 1892 r.

Szanowny Panie!

Stosownie do życzenia stwierdzam, co następuje odnośnie powiastki Heleny Keller pt. „Król Mróz". Przysłano mi ją w prezencie urodzinowym siódmego listopada z Tuscumbii w Alabamie. Wiedząc o nadzwyczajnych zdolnościach Heleny, nie miałem wątpliwości, że to jej własne dzieło. Dziś też nie wątpię, że byłaby w pełni zdolna napisać taką powiastkę. Wkrótce po ukazaniu się powiastki w druku dowiedziałem się z przykrością

za pośrednictwem „Goodson Gazette", że jest ona częściowo (osiem albo dziewięć fragmentów) albo naśladownictwem, albo adaptacją „Mroźnych wróżek" Margaret Canby. Natychmiast zarządziłem dochodzenie w celu ustalenia faktów w tej sprawie. Nikt z naszego grona nauczycielskiego czy administracji, to jest osób, które często gawędziły z Heleną, nie wiedział ani nie słyszał o książce panny Canby, jak również jej rodzice i krewni. Ojciec, kapitan Keller, napisał do mnie w tej kwestii, co następuje:

„Pośpieszam zapewnić Pana, że Helena nie mogła przejąć pomysłu o powiastce od nikogo z krewnych czy przyjaciół, gdyż nikt tutaj nie umie porozumieć się z nią na tyle swobodnie, żeby narzucić jej ze wszystkimi szczegółami powiastkę w tym stylu".

Na moje żądanie jedna z nauczycielek z klas żeńskich przepytała Helenę z konstrukcji powiastki. Oto jej stwierdzenie:

„Najpierw starałam się dojść, co nasunęło Helenie poszczególne fantastyczne wątki, które nadały jej powiastce charakter powiastki napisanej przez Margaret Canby. Helena powiedziała mi, że przez dłuższy czas wyobrażała sobie Dziadka Mroza jako króla z racji posiadania przezeń wielu skarbów. Takie bogate skarby trzeba przechowywać w bezpiecznym miejscu, więc myślała, że są zmagazynowane w dzbanach i wazach, w skrzydle królewskiego pałacu. Mówiła, że pewnego razu w jesienny dzień podczas wspólnego spaceru w lesie nauczycielka opowiadała jej o pięknych wielobarwnych liściach, a ona pomyślała wtedy, że takie piękno musi ludzi uszczęśliwiać i budzić w ich sercach wdzięczność dla Króla Mroza. Zapytałam Helenę, jakie powiastki czytała o «Dziadku Mrozie». W odpowiedzi na moje pytanie wyrecytowała fragment wiersza «Kaprysy mrozu» oraz powołała się na krótki ustęp o zimie w szkolnej czytance. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby jej kto kiedy czytał powiastki o Królu Mrozie, ale dodała, że rozmawiała ze swoją nauczycielką o Dziadku Mrozie i jego przecudnych wyczynach".

Jedyną osobą, która, jak przypuszczaliśmy, mogła ewentualnie przeczytać Helenie tę powiastkę, była jej przyjaciółka, pani Hopkins. Mała bawiła w tym czasie w Brewster. Poprosiłem Annę Sullivan, żeby natychmiast pojechała do pani Hopkins i dowiedziała się o fakty. Wynik jej dochodzeń zawiera załączona notatka *.

Nie wątpię, że w lecie 1888 pani Hopkins czytała Helenie książeczkę Margaret Canby. Jednakże dziewczynka zupełnie sobie tego nie przypomina. Po powrocie do Brewster Anna Sullivan czytała Helenie „Małego lorda Fauntleroya". W tym celu kupiła tę powieść w Bostonie. Urocza książka oczarowała z miejsca dziewczynkę. Była to pochłaniająca lektura i najwidoczniej uczyniła na niej głębsze wrażenie niż inne powiastki, które jej przedtem czytano, gdyż często przez długie miesiące nawiązywała do niej zarówno w rozmowach, jak w listach. Żywe zainteresowanie Fauntleroyem musiało zatrzeć całkowicie pamięć o „Mroźnych wróżkach". Kiedy po trzech latach lepiej opanowała język i nabrała większej w nim biegłości, opowieść o Dziadku Mrozie sprawiła, że tak dawno rzucone ziarno wykiełkowało w postaci nowych myśli i fantazyjek. To być może wyjaśnia fakt, dlaczego Helena dowodzi tak uporczywie, że „Król Mróz" wyszedł spod jej pióra. Zdaje się, że rozumie poniekąd różnicę pomiędzy pracą oryginalną i naśladownictwem. Nie znała znaczenia słowa plagiat, dopiero jej niedawno wytłumaczono. To dziewczynka absolutnie prawdomówna. Prawdomówność jest najwybitniejszą cechą jej charakteru. Zdziwiła się ogromnie i zmartwiła, gdy jej powiedziano, że jej utwór jest adaptacją powiastki panny Canby o „Mroźnych wróżkach". Nie mogła powstrzymać łez i, jak się zdaje, największą jej troską była obawa, że zostanie posądzona o kłamstwo. Powiedziała z uczuciem, gorąco przejęta: „Ja kocham piękną prawdę".

Bardzo surowe, prawie dwugodzinne przesłuchanie dziewczynki przy współudziale ośmiu osób, które zadawały jej bezceremonialne pytania, nie wykryło nic, co by mogło świadczyć

Notatka podaje same fakty oraz obronę, którą pan Anagnos zamieścił w sprawozdaniu Instytutu Perkinsa.

o zamiarze czy usiłowaniu oszustwa ze strony jej nauczycielki czy też innej osoby.

Biorąc pod uwagę te fakty, nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że Helena napisała „Króla Mroza" w zupełnej nieświadomości, że powiastkę o „Mroźnych wróżkach" czytano jej kiedyś. Nie pozostały w niej żadne skojarzenia. Wierzyła święcie we własne autorstwo. Tę teorię przyjmuje wiele osób, doskonale znających dziewczynkę i zdolnych wznieść się ponad ciasne uprzedzenia.

Z najgłębszym poważaniem
M. Anagnos
Dyrektor Instytutu Perkinsa
w Massachussetts

Ten epizod niezmiernie przygnębił Helenę i jej nauczycielkę. Nauczycielka robiła sobie wyrzuty, że z jej winy uczennica posunęła się za daleko w naśladownictwie, co przecież uczyniło z niej pisarkę. Dziś nawet, gdy Helenie Keller uda się piękny zwrot, Anna Sullivan mówi z żartobliwą rozpaczą: „Ciekawa jestem, skąd ona to wytrzasnęła". Ale teraz już wie, odkąd studiowała w college'u razem z wychowanką zagadnienia stylu literackiego za mądrą radą pana Charlesa T. Copelanda, który uważał, że styl każdego pisarza i każdego człowieka wykształconego czy też niewykształconego jest reminiscencją wszystkiego, co czytał i słyszał. Większość z nas czerpie z rozmaitych źródeł. Dziecko ma niewiele tych źródeł, może więc rozróżnić, skąd i co zaczerpnęło. W danym wypadku Helena Keller zachowała w umyśle prawie nietknięte, nie zmieszane z innymi wrażeniami, słowa powiastki, którą w czasie gdy ją czytano, niezupełnie rozumiała. Fakt ten jest ogromnie doniosły. Wskazuje na to, że dziecięcy umysł wchłania usłyszane słowa, które zostają dopiero zastosowane w odpowiednim momencie. Przyczyna, dlaczego nie zauważamy tego procesu u zwykłych dzieci, jest ta, że w ogóle rzadko je obserwujemy, a i ta, że wpływ na ich umysły jest tak wieloźródłowy, iż wytwarza się chaos. Jednakże powiastka o „Królu Mrozie" została częściowo przez Helenę zmieniona. Styl jej wersji jest pod pewnymi względami nawet lepszy niż styl powiastki panny Canby. Ma w sobie bar-

dzo wiele z prymitywnej baśni ludowej, podczas gdy powiastka Margaret Canby pisana jest stylem osoby dorosłej, opowiadającej dzieciom baśń, a niezdolnej ukryć swojej dorosłości. Stąd dydaktyczne zwroty w rodzaju: „Dziadek Mróz, jak go czasami nazywają", „południe, kiedy to Pan Słońce ma największą moc".

Większość czytelników wyczuje, że wstęp u Heleny Keller ma lepszy rozmach wyobraźni. Żeby tak patrzeć na rzeczy, pisarz musi wczuć się w myśli dziecka. „Dwanaście białych niedźwiedzi o żołnierskiej postawie" — to chwyt genialny. Całe to dziecinne opowiadanie ma w sobie piękno rytmiczne. Jest oryginalne w taki sam sposób, jak oryginalna jest poetycka wersja starej opowieści.

Ta powiastka pobudza do dyskusji na temat wszelkich zagadnień językowych oraz filozofii stylu. Nasuwają się pewne wnioski. Oto one w skrótowym ujęciu:

Posługiwanie się językiem wynika z naśladownictwa i styl każdego z nas jest zlepkiem wszystkich spotkanych stylów.

Żeby dobrze pisać, trzeba dużo czytać i słuchać rozmów. Toteż każde dziecko można nauczyć poprawnego języka w ten sposób, że nie pozwala mu się ani czytać, ani słuchać nieliterackiego języka. U dziecka proces selekcyjny w zakresie poprawności i niepoprawności nie jest świadomy. Jest ono zdane na pastwę swoich językowych doświadczeń.

Zwykły człowiek nie uwolni się nigdy od zwodniczego mniemania, że słowa są na usługach myśli, że najprzód się myśli, a dopiero potem wyraża się myśli. Prawda, że najpierw musi zaistnieć intencja, pragnienie wypowiedzenia czegoś, ale pojęcie nieczęsto nabiera odrębności, nie ukształtowuje się, dopóki nie ubierze się w słowa. Nie ulega wątpliwości, że pojęcie wypowiedziane zmienia charakter. Wybitnym przykładem jest ustęp z życiorysu Heleny Keller w „Youth's Companion". Pisząc o tej chwili, kiedy zrozumiała, że każda rzecz ma nazwę, mówi: „Spotkałyśmy niańkę z moją maleńką kuzyneczką na rękach; nauczycielka wypalcowała: «dzidzi». I po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak malutkie i bezradne jest niemowlę. Z tą myślą połączyła się inna — o mnie samej. Ucieszyłam się, że jestem sobą, a nie niemowlęciem".

Właśnie słowo dało początek tym refleksjom w jej umyśle. A więc mistrz języka jest mistrzem myśli wynikłych ze słów i wypowiada rzeczy głębsze, niżby wypowiedział bez tej podniety. Helena Keller, pisząc „Króla Mroza", dokonywała większej rzeczy, niż to sobie uświadamiała, i wypowiadała więcej, niż zamierzała.

Człowiek, którego słownictwo jest bogate, należy do ludzi wykształconych. Osnową myśli jest język, a języka można nauczyć zarówno głuche dziecko, jak każde inne. Kiedy dziecko opanuje język, to udostępnia mu się samą istotę języka, myśli i doświadczenia pokoleń. Język musi być w użyciu, nie może być sztucznym tworem. Volapük to paradoks, chyba że się zna francuski, angielski lub niemiecki albo jaki inny język, wytworzony przez naród. Głuche dziecko, posługujące się wyłącznie językiem znaków De l'Epée, jest intelektualnym Filipem Nolanem, obcym wszelkim rasom, i myśli jego nie są myślami czy to Anglika, czy to Francuza, czy to Hiszpana. Modlitwa Pańska, wypowiedziana znakami, nie jest Modlitwą Pańską po angielsku.

W swoim eseju o stylu De Quincey mówi, że najlepszą angielszczyznę możemy znaleźć w listach wykształconej kobiety z dobrej sfery, bo jej lektura ogranicza się do niewielu dobrych książek, z drugiej strony zaś obcy jej jest skażony styl gazeciarski oraz żargon uliczny.

Właśnie okoliczności zewnętrzne stanowią o angielszczyźnie Heleny Keller. W początkach nauki czytywała tylko dobre książki. Niektóre były w gruncie rzeczy bezwartościowe i pisane nie najlepszym stylem, ale żadna nie była zdecydowanie zła pod względem formy czy treści. Te szczęśliwe okoliczności towarzyszyły jej przez całe życie. Karmiono ją pięknymi wytworami wyobraźni i z nich to czerpała styl wielkich pisarzy. „Nowe słowo otwiera przede mną serce" — pisze w liście; a gdy posługuje się tym słowem, to serce jego pozostaje otwarte. Miała dwanaście lat, gdy ją zapytano, jaką książkę chciałaby zabrać ze sobą w długą podróż koleją. „Raj utracony" — odpowiedziała i czytała go w pociągu.

Jeszcze rok czy dwa temu nie panowała nad stylem, raczej styl panował nad nią. Dopiero od czasu, jak zaczęła sumien-

niej studiować pisanie wypracowań, uwolniła się od tyranii frazeologii, chociaż była to na szczęście dobra frazeologia.

Gdy w roku 1892 zachęcono ją, żeby napisała zarys swego życia dla „Youth's Companion" w nadziei, że ją to natchnie pewnością siebie i pomoże zapomnieć o incydencie z „Królem Mrozem", stworzyła rzecz daleko wybitniejszą i pod pewnymi względami bardzo zajmującą. Gdy ją proszono o napisanie obszerniejszego życiorysu, użyła zwrotów, którymi się posługiwała przed dziewięciu laty. A przecież nie czytała swego szkicu w „Youth's Companion" od czasu, gdy go napisała. Anna Sullivan przeczytała jej tylko dwa ustępy, żeby przypomnieć, co powinna podać w tej autobiografii, i pokazać jej, gdy się biedziła nad stylem, o ile lepiej pisała jako mała dziewczynka.

Przytaczam parę wcześniejszych urywków, które wydają mi się, bez uwzględniania różnicy w czasie, prawie tak dobre, jak wszystko, co wyszło później spod jej pióra:

Odkryłam właściwy sposób chodzenia, gdy miałam rok, i przez wszystkie promienne dni lata, które potem nastąpiło, nie usiedziałam w miejscu ani minuty...

Gdy ojciec wracał wieczorem, biegłam na spotkanie do bramy, a on podnosił mnie do góry w silnych ramionach, zgarniał mi z buzi stargane kędziory i całował pytając: „Co moja kobietka dziś robiła?"

Ale najpromienniejsze lato ciągnie za sobą zimę. W zimnym posępnym lutym, gdy miałam dziewiętnaście miesięcy, zapadłam na ciężką chorobę. Zostały mi z niej dotąd mętne wspomnienia. Matka siedziała koło łóżeczka i starała się uśmierzać moje cierpienia, bo jęczałam w gorączce. Z jej udręczonego serca wzlatywała cicha modlitwa: „Ojcze Niebieski, nie zabieraj mi mojej dzieciny!" Ale gorączka wzmagała się i wywiązało się zapalenie oczu. Przez kilka dni nasz zacny lekarz obawiał się o moje życie.

Aż tu jednego dnia o wczesnym ranku gorączka opuściła mnie tak nagle, jak się zaczęła. Zapadłam w spokojny sen. Wtedy rodzice poznali, że będę żyła, i byli bardzo szczęśliwi. Gdy już wyzdrowiałam, nie od razu się zorientowali, że okrutna

gorączka pozbawiła mnie wzroku i słuchu, że z mojego malutkiego życia znikło światło, muzyka i radość.

Ale ja zbyt byłam mała, żeby rozumieć, co się stało. Gdy się obudziłam i przekonałam, że otacza mnie ciemność i cisza, pewno sobie wyobraziłam, że to noc. Musiałam się dziwić, dlaczego dzień tak długo nie nadchodzi. Stopniowo jednak przyzwyczaiłam się do otaczającej mnie ciemności i ciszy i zapomniałam, że kiedyś był dzień.

Zapomniałam o wszystkim, co było, z wyjątkiem czułej miłości matki. Niebawem uciszył się nawet mój dziecinny głosik, gdyż przestałam słyszeć dźwięki.

Ale nie wszystko było stracone! Ostatecznie wzrok i słuch to tylko dwa z pięknych błogosławieństw, którymi Bóg mnie obdarzył. Najcenniejszy, najcudowniejszy jego dar nie został mi odjęty. Mój umysł pozostał jasny i czynny, „chociaż światłość pierzchła na zawsze".

Skoro tylko odzyskałam siły, zaczęłam interesować się czynnościami otaczających mnie osób. Czepiałam się sukni matki krzątającej się po domu, a moje rączki dotykały wszystkich przedmiotów i wyczuwały wszelkie poruszenia. W ten sposób dowiadywałam się bardzo wielu rzeczy.

Gdy byłam trochę starsza, odczułam potrzebę porozumiewania się z otoczeniem. Zaczęłam robić proste znaki, łatwo zrozumiałe dla rodziców i przyjaciół. Ale zdarzało się często, że nie potrafiłam wyrazić moich myśli jasno, i w takich chwilach wpadałam w niepohamowany gniew...

Nauczycielka była u nas prawie dwa tygodnie i nauczyłam się już osiemnastu czy dwudziestu słów, zanim ta myśl rozbłysła w mojej głowie, tak jak słońce zapala się nad śpiącym światem. W tym momencie olśnienia objawiła mi się tajemnica języka i pochwyciłam przebłysk pięknej krainy, którą miałam odkrywać.

Przez całe rano nauczycielka usiłowała dać mi do zrozumienia, że kubek i mleko w kubku mają inne nazwy, ale ja — nierozgarnięta — brałam uporczywie mleko za kubek, a kubek za mleko, aż w końcu straciła pewnie nadzieję na rozjaśnienie mi w głowie. Wreszcie wstała, dała mi kubek i zaprowadziła do studni. Ktoś pompował wodę i gdy trysnął chłodny świeży

strumień, kazała mi podstawić kubek pod pompę i wypalcowała „woda". Woda!

To słowo wstrząsnęło moją duszą. Obudziła się pełna porannej, rozśpiewanej, triumfalnej radości. Aż do tego dnia mój umysł był niczym przyciemniona komnata czekająca na wejście słów, mających zapalić lampę, czyli myśl...

Tego dnia nauczyłam się bardzo wielu słów. Wszystkich nie pamiętam, ale wiem, że wśród nich znalazły się te: matka, ojciec, siostra i nauczycielka. Trudno byłoby znaleźć szczęśliwsze dziecko ode mnie w ów wieczór, gdy leżałam w łóżeczku i rozmyślałam o radości zaznanej za dnia. Pierwszy raz zatęskniłam do jutra.

Nazajutrz obudziłam się z rozradowanym sercem. Czego się dotknęłam, zdawało się tętnić życiem. Powód był ten, że oglądałam wszystko za pomocą tego nowego, dziwnego, pięknego wzroku, świeżo mi użyczonego. Później już wcale się nie gniewałam, bo rozumiałam, co przyjaciele do mnie mówili, i byłam ogromnie zajęta, ucząc się masy cudnych rzeczy. Przez pierwsze radosne dni wolności nie mogłam usiedzieć w miejscu. Palcowałam bez przerwy i jednocześnie wykonywałam różne czynności zależnie od słów, których się uczyłam. Biegałam, skakałam, brałam przeszkody i huśtałam się. Wszystko pączkowało i kwitło. Wiciokrzew zwieszał się długimi girlandami, rozkosznie pachnącymi, a róże nigdy przedtem nie były takie piękne. Obie z nauczycielką przebywałyśmy na dworze od rana do wieczora, a ja radowałam się ogromnie, bo odnalazłam zapomniane światło i słoneczny blask...

Nazajutrz po naszym przyjeździe obudziłam się wcześnie, w świetnym humorze. Zajaśniał piękny letni dzień. W ten dzień miałam poznać tajemniczego, posępnego przyjaciela. Wstałam, ubrałam się szybko i zbiegłam na dół. W hallu spotkałam nauczycielkę i prosiłam, żeby mnie natychmiast zaprowadziła nad morze.

„Jeszcze nie — odpowiedziała ze śmiechem. — Wpierw musimy zjeść śniadanie". Natychmiast po śniadaniu pośpieszyłyśmy na wybrzeże. Ścieżka prowadziła przez niskie piaszczyste wzgórza. W marszu nogi zaplątywały mi się raz po raz w ostrej trawie i padałam ze śmiechem na ciepły lśniący piasek. Piękne

ciepłe powietrze aż pachniało. Zauważyłam, że w miarę jak zbliżałyśmy się do morza, powietrze stawało się chłodniejsze i świeższe.

Nagle stanęłyśmy. Chociaż nic mi nie powiedziano, poznałam, że mam morze u stóp. Poznałam również, że jest olbrzymie! Straszne! Wydało mi się na moment, że słońce jak gdyby przygasło. Ale nie myślę, żebym się zlękła, bo potem, gdy się przebrałam w kostium kąpielowy i poczułam, jak fale zalewają plażę i całują mi stopy, krzyknęłam z radości. Skoczyłam odważnie w spienioną wodę. Na nieszczęście potknęłam się o skałę i upadłam twarzą w zimną toń.

Dziwna, okropna świadomość niebezpieczeństwa poraziła mnie trwogą. Słona woda zalewała mi oczy i pozbawiała tchu. Ogromna fala wyrzuciła mnie na brzeg tak lekko jak kamyczek. Przez kilka dni po tej przygodzie chodziłam zgaszona, wystraszona. Trudno mnie było namówić, żebym weszła do wody. Ale po trochu odzyskałam odwagę i jeszcze lato nie dobiegło kresu, a nie było dla mnie większej uciechy, jak zdawać się na wolę morskich fal...

Nie wiem, czy bardziej jest uderzająca różnica, czy podobieństwo stylowe między wersją dziecinną i dorosłą. Wcześniejszy opis jest prostszy, nie tak wystylizowany, jakkolwiek już wtedy Helena Keller pisała doskonałym stylem. Jednakże artyzm późniejszej opowieści, np. w ustępie o morzu, oznacza z pewnością realizację zapowiedzi zawartej we wcześniejszym opracowaniu. Właśnie w tym wczesnym okresie pisał do niej doktor Holmes: „Jestem zachwycony stylem Twoich listów. Nie ma w nich wcale afektacji i jak płyną u Ciebie prosto z serca, tak trafiają do mojego".

W okresie późnego dzieciństwa styl jej zatracił swoją początkową prostotę, stał się sztywny i podług jej wyrażenia „utapirowany". W tym okresie Anna Sullivan zaczęła się lękać, żeby dziecinne sukcesy wychowanki nie ustały razem z dzieciństwem. Helenie jak gdyby zaczynało czasami brakować giętkości. Myśli jej biegły koleinami utartych zwrotów, których, jak się mogło zdawać, nie potrafiła ani skorygować, ani wyrazić inaczej.

Potem przyszły studia w college'u — pisanie oryginalnych ćwiczeń na podstawie nowych zasad kompozycyjnych lub przynajmniej nowych metod podsuwania tych zasad. Helena zaczynała panować nad swoim stylem. Niniejsza książka, pierwsza jej „dorosła" próba literacka, rozstrzyga kwestię jej uzdolnień w tym względzie.

Styl Biblii przebija we wszystkich pracach Heleny Keller, tak jak zaznacza się w stylu większości wielkich pisarzy angielskich. Stevenson, którego Anna Sullivan lubi i którego czytywała swojej wychowance, jest wybitnym przykładem tego wpływu. W autobiografii Heleny Keller można znaleźć liczne cytaty, głównie z Biblii i Stevensona, wstawione w tekst lub wplecione weń, ale cała praca jest jej samodzielną koncepcją. Słownictwo jej ogarnia wszystkie zwroty, będące w użyciu u ogółu. Wyjaśnienie tego zjawiska, jak również jego rozumowe uzasadnienie powinno być dzisiaj oczywiste. Nie ma powodu, żeby wykreślała ze swego słownictwa wszystkie słowa odnoszące się do dźwięków i widzenia. Pisząc dla innych, powinna w wielu wypadkach liczyć się raczej z zewnętrznymi faktami niż z osobistym doświadczeniem. Dopóki używa słów poprawnie, powinna mieć swobodę w ich używaniu, a nie być zmuszoną do stosowania słownictwa ograniczonego jej ułomnością. W zakresie stylu i treści musimy przyznawać artystce prawa, których zaprzeczamy pamiętnikarce. Należy także zaznaczyć, że czasowniki patrzeć i widzieć są w użyciu u niewidomych, a słyszeć u głuchych w znaczeniu dostrzegać, jako słowa prostsze i wygodniejsze. Tylko pedantyczna osoba mogłaby wymagać od niewidomych trzymania się terminów percepcja lub apercepcja, kiedy widzenie i patrzenie są o tyle łatwiejsze i co więcej, mają u wszystkich ludzi znaczenie intelektualnego rozpoznania na równi z rozpoznaniem wzrokowym. Kiedy Helena Keller bada posąg, to suwając palcami po marmurze mówi właściwym sobie językiem: „To wygląda jak głowa Flory".

Z drugiej strony prawdą jest, że w swoich opisach osiąga najwyższy poziom artyzmu, gdy pozostaje wierna swoim osobistym wrażeniom. Lecz ta uwaga dotyczy wszystkich artystów.

Niedawne studia nauczyły ją otrząsać się z konwencjonalizmów i pisać o własnych przeżyciach. Nauczyła się odrzucać

styl zapożyczany z książek, którym się dotąd posługiwała, gdy chciała pisać tak jak inni.

Autobiografia Heleny Keller zawiera prawie wszystko to, co w ogóle zamierzała ogłosić. Jednakże warto zacytować ustępy z jej mniejszych prac literackich, które nie są ani tak bezpośrednie jak jej korespondencja, ani tak starannie opracowane jak autobiografia. Zacytowane wyjątki pochodzą z ćwiczeń, które pisała na kursie pisania wypracowań, kiedy na samym początku studiów w college'u okazało się, że pisze ona najlepiej ze wszystkich uczennic. Pan Charles T. Copeland, wieloletni nauczyciel angielskiego i lektor literatury angielskiej w Harvardzie i Radcliffe, powiedział do mnie: „W niektórych swoich pracach okazała większy talent literacki niż kiedykolwiek ktokolwiek z moich słuchaczy czy słuchaczek. Ma nadzwyczajne wyczucie płynności stylu".

A oto cytaty:

Przeczytano mi właśnie parę zwrotek z poezji Omara Khayáma i mam teraz uczucie, jakbym ostatnie pół godziny spędziła we wspaniałym grobowcu. Tak, to jest grób, w którym spoczywają pogrzebane nadzieja, radość i zdolność do spełniania szlachetnych czynów. Każdy piękny opis, każda głęboka myśl przechodzą niepostrzeżenie w te same żałobne pienia o krótkotrwałości życia ludzkiego, o powolnej ruinie i rozkładzie wszystkich ziemskich rzeczy. Promienne tkliwe wspomnienia poety o miłości, młodości i pięknie — to tylko pogrzebowe pochodnie oświetlające ów grób, albo innymi słowami, to kwiaty, które na nim kwitną, zroszone łzami. Przy grobie siedzi znękana dusza. Nie raduje się ona ani szczęśliwymi wspomnieniami przeszłości, ani perspektywami przyszłości, lecz szuka pociechy w zapomnieniu. Daremnie morze woła do tej omdlałej duszy donośnym głosem natchnienia, daremnie nieba zmagają się z jej słabością. Ona żali się uporczywie i w zapomnieniu szuka ucieczki od doraźnej niedoli. Czasami podchwytuje jakieś słabe echo z żyjącego radosnego świata, przebłysk mającej nastać doskonałości i, wyrwana przejmującym wstrząsem z otchłani zwątpienia i rozpaczy, czuje się zdolna do stworzenia wielkiego ideału nawet w ramach „tej biednej, nędznej, więziennej rzeczywistości", w której wegetuje. Ale za chwilę natchnienie cichnie, wizja

gaśnie i ta wielka, bardzo cierpiąca dusza znów tonie w mrokach niepewności i rozpaczy.

Często myślę, że piękne idee są dla większości ludzi tak samo krępujące, jak towarzystwo wielkich ludzi. Uważa się ogólnie, że są one daleko bardziej na miejscu w książkach i na odczytach niż w salonie lub przy stole. Oczywiście nie mam na myśli pięknych uczuć, lecz wyższe prawdy odnoszące się do codziennego życia. Niewielu z moich znajomych zastanowi się w trakcie codziennego obcowania z ludźmi nad pięknymi błyskami prawdy pochwyconymi w okresie studiów. Często, gdy mówię z entuzjazmem o czymś, co mnie zachwyca w historii czy poezji, nie otrzymuję odpowiedzi. Czuję wtedy, że muszę zmienić temat i nawiązać do najpospolitszych spraw, jak pogoda, krawcowa, sporty, choroba, smutki, udręczenia. Rozumie się, wszystko, co dotyczy moich najbliższych, niezmiernie mnie obchodzi. Właśnie te zainteresowania tak mi utrudniają rozmowy z niektórymi ludźmi, takimi, co to nie chce im się mówić albo też nie mówią tego, co myślą. Ale miło by mi było spotykać więcej przyjaciół, skorych pogwarzyć ze mną od czasu do czasu o cudnych utworach, jakie czytam. Nie trzeba nam naśladować „Uczonych białogłów", ale powinniśmy mieć coś do powiedzenia o naszych studiach jak również obowiązkach i o tym, co mówią nasi profesorowie albo jak oceniają nasze ćwiczenia.

Dziś jadłam obiad razem z klasą nowicjuszek w Radcliffe. Pierwszy raz wzięłam bezpośredni udział w życiu college'u i było to przemiłe przeżycie! Pierwszy raz od czasu, jak wstąpiłam do Radcliffe, miałam sposobność zaprzyjaźnić się ze wszystkimi koleżankami z klasy. Co to za przyjemność wiedzieć, że uważają mnie za swoją, a nie za dziwoląga trzymającego się na uboczu i nie interesującego się ich codziennym życiem, bo tego się czasami obawiałam. Często się dziwiłam, gdy moje rówieśnice, a nawet osoby starsze wyrażały taki pogląd, a raczej dawały coś podobnego do zrozumienia. Raz ktoś napisał do mnie, że według niego muszę być zawsze „urocza i poważna", że myślę wyłącznie o mądrych, dobrych, interesujących rzeczach — tak jakby mnie zaliczał do tych nieznośnych świętych, których na świecie jest aż za dużo! Śmieję się zawsze z tych nie-

dorzecznych pomysłów moich przyjaciół, że daleko lepiej mieć trochę wad i być wesołą i towarzyską — pomimo wszelkich upośledzeń, niż zamykać się w swojej skorupie, pieścić się swoimi zgryzotami, oblekać je w szaty świątobliwości, a potem podawać siebie za ideał cierpliwości, cnoty, dobroci i wszelkich doskonałości. Ale nawet kiedy się śmieję, czuję w sercu skurcz bólu, bo przykro mi pomyśleć, że ludzie posądzają mnie o brak sympatii do moich młodych towarzyszek, sympatii wynikających z tego, co mamy ze sobą wspólnego — młodości, nadziei na poły ochoczej, na poły bojaźliwej postawy wobec czekającego nas życia.

Sainte-Beuve powiada: *Il vient un age peut-être quand on n'écrit plus.* Jest to jedyna aluzja, z jaką się spotkałam w książkach, co do tego, że źródła literatury, które teraz wydają się tak różnorodne i nieskończone, mogą się kiedyś wyczerpać. Dziwię się, że coś podobnego mogło komukolwiek przyjść do głowy. I to komu jak komu, ale takiemu wybitnemu krytykowi. Fakt, że dziewiętnasty wiek nie wydał wielu autorów, których można zaliczyć do największych geniuszów wszystkich czasów, moim zdaniem nie usprawiedliwia takiej refleksji: „Może przyjść czas, kiedy ludzie przestaną pisać".

Po pierwsze, źródła literatury zasilają dwa rozległe światy, świat czynu i świat myśli, dzięki następstwu twórczych dzieł w jednym i zmianom w drugim. Nowe doświadczenia i wydarzenia wywołują nowe idee i pobudzają ludzi do stawiania pytań, o jakich przedtem nie pomyśleli, i do szukania definitywnej odpowiedzi w głębiach ludzkiej wiedzy.

Po drugie, jeżeli to prawda, że musi minąć wiele stuleci, zanim świat osiągnie doskonałość, jak minęło ich wiele, zanim stał się taki, jaki jest dzisiaj, literatura z pewnością wzbogaci się niepomiernie dzięki niesłychanym zmianom, nabytkom i udoskonaleniom, jakie niechybnie muszą się dokonać w dalekiej przyszłości. Jeżeli geniusz milczał przez całe stulecie, to nie znaczy, żeby próżnował. Przeciwnie, gromadził świeże materiały nie tylko z odległej przeszłości, ale również z wieku postępu i rozwoju. Może w przyszłym wieku nastąpi wspaniała eksplozja twórcza we wszystkich różnorakich dziedzinach

literatury. Obecnie świat przeżywa kompletną rewolucję i wśród walących się systemów i imperiów, sprzecznych teorii i wierzeń, odkryć i wynalazków, to przecież cud, jak ktoś w ogóle może tworzyć wielkie dzieła literackie. To nie jest wiek myślicieli.

Trochę później, gdy przycichnie rozmach i zapał działających, będziemy mogli oczekiwać zjawienia się wielkich ludzi, którzy w świetnej poezji i prozie będą wysławiać czyny i triumfy ostatnich paru stuleci.

To bardzo interesujące obserwować rozwój rośliny, to coś takiego, jakby się brało udział w dziele stworzenia. Kiedy na dworze jest zimno i biało, kiedy leśna zwierzyna, przepłoszona do zimowych kryjówek, śpi smacznie w ciepłej ziemi, a puste gniazda na bezlistnych drzewach napełniają się śniegiem, wychodzące na ogród moje okno goreje i uśmiecha się tak, że w pokoju robi się lato, chociaż na dworze zima. To coś zdumiewającego — kwiaty kwitnące wśród śnieżycy! Czułam, jak pąk zrzucił nieśmiało zielony kapturek i rozkwitł z jedwabistym wybuchem dźwięku, podczas gdy lodowate palce śniegu bębniły po szybach. Ciekawa jestem, jaka to siła tajemna spowodowała ten cud rozkwitu. Co to za moc zagadkowa popychała młodziutką roślinkę z ciemnej ziemi w górę, ku światłu, poprzez stadia liści, łodygi i pąka ku wspaniałej realizacji w postaci doskonałego kwiecia? Komu by przyszło do głowy, że takie piękno kryło się w ciemnej ziemi, drzemało w nasionku, zasadzonym przez nas? Piękny kwiatku, nauczyłeś mnie wglądać w ukryte serce natury.

Ach, jakie figle płatają nam rusałki z Krainy Marzeń, kiedy śpimy! Chyba „to są błazny na Niebiańskim Dworze!" Żeby ze mnie kpić, przybierają często postać codziennych ćwiczeń, paradują po scenie snu jak głupie panny, tylko że zamiast lamp niosą w rękach ozdobne notesy. To znowu egzaminują mnie, w krzyżowym ogniu pytań ze wszystkich przedmiotów, które studiowałam, i niezmiennie zadają pytania, na które równie łatwo odpowiedzieć, jak na takie oto: „Jak się wabiła pierwsza mysz, która dręczyła Hippopotamusa, satrapę Cambridge pod

panowaniem Astyagasa, dziadka Cyrusa Wielkiego?" Budzę się porażona trwogą, bo w uszach dzwonią mi słowa: „Odpowiedź albo życie!"

Takie karykaturalne fantazje przelatują przez głowę osobie studiującej w college'u i żyjącej tak, jak ja żyję, w atmosferze idei, koncepcji, myśli i kłębiących się uczuć. Można od tego zwariować. Rzadko miewam sny nie harmonizujące z tym, co naprawdę myślę i czuję, ale którejś nocy moja natura jakby się przeobraziła. Stałam się nagle potężnym strasznym człowiekiem.

Naturalnie kocham pokój i nienawidzę wojny i wszystkiego, co ona przynosi. Nie widzę nic godnego podziwu w karierze Napoleona prócz samego końca. A jednak w tym śnie wstąpił we mnie duch tego bezlitosnego mordercy ludzi! Nigdy nie zapomnę furii bitewnej, która tętniła mi w żyłach — zdawało się, że gwałtowne bicie serca pozbawi mnie tchu. Dosiadałam ognistego rumaka. Jeszcze czuję, jak podrzuca niecierpliwie łbem, i to drżenie w nim, gdy zagrzmiały działa.

Ze szczytu, gdzie stałam, widziałam moją armię zalewającą słoneczną równinę na podobieństwo gniewnych bałwanów morskich. Gdy się poruszała, migały mi zielone smugi pól niby chłodne zagłębienia między falami. Ponad jednostajny warkot bębnów i rytm maszerujących nóg wybijał się raz za razem głos trąbki. Wbijając ostrogi zadyszanemu rumakowi, wymachiwałam wysoko mieczem i krzyczałam: „Przybywam! Patrzcie na mnie, wojownicy! Europo!" Rzuciłam się w nadpływające fale, jak silny pływak dający nurka w spienioną wodę morską, i grzmotnęłam, niestety, naprawdę w kolumienkę łóżka!

Teraz co noc coś mi się śni. Ale zanim przyjechała do mnie moja nauczycielka, sny nawiedzały mnie rzadko. Były to sny bezmyślne, nieskładne, chyba że wchodziły w grę czysto fizyczne doznania. W moich snach zawsze coś się niespodziewanie ciężko waliło, to znów niańka jak gdyby karała mnie za to, że jej dokuczałam. Zwracała mi z lichwiarskim procentem kopniaki i szczypanki. Budziłam się nagle albo szamotałam zapamiętale, żeby się wyrwać mojej dręczycielce. Przepadałam za bananami i raz śniło mi się, że znalazłam w jadalni koło kredensu wielką wiązkę obranych, wybornych, dojrza-

łych bananów. Mogłam sobie stanąć pod nią i jeść, jeść do syta.

Po przyjeździe panny Sullivan im więcej się uczyłam, tym częściej śniłam. Ale z czasem miewałam coraz częściej przywidzenia i ataki nieokreślonej trwogi, które przez długi czas zakłócały mi sen. Bałam się ciemności, a lubiłam ogień. Bijące odeń ciepło tak przypominało ludzką pieszczotę, że naprawdę ogień był dla mnie czującą istotą, zdolną kochać mnie i ochraniać. Raz w zimną noc zimową byłam sama w swoim pokoju. Panna Sullivan zgasiła światło i poszła przekonana, że usnęłam mocno. Nagle poczułam, że łóżko się zatrzęsło i wydało mi się, że wilk wskoczył na mnie i zawarczał mi w twarz. To był tylko sen, ale ja myślałam, że to prawda, i serce we mnie zamarło. Nie odważyłam się krzyknąć, a bałam się zostać w łóżku. Może to było niejasne przypomnienie bajki o Czerwonym Kapturku, którą mi niedawno opowiadano. W każdym razie zsunęłam się z łóżka i usadowiłam blisko ognia, bo jeszcze nie wygasł. Z chwilą gdy poczułam ciepło, uspokoiłam się. Długo tak siedziałam. W końcu sen mnie zmorzył i panna Sullivan znalazła mnie przy kominku, opatuloną w kołdrę.

Często we śnie myśli nawiedzają mnie na podobieństwo cichych, dalekich, zakapturzonych cieni i znikają. Może to widma myśli którego z moich przodków. To znów rzeczy, których się nauczyłam i których mnie nauczono, opadają ze mnie niby skóra z jaszczurki i widzę moją duszę tak, jak Bóg ją widzi. Zdarzają się również rzadkie piękne chwile, kiedy w Krainie Snu widzę i słyszę. Co by się stało, gdyby tak na jawie rozległ się dźwięk w rozległej krainie ciszy? A gdyby promień światła rozbłysnął w mrokach mojej duszy? Co by się wtedy stało, pytam i pytam. Czy pękłaby napięta struna życia? Czy pod naporem nagłej radości serce przestałoby bić z nadmiaru szczęścia?

SPIS RZECZY

POLECONA-REGISTERED

Doubleday & Company Inc.,
Foreign Rights Department,
277 Park Avenue,
N e w Y o r k , N.Y. 10017

U. S. A.

Ogółem 6 egz.

„Czytelnik", Warszawa 1967. Wydanie I
Nakład 10280. Ark. wyd. 19,5; ark. druk. 23.
Papier druk. m/gł. 86X122, kl. IV, 70 g z Kluczy.
Oddano do składania 13 II 1967 r. Podpisano do
druku 2 XI 1967 r. Druk ukończono w grudniu 1967 r.
Drukarnia Narodowa w Krakowie
Zam. wyd. 745; druk 130/67. R-053-1564. Cena 25.— zł
Printed in Poland

CZYTELNIK

Przekłady z literatury amerykańskiej do nabycia w księgarniach:

Ambrose Bierce
JEŹDZIEC NA NIEBIE
i inne opowiadania
s. 208 *zł. 16.—*

Ray Bradbury
451° FAHRENHEITA
s. 184 *zł 14.—*

Dexter Masters
WYPADEK
T. I. s. 264
T. II. s. 200 *I/II zł 20.—*
(Biblioteka Powszechna)

Cena zł [illegible]

CZY
TEL
NIK